Lwowska Narodowa Naukowa Biblioteka Ukrainy imienia W. Stefanyka

NAUKOWY DZIAŁ CZASOPISM IM. MARJANA I IWANNY KOCIW

Gi 719

PO PRACY:

bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej”

R.1912 nr 1-52

KATOWICE

Γ.i.719

Do pracy
1912

kr. nr. 49.

Nr. 1.

PO PRAC

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Ro

Katowice, sobota, dnia 6 stycznia 1912.

ALFONS DAUDET.

Dom do sprzedania.

Nad drzwiczkami ogródka, staremi, pełnemi szpar, zapchanemi piaskiem i pyłem ulicy, wisiała tabliczka wiele już razy palona letnim żarom i targana jesiennym wichrem. Na tabliczce był napis: „Dom do sprzedania“. Słowa te zdawały się też mówić „dom opuszczony“ — taka cisza go otaczała.

A jednak ktoś w nim mieszkał. Niebieskawy dymek, unoszący się nad niskim kominem z cegieł, zdradzał czyjeś istnienie, skromne i smutne, jak ten biedny ogień. Przytem poprzez szpary furtki, zamiast nieładu, który poprzedza i zapowiada sprzedaż i odjazd, widać było alejki dobrze utrzymane, altanki, konewki przy basenie i narzędzia ogrodnicze, oparte o ścianę. Był to poprostu wiejski domek, postawiony na pochyłości wzgórza, od strony południowej, rzekłbyś, jaka cieplarnia. Szklane klosze, oparte o schódki, przewrócone, puste doniczki i przy nich inne z gieranjum i werweną, ustawione na gorącym piasku. Zresztą, oprócz kilku cienistych platanów, cały ogród zalewało światło. Drzewa owocowe, porozpinane na drutach szeroko lub w szpaler, rozpościerały na słońcu bogate ulistowienie, przerzedzone tylko owocami. Dalej zagony truskawek i groszku na tyczkach. Pomiędzy tem wszystkiem, w tej ciszy i ładzie, kręcił się staruszek w słomianym kapeluszu, podlewał o chłodzie kwiaty, ciął, usuwał niepotrzebne gałęzie i chwasty.

Staruszek nie znał nikogo w okolicy. Z wyjątkiem piekarza, który zatrzymywał się pred drzwiami każdego domku tej jedynej ulicy w wiosce, nikt nie odwiedzał samotnika. Czasam jakiś przechodzień, szukający posiadłości na tej żyznej ziemi, tak podatnej na ogród, zatrzymywał się na widok napisu o sprzedaży i dzwonił. Za pierwszym razem nikt nie odpowiapał. Za drugim zaczęły powoli zbliżać się ciężkie kroki i staruszek uchylał furtkę z gniewną miną:

— Co pan sobie życzy?

— Dom jest do sprzedania?

— Tak — odpowiadał poczciwiec z wysiłkiem — tak jest do sprzedania, ale uprzedzam, że chcę za niego drogo.

Wyciągniętą ręka, gotową natychmiast zamknąć furkę, zagradzał drogę. Oczy starca wprost wypędzały przybysza, tyle było w nich gniewu i zawziętości. I stał tak, jak bajeczny smok, pilnując swych zagoników i piasczystego podwóreczka.

Ludzie odchodzili więc, zastanawiając się, z jakim warjatem mieli do czynienia i poco ogłaszał sprzedaż domu, gdy tak bardzo chciał go zatrzymać.

Pewnego dnia tajemnica wyjaśniła się. Przechodząc koło domku, usłyszałem żywą rozmowę, jakby sprzeczkę:

— Trzeba sprzedać, ojcze, trzeba sprzedać... przyrzekłeś...

I drżący głos staruszka odpowiedział:

— Ależ moje dzieci, ja tego tylko pr... wywiesiłem ogłoszenie.

W ten sposób dowiedziałem się, że to je... i synowe, drobni sklepikarze paryscy, zmuszali ... pozbycia się tego ukochanego kącika.

Dlaczego? Nie wiem. To pewne jednak, iż zauważyli, że za długo się to przeciąga i od tego dnia przyjeżdżali co niedzielę, aby dręczyć nieszczęsnego staruszka i zmuszać do dotrzymania obietnicy. Słyszałem to doskonale w tę ogromną ciszę niedzielną, gdy ziemia nawet zdaje się odpoczywać po całotygodniowej orce i siewie. Sklepikarze rozmawiali, sprzeczali się między sobą, grając w kregle i słowo „pieniądze“ dźwięczało sucho ich w głosach, skrzeczących i brutalnych.

Wieczorem wszyscy odjeżdżali i staruszek odprowadzał ich hilka kroków na drogę, a potem wracał prędko i, szczęśliwy, zamykał drzwiczki, mając przed sobą tydzień wakacyj.

Przez sześć dni cicho było w domku. W ogródku paliło słońce i słychać tylko było szelest piasku pod ciężkimi krokami lub grabiami staruszka.

Ale z tygodnia na tydzień coraz więcej go nagl... i męczono. Sklepikarze używali wszelkich środków. Przywozili dzieci, aby go zjednały.

— Widzisz dziadku, gdy dom sprzedasz, przyjedziesz i zamieszkasz z nami. Będziemy tacy szczęśliwi i wszyscy razem!...

I szeptano po kątach i, przechadzając się po alejach, głośno liczono. Raz usłyszałem jednę z synowych, jak dowodziła:

— Ten barak nie wart i franka ... trzeba go tylko zwalić.

Starowina słuchał w milczeniu. Mówiono o nim, jakby już umarł, o jego domku, jakby już był zwalony. Chodził zgarbiony ze łzami w oczach, szukając z przyzwyczajenia gałęzi, które należy obciąć, owoców potrzebujących pielęgnacji, i czuć było, że życie jego tak się zrosło z tym kawałkiem ziemi, że nigdy nie będzie miał siły z nim się rozstać. Rzeczywiście, cokolwiek mu mówiono, zawsze odsuwał chwilę odjazdu. W lecie, gdy dojrzywały owoce, trochę kwaśne, w których czuć jeszcze świeżość wiosny: czereśnie, porzeczki i wiśnie, mówił:

— Poczekajmy na zbiory... Zaraz potem sprzedam.

Ale po zbiorach, gdy przyszły wiśnie, następowała pora brzoskwin, potem winogron, wkońcu pięknych, bronzowych nespli, co się je zrywa prawie pod śniegiem. No i nadchydziła zima. Wieś była czarna i smutna, ogród pusty. Niema przechodniów, niema kupców. Nawet paryscy sklepikarze przestali przyjeżdżać w niedziele. T... długie miesiące odpoczynku, aby móc przygotować zasiewy i pociąć owocowe drzewa. A tymczasem trzebna tabliczka z ogłoszeniem chwiała się przy ruszana wiatrem i deszczem.

Wkońcu synowie zniecierpliwieni zwłoka... wając, że ojciec czyni wszystko, aby oddalić postanowili energicznie zabrać się do dzieła. ... nowych zamieszkała ze staruszkiem. Była ... sklepikarka, od rana wystrojona, z uprzejmą ...

126931

BIBLIO...

w 12/6.9

...nującym się han-
...ej należy. Otwie-
..., uśmiechała się do

...o sprzedania!...
...nnienia. Czasami,
...wej, skopywał za-
...co wiedzą, że mają
...szłości, aby oszukać
...a chodziła za nim bez

...przecież już dla innych

...oddając się swej robocie z
... w zaniedbaniu, to znaczyłoby
...chę opuścić. Tak więc na alej-
...ziło trawy, żadna gałęź nie wybujała
...czasem się kupcy nie zjawiali. Był to
...biegła kobieta napróżno roztwierała na
..., napróżno wdzięczyła się do drogi, przecho-
...włóczęgi, wchodził tylko pył unoszony wiatrem.
...na dzień pogarszał się jej humor. Interesy w Pa-
...potrzebowały jej obecności. Słyszałem, jak obrzucała
...a wymówkami, urządzała mu sceny, trzaskała drzwiami.
...aruszek pochylał się coraz bardziej, ale nic nie mówił,
pocieszając się widokiem rosnącego groszku i tabliczki z napisem „Dom do sprzedania", która ciągle wisiała.

...Tego roku, wróciwszy znów na wieś, poszedłem do starego domku, ale niestety, tabliczki już nie było. Wszystko się skończyło, sprzedali go! Na miejscu szarej furteczki umieszczono zieloną bramkę, świeżo pomalowaną, z okrągłym otworem, przez który można było rzucić okiem na ogród.

Nie był to już dawny sadek, ale pospolity mieszczański ogródek: koszyki, trawniki, kaskady i to wszystko od ...jało się w wielkiej metalowej kuli, chwiejącej się nad ...nkiem. W tej kuli przeglądały się aleje z pstremi kwia...ysowały dwie duże, o przesadnych kształtach, figury: ...rwony mężczyzna, oblany potem, siedział zagłębiony ...kim fotelu i ogromna dama, wołająca, potrząsając ...ami:

— Czternaście konewek wylałam na balsaminy!

...rzybudowano jeszcze jedno piętro, poprawiono ...enie i w tym kąciku, zupełnie odnowionym, ód któ...uć jeszcze było świeżą farbę, rozbrzmiewały dźwięki ...lansów i polek z publicznych balów. Te melodje ..., padające na drogę, gdzie mieszały się z gorącym ...nym pyłem, ten hałas wielkich kwiatów i wielkich ...ta przelywająca się trywialnia wesołość ściskała mi ...rce.

Myślałem o biednym staruszku, który przechadzał ...ię tu taki szczęśliwy i taki spokojny, i przedstawiłem go sobie w Paryżu, w słomianym kapeluszu, ze zgarbionemi plecami starego ogrodnika, jak chodził po pokoiku za sklepikiem, znudzony, nieśmiały, pełen łez, podczas gdy jego synowa tryumfuje za nowym kontuarem, na którym dźwięczą drobne pieniądze.

Inżynier EDWARD LIBANSKI.

Współczesne lotnictwo.

...a ziemi. — Dwa lata rozwoju awjatyki. — Francja, ...ncy, Austrja. — 163 kilometrów na godzinę. — ...jskowa. — Telegraf iskrowy bez drutu na aero... ...otyczka z aeroplanami w Tripolis. — Poczta na... ...kolonjach. — Sensacyjne loty bez motoru braci ... Wright. — Przyszłość lotnictwa.

...cą, cudną, baśń o Ikarze, człowieku, który ... się z ptakami w zawody, ziściły czasy

Gdy w roku 1909 na polach katalońskich w Reims setki tysięcy ócz zapatrzone były w błękit, pod którym słynni, pierwsi piloci pruli na bajecznych maszynach przestwór powietrzny, szalona radość upajała tłumy.

A więc będziemy latać! Komunikacja napowietrzna, mityczne marzenie stanie się rzeczywistością, cud techniki prześcignął marzenia poetów.

Potężny tryumf ducha Ameryki i Francji, wołano z entuzjazmem.

Jakżeż patrzymy dziś po dwu latach olbrzymich, wysiłków rywalizacji narodów?

Ogół bezkrytyczny odnosi się z pesymizmem; obfite żniwo śmierci, porywającej śmiałków błękitu, wielka stosunkowo liczba ofiar, spowodowały nastrój, jakoby lotnictwo było rodzajem sztuki cyrkowej, a to tembardziej, że jarmarcznie reklamowane i urządzane widowiska dla obfitego zysku, nieraz nieudałe, obniżały istotnie znaczenie tego nowego, twórczego świata techniki.

W czasach obecnych, których żądzą przewodnią jest zysk, nie mogło być inaczej. Najjaśniejsza myśl, najpiękniejsze dzieło pospolicieje, gdy handlarze i przekupnie biorą je w posiadanie.

A jednak poza hałaśliwą reklamą, wrzała gorączkowa i celowa praca dla przyszłości i rozwoju lotnictwa, nie będę tu wchodził w szczegóły coraz doskonalszych konstrukcji aeroplanow, stosowania nowych zasad, pomysłów, tegoroczna wystawa międzynarodowa w Paryżu uwidoczni ten postęp.

Wystarczy jednak przytoczyć krótko fakta i cyfry.

Przed kilku tygodniami lotnik Hélen latał bez przerwy 14 godzin, od 6 rano do 8 wieczór i przebył 1160 kilometrów.

To tryumf bajeczny i lotnika i maszyny, istotny fakt rozwoju techniki. Porucznik Feliks wzbija się do wysokości 3400 metrów, następnie zlatuje w locie ślizgowym, bez działania motoru, w 12 minutach.

Porucznik Malherbe leci na rekonesans z Paryża do Sedanu i z powrotem, nie lądując nigdzie po drodze, szybkość stwierdzona 163 klm. na godzinę.

Francja wyprodukowała w tych dwu latach ponad 4600 aeroplanów, mono i biplanów; dłuższe lub krótsze loty odbyło we Francji około 10 000 osób, a awjatyka znajduje nietylko mecenasów prywatnych łożących krociowe kwoty, ale i misterstwo wojny przeznacza na rok następny 5 miljonów franków na lotnictwo.

Nie dziw więc, że panowie Mamet i Réne przygotowują lot dokoła ziemi. Lot ma rozpocząć się z Paryża przez Hiszpanję do Algieru, dalej, w etapach, do Egiptu. Następnie parowcem do Indji, lot przez Indje aż do portów chińskich i parowcem do Australji. Lot przez Australję i dalej na parowcu do Ameryki, lot ponad Ameryką i wkońcu parowcem do Havru i powrót do Paryża.

Przed rokiem uważanoby ich za szaleńców obecnie rozważa się trzeźwo przygotowania i szanse tego lotu, o jakim się Vernemu nie śniło! Intenzywnie pracują na polu lotnictwa Francja, telegram iskrowy na aeroplanie ma olbrzymie znaczenie wojenne, i oto oficerowie Menard pilot i Brenot przy telegrafie podczas lotu komunikowali sztabowi na odległość kilkudziesięciu kilometrów z wysokości 400 do 500 metr. wyniki rekonesansu napowietrznego. Urządzenie dla telegrafu iskrowego znajduje się obok pilota, a gienerator elektryczny pędzony jest przez motor aeroplanu i może być w każdej chwili wyłączony. Antenna (przewód drutowy) wisi u dołu pod aeroplanem, 120 metrów długości.

Imponujące są prace „Norodowej Ligi awjatycznej". Rozwija ona energiczną agitację dla spopularyzowania lotu i zainteresowania całego narodu tą sprawą. Zamierzone jest założenie lotnisk wzdłuż szlaków głównych napowietrznych linji komunikacyjnych, dalej szereg stacji dla lądowania i, co również ważne, wypracowanie map prądów powietrznych.

W Algierze i Fezie zorganizowano już centra poczty awjatycznej dla kolonji afrykańskich, dziś potrzeba dla przebycia drogi z Paryża do jeziora Czad (w Afryce środkowej) dni 56, aeroplanem przebędzie się ją za 9 dni (odległość równa Paryż Baku).

Za Francją łożą na lotnictwo inne państwa zwłaszcza dla celów wojskowych. Anglja posiada już obecnie zastęp doskonałych lotników, a fabryki produkują ulepszone typy aparatów i nowe coraz sprawniejsze motory.

Niemcy pracują nierozgłośnie, ale również wytrwale, zachodni sąsiad jest im nieustannym bodźcem do pracy!

Kilkanaście fabryk rzuca na targ i lotniska różne typy aeroplanów, liczne związki lotnicze posiadają maszyny i szkoły lotnicze.

W czasie wystawy frankfurckiej, t. zw. „Ila", patrzyłem na pierwsze nieudolne próby lotu Eulera na skrzynkowym aeroplanie braci „Voisin". Prasa głosiła „dziś nasz Euler był już 3 minuty w powietrzu, potem 5" i t. d. We Francji latano już wówczas po 3 godziny.

W roku obecnym fabryka Eulera dała już 26 aeroplanów do użytku (poprawiony system Farmana), a na lotnisku w Darmsztadzie wykształciła 30 pilotów, między innymi księcia Henryka pruskiego, który na eulerowskim dwupłatowcu sadowi całą rodzinę i bierze ją na godzinny spacer napowietrzny.

Nie da się zaprzeczyć, że piloci niemieccy mniej brawurują, ale też i nie liczą tyle ofiar, co francuzi i włosi.

Włochy mają obecnie krwawą sposobność poznania sprawności aeroplanów w czasie wojny, pisma doniosły, że rzucane przez towarzysza pilota bomby z aeroplanu na obóz turecki pod Tripolisem siały spustoszenie.

W szybkim etapie rozwija się lotnictwo, i w najmłodszem mocarstwie, w krainie wschodzącego słońca, w Japonji. Lotniczy korpus wojskowy w Japonji szczyci się znakomitymi pilotami, którzy już obecnie wylatywali ponad Chiny dla zwiadów.

W Austrji, w obecnym roku po raz pierwszy próbowano sprawności aeroplanów, w czasie manewrów na Węgrzech.

Aeroplany typu Etricha jak i Videbena (zmieniony nieznacznie przez Warchałowskiego) i typu Farmana wyruszyły z kolonji awjatorskiej w Wiener Neustadt, a piloci, nieliczni jeszcze, pomagali kawalerji przy rekonesansach. Lotnictwo w Austrji ma do walczenia z obojętnością sfer decydujących i brakiem zainteresowania ogółu. Tak wynalazcy, jak i piloci, nie znajdują tego poparcia, jakie jest udziałem ich kolegów nawet w Chinach. Rząd chiński organizuje na wzór Japonji oddział aeronautyczny.

Zailustruje to fakt!

Na lotnisku w Wiener Neustadt, (36 hangarów) 6 aeroplanów oryginalnych, być może, że mniej lub więcej udałych konstrukcji, zasekwestrowano, wynalazca, czy właściciel nie mogli spłacić czynszu za hangar.

Pierwszy polak na lotnisku, inżynier Brzeski miał aparat niezwykle pomysłowy, oryginalnej konstrukcji motor, dwie śmigi obracane, jedna obrotem wału, druga kartaru motoru.

Burmistrz miasta, w czasie, gdym układał się o wynajm hangaru dla mego aeroplanu, objaśnił mnie w sposób następujący: Aparat p. Brzeskiego bardzo zainteresował tu fachowców; szkoda, że nie dali mu rodacy środków do ukończenia, życzę, aby panu poszło szczęśliwiej.

Tak, z braku środków, mimo oryginalnej inwencji, musiał Brzeski zrezygnować z dalszej pracy... po wypadku, który mu uszkodził aparat.

Francja przoduje, i z dumą mógł minister wojny przy otwarciu instytutu aeronautycznego rzucić słowa: Francja stanie się pierwszem mocarstwem napowietrznem.

Niezmiernie interesujące fakta podają pisma z Ameryki, fakta mogące stanowić o doniosłem przeobrażeniu systemu dzisiejszych aeroplanów.

Oto bracia Wright, ci pierwsi gienjalni ludzie-ptacy, nie odpoczęli na laurach, usunęli się w zacisze Kitty-Hawk, tam, gdzie przed laty miesiącami ćwiczyli się i poprawiali konstrukcje sztucznego ptaka i pragną urzeczywistnić marzenie o locie człowieka, o locie ptasim bez motoru.

Tego pragnął, temu oddał życie ojciec współczesnej awjatyki, inżynier Lilienthal. Dlaczego, jeśli jesteśmy w powietrzu, nie możemy tam pozostać bez wysiłku, pyta Wright.

I zabiera się do pracy, do studjów i prób ten suchy, sztywny Amerykanin, który nigdy nie miał w ustach alkoholu, ani tytoniu.

Chłodna powierzchowność kryje duszę płomiennie zawziętego marzyciela. Wright lata na swym nowym aeroplanie bez motoru, był już 10 minut w powietrzu podczas burzy (wiatr 18 mtr. na sekundę) i posługując się automatycznie działającem nowem urządzeniem, wisiał w powietrzu w zupełnym spokoju i równowadze bez żadnego wysiłku, przez dwie minuty.

Wiadomość ta wywołała w całej Europie, pośród lotników, niebywałą sensacyę.

Gdy w roku 1902 pisano, że Wright na swojej maszynie był już dwie minuty ponad ziemią, opinja uważała to za humbug amerykański, teraz wiadomość o nowym wynalazku budzi szalone nadzieje.

Lot bez motoru, zawisanie pod błękitem, w spokoju bez wysiłku, wierzyć się nie chce, a jednak nie ma wątpliwości, to fakt o niezmiernej doniosłości dla lotnictwa.

Nie było jeszcze dziedziny pracy technicznej, w którejby w krótkim czasie rozwinął się tak nadzwyczajny postęp; porywająca siła marzenia o locie człowieka na podobieństwo ptaków potęguje twórczość ducha ludzkiego.

Tu leży pewność, że człowiek opanuje żywioł podbłękitny, dokona podboju atmosfery.

(„Wiedza i Postęp").

Rozmaitości

Dramatyczna scena w sądzie. Długotrwały spór o rzekome pretensje spadkowe prowadzi „lekarz"-hypnotyzer Zakrzewski z Poznania, pozasłużbowy austryjacki urzędnik kolejowy. Matka jego wyszła za mąż za jakiegoś hr. Smolińskiego i tem samem została rzekomo spadkobierczynią dóbr, należących do klasztoru Filipinów w Gostyniu. Z prawa do spadku tego zrezygnowała jednak na mocy aktu notarjalnego już w roku 1888. Mimo to Zakrzewski dochodził swych praw spadkowych, lecz przydzielony mu obrońca p. adw. Trąmpczyński uważał starania jego według stanu rzeczy za bezcelowe, wobec czego sąd odmówił mu świadectwa ubóstwa. Zakrzewski oświadczeniem swego obrońcy czuł się poszkodowany i posądził go o sfałszowanie dokumentu. Adw. Trąmpczyński pociągnął go wobec tego do odpowiedzialności za obelgę. Ponieważ oskarżony już raz na termin się nie stawił, wzięto go do aresztu.

Oskarżony zaraz na wstępie rozpraw sądowych wielkie obawiał zdenerwowanie, przerywając przesłuchy raz po raz głośnymi wykrzyknikami na cześć cesarza niemieckiego „hurra, hurra". Pan Trąmpczyński, powołany na świadka, oświadczył, że uważa oskarżonego wobec całego zachowania się jego za niezupełnie poczytalnego. Przeciwko temu zastrzega się stanowczo oskarżony, gdyż sam jest „medykiem" i o jego wynalazkach mówić jeszcze będzie potomność. Przewodniczącemu z wielkim tylko trudem powiodło się uspokoić go.

Oskarżyciel wnosi o oddanie oskarżonego pod nadzór lekarza celem zbadania jego stanu umysłowego i o zatrzymanie go w tym celu w areszcie. Oskarżony uważa siebie za człowieka zupełnie normalnego i chce to udowodnić listem, pisanym do niego ongi przez arcybiskupa Stablewskiego. W końcu swych wywodów prosi o wypuszczenie go z aresztu ze względu na nadwątlone zdrowie. Sąd do prośby jego się wprawdzie zastosował, lecz uchwalił oddać go pod obserwację lekarską.

* * *

Nowy środek na raka wynalazł prof. Wassermann. Lecz dotychczas wypróbowano go tylko na myszach, a wątpliwem bardzo, czy będzie go można zastosować wobec ludzi.

Prof. Wassermann zauważył zupełnie przypadkowo,

że połączenie selenu i telluru leczą raka u myszy, jeżeli mieszaninę użyje się do zwalczania ran. Środek ten zadawany w krew natomiast nie skutkował, a myszy zdechły pod oznaksmi otrucia. Wykazało się też, że tkanki raka nie ucierpiały, bo krew nieznacznej ilości do nich dochodziła. Professor począł więc szperować za sposobem, któryby środek jego wniósł w tkanki raka. Po doświadzeniach z kilkuset wytworami okazała się nailepszą eozyna. Za jej pomocą osiągnięto zamiar. Po 6 krotnem zastrzyknięciu rany u myszy się goiły. Jeżeli rak rozprzestrzenił się za bardzo, to środek nie pomagał. Wyleczone myszy powtórnie nie zapadały.

Tak wypadły doświadczenia z zwierzętami. Nie dostarczono dotychczas żadnego dowodu. że można w ten sposób leczyć raka także u ludzi, bo nawet nie ma pewności, czy rak u zwierząt i ludzi jest jeden i ten sam. Pozatem pytanie nierozstrzygnięte, czy człowiek, zniósłby ów środek i jakie byłyby następstwa. A byłoby też jedno wcale niepożądane, bo eozyna skorę chorego zabarwiłaby na czerwono.

Na razie zatem doniosłe odkrycie nie może służyć cierpiącej ludzkości.

* * *

Bogaty żebrak. W Berlinie przy ul. Franciszka l. 6 mieszkał od 20 lat na trzeciem piętrze 62 letni Emanuel Frankfurter, człowiek — jak się zdawało — bardzo biedny. Mieszkał w jednym pokoju za 15 marek miesięcznie; do pokoju nikogo nie wpuszczał, sam sobie czyścił ubranie. Przez cały dzień spał, a wieczorem wychodził na miasto i pod pozorem sprzedawania drobiazgów żebrał. Nad ranem zachodził do nędznej kawiarni, gdzie pilnie przeglądał dzieniki, zajmując się szczególnie sprawozdaniami giełdowemi. W domu, w którym mieszkał zauważono, że dziwak odbiera często listy, między innymi z banków, ale na odnośne pytania otrzymywano gburowatą odpowiedź.

Onegdaj znaleziono Frankfurtera na ulicy bez przytomności. Gdy go sprowadzono na stację ratunkową skonstatowano śmierć wskutek udaru serca. Gdy trupa rozbierano, wypadły z kilkunastu kieszeni papiery wartościowe ogółem na 150 000 marek.

Demokrackie nowiny.

Piszymy terazki już rok 1912.

Ludzie chcieli gó przyjóńć godnie, tak jak inksze, to niekierzy lecieli do kościoła rzykać na Sylwestra, jeszczy inksi błozny stroili po ulicach a po oberżach i w chaupach tyż. Ale to wszycko beleco. Zbytki a błozny som dobre na wzmocniynie, ale nie śmią za tylo kosztować ani nikómu szkodzić. Same tyż nie pomogą, trza medykować a robić. A chtó jino rzyko, tyn wszyjsko robota a starość o byt lepszy ostowio Panu Bogu, a som pado, iże włosny łeb a włosne pazury mo jino do parady albo do roboty dlo panoczków a nie dlo siebie, hnet a hnet do branio premji za liziłapstwo i do jałmużny a nie do rynty, jako sie należy tymu, chtó przez całe 50 i wiynkszy roków na nia fedrowoł.

No, jo tam cierpistą nie je ani nie byda. Bo to sie wiy, iże to potómstwo cyntrowe, co je zwią cierpisty, nie śmią upominać sie o swoje prawa, jino chcą i radzą wszyjskim prosić a czekać cierpliwie łaski i smiłowanio panoczków, a nie chcom strejku, bo to niby padają: „Kochaj bliźniygó, — co tobie nie miło, tegó drugiymu nie czyń", ale nijak nie spamiyntają sie, iże to przykozanie je dlo wszyjskich, dlo robotników a dlo kapitalistów tyż. Nie spamiyntają sie nijak, iże wołać a molestować o lepszy dyng nie je krzywdą dlo kapitalistów ani nijaką ale nie wołać, to je krzywda prawie wiynkszo swoim braciom inkszym robotnikom a swoim dzieckom a kobiytom, no, i sobie samymu tyż niemało. Ale ich ksiynżoszki cyntrowe uczom, iże Bóg tak chce. To hnet óni mają pono inkszygó Boga, bo tyn rychtyczny, Sprawiedliwy, z takich krzywdzicieli włosny rodziny i braci porobi chyba same smarżónki piekielne. To powiydzcie terazki tym ciymnym kamratom jeszcze przed wyborami, możno sie kierzy namyślą, czy oddać głos na cyntrowca.

Bo to Cyntrum, co to za Bilowa do kupy s nami a s Polokami narodowcami było sztacerefajndem, co to sie zwie wróg wewnyntrzny futterlandu, to Cyntrum terazki przez cołkie 5 roków chmotrowało sie i jeszczy pije bruderszaft ónymi z nojlepszym i podporami państwa a włosnyj kabzy, s tymi junkrami a baronami, s tymi, o chtórych napisano jesta, iże nie orzą, nie siejom, a jednak żyją. A óni nie żyją ale tuczą sie potem robotnika.

A co te junkry saskie wkrótce wymedykowały piyknygó na dzieciątko robotnikom? Takie chcą prawo, coby wszyjskich robotników, chtórzy nie chcą panoczkom robić darmo, dać na sztacwalda, tych, chtórzy ich odmowiają od roboty po dziadosku opłacanyj, zaśperować razym, zaś tych, co kludzom inkszych do strejku, nojlepszy powiesić, ale iże to nie idzie, wiync padajom jino, coby tym dać wycug na zómkach sądowych aż do końca życio. Przez to takich, co państwo ś nich żyje, koraliby srogo za nic, ale zbrodnie rostmaitych darmozjodów karałoby sie łagodnie albo wcale nie. Panoczkom, zaś, którzy pokradli piyniądze i inksze popełnili zbrodnie, daje sie dobre posady, a pikelhaubom, chtórzy porąbali spokojnych obywateli, daje się nadgrody a pochwały publiczne.

Ano, tak musi być, kaj rzónd trzymo sztanga s panoczkami a panoczki padają: państwo to my. I minister Vitztuu mo tylo „wica", iże obiycuje poparcie takiymu prawu piydknymu! Niech sie radujom, tym lepszy. 12 stycznia hnet, a kiejby pieron na pieronie jechoł, to psim naszym obowiązkiem zachodzić, aby czorno-modre farby zmalować na czerwono.

Tagech se medykowoł na Sylwestra, a nieskorzy chciołech podziwać sie, co tyż niekierzy uloli se z ołowiu a cyny, bo na Andrzejki nie miołech czasu. Wziónech se wiync cepelina, dobry nowy telefon bez drutu wraziłech w kabza, radjum do prześwietlanio tyż i pojechołech w świat. Ale cepelin mi sie spolół, o ech musioł pożyczyć francuski aeroplan, chtóry wdycki lepszy. Ale bo tyż francuzy majom wdycki i mieli wiynkszy filipa jak niemieckie michle.

Skisz tegó widziołech tyż, jak uloł sie Francji żyzny kans Maroka, a niymcom jino nowo targaczka skisz koloniji, a nowe wydatki tyż na tyn nowy nabytek w Kongo. Mogą tam robić sztuczne kamiynie a cegły pioskowe na nagrobki do tych murzynów, co ich pomordują. Ale tyż mogą sie pocieszyć, iże jino chcieli brać cudzo włosność świynto, jino im sie nie udało, zaś biydno arcychrześcijańsko Hiszpanijo musi sie jeszczy o nią bić. Katolickie cyntrum tyż bydzie głosowało w parlamyncie za odbiyraniem ziymi, miynio a życio murzynom a piyniędzy biednym rorobotnikom jako podatków na takie miłosierne uczynki co do duszy i co do ciała.

Chinom uloła się nowo wojna s państwami konstytucyjnymi o lepszo konstytucyjo, jak te państwa mają same.

Na podoba tegó w Persyji, kaj Moskwa chce zaprowodzać porządek, bo to terazki wszędzie mają być carskie rzóndy z łapówkami, nahajami a szubiynicami.

Turcyji tyż się uloło uznanie nauki norodów pono cywilzowanych: „Bracie, co twoje to moje, a co mojegó, tobie wara od tegó!"

Dalej widziołech, jak uloło sie:

Austro-Węgrom: nowe apetyty na Sandżak nowobazarski.

Prusom: nowy ślub a nowy prorok w rodzinie panującyj z boży łaski.

Ziymiom polskim: miyni albo wiyknszy głośne kiwanie palcem w bucie na nowe bezprawia.

Górnymu Sląskowi: dziwy wyborcze.

Gustlik Beskuryjo.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott z Zabrza.

Nr. 2. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej".

Katowice, sobota, dnia 13 stycznia 1912.

AUGUST STRUDBERG.

Rosjanin na wygnaniu.

Nowela.

Słoneczny letni dzień rozpostarł się nad jeziorem genewskiem, ogrzewając siarczyście wzgórza Ouchy i Lausanny. Paweł Petrowicz, student uniwersytetu w Moskwie, a dziś z łaski cara ogrodnik z Ouchy, ciągnął z trudem swój wózek w stronę Avenue de la Gare obładowany różami, sałatą i karczochami. Dziś był w Lausannie jarmark.

Pot spływał mu z czoła na oczy, osiadając na gęstych rzęsach powiek; ze skroni zlewał się ciurkiem, okraszając perliście oblicze przesłonione do połowy jasno czerwnymi zwojami brody. Róże poczęły więdnąć z nadmiernego upału słonecznego, sałata kurczyła się do środka swymi listkami i broniła się przed skwarem. Niebawem stanął, zdjął niebieską bluzę i ostrożnie przesłonił nią wózek z jarzynami a otarłszy pot z czoła, ruszył dalej.

Gdy się zbliżał do Avenue de Theatre, słońce poczęło przypiekać coraz to natarczywiej. Tu znów odpoczął, zatopił wzrok w jezioro genewskie, następnie przeniósł go na pokryty niedawno spadłym śniegiem szczyt Deut d' Ouchy i, gdy patrzył się weń, zdało mu się, że się ochłodził i nałykał zimnego powietrza i że teraz może się puścić w dalszą drogę.

Gdy tak stał, trzymając czapkę w ręce i wpatrywał się w szczyt, przeszła obok niego jakaś wyborna dama z młodym mężczyzną.

— Popatrz się, rosjanin!...

Młody pan przystanął i przyglądnął się Pawłowi.

— Z przyjemnością popatrzyłbym dłużej na bohatera walki z caratem — rzekł — ale czas przecie...

Prawdę powiedziawszy, to teraz twarz Pawła przybrała odmienne rysy, w oczach przyglądających się. Wyglądała mianowicie jak babka przydrożna, gdy się przerwie tejże łodygę, jak to zazwyczaj czynią bawiące się dzieci... Nie było w niej tych jednostronnych skupień mięśni, jakie widział na obrazkach łycka, natomiast wszystkie siły zdawały się być w związku z jednem wielkiem ogniwem galwanicznem.

Paweł czuł to — nałożył czapkę na głowę i pomknął dalej. Z placu Saint Francois zjechał na ulicę Saint Francois, którą z powodu natłoku jarmarcznego zamknięto dla większych wozów ciężarowych; zapełnione były ulice tłumem tak, że nawet zielonkarki z kramami musiały się rozłożyć tuż obok trotuaru. Gdy ujrzały Pawła, postanowiły mu... czemprędzej zamknąć przejście. Paweł jednak postanowił wytłomaczyć im krótko, że nie jest bydlęciem, żeby objeżdżał naokoło i ma prawo tędy przejechać. Nasionkarki i zielonkarki wezwały... policjanta! Ten oczywiście źle usposobiony do „rosyjskiego anarchisty", wydał sąd na niekorzyść biednego emigranta tułacza, wskutek czego Paweł musiał zawrócić na wyżynę, przejechał cały plac Saint Francois następnie Descent de Pepinet.

Bynajmniej nie czuł się tem upokorzonym, ani też zdziwionym. Już oddawna przyzwyczaił się do podobnych „przyjaźnych" stosunków; wiedział, że ci konkurenci wszelkimi sposoby starają się uniemożliwiać sobie we wzajemnych interesach.

Gdy zjechał na Rue Central, gdzie mu wskazano należne miejsce obok księgarni Benda, odkrył kwiaty i jarzyny; założył hoiobie, zdjął bluzę, która wraz z czarnemi spodniami nadawała mu pozory wyrobnika szwajcarskiego, i oczekiwał na kupujących...

Południowe dnie lata nad jeziorem genewskim bynajmniej nie należą do przyjemnych; odczuwał to dobrze Paweł, który otoczony tłumem jarmarcznym, wystawiony na pociski zazdrosnych konkurentów szwajcarskich, którzy na tej samej wyżynie nie mogli „nijak" stanąć z nim, mianowicie w hodowli róż — stał na skraju trotuaru pochyło ciągnącej się ulicy asfaltowej; pod jego wózkiem zlewała się woda do rynsztoka; w miarę jak się wpatrywał w ten krzyczący, łoskotliwy i brudny tłum w roboczych szatach, z jego narzędziami, wózkami, wiozącymi wszelkiego rodzaju materjały, poczęło mu być smutno nad wyraz; myśli odlatywały od niego i same poczęły pomykac gdzieś daleko, lecieć tam w daleką krainę z nienawistną mu a ukochaną zarazem Moskwą. Pewnie, że Paweł nie myślał o dzwonach kościelnych i tym podobnych rzeczach, które obecnie przerodziły się w jego oczach i uszach w jakiś dziki rozgwar... Zapach jego cudnych róż, które sam nazwał „różami wolności". pomieszawszy się z wyziewami czosnku i cebuli sąsiadek, usposabiał go radło do tego stopnia, że tęsknota jego przeniosła go zupełnie myślą do rosnących na północy białych grusz ojczystych i dzikich rosyjskich róż — „róż niewoli".

Stojący opodal nieduży szwajcarski kościołek, skropiony czerwono-zielonkawą farbą, zdał mu się niby pozłocistym minaretem; nie dostrzegał również różnicy, jaka zachodziła w strojach świątecznie ubranego rosyjskiego m u ż y k a, a strojem szwajcarskich wieśniaczek odzianych w złoto czerwone ubrania, nie wiedzieć dlaczego: czy dlatego, że dziś uroczystość świąteczna, czy też jak zwyczajnie kobiety chcą się nacieszyć tym strojem w piękny letni dzień, a może raczej przypodobać mężczyznom niezgrabnym, jak wogóle wszyscy szwajcarowie?

— To jest oznaką ludzi słabych — myślał Paweł — gdyż ani dzwony kościelne, ani stroje nie przycznią się do ich szczęścia; i tęsknił dalej. — Precz stąd, gdzie wiosna o połowę wcześniej się jawi, aniżeli tam, na mojej Północy surowej! Precz stąd, od tej ulicy, od tego kanału, od tego tłumu głupiego, a dlań tak nienawistnego; precz od tych ludzi żywych trupów, od tych zgniłych serc, od tych przestarzałych myśli; precz od tych cudzoziemców, którzy po to tutaj zjechali, by z balkonów pierwszego piętra oglądać cudną przyrodę, niby jaką premjerę teatralną...

Wśród tych i takich rozmyślań nadeszła jakaś nabywczyni i spytała:

— Ile za te karczochy?

— Dwadzieścia pięć centimów, moja pani — odrzekł Paweł.

Pani obrzucała łuski, jak gdyby chciała skonstatować, czy przypadkiem nie są sfałszowane, zrobiła niemiłosieraie kwaśną minę, jakby chciała powiedzieć: za dużo i poszła sobie dalej.

— Ciekawa kwoka! „za dużo"! — szepnął do siebie w duchu Paweł. Nic nie wie o stosunkach na wsi, a mówi że drogie; gdybyś się zechciała nieco rozglądnąć, tobyś dowiedziała się bardzo ciekawych rzeczy, a przedewszystkiem; ile to p r a c y kosztuje jedna róża; otóż: musi się zakupić nawozu, który również jest drogi, trzeba zasiać siano, a gdy wykiełkuje w roślinkę delikatną, że się jej dotknąć człek boi, trzeba ją bardzo starannie pielęgnować, podlewać, plewić z zarostów, gdy przyjdzie zima, okryć ją należycie z tej i z tamtej strony, żeby z początkiem wiosny znów mo gła odżyć; trzeba poczekać rok — dwa — czyli dwa razy po trzysta sześćdziesiąt sześć dni, zanim się pokryje kwieciem! Gdyby to wszystko ta głupia szwajcarska kwoka wiedziała, toby nie powiedziała, że dwadzieścia pięć centimów to „za drogo", ale ponieważ o całej tej pracy mozolnej a niewdzięcznej choć pięknej i szlachetnej wie łajno, więc trudno od tej oślicy baalamskiej wymagać zrozumienia. Wiem także na domiar, że to nauczycielka! Nauczycielka, która pobiera na godzinę trzy franki od osoby, która się chce ćwiczyć w języku „paryskim" jak gdyby był „język paryski". Siedzi sobie w ciepłym pokoju, rozprawia o pogodzie i operetce, a gdy godzina minie — bierze trzy franki i mówi litośnie: au revoir! z tem przekonaniem naturalnie, że za godzinę trzy franki, to „bardzo" mało!

Naprzeciw niego stało w wądole dwóch pracowników gazowanych.

— Tamci — mówił Paweł do siebie dalej — otrzymują za godzinę trzydzieści centimów, czyli akurat dziesięć razy mniej od ciebie, co sobie jak caryca siedzisz w wygodnym fotelu i bajdurzysz o pogodzie i operetce. Zdaje mi się, w tym wywróconym na opak świecie: praca robocza i płaca stoją do siebie w odwrotnym stosunku! Tak jest! Pomimo to „ekonomista narodowy" tej bolączki z własnej należnej mu strony nie oświetlił, gdyby zaś na coś podobnego się odważył, toby mu — psia kość — powiedziano, że on jest warjatem, nie „ekonomistą narodowym"...

Takie oto, powiedzmy, brzydkie myśli rodziły się w bujnej duszy Pawła Petrowicza wśród wspaniałego południa letniego. Paweł nie podziwiał go, raczej — powiedzmy — zapomniał o tej chwili i o pięknem południu...

Mijały godziny. Słońce przyskwierało z góry, parzyło żarem dachy domów i ulice i ogrzewało je jak wielki piec chlebowy. Tłum się nieco przerzedził — on jednak stał dalej ze swymi otaczającymi go konkurentami; wiedział, że koło samego południa jest najlepszy targ. Albowiem teraz poczęły się zjawiać t. zw. przystojne i bogate damy, które przed pół godziną podniosły się z miękutkiego łóżeczka i — pożal się Boże! — postanowiły zadać sobie „trud", t. j. przejść się na rynek i zakupić kilka róż czy bukietów kwietnych dla... no, to już zostanie sekretem! Gdyż co do jarzyn potrzebnych do obiadu — to służące jeszcze z rana z tem się załatwiły...

Paweł sprzedał trzy wazoniki z różami za cztery franki, pozostała mu jeszcze jedna żółta z odcieniem herbacianej barwy. Była to tak zwana Celine Forestier, przypominająca kolorem w całości żółte winogrona w Villeneuve, naturalnie, jeżeli jest gatunku rosłego i skorego do ozielenienia się. Był to pięcioletni szczepek. Paweł hodował ją pięć lat, jakby jakie ukochane dziecię. Z drżącą ręką dokonywał na niej wszelkiej operacji, zanim to z dzikiej gałązki, po którą podróżował aż dwie mile, wychował ten piękny szczepek. On jej obwiązywał rany, obmywał, pielęgnował tę latorośl, gdyby jakiego chorego człowieka; ocieniał i podlewał; kurz zmiatał z jej listków; gdy nadeszła zima, zabrał ją do izby, wskutek czego musiał sobie w jej obecności odmówić palenia fajki! Pięć lat ją hodował i ona do niego należała, ona była prawdziwym członkiem rodziny. On pierwszy dostrzegł wyłaniające się szlachetne kwiaty szczepku; gdy rozwijał jej topasowe listeczki; dzieci krzyczały z radości, a żona ucałowała go, tak pięknymi były pączki małe, jak pstre wóreczki jego dzieci... Teraz musi ją sprzedać, tu na ulicy Lozanny, obok kanału! On ją musi sprzedać, gdyż dziewczętom trzeba sprawić buciki, by i one w towarzystwie rodziców mogły się przejść po południu wśród wspaniałego dnia letniego.

Wtem nadszedł jakiś anglik i zapytał:

— Ile kosztuje?

— Sześć franków, Sir!

Anglik dobył pięć franków i rzekł:

— Wystarczy?

Widać, że był przyzwyczajony się targować i znał swoich ludzi...

— Sześć franków — powtórzył Paweł.

— To niemożliwe — odpowiedział spokojnie anglik i poszedł...

Zbliżył się amerykanin.

— Ile pan chce za tę malmeronkę?

— Piętnaście franków! — odrzekł Paweł.

— Proszę — rzekł miljoner i zapłacił.

Pawłowi zdało się, że mu się pieniądze palą w ręce: wkrótce też postanowił sobie w duchu nową tezę ekonomiczno-narodową: „sądzę, że wartość towaru zależy od ceny, a nie cena od towaru!"

Śmiał się...

Przeszedł się kilka kroków po trotuarze; podszedł do księgarni. Przerzucił oczyma kilka książek oprawnych w nowe okładki i zaopatrzonych w modne tytuły, których treść jednak stara była jak świat...

Na jednej nareszcie zatrzymał dłużej wzrok; była to książka wydana u jednego z najprzyzwoitszych wydawców w Niemczech, mianowicie Brokhausa w Lipsku, pod głośnym w całym świecie tytułem: „Co robić trzeba?" — Historja człowieka przez Czernyszewskiego.

Nie czekał dłużej; zawrócił na swoje miejsce, zwinął kram, który mu pozostał niesprzedany i powlókł się z powrotem ulicą. Gdy stanął na placu Saint Francois, rozglądał się po szyldach; dojechawszy zaś do katedry, zatrzymał się przed jednym ze sklepów szewskich. Twarz jego poczęła przybierać ten sam wyraz, jakim się pokryła niedawno na Avenue de Theatre. Zakupił dwie pary butów dla dzieci, następnie przeszedł się jeszcze do bazaru i wybrał... kilka zabawek. Skoro się tylko uporał ze swymi zakupami, corychlej wrócił starą drogą w stronę Ouchy...

Rozmaitości

„Król rozrzutników". W zakładzie dla obłąkanych w Genewie zmarł „król rozrzutników". Był to Anglik, nazwiskiem Benzon, a „tytuł" swój zdobył w ten sposób, że w przeciągu 3 lat potrafił wydać 5 milionów marek. Cierpiał na prawdziwą manię rozrzucania pieniędzy, a mania ta doszła do szczytu podczas uroczystości jubileuszu zmarłej królowej angielskiej Wiktorji, podczas których Benzon wydał olbrzymie sumy. Gdy jego miliony zaczęły się wyczerpywać napisał książkę god tytułem: „Sztuka wydawania pieniędzy". Należał on do przyjaciół zmarłego króla angielskiego Edwarda; od 2 lat siedział w zakładzie dla obłąkanych, gdzie wciąż odgrywał rolę milionera i obdzielał służbę czekami na banki, w których kiedyś miał pieniądze.

* * *

Mierzenie czasu. Zajmujący artykuł o podziale czasu ogłosił profesor Hans Dominik. Gdy odnośnie do naszych miar, wag i monet stosujemy system dziesiątkowy, w podziale czasu panuje ciągle jeszcze starodawna dwunastka. Dzień ma 12 godzin a doba 24. Wogóle w naszym podziale czasu mamy pewne rozdwojenie, gdyż musimy

uwzględniać dwie naturalne miary czasu, które niezupełnie się zgadzają z sobą, a mianowicie rok słoneczny i dzień słoneczny. Nasze codzienne zajęcia tak są związane ze stanem słońca, że jako miarę czasu przyjmujemy mimowoli porę od jednego południa do drugiego, to jest, gdy słońce znajduje się na zenicie. W ten sposób otrzymujemy dzień, jako miarę czasu. Dalej uwzględniamy każdorazowe położenie ziemi wobec słońca, od tego bowiem zależą pory roku. Gdybyśmy wedle systemu dekad zaprowadzili rok o 300 dniach, to powstałyby rychło niewygody. Już po 6 takich krótszych latach dzień 24 grudnia przypadłby na lato, a po dalszych 6 latach znowu na zimę. Używamy więc dwóch naturalnych miar czasu, to jest roku słonecznego, czyli pory, w której ziemia raz jeden obiega drogę naokoło słońca, tudzież dnia słonecznego, czyli średniego czasu, który upływa pomiędzy dwoma najwyższymi punktami słońca, lub jego przejściami przez południki. Przyjąwszy miarę średniego dnia słoucznego, możemy jednakże zapytać, czy dalszy podział na godziny i minuty jest konieczny i czy nie jest możliwy inny, dogodniejszy podział dnia.

W sprawie tej zabrał głos J. C. Barolin i zaproponował dzień 100-godzinny. Jeżeli nasz dzień (dobę) 24-godzinny podzielimy na kwadranse, otrzymamy liczbę 96. Otóż kwadrans jest miarą czasu, która w praktyce odgrywa znaczną rolę. Barolin atoli wtedy proponuje, ażeby dobę podzielić na 100 równych części. Taki nowy kwadrans miałby 14·4 dzisiejszej minuty, odróżniałby się więc niewiele od dotychczasowego kwadransa. W ten sposób otrzymalibyśmy podział dziesiętny dnia. Dla nowego kwadransa przyjmuje Barolin arabską nazwę „talit". Obok „talita" czyli jednej setnej dnia (doby) istniałaby jedna dziesiąta doby, wynosząca 2·4 dzisiejszej godziny. Trzymając się analogji mielibyśmy „decydzień", „centidzień", „milidzień". Barolin trzyma się jednakże nazw arabskich i podaje następującą, nieco dziwaczną tabelkę:

0·1	dnia	1	Tani
0·01	„	1	Talit
0·001	„	1	Rabe
0·0001	„	1	Kamis
0·00001	„	1	Sadis
0·000001	„	1	Sabe
0·0000001	„	1	Tanim
0·00000001	„	1	Tase
0·000000001	„	1	Asir

Mniejsza o nazwy. Pomyślmy teraz, jakby wyglądał zegar wedle tego systemu. Otóż miałby dwie wskazówki. Mniejsza w ciągu 24 godzin obiegałaby raz jeden tarczę zegarową, podzieloną na 100 części (obecnie 60). Wielka wskazówka w przeciągu nowego kwadransa (14·4 min.) raz naokoło tarczy, a więc przeszło 4 razy tyle, co obecna wskazówka minutowa. Jedna setna nowego kwadransa, to jest 8·64 dzisiejszej sekundy, byłaby najmniejszą podziałką na tarczy. Odpowiednio do dzisiejszej wskazówki sekundowej możnaby na nowym zegarze umieścić trzecią wskazówkę na osobnej tarczy. Ta wskazówka w przeciągu jednak 1 „kamisu", to jest w ciągu 8·64 częściach dzisiejszej sekundy obiegłaby raz swoją tarczę. Można tę małą tarczę podzielić na 100 części i otrzymać „sabę", czyli 0·008 sekundy. Ale to już w codziennem życiu jest niepotrzebne.

* * *

Pojedynek malców. Z Detmold donoszą, że pomiędzy dwoma 17-letnimi uczniami odbył się pojedynek na pistolety z powodu pewnej 13-letniej dziewczyny. Jeden z nich został ciężko raniony wystrzłem w piersi.

* * *

Masowa fabrykacja doktorów. W jednem z małych miasteczek bułgarskich znaleziono pieczęć uniwersytetu heidelberskiego, przy pomocy której działy się różne nadużycia. Już poprzednio zwracało uwagę, jak wielu bułgarów pisze się doktorami tego uniwersytetu. Rząd bułgarski zwrócił się do senatu wszechnicy z prośbą o wykaz nazwisk jego poddanych, którzy w Heidelbergu otrzymali doktorat. Na mocy tego wykazu stwierdzono, że wiele dyplomów zostało sfałszowanych. Wykrycie pieczęci objaśnia, w jaki sposób samozwańcy dopuszczali się szalbierstwa. Pieczęć zabrało ministerstwo sprawiedliwości. Uniwersytet heidelberski wysłał do Sofji jednego ze swych urzędników dla zbadania sprawy.

* * *

Porwana prezydentowa. Niesłychaną sensację wśród ludności Meksyku wywołało tajemnicze zniknięcie żony prezydenta Rzeczypospolitej meksykańskiej, Madery. Niewiadomo jeszcze, czy było to porwanie w celach zemsty, czy też uplanowana ucieczka. Szczegóły tego zagadkowego zdarzenia są następujące:

W wigilję Bożego Narodzenia żona prezydenta udała się na nabożeństwo. Mąż jej, Madero, pozostał w domu. Pod koniec mszy do prezydentowej zbliżył się mężczyzna w ubraniu oficerskiem i wręczył jej kartkę, na której, jak mówią towarzyszące prezydentowej osoby, było napisanych tylko kilka słów. przeczytawszy kartkę, donna Amelja poprosiła otoczenie, aby się nie niepokoiło i prędko wyszła z kościoła. Tam podjechał samochód, do którego żona prezydenta wsiadła, a z nią towarzyszący jej oficer. Nie zważając na rozkaz pozostania do końca nabożeństwa, dwie osoby ze świty donny Józefy wyszły za nią z kościoła i widziały jak samochód biegł szaloną szybkością. Wkrótce straciły go z oczu, ale mimo to podążyły do pałacu. Okazało się, że nikt po donnę Józefę samochodu nie przysłał i że żaden samochód do pałacu nie przyjechał. Zawiadomiono natychmiast prezydenta Maderę, który w otoczeniu przyjaciół udał się w pogoń. Dotychczas na ślad prezydentowej nie natrafiono. Małżonka prezydenta Madery, donna Józefa Amalja, piękna hiszpanka, ma lat 22 do 23. Poślubiła prezydenta, kiedy był jeszcze zwyczajnym obywatelem. Aż do tej chwili pożycie ich było szczęśliwe. Istnieje przypuszczenie, że napad urządziła przez zemstę partja zwolenników poprzedniego prezydenta Diaza.

* * *

Powodzie w Niemczech zachodnich. Mozela i rzeki dopływowe silnie wzrastają; częściowo wystąpiły już z brzegów. Także Saara wzrasta. W Merzig zalany park miejski, w pobliżu Bettingen dosięga woda toru kolejowego Saarbrücken-Trewir. Pod Hillbringen zatonął statek ze żwirem.

* * *

Równej płacy za równą pracę. Z tem hasłem walczyły nauczycielki amerykańskie w Nowym Jorku od lat, żądając podwyższenia płac swych do normy płac męzkich nauczycieli. W Ameryce pracuje ogromna liczba nauczycielek we wszystkich szkołach, a ludność z nich jest ogromnie zadowoloną. Szczególnie w szkołach ludowych pracuje ich cała masa. Płaca ich wynosiła w 1 roku 600 dolarów czyli 2550 mk., a dopiero w 4 roku 720 dol. t. j. 3060 mk., które nauczyciele dostawali już w 1 roku. Kilkakrotnie tedy nauczycielki przypuszczały szturm do odpowiednich czynników o zrównanie płac, lecz słuszne ich żądania natrafiły na opór władz. W końcu jednak zwyciężają i niedawno doczekały się ustawowego uregulowania płacy w duchu żądań swoich. Zyskują ogromnie wiele, gdyż płaca ich skutkiem tego podskoczyła o znaczny procent.

* * *

Wybuch żelaznego basenu. W Mottingham eksplodował żelazny basen, zawierający miljon metrów kubicznych gazu. Olbrzymi basen został odrzucony na odległość 30 metrów, przyczem uderzył w drugi basen, ale go nie rozbił. Kawały żelaza, rozlatujące się po całej okolicy, uszkodziły wiele domów i zraniły dużo osób. Równocześnie pękła ściana podmurowania, na którem spoczywał basen gazowy i nagle olbrzymim strumieniem wypłynęła woda,

zalewając całą ulicę i wszystkie domy. Ludność z pospiechem zaczęła uciekać przed powodzią. Pewna dziewczyna utonęła we falach. Prawie wszystkie domy zostały mniej lub więcej uszkodzone. Na domiar nieszczęścia zaczęło się palić wiele domów. Mieszkańcy nocować musieli po części na ulicach, dalej położonych, w śniegu, pozbawieni ubrań, których w pospiechu zabrać nie mogli.

* * *

Wąż w wagonie kolejowym. Podczas jazdy na torze kolejowym Nysa Brzeg zauważyli podróżni przedziału III klasy, że z kieszeni pattota pewnego podróżnego wydobył się przeszło trzyćwierci metra długi wąż wodny i wślizgnął się na ramię jego. Podróżni, w tem dwie panie, krzyknęli z przerażenia i tylko z trudem zdołał ich posiedzic.el węża uspokoić tłomaczeniem, że wąż wodny (Tropidonotus natrix — Ringelnatter) nie jest wcale jadowity. Podróżny ten szedł lasem niemodlińskim, napotkał śpiącego węża a obwinąwszy w chustkę do nosa. włożył do kieszeni. Ciepło panujące w wagonie obudziło węża z snu simowego.

Demokrackie nowiny.

Zima pierońsko. Przydałyby mi sie baranioki, ale by zaś ksiynżoszek Grelich a inksi padali, iże ku wom idzie wilk w owczyj skórze. Jagbych im na to pedzioł, coby wiedzieli, iże na niedźwiedzio, ani na skąsowo ani na inksze drogsze skóra niy mom, kiej oni, toby mie dali na sztacwalda, kiej Mieczkoskiygó, a nieskorzy zaś byłaby rewizyjo w rydachcyji „Robotniczy". Aleć wszyjskie burżuje, wdycki na nos wołają: „wilki drapiyżne w owczyj skórze", za to sami przebiyrają się wdycki inakszy, kiej idą na handel z bydłem wyborczym, to je s tymi nieoświyconymi wyborcami, co to nie znają swoich praw ludzkich, a obywatelskie ani im we śniku nie postoją w głowach.

Szlacheckie (jino niezbyt szlachetne) „prawdziwie ludowe" a „szczyrze katolickie" pismo „Katolik" i jegó ablegiery r'zą nom, iże u socjaldymokratów tyż są szlachcice. Kteryś beroklyta pisze o wyborach w jego „Smieciuszku", ale ta jego godka tako gupio, kiej tyn jego cyferblat na fotografiji, chtóro mu przylepili. Chcą tam tyż nawrocać kierygó Ignaca socjolika, ale by s nami kiepsko stoło, kejby choć co setny z naszych mioł mieć tako ciymno pałyta, „kiej tyn „nawrócony" Ignac, a te śmiyszki od Smieciuszka. Ano — niedarmo podpisuje się tyn lsny jino „Mądrala z pod szybu"; bo to sie wiy, iże mądrala to sie zwiy taki, co udaje tylko móndrygó, ale rychtycznie je tak mądry, jak Salamonowe galoty. Pado „Rydachcyjo" tymu Ignacowi o szlachcie socjalistycznyj. Dobrze, ale to ludzie szlachetni sercem a duszą, prawi szlachcice, a nie takie se szlachetki, co jino myślą, iże óni nojlepsi a skisz tego inksi muszą na nich robić. Prawym ludziom my wdycki przajymy, my jino na takich szlachciców po sprawiedliwymu pomstujem, co sie miynią nojniższymi sługami tronu a nojwyższymi panami ludu. S takimi precz!

Norodowce czczą niby Kościuszka, ale jino słowami a nie czynami. Bo nie pamiyntajom, iże tyn prawy szlachcic bół republikaninem s przekonanio, nie ciyrpioł tyranów a umiłowoł lud poddany. Ale kadzidła mu polić nie kosztuje wiela, za to czynić kiej on to trudniej. Takie małe duchy s patrjotyzmem w gambie, po lekku w kabzie, szlachta pospolito z urodzynio jino a tych, co ją naśladujóm jino kiej afy, przykłodać do Kościuszka, prawygó szlachcica, nie jino z urodzynio, to nie lza. — Niech sie wiync redachtory bytońskie na to spamiyntajóm, a można uznajom, iże nasi szlachcice-demokraty, to podobnie prawe chopy, co naczelnik, choć miynij sławne. A można i nie uznajóm, ale co sie tam wadzić s takimi piórokludami, co są błogosławiyni jako ubodzy w duchu.

Ale dzieją sie jeszczy dziwy na tym świecie. Hakata piznół strach o mandaty, to nauczyła sie rzóndzić po polsku do wyborców, a „Oberschlesischer Kurier" zamieścioł cały list w tym zakozanym jynzyku, podpisany Sk.... Zaczyno sie tak: „Co sie różni od Bebla a co sie różni od Napieralskiego?!" Tako zagodka wymedykowoł se na Nowy Rok kieryś potworek, polski niymiec, bo pisze, iże mo jynzyk polski a serce niymieckie, i ónaczy po tymu. Do popukanio ś nim. A zaś pisze, iże Chrystus jino samym apostołom a Koppowi kozoł nauczać norody, a nie rydachtorom. Ale kaj to stoi, tegó nie pado, a czy Chrystus choć pomyśloł o nauczaniu przez tako lagramyncina, kiej tyn isny, co pisze takie klachy, o tym ón tyż nie pouczo. Za to „Ob. Kur." wiy, iże jego czytelnicy katoliki bydą se myśleli, co wybiyrac posłów je tylo, co grać w karty, w zechcyka, szkata albo psa, bo im zapowiado na 12 stycznia: „Centrum ist Trumpf!" A niech se triumfujóm, ale tryjumfować nie bydą, bo ślyjzą na psa.

Smiysznie szkli tyż Cyntrum w swoji odezwie polskiyj. Ta partyjo, co walczy pono za prowda, pisze, iże socjalistyczny rzónd we Francji pokrod kościoły, ale ile ich prawie zabroł rzónd pruski, chtórymu cyntrum służy wiernie, tegó nie pado. Nie padają tyż, ile tyn rzónd kościołów protestanckich funduje co rok dlo kolonistów w ziymiach katolicko-polskich. Cyganióm, iże socjalistyczny (?) rzónd francuski nie pozwolo na nauka religji w narzeczach francuskich, ale sami chwolą sie, iże rzónd pruski, u chtórygo żłobu źrą, nie łaskow na jich justicrata Marksa, iże tynże żądoł nauki religji w polskim jynzyku, a milczóm o tym, iże ich ksiynżulkowie s Koppem na czele, sami nie mogą po polsku, a choć mogą, to i tak dziotki płacącycych potulnych owieczek polskich uczą religji po niymiecku, a giermanizują je. Takie faryzeuszostwo! Fuj! A nojpiykniejszo, kiej sami wymedykowali se pytanie: Po jakiymu cyntrum nic jeszczy nie zróbiyło dlo polskiygo ludu? a odpowiadają se sami: bo wszycko zoleży od lantaku, a tam je jino 104 centrowców, 15 poloków a 324 „wrogów!" Wiync do jakiygó pieróna kandygó wos wybierać, kiej eście słabi? Przymilają się, padajóm, iże junkry wrogowie,e a poloki swoi! Ale to nie wadzi, iże odezwa je przeciw Kołu Polskiemu, a cyntrowcy robią kompromisy a polityka z junkrami-„wrogami". A po jakiymu naszo partyjo mo być wrogą ludowi polskiymu, to już tajymnica cyntrowców. Socjaldymokraci wdycki głosowali przeciw wszyjskim prawom wyjątkowym, a wdycki za sprawiedliwościóm, ale cyntrum niezawsze. A iże podatki na kolonije, na flota, na wojoków i inksze nie podobają się nawet ludowi niymieckiymu, to sie tyż wiy. Ale cyntrum samo chwali sie a wadzi, iże je sztactroj a kajzertroj, to tyż musi nakładać ludowi wiynksze ciynżary. Państwo musi być wielkie, choćby inkszym kradło ziymia a życie i wolność, rodzina koronowano z bożyj łaski tyż chce żyć dobrze, a bejamtry tyż, a junkry i inksze panoczki nie miałyby pono na rostmaite wina a ostrygi, kiejby mieli se sami płacić na takie zbytki, i kiejby lud mioł kans chleba nieco wiynkszy a kiełbasy dóń tyż hnet a hnet, a uieco lepsze i cieplejsze obleczynie tyż.

I takie panoczki, cyntrum a inksze burżuje, są tylo byldowane a nie wstydzą się szklić i bez proszynio wciskać ludowi swoje kandydatury poselskie!

Doczkejcie jino, panoczki, w piónteк odpowiymy wom na waszo odezwa. Uznali my downo, co są wasze obiecki pod niecki.

Towarzysze! Do roboty, aże zowiasy bydą trzeszczały. Już nie czas na to, coby wadzić sie jeszcze długo z burżujami, pobijmy ich lepszy naszymi kartkami wyborczymi!

Terazki trza sie spichać z robotą, coby wybory pochróniły blank ta buda w Berlinie, co sie zwiy parlamynt.

Chciołech wos jeszczy prosić piyknie, cobyście na mnie welowali, ale tak po gibku już nie lża postawić moji kandydatury. Wiyns jino s wami społem życz:

Niech zwyciężą nasi kandydaci! Niech żyją nasi posłowie!

Gustlik Beskuryjo.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott z Zabrza.

Nr. 3. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej".

Katowice, sobota, dnia 20 stycznia 1912.

Obrazek wyborczy.

Milcząco rozchodzili się dzisiaj z fabryki! Nie było rozchoworów, gwarów i przycinków, jak każdej soboty po wypłacie. Jakaś tajemnicza zmora uciskała te znękane myśli, jakiś bunt tajemniczy rozpierał ich piersi!

Pan S. kazał im się wszystkim zatrzymać i oświadczył, że pragnie być posłem do parlamentu i rozkazuje i żąda, aby w dniu wyborów jak jeden mąż zjawili się do urny i oddali swoje karty jego „świetnem" nazwiskiem wypełnione.

Wychodzili gromadnie, lecz cicho z tej fabryki, która była ich przytułkiem, ich chlebem, której życie swój sprzedawać musieli.

Życie? Sumienie? Duszę!!! Czy tylko pracę swoją — czy tylko siły dawali za marny grosz, za tych kilka srebrniaków, które im odbierano częściowo za byle jakąś drobnostkę — za byle jakieś przestępstwo.

Czy mieli prawo nazywać się ludźmi, czy tylko wtedy ich zaliczano do nich, kiedy tylko potrzeba zachodzi?

Chmurski ściskał w garści parę wypłaconych srebrniaków — tygodniowy zarobek — z którego obcięto mu za godziny nie odrobione, a kiedy się ośmielił zarzucić, że nie był w fabryce, bo musiał po lekarza biec do chorego dziecka, odburknął mu dyrektor, że „domowe interesy" nikogo nie obchodzą — zgrzytnął zębami. Przeszedł mu dreszcz po kościach a przez głowę myśl „tak nie może iść dalej".

Kiedy stanął na progu nędznej i dymnej nory, w której wzrok jego musiał się do ciemności przyzwyczaić, gdy zobaczył biedną swoją żonę, której obraz młodości tak niedawno przed pamięcią jego stanął, tę dziś zniszczoną i biedą steraną kobietę, ten barłóg nędzny i wązki, kiedy przysunęło się doń na czworakach biedne czteroletnie blade i wynędzniałe dziecię — taki żal ścisnął jego serce, taka rozpacz targnęła nim — że tylko prędko cisnął żonie pieniądze i wybiegł..

Musiał pójść... czuł że wybuchnie nad swą nędzą — nad swojem życiem rykiem głośnym — a duma mu nie pozwalała płakać i jęczeć.

Do karczmy! Tam światło — zobaczył tam ludzi wiele się kręcących i tam wpadł, gdzie siedzieli oni, ci pokrzywdzeni, ci poterani, te maszyny, które dały siły i zdrowie, które pracę swą dały, a którym powoli odbierano prawo do człowieczeństwa.

Zaiskrzyły się czarne oczy Chmurskiego złowrogo — zadrgały wargi blade... a z piersi wyrwał się chrypliwy okrzyk: Dosyć, dosyć bracia, przebrała się miarka — bydłem jesteśmy, czy ludźmi?!

Czy damy się poniewierać, damy się kopać, dlaczego i za co? — Za chleb? za życie? Czy który z was ma tego chleba dosyć? Czy którymu z was nie płacze kobieta nad głową, czy któremu z was dziecko nie ginie z powodu choroby i nędzy? Czy który z was może się pochwalić, że mieszka w stancji jasnej, suchej i zdrowej?...

Tylko ręce sobie podajmy, nie siedźmy w głuchej obojętności, nie czekajmy końca takiego, jak nam „Pan" przeznaczył!

Swiat wielki, ludzi wiele, a wiecie wiele tam braci naszych pracuje i za nas i za siebie — bo nam się należy żyć i być ludźmi — nam się należy także część tego świata!

Precz z uciskiem, precz z gwałceniem naszych uczuć, kto wierzy w tę przyszłość naszą, niech otwarcie wystąpi, naszego chcemy posła... Naszego wysłać chcemy... naszemu chcemy wykazać nasze żądania, nasze pragnienia, nie chcemy bić pokłonów panom, ani takim, których oni płacą, aby nas otumanić... Za pracę, którą dajemy, za zdrowie nasze chcemy praw naszych, chcemy doprowadzić do tego, aby nasza robotnicza partja była wielka i silna!... Kto w to wierzy, ten niechaj powstanie — niechaj się nie obawia tego, że ściany uszy mają, że tu może szpieg jaki moje słowa a waszą obecność doniesie do fabryki — niechaj się splotą nasze dłonie bratersko i niechaj się podniesie wielki głośny i gorący okrzyk:

— Niech żyje lud roboczy! niech żyje partja robotnicza!

I choć jutro zamkną się może dla nas wrota fabryk, może zagrozi nam szara, ponura nędza — ale my śmiało idźmy naprzód, my do nędzy przywykli, a myśl ta, że do tego dążymy, aby tę nędzę zgnieść, aby nie cierpieć głodu, aby i w naszych chatach słońce grzało i świeciło — aby i nasze dzieci zdrowe rosły, ta myśl pomoże nam przenieść i przezwyciężyć wszelkie trudy, wszelkie przeciwieństwa!

Spoglądał po twarzach obecnych i nagle z oczu jego łzy wytrysnęły... Zrozumieli go bracia!

„Dalej więc, dalej więc, nieśmy śpiew,
nasz sztandar sięga ponad trony"...

Czem ludzi karmią?

Przez 8 dni śmierć zbierała obfite żniwo pośród najuboższych sfer ludności Berlina, a mianowicie w nocnem schronisku dla bezdomnych przy ul. Froebla. Zdawało się z początku, że powodem wypadków chorobowych, których prawie połowa zakończyła się śmiercią, były wędzone ryby, a zwłaszcza piklingi, później atoli stwierdzono, że tylko początkowe zasłabnięcia były skutkiem spożycia zepsutych ryb, następne zaś wypadki chorobowe zostały wywołane przez alkohol metylowy. Policja berlińska wdrożyła w tym kierunku śledztwo i uwięziła właściciela drogerji Schamacha tudzież kilku szynkarzy, którzy sprzedawali alkohol mety-

lowy, jako wódkę. Otóż ta wódka składała się z trzech czwartych części alkoholu metylowego, a zaledwie jednej czwartej części spirytusu zwyczajnego. Nawiasem zaznaczamy, że niektóre dzienniki berlińskie zarzucają tamtejszym wybitnym lekarzom, jakoby nie poznali się mimo badań na wielu wypadkach chorobowych, przypisując je spożyciu zepsutych ryb, gdy powodem choroby, był alkohol metylowy.

Przy zatruciu rybami, kiełbasą i wogóle mięsem zepsutem, chodzi o botulizm, to jest o chorobę, którą powoduje „bacillus botulinus", bacyl kiełbasiany, mikroorganizm, rozwijający się tylko w środowisku, pozbawionem ozonu. Z tego powodu określają go jako „anaerob". Wspomniany bacyl wydaje jako produkt przemiany materji truciznę, należącą do rzędu najgroźniejszych. Trucizna ta, rozcieńczona w stosunku 1 : 100 wstrzyknięta w ilości pół centymetra sześciennego, zabija mysz. Botulizm jest zatruciem czysto chemicznem więc nie przenosi się z człowieka na człowieka.

W 1904 r. w pewnym pensjonacie w Darmsztadzie nastąpiło gromadne zatrucie po spożyciu konserw grochowych. Badania lekarskie wykazały, że w konserwach owych znajdował się „bacillus botulinus". Wtedy to dr. Gaffky, kierownik zakładu dla chorób zakaźnych stwierdził, że bacyl wspomniany wbrew mniemaniu, które do owej pory panowało, może żyć i rozwijać się nietylko w materji zwierzęcej, także w białku ciał roślinnych.

Mniej więcej przed laty 18 badacz Ermenghem w Gandawie odkrył tego trującego bacyla w szynce, która była marynowana przy usunięciu powietrza. Po spożyciu tej szynki nastąpiły również gromadne zachorowania. Już wtedy stwierdzono, że bacyl ów zarówno u ludzi, jak u zwierząt wywołuje te same objawy, a mianowicie głównie zaburzenia w systemie nerwowym z cechami porażenia. Objawy w żołądku i jelitach mają drugorzędne znaczenie w przeciwieństwie do innych zatruć. Porażenie kończy się zazwyczaj śmiercią, gdyż mięsień sercowy przestaje funkcjonować. Gorączka w czasie choroby nie występuje, tylko bolesne kurcze.

Stwierdzenie obecności bacyla tego nie jest łatwem, gdyż jak wspomnieliśmy, nie rozmnaża on się w organizmie żywym. Natomiast łatwo można stwierdzić istnienie trucizny przez próby na zwierzętach.

Dr. Kempner w Berlinie badał wszechstronnie jad botulinowy i przyszedł do tego przekonania, że można otrzymać odtrutkę przeciwko toksynom botulinowym z organizmu zwierzęcego, podobnie jak antitoksynę płoniczną. Na oddziale profesora Wassermanna wyrabiana jest antitoksyna botulinowa z koni i miała być zastosowana w ostatnich wypadkach chorobowych pomiędzy klientami schroniska dla bezdomnych przy ulicy Fröbla w Berlinie. Skuteczność tego leku stwierdzono już na zwierzętach.

W rybach wędzonych, a więc i w piklingach, mogą znajdować się bakcyle botulinowe. Proces odbywa się w sposób następujący: Ryby zaczynają się rozkładać czyli gnić, Powstają skutkiem tego bakterje gnilcze, które zużywają ozon. Wtedy dopiero ma warunki bytu bakcyl botulinowy. Oczywiście w konserwach, szczelnie zamkniętych, do których ozon powietrza nie ma dostępu, powstać może bakcyl botulinowy. Zdarza się to dosyć rzadko, a konserwa jest wtedy wzdęta przez gazy. Zresztą zepsute w taki sposób środki spożywcze wydają niemiłą woń zjełczałego tłuszczu. To jest dostatecznem ostrzeżeniem. Dalej trucizna botulinowa nie znosi wysokiej temperatury, to też konserwy ogrzane w żadnym razie nie są szkodliwe.

Alkohol metylowy nazywa się wyskokiem czyli spirytusem drzewnnym, gdyż wyrabiany jest z drzewa, przy suchej destylacji. Surowy alkohol metylowy, ma barwę żółtawą i przez oczyszczanie za pomocą wapna, kwasu oksalowego i ługu potasowego powstaje chemicznie czysty alkohol metylowy. Jest to bezbarwny płyn, mający woń względnie przyjemną, a nawet orzeźwiającą, ale w smaku palący. W stanie skoncentrowanym działa trująco, pozbawia bowiem organizm wody. W małych dawkach odurza. Mięsza się łatwo z wodą. Rozpuszcza rozliczne ciała, nierozpuszczalne w wodzie, jak jod, tłuszcz, żywice.

Służy głównie do celów przemysłowych, do wyrabiania pokostu i politury, tudzież niektórych farb anilinowych. Tak zwany spirytus „Kolumbia", sprzedawany w handlach, składa się przeważnie z alkoholu metalowego, który płonie błękitnawem światłem, podobnie, jak prawdziwy wyskok winny, czyli alkohol etylowy. Płomień alkoholu metylowego wydziela silne gorąco.

Niestety, alkohol ten służy także do wyrabiania taniej wódki, rumu i rozmaitych „patentowanych" leków, zwłaszcza amerykańskich. Są to oczywiście karygodne nadużycia, zwłaszcza, że w takich razach używany bywa lichy alkohol metylowy, czysty bowiem jest prawie dwa razy tak drogi jak zwyczajny wyskok winny. W nieoczyszczonym alkoholu metylowym znajduje się kwas octowy, acelon i jeszcze inne trujące produkty.

Zatrucia alkoholem metylowym zdarzają się w Europie środkowej i zachodniej rzadko. Fagerlund donosi o kilku wypadkach w Finlandji; Stroehmberg obserwował szereg wypadków w Dorpacie w roku 1904. Podczas stanu oblężenia w Dorpacie zabroniono sprzedaży alkoholu. Wtedy wielu mieszkańców piło jakiś domowy lek, zawierający alkohol metylowy, który wywołał liczne wypadki chorobowe. Dużo alkoholu metylowego piją w Irlandji, tudzież w Ameryce północnej, a także w Anglji, częścią jako „spirytus kolumbijski", częścią jako „whisky" z domieszką 33 proc. alkoholu wspomnianego. Częste wypadki zatrucia tym alkoholem zachodzą w Rosji. Alkohol działa ujemnie na wzrok i powoduje często ślepotę. Lekarze amerykańscy Buller i Wood stwierdzili w roku 1905 na podstawie literatury 150 wypadków oślepnięcia i 100 wypadków śmierci na tle zatrucia alkoholem metylowym.

Wedle prób, które czyniono na zwierzętach, zabijająca dawka dla człowieka wynosi 50 do 75 gramów. Stroehmberg widział wypadek oślepnięcia już po wypiciu 7.5 grama alkoholu metylowego. Przy większych dawkach ludzie rozmaicie reagują. Jedni chorują ale odzyskują zdrowie, inni ślepną lub umierają, są nawet tacy, którzy bez widocznej szkody piją znaczne ilości alkoholu metylowego. W niektórych przedsiębiorstwach przemysłowych zdarzają się zatrucia parą alkoholu metylowego. Zapobiega temu dobra wentylacja.

Jak umierają posłowie socjalistyczni w Rosji.

Ostatnie chwile tow. Dżaparidzego.

Tow. Dżaparidze należał do tych 37 posłów socjalno-demokratycznych z drugiej Dumy, którzy dzięki prowokacji ochrany z Dumy zostali wykluczeni i wtrąceni do więzienia. Zasądzono ich na tajnej rozprawie jako „zdrajców państwa" i użyto tej sprawy jako środka do rozpędzenia drugiej Dumy i do wprowadzenia nowej ustawy wyborczej do Dumy.

Tow. Dżaparidze był posłem z Kaukazu i wraz z tow. Ceretelim należał do przywódców frakcji socjalistycznej. Po pół roku przyszła wiadomość, że tow. Dżaparide zmarł w drodze między Petersburgiem a Nikołajewem transportowany z grupą więźniów.

Zagadką było, jak ten zdrowy i silny mężczyzna mógł tak prędko paść ofiarą rządów carskich. Sprawę tę wyjaśnia jeden z towarzyszów, który był obecny przy ostatnich chwilach umarłego.

„Spotkałem go — tak rozpoczyna się sprawozdanie — w wozie więźniów na drodze z Małoarchangielka i Bia-

łogrodu w dniu 26 grudnia 1908 r. Z nim razem jechali tow. Ceretelli i Macharadże. Pięcioletnią katorgę zamieniono tow. Macharadżemu na 7 i pół lat więzienia. Okryci ubiorem aresztanckim siedzieli posłowie razem z kryminalistami, z których jeden szepnął mi: „Ci trzej są z dumy". Dżaparidze leżał okryty derką i rozmawiał półgłosem z Ceretellim, który siedział na worku z ubraniami. Na główny dworzec w Jamskaju przybyliśmy o godz. 8 wieczorem. Feldwebel konwojujących żołnierzy otworzył drzwi i krzyknął: wychodzić. Dżaparidze podniósł się wraz z innymi, okrył się paltotem, wdział czapkę więzienną. Po kilku minutach krzyknął „nie mogę" i runął między ławki. Cereteli i Macharadże podnieśli go i posadzili na ławce. Żołnierz konwojujący krzyknął: nie zostaniesz tu siedzieć. Posłowie podnieśli go i na rękach wynieśli z wagonu. W Jamskaju mieli się więźniowie przesiąść do innego pociągu. Nie puszczono jednak nas na dworzec ani na peron. Otoczono nas żołnierzami i żandarmami i trzymano dłużej jak godzinę na polu w śniegu przy 20-stopniowym mrozie, aż pociąg odszedł do Kurska.

W naszem cienkiem ubraniu aresztanckiem, w niezgrabnych butach aresztanckich na nogach, drżeliśmy wszyscy czterej z zimna.

Tylko tow. Dżabaridzemu pozwolono usiąść. Jego żona, towarzysząca mu z dwuletniem dzieckiem na ręku, stała z boku. Żandarmi ciągle ją odpędzali, lecz ona wciąż wracała z powrotem.

Ze stacji w Kursku przewieziono Dżaparidzego sankami do więzienia, podczas gdyśmy skuci na rękach, szli pieszo tę drogę. Musieliśmy biec te 3 kilometry, bo tak kazali nam konwojujący żołnierze. Trzy czy cztery razy upadł Macharadże podczas tej drogi. Podniesiono go i ustawiono w rzędzie i znowu biegł.

Gdy wpędzono nas na podwórze więzienia, byliśmy spoceni do nitki, Dżaparidze siedział na worku w środku podwórza i oczekiwał na nas. Około kwadransa musieliśmy czekać na mrozie, aż przyszedł pomocnik. Dżaparidzego zaniesiono na rękach, był trupio blady, wargi blade, a oczy w gorączce. Przy wywołaniu nazwisk znowu Dżaparidze upadł na ziemię. Towarzysze chcieli mu iść z pomocą, lecz dozorcy nie pozwolili na to. Gdy później znowu byliśmy razem, Dżaparidze patrzył błędnem okiem i drżał na całem ciele. Cały oddział, złożony z przeszło 25 osób, zamknięto w celi, która miała 12 kroków długości i 8 kroków szerokości. Ludzie zajęli całą przestrzeń, czołgali się pod łóżka, chcieli każde miejsce wykorzystać. Było niemożliwem nietylko chodzić, lecz nawet leżeć wyciągniętym. Po pół godzinie nie było powietrza do oddychania. Jeden więzień kryminalny chciał otworzyć otwór w oknie, lecz szyldwach skierował do niego karabi i rozkazał mu zejść z okna. Po godzinie Dżaparidze zaczął jęczeć. Zapukano do drzwi i zażądano innej celi.

To było około północy. Przyszedł dyrektor Kałmyków i rozkazał dać posłom inną celę.

Dżaparidze umarł tej samej nocy bez udzielenia mu najmniejszej opieki lekarskiej. Smierć nastąpiła skutkiem tych rządów, które wpędziły do szpitala warjatów Macharadżego, a do grobu tow. Dżugelego, a tow. Cereteillego i wielu innych posłów wydały na łup suchotom. Daremnem jest żądanie, aby uwolnić niewinnie zasądzonych męczenników rosyjskiej wolności z kazamat. Krwiożerczy rząd trzyma swe ofiary silnie w pazurach i czeka na nowe ofiary.

Los skazanych zaczyna poruszać opinję publiczną. Protestujące zebrania przeciw zasądzeniu posłów socjalistycznych w Petersburgu przeniosły się też na prowincję. W Rydze odbyły się dwa zgromadzenia protestujące, które wysłały do Dumy rezolucję protestującą. W Moskwie odbył się cały szereg zgromadzeń. W Charkowie protestowały słuchaczki instytutu medycznego. Nawet w dalekim Astrachanie odbyły się zgromadzenia robotników w tej sprawie. Również opinja europejska powinna się zająć tą sprawą.

Rozmaitości

Odkopane miasto. W departamencie Lot-et-Garonne dokonano odkrycia, niezmiernie ważnego dla badaczów zamierzchłych dziejów Europy. Oto przy przekopywaniu kanału natrafiono pod ziemią na rozległe zwaliska, będące, jak stwierdzili archeologowie, resztkami kwitnącego przed dwoma tysiącami lat miasta galijskiego Sos. Ważność odkrycia polega na tem, że Sos tworzyło, jak się zdaje, osadę nawskroś galijską, wspomnianą już przez Juljusza Cezara w dziele jego o wojnie galijskiej. Tutaj bowiem napotkały legiony rzymskie pierwszy poważny opór ze strony Galów i niemało czasu upłynęło, zanim zdołały go przezwyciężyć. Rozpoczęte natychmiast poszukiwania na wielką skalę ujawniły w tych dniach twierdzę odkopanego miasta, jak również wiele przedmiotów, będących dokumentami życia jego mieszkańców. Poszukiwania, przedsięwzięte w samem mieście, stały się wnet bodźcem do dalszych badań w jego okolicach i oto odkryto w pobliżu ślady starożytnych kopalń, świadczące o rozwoju galijskiego przemysłu metalurgicznego już przed 20 wiekami. Tak ważne odkrycia, dokonane w przeciągu dni niewielu, pozwalają przypuszczać uczonym francuskim, że natrafiono tu na prawdziwą skarbnicę dokumentów, które wyświetlą całe życie wewnętrzne i dadzą więcej wskazówek co do działalności i stosunków Galów, niż wszelkie dane dotychczas osiągnięte.

* * *

Socjalizm w Ameryce. Partja socjalistyczna w Stanach Zjednoczonych wzrosła więcej, niż w dwójnasób od ostatniego zjazdu, który odbył się w Chicago w 1908 r. W r. 1908 należało do partji socjalistycznej 419 751 członków. Tego roku należy przeszło 1 000 000. Jest to potężny wzrost i świadczy, że grunt pod rozwój socjalizmu w Stanach Zjednoczonych jest już przygotowany.

W roku 1908 oddano 424 483 głosów na kandydatów socjalistycznych, w roku 1910 oddano już 607 674. Przy wyborach prezydenckich, które się odbędą w 1912 r., jest nadzieja, że liczba głosów socjalistycznych przewyższy miljon.

Podczas wyborów lokalnych w stanie Ohio, tego roku padło przeszło sto tysięcy głosów na socjalistycznych kandydatów.

W Pensylwanji padło w tym samym czasie 150 000 głosów na kandydatów socjalistycznych. Inne stany mają też znaczną ilość zwolenników socjalizmu. W samym Los Angelo głosowało 53 000 ludzi na socjalistycznego kandydata na majora (burmistrza) miasta.

Reasumując to wszystko, widzimy, że coraz bardziej zalewa czerwona fala Stany Zjednoczone.

* * *

Najliczniejszy olimp. Chiny mają nietylko najwięcej ludzi ale i najwięcej bogów. Ich olimp roi się od bóstw i demonów. Każda życiowa funkcja ma swego pozaziemskiego kontrolera. I tu panuje hierarchja i nadprodukcja, jak w szeregach ziemskich urzędników. Lekarze i garncarze, ogrodnicy i balwierze, aktorzy i wróżbici — nawet kobiety, uprawiające lekkie życie, jako proceder — mają swoich odrębnych patronów. Ba, i zwierzęta są oddane pod opiekę bóstw dobroczynnych, woły mają innych, psy zgoła innych opiekunów. Słońce czczone jest jako pierwiastek męski — dobra; księżyc jako pierwiastek żeński — zła. Mają one swoich specjalnych kapłanów. Oprócz samego księżyca, za bóstwo poczytywany jest „starzec w księżycu", owo oblicze, to uśmiechnięte, to skrzywione, będące patronem zakochanych w Europie. I w Chinach nakładają nań obowiązki erotyczne, a mianowicie: pęta on i łączy jedwabnemi nitkami nóżki dzieci, przychodzących na świat, z których z czasem ma być — para małżeńska.

Ukąszenie żmiji. Na jednym z parowców niemieckich, jadących z Kalkuty do Nowego Jorku, wyślizgnęła się z kosza niepostrzeżenie żmija, należąca do bardzo jadowitego gatunku „Kobra" i ukąsiła dwóch majtków, którzy niebawem umarli wśród okropnych boleści. Nikt nie odważył się przystąpić do gadu, który odtąd cały czas przebył na jednym z najważniejszych punktów parowca, tak że cała podróż dla załogi była bardzo niebezpieczną. Dopiero w Nowym Jorku poskromiono węża i oddano właścicielowi, do którego był wysłany.

* * *

„Czcicielki słońca" w Chicago. Nie w Persji, nie w jakiejkolwiek innej Azji, nie w Afryce lub w dziewiczych lasach Ameryki Południowej, ale w Stanach Zjednoczonych, w Chicago powstała sekta religijna „czcicieli słońca", zwanych „Mazdaznan".

Sekta zrobiła sobie świątynię z pałacu zbankrutowanego miljonera nad brzegiem Michigan. Należą do niej znane kobiety z najlepszego towarzystwa. Ich najwyższą kapłanką jest pani Lindsey, wdowa po niedawno zmarłym przedsiębiorcy budowlanym.

Jedynym dorosłym mężczyzną sekty jest „prorok" Zar Adush Haenish.

Czciciele, a raczej czcicielki słońca modlą się do indyjskiego boga słońca, którym jest... dwunastoletni Wiliam Lindsey, szczęśliwy spadkobierca miljona dolarów po ojcu. Jego matka, najwyższa kapłanka, utrzymuje, że jej zmarły mąż był tylko opiekunem Williama, który właściwie jest pochodzenia boskiego.

Nieszczęśliwy chłopiec napewno dostanie obłędu z tego kultu półobłąkanych kobiet, które karmią go tylko piwem i winogronami. „Indyjski Bóg słońca" wychudł też jak szczapa.

Wreszcie wdała się w tę sprawę policja z polecenia wuja „boga słońca". Zrobiono rewizję w świątyni właśnie w chwili, gdy około dwadzieścia fantastycznie poubieranych kobiet tańczyło jakiś warjacki taniec wokoło dwunastoletniego „boga słońca, przybranego we wspaniałe szaty wschodnie, osypane brylantami i siedzącego na złoconym tronie. Gdy policja wyłamała drzwi, kobiety narobiły okropnego wrzasku i próbowały zagrodzić drogę urzędnikom. Wtedy powstał prorok i wskazując na jakiś tajemniczy napis na ścianie, krzyknął strasznym głosem niezrozumiałe zaklęci, które jednak nie powstrzymało policji.

Całe towarzystwo wkrótce znalazło się w areszcie policyjnym, a wychudzony bóg słońca zajada smaczne po trawy u swojego wuja.

Dymokrackie medykacje.

Sława naszym! Wybralimy już 64 swoich posłów. Zaś wybory, przyńdzie welować jeszcze na 122, a między nimi na naszygó Józka Biniszkiewicza. To bydą piykne wybory, jak tu bejamry a kapitalisty bydą musieli wybiyrać, chtóro partyjo je wiynkszy sztacgeferlich, zocjaldymokraty czy poloki-kołowcy. Ale tyż Berlin dziwo sie i drapie pono za uszami, a inksze partyje tyż, chtóre potraciły za tela mandatów. Ano, krwawo trza pracować na ta jejich polityka s podatkami; policaj tyż hnet a hnet rąbie szablami a strzylo aże do krwi, to niech sie nie dziwióm, iże ta krew tak maluje terazki na czerwóno tyn parlamynt. Jeszcze mało tegó, ale i tak lepszy jak bóło. Niech jino terazki se wszyjscy wdycki od serco śpiywają: „Spiesz na wybory ludu roboczy!" a bydzie już tyż zwyciynstwo. Nieskorzy bydzie jeszczy wiynkszy tegó, jino ciyrpliwości, po lekku.

Ale zaś nie s taką ciyrpliwością kiej ciyrpisty, liziłapy dlo panoczków, albo Koło polskie, lizibut dlo rzónda. Bo Koło polskie przeciw woli tych, chtórych mo brouić a z dobryj woli, lepszy pedzieć ze złyj woli włosnej, samo nadstowio zadku rzóndowi, coby je biół i miyni se, iże tyn rzónd za takie posłuszyństwo jako dobry ojciec zrobi je nojlepszym dzieckiem i do mu w nadgroda wszycko, co chcóm. Ale rzónd, jak mu sie sprzykrzy ta pokora, nie pochwoli a nie pomiyłuje, ale kopnie butem kirasjerskim w nadstawióny zadek i basta.

Tam w Berlinie stoi Koło polskie u wrót rzóndowych, ale hań jegó zwolynnicy chcieliby powyciepować nos z naszych śmieci włosnych; tam rzóndowi robią ustympstwa na wiynkszo gańba a krzywda włosno za jeszczy wiynksze krzywdy ludu, ale hań, miasto potargować sie s nami rzetelnie: „Wspólny mómy interes przeciw rzóndowi, niczyjo krzywda; dejcie nom wasze głosy tu, my domy wom nasze tam", to óni włażą na nasze wiece ku tymu, coby je rozbijać. Za to jich wtóry Wojtek, Sosiński, dostoł w Rajchshali z kryką przez czoło, choć borok som nie wiedzioł, za co, kaj ta wloz i po co. Zol mi go. Lepszy było zeprać tegó isnygó Wojtka, chtóry jegó zrobił jino wojtkiem, a co gó jino wyfedrowali ze zalu.

No, ale tyż tymu Korfowi terazki sie pokazuje, jak ón uświadomioł tyn lud górnośląski swoimi cygaństwami. Jeszczy roz do ataku, a nastympcą jegó w poselstwie bydzie „tyn szewc", chtórymu ón wdycki rzoł. Inksze okrynga zaś cyntrum zdobywo, a głosów na kandydatów kapitalistycznych tyż wszyndy wiynkszy. Niech sie terazki dziwo, jak sie zosłużół na Śląsku, bo tak sie chwoli wdycki. A za jego „ratowanie ziymi polskiyj w Galicji", ważniyjsze blank u niegó jak głosowanie w sejmie pruskim za równymi i tajnymi wyborami do tegó lantaku, a za inksze jeszczy „zasługi", chtórymi nie chwoli sie w znanyj skromności swyj, wystawi mu hnet sztacwald pokwitowanie, bo już gó pono chyto za formaletka. Wniosek o wydanie Korfioka sprawiedliwości bydzie pono jedyny w tyj izbie junkierskiyj, chtóry przeńdzie jednogłośnie.

Ta piykno izba już sie zebrała do roboty. Co tam wyfedrują zaś za „prawa", to można se wykalkulować na palicach. Bo to pono strach mo wielkie oczy a na złodzieju czopka gore. Kiej w rajchstaku od głosów naszyj partyji wielo bydzie zależało, to panoczki a inksze burżuje bydą sie za to „po chrześcijańsku" mścili w sejmie, w swojim miłym lantaku. co sie tak zwie, bo tam najwiynkszy siedzi lantrotów. Ale tegó jejich panowanio tam tyż wdycki nie bydzie. Wszyjscy uciśniyni, co przy wyborach do parlamyntu terazki poznali swoja siła, nieskorzy, hnet, do sejmu tyż wyślą wiynkszy swoich, a zaś podziwomy sie a pogodomy.

Ale to tyż śmiyszne, iże te Prusy, co to padajóm same o sobie: „Dajczland in der welt und Prajsen in Dajczland foran" już downo mają gorszo konstytucyjo, jak Turcyjo, o chtóryj cały świat rzóndziół jino, iże to „niemocny człowiek", a terazki prześcignyły je Chiny, chtóre kożden byldowany i półbyldowany wdycki wszyjskim przedstowiali jako obroz zacofanio a wszelkiygó wstecznictwa. A terazki w tych „zacofanych" Chinach je najpostympowszo forma rzóndu, republika. Niech żyje!

Terazki mogą sie Prusy powstydzić przed Turcją a Chinami jeszcze wiynkszy. Na pociecha mogą wskoczać nadobro kamrotka, Rusyjo, chtóro same zowią „półazjatycko". Jino że w tyj Azyji już wszyjskie ludy jakoś sie ocknyły. A tak, jak na wszyjsko zacofaństwo mówiyli my „chińszczyzna", tak terazki bydzie mówić sie „ruszczyzna" albo jeszcze lepszy po nauczycielce ónej „pruszczyzna".

Gustlik Beskuryjo.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott z Zabrza.

Nr. 4. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej".

Katowice, sobota, dnia 27 stycznia 1912.

JULJUSZ KADEN.

WSPOMNIENIE.

Urządzona była ta siedziba wuja pułkownika rzekomo wygodnie i elegancko, A mimo przecudne położenie dworku, na zacisznym skłonie rozsiadłego, mimo góry lesiste bujną falą dokoła roztoczone, mimo stary ogród, który zdawał się snuć bez ustanku senną a przesłodką ciszę — w pokojach obco było, cudzo, omkno i nieswojo.

Jakiś kasarniany rygor, oschła upierzejmość, jakiś starokawalerski upór, czy chłód wyziewał tu z każdego miejsca.

Dawało się to uczuć już w przedsionku, wypokostowanym na biało, niby poczekalnia odwachu.

U proga strzyżona słomianka ze szczecinowatym, uprzejmie zjeżonym napisem: „Witajcie". Obok drzwi, okrągłe wieszaki wiedeńskie, nieznośne, jak w kawiarni. Poodal w drewnianych ramach mały, włochaty „tunel" do wycierania trzewików, od góry i z boku. Na honorowej ścianie cała orgja pokręconych rogów jelenich. Wisiały tu ładownice, złota trąbka myśliwska, opleciona zielonym jedwabiem i kapelusz myśliwski wuja, zadarty, z piórkiem. Wreszcie na najmłodszych rogach wojskowa manierka z dawno wypitą wódką.

W kącie, przy piecu nudził się i sechł nabożnie olbrzymi alpejski kij, z którym złośliwi, niby z oszczepem radzili wujowi wybrać się na dzika.

Drewnianą podłogę „wypudrowaną" rzecznym piaseczkiem dzielił na pół wąski, szary, cierpliwy chodnik. Tak wąski, żeśmy go raczej za „niezrozumiany" szal na szyję, niż za chodnik uważali.

Z bocznych ścian wykwitały, dla zieloności nieposkromionej „szpinakami" zwane, tłuste oleodruki, przedstawiające jakichś pyzatych, ogromnie szkockich tyrolczyków.

Wszystko to możeby jeszcze uszło, gdyby nie ohrągły biały zegar ścienny, z kukułką. Nieskromny ten ptak wyskakiwał co kwadrans z zachrypniętych czeluści mechanizmu i zaferowanym krzykiem mącił surową ciszę domostwa.

Tu, w polskich górach, tak tradycyjną, otfitą, tak butną sztuką ludu sławnych, przedpokój wuja pułkownika, utrzymany w tonie na poły jakiegoś podejrzanego Tyrolu, na poły w charakterze austrjackiego odwachu — sprawiał wrażenie nader śmieszne.

Nie inaczej miała się rzecz z pokojami.

Salon był wiedeński, jadalnia staroniemiecka, jakie się spotyka w tych „na staro" odnawianych, ratuszowych podziemiach w Niemczech.

Sypialny pokój wuja, na szczęście nie stylowy, miał pewien własny charakter. Była to właściwie izba porucznika kawalerji na służbie, czy podczas chwilowego postoju.

Tego by wuj nie zmienił za nic na świecie.

Twarde, wąskie, niegościnnie obojętne łóżko angielskie; na prostym stole puzderko z przyborami toaletowemi, zawsze zamknięte, jakby ze względu na nagły nieprzewidziany wymarsz; w nogach za łóżkiem, na rozwidlonych stojakach siodło, przykryte śliczną, czarną derką — oto mniej więcej wszystko.

Jedynym dowodem względnej zniewieściałości wuja była ogromna szafa dębowa, kryjąca w czarnem wnętrzu całe konstelacje gwiazd i złotych guzików, któremi obszyte były we wszystkich możliwych kierunkach szanowne mundury pułkownika.

Poco my, młodzież, siostrzeńcy i bratankowie przyjeżdżaliśmy z miasta odległego o pięć godzin koleją, do tego wiedeńskiego Tyrolu na Podhalu, zwłaszcza gdy pułkownik przestał już chodzić na polowania i na każdej wyprawie, nam obłudnie „fatygę" przypisując, odpoczywał nieomal, że co sto kroków?

Zdaje się, że mimo wszystko, mimo okrutne morały, jakimi nam zatruwał poranki, mimo nielitościwą musztrę, jaką nas mordował przy lada sposobności, mimo sto razy opowiedziane anegdoty, które doprowadzały nas do bezsilnego śmiechu — czuliśmy beznadziejną samotność tego człowieka.

Dawno minęły te czasy, kiedyśmy dziećmi będąc, witali wuja gorącej chyba, niż oswobodzeni wiedeńczycy Sobieskiego. Kiedy młody, ogromny, sprężysty, głośny kawalerski, z prawdziwemi ostrogami przy butach, w prawdziwych czerwonych spodniach, w prawdziwej kurtce ze złotymi guzikami, cały, prawdziwy dragon — dawał się nam przeglądać w guzikach czarującego munduru.

Kiedy pozwalał raz na godzinę dotknąć się swej zimnej, srebrnej szabli, lub złotej gwiazdki na kołnierzu.

Dawaliśmy mu wtedy całe armje naszych cynowych żołnierzy pod dowództwo. Mógł był na czele tych sił zwłaszcza dodawszy do tego starych papierowych żołnierzy, zdobyć jadalnię i sypialnię. Mógł był opanować górzysty salon, mógłby był nawet może pokusić się o zdobycie kancelarji ojca.

Nie chciał. Gardził naszemi wojskami.

Minęły lata.

Dowiedzieliśmy się później, że owszem marzył o wojnie prawdziwej, jak był dragonem prawdziwym. Ze całe życie trwał w ostrej, żywej wojennej gotowości — napróżno.

W rezultacie został takim samym, jak nasi, cynowym żołnierzem.

Tak samo mu życie ubiegło w kasarni, czy ujeżdżalni jak naszym cynowym wojakom w pudełkach, na marszczcznym papierze różowej podściółki.

Jedyny krwi rozlew, jaki mu losy nadarzyły, to zabite — nie szablą i nie szarżą — a poczciwej dubeltówki poczciwe zające, kilka rogaczów i dwa lisy, do których podobno strzelał zupełnie niepotrzebnie, bo już je przedtem zdławiły jamniki.

Nie chcieliśmy się mścić. Żal nam było starego żołnierza cynowego. Czas rozluźnił siłę mięśni rycerskich, budowę przez całe lata ku wojnie nadgryzł piękną, lecz bezużyteczną ruinę zostawiając.

Samotnie czuł się nietylko we własnym domu, w którym służba pod wodzą dawnego ordynansa kradła na umór. Z rodziną, z braćmi, z rówieśnikami dawnymi nie żył, bo

się — „pomnożyli, pożenili, rozplenili, jak piecuchy". Sąsiedztw w pobliżu nie było, a z ludem okolicznym odrazu się poróżnił.

Czytrzy, dzielni i dumni górale nic z tonu nie chcieli spuścić wobec pana pułkownika.

Czy przy umowach „somsieckich" czy przy poczciwym targu o parcele ta „hołota niesforna" gadała z nim, nie wstając z miejsca, witała się podaniem ręki, spluwała gdzie i jak wypadło. Zaś, by który z górali w obecności pułkownika przestał palić swą „obskurną" fajkę, już od pierwszych dni pobytu okazało się wprost mrzonką.

A jednak zajmowało go ich życie. Poprostu tęsknił za ludźmi.

Wtedy wychodził na wjazdowy ganek, skąd leciał radosny, cudny widok poprzez wystrzępioną taśmę górskiej drogi, ponad wsią do stoków przysiadłą — na góry lesiste, kożuchem lasów przykryte, śniegiem omatulone a w słońcu tęczami blasków grające.

Marsowy, sztywny w czarnej kurcie zwracał opaloną, bronzową twarz, siwym zarostem, niby srebrem inkrustowaną i niebieskiemi oczyma patrzył przenikliwie na wlokących się po drodze górali.

Łajdak jeden z drugim — warczał wuj — nawet się nie ukłoni.

I zły, jak pieprz z pogardliwym uśmiechem na szerokich feodalnych ustach, zawracał do swej pracowni.

Ta pracownia miała również podwójny charakter.

„Baterja" t. j. przepaścista kanapa i głębokie f tele skórzane, na których można było siadać naraz w kilka osób, szafa z apteczką polową, z butlami karbolu i z jodoformem (zdaje się jedyne perfumy, jakich wuj używał) stanowiły coś w rodzaju doktorskiej poczekalni.

Wielkie biurko z niezliczoną ilością pustych szuflad obite ogromną „łąką" zielonego sukna, przetak czy sito przeszpikowane kijami bilardowemi czyniły ów pokój podobnym raczej do jakiegoś klubowego lokalu.

I istotnie odbywały się tu nasze klubowe posiedzenia.

Tak to już wuj zaprowadził.

Można było nie „stawić się" na obiad, pierwsze śniadanie jeść na podwieczorek, można było kolację spożywać nad ranem, ale nie wolno było przepuścić wspólnego posiedzenia o zmierzchu.

Stary ordynans przyniósł wytrawną „flachę" jakiegoś „wińska", wuj z surową zaciętością gilotynował odpowiednią ilość cygar i pogmerawszy w ogniu kominka, zasiadał na prezydjalnym fotelu. Za oknami wydziwiał głuchy, mroźny, szalony wiatr, ciskał się między sine czuby gór, wył hutnie na przegonach i znów zawracał pod dom i zziajany dzwonił o szyby.

Godzina była czujna, dziwna, rozstajna — pożegnalnie przywitalna.

Żegnał się dzień, witała noc.

Ogień zachodu leciał z gór i kostniał na łęgach. Aksamitny fijolet lasu tkany gronostajem zwiewnych śniegów wzorzył się daleko w krąg, podpalony na rubieżach horyzontu, świetlistym obrębem szczytów.

Ogrodem, w konające blaski przybranym wiatr trząsł. Tyrpał go, burzył, mierzwił i strzępił. Z krzaków, z chochołów, z osędziałych drzewin do kamienistej gleby łapczywie uczepionych, wiatr strzępił, niby przędziwo dziwne, niby zwitki i listy śmiertelne, niby niepamięci białą przędzę — kosmyki śniegu.

Było nas wtedy w gościnie u wuja trzech.

Mój brat literat, którym pułkownik otwarcie gardził, zowiąc skrybą lub smarowozem. Literatów bowiem na równi z kuglarzami i ekwilibrystami stawiał w rzędzie błazenków, żyjących z jałmużny. W głębi ducha uważał ich za ludzi zupełnie zwyrodniałych i upadłych.

Drugim byłem ja. Otóż mnie, początkującego agronoma wuj znosił cierpliwie, jako użyteczne zwierzę pociągowe,

Trzecim był nasz kuzyn, panicz z miasta. Ten ostatni zajmował teraz żywo uwagę pułkownika, bo wkrótce miał odbyć służbę wojskową w którymś pułku ułanów.

Stary wojak, patrząc z bezdennym niesmakiem na pielęgnowane ręce panicza, trzaskał z uciechy w palce, na myśl o torturach, jakie czekają miejskiego nygusa w pułku.

Tymczasem miejski nygus, rozwaliwszy się w karle, dmąc gorzki dym z malutkich, słodkich ust, ręce po łokcie wsadziwszy do irchowych kieszeni sportowego ubrania, zastanawiał się głośno nad tem: Czy, kiedy i dlaczego kobieta płacze szczerze a kiedy nieszczerze.

Chyba nie płacze wtedy, kiedy się z takim jak ty bałwanem rozchodzi — przerwał mu wuj.

No — odciął kuzyn, podnosząc na wysokość okna białą wąską rękę — chciałbym mieć tyle koron, ile przez te palce łez pociekło.

Wypłakanych przez ciebie samego za dwóje w sztubie — zaśmiał się literat, który znał legiendarną wprost nieśmiałość panicza.

Zaczęliśmy się przekomarzać między sobą, w czem wuj nie brał żadnego udziału. Osnuty dymem cygara, patrzył na siny blask ogrodu, to w płonące na kominie ognisko.

Ja — przerwał nam nagle — raz tylko w życiu zakosztowałem tego, co kobiety i literaci nazywają łzami.

Przycichliśmy, pobłażliwie ciągnąc z kieliszków.

Tak jest. Raz w życiu. Raz się człowiek rodzi, raz umiera, raz w życiu, jak to rozumieją chłopy szwajcarskie, kobiecie kwiaty daje, no i raz w życiu może zapłakać.

Poruszył się na krześle.

Nie tak, jak wy, rozwydrzeni, rozślimaczeni, rozanieleni, sadło sercowe, paskudne trutnie, żaby.

Literat nalał mu wina, sobie też, przepili i wuj, tchnąwszy dymem na cały pokój, machnął ręką.

Wszystko poprostu. Byłem wtedy, niedołęgo jeden z drugim, już porucznikiem. Staliśmy z pułkiem w Tyrolu. Poprostu. No, i stoimy. — I mieszkamy. — Gdzie kto może. — Koń. — Ćwiczenia. — Musztra. — No, — mówię wam.

Ogromnemi rękami zaczął kreślić w powietrzu.

Więc niby Tyrol. Z góry na dół, albo naodwrót. — Doliny, góry, słońce, woda, słowem, krajobraz. — Proszę siadać. — Zwłaszcza rano i wieczorem. — Moje okno na górę. — Od samego świtu — no! — Płacę najregularniej w świecie. — U jakiegoś radcy pocztowego. Stary gnieciuch — obojętne. Do dzieci mieli nauczycielkę. — Patrzę. — Niemożliwe. — Tak jest. — Wszystko jedno. — Wszystko skończone. Bac!

Pułkownik krzyknął ażeśmy drgnęli.

Zakochany jestem. Moje uszanowanie. — Polka. Widzę, że źle już mówi po polsku. Mówi mi — że — jeszcze źle. — Obojętne. — Na imię — Wanda. — Imię. — Cóż, do pamiętnika wciągnąć, na słupie telegraficznym wyryć — bo niby co? — A przecie — imię. — Ja i Wanda. — Tam nigdy nie była. Tam — chce wrócić. — Wnet wróci. — Do kraju. — —

Tłomaczę: Też dawno nie byłem. Może już nigdy nie będę. Oświadczam się. — Swiat jest wszędzie. — Milczy. — Pytam: nie? — Powiada: nie.

Pułk, przyszłość, karjera, zresztą, cóż znowu!! — Idziemy drogą, na pożegnanie, pod górę. Księżyc — poprostu famos, opera, ostatni akt.

Tłomaczę: — Pytam: nie? Powiada: nie. I łzy.

Jutro wymarsz. Rano. Bestje ptaki od świtu. No — muzyka. — Wyłażę. Stoję w ogrodzie. Róże, rosa, kwiatki — uf, ta cała sałata. — Wiem, że w tym domu jest ona. Łatwo mówić. — Nie można mówić...

Wyszedłem z furty. Po drugiej stronie drogi skłon. Ogrodnik sadzi szkółkę. Nigdy w życiu nie pisałem, nie grałem, nie malowałem. Niema rady. — Idę. — Tkam szelmie w łapę papierek i mówię mu: Wszystko jedno. Żeby między sosnami — tego... — Żeby na szerokości szkółki, brzozą wysadził jej imię.

Minęło. — Zapomniałem. — Lata szły. Kapitan, major, podpułkownik — nie takim zawalidrogom jak wy, słuchać, jakim byłem oficerem. Pułkownik!! — huknął wuj.

Dowodzę pułkiem. Ale nigdy nic nie wiadomo. — Przypadek.

Na przedostatnich manewrach. — Zdrożeni jesteśmy, jak psy. Lepiejby konie na plecy wziąść i ponieść, niż o

to siodło stukać. — Góry powarjowane. — deszcz, wicher, zimno do szpiku kości. Drzemiąc, człapiemy do miasteczka. Jesteśmy. Budzę się rano. Słońce, ptaki, wiosna zapach. Okno otwarłem. Naprzeciw — las. Las — mówię — wznosi się na górze. Twardy mur sosen przewiązany jasną, wiotką zielonością — na wkroś. — Oczy przecieram. — Nie może być? — Być może. — Jakieś coś kwitnie, jakby napis rozrośnięty — Czytam. Między sosnami płynie i drży zieloną, płochą strugą: Wanda.

Natychmiast pojąłem: żem już stary. — Ja, pułkownik, stoję w oknie i płaczę.

A po chwili, i dopiero wtedy: że zgubiona narzeczona — ojczyzna. — Zryczałem się jak bóbr.

Pułkownik powstał, obciągnął kurtę i mijając nas z dźwiękiem ostróg, jakby w rozdźwięku złotych kajdanek podszedł ku oknu.

Z krzaków, z chochołów, z osędziałych drzewin wiatr strzępił niby przędziwo dziwne, niby zwitki i listy śmiertelne, niby białą przędzę niepamięci — kosmyki śniegu.

Rozmaitości

Historja sztucznych zębów. Mało komu wiadomo, że już w starożytności były w użyciu sztuczne zęby. Wiele mumji egipskich ma zęby, zrobione z drzewa. W grodach etruskich znaleziono szczęki, w których były wprawione zęby złote. I rzymianie znali ten surogat, a nawet prawodawstwo rzymskie przewidywało i ustanawiało kary za kradzież zębów. Nie wolno było grzebać umarłych z żadnemi kosztownościami, z wyłączeniem... zębów. Wyrabiano je z kości słoniowej lub z zębów hipopotama. Przed paruset laty używano w tym celu kości goleniowych koni i wołów. Pod koniec ośmnastego wieku wyrabiano zęby z perłowej masy. Zapanował też barbarzyński zwyczaj używania zębów, których dostarczyły cmentarze lub pobojowiska. Do niedawna wyrabiali zęby dentyści, obecnie „materjału" gotowego dostarczają fabryki, głównie amerykańskie. Najliczniej zaopatruje świat w zęby — Filadelfja. Coraz większe zastosowanie znajduje w tym przemyśle — złoto. Rok rocznie, zwłaszcza w Ameryce, na parę miljonów fr. złota przysypuje ziemia cmentarna.

* * *

Rozszarpana przez lwy. Ofiarą bezmyślnej brawury padła w Rouen artystka teatralna Lecrluche. Pani ta, żądna wrażeń, uprosiła pogromcę zwierząt Lontsa, aby wziął ją z sobą do klatki, w której znajdowały się dwa lwy berberyjskie. Za ledwie jednak artystka stanęła w klatce, oba lwy rzuciły się na nią, przewróciły i wpiły w nią kły oraz pazury. Pogromca zdołał nareszcie przy pomocy persoualn menażerji jednego z lwów odpędzić, drugi jednak musiał być zastrzelony, tak uczepił się swojej ofiary. Omdlałą artystkę przeniesiono do spitala, gdzie wkrótce potem zmarła skutkiem ran odniesionych.

* * *

Wzrost wielkich miast w Rosji i Królestwie. Podług dzienników rosyjskch liczba mieszkańców w wielu miastach w Rosji, a także w Królestwie w ostatnich 50 latach znacznie wzrosła. W nawiasach podawać będziemy liczby mieszkańców tych miast w 1861 r. Petersburg w 1911 r. liczył 1 907 000 (505 000), Moskwa 1 520 000 3o9 000, Warszawa 848 000 (180 000. Odessa 510 000 (125 000), Łódź 385 000 (35 000). Ryga 350 000 (85 000), Baku 202 000 (20 006). Tyflis 200 000 (70 000), Wlno 198 000 (80 000), Taszkent 188 000 (80 000) Rostow nad Donem 160 000 (38 000). Jekaterynosław 150 000 (25 000), Astrachan 148 000 (47 000). Kazań 145 000 (70 000, Helsingfors 140 000 (35 000), Tuła 132 000 (60 000), Kiszyniew 130 000 (84 000 Mińsk 110 000 (30 000) itd.

Podług powyższej statystyki największy przyrost wykazuje miasto Łódź; liczba mieszkańców pomnożyła się bowiem 10 razy.

* * *

Wybuch gazu w Nottinghamie. W Nottinghamie wybuchł zbiornik gazu, mieszczący miljon metrów sześciennych. Katastrofa wydarzyła się na szczęście wtedy, gdy w gazowni było mało osob, bo o godz 2 po południu.

Olbrzymi zbiornik z blachy żelaznej wzniósł się ogłuszającym hukiem w powietrze i upadł o 30 metrów dalej, potrącając w upadku o drugi mniejszy zbiornik w którym było 250 000 metrów sześciennych gazu. Ten drugi zbiornik nie wybuchnął, ale został ciężko uszkodzony.

Wokoło posypał się grad odłamków żelaza, raniąc mnóstwo ludzi i uszkadzając wiele domów.

Jednocześnie pękł mur cysterny, w której spoczywał zbiornik gazu i olbrzymia masa wody ze straszliwą siłą chlusnęła na pobliską ulicę.

Naprzeciwko gazowni był hotel, którego właściciel, sądząc, że to trzęsienie ziemi, schował się z żoną i dziećmi do piwnicy. Gdy go tam zalała potężna fala, zaledwie się zdołał wydostać razem z rodziną na powierzchnię, ale służącą prąd zmiótł ze schodów i porwał, tak że utonęła.

Innego człowieka spotkała fala, gdy szedł z dwojgiem dzieci, na ulicy. Chwycił dzieci na ramiona i ledwie że się oparł potokowi, który mu dosięgał pod pachy.

Fala porwała beczki z wozu, stojącego niedaleko gazowni i wrzuciła je na dachy silnie uszkodzonych willi przy ul. Retland, podobnej do stosu ruin. Tymczasem kilka domów zaczęło płonąć. Ludność musiała je opuścić a na dworze szalała śnieżyca. Nocą było w mieście ciemno, bo gazu nie starczyło na oświetlenie.

* * *

80-lecie telegrafu. W tym roku mija 80 lat od czasu wynalazku telegrafu. Dziś telegraf opanował już cały świat. Drutami telegraficznymi wszystkich krajów możnaby 138 razy obwinąć kulę ziemską, względnie możnaby zaprowadzić 16 połączeń z księżycem. 130 000 biur telegraficznych całego świata z 160 000 aparatów, załatwia rocznie około 300 miljonów depesz. Najwięcej korzysta z telegrafu anglik; na stumieszkańców przypada 193 telegramów rocznie. We Francji na tę samą liczbę mieszkańców wypada 152 telegramów, w Danji 118, w Belgji 104, w Niemczech tylko 91 telegramów. Te 300 miljonów telegramów przynoszą państwom rocznie prawie 240 miljonów koron Telegamy na kilkaset słów należą do rzadkich. Bywają depesze po kilka tysięcy słów; a była i jedna na 20 000 słów!

* * *

Nowożytny Jakób. Zamieszkały w Warszawie przy ul. Żelaznej żyd Ch. F., ojciec dwóch córek, zaręczył młodszą i ładną z pewnym młodzieńcem. Przed ślubem namyślił się jednak i postanowił pozbyć się starszej i brzydszej. Kiedy więc, zwyczajem żydowskim, zaprowadzono oddzielnie do ślubu pod baldachim — pana młodego i pannę młodą, jak zwykle zawoalowaną, odbył sie ślub, ale nie z młodszą, lecz ze starszą. Gdy wyszło to na jaw pan młody zemdlał. Z porządku rzeczy powinien by udzielić rozwodu, kiedy jednak ojciec dołożył rb. 500 posagu, małżonek pogodził się z losem.

* * *

Nowe pokłady złota w Alasce. Z dalekiego Dawson City w Alasce, przed laty kilkunastu środowiska bajecznych pokładów złota obecnie zaś miasta opustoszałego nadchodzi wiadomość, że w odległości 220 kilometrów od niego odkryto nad rzeką Sixty Mileś znów bardzo bogate pokłady cennego kruszcu. Wieść o tem wywołała w cichej mieścinie i w okolicach jego prawdziwą gorączkę. Kto żyw i posiada trochę grosza na żywność, puszcza się w drogę, pomimo mrozu, dochodzącego do 40 stopni Celsjusza. Nie ulega wątpliwości, że drogę do krainy złotodajnej usieją niebawem liczne mogiły.

Interesa katolickiego kleru z relikwjami. W jednym z numerów Związku „Fortschritt" („Postęp") znajdujemy wspaniałe zestawienie jakie interesa robi katolicki kler na relikwjach: zestawienie to poucza nas, jak bezwzględni są ci głosicele „prawdy", gdy chodzi o ich worek. Sprytnie urządzona „ekonomiczna" kalkulacja pokazywania relikwji tylko w pewnych dłuższych odstępach czasu, ma na celu bynajmniej nie to, żeby sobie relikwje musiały wypocząć po robieniu cudów w czasie wystawy, lecz jedynie utrzymanie ich tajemniczości i siły przyciągającej, którąby musiała spowszednieć i zniknąć, a tem samem przestać być źródłem dochodów, gdyby je codziennie można było widzieć. Przez rzadsze ich pokazywanie wywabiają łatwowiernym pieniądze z kieszeni — jedyny cud, jaki relikwje działają.

Drugim, większym jeszcze cudem jest to, że relikwje dadzą się dowolnie pomnażać. Wiadomo bowiem wszystkim, że każdy człowiek, chociażby nie wiedzieć jak był cudowny, składa się z jednego ciała, jednej głowy, dwóch nóg i dwóch rąk, a jeśli się mu utnie głowę lub nógę, to druga na to miejsce już wcale nie odrośnie.

Jednakże według A. Malverta znajduje się w inwentarzu relikwji rzymskiego kościoła:

ze św. Andrzeja 5 ciał, 6 głów, 17 rąk, nóg i dłoni,
„ „ Antoniego 4 ciała, 1 głowa,
„ „ Anny 2 ciała, 8 głów, 6 rąk,
„ „ Barbary 3 ciała, 2 głowy,
„ „ Bazylego 4 ciała, 5 głów,
„ „ Błażeja 1 ciało, 5 głów,
„ „ Klemensa 3 ciała 5 głów,
„ „ Elgjusza 2 ciała, 3 głowy,
„ „ Stefana 3 ciała, 8 głów,
„ „ Jerzego 30 ciał,
„ „ Heleny 4 ciała, 5 głów,
„ „ Hilarego 8 ciał,
„ „ Jana Chrzciciela 10 głów,
„ „ Juljanny 20 ciał, 26 głów,
„ „ Leodegara 5 ciał, 10 głów, 12 dłoni,
„ „ Pankracego 30 ciał,
„ „ Filipa 3 ciała, 18 głów, 12 rąk,
„ „ Sebastjana 4 ciała, 5 głów, 13 rąk,
u apostoła Łukasza 8 ciał, 9 głów, i t. d.

Rozumie się — relikwje są tak rozdzielone po całym świecie, że łatwowierni, wędrujący do jakiejś cudownej ręki, zupełnie nie wiedzą o tem że jeszcze kilka takich samych rąk cudwnych gdzieindziej się znajduje. Np. św. Djonizy istnieje w Saint-Denis i w Saint Emmeran w dwóch kompletnych egzemplarzach, a oprócz tego w Pradze i Bambergu pokazują jego głowy, a Monachjum jedną rękę.

Oprócz tych pomnożonych świętych znajdują się jeszcze inne relikwje. Między temi, które Tetzel z Halle kazał sprawić do Moguncji, znajdowała się także koszula, którą Marja nosiła, gdy porodziła Chrystusa i połowa policzka św. Pawła z 4 zębami.

Wiara ludu w relikwje była i jeszcze jest tak silna że kler pokazuje lub sprzedaje nawet po odpustch najniemożliwsze głupstwa jako relikwje, jak np.: skrzydła anioła Gabryela, oddech Chrystusa w pudełku, promień gwiazdy, która świeciła trzem królom do Betleem, parę westchnień św. Józefa, gdy heblował sękate drzewo, mleko Marji, którem karmiła Chrystusa, szczebel z drabiny, o której się śniło Jakóbowi, mannę, którą się żydzi karmili na pustyni, pigułki na zbawienie, bilety jazdy do nieba i wiele, wiele innych „cudowności".

Dymokrackie medykacje.

Józek przepod we wyborach, ale jeszczy nie przegroł. Trza przeca doczkać, aże mu sie chrypka straci, bo niy mógby godać w parlamyncie. A wygroł tymu, iże nie cyganiół w odezwach kiej inksi. Ale podziwomy sie nieskorzyj nieco, jak rzónd rozkurzy parlamynt i bydą nowe wybory, no, a chcóby za piynć roków. Wtedy pokoże sie hań i wszyndy, za kim lud stoi, czy za tymi, chtórzy mu podatki nakładają, czy za tymi, chtórzy gó bronią. A zaś, kiej my już terazki pokozali swoja siła, to sie nojdzie i wiynkszy zwolynników, bo silnymu wdycki wiynkszy przają ci, chtórzy jegó obrony potrzebują. A takij buksoskiej agitacji, jako uprowiall Brejski i Korfanty tyż już pono nie bydzie, bo na Brejskim sami norodowcy psy wiyszajóm, a o tym miłym Wojtku już hnet nie bydzie czuć w polityce, jino w sprawozdaniach sądowych, a możno w Ameryce.

Za to w całkiej Rzeszy niemieckiyj momy tela posłów z naszyj partyji, co nijak piyrwy nie bóło. Hnet całko stówka to nie beleco, zaś we czwortek bydzie wiynkszy. Terazki już sie wiy, s kim trzymo sztanga wiynkszy jak czworto czyńść ludności w całkim państwie. Ale rzónd jeszczy przed ściślejszymi wyborami prawiół, iże trza piyniyndzy na flota a wojoków, coby wszyjskich burżujów trzymać w kupie. Poparli nos przeca postympowcy nieco przy wyborach, ale jak poprą przy uchwałach w parlamyncie jeszczy nie wiemy. Prawica a cyntrum zaś tam bydą mieli wiynkszość jeszczy, kiej nacjonalliberały a inksze mitlaufery pójdą ś nimi.

A trzaby, coby s tymi podatkami od żywności i inkszymi cłami razym zrobić porzóndek, coby tyn nowy parlamynt isto zabroł sie do roboty. Momy za tela starych tpraw, ale wszyjskie dziurawe kiej nasze kabzy; a nowych trza tyż kupa. I radziółbych tyż, coby zredagowali nowy instrukcjonsbuch dlo tych urzyndników, co te prawa wykonujóm, albo dajóm pozór, coby je obywatele wykonywali. A dlo sóndów pruskich tyżby sie zdało wydać tako instrukcjo o prawach rzeszy, bo nie wszyjskie je zrozumiały. Na tyn przykłod prawo o zebraniach i stowarzyszyniach rostmaite policaje wykłodają se różnie, a sóndy hnet a hnet padają, co mają prawie; a to nie możno. Ale choć sóndy przyznają sprawiedliwość pokrzywdzonym, to policaje zaś wdycki swoje robią inakszy, nie tak, coby ludziom było dobrze, jino, coby nojwiynkszy kary płacili. Tagbych miyniół, coby na takich policajów, chtórzy przez swoja głupota albo złośliwość narobią ludziom kosztów, nakłodać grube kary a przykozać im koszta zwrócić, wtedy hnet byłoby wiynkszy spokoju. Ale kiej kożdygó, co nie chce uznać móndrości bele pikelhauby, wyzywają dymokrat, a kożdygó dymokrata rewolucjonista i umsztyrcler, a jeszczy wiynkszy ludzi gorszą, to nijak spokoju utrzymać nie możno. A zaś trzaby tyż pouczyć ónygó ministra, co to wydoł policajom pozwolyństwo, iże wolno im wszyndy nos wtykać, tegó tyż trza wziónć na egzercerka, iże w zamkniyntym towarzystwie kożden niezaproszony je zawalidróga, a takiygo chyto sie za kragla a ciśnie, kandy miejsce wolne.

Za tela roboty bydzie mioł nowy parlamynt. Na inkszy roz napisza mu swoje wnioski, dzisiog ech niemocny. Zima belejako, ale wdycki zima z rymą, z mrozem, śniegiem a błotem i drożyzną. Katowskie sztatraty wyónaczóły se, iże drożyzny w Katowicach tak prawie niyma, ale ta drożyzna furt nie pyto, czy te sławetne ojce uznają łaskawie jej panowanie czy nie, jino furt rzóndzi a ucisko. A iże nie mogą te panoczki nic inkszygó wymedykować, jino podatki a wydatki na tyjatry, co tu go zowią rajtban, a na koncerthauzy a na wsparcia dlo krygierów, hakatystycznych turnerów i inksze hura ferajny, a na cuchnąąco Rawa i na drożyzna niy mają lyków, przeto w tych nowych wyborach gmińskich trzaby im nieco ująć starości a posłać inkszych na ich miejsce. Nie można tak wszyjskich nauczyć rozumu, kiejby się chciało, bo i tu na trzy klasy podzieleni są wyborcy, wedle kabzy a prawa, co sie nie zwie prawem mocniejszygó, jino sprawiedliwością czystą, przytem kożden mo swojygó anioła stróża, co daje pozór, aby nie zboczół „z drogi prawyj". Ale chtó może, powinien iść i tu w Katowicach a w inkszych gminach na wybory, coby aby jeden albo pora głosów naszych mieć w radzie, ale za to tak silnych, kiej trąby jerychońskie, coby budziły ze snu tych, chtórzy miynią, iże są stworzyni na obroz a podobiyństwo boskie, ale ciemni jak tabaka w rogu.

Gustlik Bzskuryjo.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott z Zabrza.

Nr. 5. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 3 lutego 1912.

STANISŁAW PŁONKA.

KNAJPA.

Położona była na rogu ulicy, kędy ruch miasta krzyżował się w zapędzie codziennego życia. Zewnętrzne mury nie odznaczały się niczem od innych kamienic. Tak samo szare, tak samo wysokie. Okna wystawne wązkie, nieznaczne, dość honorne, by gościć kilka zakurzonych butelek, które różnorodnym kolorem upiększyć miały niegustowną dekorację. Czy winna rzadko czyszczona szyba, czy zdane na łaskę kurzu flasze, dość, że ich zielone, czerwone, żółte kolory przypominały przez malarza w śmietnik rzucone farby, lub w suterenach apteki od lat schowane trucizny. Właściciel musiał być widocznie niedobrym kupcem. Albo był to gości jego gust? Mówiono bowiem, że kamienica jest knajpisty własnością — a zaczął za pożyczane pieniądze. Czyżby długoletnie istnienie knajpy polegało na złotej kuli, jedynej reklamie, która powyżej wejścia żelaznym drągiem trzymana, wryła się w mur?

Tutaj w sobotę, mnoga liczba rycerzy, herbu łopata, ma swoje sejmiki. Odziani są od stóp do głów w lite z błota łachmany. Wyżej stojący, szermierze z młotem lub kielnią, mają nalepione stosowne odznaczenia. Miast błota lub łajna końskiego, brudzą cementem i wapnem; zamiast kanałowego smrodu, cuchną smołą czy smarowidłem.

O godzinie 9 wieczorem ulica pustoszeje. Przechodnie szynkowni, w błyszczących trzewikach, a którzy późno skądś wracają stronią zdaleka od knajpy. Jedynie policjant opiekun znajduje się w pobliżu i gwiżdże sobie pod nosem nutę, na którą go nastroiła bliska obecność destylarni: „Pijmy jeszcze duszkiem!“

Że zaś uważa tylko na każdego, co z knajpy wychodzi, a na żadnego, co wchodzi, możemy więc spokojnie zajrzeć do wnętrza.

Więc wejdźmy.

Tłum, gwar, dym. Niby świeci się, a przecież ciemno. Twarze zachmurzone, niewyraźne. Przy szynkfasie ciżba. „Za dwadzieścia! pół litra“ woła bezustannie. Butle frugają. Gruby palec gospodarza łechta ich pięty. Te, wrażliwe, skaczą z regalu i bulgocą. Oddawszy mniejszym pół duszy, schwycą ją zgrabiałe ręce, pieszczą niby schwytanego ptaszka. Zaniesione na stół, błyszczą chełpliwie wypiętym brzuchem, wśród czarnych rąk. A wśród tego gwara-rozmowa. *)

— Patrz, wziął flachę i się wynosi. Z nami nie trzymie, tylko z babą wypija. A syn jego na budowniczego rżnie, kołnierzyk za uszy i pana gro. Po kawiarniach się migo, a biednych ludzi oszukuje. Smarkocz! Stary jego buł dawniej rod, jakżem go wkręcił zimą do kisu. Dziś łobuz jego u Starego w biurze. Jak widzę takum cholerę w kołnierzyku, to mi się żygać chce. Niech się psiakrew wpierw nauczy robić, niech sobie gnoty powykręco, to będzie wiedzioł, ile się na godzinę należy.

Możesz wiedzieć było to w poniedziałek. Jechaliśmy na szarwark, no i jak to po drudze: chlyb w łape i śniodanie przy wóziku. Zajechaliśmy z rusztowaniem, i drugi roz nawrocumy po deski. Po drudze dyszcz coś może z godzinę. Tako ulywa — więc co było robić: jechało się w dyszczu. Djaboł wiedzioł, że inni na budowni w tym czasie nie robili. Przyszła sobota. Przy wypłacie pyto mi sie tyn smarkocz, tegu Mrówki łobuz: dość mom godzin? Jo muwie — pełen tydzień. A un: Nieprawda, wszyscy mają tylko dziewięć. Jo muwie: Co mnie to obchodzi co inni mają, kiedy jo cały tydzień robiłem. I wiesz? Nie chcioł mi zapłacić, musiołem czekać, aż wszyscy poszli. I żeby nie Maćkowiok mulorz, nie zapłaciłby mi — miołby na papierusy. Naturalnie poszedłym sobie. Stary dopiero by się śmioł, jakby jego synek nami tak kumynderowoł. Poszedłem do żyda i mom robotę fest. Nadźwigo się człowiek tych miechów, ale żydzisko płaci. Na, kto pije? Dalej Antek, bo tak sie ociągosz, jakbyś mioł dosyć. Antek schwycił kieliszek: W twoje zdrowie! Pij z panem Jezusem. — Milczenie. — Wszyscy trzej byli zajęci uwagą, jak Antek wypił i nalał powtórnie.

Schwycił Walek. Prost! — gustuje. — Znowu kolej była na Marka, ale że dopiero raz w koło wypili, więc uważał za stosowne, rozpocząć nową dyskusję.

I jak tam z twoją? — zapytał Antka.

— Ee... jak baba. Robi tjak wół, nic nie chciałaby sobie pozwolić, ino wiecznie rwać. Wiecznie mi tam szopki opowiado o kasach pogrzebowych, o towarzystwach. Una rozumiesz tyż tak chciałaby, żebym tak jak tyn Mrówka. Co dzień do dumu, w sobote za trojoka we flaszke i z nią sobie wypić. — Głupio niby nie myśli, bo nie straci się tyle i mosz trzeźwy łeb. Ale tam psiakrew! choroba mnie bierze, ile razy przyjdę do tego dumu: to nim ci tam uszykuje te kolacjum, nim się umyjesz, to musisz czekać godzine. To roz pierze, to szoruje, to znowu dywany komuś trzepie i djabli wiedzum, nigdy z robotą kuniec. Nim tam zrobi ogień — i jeszcze czasem muszę jej dopiro drzewo rumbać — to trwo półtory godziny. Nim te lure mosz na stole i chlyb z gzikiem albo z smolochem. Więc sprzykrzy ci się. Rod jesteś jak przyjdzie wieczór i mosz fajrant, niż tam jeszcze „überstunde“ z babą. I co dostanie za te posługi? ledwie na kumorne wydłubie. Jak jej to muwię, to mi płacze, narzyko na mnie: że nic nie szporum, że po knajpie mi się chce siedzieć, że mom zatraconą duszę i djabli wiedzum. Mo to jaki syns? Coprowda, pożygają cię lokatorzy, jak idziesz przez podwórze i zawadzisz czasem o mur, nim się na te czworte piętro wgrachlosz. Ale gdzie mosz iść w takich porach i katanie? A to mi wstyd robisz — trajkocze — a tylko się spowiadej, co to za grzych. Toć człowiek nie głupi. Od Rekolekcji chciołem niepić — odrzekłem się — ale człowiek żył jak więzień. W sobotę posłołem dziewuchę z flaszkum, wypiłem za tego trojoka z nium do kupy, ale co: ani się rozmów z kim, ni nic. Przy robocie nie można, po fajrancie do dumu, w sobotę do dumu. Żeby choć kupiła co przy sobocie do chleba, ale to znowu post. Więc tak siedzisz jak w klasz-

*) Rzecz dzieje się w Poznańskiem.

Львівська Бібліотека
АН УРСР

torze i patrzysz na tę biedę. Roz trafiłem Frąckowioka i powiado: „Pójdź, tak dawno cie nie widziołem, robie u Masłoskiego i polir pytoł sie o ciebie. Ne mieliśmy gdzie pomówić, więc wstąpiliśmy do Grindera. Jak wlozłem do knajpy żałowołem, ale potem nie żałowołem. Najlepsze, miołem przy sobie pieniądze na kase pogrzebową odłożone w kieszunce. Mówię Masłowskiemu o kasie pogrzebowej, a un powiado: Będziesz głupi i za życio twój pogrzeb broł na odpłatę. Boś to ty szafa albo maszyna? Więc prze piłem na te konto całą kasę pogrzebową. I teroz pje furt.

— Masz rację — dorzucił Walek — nima jak wypić sobie jednego, i to w knajpie, ale porządny, gdzie wleją ci do miary i dobrą mają gorzołę, nie tam żodne farbowane paskudy. Mnie tyż — tyż chcieli wciągnąć do tego bractwa wstrzemięźliwości. Nawet roz mego sąsiada łoboz — un jest kolejorzem — zaprowadził mnie na gospodę wstrzemięźliwości. Wszystko możesz dostać, tylko nie gorzoły. No, było tam dosyć czysto. Jak przy niedzieli, można tam z bębasem swoim posiedzieć. Ale nie od roboty! Posodź się tylko w jakiej restauracji a nie miej kołnierzyka, zmierzą cię od stóp do głów. Gospodorz gotów wziąść cię za chachoł i wyrzucić. I o czem tam możesz pomówić? Gęby nie otwórz, żeby się kto nie obraził. A jak widzę tych drani w kołnierzyku, to mi cało ochota do wszystkiego zginie. Z łopatum nikt nie chciołby pracować. Więc my tyż łopaciorze tylko tu możemy się rozrucać. Na zdrowie psiakrew! Zafundujemy sobie jeszcze pół litra i cygarów. Niech będzie gorzoła i cygary. Wziął flaszkę i poszedł do szynkfasu

— Kwortę z esencją — zawołał tamże inny jeszcze głos. W odpowiedzi frunęła butla z regalu i ukłoniwszy się nad lejkiem oddała blisko pół duszy. Ta zaniesioną była w litrowej flaszce do stołu, gdzie siedziało czterech tęgich chłopów.

— No tak — zaczął najtęższy, przymrużone oczy jego jakby się ciągle śmiały — teroz z ciebie „karlus". Żebyś był przed południem fundnął, nie byłaby ci czerwono z nosa kapała. Ale myślołeś, jestem młody, to tych dziadów nie mom się czego boć. A tu bratku, gnoty jeszcze miękie. Rama*) nie kawoł mięsa, da się bić. No, ale jazda, pij pierwszy. Młody nalał kieliszek, ręka trzęsła się mu Na to grubas: Ah ptoszku, jak ci się to rączuchna trzęsie? Widzisz? — tak, tak, jakżem jo pierwszy roz zaczął ramować, to nie mogłem sobie guzika zapiąć. No, tobie żeśmy jeszcze tak nie wyskrobali, bo chocioż mosz miękie gnoty, to jednak nie chciołeś się poddać. Ale tymu mądrymu Sobkowi!... To przedpołudniem jeszcze wytrzymoł, ale popołudniu wziął karteczkę od poliera i do doktora. Kwartoł leżoł w krankowni. Grubas połknął: Mogłeś kozać domieszać koniaku — ale to na drugi roz. Nigdy tyż nie musisz zapomnieć wypić jednego. A przytem dobrze żyć. Patrz na mnie. Dwadzieścia pięć lat ciągnę ramą i co mi jest? Niech się no ino który postawi. Spytaj się Wojtka, jakżeśmy wyrobili tymu Maćkowiokowi. Gorączka, żywy ogień z nieba. Pić chciało sie jak cholera! a mój Maćkowiok jakby nie wiedzioł, że trzeba się wkupić. Oj bratku, myślę sobie, będziesz dmuchoł. Więc bijemy kwandrans, już popuszczo, zostaje w tyle, pół godziny, czerwono kapie i jeszcze bardziej w tyle — trzy kwadranse: stoimy. Mój Maćkowiok jak tyż postawił, tak tyż usiodł. Przychodzi polir Szulc, ślązok pyto się: „Geht nicht? A un ślepie wywalił i powiado: karteczkę, panie polir. Wszyscy czworo zaśmiali się rubasznie. Młody zwiesił głowę, — Na, koż wloć tam jeszcze. I młody zawołał przy szynkfasie i butla ukłoniła się, dając gwarancję, że po tem piciu młody wytrzyma na poniedziałek.

(Dokończenie nastąpi).

*) Rama, ubijacz żelazny do bruku.

Elektryczność a koleje żelazne.

Ruch na kolejach żelaznych, szczególnie na szlakach głównych, tak się ciągle wzmaga we wszystkich państwach cywilizowanych, że już dziś coraz bardziej powstają narzekania, że koleje żelazne nie spełniają należycie swego zadania. Z drugiej strony trzeba powiedzieć, że sprawność lokomotyw parowych doszła już, o ile to można powiedzieć, do ostatnich granic; zapewne jeszcze niejedno w nich się poprawi lub zmieni, ale żeby ich działanie było o wiele mocniejsze, niż teraz, trudno myśleć, tembardziej, że powiększenie lokomotyw na szerokość jest poprostu niemożliwem z przyczyny, że szerokość toru jest stała i we wszystkich państwach europejskich z wyjątkiem Rosji i Rumunji jednaka.

W tych okolicznościach trzeba pomyśleć o gruntownej reformie kolei żelaznych, by mogły sprostać coraz większym wymaganiom pod każdym względem.

Sam przez się nasuwa się pomysł zastąpienia lokomotyw parowych siłą elektryczną, a to z następnjących powodów:

Uniknie się dymu, który nietylko jest wielką dla jadących koleją żelazną nieprzyjemnością, ale przez osiadanie sadzy, brucze, czerni i zanieczyszcza wszystko, co znajduje się na kolejach żelaznych i w ich pobliżu, a nawet dla wegetacji około stacji dworców, tudzież dla lasów przylykających do torów jest wprost szkodliwy. Te niedogodności z użycia węgla potęgują się w przejeździe przez tunele, których przybywa coraz więcej, do tego stopnia, że w wielu długich tunelach zniesiono przejazd lokomotywami parowemi, a zaprowadzono ruch elektryczny, ta zaś przemiana ruchu jednego na drugi łączy się ze znaczną stratą czasu i innemi niedogodnościami.

Ruch elektryczny wypada taniej, niż parowy, bo elektryczność wytwarza się w elektrowni i po przewodnikach wysyła na miejsce potrzeby, lokomotywa zaś parowa sama sobie siłę wytwarza, a wiadomo, że produkcja siły wypada tem taniej, iż na większy rozmiar wytwarza się ją na jednem miejscu.

Do lokomotywy trzeba używać dobrego materjału opałowego, by w danej chwili otrzymać jak najwięcej pary, gdy prąd elektryczny można otrzymać także za użyciem węgla niekoniecznie doborowych gatunków.

Ten opał potrzebny dla lokomotyw parowych trzeba dowozić nieraz na bardzo znaczne odległości, osobliwie w krajach nie mających węgla własnego, co oczywiście znacznie powiększa koszt ruchu na kolejach żelaznych.

Lokomotywa parowa musi sama wozić sobie węgiel i wodę, a zatem ciężar martwy, czego niema w ruchu elektrycznym.

Wydatność ruchu elektrycznego jest większa od ruchu za pomocą lokomotywy parowej, która może być czynna tylko na pewną odległość, co najwięcej kilkuset kilometrów, potem trzeba ją w ruchu zatrzymać dla oczyszczenia z sadzy a osobliwie rusztów z żużli, przyczem i to należy mieć na uwadze, że lokomotywa parowa co pewien czas musi się zatrzymać w drodze dla nabrania węgla i wody. Tego wszystkiego niema w ruchu elektrycznym.

Lokomotywa elektryczna jest każdej chwili do użytku gotowa, w lokomotywie zaś parowej trzeba za każdym razem osobno ogień rozpalić i czekać, dopóki nie wytworzy się dostateczna do ruchu ilość pary.

Utrzymanie lokomotywy elektrycznej jest tańsze od parowej, bo w niej nic się nie zanieczyszcza od materjału wydającego siłę, gdy w lokomotywie wszystko zanieczyszcza się od węgla i produktów jego spalania. Prócz tego w lokomotywie parowej części stanowiące właściwy mechanizm ruchu są wystawione na szkodliwy, wynoszący się z toru podczas ruchu pył, w lokomotywie zaś elektrycznej te części są zasłonięte.

Tor kolejowy dla ruchu elektrycznego nie wymaga takiej ciągłej naprawy, jak dla ruchu zapomocą pary, a to z następującej przyczyny: W lokomotywie parowej ruch postępowy tam i napowrót przemienia się w obrotowy i to

sprawia ogromne trzęsienie się lokomotywy, gdy w ruchu elektrycznym tego wszystkiego niema. Lokomotywa elektryczna może prawie w jednej chwili przejść ze spoczynku do najszybszego ruchu i odwrotnie, gdy lokomotywa parowa potrzebuje pewnego czasu do przejścia ze spoczynku w ruch najszybszy. To ma bardzo wielkie znaczenie dla kolei, na których z powodu wielkiej frekwencji pociągi w krótkich odstępach czasu muszą iść po sobie. Tory przeto można lepiej wyzyskać w ruchu elektrycznym, niż parowem.

Ale i większe jest bezpieczeństwo na kolejach elektrycznych, niż parowych, bo na pierwszych same maszyny bardzo mało wymagają starania i uwagi ze strony maszynisty, który przeto może więcej czasu i baczności poświęcić na sam tor, na sygnały i na to, co się dzieje koło toru, na lokomotywach zaś parowych musi maszynista ciągle uważać na mnóstwo rzeczy tyczących się samej maszyny.

Nakoniec jak wiadomo, iskry wypadające z komina lokomotywy parowej są niebezpieczne dla budynków w bliskości, a osobliwie dla lasów i straty z pożaru ztąd wynikłego są nieraz bardzo znaczne, jak tego dowiodło ostatnie lato nadzwyczaj upalne i suche, w którem przyszło w wielu miejscach do ogromnych strat w lasach przez pożary rozniecone przez iskry z lokomotyw.

Te wszystkie ważne względy skłaniają do zastanowienia się nad tem, czy by wobec możności przenoszenia siły na odległość w postaci prądu elektrycznego nie należało kolei z lokomotywami parowemi zmienić na koleje z lokomotywami elektrycznemi. Tam oczywiście, gdzie są, jak szczególniej w Szwecji i Norwegji, liczne i wielkie wodospady, można łatwo zmienić ruch parowy na elektryczny. Tam, gdzie ich nie ma, jest zaś węgiel w ziemi, można tuż przy kopalni wytwarzać prąd elektryczny, by uniknąć kosztów przewożenia węgla i przesyłać po odpowiednich przewodnikach na miejsce potrzeby. Ponieważ doświadczenie jest najlepszym probierzem praktyczności pomysłu, zrobiono próbę i zbudowano osobną kolej elektryczną z Dessau do Bitterfeldu, mającą 26 kilometrów długości; prądu dostarcza położona obok kopalnia węgla brunatnego w Muldensteinie. Próba wypadła doskonale tak, iż rząd pruski nosi się z myślą zbudowania kolei elektrycznej z Magdeburga do Lipska, a ztąd do Hali nad Salą tudzież kolei z Labanu do Konigsrettu. Tej ostatniej dlatego, by wypróbować ruch na kolei ze znacznemi wzniesieniami i spadkami i z pociągami ciężarowymi.

Rozmaitości

Dom o 8000 oknach. Nowy ten „drapacz nieba", przewyższający wszystkie dotychczas istniejące, stanąć ma rozumie się w Nowym Jorku i to na placu po spalonym gmachu tow. ubezpieczeń „Equitable". Olbrzymi ten gmach o 62 piętrach, wysokści 300 metrów, zbudowany będzie całkowicie ze stali i betonu. Z kształtu zewnętrznego będzie przedstawiać trzy sześciany, postawione jeden na drugim. Ogółem cały budynek przedstawiać będzie 8000 okien a na dachach sześcianów urządzone będą naokoło tarasy z ogrodami, żeby mieszkańcy olbrzyma nie potrzebowali wyjeżdżać z miasta dla zaczerpnięca świeżego powietrza.

* * *

Wśród eskimosów. Znany porucznik dr. Nordenskjöld w tych dniach we Wiedniu wygłosił odczyt o swoim ostatnim pobycie w Grenlandji, wśród eskimosów. Wyruszył przed laty dwoma z Kopennagi w celu zbadania stref nieznanych. Na łodzi dotarł w głąb kraju. Oczom jego przedstawiły się wspaniałe widoki gór i jezior przeważnie słonych. Na górach sterczyły jeszcze ruiny, zabytki kultury z czasów Wikingów. Eksplorator zbadał niezwykłe bogactwa mineralne Grenlandji, obfitującej zwłaszcza w miedź. Zawiera też fiolit, aluminjum, natrjum i chlor. Grenlandja ma 14 tys. mieszkańców roproszonych po kraju. Mieszkają w domach zbudowanych ze zwałow skalnych i z kamieni. Te siedziby są tak mocno ogrzewane, że chodzi się w nich bez żadnej odzieży. Życie rodzinne bardzo rozwinięte. Kobiety mają głos we wszystkich sprawach i udział we wszystkich pracach, a ich zalotność jest niemniejsza, niż w umiarkowanym klimacie. Eskimosi żywią się przeważnie rybami, lecz chętnie piją kawę i wódkę, a lubią też palić tytoń. We wszystkich osadach są szkoły, zbudowane przez towarzystwa misyjne. Wychodzi raz na rok czasopismo, krążące od osady do sady. W każdej są sklepy, a nawet rodzaj giełdy produktowej. Słowem Grenlandja europeizuje się coraz bardziej.

* * *

Katastrofa w hucie żelaza. Niezwykłej katastrofy widownią była kopalnia rudy żelaznej „Phoenix" w Ruhrort pod Duisburgiem. Donosiliśmy już o tem pokrótce. Oto pękł tam nagle z niewyjaśnionych dotychczas powodów olbrzymi piec hutniczy, napełniony żelazem płynnem, siejąc dokoła śmierć i zniszczenie.

O katastrofie tej donoszą z Dnisburga szczegóły następujące: P między godziną 2—3 w nocy, gdy praca przy piecach hutniczych szła zwykłym trybem, nagle, bez żadnych oznak ostrzegawczych, jak szum, trzask lub wrzenie, rozwarły się ściany ogromnego pieca Nr. 7 i zawaliły się z łoskotem ogłuszającym, a olbrzymia masa płynnego, jarzącego się żelaza spłynęła sycząc na pracujących w pobliżu robotników. Nastąpiło to tak szybko, że żaden z nich nie zdołał pomyśleć o ucieczce. W pierwszej chwili nieszczęśliwi osłupieli z przerażenia, zanim zaś zdołali oprzytomnieć, już fala żelaza okryła ich całunem śmierci. W ten sposób zginęło na miejscu 9 robotników, majster zaś hutniczy Franken i 3 innych robotników odniosło poparzenia i okaleczenia straszne.

Pęknięty piec, wybudowany według wszelkich wymagań techniki nowoczesnej, ukończono dopiero na jesieni z. r., oddany zaś do użytku, działał zupełnie zadowalająco. Rzeczoznawcy przypuszczają, że powodem katastrofy mogło być utworzenie się w górnej części pieca zwału hermetycznego z wrzuconej do niego rudy, pod nim zaś luki, rozszerzającej się w miarę topienia się warstw niższych rudy. Gdy wreszcie ogromna pokrywa hermetyczna zapadła się pod naciskiem atmosfery zewnętrznej, ściany pieca nie wytrzymały ciśnienia i rozwarły sie, wypuszczając potoki żelaza.

Według dalszych wersji, miało zginąć również 3 robotników, stojących na ganku u górnego otworu pieca. Nieszczęśliwi ci, widząc zawalające się ściany, skoczyli z ganku na rusztowania, położone o kilka metrów niżej. Znaleziono ich tam bez życia. Jeden z robotników spalił się żywcem przyciśnięty przez gruzy.

Wogóle dokładna liczba ofiar nie jest jeszcze znana, wobec zupełnego spalenia ciał przez żelazo rozpalone. Wykaże ją dopiero sprawdzenie listy robotników, pracujących przy piecach.

* * *

Wycieczka przez Saharę. Młody francuz chce przelecieć w latawcu przez Saharę. Nazywa się Le More i ma lat 24.

Ażeby zbadać, o ile jego cel jest możliwym do urzeczywistnienia, postanowił wprzód poznać Saharę.

I pewnego dnia, wziąwszy ze sobą tylko pieniądze i walizkę, bez hałasu pojechał do Algieru pociągiem jak najdalej — do ostatniej stacji kolejowej, stamtąd wziął jeden wózek i drugi i dojechał do Ghavdaji, która jest ostatnim punktem, dokąd można dojechać.

Tam kupił broń, wielbłąda, dostał przewodnika i niespodziewanego towarzysza podróży, żądnego wrażeń araba, który nazywał się Lassi.

Maleńka karawana, wziąwszy zapasy żywności i małe łóżko składane, ruszyła w podróż i tydzień była w El Eolia. Tam

stoi posterunek francuski, od którego nabył mały namiot składany i po 13 dniach był w In Salah, gdzie mieszka małżeństwo francuskie Godeberge, samotne, wśród bezmiernych przestrzeni, a zwane „opatrznością pustyni".

Z jednym jeszcze towarzyszem Le More pojechał stamtąd do Tomarasci, gdzie mieszka misjonarz de Forcaud. Tam opuścił Le More'a towarzysz z In Salah, i dalej z dwoma tylko arabami Le More jechał przez dni 29, nie spotkawszy żywej duszy, poczem stanął w stacji francuskiej Kidal.

Tam zaczynał się kraj niebezpieczny. Świeże groby wskazywały na niedawne bitwy. Po 10 dniach podróżni byli w Gao, skąd rzeką dostali się do Tombuktu.

W powrotnej drodze Le More spotkał tuoregów, uciekających przed rozbójnikami. Le More stanął na ich czele i z łatwością odparł napad i powrócił nieznaną dotychczas drogą, zabierając po drodze ciało zaginionego kiedyś na Saharze oficera Jolly.

Do Algieru wrócił Le More po 13 miesiącach nieobecności, przebywszy 8000 kilometrów.

— Byłem przekonany — mówił — że przebycie Sahary w latawcu jest utopją. Powracam z przekonaniem, że podróż jest możliwa. Spróbuję jej dokonać.

Człowiek, który prawie bez zapasów z takim spokojem odbył „wycieczkę" do Tumbuktu, chyba przeleci tam z Algieru w latawcu.

* * *

Uroczystość otwarcia kolei przez morze odbyła się 23 b. m. Kolej ta — jak donoszą z Nowego Jorku — łączy ląd stały ze słynnem z wyrobu cygar Key-Westem, położonem na wyspie u południowego cypla półwyspu Florydy. Aby sztuki tej dokonać, musiano przeprowadzić linję kolejową długości 120 kilometrow nad morzem, używając za podstawę do mostów kilkudziesięciu wysepek, ciągnących się łańcuchem od lądu stałego do Key-Westu. Budowa tej niezwykłej koleji trwała 6 lat i kosztowała kilkanaście miljonów dolarów. Długość nowej koleji wynosi 200 kilometrów.

* * *

Przymarzł językiem. Gazety praskie opisują następujący komiczny, chociaż mocno Ameryką pachnący wypadek jaki, wydarzył się podobno niedawno w południe na jednej z ulic Pragi, wywołując wśród licznych przechodniów ogromną, trudną do opanowania wesołość a równocześnie i litość dla niebacznej jego ofiary. Oto około godziny 12 w południe, kiedy właśnie wychodziły dzieci ze szkoły, jeden z chłopców, widocznie dla żartu a może z głupoty przytknął język do zmarzniętej kraty żelaznej, otaczającej jeden z pałacyków. Zmarznięta krata, bo mimo południa mróz wynosił prawie 20 stopni mrozu, uchwyciła tak silnie chłopca za język, że nie mógł go w żaden sposób oderwać. Około trzymanego na uwięzi za język chłopca zebrały się wkrótce tłumy przechodniów, nikt jednak z nich nie umiał poradzić ofierze własnej nieostrożności. Tymczasem chłopak zanosząc się od płaczu, stał przy kracie, cierpiąc dotkliwy ból. Po długiej dopiero chwili przyniesiono z sąsiedniego domu gorącej wody, którą ogrzano kratę o tyle, iż chłopak mógł wkońcu oderwać od niej język, zostawiając na kracie całą z niego skórę.

* * *

Napad wilków. W pobliżu Kostanzy, w Rumunji, stado wilków napadło na trzodę, liczącą 380 owiec. Wilki zagryzły wszystkie owce tak, że nie pozostawiły ani jednej przy życiu.

Dymokrackie medykacje.

Piyknie bóło! Piyknie. Cołko stówka a dziesiątka ku tymu naszych posłów w parlamyncie, to se trza uznać.

Czorno-modry blok sie rozwalół, puk kiejby smok, co sie ożar siarką. Ale rychtycznyj lewicy jeszczy niy ma. Bo nacjonaliberały wdycki w lewicy nie siedzą, jeszczy im flota a wojoki a kolonije i inksze zbytki w pałetach; jeszczy i wolnomyślni spamiyntają sie hnet a hnet na blok Bilowa i większy kamracą sie z bogatymi burżujami jak s nami. Powiedzmy se: jeszczy tam mało naszych! A to sie wiy, iże Cyntrum terazki wiynkszy sie staro o Berlin jak o Rzym, wiynkszy o łaska rzóndowo jak bosko. O konserwach a rzóndowcach już nic nie mówia, ani o tych, co sie miynią „języczkiem u wagi" a są na podoba chorągiewki od wiatru; niech se jino tyn „języczek" nie sparzy języków. No, ale chopy a baby i dziołchy tyż, terazki pozór! Nacieszyli my sie zwyciynstwem, terazki bierma sie do roboty, coby nos a naszych posłów zaś było jeszczy wiynkszy, a nieskorzy podziwomy sie; inakszy nie my bydziem rzóndzić naszym zdrowiem i życiem, naszą siłą a kabzą albo i duchem, jino inksi. A ci rzóndzą nami na nie nasze dobro, jino na swoje, a na nasza krzywda. Za telo jeszczy ciymnych braci, trza ich oświycić, a zbudzą sie przeca ze snu.

Starych wychować już nie lza bardzo, trza wziąć młodszych na egzecyrka, a szkudy tyż już. Bo ta mało gadzina dzisiok nic większy nie wiy, jak bery o starym Frycu a jegó przyjacielach, o kornblumach i śpiywać hajdyrymzygerkranc. Ale to je tak zaś: kiej ich nauczą jino wychwolać tych, co inkszym brali herbowizna i jeszczy żyli z ich pracy, to takie szkudy co ciymniejsze nieskorzy miyniom, iże takich trza wdycki suchać; te, u chtórych nauka nie poszła do lasa, wykalkulują se zaś, co im tyż lepszy buksować jak robić; a kiej te światlejsze dojzdrzeją, to uznają se, iże tak być nie można. To potym z tych posusznych robią sie maszyny, a tych buksów na stare lata wyckowuje sie sztrafparagrafami, a tych, co na taki porządek pomstują, nazywo sie rewolucjonistami. To je ta zachwolano prusko szkoła. Wiaziołech tyż takiygó pono dobrygó szkólnika od 10 roków; niós se taki pełen gornek od nocy do ónyj małyj izbetki na połowie schodów i śpiywoł hajdyrymzygerkranc; kiej odwar dźwiyrze, to jeszczy pobożniyj śpiywoł. Pukać możnoby na taki patryjotyzm, ale litować sie trza, jakie to boractwa te szkólniki za te ostmarkenculagi.

W Chinach już takich błoznów nie bydzie, bo tam już trón zdziadzioł a półbosko rodzina wziyna papiyry. Kożden bogaty od tysiónców roków wdycki tam wyzyskiwoł ubogiygó, urzyndniki i tegó i ónygó, a korona, i dawniejszo i ta z bożej łaski ukradziono, wyzyskiwała wszyjskich społem. To sie miyniło, iże nijak tam już porady nie bydzie. Ażeby tu lud chiński bydzie rzóndził sie som w tyj nowyj republice. Szczęśliwo szychta! Ale bo te inksze świałe narody są tyż jino do pokornygó posuchu, a nojwiynkszy tyn co sie chwoli, iże je „noród myślicieli". Bo ón tyż myśli o wszyckim, jino nie o swoji biydzie albo, ażeby inkszym ostudy przybyło. Hnet a hnet raduje sie tyż, ale jino na komynda, wtedy marznie w paradzie albo ożyro sie a choruje, coby inksi byli zdrowi. Chciołbych, coby przyszłe wybory pokozały, iżech chybiół; już teraz bóło nieco lepszy.

Tnrcyjo furt sie wadzi z Italiją o Tripolis. I byłaby se to jino tako mało wojoczka, coby niekiere gazyty miały co pisać! Ale terazki te italjany wziyny pora okrętów francuskich, a przy Tunisie robią Francyji na bzdury. Nie wiym, czy te gazyty francuskie mają prawie, co padają, iże Niymcy namówiły do tego italjanów.

Boroczka Persyjo jeszczy nie poniechała opieka europejsko chtóro sie wdycki jino tym opiekuje, co mo w kabzie albo hnet do nij chce włożyć.

Gustlik Beskuryjo.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott z Zabrza.

Nr. 6. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 10 lutego 1912.

STANISŁAW PŁONKA.

KNAJPA.

(Dokończenie.)

— Lij do pełnygo, bo i tak zdechnę — wykrztusił ochrypło człowiek-widmo do dwuch kumpanów, patrzących w jego głębokie doły oczu. Ady bajesz, pij tylko ze sokiem, to jeszcze rumieńce dostaniesz, wybełkotał Kajdek.

— W zdrowie Kajdek! — wyciągnął Walek. „W zdrowie“ zastygło w sinych ustach Józefa. Władek wypił i nalał. Patrz, jak pluje! wykrzyknął wystraszony Józef. W dołach jego oczu zamigotało coś siarczanym blaskiem. Ady fantazujesz, uspokajał Władek, to jo nalołem. Józef wypił.

Za dużo soku w tej okowicie. Patrz, jako czerwuno. Ale gdzież Józek, mlasnął Władek, dobrze zmieszoł. Może być. Wszystko mi takie mdłe, słodkie. — Myszy w nocy widzę. Biołe myszy gryzły mi buty. Psiakrew, jak mi się tyn sok malinowy odbijo. Patrz, jak pluje, patrz!... Kto? Józek, to jo nalołem. A tak, w zdrowie Władek, Kajdek. — Mdło, mdło. Czysty! czysty!! bo wyżygum. Władek przyniósł czystą. — Dzwonek zadzwonił. Nalej tej święcunej!

Wypił. — Teroz mi lepiej — zaśmiał się Józef pła czliwie. Oż rumieńce dostołeś, pożartował Kajdek.

Ej! rumieńce — westchnął Józef — zapadnięta twarz skrzywiła się strasznie. Psiakrew! ale schudłeś! Jak downo już nie robisz? — zapytał Władek. Od zeszłej zimy, kiedym z lodym jeździł. Zaziębiłeś się?

Tak, przekarkłem. Przy kamieniach przyzwyczajony zawsze w ruchu. Kamieniarki nie było — bieda, więc do lodu. Nie miołem kożucha, ani skopioków, na tym wozie siedź, nie przyzwyczajony. — Przekarkłem. — Po zimie idę do kamieni — już młot z ręki wylatuje. — Zacząłem pluć. Dalej do krankowni. Tu mlyko i ryż, ryż i mlyko — rano, kawe malcową. Wszystko wyżygołem. Moja Staro wzięła mnie do dumu i zacząłem kozę dytkać; Pomogło. Ale rano kozie mlyko, na południe kozie mlyko, na wieczór kozie mlyko, na noc kozie mleko z masłem.

Więc tak żyłem jak mój roczny kozok. Myśle: cholera, młody jesteś, kobieta jak rzepa, na mnie patrzy, rychło będzie lepiej, a tu wnet musi mnie jak dziecioka karmić. Zacząłem z orzechową z miodem. Pomogło. — Ale naturalnie jak długo. Teroz mi wszystko jedno — do baby nie idę — prędzej zdechnę. Żeby tylko krótko. Gorzoły! — Nie ma pieniędzy? Co jesta? Co dosz za te pory? an gielsko skóra. Władek ile? Pół litra. — Niechta! A za te buty? nowe zelówki. — Kwortę! — wyrwał się Kajdek. Przynoś! ale czysty!

Dym w knajpie stawał się coraz gęstszy. Unosił się i spadał, rozpościerał się i kładł na ciężko oddychające piersi. Zdawało się, że nim wygryzie oczy, wprzód je spali, nim zadusi piersi, wszystkich wygoni. Błękitno szare obłoki wiły się pod czarnym sufitem, przybierając kształty powikłanych kudłów, przypominając znaki w rozczochranych po burzy chmurach. W te chmury wpatrzone błędne, dzikie, głupkowato uśmiechnięte oczy, nabrzmiałe i rozczerwienione, skulonych pod ścianami robotników. — Zdawało się, że coś szukają, coś widzą. Bełkot, wzdychania, mruczenie mięszało się w jeden akord, tłumiony dusznością. Gęsty dym był watą w ustach. Głosy wydobywały się z tych dymu kadzideł, jak modły w katakombach. Jak zapadniętych rycerzy rozpacz. Od czasu do czasu zadzwonił dzwonek arki przymierza — kasy żelaznej. Kolorowa flasza opuszczała wtedy niemi udekorowany ołtarz, by wylać całą swą łaskę na ubostwiających ją w rozpaczy. Goiła bóle, zsyłała objawy obłąkania, cud, nigdy w życiu nie zaznany.

W obłokach dymu kadzideł: kalejdoskop raju ziemskiego.

Przed tym ołtarzem tedy, nie błotem schlastany lud, lecz szczęśliwe obłąkanie. Dlatego woła bezustannie: Za dwadzieścia, za dwadzieścia. A dzwonek dzwoni. Nabożeństwo się odprawia wielkie: Zapomnienie!

Lud zabija duszę na ofiarę złotemu cielcu. Więc wielka muzyka jest w chłopskiej piersi. Drgają wszystkie bóle i tęsknoty. Usta żelaznymi zawory przemocy zranione, krzywią się do śpiewu. Ich pieśnią: Za dwadzieścia.

A dym zaś jest kadzidłem, a mózg zatruty szczęściem, a łach płaszczem królewskim.

Za dwadzieścia! W obłokach dymu świeci krwawe słońce, palący metal, zapłata!

Za dwadzieścia! to prośba. Aż obłąkania wizje, w suchotach zmarłe dzieci, spojrzą źrenicą szczęścia, nieistnienia!

Lij do pełna! Lij bez końca!

Już chmury błękitne spadły na stoły. Ukołysały w sen niedosięgniętych światów. Całują usta spragnione, wypiją z nich wilgoć do reszty, by te rozpalone jeszcze wołały: Za dwadzieścia!

Gra organ chłopskiej piersi w całej pełni. Mowę swą pokorną zapomniał, rzęży tylko i tem się rozkoszuje. Odepchnął z pogardą człowieczeństwo, a piersią jeszcze żywą zakrytą łachem, wysłał innym drogę, do złota. Wgrząsł w nią tak głęboko, że pierś ta, tratowana wciąż wzrastającym zastępem obłudy, ani jęknie. Dzwoń arko. Chorał pójdzie w obłoki — zamęt wywoła, ucztę zgotuje: Duszą zapiłą uwolni z błota. Niewidzialnych gości sprosiła knajpa na gody. W pląsy mary! Hasa! pełna flasza!

Już druchna człowieka wypatrzone oczy, bezdenne przepaście, w niego wlepiła. Bierze go w wir tańca. Świst im przygrywa. Oddechy nie wracają. Człowiek-mara swych wykrzyków nie słyszy. Odzywają się tylko jeszcze echa mowy jego: Precz z łopatą! idę w tany. Żywa córka odgrzebana, ze zgniłą tańczy nogą! — Wszystkie cioty już tańcują. I na wyschłej kozie, ta choroba — kapie ropą, pluje krwią. Napluła mi w kieliszek.

Józef zwinął się pod stół.

Przy sąsiednim stole zagrało przez zęby: Patrz, Frącek. jak buchnę tego poliera. Mnie, co już mom gnoty skruszałe, postawił między wilków. Stary mu nodłożył, a mnie

odprawił. Teroz młodego Wojtka namowio. Patrz, patrz, jak mu pochlybio. Ty psiakrew! Cholera jak go buchnęło!

Flasza świsnęła, rozbiwszy się o głowę poliera. Ten krzyknął i za głowę się chwycił. Ręka była czerwona.

— Cholera! Wojtek za mną! Wojtek gruchnął krzesłem. — Ze strony skąd flaszka prysła, rozległ się łoskot i jęk. — W odpowiedzi podniosło się więcej krzeseł. — Butle, szkła wyrywały się z rąk, jak z procy. Wszystko to rozbijało się o chwiejne korpusy, których masa zbiła się w kupę na środku knajpy. Z tej kupy unosiły się ręce, chciały rozrywać, ciosy wymierzać, trafione butlą lub nożem, znikały. Ryk, zgiełk, okropność! Jakby zlepiona, jak zrośnięta, do smoka z licznemi głowami podobna, masa, nie chciała się rozerwać, raniąc rękami swe wielkie, zbite ciało. A nad nią sterczała okrwawiona głowa poliera — jak jedna wielka rana.

Metalem błyszczące hełmy przypomniały — o władzy. Nagie pałasze policjantów padały z ciężarem ołowiu. — Ktoś wyleciał z rozciętą ręką na ulicę, a za nim surowe: „Halt ihn!"

Popisano wszystkich. — Kilku wypchnięto, kilku wykopnięto. Jeden policjant trzymał porządek na ulicy — a drugi (wachmistrz) w środku. Gospodarz nie umiał mu dość dziękować, i zamiast słów dawał cygar pełne garści. Flaszka francuskiego koniaku została rozpoczęta, za co pan wachmistrz przyrzekł czuwać na przyszłą sobotę. Kiedy gospodarz bezustannymi ukłonami, żegnał wachmistrza, ujrzał nagle pod stołem niewyrzuconego jeszcze Józefa. Wachmistrz rozśmiał się na całe gardło. — Ten czeka osobiście na mnie. Pchnął go butem, nie ruszył się.

„Das ist der grösste Suffsak".

Zatelefonował po wózik.

Kiedy Józefa wieziono w chwiejnym wóziku, ulica była pustą. Pan wachmistrz kazał szybko jechać.

Na zakręcie ulicy czekał Kajdek i Władek. I kiedy wózek zaskrzypiał, skręcając w ulicę wiodącą do lazaretu, oni trzymając się pod rękę, kołysząc się, chwiejnym krokiem podążyli za nim. Brama lazaretu rozwarła się na oścież. Płócienne, zakryte łoże wózika podskoczyło, niby ostatni składając ukłon spadkobiercom spodni i butów od byłego ich właściciela.

W domu pozostała żona bez męża i troje dziatek bez ojca.

Rozmaitości

Kawał studencki. Studenci paryskiej akademji sztuk pięknych nie tracą fantazji i chęci do „kawałów".

Onegdaj jeden z nich miał się przeprowadzić z ubogiemi swemi ruchomościami z jednego końca Paryża na drugi. Grono wesołych kolegów jego postanowiło pospieszyć z pomocą w tym kłopocie.

Zjawili się więc, poprzebierani za chińczyków, indjan i murzynów, i zabrawszy ręczną walizkę zawierającą całą chudobę artysty, a mającą przedstawiać „wóz meblowy", ruszyli z nią w uroczystym pochodzie przez bulwary.

Oczywiście pochód ten maszkar dziwacznych wywołał olbrzymie zbiegowisko gapiów, które wkońcu zatamowało komunikację uliczną, tudzież wywołało interwencję policji. Toteż indjanie, chińczycy i murzyni powędrowali wraz z „wozem meblowym", otoczeni przez stróżów bezpieczeństwa, na stację policyjną, skąd po pewnym czasie zaczęto ich wypuszczać pojedyńczo, w przerwach dziesięciominutowych, dla uniknięcia zbiegowiska.

Przezorność jednak policji nie na wiele się zdała, po upływie bowiem dwu godzin, gdy ostatni z artystów opuścił biuro policyjne, znaleźli się znów wszyscy razem i barwna karawana ruszyła dalej w kierunku nowego mieszkania kolegi.

Nie było rady. Bezsilni stróże bezpieczeństwa publicznego musieli zwiesić ręce oraz pałki i czekać cierpliwie, dopóki zabawni wędrowcy nie dobrnęli ze swoim „wozem meblowym" do celu podróży.

* * *

Wojowniczy poeta. Jak doniosły niedawno depesze z Rzymu, rząd włoski zakazał sprzedaży zbiorowego wydania pieśni wojennych d'Annunzia, jako zawierających ustępy ubliżające cesarzowi anstrjackiemu.

Z powodu tej konfiskaty jeden z korespondentów rzymskich prasy paryskiej pisze ironicznie o zapale patrjotycznym „najznakomitszego poety Włoch":

„Wojna obudziła nanowo do życia uczucia narodowe poety, który przed dwoma laty odwrócił się od swej ojczyzny, obrażony o to, że pozwoliła na zajęcie w jego wili wspaniałych przedmiotów sztuki przez nienasyconych wierzycieli".

Obecnie urazy zostały zapomniane, d'Annunzio pokusił się o to, aby trafić w ton entuzjazmu włoskiego i stać się dla tłumów bohaterskim poetą wojny. Środki do tego wybrał niezbyt wybredne: patos sztuczny, frazeologję szumną i pustą, dla wszystkich, mogących czytać jego wiersze z objektywnym spokojem, w wysokim stopniu niesmaczne. Nie mniej, co zresztą z góry można było przewidzieć, cel swój osiągnął. Jego wiersze dały asumpt do powoływania się w zaborczej akcji Włoch na prawa do Tripolisu, umocnione historyczną spuścizną zwycięstw republiki rzymskiej nad Kartaginą!

Tom skonfiskowany obejmował między innemi „Pieśń o morzu", „Pieśń krwi", „Pieśń Djany" i w. in. Ale sensacją tomu miała być „Pieśń o Dardanelach". W dziennikach zjawiły się już ogłoszenia o wydawnictwie, w ostatniej jednak chwili prefekt policji w Medjolanie wysłał do nakładcy Treves pismo następjącej treści:

„Dowiaduję się, w formie stanowczej, że „Pieśń o Dardanelach" Gabrjela d'Annunzia zawiera ustępy, obrażające Austrję i jej monarchę. A ponieważ ogłoszenia publiczne w dziennikach stwierdzają, że pan, jako wydawca, zamierza pieśń tę razem z innymi utworami Gabrjela d'Annunzia w zapowiedzianym tomie p. t. „Merope" ogłosić, przeto w imieniu rządu zakazuję panu drukowania ustępów, obrażających sprzymierzone mocarstwo i jego monarchę. W razie, gdyby pan do tego zakazu rządu zastosować się nie chciał, zmuszony będę cały nakład zniszczyć".

Zakaz okazał się o tyle bezskutecznym, że niektóre pisma włoskie wydrukowały bezkarnie jeszcze przed wydaniem tomu „Pieśń o Dardanelach". Toteż nakładca Treves zgłosił protest przeciw konfiskacie, a jeden z deputowanych zapowiedział interpelację w izbie z powodu konfiskaty.

Natychmiast po konfiskacie nakładca zarządził drugie wydanie z opuszczeniem pięciu tercyn, zakwestjonowanych w „Pieśni o Dardanelach". W nowej tej książce zostawiono ich miejsce puste, a agitujące przeciw konfiskacie dzienniki brukowe wyrażają nadzieję, że każdy z patrjotycznie usposobionych czytelników wpisze sobie prywatnie do egzemplarza „skonfiskowane przez policję ustępy". Charakterystycznem jest, że podobno „pieśni wojenne" d'Annunzia, które tyle oddźwięku znalazły we Włoszech, nie cieszą się popularnością wśród żołnierzy, walczących w Tripolisie.

I nie dziw. Fabrykowny na zimno zapał nie trafi do serca żołnierza tak, jak najprostsza, niewymuszona piosenka obozowa, nakreślona nieraz naprędce w podnieceniu, wśród huku dział i karabinów.

* * *

Podkop w więzieniu. W więzieniu gubernjalnem w Symferopolu wykryto olbrzymi podkop. Więźniowie, w celu ucieczki, przez półtora roku pracowali na podkopem i osiągnęli już długość 4 sążni. Pracę tę olbrzymią wykonywali tak systematycznie, planowo i ostrożnie, że nie zdradzali żadnych podejrzeń ze strony administracji więziennej. Podkop był już gotowy, pozostawało zaledwie przed samą ucieczką wyjąć kilka cegieł ze ściany, wychodzącej na ulicę.

W przededniu ucieczki więźniowie zdradzali stan nerwowy, niepokojący, gorączkowy i to spowodowało administrację do zrobienia rewizji w celach więziennych, której wynikiem było wykrycie nieprawidłowo przybitej deski w podłodze w stolarni. W ten sposób udaremniono ucieczkę.

* * *

Proroctwa na rok 1912. Po niedawnem ukazaniu się proroctw „sławnych" wróżbiarzy i wróżbiarek francuskich i angielskich o wypadkach mających się zdarzyć w r. 1912, ukazują się także rosjanie na widowni z „proroctwami" swemi. „Jasnowidząca" baronowa L. A. Nolde, znana w Petersburgu ze swych prac okultystycznych, tak przedstawia dzieje roku 1912: Nadchodzący rok stoi pod znakiem Merkurego i dlatego należy się spodziewać pomyślnego rozwoju wszelkich interesów, rozpoczętych „z własnej inicjatywy". Na polu politycznem można oczekiwać poważnych wypadków, szczególnie w Hiszpanji, Portugalji, Francji i Holandji. W Hiszpanji prawdopodobnie zaprowadzone zostaną rządy republikańskie, Anglja odegra rolę decydującą nad losm wielu narodów. Zaborcza polityka niemiecka w pierwszem półroczu dozna powodzenia, w drugiem półroczu jednak stanowisko mocarstwowe narażone będzie na szwank i poważnie zagrożone. Turcja utraci jeszcze jedną prowincję. W Grecji należy się spodziewać dążności republikańskich. Chiny i Japonja potajemnie przygotowywać się będą do wielkiej akcji wszechświatowej, której wyniku oczekiwać należy dopiero w roku 1913. W Ameryce, Francji i Włoszech nastąpią wielkie zmiany wewnętrzne, będzie też wiele katastrof kolejowych, W roku 1912 zachoruje dwóch cesarzy. Niemcom, Persji, Turcji i Chinom w przyszłym roku grozi wojna. Czwarta Duma rosyjska będzie jeszcze konserwatywniejszą; reakcja ta potrwa dwa lata. Rosji grożą i nadal konflikty polityczne i wybuch wojny z sąsiadami południowymi, wschodnimi i zachodnimi, po upływie lipca zniknie jednak niebezpieczeństwo wojny.

Psychografolog Morgenstern przewiduje na rok 1912 spotęgowanie się uczuć religijnych. To samo „proroku,e" wróżbiarka Derna, twierdząc, że w związku z tem podniesie się moralność i nastąpi ubytek samobójstw.

* * *

Chiny a opjum. Chiny mogą nam służyć za przykład, jak można skutecznie zmniejszyć używanie środka wprost zabójczego dla zdrowia społeczeństwa. W Chinach to bowiem w przeciągu trzech lat od ukazania się ustawy przeciwko opjum zmniejszyło się zapotrzebowanie tej trucizny o 60–70 procent. Pierwszy konsul angielski w Tientsin potwierdza to zapatrywanie, że roślina, z której opjum wyrabiają (rodzaj maku) zniknie niezadługo z powierzchni Chin. A według traktatu angielsko chinskiego musi wtenczas ustać i wszelki dowóz tej rośliny z Angielskich Indji. Do jakiej ofiary materjalnej Chiny zdolne są, gdy chodzi o usunięcie zła tak powszechnego, dowodzi ten fakt, że suma za przesłane opjum wynosiła 460 miljonów marek. A wszystko to możliwe było jedynie dlatego, że w narodzie samym zaszła wielka zmiana w zapatrywaniach. Naród poznał nareszcie socjalne niebezpieczeństwo, które groziło stąd całemu społeczeństwu. To samo musi i u nas wprzódy nastąpić, ta zmiana w zapatrywaniach na wartość społeczną alkoholu, jeżeli wogóle kiedyś mamy się poszczycić takiemi zdobyczami we walce z niemniej walnym wrogiem — alkoholem.

* * *

Kosztowny list. Pewna firma londyńska, trudniąca się sprzedażą osobliwych marek, wystawiła w oknie swego sklepu kopertę, budzącą zainteresowanie ogólne. List był wyprawiony niedawno z Rosji do Austrji za — opłatą... 2810 rubli. Koperta ma 65 centymetrów długości i 30 cm. szerokości. Zawierała papiery wartościowe, przesyłane przez jakiegoś kapitalistę do jednego z banków austrjackich. Cała odwrotna strona koperty była szczelnie pokryta 281 dziesięciorublowemi markami pocztowerni. Za pieniądze, wydane na przesyłkę, można było wyprawić zaufanego człowieka nietylko z Rosji do Austrji, ale w podróż naokoło świata. Lecz może o zaufanego człowieka było trudniej, niż o 2810 rubli.

* * *

Zbiór marek za 840 000 koron. 840 000 koron za zbiór marek otrzymał miljoner budapeszteński, architekt Robert Holitscher. Zbieraczem marek stał sie dzięki swemu synowi, któremu przed ośmiu laty kupił na Boże Narodzenie mały zbiór marek. Z czasem sam nabrał takiego zamiłowania, że zupełnie poświęcił się filatelizmowi. Na sprzedaży swego zbioru zarobił Holitscher ćwierć miljona.

* * *

Ilu jest w jakiem państwie posłów? Z wielkich współczesnych parlamentów najmniejszą ilość posłów liczy parlament w Kanadzie, a mianowicie 214. Przeważnie ilość posłów waha się około cyfry 400. I tak Japonja ma 369 posłów, Stany Zjednoczone Ameryki północnej 391, Rada państwa Rzeszy niemieckiej 397, „Kortezy", czyli parlament w Hiszpanji składa się z 406 a „Duma" rosyjska z 442 członków. Więcej niż 500 członków parlamentu mają: Włochy z 508 Austrja z 516, Francja z 594 posłami i Anglja, której „Izba gmin" liczy aż 670 deputowanych.

* * *

Akademja dla kobiet. W Lipsku otwartą została z końcem roku ubiegłego akademja dla kobiet środkami prywatnymi, do których zebrania przyczyniła się zasłużona weteranka burżuazyjnego ruchu kobiecego, kierowniczka lipskiego lyceum żeńskiego, Henryka Goldschmid. Instytucji podobnej niema w całych Niemczech.

Celem tego niwersytetu, który w myśl założycielki nie ma stanowić konkurencji dla wspólnych wyższych szkół, jest umożliwić kobietom przygotowania do „najwłaściwszego celu kobiety" pielęgowania człowieka i wychowywania go. Powołaniem kulturalnem kobiet wedle niej, to wychowanie.

Ponieważ do tego instytutu ma się przyłączyć jeszcze szereg instytutów dla pielęgnowania niemowląt, ochronek i ochrony młodzieży, możnaby zakład ten uważać za rozszerzone i rozwinięte seminarjum dla przyszłych wychowawczyń.

Tymczasem program obejmuje prawie wszystkie wydziały uniwersyteckie i przedmioty wykładów. Wszystko tylko będzie przykrojone dla potrzeb kobiety. Toteż akademja ta może stać się niebezpieczną dla wyższego wykształcenia kobiet; może bowiem stać się początkiem nowego rozdziału płci w przygotowaniu do zawodów uczonych, a podział taki w praktyce i w rezultatach okazać może obniżenie zakresu nauk dla kobiet i obniżenie wartości „wyższego wykształcenia kobiet".

* * *

Tragiczna śmierć wynalazcy. Pisma paryskie zamieszczają obszerne sprawozdania o niezwykłym wypadku, którego ofiarą padł wynalazca nowego spadochronu Franciszek Reichelt. Z zawodu krawiec, Reichelt oddawna interesował się awjatyką i postawił sobie za cel życia, sporządzić spadochron, któryby raz na zawsze usuwał wszelkie niebezpieczeństwo wznoszenia się aeroplanem w powietrzu. Już w roku ubiegłym wystąpił po raz pierwszy publicznie ze swym wynalazkiem. Wówczas spuścił z wysokości pierwszego piętra lalkę, która jednakże rozbiła się przy uderzeniu. Sam od czasu do czasu urządzał doświadczenia ze swym wynalazkiem, jednakowoż z bardzo nieznacznej wysokości; ponadto zawsze dla bezpieczeństwa wyścielano ziemię słomą. Doszedłszy do przekonania, że aparat funkcjonuje należycie, Reichelt zwrócił się o pozwolenie wykonania eksperymentu z wieży Eifla. Udzielono mu go pod warunkiem, że nie sam wykona skok, tylko zrzuci drewnianą lalkę.

Eksperyment zapowiedziany był na godzinę 7 rano w

dniu 4 b. m. Niezwykłe zjawisko ściągnęło liczną publiczność, interesująca się postępami techniki awjatycznej. W atmosferze panowała zupełna cisza, termometr wykazywał sześć stopni poniżej żera. Przed 8 przyjechał Reichelt automobilem z dwoma przyjaciółmi. Spadochron, wykonany z żółtej materji wraz z aparatem, ważącym 9 kilogramów, miał z sobą. Wśród publiczności znajdował się awjator Hervleu, którymu Reichelt udzielał technicznych wyjaśnień o spadochronie. Lotnik wyrażał się z pewnem powątpieniem co do pewności wynalazku. Wówczas Reichelt odpowiedsiał, śmiejąc się:

— Mój wzlot będzie najlepszem dementi pańskich twierdzeń, zobaczy pan.

Następnie wszedł na platformę wieży, znajdującej się jak wiadomo, na wysokości 100 metrów i spokojnie rozpoczął przygotowania do spadku. Z platformy rzucił Reichelt na ziemię kawałek papieru, który spadł na ziemię w linji prawie prostopadłej. Następnie wszedł na przygotowany poprzednio stół i zaczął rozwijać aparat wyglądający jak obszerny płaszcz. Widząc płaszcz ten, lotnik Hervleu po wtórnie wyraził zdanie do otaczających, iż wynalazek w obecnym stadjum nie może oddać lotnictwu żadnych usług.

Nagle Reichelt skoczył w dół. Zgromadzeni na dole zauważyli, że ponad nim rozwarło się żółte płotno w formę olbrzymiego parasola. Niestety aparat nie rozwarł się w całości. W pierwszej chwili nie zorjentowano się w sytuacji; w drugiej już widziano, że Reichelt spada z coraz większą szybkością. Katastrofa była nieuniknioną; parasol nie otworzył się. Nagle posłyszano głuche uderzenie o bruk. Część publiczności z okrzykiem przerażenia podbiegła ku nieszczęśliwymu wynalazcy. Reichelt leżał na ziemi blady z oczyma szeroko rozwartemi, z raną na czole. Naprożno zastosowano wszelkie środki, by przywrócić go do przytomności. Smierć nastąpiła prawie natychmiast po upadku. Przy uderzeniu o bruk Reichelt doznał złamania obu rąk i nóg.

* * *

Trzy katastrofy kolejowe. W ciągu ubiegłego wtorku nastąpiły w Anglji trzy katastrofy kolejowe. Na stacji Action z powodu złego ustawienia zwrotnicy wykoleił się pociąg i trzy wagony zostały zdruzgotane; trzy osoby odniosły ciężkie rany. — Opodal od stacji Plaistow najechał pociąg na wystającą skałę, przyczem ośm osób lżej lub niebezpieczniej zostało zranionych. — Pod Woolwich zderzył się pociąg osobowy z pociągiem towarowym; 15 osób zostało ciężko zranionych.

* * *

Wilhelm II jako agitator. Na balu dworskim Wilhelm II opowiadał, jak gorąco agitował wśród pracujących przy dworze, począwszy od stangreta, by głosowali na kandydata stronnictwa wolnomyślnych a przeciwko s—d „Coby powiedział na to Bismark, gyby wiedział, że popierano postępowców!" — skńczył Wilhelm II.

Dymokrackie medykacje.

Bytónioki przeca mają filipa a przeca nie mają. Mają gó, bo wiedzieli, iże nasz Józek Biniszkiewicz mocko sie wgryzie w tyn „pewny" okręg narodowy katowsko-zobrski i jeszczy im zaś ostudy narobi. Ale sie oszydzili, kiej przeciw niymu uprowiali tako gizdosko agitacyjo. Bo swoje maszyny, óne wszyjskie komitety wyborcze na Śląsku, nastawili tak, coby o wszyjskich dymokrackich kandydatach jino cyganiyły, iże óni są s niymieckij partyji czyrwonyj, co je wrogiem Kościoła a biednygó ludu; to tyż na tyn przykłod o towarzyszu Hörsingu nieco jino bóło czuć. Ale o naszym polskim kandydacie Józku cyganili nojwiynkszy a szlechtowali go tak, iżeby ani pies kanska chleba od niegó nie zión. Bo to sie tyż wiy, iże bytońsko makulatura wdycki raczyj przaje niymcóm, jak tym polokom, chtórzy nie tańcują wedle jej piskanio. Okrom katowsko-zobrskiygó a pszczyńsko-rybnickiygó okręgu wszędy na Górnym Śląsku szli w ściślejszych wyborach przeciw cyntrowcom; ale poszli dó nich w dziady o głosy na Katowsko-zobrskie i wydali niymiecko odezwa przeciw socjolikom. A terazki gazyty cyntrowe r'zą im i jeszczy padają, iże posły polskie muszą gosować za podatkami na flota a wójoków, bo obiecali, iże bydą stoć na gruncie tego ciynio konstytucji niymieckij. Hnet bydą jeszczy musieli obiycać, iże bydą gosowali za nowym funduszem na kolonizacjo. No, jo bych sie ta wstydził za tako agitacyjo, a Józek tyż. Ale już prawie pódą do Rybnika niekierzy, co padają, iże pono Wojtek Korfanty miasto Sosińskiygo zaś mo być postawiony na posła, kiej bydą unieważnione wybory w katowsko-zobrskiem; ale jo uznaje se, iże tyn „zasłużony" tuplowany bankrut je downo kandydatem do łowy oskarżonych a nie do łowy poselskiyj.

Rostmaite są przekonania na świecie, wybory to zaś pokozały. Kiery dziedzic obiycoł wszyjskim pachołkom zabić im tłusto świnia, kiej nie bydą welowali na dymokrata; ale na wieczór som oddoł kartka na niegó i jeszczy inspektora namówiół do tegó, bo ta świnia wiynkszyby kosztowała, jak przekonanie jegó i wszyjskich jego posusznych pachołków społem. A kierymu borokowi rozum do reszty sie pomiyszoł, kiyj gó posądzali, iże wybiyroł „czerwonygó djobła". To sie tyż nie dziwcie, iże skarbnik od ciyrpistów zołynskich Noras podpisoł swoje miano pod odezwa wyborczo za berchratem Wiligerem, coby go bróniół w parlamyncie! Ani o farorza nie dboł, bo jako dobry katolicki ferbandzista powinien agitować za cyntrowcem; taki to myntopyrz s tegó „robotnika". Piyknie oświycóno musi być ta „organizacyjo robotnicza", co mo takiygo urzyndnika. Ciyrpiści wdycki pono ze strachu galoty dzierżą w garści. Ale farorzyczek Kubis przeboczą to pono zbłąkanyj owieczce swyj, bo terazki jino mu dopolo, iże tylo set gosów dymokrackich bóło w jegó gminie przy ostatnich wyborach. To tyż pono napisoł już do Wrocławia o inkszo fara, bo już nie chce dłużej być tam, kaj tylo dymokratów. Ano, nie kożden mo powołanie na „misjonarza"; życza mu szczęśliwej drogi tak choć na piochy brandenburskie.

No, ale terazki już po wyborach. Ten nowy parlamynt już sie śjechoł na obrady. Powitoł gó piyknie sóm tyn isny, chtóry mu niezbyt przaje skisz tych naszych 110 posłów, ale sie spodziywo, iże zapowiedziane podatki a wydatki bydą przyjęte. Ano, wszyjskie burżuje społem już to obonaczą. Nom tu jino trza jeszczy wiynkszy roboty, coby na inkszy roz już tak nie bóło; bo dopiyró wtedy bydzie silno lewica, kiej tam bydą dwie stówki naszych. Chybio jeszczy 90, to sie jino biermy w kupa.

Za to w syjmie s podatkami nie idzie jeszczy gładko dzisiok. Nowet konserwy jeszczy medykują nad nimi, a inksi jeszczy nie przykiwują. Kołowiec Trąmpczyński tyż dobrze wykalkulowoł rzóndowi, iże kolej nie przynosi 50 do 80 ale całe 300 miljonów; kupców za takie szklynie dają na sztacwalda, ale ministry robią finanse a bilanse jak chcą. To sie tym panoczkom nie podobało, ale jeszcze miyniyj, kiej dymokrackie posły junkrom a cyntrowcom i inkszym pedzieli prowda; bo te patrjoty wstydzą sie terazki, iże we wybory robili s nami „rewolucjonistami" kompromisy. To sie wiy, iże tam powoluje sie naszych wdycki do porządku, bo prowda w oczy kole. Tylko inkszym, a nojwiynkszy junkrom a samym ministrom wolno tam nojgorzy pomstować na przeciwników i zbierać za to oklaski. No, ale tyn sapramyncki trójklasowy system wyborczy do syjmu tyż nie bydzie wieczny.

Co tam wyfedrują te oba syjmy, to wom zaś opowiym, a o jublu starego Fryca tyż nieco; o tych szarpaczkach po całkim świecie trzaby napisać osobliwo gazyta.

Gustlik Beskuryjo.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott z Zabrza.

Dodatek zapustny w miejsce „Po Pracy". Nr. 7.

SWACZYNA

dymokratycko-zapustno

Katowice, sobota, dnia 17 lutego 1912 r.

„Swaczyna".

Cołko gazyta przykozali mi napisać te rydachtory od Robotniczyj na te zapusty. To nie beleco. Ani mi te lagramenciny gorzoły nie dali, co bych mioł wiynkszy du cha do tegó fedrunku, bo to trzyźwe chopy. No, ale i s presówką samuśką tyż musiałoby iść, ale to są takie przyleżytości.

S tyj rydachcyji, co je na zadku placu od nazzygó lokalu a sztamknajpy na Rotuszowyj, poszołech aże na Zytpark podziwać sie, co ruła robi, bo bóło ciepło. Nie bóło tam ani żodnygó koleksa, ani policaja, rodelbana tyż pusto, do Bugli miołech chęć, ale nijakich piyniyndzy, to ech poszoł do chaupy. A tu mi baba prozdnym gorn kiem wywijo nad kłobuchem: „Ty zgniłku, kaj sie smy kosz? Dej pora czeskich na torg..." Nie wiym, po ja kiymu to bóło, czy mie wyciepła, czy mi sie miyr'zły te przymilania, alech zaś poszoł na wieś. Tyn czorny wio synny śniyg leci przez dziury w butach do zoklów, rymy jino doczkać, bo już nochoł swędzi a spać sie chce od tych wszyjskich bolów na porządku dziynnym, na chtórych bółech i nie bółech.

I terazki pisz tu gibko a moc. Nie, panoczki, tak jo s wami nie graja. Kiej zopusty, to zopusty; wszyjscy sie cieszą, ubogi a bogaty, proletarjusz a burżuj, miyniyj lub wiynkszyj, a jo jino som mom robić? Strzylom ro bota. Fajerszychta i za tela na dzisiok.

Gustlik Beskuryjo.



Dziesięcioro przykazań

w przekładzie i wykładzie wielu księży i pism centrowych, także bytomskich.

Jam jest Pan Bóg twój — ale my jedynie twoje do bro a nie własną kabzę mamy na oku.

1. Nie będziesz miał bogów cudzych przedemną — ale biada ci, jeśli tylko nas słuchać nie będziesz, choć byśmy szklili aż się kurzy; będziesz wtedy zdrajcą sprawy katolickiej i narodowej, za życia władze pruskie pomogą poskromić cię, a po śmierci djabli na dno piekielne cię zaniosą.

2. Nie będziesz brał Imienia Pana Boga twego na daremno — ale od nas, Jego zastępców, nie wzywaj spra wiedliwości, a tem mniej miłosierdzia.

3. Pamiętaj, abyś dzień święty święcił — zwłaszcza 27 stycznia i inne juble hurapatrjotyczno-pruskie.

4. Czcij ojca twego i matkę twoją — ale denuncjuj ich, gdy występują przeciwko naszym naukom i wypieraj się wszelkiej spuścizny po nich na rzecz pruskiego futterlandu.

5. Nie zabljaj — tylko przeciwników osobistych i politycznych bij po twarzy i poniewieraj, pozbawiaj chleba i t. d.

6. Nie cudzołóż — cudze łoże a własne, a otomanki a zapłotki i t. p., to różnica.

7. Nie kradnij — tylko bierz co i gdzie się da i wymyślaj od bezbożników tym, co i tak płacą pomimowoli podatki na twoje cele niezawsze konieczne i godziwe.

8. Nie mów fałszywego świadectwa naprzeciw bli źniemu twemu — tylko kazalnica, spowiednica, agitacja i odezwy wyborcze, kolenda i jawno-poufne zebrania, oraz wszelkie pisma prawowierne wyjęte są z pod tego zakazu.

9. Nie pożądaj żony bliźniego twego — kiedy jest nie dostępną lub brzydką.

10. Ani domu, ani sługi, ani służebnicy, ani wołu, ani osła, ani żadnej rzeczy, która jego jest — na wiele z tych „rzeczy" istnieje obszerna dyspensa; o cudzych prze konaniach zaś, prawach, mowie, obyczajach i t. p. nic tu nie wspomniano, zatem dobrze czyni, kto ich pożąda, a zasługę ma, kto bliźniego z nich ograbia.

Trojok zapustny.

Zapusty. — Wesołość
Niech żyje! Niech żyje!
Niech biyda a starość
Grom bije, grom bije!
Niech siwo sie smuci,
Maćku grej! Maćku grej!
Dziś kożden z nos nuci:
Piwa lej, piwa lej!

Dalej w tany wszyjscy, w koło!
Hop, dana! Hop dana!
Zabawimy sie wesoło
Do rana, do rana.
Synek ź dziołchom, ojciec s matką,
Z babą dziod, z babą dziod,
W tońcu hnet bydzie dziyrlatką
Stary grzmot, stary grzmot.

Policaj, ministry,
Cołki rząd, cołki rząd,
Junkry a filistry,
Pruski sąd, pruski sąd:
Wdycki nom na bzdury
Robić chcą, robić chcą,
A kiereś pazury
Grosze źrą, grosze źrą.

Przeca nieco my se myta
Schrónili, schrónili,
Na wybory, na gazyta
Słożyli, słożyli.
Choć drożyzna przeca nieco
Trza nom jeść, trza nom jeść,
Zaś zabawa nie beleco,
Trza tyż leźć, trza tyż leźć.

Praca a oświata
Dobre są, dobre są,
Norody tyż świata
Bogacą, bogacą.
Spoczynek jednako
Musi być, musi być
We wszyckim, bo jako
Możno żyć? możno żyć?

A spoczynek bez muzyki
Ciepły lód, ciepły lód...
Dalij, starzy, dziołchy, smyki,
Raźno w przód! raźno w przód!
Dalij w tany! wszyjscy w koło!
Hop, dana! hop, dana!
Zabawimy sie wesoło
Do rana do rana.
Uch ha!

Z parlamentu niemieckiego.

Wobec tego, że członkowie prezydjum wybrani z pośród konserwatystów i centrowców złożyli urzędy, nie chcąc współpracować tam z pierwszym wiceprezydentem Scheidemannem, jako z socjalistą i zarazem z tym, który powiedział podobno niegdyś przed laty, że do najwznioślejszej spuścizny obecnie panującego domu należy niedotrzymywanie przyrzeczeń, bezwzględne łamanie danego słowa — postanowił cały pobożno-szlachetny blok czarno-błękitny pójść za tym chwalebnym przykładem swoich najwybitniejszych członsów zaufanych, to znaczy poskładać mandaty poselskie, aby nie współpracować z partją socjalistyczną, która występuje za rzeczą pospolitą.

Za konserwą i centrum podobno i ministrowie pragną urządzić się podobnie, t. j. złożyć broń i dobrowolnie pójść na odstawkę. Co zaś powie korona na to wszystko, dotąd niewiadomo, jakkolwiek przy innych sposobnościach często słyszy się stamtąd, nieraz najniespodziewaniej, natychmiast lub nawet przedwcześnie stanowcze oświadczenia, swoją drogą nikogo nie zobowięzujące.

Ze sejmu pruskiego.

Sejm trzyklasowy pracuje znojnie nad budżetem państwa bojaźni bożej, lecz nic jeszcze nie „nafolował" do „wyfedrowania". Wiadomoć też powszechnie, że ostatecznie to, co „wyfedruje", to zazwyczaj najlichsza pospólka, przeważnie miał z dodatkiem piaszczystej gliny do zlepiania podpór tronu i ołtarza.

Na zapustnem posiedzeniu nieliczna tam partja socjalistyczna, poparta przez słabą lewicę i jeszcze słabsze Koło polskie, zapytuje przez usta swojego przedstawiciela, kiedy rząd przedłoży sejmowi reformę wyborczą. Jedyny obecny na ławach ministerjalnych komisarz rządowy milczy początkowo uparcie, pod naciskiem kilku mów zastawia się, że nie ma żadnych poleceń i wskazuje na mowę tronową, nie zawierającą żadnej odnośnej zapowiedzi. Dopiero powtórnie przyparty do muru, roztajał: Mości Panowie! Nietylko Jaśnie i podobnie Oświeceni i Jaśnie Wielmożni, Wielmożni, Przewielebni i Wielebni Panowie z prawicy i z centrum, którzy zawsze kiwają głowami na nasze żądania (wzdychając do siebie: Oby to było prawdą!), ale nawet Sławetni i Szanowni panowie z lewicy i ta garstka czerwonej hołoty (wrzawa na lewicy, oklaski na prawicy i w centrum, marszałek dzwoni: Panowie, proszę o spokój! Proszę wszystkich, aby zachowywali się parlamentarnie! Wrzawa ustaje nieco) przyznają mi, iż

Nosek Wrażliwy.

Rawa.

(Obrazek z przyszłości.)

Rawo! ty rzek gornośląskiego obwodu przemysłowego królowo, tegoż wszelkich odpływów ścieku! Cicho, poważnie toczą się nurty twe w krainy nieznane, pozostawiając najgęstszą zawartość swą na miejscu, kędy przyjęłaś ją do swego łona.

Ileż istot drobnych, czworonożnych, wydało w niem ostatnie tchnienie? Ileż jęków a może i przekleństw rozlegało się ponad twoimi bagnistymi brzegami, zwłaszcza z tylnych sadyb przy ulicy Ratuszowej, których stopy całujesz miłośnie...

O, dopóty Rawa płynie, sława Katowic nie zaginie! Jak długoż więc?...

* * *

Na posiedseniu rady miasta Katowic w Dniu Przestępnym R. P. 1950 pomiędzy innymi wnioskami nagłymi, o tyle przynajmniej, że jeszcze niezałatwionymi, znajduje się prośba mieszkańców z okolicy Martahuty, Katowic-Zamku i innych znacznie dalszych: „Rada gminna zechce uchwalić fundusze na oczyszczenie, skanalizowanie i sklepienie rzeczki Rawy, oraz podjęcie natychmiastowe odnośnych robót". Dla ścisłości dodać należy, iż wniosek ten datowany jest z r. 1850, t. j. z czasów, kiedy Katowice były tylko wsią jeszcze.

Ponieważ wpośród licznych akt archiwum miejskiego niepodobna było wyszukać żadnego wniosku wcześniejszego, przeto wzmiankowany przychodzi kolejno pod obrady niezwłocznie, jako nagły. Po zwykłych formalnościach rozpoczyna się pełna zapału dyskusja.

Jeden z radnych miejskich, adwokat jakiś, dowodzi, że wniosek ten, a właściwie prośba, conajwyżej podanie tylko, rady miejskiej nie obchodzi wcale, gdyż wystosowany jest do rady gmińskiej wiejskiej, która już od dawna nie istnieje; oprócz tego ze względów natury prawniczej sprawa już przedawniona, porównując rok 1850 a 1950. Jakieś mgliste uchwały z r. 1911 nie wchodzą w rachubę, gdyż nie traktując sprawy poważnie były zbyt pobieżne.

Przedstawiciel hakaty wywodzi co następuje: Skoro dawne zarządy i rady miasta uważały wydatki na budowanie teatrów i koncertbauzów, na wsparcia dla hura-patrjotycznych ferajnów i na upiększanie ulic dla tychże za najkonieczniejsze, a dzięki im miasto doszło do dzisiejszego potężnego rozrostu i rozwoju, wynika stąd, że należy nadal pracować w tym samym duchu popierania niemczyzny, bez względu na zdrowotność. Mówca nie godzi się zatem na wniosek z powodu braku funduszów, poleca jednak podwyższyć podatek komunalny na 1500 procent, aby można krygerferajnom, jugendferajnom, turnferajnom i fusbalklubom sprawić bezpłatne orkiestry i dawać zapomogi na wycieczki w góry, a zarządowi ostmarkenferajnu płacić stałe pensje.

Dyskusja przedłuża się w nieskończoność.

Wtem budzi się jeden z ojców miasta, który od początku samego drzemał smacznie w kącie przy piecu, znużony pieszą podróżą z którychś krańców miasta, będących jeszcze bez elektryki i bez samochodów, a także postojami w przydrożnych automatach. Zasłyszawszy, o co chodzi, zabiera uroczyście, z odcieniem szyderstwa, głos i rzecze: Sławetni panowie! Snać gadacie od zielonego stolika, jako prawdziwi biurokraci patrząc jedynie w akta, a nie dokoła siebie. Uznaję wasze dobre chęci, aby zadośćuczynić jakoś nagłości stuletniego staruszka-wniosku, atoli

rząd ojcowskiem (głos: katowskiem; marszałek dzwoni) sercem obejmuje wszystkich poddanych z bożej łaski zarówno (wołanie: hu!). Tą pieczołowitością wiedziony, postanowił tedy na obradach swych długotrwałych, niekiedy pod Najwyższem przewodnictwem, aby prawo wyborcze do tej Wysokiej Izby, skoro okaże się tego potrzeba (głosy: więc kiedy?), zmienić tak, aby zmiana wszystkich zadowoliła (rząd, czy nas? bo jedno i drugie równocześnie niemożliwe!). Przyznacie panowie, że do tak donośnej, gruntownej i trudnej zmiany potrzeba podobnych przygotowań. Ustanowiliśmy tedy kilka komisji przygotowawczych. Jedna składa się z zasłużonych profesorów historji, których zadaniem badanie wszelkich kamieni, papierów, zbiorów i ksiąg dotyczących ustroju państwowego wszystkich ludów całej kuli ziemskiej w starożytności; druga komisja podobna zajmuje się średniowieczem; trzecia dzieli się na kilkanaście podkomisji z prawem kooptacji, którym przekazano do zbadania cały odnośny materjał z nowszych czasów. Rzecz znana, że np. w Rosji owa słynna konstytucja ulega ustawicznie zmianom, których przebiegu trzeba odczekać do końca; podobnie w Persji, w Portugalji, poniekąd w Turcji i w Anglji a nawet w Chinach, pominąwszy już ustawicznie walczące państwa i państewka amerykańskie. Stąd wniosek: czekać nam należy, dopóty nie skończy się przelew krwi w krajach wspomnianych, aby brać wzory dopiero z dzieł pokoju; i to nie bezkrytycznie, lecz przyjrzawszy się dopiero bliżej ich owocom. Moglibyśmy wprawdzie udać się do kacyków murzyńskich w Afryce po wyjaśnienia co do ich ustroju państwowego, atoli wiadomo wam, Mości Panowie, że czarne narodki niezbyt nas lubią; one innych języków rozumieć nie chcą, tylko języków ognistych z naszych karabinów. A to jest rzeczą naszych bohaterskich wojsk kolonjalnych. O ile tedy chcecie Panowie przyspieszyć reformę wyborczą koniecznie, musicie wpływać na to całą swoją powagą, aby ludność naszej ojczyzny przejęła się świadomością o potrzebie licznych wojsk kolonjalnych, popartych silną flotą morską i napowietrzną, oraz odpowiedniem wojskiem na lądzie stałym, co jest właściwie sprawą Rzeszy. Słyszeliście już wprawdzie nieraz z tego tu miejsca, że wara Rzeszy niemieckiej od spraw wewnętrznych Prus. Ale mieszać się Prusom w sprawy Rzeszy, zwłaszcza kiedy chodzi o jej wielkość, jest nietylko ich prawem przyrodzonem, lecz nawet psim obowiązkiem! (Huczne oklaski na prawicy i w centrum, głuche milczenie na lewicy, śmiechy w Kole Polskiem, gwizdania u socjalistów.)

---

cała sprawa stała się, wraz z nim zatem, bezprzedmiotową. Albowiem, wiadomo przecież powszechnie, że na całym Górnym Śląsku, nawet w okręgach ongi, przed pół wiekiem jeszcze, rólniczych, kopalnie pościągały wszystkie wody stałe i bieżące. I otóż tym sposobem wyschło, znikło — także źródło Rawy. Zatem kochana ta wonna rzeczka nasza wraz ze wspaniałym swym wodospadem należy dziś już tylko do wspomnień — już więcej nie istnieje. Wnoszę o przejście nad nią do porządku dziennego,

Wśród ogólnego zdumienia pierwszy ochłonął z przerażenia inny poważany obywatel, finansista, mający cztery konkursy i tyleż lat cuchtchauzu poza sobą, i w następne odzywa się słowa: Panowie! Nowina poprzedniego szanownego mówcy dowodzi, jak oszczędnie, jak światle gospodarzyły dotychczasowe zarządy i rady naszego grodu, począwszy od niepamiętnych czasów narodzin dzisiejszego wniosku nagłego, kiedy tu sielskie jeszcze panowały stosunki, aż do dzisiejszego dnia jego pogrzebu, kiedy zgiełk nowoczesny wypełnia dumne mury miasta. — Obywatele, nasi pradziadowie, dziadowie i ojcowie to z klątwą na ustach, to jednak z zapartym oddechem i z cudowną jakąś odpornością i wytrwałością znosili wszelkie niedogodności wynikające z sąsiedztwa z cuchnącem bagnem. Ale otóż, niezrażeni sarkaniem ich, ojcowie miasta naszego ukochanego snać duchem proroczym owiani byli, skoro nie wydali ani feniga na sprawę, którą w dziwnem przeczuciu swem, mądrości i zmyśle gospodarczym uważali za niepotrzebną na przyszłość. Cześć im za to! Wnoszę, aby pamięć tych wszystkich prześwietnych zarządów i rad, tak ongi wiejskich, jak później miejskich, uczczono przez powstanie z miejsc.

Wniosek przechodzi jednogłośnie i zostaje natychmiast wykonany w należytem skupieniu.

Wiadomości partyjne.

Ażeby jeszsze więcej, niż dotąd, zaznaczyć swoją nieszczęśliwą miłość ku Prawowierności, tow. Kasprowicz zapoczątkował wśród robotników t. zw. ruch esperantystyczny. Wychodzi on mianowicie z zasady, że robotnik wcale nie ma potrzeby porozumienia się z rodakami w języku ojczystym, ani we własnych sprawach ani w celach agitacji, ani też w dalszym ciągu nawet z towarzyszami tego samego państwa w języku urzędowym, byle mógł dostatecznie porozumieć się z braćmi całego świata. A ponieważ środkiem ku temu jest nowo utworzony język esperanto, zatem należy dążyć do szerzenia tego języka wśród warstw robotniczych już od najwcześniejszej tychże młodości.

Pomysł poniekąd niezły, w pewnej części nawet wspaniały, wprost idealny, zatem uznania godny.

Atoli odwrotna strona medalu?

1) Nasampierw nie wiemy jeszcze, czy tow. Kasprowicz zdał już sobie z tego sprawę, którą z dwu odmian języka esperanto wybrać, czy nr. I, czy nr. II gdyż, o ile wiemy, tow. K. prócz wielu innych rzeczy nie zna żadnego z nich. 2) Znane są ogólnie kary policyjne, regiencyjne i sądowe na nauczycieli choćby tylko śpiewu i gimnastyki, tem więcej języka polskiego; cóż tedy czeka nauczycieli języka esperanto? Zważyć tedy trzeba, na jakie trudności napotka nauka wyraźnie polityczna, gdyż mająca w przyszłości wpływać na sprawy publiczne, nietylko państwowe ale nawet międzynarodowe.

Widzimy zatem, że w naszych warunkach i ten pomysł tow. Kasprowicza jak wiele innych, znowu chybia celu. Ale pomimo to szanowny towarzysz ten skarżyć się będzie po pismach nie znających naszych stosunków, że mało popieramy wśród robotników polskich ruch esperancki i poza nim socjalistyczny, zaś czas marnotrawimy na dążnościach ku odszczepieństwu. Widzisz?

Z piśmiennictwa.

Sztuki czarodziejskie, podług świetnych przykładów wytrawnych rzeczoznawców i praktyków zebrał, wypróbował, uzupełnił i spisał Krzykała z Kałuży. Z treści nader obfitej, umiejętnie dobranej i bardzo ciekawej podajemy tylko napisów kilka: Usunąć niespostrzeżenie pieniądze z cudzej kieszeni. Zamienić w mgnieniu oka barwę białą na czarną i na odwrót. Sprawić, aby książki handlowe i inne dokumenty zdradliwe znikały na zawołanie. Za pomocą tych sztuk można łatwo: w krótkim czasie zebrać 200 000 marek i więcej a potem gwizdać na wszystko, w razie grożącego niebezpieczeństwa jakiegoś zakryć i wyłgać się, lub dla większej pewności zostać obywatelem amerykańskim.

Ofiary.

Na różne cele społeczne i polityczne oraz dla osób zasłużonych w tych dziedzinach złożono na ręce nasze następujące otiary:

Dla korony: kilka wozów pereł z łez;

Bethmann Holwegowi: cenną nagrodę za odkrycie kamienia filozoficznego;

sekretarzom Rzeszy: koszta utrzymania przez lat 10 w zachwalanych kolonjach afrykańskich;

ministrom pruskim: kinematograf z nadchodzącym cieniem „czarnego męża" Lucanusa lub tegoż żywym następcą;

obu sejmom: przestrogę: „trzymajcie się w kupie";

obu frakcjom socjalistycznym tamże: hasło „Baczność!";

Kołu polskiemu w nowym parlamencie: hamulec (bremzę), aby nie stoczyło się w dawną przepaść;

Kołowcom w sejmie: rachunek za myto królewskie;

wszystkim przeciwsocjalistycznym agitatorom: hałdę popiołu pokutnego na nadchodzący wielki post;

bytomskim dyplomatom i dobrodziejom: kagańce, łańcuchy i obroże;

ich wodzirejom: jednemu znaczek „pour le mérite", drugiemu, pękatemu linoskokowi, parę kajdanek;

ich dalszej sforze: obostrzone przepisy policyjne w czasach wścieklizny;

naszym stronnikom i zwolennikom: serdeczne uznanie. Nie dajmy się!

„Gazecie Robotniczej": 3000 nowych zamówień na gazetę i 2 strony ogłoszeń;

Gustlikowi Beskuryji: „Psińco mi pierony dali!"

Dalsze ofiary przyjmuje chętnie, dziękując najszczerzej za dotychczasowe

Redakcja „Swaczyny".

Kronika.

Z Górnego Śląska.

Na fundusz podwójnie-jubileuszowy imienin ks. kard. Koppa na rzecz robotnic zbierają centrowcy składki wszędzie i od wszystkich. O ile dowiadujemy się, robotnice, wyzyzkiwane równie dobrze przez kapitalizm katolicki jak wszelki inny, skorzystają z funduszu pod warunkami następującemi:

1) Powinne należeć do rodziny szczerze centrowej; 2) powinne być pobożnisiami (o pobożność rzeczywistą mniejsza, gdyż postępować wobec bliźnich innych przekonań wbrew zasadom katolickim jest nietylko dozwolone, ale nawet zasługą); 3) wsparcia i t. p. są odwołalne, t. j. mogą być powstrzymane każdej chwili, skoro tylko proboszcz, oczywiście centrowy tylko, lub pracodawca uznają to za uzasadnione.

Inne robotnice zadowolić się muszą kilku dniami odpustu i błogosławieństwem pasterskiem; o ile zaś jawnie będą działały podług przekonań odmiennych, narażą się na klątwę.

---

* **Zabrze.** I radość i żałoba napełniły Zabrze. Radość z powodu, że miejscowość ta jako pierwsza w górnośląskim obwodzie przemysłowym dostąpiła zaszczytu, iż otrzymać ma wkrótce policję królewską; żałoba, iż równocześnie ustępuje sławny amtowy, p. Pappritz, dziękując za pełną cierni służbę i za zmniejszenie gazy. Żal szczery przejmuje wszystkich uczciwych, że ten pan, który bezprzykładną wolą utrzymywał powagę państwa wśród doszczętnie zrewolucjonizowanego Zabrza, ten, który przyczynił się chlubnie do szerzenia trzeźwości wśród rozpojonych mieszkańców, odbierając konsens gospodarzowi Kurhotelu, ten, który na zawołanie mógł postawić 12 szpiclów jakoby 12 aposztołów ku szerzeniu lepszej znajomości i poszanowania prawa, choćby za pomocą dziwnego pojmowania tegoż — dziś on pełen poświęcenia, jak ongi jego wielki ojciec duchowy i wzór wspaniały, Bismarck, idzie na odstawkę. Ale łzy krokodyle popłyną obficie, a blisko 10 tysięcy mk. pensji rocznej będą dlań pociechą nielada, zwłaszcza, że przy takich sposobnościach pewne świecidełko zawisa na piersiach męża zasłużonego dla króla i ojczyzny.

Z Poznańskiego.

* **Ugodowcy.** Ponieważ na odezwę „Obywatela" w „Dzienniku Poznańskim" ogół prasy narodowej odpowiedział oburzeniem i szyderstwem, mianowicie dotyczącem ustępu polecającego głosowanie za „koniecznościami państwowemi" a targowanie się tylko o takie sprawy, na które rząd gwiżdże, konserwa polska stuliwszy uszy oddała się rozmyślaniom zupełnie cichym, następnie posiedzeniom poufnym, których wynikiem jest następująca odezwa, drukowana jako pismo ulotne:

„Rodacy! Nietylko z dopuszczenia bożego, ale owszem z największej łaski bożej dostały się dzielnice nasze do potężnych Prus, a przez nie do wszechpotężnej Rzeszy Niemieckiej. Bogu na klęczkach po kilkakroć na dzień dziękować należy, iż tak się stało.

Zważcież bowiem, jakie to nieznośne panowały stosunki, kiedy ojczyzna nasza dawniejsza, Polska ukochana, była wolną. Wtedy szlachcic całe mile lada bryczką jeździć musiał na sejmiki, ażeby układać prawa, nieraz głowę łysą łamał nad tem, co najlepsze dla narodu, nieraz szablą oberwał, gdy uprawiał opozycję. Dzisiaj — z woli łaskawej panującego nam z bożej łaski najmiłościwiej domu ani w przybliżeniu podobieństwa nie ma pracy około dobra kraju pomiędzy zabiegami naszych wielkich przodków a naszemi. Dzisiaj wszędy postęp, którego w ziemiach naszych nie było, gdyż nie mieliśmy tak światłych panujących. Dzisiaj poseł wybrany wolą ludu na podstawie Najwyżej zatwierdzonych praw i przepisów odnośnych, jedzie sobie wygodnie pierwszą klasą do Berlina, aby wziąć dyety i pohulać sobie za nie, z dodatkiem tych pieniędzy zbytnich, które zabrał ze sobą. Praca ustawodawcza i prawodawcza jest bardzo prosta, opozycja mało znana, gdyż pozostawia ją się zasadniczo tylko tym, którzy lubują się w okrzykach bezowocnych. Zazwyczaj bywa tak: nad przedłożeniem ustaw rozważa sam rząd; ci którzy są za porządkiem bożym na ziemi przykiwną gotowym wnioskom, krzykliwej, niesfornej gawiedzi oberwie się kilka moralnych policzków i basta.

Jeszcze na jedno zwracamy uwagę: Ku schyłkowi dziejów naszej wielkiej Rzeczypospolitej Polski jakieś niby-wolnościowe dążności wzburzyły wszelkie umysły; wkońcu doprowadziły do tego, że ową zachwalaną konstytucją 3 maja ogłoszono równość wszystkich obywateli wobec prawa. A fe! Mieć równe prawa z hołotą! Nasz sejm ukochany pruski pod tym względem, przyznacie, różni się o całe niebo jeszcze dziś, w blisko 125 lat później; trzyklasowy system wyborczy, to w sam raz odpowiada potrzebom i wymaganiom szanującego się obywatela.

Jakżeż tedy wzdychać do tych nieudolnych urządzeń przeszłości, po cóż dopiero marzyć o tem, aby je przywrócić i ulepszać podług tak zwanych wymagań nowoczesnych, skoro to wymagałoby pracy niespożytej, na którą niema czasu wśród zajęć innych? Czyż nie rozsądniej o wiele nietylko dostosować się do warunków istniejących, ale popierać nawet ich zachowanie ze wszystkich sił, krwią i mieniem, a choćby niekiedy i upokorzeniem, skoro tego wymaga dobro sprawy?

A ponieważ rząd pruski i rząd Rzeszy biada ustawicznie, że krucho z tem państwem będzie, jeśli nie będzie dostatecznej liczby nabojów wszelkiego rodzaju przeciwko wrogom wewnętrznym i zewnętrznym, cóż, czy pozostawimy ten rząd ojcowski w tych kłopotach? Nigdy! Przenigdy! Pokażmy mu owszem, że jesteśmy jego kochającemi dziećmi, lepszemi nawet, niż te, które on pieści, o nas niekiedy zapominając niestety. Uchwalajmy mu, czego tylko pragnie, koszta wszystkiego i tak przeważnie poniesie owa współzawodnicząca hołota, ubiegająca się o prawa równe z nami, — a pokażemy, że polacy umieją być szlachetni i rozsądni, bo umieją być wdzięczni i za te dobrodziejstwa, których im jeszcze nawet nie obiecano."

Przedpłata

równa się jednorazowej cenie, t. j.

5 fen. za numer.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott z Zabrza.

Nr. 8. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 24 lutego 1912.

JULJUSZ KADEN.

Zygmuntowi Klemensiewiczowi.

BABA.

Przynieśli z miasta papier, — i leży.

Co-nie-co powiedzieli, co-nie co wytłomaczyli. Słowem tym broniła się w sobie, w głąb ich nie puszczając, tak zaraz, byle jak. Po wierzchu se pływały twarde, obce, nierozpuszczone w zrozumieniu. Bo zrozumienie nie chciało tego przyjąć, nie mogło w sobie rozpuścić. Gdyż zgroza od tego parła taka chłodna, taka zimna, że przeczuć mróz serce zagryzał. Szronem raniącym onikał, jak w te komórki kaczana, czy w te skrytki ogryzka, co skostniały, zjełczały niezamieciony, wala się i słania przy domu, niby z owocu siłą wydarta, gwałtem wyszarpana krtań.

Nie słowa z papieru wyłowiła. Ale ze słów, z samego napisania palcem delikatnie wymacanego, ale z całego pozoru całą przewąchała treść.

Papier żółty, niedobry, pozieleniały od tego fałszu. Liczby się do niego przypiły niczem pijawki pokręcone. Leżał na babinym podołku. A chociaż z wyglądu, złożony, potulny, cichy, to jednak zimno z niego leciało w górę, krzyk się z niego wydychał obraźliwy. Krzyk, którego uszy nie słyszą, ale wnątrz ludzki rozumie.

Krzyk? A jakby miał łapy zimne i twarde. Wetknął je, sunął w serce i tak z nim wyrabia, tak wydziwia, tak już miętosi i mnie.

A wnet, — znów się statkuje. Ustatkował się na dobre, że wszystkie pięć klepek, wiesz, gdzie masz.

Co się zamyliło, to znów powraca. Droga za oknami i uwiędnięty kwiatek w fajerce i klepisko i dzieciska i prosie i krowa ostatnia.

Trzymaj babo — zdzielił ją głos. Zdzielił i dalej ponosi.

Trzymaj babo — wiatrem w uszy uderza.

Więc baba w mordędze tej miarkuje, w czem się nie trzyma, co to już z pazurów popuściła, co się wypsnęło, co rozgrabili.

A gdy tak waży i liczy i cedzi przez głowę i przelicza, słyszy i czuje, jak robak ją gryzie i pożera. Skąd się wziął, skąd się wyroił nie wiadomo. Ale siedzi na wnątrzu, niby ta liszka tę głowę kapusty toczy, zjada, pojada wciąż, że tylko z całego liścia zostają twarde chude nitki.

Robak nieujęty, nienajedzony, wylągł się w babie, pojada sobie niecnota, aż nudzi, mdli, aż ckliwi i ścisza.

Niepokoje upadły na serce. Jak w wężowem legowisku zawiązują się, wloką i kłębią.

Stoi baba w pośrodku izby — papier na ziemię zfrunął. Niby cały ten zamysł w brzuch się wepchnął, a cóż wymyśli ten brzuch, od kartofli, jak bęben wyciągnięty.

Tymczasem z mdłości podstępnych rodzi się gorąc. Ogień się w babie zapalił, na pozór zimnej, jak słup.

Miotła ognista rozmiotła do cna, co jeszcze w głowie czuwało i pamiętało. Jak śmiecie, czy plewy, jak pyż, drygnęło to wszystko, ku oczom podfruwa i już go niema.

Nogi zaprzeć o płot, pazury wczepić aż tam, wedle krzywych kopców ostatniej morgi — granicy. Za kopce ziemię rodzoną, jak za brodawki chwycić, niech się ludzie znęcą, — ale nie dać.

Tylko że papier nie człek. Papier — prawo.

Buchnęły krzywdy, smrodu zatęchłych pomyj zionęły. Tak okrutnie, że się łamią w tym dopuście wszystkie sposoby, wszystkie drogi.

A we łbie rozwichrzonym, nieprzyklepanym, hasa ta fryga-nienasytka, ostrym śmiechem kicha i prycha, krzywda ladaco.

Krzywda — też prawo.

Lecą bóle gorące, skargi piekące, niewysłuchanym świerzchem pięści poparte, hecują w koło, w krąg. Już się urwały ze sznura, w szkodę twą biegną, na każdej grządce ryjem szalonym pyskują.

I znikły. Bo się człowiek ogarnął, jakoś odwrócił lico. Patrzy w słońce okiem miękkiem, zbolałem a światło obce, zimne, płachty mu na oczy ciska, wonią podniosłą kadzi i w bezlitosnej jasności pokazuje ten padół, od przeoranej, nieznawożonej ziemi, aż pod niebo zamarzłe.

Tu człowiek krzepnie i ścina się jak woda. I takby stał nieporuszony, żeby nie łzy, z samego szpiku kości, z samego mózgu.

Kapią, ciurkiem płyną w otwarte uda i nawołują.

Więc sobie baba jeszcze raz przepowiada, jeszcze raz przypomina.

Chłopa jej zdzielił świniarz bogaty, na zgromadzeniu, po pijanemu, kołem przez łeb. Świadki są, co świadczyli, cała wieś. Chłop nogi wyciągnął, i teraz ona sierota, z dzieciskami. Podała na świniarza do sądu ze skargą. Odszkodowanie przyznali, ale mało, bo świniarz bogaty. A świniarz świadkami kręci, do izby jej zagląda, przechwala się zuchwalec, że więcej nie zapłaci, bo chłop więcej nie wartał.

Poleciała do miasta, żydy się do niej przyczepiły, z rąk do rąk se podały. Adwokat z za tych szkieł, niby z za złoconego płota popatrzył — masz babo rację.

A teraz kamieniem w ciemię: ani ta racja nie wygrała, ani co, tylko płać. Bo jak se pan adwokat do ciebie nastał, to już, że poszedł do sądu i w sądzie kichnął i że wyszedł, za wszystko, że markę poślinił, kapotę nawdział, i że mu się w sądzie zachciało... — za wszystko płać. Kiedy się kto z takiemi brewerjami umawiał? Kiedy kto słyszał co? Nic. A teraz z papieru licytacja — i amen.

Aż nią cisnęło od ściany do ściany.

Swiata nie widzi przez łzy, tylko tę tęczę lepiącą, — wstęgę oczu spłakanych. Kręci się w izbie, zbiera, spódnicę ku oczom podnosi, rąbkiem oną wstęgę źrenic suszy i guiecie, pochylona tu i tam, pomylona w tym pośpiechu.

Dzieciska poutykała w łóżko, między bety, co najcieplejsze, krowie co było rzuciła przez głowę, kumom słowo o dozór i jazda.

Leci baba, niby ten polny strach, zbuntowany, samego siebie przestraszony, szmatami na wietrze uszczypliwym, o czarnej rozpaczy własnego powołania, wiejący.

Leci baba, niby ta żywa chłopska krzywda z przygłupiej wsi do przemądrego miasta. Niby ta żywa skarga z pod strzech pokrnoych wywiana.

Leci, łzami tę białą drogę zrasza, to znów przynika do ziemi, kieckę w zgrabiałe łapsko porywa, ku oczom obrąb ciężki, błotem i łzami nasiąkły niesie, niby zła tanecznica, której nie, byle co, zawadzi u spódnicy.

Słońce się na niebie jasne i zimne wyrzepiło. Sinym przestrachem cienia, z boku pogania babę, pogania wciąż.

Zaś ona to bieży, to staje, aby powietrza załapać w piersi rozedrgane, macierzyńskie. Stoi, włosy z nad czoła, mokre od potu uchyla i patrzy w słońce niezmącone, co niby straszna monstrancja wśród wonnych uwięzi dymu, płynie wśród cieńkiej, płytkiej jasności zimowego nieba.

Pan Bóg ją przeklnie, że leci do tych, z miasta. Nigdy już nie da jej wiary, modlitwom nie da posłuchu. Przeklina ustami proboszcza. Ale czekajże, Boże, dla ciebie to wszystko jedno, nie, jedno oczu-mgnienie, a tu o ziemię idzie.

Leci, szmaty na piersi zgrzebuje i dalej co tchu, tchu.

Wyszturchali ze dworu, na plebanji słowem prześnem i tłustą ręką poklepali — a świniarz co?!

A świniarz ze dworem w komitywie, na plebanji chrzciny furt funduje, a tu, do sieroty, z niewyparzonym pyskiem lezie — twój chłop więcej nie wartał — drwi.

To jedno pomyślenie, znów jak babę za nogi nie ułapi nie popędzi, nie pogna!

Ale niby wrogowie przeciw niej, hurmą się sparli, drogę prześmiechami ucinają, pogróżką trzęsą, aż się kurzy.

Ale baba, — już nic.

Bez was bede — klei se w środku rozumienia.

Aż stanęła na środku drogi. Te jakieś juki żwawo z siebie otrząsa. Patrzy na słoneczną monstrancję, promieniami o lasy wspartą i gada głośno ku tej ciszy śnieżnej, karbowanym turkotem dalekich kół podartej: Co mi tam! Do socjalistów! Do socjalistów idę!

I idzie a już nie leci, bo się w niej dwie rzeczy podniosły i wali jedna drugą. Ksiądz djabłami, smołą piekielną, żarem i smrodem ich obezwał, a znowu oni nic, tylko stoją, sam pan poseł chłopom łapę podaje i mówi — tyś jest lud, prawo masz.

Jakieś gwiazdeczki czułe od słodkiego płaczu, aż się zaniosły — w pomyśleniu.

Zgarnia chusty na piersi, zgarnia żałobę serca. Ale nie!

I tamci łżą, jak wszystkie miejskie wrzaskuny! Szczekali po wsi, gargotali, rajcowali, gardłowali, — teraz się sprawdzi.

Już się domki przysadziste pokazały, już ziemię, kamień twardą gomółką wykłada.

Idzie baba, utyka na tych kamieniach ciężko, zziajana, golenie, niby przetrącone posuwa, aby dalej.

Miasto jak jeden mur.

Domy okna wygałuszyły. A tu wieże w śniegu, jak w mące, a tam sklepy, całe ze szkła.

Ulicami czarna ciżba leje się wciąż wprzód i w tył i nie ustaje.

Już baba niema żadnego szacunku, na gościniec nie zejdzie, pcha się przez naród tretuarem.

Ulice za nią gonią, kłamią i mylą poprzerastane, pokręcone. To się znów wszystkie we wielki plac rozedmą, a na placu trudniej, niż w lesie.

Ale baba nie w ciemię biła. Gdy utknie przed domem wyszczerzonym, że ani tędy ni siędy, przegładzi w rękach, pogłaska ten świstek z adresem redakcji i łaski pańskiej, piśmiennej pyta: gdzie?

Już się wdarła.

Ściany aż spuchnięte od tego papieru drukowanego. Jak żytnie ciasto wytłacza się szary ze stojaków, ze sprzętów, ze wszystkich stron. Po stole ogromnym, zjeżonym, niby po rżysku w pasmach się przewłóczy, z ocapu soplami się zwiesza i z kosza przy biurze wybucha, jak postrzępiony piernat.

Jeden stary, zmierzwiony, kostropaty socjalista, niby głodny, ale jakiś chędogi, owszem, — cały się zwiesił nad stołem, jak kret ryje w papierach, najada się tego druku i parska piórem po papierze, aż mu żyły na stronie wylazły.

Drugi śledzi, niby tłustszy, znaczniejszy.

Brzydzi się trochę baba tego bezbożnego gniazda.

Postała w przedpokoju, płacz w sobie do onej prośby zasmaża i rozrabia, sposobi się w ciągołach proszalnych i zawczasu nosem, jak na klarnecie pociąga.

Ludziska z wzdychaniem ciężkiem przywarli do ław, jeden przed drugim troskę z siebie troczy. Wszyscy sobie jacyś, — powiadają, — towarzysze.

Słowo chodzi to na tych, to na tamtych ustach usiada, zaszumi, w każdą mowę, w każdą sprawę wścibione, wścibia się wszędzie, aż w tę Twoją bolączkę, na dnie głębokim, najgłębszą — żeś sam. Żeś sam w tej poniewierce aż do ostatnich, krwawych łez.

Bezbożni, czy zbożni, ale ludzcy.

Słowo się wścibia aż do serca wielką prawdą.

Aż baba nadziejami płonąca nie czeka kolei, nie zważa i nie baczy. Ostrymi łokciami przepchała się. Jeno po niej westchnęły te szklanne drzwi z poczekalni do pokoju, ramieniem zahaczone i oto już jest przed obliczem. Od drzwi samych skłania się i chyli, nad rolą wciąż schylona, przez pracę do przyziemnego chodu na klęczkach wciągnięta gnie łacno grzbiet szanowny a nieobrażliwy.

Poseł zatrzepotał rękami.

Pewno niecierpliwy i zły, ten socjalista.

Więc haniebnym obyczajem wiedziona, chyli się do nóg, do kolan możnych przynika o łaskę wysłuchania.

Poseł się cisnął, jak zwierz ugodzony i powiada, żeby nie — i powiada — mówcie matko.

Mowę jej wszelką, stropionej, odjęło jeno przedtem, w przytomności tych wzdętych papierów rozlała swój gorzki płacz. Tylko powieki zapuchnięte, niczem brzytwy tnące, krwawe nad zbielałymi od słońca źrenicami zmyka i leje łzy. Ledwie że jeden płacz wyczerpie, gdy drugi się otwiera, jeszcze rzewniejszy. To znów przypomina se baba tę moc świniarza i prawo pisane w papierze i własne pole nieobronne, a od tego — śnieg przed oczami czarny wali, jak sadze, kawałami.

Znówby do kolan przypadła, ale się przecie prostuje i chlipie. A tylko obrąb spódnicy, ciężki, łzami i błotem nasiąkły do oczu tka, głodna, chuda i brudna, bolesna tanecznica, tych żebrów niewysłuchanych o wysłuchanie.

Ale ją poseł dobrem słowem przytulił.

Więc mu rozpowiedziała od samego początku, aż się spocił ze zgryzoty.

— Kiedy się ze swoim poznali i pobrali i ile mieli dzieci, wszystko dokumentnie — dla sprawy. Najprzód słowem ściśniętem, a później tem, co się rozwidla, co nie może lecieć, by nie wdepło do tych ciemnych rowów niedzielnego pijaństwa, żeby się nie roztrzaskało na szczapy o wykrot cudzej przemocy, żeby różyczką łez nie zabłysło nad kołyską, w której śmierć zadarmo zimne sprawia chrzciny.

Papiery macie — spytał.

Rozkołysana w tym splocie przemocy dała mu je za pazuchy, gdzie leżały jak śliski liszaj. Dała mu ten papier drżącemi od pomsty rękoma, z pod serca, straszliwem drżeniem serca nieprzejednany. Z pod piersi wyszarpnięty bukiet chłopskiej rozpaczy.

Oczami trzyma straż na twarzy posła, waruje czujnie nad każdem drgnieniem.

On zaś papier rozgiął i rozłożył. Małe szczypawice liczb wpośród drukowanych rubryk i szlachetek rozlazłe, czarne mrówki liter co papier powszędy obłaziły, przejechał uważnie ołówkiem i oboma rękami za głowę się złapał.

To kiedyście już byli u wszystkich najgorszych macherów, oczajduszy jacy w mieście są — prawił a ona mu przytakiwała — kiedy już was stręczyciele i pośrednicy z ostatniej skóry obłupili, kiedy już ze sprawą jest jaknajgorzej, to wtedy do nas przychodzicie. A teraz to chyba na głowie trzeba będzie stawać, żeby coś z tego wykręcić.

Wyciągnęło ją ku niemu. Płacz i siebie oczami bezustanku wylewa, żeby się poseł zmiększył. Żeby może z tą sprawą przez tego świniarza tu nie robić, bo świniarz niczego się nie boi, bogacz. A tylko iść do samego tronu złotego, z tymi papierami do „cesorza". Przecie siedzi „cysorz" czyściutki na tronie złotym podniebnym. A tu poseł siną ze zmartwienia babę prowadzi, a tu już „cesarza" za kolana obłapiła. A przecież cysorz świniarza nie zna i oczy ma niezamydlone.

Ale się to wszystko jakoś posłowi nie nadarzało.

Cysorz, matko — powiedział, skrobiąc się w szyję — świniarza zna, a was nie zna. Świniarze więcej posłów mają, niż wy. Wasz cysorz musi myśleć: więcej mam świniarzy pod sobą, niż tego ludu biednego. Dlatego tamtą stronę trzyma a papier wasz zostawcie.

I skrzyczał ją: Wasz jestem poseł, za was gardłuję. Ale żebym se gardło wygadał nie uradzę. Chcecie, żeby o waszej nędzy hałas sprawiedliwy po świecie szedł, to miejcie nas więcej. Sto razy się to już u was gadało, ale co! Należycie matko przynajmniej do organizacji?

A dy rozumiem — odmachnęła ustępliwie.

Pokłonili się sobie, ona socjaliście i socjalista jej. — Postawi się na głowie dobry człowiek — myślała. Za darmo dla sprawiedliwości.

Tylko, żeby do czego należeć? — Aż stanęła na schodach. Bo przeleciało ją to słowo zamorskie, cudackie jakby o organach, tylko nie to, niby świder na wskroś.

Jak mu to, kiedy wymówił w zębach zatrzeszczało — jak żwir. Twarde, kościste musi być.

Tylko, czy aby nie oszukał. On darmo sprawiedliwość — ona za to do tejże organy, tylko nie to. — Żeby ich było więcej dla hałasu sprawiedliwego a biedocie po świecie.

I na tę myśl aż westchnęła, wracając głuchemi od białego śniegu ulicami: Że sprawiedliwość nie płonna rzecz, jak pójdzie na tryby w tej — z radością słowo wspaniała — organizacji.

Niewolnictwo w Trypolisie.

Niewolnictwo trwa jeszcze wciąż w Afryce, a handel czarnymi niewolnikami, prowadzony jest za dni naszych nie gorzej — jak dawniej.

Niewolnictwo istnieje też i w Trypolisie, gdzie, jak w całej zresztą wschodniej Afryce, pośrednikami w tym handlu żywym towarem są „wolni synowie pustyni", t. j. arabowie.

Niewolników dostarczają arabowie dla Turcji. Porywają ich z wiosek murzyńskich, zabijając bez miłosierdzia tych, których nie udałoby się im sprzedać zyskownie, uprowadzając zaś z sobą wszystkich młodszych, zdrowszych i silniejszych.

Los tych pojmanych jeńców bywa okropny. Skuci szeregiem najczęściej po dwóch, za pomocą ciężkiej, drewnianej kangi, biegnąć muszą za końmi, pędzącemi w galopie, popędzani gęstymi razami. Do pośpiechu przynagla ich między innymi obawa spotkania się z białymi, którzy, o ile znaleźliby się w odpowiedniej liczbie, uwolniliby może jeńców. Ale ta kontrola białych jest dość rzadka i mało wystarczająca, to też obławy na czarnych odbywają się tak dobrze pod rządami cywilizowanych państw europejskich jak i pierwej.

Są też plemiona murzyńskie dziksze i odważniejsze od innych, które same porywają niewolników i przyprowadzają ich arabom na umówione targowiska, sprzedając ich tam po dość niskich cenach. Bywają też wyrodni rodzice, którzy przyprowadzają na takie targowiska własne dzieci. Cena dorosłego człowieka na afrykańskim targu bywa bardzo rozmaita. Płaci się za niego rodzajem orzechów „Kola", tysiąc sztuk za człowieka, a czasem baryłką wódki lub starą strzelbą. Chłopiec kosztuje 40, dziewczyna 80 franków, kobieta w średnim wieku 70 franków, stare dodają niekiedy bez pieniędzy dla wyrównania targu. Arabowie, którzy są zwykle nabywcami, odsprzedają ten tanio nabyty towar z olbrzymim zarobkiem, dochodzącym do 80 procent czystego zysku. To też niewiele się troszczą o tych, którzy umierają im w drodze, skutkiem złego obchodzenia się, zarobek z tego co zostaje, będzie i tak aż nadto obfity. — Młodzi chopcy, przeznaczeni na stróżów w haremach tureckich, poddawani bywają operacji chirurgicznej, która ich czyni płciowo niezdolnymi. Skutkiem takiej operacji wielu z nich ginie na miejscu, za to pozostali sprzedawani są za bardzo wysokie ceny. Chorych na gorączkę zakopują arabowie po szyję w piasku pustyni, który jest w głębszych swych warstwach świeży i wilgotny. Setki tysięcy czarnych żyje w stanie niewolniczym w Trypolisie, podobnie jak w Marokku, oni to wykonywują wszystkie roboty w oazach i wszystkie wogóle cięższe roboty, do których nie poniżyłby się „wolny syn pustyni".

Wywożenie niewolników do innych krajów jest pozornie wzbronione, ale łatwo przychodzi handlującym arabom uniknąć pod tym względem kontroli. Uciekają się oni do środków takich okrutnych — jak zamykania przeznaczonych na handel murzynów w drewnianych pakach lub też w wielkich workach, zwanych „gerara", umieszczonych na grzbietach wielbłądów. To też zdarza się czasem, że urzędnicy celni, poszukujący kontrabandy, znajdują w owych workach zamiast spodziewanego towaru, czarnych chłopaków przekradanych w ten sposób.

Inni handlarze ładują bez ceremonji paki drewniane z żywym towarem na spód okrętu, zabezbieczając się wprzód przed czujnością służby okrętowej, odpowiednio rozdaną łapówką. Paki te mają oczywiście szczeliny, aby biedne ofiary mogły oddychać. Umieściwszy je w ustronnem miejscu pomostu, właściciele przychodzą od czasu bo czasu karmić swój inwentarz i dowożą go wreszcie szczęśliwie na miejsce przeznaczenia.

Ten handel trwa i rozwija się prawie bez przeszkód, a „opiekuńcze" państwa europejskie patrzą na tę hańbę przez palce, bo nie poto zagrabiły obszary afrykańskie, aby wprowadzić kulturę i światło między czarnych i rzetelną nad nimi roztoczyć opiekę, ale poto, aby z naturalnych skarbów Afryki, jak kopalnie różnych minerałów czerpać dla siebie bogactwo.

Rozmaitości

Zdegradowany święty. Car rosyjski może nietylko mianować świętych, ale może także ich degradować. Jak wiadomo, car Mikołaj II mianował świętym mnicha Serafina, za którego przyczyną carowa miała powić syna. Car Paweł natomiast zdegradował jednego świętego, a nawet skazał go na zesłanie na Sybir. W klasztorze Skumoryńskim znaleziono zwłoki pewnego metroplity, którego ciało i ubranie, pomimo tego, że już od dziesiątek lat leżał w grobie, pozostały zupełnie niezmienione. Uważano to za cud i uznano go za świętego. Gdy atoli zwłoki jego przeniesiono następnie do relikwjarza, rozsypały się w proch. — Z tego powodu wśród mnichów powstało wielkie przerażenie a car polecił aby zbadano życie „świętego" metropolity. Badnia te wykazały, że metropolita był człowiekiem bardzo grzesznym i prowadził rozwiązłe życie. Car, rozgniewany tym, nietylko zdegradował go z godności świętego, ale nadto skazał zwłoki jego na zesłanie na Sybir.

* * *

26 ofiar weselnych. Prawdziwa krwawa uczta odbyła się przed kilku dniami w Kazaniu (Rosja). Gospodarz Andrzej Sjagdin pospraszał na ślub córki swej prawie całą wieś. Zaraz pierwszego dnia wesela wypito niemal cały zapas zakupionej gorzałki. Drugiego dnia uczty już jej zabrakło zupełnie, a gdy goście się o nią dopominali, gospodarz domu, czyli ojciec młodej pani, oświadczył, że już niema wódki. Goście weselni poczęli okładać ojca w niemiłosierny sposób, co go wreszcie skłoniło do wydania więcej „nektaru". Teraz dopiero rozpoczęła się krwawa walka. Ojca zatłukli goście kijami na śmierć. Poczem bili się pomiędzy sobą, na czele ich młody pan. Na końcu uczty zmarło skutkiem nadużywania alkoholu i odniesionych ran 26 gości, pomiędzy nimi młody pan. Większą część pozostałych przy życiu trzeba było umieścić w szpitalu.

* * *

Dobra ustawa dla sędziów. Socjalistyczny poseł Morill, wniósł w parlamencie stanu Masachusets w Ameryce wniosek, żeby każdy sędzia i ustawodawca, nim obejmie

swój urząd, przesiedział pięć dni w więzieniu, i mieszkał przez przeciąg miesiąca w najbiedniejszej dzielnicy wielkomiejskiej miasta Bostonu. Wniosek też został przyjęty i każdy sędzia, jako też i ustawodawca będzie musiał się, poddać tej próbie, żeby z własnego doświadczenia wiedział, co znaczy pobyt w więzieniu i poznał życie najbiedniejszych ludzi, zanim będzie wydawał wyroki i ustawy. I u nas zdałoby się coś podobnego przeprowadzić.

* * *

Gdzie jedzą najwięcej kartofli? Według ogłoszonej codopiero statystyki pewnego znakomitego profesora ekonomji społecznej, wynosi zbiór kartofli na całej kuli ziemskiej $1^1/_4$ miljarda hektolitrów (1 hl. = 100 litrów), które wraz z 870 miljardami zboża ludzkość spożywa. Co do udziału poszczególnych narodów w spotrzebowaniu kartofli, to na pierwsze miejsce wysuwa się Irlandja, której każdy mieszkaniec zużywa rok rocznie 1497 funtów, czyli przeciętnie przeszło 4 funty dziennie. Po Irlandji następują Niemcy, gdzie na każdego mieszkańca wypada 1300 funtów rocznie. Wyliczono, że Niemcy, co do konsumcji kartofli, potrzebują czwartą część zbiorów rocznych całego świata. Resztę zużywają inne narody w następujących kwotach na każdego mieszkańca: Holandja 840 funtów, Szwajcarja i Norwegja po 740 funtów, Francja 700, Austrja 663, Kanada 660, Anglja 238 Włochy 48 funtów. Tak jak z konsumcją kartofli stoją Włochy na ostatniem miejscu z konsumcją mięsa, zato ale w konsumcji chleba zajmują Włochy wobec innych państw trzecie miejsce.

* * *

Elektryczna kobieta. Między innemi nieprawdopodobieństwami naszego wieku znalazła się i... elektryczna kobieta. Mieszka ona w Petersburgu na Ligowce. Oto, co o niej pisma petersburskie donoszą:

Jest to kobieta w średnim wieku, dobrze zbudowana. Pozatem niema ona w sobie nic nadzwyczejnego, oczy tylko ma duże i spojrzenie bystre silne.

Kobieta ta w młodości przy swojej wspaniałej budowie zaczęła odczuwać chorobliwe i przykre oznaki bezsenności, bólu głowy etc. Nikt z otoczenia ani lekarzy, nie mógł zdać sobie sprawy z istoty tajemniczej choroby. Dopiero przypadkiem spotkana kobieta z Syberji wyjaśniła jej, iż posiada zbyt wiele elektryczności, którą trzebaby odprowadzać. Przytem kobieta poradziła, aby zaczęła leczyć ludzi.

I oto elektryczna kobieta zaczęła urządzać seanse, podczas których przelewała energję elektryczną na chorych.

Tym sposobem elektryczna kobieta odzyskuje zdrowie i stan normalny a wszelkiego rodzaju chorzy (ślepi, nerwowi, spuchnięci) odzyskują wzrok równowagę nerwową oraz pozbawiają się wszelkich oznak chorobliwych.

Seanse są nadzwyczaj proste. Pacjent kładzie się na kanapie starannie izolowanej, „elektryczna" kobieta staje na dywaniku leżączym przy kanapie, również izolowanym zapomocą szklanej tafli i kładzie pacjentowi obie ręce zwilżone w roztworze solnym na ramiona i poprostu rozmawia.

Napływ energji elektrycznej przechodzący od „elektrycznej kobiety" na pacjenta, przywraca pacjentowi zdrowie.

W całej praktyce swej, mówi owa kobieta, nie miała ani jednego nieudatnego wypadku. Jeden tylko potrzebuje więcej seansów, drugi mniej.

Na podstawie swej praktyki i swojej hypotezy elektryczna kobieta nie dzieli ludzi na zdrowych i chorych, a tylko na mających odpowiedni zapas elektryczności i mających jej za mało lub za dużo.

Elektyczna kobieta zastrzega, iż niema w jej leczeniu ani hypnozy ani suggestji.

* * *

Najnowszy przepis imigracyjny w Stanach Zjednoczonych. Według obowiązujących dotychczas w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej przepisów imigracyjnych nie otrzymywały pozwolenie na wylądowanie dzieci w wieku lat 16, jeśli nie jechały w towarzystwie rodziców, względnie do rodziców, zamieszkałych w Ameryce. Obecnie przepis ten został zaostrzony w tym kierunku, iż nawet dzieci, jadące do swych rodziców, nie będą otrzymywały pozwolenia na wylądowanie w Ameryce, jeśli przed wyjazdem z Europy nie zostaną zaopatrzone w tak zwany „Affidavit", t. j. dokument wystawiony przez amerykański Urząd imigracyjny na podstawie deklaracyi notarjalnej ojca, iż zobowiązuje się zabezpieczyć dziecku utrzymanie i posiada potrzebne na to środki.

Odtąd więc dzieci wysyłane do rodziców zamieszkałych w Ameryce, należy poprzednio zaopatrywać w podobny dokument, o który ma się starać ojciec (względnie matka), chcący sprowadzić do siebie małoletnie dziecko.

Dymokrackie medykacje.

Poszły se zopusty s rostmaitymi błoznami, przyszoł wielgi Post. Ale błozny ostały sie i ostaną wdycki, a post bół i bydzie tyż dalszyj.

Bo to ludzie, chtórzy mają na to, a ci, chtórzy nie mają prawie, wdycki błoznów się chytają, hnet, coby sie bawić, hnet, coby szklić, a ci, chtórzy są ciymni, blank wdycki błozny robią, kiej rozumu nijakiygo sami nie chcą i jeszczy dopolają tym, co ich chcą pouczyć. Zaś post biydnymu nie nowina, kiej drożyzna, a ubogiymu robotnikowi i jego rodzinie tyż nie; toć mu na zapusty niejeden księżoszek przykozoł jeść harynki z ziymniokami.

W parlamyncie niymieckim terazki jeszczy błozny robią. Te wszyjskie burżuje a nojwiynkszy konserwy tak wdycki chcą być byldowane i patrzą na formy, ale im terazki nasz wiceprezydent S heidemann pokozoł, iże sie lepszy zno na tych formach jak oni, bo pado, iże na bezuch musi być gegenbezuch; wszyjscy prezydenty lotali na zómek cysarski, ale nijak nie żądali, coby tyn isny tyż ich nawiedziół; dopiyró im niebyldowany socjoł pokozoł, jak noleży; a tych, co gó terazki nie suchali, to jeszczy wyciepli ze zómku. Ano, tak musi być tam, kaj nicht nie upomino sie o swoje prawa. Terazki jino dziwać sie trza, co to bydzie z tegó wszyckiygó. Cyntrum od rządu tyż już dostało po nosie, hnet bydzie sztacgeferlich kiej my, bo już te prawowierne szmaty od trónu i ołtarza robią wspominki o flocie a wojokach i zaczynają handel w świętym pomstowaniu.

To już tak je przy tym żłobie rządowym, razym ci mają dobro pasza, razym inksi, a na wszyjskich rząd się przerachuje a óni na nim, a nojwiynkszy ci, chtórzy trzymają sztanga s panami z bożyj łaski. Bo to są niby ojce kraju, ale szwiegermuter byłaby hnet a hnet lepszo. Taki se szach perski, co downo zión papiyry, nie pyto, czy rusy a anglicy a turcy tyż nieco targają jegó kraj ojczysty, jino handluje ś nim o „swoje" myto za to, iże nic nie robi jino żyje a używo, no, a jeszczy wojną grozi, kiej mu nie chcą dać za telo. To mo być tyn nojwiynkszy patrjota w swoim kraju. W Chinach cołko rodzina już nie panująco tyż jeszczy pożyje se kopa lot s krwawicy narodu, bo tam je republika, ale musi tym swoim downym panom jeszczy płacić haracz. Bo, jagby nie płaciła, toby inksze norody pokozały, co to jich chrześcijaństwo; przyszłyby se, pedziałyby, iże takim pryncom a ich przyjocielom noleży sie susznie myto za jich tytuły. Zaś w nadgroda za swój sąd sprawiedliwy ziynyby se po szmacie Chin i byłoby po republice. Taki je niewzruszony porządek boży na tyj ziymi.

Turcyjo boractwo mo pecha. Wyspa Kreta już się rządzi po grecku, araby a albańczyki zapowiadają powstania, a terazki trza jij sie jeszczy w Trypolisie brać za unfal s italjanami. Europa dziwo sie jino, a jak bydzie po wojnie, to zaś przyńdzie sądzić, chtó ś nich wygroł, a za koszta sądowe weźmie Turcyji wszycko. W kraju za rozbój wsodzo sie ludzi do cuchthauzu, ale na rozboje państwowe za granicą trza płacic podatki, głodzić sie a hnet i krew przelywać. Tako je dzisiok nójwyższo kultura, a chtó w nią nie wierzy, tyn je rewolucjonista, co przewolo porządek boży do góry nogami. A kapłani tego, co pedzioł: „Królestwo moje nie jest z tego świata" pierónują s ambony na tych, co tyż tak padają.

Gustlik Beskuryjo.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott z Zabrza.

Nr. .9 Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 2 marca 1912.

AUGUST STRINDBERG.

Arcykapłan i fellach.

W krainie Faraonów, kędy zboże było tak drogie, a religji także mnóstwo, gdzie wszystko było święte, oprócz płacących podatki, gdzie święty żuk toczył swe święte kulki pod świątobliwą protekcją świętej religji, stał pewnego pięknego dnia młody fellach tam, gdzie święty Nil odrzuca wód muł aż do podnóża palm rozłożystych i patrzał, z jaką lubością byk Aleksander zapracowywał się nad utrwaleniem swego rodzaju, bynajmniej nie myśląc o owych trzydziestu wiekach, które z wysokości piramid rzucają swe historyczne spojrzenia na jego wiosenne przedsięwzięcie.

Nagle na północnym skraju horyzontu podniósł się czerwony tuman piachu i szereg wielbłądzich łbów wynurzył się zwolna z drgającej dali pustyni, zbliżył się, wyrósł aż do naturalnej i oto fellach padł twarzą na ziemię przed trzema kapłanami Ozyrysa i ich świętą świtą.

Kapłani zeszli z wielbłądów, nie zwracając najmniejszej uwagi na fellacha, leżącego twarzą w piachu.

Natomiast nieokiełznany byk zwrócił na siebie zaciekawione spojrzenia świętobliwych osób. Podeszli bliżej i poczęli obserwować rozjuszone zwierzę od nóg do łba; szczypali je za boki, zajrzeli mu w mordę i naraz zadrżeli, padli na kolana i zanucili psalm.

Spełniwszy swój obowiązek względem przyszłego pokolenia, byk obwąchał swych nieoczekiwanych wielbicieli, następnie obrócił się ku nim tyłem i cichuteńko pacnął ich po twarzach ogonem.

Ale, kiedy dobrzy pasterze znowu powstali na nogi, to zwrócili się z przemową do biednego fellacha, który podczas tego zupełnie zatracił świadomość, gdzie jest i co się z nim dzieje.

— Najszczęśliwszy ze śmiertelnych! W twoich nieczystych rękach słońce raczyło zezwolić przyjść na świat i wyrość bykowi Apisowi, tysiąc sześćdziesiątemu wcieleniu Ozyrysa!

— Racja byłaby, gdyby przezacne osoby nazwały go, jak się zwie, Aleksandrem — odparł zdumiony fellach.

— Milcz, bydlę, gdyż byk twój naznaczony jest księżycem na łbie, znakami po bokach i ciemną plamą pod językiem. Jest to — syn słońca.

— Nie, to nieprawda, przezacne osoby: ojcem jego był zwyczajny byk z naszej wsi...

— Precz stąd, nędzna żabo! — krzyknęli kapłani: od tej chwili byk nie należy już więcej do ciebie, na mocy memfiskiego prawa kapłanów!

Daremnie usiłował biedny fellach oponować przeciwko temu rabunkowi, powołując się na święte prawo własności prywatnej. Kapłani nawet gotowi byli oświecić jego biedny mózg, ale — jak się pokazało — było to zupełnie niemożliwem wbić w łeb fellachowi przeświadczenie, aby jego byk Aleksander mógł być bogiem... Koniec końcem, kapłani zobowiązali fellacha zachowywać nienaruszoną tajemnicę o pochodzeniu bydlęcia, które ostatecznie zabrali z sobą...

* * *

Świątynia Apisa pałała od rzęsistych promieni porannego słońca, tworząc bezprzykładne widowiska, wywierające swą tajemniczością wprost przytłaczające wrażenie na niewtajemniczonych, a wprost zabawne dla wtajemniczonych, wiedzących dobrze, co stanowią te nic nie znaczące symbole.

Tłumy chłopek, zebrane przed wielkiemi wrotami, w skupieniu oczekiwały momentu, kiedy wreszcie otworzą się wrota i można będzie uwolnić się od wiader z mlekiem, które przyniosły tak zwanemu bóstwu odrodzonemu.

Wreszcie rozległ się z wewnątrz chramu tęskny dźwięk rogu i w wielkiej bramie otwarło się małe okienko. Niewidzialne ręce odebrały wiadra i okno zatrzasło się znowu.

A wewnątrz świątyni, w sanctuarjum, stał byk Aleksander i najspokojniej w świecie żuł sobie pęk siana w swym żłobie, z ukosa tylko spoglądając na młodego kapłana, ubijającego śmietanę na placuszki, które arcykapłan raczy spożyć w imieniu boga Apisa.

— A mleko doprawdy coraz to gorsze przynoszą — zauważył jeden.

— Naturalnie, niewiara wciąż wzrasta — mruknął drugi.

— No, rusz-że się ośle! — krzyknął trzeci, zabierając się do oczyszczenia byka i illustrując swe słowa kułakiem w brzuch bydlęcia.

— Religja upada — ciągnął pierwszy.

— Co nas obchodzi religja, gdy sprawy nasze kiepsko idą!

— W każdym razie dla ludu religja jest rzeczą potrzebną, a nawet może najpotrzebniejszą ze wszystkich.

— No, rusz-że się, ośle! — rozległ się znowu głos tego, który czyścił byka — jutro będziesz grał rolę wcale cennego bóstwa wobec mądrej owczarni...

I wszyscy kapłani parsknęli niepohamowanym śmiechem, tak szczerym, jakim śmiać się zwykli tylko bardzo oświeceni kapłani.

Nazajutrz, t. j. dnia, na który naznaczono uroczystość, prowadzono boga Apisa, pokrytego wieńcami i girlandami, owiązanego jedwabnemi wstęgami, poprzedzanego przez tłumy dzieci, kobiet i muzykantów, dokoła świątyni, by go lepiej ukazać ludowi.

Wszystko szło jak najlepiej i nic nie mąciło uroczystego nastroju przez pierwsze pół godziny. Ale jakby na złość, stało się tak, że były nieszczęsny właściciel Aleksandra, zakłopotany koniecznością spłaty podatku, tegoż samego poranka przywiózł do miasta na rynek krowę na sprzedaż. Krowa ta stała tuż obok, kiedy uroczysta procesja, niby fala, napłynęła z sąsiedniej ulicy i sprowadziła ku niej samca, z którym przez przeciąg kilku miesięcy ta była w rozłące. Aleksander, poczuwszy bliską obecność swej byłej prawowitej małżonki, zapomniał o obowiązkach, jakie wkłada nań jego boska natura i obaliwszy na ziemię przewodnika, rzucił się całą siłą nawprost ku małżonce.

Sytuacja stała się poważną i obowiązkiem kapłanów było ją ocalić. Jak gdyby nadomiar skandalu, radość fella-

cha, który znowu znalazł swego byka, była tak wielka, że nie mógł on zapanować nad sobą i począł krzyczeć, jak nieprzytomny:

— Mój Aleksander! Mój Aleksander! Ach, jak mi go było brak!

Ale kapłani gotową mieli odpowiedź:

— Bluźni! Smierć bluźniercy w świątyni!

Fellach, zbity przez rozjuszony tłum, wnet wpadł w ręce straży i stawiony został przed sąd.

Kazano mu mówić prawdę, wobec tego fellach począł uporczywie twierdzić, że byk ten należy do niego i że pod mianem Aleksandra obsługiwał — jako byk wspólny — całą ich wieś...

Ale niedość było twierdzenia fellacha; musiał on odpowiadać jeszcze na akt oskarżenia:

— Znieważyłeś czynnie świętego byka Apisa, nazywając go Aleksandrem?

— Rozumie się, żem go nazwał Aleksandrem, dlatego, że...

— Dosyć! Tyś nazwał go Aleksandrem...

— Dlatego, że to prawda — tak się nazywa...

— Nie należy mówić prawdy!

— To znaczy, trzeba łgać?

— Nie jest przyjęte mówienie „łgać!“ Używa się zwrotu: „szanować zapatrywania innych“...

— Jakich innych?

— No, ty to dobrze wiesz... twych bliźnich... wszystkich ludzi...

— W takim razie, przezacna osobo i sędzio mój, uszanujcie moje zapatrywanie na tego byka i puśćcie mnie w spokoju.

— Ale, ośli ty łbie, inni — to nie ty, rozumiesz to?

— A cóżby, toć rozumiem — inni, to wszyscy, prócz fellacha...

— Jak widzę, to nie ja, ale ty mnie indagujesz! Ruszaj do kapłanów, a ci już zrobią z tobą, co uznają za stosowne... Kiedy fellach wszedł do świątyni Ozyrysa, arcykapłan przyjął go wielce surowo.

Nie ulegało żadnej wątpliwości, że był to byk Aleksander, to też kapłan wcale tego nie zaprzeczał; ale nie trzeba było tego mówić publicznie... dlatego, że... no jednem słowem... skoro społeczność opiera się na milczącej umowie, niezbędnem jest w każdym razie szanować przekonania innych...

— Dobrze, ale dlaczego, powiedzcie, świadczyć się prawdzie, nie należy szanować także i zdania fellacha? Przecież i on jest „inny“!

Arcykapłan, człowiek snadź prawy i, powiedzmy, nie bez serca, poczuł znużenie wskutek nadmiaru wszelkiego rodzaju wybiegów myślowych i wzruszony został tym naiwnie prostackim poglądem fellacha na sprawę. Naradziwszy się tedy ze współtowarzyszami, zgromadził na polance lud zbity do kupy, przed bramą, i zdjąwszy uroczyste szaty, wyszedł w prostej jeno tunice i stanął przed ołtarzem, aby przemówić do wzburzonego ludu:

— Dzieci moje — rozpoczął.

Ale wśród przejętego tem co zaszło tłumu, który nie poznał go w tej prostej odzieży powstał jeszcze większy szmer.

— Dzieci moje — ciągnął arcykapłan — nie stroj z nas czyni człowieka! Czyż nie widzicie, przyjaciele moi, że to jestem ja, arcykapłan Ozyrysa?

Pomruk przebiegł po tłumie.

— Otóż, dzieci moje, nadszedł czas wtajemniczenia, was w tajemnice święte... Nie lękajcie się! Wszakżem japrosty śmiertelnik, jak i wy wszyscy, i tylko, by was uspokoić, zdjąłem swe długopołe szaty. Oto, wyście uznali byka symbol wszechzapładniającego słońca, jako samego boga!

I zwracając się do kapłanów, rzekł:

— Podnieście zasłonę!

Tłum, który nigdy dotąd nie widział wnętrza świątyni, padł na kolana przed sfinksami i posągami Ozyrysa, widocznymi pod wzniesioną na górze zasłoną.

Nikt się nie odważył spojrzeć tam.

— Wstańcie — rzekł uspakajająco kapłan — wstańcie! A teraz podnieście drugą zasłonę!

Podniosła się druga zasłona.

I przed zdumionemi oczami tłumu ukazał się najpospolitszy chlew w głębi świątyni, a w nim w pozie jak najbardziej niewymuszonej leżał byk święty i przeżuwał swą świętą sieczkę...

— Oto, widzicie tu byka Aleksandra — zawołał arcykapłan. — Wierzyliście, że jest to bóg, a to tylko nieszczęsne bydlę, własność tego oto fellacha!

Ale tu podniósł się straszny ryk, a wśród tego bezładnego wrzasku wyróżnił się jeden kobiecy głos:

— Bluźni w świątyni! Łże! Precz z bluźniercą!

I nie upłynęła minuta, jak arcykapłan został uduszony przez kobiety, rozszarpany przez tłum i wrzucony do studni.

Ten sam los spotkał i fellacha, co święte kłamstwo znieważył.

Zaś kapłani uznali za najdogodniejsze dla siebie opuścić wszelkie zasłony i szukać sobie schronienia w świątyni, gdzie w dalszym ciągu uprawiali swój święty chów bydła.

Rozmaitości

Proces Camorry włoskiej. Niezwykły zwrot nastąpił w procesie Camorry, który od bardzo długiego czasu toczy się przed sądem karnym w Viterbo. Podsądni, których jest 36, dzielą się na dwie kategorje. Piętnastu pozostaje pod zarzutem zbrodni morderstwa na małżeństwie Cuoccolo, reszta w liczbie 21 o należenie do niebezpiecznej szajki bandyckiej. Za udział w napadach bandyckich prawo włoskie przewiduje najwyższą karę pięciu lat więzienia, przyczem wlicza się przestępcy czas, który pozostawał w więzieniu śledczem. W procesie Camorry znaczna część delikwentów kończy już piąty rok więzienia śledczego, wobec czego wkrótce już wydostanie się na wolność. Tem samem proces przeciw oskarżonym o należenie do szajki bandyckiej zostanie umorzony i jedynie oskarżeni o morderstwo Cuoccolich odpowiadać będą przed sądem.

* * *

Pastor mordercą żony. W Oostersee we Fryzji, aresztowano tamtejszego pastora pod zarzutem zamordowania żony. Za różne przestępstwa i awantury donżuańskie władze kościelne karały go już parokrotnie, obecnie miał być nawet zwolniony z probostwa. Pastor nie przyznaje się na razie do popełnionej zbrodni.

* * *

Skok z jadącego pociągu. Z Mühlheim donoszą: Pomiędzy stacjami Istein i Efringen zeskoczył pewien podróżny z pociągu, będącego w pełnym biegu — w chwili, gdy urzędnik celny chciał zrewidować jego kufer. Pasażerowi udało się uciec. Był to przemytnik, gdyż w kufrze jego znaleziono wielki zapas sacharyny.

* * *

Pierwsza docentka w Petersburgu. W instytucie medycznym dla kobiet w Petersburgu zaczęła wykładać chemję jako docentka prywatna p. E. Kowalewska. Jest to pierwsza w Rosji kobieta, dopuszczona do wykładów w szkole wyższej. Urządzono też jej na prelekcji wstępnej gorącą owację. P. Kowalewska urodziła się w Moskwie w r. 1874, kształciła się w Moskwie i Szwajcarji. Chemji organicznej uczyła się w Bernie u prof. Kostaneckiego.

* * *

Tragiczna śmierć lotnika. Jeden z najwybitniejszych i najodważniejszych lotników angielskich, Graham Gilmour, zginął w sobotę, w Richmondzie pod Londynem.

O niezwykle tragicznym tym wypadku podają dzienniki londyńskie szczegóły następujące:

Gilmour wzbił się w powietrze z lotniska w Booklands, na świeżo opatentowanym jednopłatowcu, posiadającym motor Antoinette.

Gdy znajdował się na wysokości 400 stóp, unosząc się nad starym zwierzyńcem Richmondu, przechadzające się tam osoby, które śledziły dotychczas z zajęciem piękne i śmiałe ruchy aeroplanu, spostrzegły nagle z przerażeniem, jak załamuje się najpierw lewe, a potem prawe jego skrzydło. Przez chwilę przyrząd unosił się i opadał bezradnie, poczem runął już prostopadle i uderzył z trzaskiem o ziemię.

Odgłos trzasku pękających w powietrzu skrzydeł, a następnie uderzenia aeroplanu o ziemie, słyszano w promieniu kilometra. Ze wszystkich stron parku odezwały się krzyki przerażenia i publiczność rzuciła się na miejsce katastrofy.

Znalezieno tam już tylko stos pogmatwanych odłamków aeroplanu, pod niemi zaś bezwładne ciało Gilmoura. Przywoływanemu lekarzowi nie pozostawało nic więcej, jak stwierdzić, że śmierć nastąpiła momentalnie. Ręce i nogi miał Gilmour podruzgotane, a twarz tak poszarpaną, że tylko ze znaków na bieliźnie stwierdzić było można osobistość zabitego.

Tuż obok miejsca katastrofy bawiły się dzieci ua placu dla gier przeznaczonym. Opowiadają one, że gdy aeroplan znajdował się o jakie 50 stóp od ziemi, Gilmour zerwał się ze swego siedzenia, jakby chcąc wyskoczyć z aeroplanu, ale nie zdążył uczynić tego i spadł z nim razem, zawoławszy głośno „Goodbye!“ (Bywajcie zdrowi).

* * *

Zachorowania w poczdamskiej szkole podoficerskiej. W poczdamskiej szkole dla podoficerów zachorowało nagle około 180 wychowanków. Choroba we wszystkich wypadkach wykazuje charakterystyczne objawy kataru żołądka i kiszek. Wszyscy pacjenci cierpią także wskutek wysokiej gorączki. Lekarze przypuszczają, że choroba powstała wsutek spożycia obiadu, składającego się z wołowiny i suszonej jarzyny. Gorszych następstw epidemja prawdopodobnie w skutkach swych mieć nie będzie.

* * *

Smierć akrobaty. W cyrku w Alencon produkował się akrobata, który jeździł na bicyklu po linie nad otwartą do góry klatką z lwami. Nagle akrobata dostał zawrotu głowy i wśród panicznego strachu publiczności wpadł do klatki. W tej chwili lwy rzuciły się na niego i zaczęły szarpać go pazurami. Wśród publiczności ozwał się histeryczny płacz i krzyki kobiet oraz dzieci. Z wielkim trudem udało się dozorcom wydobyć akrobatę, ale już umierającego. Przewieziony do szpitala, wkrótce zakończył życie.

* * *

O uniwersytet w Wilnie. Rada miejska wileńska uchwaliła poczynić starania o otwarcie uniwersytetu w Wilnie, na który to cel zobowiązuje się dostarczyć miljon rb., oraz plac obszaru 20 dziesięcin. Rada miejska postanowiła powołać do udziału w kosztach samorządy ziemskie i miejskie kraju. Do Petersburga, celem uzyskania pozwolenia, wysłana będzie delegajca specjalna.

* * *

Kongres dla zwalczania pornografji. Od dnia 18 do 20 marca obędzie się w Paryżu kongres dla zwalczania pornografji. Przewodnictwo obrad obejmie senator Renè Béranger. Na porządku dziennym obrad stanie między innemi kwestja demoralizacji młodzieży przez powieści kryminalne i nieobyczajne widowiska kinematograficzne.

* * *

Co się dzieje w Nowym Jorku — liczącym 4 miljony ludności. Co 40 sekund przybywa jeden wychodźca. Co 52 sekundy przychodzi pociąg osobowy. Co 3 minuty aresztują kogoś. Co 6 minut rodzi się dziecko. Co 7 minut jest pogrzeb, co 13 minut ślub. Co 42 minuty otwiera się nowy skład. Co 48 minut wzywają straż ogniową. Co 50 minut kończy się jakąś budowę. Co godzinę traci kto życie w nieszczęśliwym wypadku. Co dwie godziny ogłasza się konkurs. Co trzy godziny mordują kogoś. Co 4 godziny dają rozwód małżeński. Ale życia nie można być pewnym ani sekundy.

* * *

Piosnka wychodźców. Mają już wychodźcy swoje piosenki. Spiewają o swej niedoli na Saksach. Spiewają skargą i łzami.

W ostatnim numerze „Zorzy“ podaje pani Jadwiga Fijałkowska jedną z tych smutnych piosenek.

Oto jak skarży się muza prostacza chłopa polskiego na obczyźnie brunświckiej:

„Powiadają ludzie, że na Saksach dobrze; na Saksach trza robić, aż się skóra podrze. Jak my zajechali, dali nam tam kawy z koksem gotowanej j jeszcze nie ocukrowanej. Dali nam kartofle w skórach gotowane, śledzie na pół zgniłe, ślepie wydłubane. Dali nam tam chleba — drogo zapłacony i jeszcze do tego nie był posolony. Dali nam tam haki (grabki, kopaczki i motyczki) z długimi stylami, jeszcze aufsyjera (doglądacza-włodarza) postawią nad nami. Jak przyszła robota na akord (od sztuki) robiona, jak przyszła wypłata na dniówkę płacona. Tam koło kazarny ścieżka wydeptana, niejedna panienka stoi zapłakana: tak przyszło pod jesień, ręce się padają (pękają), jak ta woda w rzece, krwią się zalewają. Tam koło karczmy ostro woda ciecze, niejedna panienka z Braunszwajgu (Brunświku) uciecze. Jedni uciekają, drudzy przyjeżdżają, a na to nieszczęście wcale nie zważają. Ach! Boże! mój Boże, Boże mój jedyny! wyprowadź nas Boże, z tej pruskiej krainy. Zaprowadź nas Boże na to polskie pole, tam się rosweseli smutne serce moje. Nie będą tu długo moje nogi chodzić, nie będą nami włódarze przewodzić. Bo ja włódarzowi poradzę dokuczyć, inspektorem (rządcą) orać, gdzie najgłębsza rola, a włodarzem włóczyć, gdzie się perz wywala (wywłóczy).

W tym guście brzmią dalsze skargi. Tęskni dusza chłopa polskiego do kraju ojczystego, tylko że i w nim jeszcze te same stosunki zastaje. Wszak uciekł z niego, aby znaleźć szczęście gdzieindziej, lecz przekonuje się, że wszędzie jednaki czeka los proletarjusza biednego. Bo dziś wszędzie kapitalizm swe bezlitośne rządy sprawuje.

* * *

Kara za palenie węglem w piecach. Przed pięciuset z górą laty nieco inaczej oceniano pożytek węgla jak obecnie. Anglja wówczas niewiele jeszcze wiedziała o swych bogatych pokładach węgla i kiedy na początku XIV wieku barki przywiozły po raz pierwszy z Newcastla do Londynu ładunek węgla kamiennego, to gmina stolicy wystosowała do tronu petycję o zakaz palenia w piecach „tym niebezpiecznym materjałem“. Ponieważ zakaz królewski nie powstrzymał całkowicie przywozu węgla, więc ustanowiono prawo, na mocy którego, kto palił w piecu lub gdzieindziej węglem kamiennym, podlegał karze śmierci.

Tylko kilka luźno położonych za rogatkami domów otrzymało specjalne pozwolenie na używanie „materjału przeklętego“.

Prawo, karzące śmiercią konsumentów węgla nie zostało tylko literą martwą. Kroniki więzień londyńskich wspominają o paru obywatelach tego miasta, którym ucięto głowy za palenie węglem w swych piecach.

* * *

Nowy przyrząd dla tramwajów. Tramwaje berlińskie zastosowały przyrząd ulepszony, zabezpieczający od śmierci lub kalectwa osoby, któreby się wypadkowo dostały pod koła. Przyrząd ten składa się z dwóch części, a mianowicie z deski wiszącej na przodzie wagonu, która podnosi się do góry automatycznie z chwilą zetknięcia się wagonu z jakimkolwiek przedmiotem lub ciałem, leżącym na szynach, jednocześnie zaś podsuwa się mała platforma, umieszczona pod wagonem, która zabiera dany przedmiot.

* * *

Maszyny zamiast marek. Londyński zarząd poczt zaprowadził nowe urządzenie próbne, mające na celu uproszczenie manipulacji pocztowej. W kilku punktach miasta ustawiono automaty, które po wrzuceniu penny i zakręceniu korbą wybijają stempel pocztowy. Tem samem usuwa się konieczność zakupywania i nalepiania marek pocztowych, w celu ofrankowania listów. Przyrządy tego rodzaju. zaprowadzone już poprzednio w Australji, miały okazać się bardzo praktyczne. Z chwilą powszechnego zastosowania automatów zarząd poczt wydawałby je także firmom prywatnym,

prowadzącym obszerną korespondencję. Berneńska izba handlowa i przemysłowa zwróciła również uwagę szwajcarskiego ministerjum handlu na ten wynalazek.

* * *

Zabójcze pocałunki. Kierownik bakterjologicznego laboratorjum w Nowym Jorku stwierdził pięć wypadków tuberkulicznego zapalenia mózgu u małych dzieci, w których to wypadkach niewątpliwą przyczyną zachorowania były pocałunki rodziców i krewnych. Dotknięte zarazą dzieci miały od trzech miesięcy do lat jedenastu. Pisząc o tem w „Revue", dr. Limonds przytacza wiele innych faktów, między innemi w swej praktyce miał 8 letnią dziewczynkę, którą babka zaraziła suchotami, całując ją na dzień dobry i dobranoc. Dr. Limonds wzywa do utworzenia na całym świecie ligi, której członkowie broniliby dzieci od wszelakich pocałunków.

* * *

Oryginalne bilety wizytowe. Ludzie, dotknięci manją kolekcjonistyczną, zbierają nietylko rzeczy cenne, lecz i różne cudactwa. Pewna dama włoska zajmuje się gromadzeniem biletów wizytowych, znamionujących manję wielkości i próżność. W tej kolekcji znajdują się takie okazy: „Giovanni Esposito, golarz oficerów pułku karabinjerów". „Marja Coradi, służąca senatora Tajani", „Ercole Salvatori, kurjer pułku bersagljerów w bitwie pod Adua", „Gemsaro Ardena, zbieg z Messyny, podczas trzęsienia ziemi", „Diana Martire, feministka", „Guido Forti, nacjonalista", „Zeffirino Primivi były kamerdyner, dziś obywatel Palanzy" itd.

* * *

Najsuchszy i najdżdżystszy rok. Rok ubiegły zaznaczył się w Europie środkowej upałami i suszą. Natomiast był niezwykle dżdżysty w Azji i Ameryce. Chiny i Japonja zostały dotknięte wylewami, na Filipinach od lat stu nie było tak ulewnych deszczów. Od 13 do 17 lipca opady wynosiły 2240 milimetrów, czyli cztery razy więcej niż u nas przez rok cały. Zestawiając te atmosferyczne dane, czasopismo „Kosmos" przepowiada w Europie lato wilgotne i chłodne, zaś w Azji bardzo suche, albowiem przeciętna temperatura w okresie rocznym bywa mniej więcej ta sama, nadmiar w jednym kierunku wyrównywa nadmiarem w kierunku przeciwnym. Te oscylacje wytwarzają równowagę.

* * *

Kolej na Jungfrau. Przed kilku dniami doniosły depesze z Berna o przekopaniu tunelu koło przyszłej stacji Jungfraujoch, a tem samem o niedalekiem już otwarciu kolejki na Jungfrau, idącej od Eigergletscher. Budowa tej linji przechodziła rozmaite koleje. Pomysł i pierwsze prace wyszły od zmarłego już szwajcarskiego przedsiębiorcy Guyer-Zellera. Roboty rozpoczęto w roku 1893 i z krótszemi lub dłuższemi przerwami prowadzono je do dnia dzisiejszego. Za punkt wyjścia obrano Eigergletscher, na wysokości 2323 metrów, stamtąd kolejno przeprowadzano linje od stacji Eigerwand na 2868 metrów i Eismeer na 3116 metrów. Ostatni etap, najtrudniejszy, stanowiła przestrzeń do stacji Jungfraujoch, leżącej na 3457 m.; zatem blisko 900 metrów pod szczytem Jungfrau. Widok z Jungfraujoch jest czarujący: na południe rozciągają się olbrzymie pola lodowe zboczy szczytu, na północ idą.

* * *

Morderstwo z powodu kawałka chleba. O niezwykłem zabójstwie donoszą z Kornenburga pod Wiedniem. Oto w tamtejszem schronisku dla niedołężnych starców i nieuleczalnie chorych przyszło do zaciekłej bójki między 46-letnim Karolem Postl'em a 76 letnim Janem Lux'em, z powodu sprzeczki o kawałek chleba. W czasie bójki Lux, widząc iż siłą nie dorównuje silniejszemu znacznie od siebie przeciwnikowi, uchwycił za leżący na stole nóż i pchnął nim tak silnie Postl'a w skroń, iż ten padł bezprzytomny i zalany krwią na ziemię.

Wszelka pomoc okazała się bezcelowa, gdyż ostrze noża naruszyło poważnie mózg. Ranny zmarł w chwilę później, nie odzyskując przytomności. Zabójcę uwięziono do obwodowego sądu karnego. Takie okropne rzeczy dzieją się w dzisiejszym ustroju „bożym" o nędzny kawałek chleba.

Dymokrackie medykacje.

Strejk a drożyzna! Drożyzna a strejk! Tak jino terazki furkają te słowa z gamby do gamby.

Nawet śledzie mają być drogsze. „Gazyta Robotniczo" pisała, iże tymu winien pono post. Ale jo se miynia, iże tymu winne ksiynżoszki, chtórzy kozali jeść robotnikom jino śledzie a ziymnioki, bo wtedy wiynkszy trza śledzi. Ci, chtórzy śledzi nie jedzóm, jino miyso a inksze fajne żarcie, wynojdli se piykny sposób, coby poprawić se myto: brali co se dało i telo. Ale za to kiere dyrechtory werków dostały papiyry, zaś dyrechtory firm ogosiły plajta, jino dyrechtorowi Beuthowi z herbowizny księcia Hatzfelda udało sie s cołkim unfalem a formaletką pojechać do Ameryki s 3 miljonami w kabzie.

Robotnicy znają lepszy sposób, coby poprawić zarobki: kiej kapitalisty tegó nie chcą, ogosić strejk. To sie tyż w Angliji a w Belgiji szykuj̨ą do tegó, a w Nadreniji a Westfaliji tyż nieco. Junkiersko-polski „Dziynnik Poznański" pado, iże prawu nic do stosunków miyndzy kapitałem a pracą, te mają stanowić umowy i ugody s kapitalistami a robotnikami. Byłoby to piyknie, bo tych wszyjskich paragrafów i tak za telo, jino nie wiym, coby te polityki od „Dziynnika" chciały jeszczy politykować w Berlinie. Ta flota a wojoki, co je radzi uchwalić, to jino na bzdury ubogim, bo podatków dość już na woda, bruki i kanalizacje, chtórych niy ma. A jak sie możno godzić s kapitalistami, to pokozało sie terazki, kiej wszyjskie organizacje górników górnośląskich prosiły ich o 15 procent nadwyżki a inksze poprawy sprawiedliwe. Barony ur'zali sie i telo. Padają, iże hań lepszy jak w Westfalji a Nadrenji, a to sie pokozało, bo jino piyńć dwadzieścia procent robotników je zorganizowanych i żądają poprawy, a wszyjscy inksi są kontenci, bo nie żądają. Ano, mają prawie te panoczki, iże bydło wdycki kontente tym, co mu dadzą, ryczy s głodu, ale nie powiy słowami: „dej wiynkszy". Tak i nasi ciymni bracio pomstują po kątach, ale w oczy nie pedzą nic, jeszczy kierzy liziłapstwo uprowiają. Same „pierony" nic nie pomogą, to sie wiy, trza tyż nieco godać rozumnie a mieć siła. A pono kieryś Kowalczyk od chrześcijańskich (nie katowski) zión dusza na ramia a werbuje już po Ślónsku łamistrejków na Zachód. Chopy! Pozór na takich!

Ale hakata wymedykowała se inkszy sposób na ta drożyzna: w Raciborzu mo stanąć Bismarkturm, to sie zbiyro skłodki; już wiynkszy jak 14 tysięców zebrali. To sie bydzie lud radowoł tą kupą kamiyni i zatko se nimi puste żołądki. Lepszy nieco zrobiła rada miejsko w Katowicach, bo chce wydać 160 tys. na ubogich. Ale nie wiym, co z tego spotrzebuje zarządzający domem ubogich som dlo siebie na myto, bo tam mu pono dobrze sie wiedzie, jino tym ubogim miyszkańcom niebardzo; nicht tam nie chce iść, takie tam pono niebo.

Sejm alzacko-lotaryński tyż szporuje terazki, ale susznie. Hnet ćwierć miljona marek skryślół rządowi, ale bo tyż mioł prawie, bo kiej nie chcą zdować rachunku, na co trza tych tysiąców, to po jakiymu im uchwolać. Tak powinno być wszędy. Ale sejmowi pruskiymu jeszczy daleko do tegó, nawet w parlamyncie za telo jeszcze kiwaczów. Wydali se urzyndowe zestawienie partyji i wiynkszości, no i Koło polskie tyż zapisali do prawicy. Spodziywom sie, iże sie stamtąd wykolei na lewo, ku naszym, bo inakszy połomołbych mu wszyjskie szprychy, jino moją godką, to sie wiy.

Gustlik Beskuryjo.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott z Zabrza.

Nr. 10. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 9 marca 1912.

ADAM WACH.

NA SŁUŻBĘ.

Jaś Kruszyna nie mógł dziś skupić myśli. Jakieś nie zwykłe przeczucie nim targało. Miał wrażenie, że przyszedł na rozstajne drogi i miał wybierać pójść w lewo lub na prawo. Stał bezradny. Wybierze złą drogę, będzie zgubiony, a on żyć pragnął. Odganiał jak mógł trapiące go myśli, lecz im nie sprostał. Uporczywie powracały. Omotały go zewsząd i nie pozwalały myśleć o nauce.

Jaś Kruszyna skończył przed miesiącem osiem lat. Wychowywał się pod okiem matki. Chociaż był urodny i pilny nie był jednak lubiany w rodzeństwie. Ojciec pojechał za zarobkiem daleko w świat, aż hen za ocean, o którym nauczyciel opowiadał, że jest bardzo głęboki i szeroki. W domu dokuczał rodzinie Kruszynów niedostatek, często i gęsto zaglądał do chaty głód — ten bezlitośny a nieodstępny towarzysz biednych licznych rodzin robotniczych. Jaś Kruszyna już nieraz daremnie wyciągał rękę do matki po kawałek chleba, a zamiast chleba posypały się razy. Zobojętniało matczyne serce na głód dzieci. Ustawiczna nędza pokryła je żelazną skorupą, o którą odbijały się pokorne prośby zgłodniałych dzieci o chleb.

Jaś też często wyciągał rękę w szkole pod ławę po chleb swych sąsiadów-kolegów. Wiedział on, że chociaż nie będzie przychwycony na gorącym uczynku, to go i tak nie minie surowa kara. Bóg sprawiedliwy widzi wszystko i za ten kęs czarnego suchego chleba ukarze go ogniem piekielnym. Wiedział o karze surowej, lecz wyciągał rękę, bo chleb był taki dobry, taki słodki...

Dziś Jaś nie ukradł żadnemu koledze chleba. Jakieś niezwykłe przeczucie zasznurowało mu gardło. Może to Bóg go pokarał za dotychczasową kradzież chleba?...

Nauczyciel widząc roztargnienie chłopca, napominał i groził. Nie chciał go karać, gdyż zwykle był pilnym. Tłomaczył sobie, że chłopiec przechodzi jakieś wewnętrzne przesilenie.

Nareszcie skończyła się męcząca nauka i rozradowane dzieci z krzykiem i wrzaskiem rozbiegły się na różne strony. Jaś unikał szkolnych kolegów. Chciał być sam. Ci jednak nie dawali mu spokoju. Zwykle przecież był wesoł i skory do figli. Drwili sobie z niego. Próbował nawet być wesołym, lecz daremnie. Sam nie wiedział co to znaczy.

W nocy miał niezwykły sen. Widział się opuszczającym dom rodzinny, matkę i siostry. Wybierał się w daleką podróż. Odprowadzała go matka, lecz wkrótce pozostał sam. Szedł aż za cmentarz miejski, tam za pagórek, skąd zwykle dochodził świst lokomotywy. Miał wejść po raz pierwszy do nieznanego mu woza kolejowego, który biegł szybciej od najlepszych koni. Uczuł się osamotniony i zatęsknił boleśnie za domem, za matką i siostrami. Zbudził się nagle, skąpany w pocie i zaczął się rozglądać, gdzie się znajduje. Aż odetchnął gdy uczuł, że jest w domu rodzinnym na zwykłym swym barłogu.

Przyszedł do domu. Matka zakrzątnęła się około pieca glinianego, by przygotować dzieciom strawę obiadową. Jaś zauważył, że matka była dziś dlań czulsza niż zwykle. Niebawem uczuł na sobie wzrok matki, łagodny i ciepły, jakiego dotąd nie zaznał. Zrobiło się mu ciepło około serca i ze wzruszenia potoczyły się z oczu chłopca dwie duże łzy, jak kryształ czyste, niewinne łzy dziecka, które pierwszy raz odczuło ciepły wzrok matki. Szybko wyszedł z izby, żeby ukryć spływające łzy po policzkach. Za nim wybiegła matka. — Jaś — zawołała — pójdziesz na służbę...

Teraz zrozumiał Jaś, co było powodem jego roztargnienia. Już wiedział wszystko. Gdy wczoraj poszedł spać, przybył ze wsi sołtys, poważna we wsi osoba. Rozmawiał długo z matką w drugiej izbie. Jaś wychylał długi czas głowę z barłogu, żeby coś z rozmowy podsłyszeć, wreszcie znużony, zasnął. Sołtys przyszedł po niego. Jeszcze dziś opuści dom i pójdzie do obcych ludzi, jeść obcy chleb. Opuści dom rodzinny, pożegna matkę i siostry, by przestąpić obcy próg może na zawsze. Będzie jak ta latorośl, oderwana od pnia rodzinnego, zanim zdołała wyrość...

Jaś Kruszyna jadł nerwowo obiad. Gdy powstał od stołu, nie wiedział, czy co jadł lub nie. Matka przyniosła węzełek, który poprzednio przygotowała. Mokrym ręcznikiem wytarła chłopcu twarz i zachęcała w drogę. Trzęsło nim dziwne uczucie. Kroczył milcząco obok matki ze spuszczonym kapeluszem na oczy i zwieszoną głową. Matka tłomaczyła chłopcu, że będzie miał dobrze. Nigdy nie zabraknie mu chleba, a jego przyszła gospodyni będzie dla niego dobra. Wnet się przyzwyczai w swem nowem miejscu i przestanie tęsknić za domem.

Gdy wchodzili na podwórze, uczuł Jaś jakieś bolesne uderzenia serca. Jego oddech stawał się krótszy. Kiedy matka położyła rękę na klamce u drzwi, poczęło chłopcu serce rzucać się w klatce piersiowej. Coś tamowało mu oddech. W progu ukazała się gospodyni domu i poprosiła przybyłych do izby. Wnet zjawił się poważny gospodarz i w skąpych słowach zachwalał u siebie służbę. Rozmawiano o tem i owem. Gospodyni poczęstowała przybyłych chlebem z masłem. Niebawem pożegnała matka Jasia, obdarzyła chłopca czułem gorącem spojrzeniem, takiem samem jak w południe i wyszła. Jaś się rozpłakał. Duże słone łzy spadały mu na chleb, który zjadał nerwowo. Nie mogły go uspokoić troskliwe słowa gospodyni. Zabrakło mu czegoś. Był jak ten kamień rzucony przy drodze.

Wieczorem zaprowadził gospodarz chłopca do obory, a pogłaskawszy go po głowie, wskazał wyrko do spania. Chłopiec wskoczył na barłóg. W jego małej głowie przewracały się chaotycznie myśli. Wczoraj jeszcze o tym czasie spał w swoim łóżku. Chleba będzie miał na służbie pod dostatkiem. Wolał głód w domu, niż obcy chleb z masłem. Przyszło mu na myśl gorące czułe spojrzenie matki, jakiego dotąd nie widział. Ta myśl sprawiała mu ulgę. Matka go kochała. Będzie dla matki służył drugim, będzie sypiał z trzodą chlewną, aż wreszcie przyjdzie Bóg-Zbawiciel i da głodnym chleb a dzieciom matkę...

Rozmaitości

Tunel na Jungfrau. Gdy z początkiem dziewiątego dziesiątka lat ubiegłego wieku zmarły już przemysłowiec z Zurychu Guyer-Zeller podniósł myśl wybudowania kolei na Jungfrau i przebicia tunelów przez wnętrze szczytów Mönch, Eiger i Jungfrau, wszyscy nazwali to „bzikiem", a tylko ludzie grzeczni, lub przyjaciele Guyer-Zelera użyli wyrażenia „żart prima aprilisowy". Ale Guyer-Zeler miał wolę i wiarę na wzór skał alpejskich. Nic sobie nie robił z drwiących przepowiedni i zabrał się z zapałem do dzieła.

D. 19 września 1898 r. znalazło się 400 gości zaproszonych na stacji Eigergletscher, gdzie się odbywała uczta inauguracyjna, a d. 30 czerwca 1907 r. na wysokości 3160 metrów odbyła się druga uczta z powodu otwarcia stacji Eismeer. Zbudowano naówczas 5·7 kilometra kolej, z czego wypadło na tunele 3·7 kilometra. Od tego czasu, a więc przez półczwarta mniej więcej roku, pracowano nad dalszą częścią tunelu długości około 3·5 klm. od stacji Eismeer na Jungfraujoch.

Doniosły fakt przebicia tego tunelu w końcowym punkcie na Jungfrau już nastąpił. Nowa stacja tej kolei zostanie oddana do publicznego użytku. Dotąd znajduje się w ruchu część kolei do stacji Eismeer, lecącej na wysokości 3160 metrów nad poziomem morza. Nowa stacja Jungfraujoch znajduje się na wysokości 3457 metrów. Ta część kolei od stacji Eismeer do stacji Jungfraujoch jest nieprzerwanym tunelem wykutym we wnętrzu szczytu Mnich (Mönch) na przestrzeni 3·5 kilometra.

Prawie przez 4 lata wiercono w skalistej piersi Mnicha, pracując zimą i latem, we dnie i w nocy bez przerwy. Bito w skałę kilofami, rozrywano ją dynamitem. Przeciętnie posuwano się dziennie o 3·5 do 4 metrów naprzód, w ostatnim czasie nawet do 4·8 metra. Sztolnia jest zupełnie sucha, a pomimo znacznego wzniesienia nad poziomem morza i dosyć rzadkiego powietrza, temperatura obniżała się zaledwie do zera, gdy na tej samej wysokości poza linjami tunelu na wolnem powietrzu dochodził mróz do 52 stopni.

W ostatnich miesiącach dopiero temperatura w sztolni tunelu spadła nieco, poniżej zera do 3 stopni, co było oznaką, że robotnicy zbliżają się do świata zewnętrznego. Powstawały stąd przeszkody, gdyż naboje dynamitowe zamarzały w wywierconych otworach. Wnętrze góry składało się z twardego gneisu, tu i owdzie znajdowały się pokłady brunatnego granitu, który silnie opierał się wybuchom dynamitu.

Na całej przestrzeni Eismeer-Jungfraujoch w ścianie góry wykuto tylko jedno „okno", to jest otwór na świat zewnętrzny. Stało się to w czerwcu 1911 r. w linji pionowej ponad wyniosłością Guggifirn. Przez to okno wyrzucano rumowisko z tunelu, usuwane poprzednio znacznym kosztem u ujściu tunelu. Podczas całego czasu pracy nie było ważniejszych przeszkód ani zajść.

Stacja Jungfraujoch będzie leżeć na południowym zboczu Jungfraufirnu. Będzie to tak zwana stacja skalna, podobnie jak Eismeer i Eigerwand. Poprzeczny chodnik podziemny wiedzie z tunelu do stacyjnego budynku, skąd otwiera się widok na cudowny świat szczytu Jungfrau.

* * *

Letniska robotnicze. Kapitalistyczny rozwój gospodarczy pozbawił miljony ludzi ziemi i własnych domów. Fabryczne miejscowości skupiły w swych okopconych murach olbrzymie masy robotnicze. — Brak światła i powietrza w nędznych mieszkaniach robotniczych, brak ogrodów daje się we znaki przedewszystkiem dzieciom robotniczym. Jedynie w niedzielę może rodzina robotnicza zrobić wycieczkę za miasto, do lasu. Tu jednak dzieci krępowane są różnymi przepisami i szykanami właściciela lasu.

Te przyczyny skłoniły towarzyszów w Sztutgarcie do stworzenia własnego letniska. Założone w kwietniu 1909 roku obejmowało kilkaset metrów kwadratowych łąki z drzewami owocowemi. Kilka stołów i stołków drewnianych i buda drewniana tworzyły całe urządzenie. Obecnie zajmuje ono przestrzeń 18 000 metrów kwadratowych, w tem 50 arów lasu i tyleż ogrodu owocowego. Dwie wielkie hale mogą pomieścić 1000 osób. Plac dla zabaw dziecięcych jest zaopatrzony w różne urządzenia jak: karuzel, skocznie itd. W lecie organizacja robotników młodocianych daje amatorskie przedstawienia. W letnisku można dostać wszelkie potrawy, które sprzedawane są po cenie własnych kosztów. Dobrą wodę dostarcza studnia na miejscu. Letniskiem zawiaduje komitet. Frekwencja robotników dochodzi w niedzielę do 5000 osób, a mimo to nie przychodzi do żadnych sprzeczek lub uszkodzeń urządzeń letniska. Budżet letniska wynosi 30 000 marek, na które składają się roczne karty po 20 fenigów, oraz wstępy na koncerta i inne uroczystości.

Śladem towarzyszów ze Sztutgartu poszli towarzysze w Heslach, Gaisburg. Zuffenhausen. Korzyści takich letnisk są uznane; chodzi raczej tu o środki nabycia kawałka gruntu pod takie letnisko. Przykład ten powinien znaleść naśladowców; przedewszystkiem zaś przy budowie domów robotniczych należałoby starać się o ogród.

* * *

Nowy aparat telegraficzny. Gazety lwowskie donoszą: Ciekawy aparat do telegrafowania, wynaleziony przez Jakóba Vogelfangera z Glinian, słuchacza praw uniwersytetu lwowskiego, zostanie ogłoszony w „Oesterreichisches Patentblatt" 1 marca br. Jest to urządzenie, przy pomocy którego można wszelkie ruchy maszyny do pisania na stacji nadawczej przenieść na maszynę znajdującą się na stacji odbiorczej, tak, że maszyna na stacji odbiorczej automatycznie drukuje telegram pisany na stacji nadawczej. Istotną częścią wynalazku są kontakty wirujące synchronistycznie w obu stacjach — nadawczej i odbiorczej — które łączą po dwa odpowiadające sobie w obu stacjach kontakty stałe, dostosowane do poszczególnych klawiszów maszyn. Kontakty stałe umieszczone są na obwodzie koła, przyczem jako kontakty wirujące służą szczotki, ślizgające się po obwodzie tego koła. Jednostajność ruchu i zgodne położenie obu wirujących kontaktów osiąga się jak przy aparacie Haghes'a. Aparat ten o tyle jest lepszy od innych telegrafów drukujących, że przy nader wygodnem użyciu zostawia równocześnie odpis na stacji nadawczej i — co najważniejsze — przenosi wiadomości na całych arkuszach, skutkiem czego przesyłać można telegraficznie pisma wszelkiego rodzaju, rachunki tabele itp., czego żadnym innym telegrafem dotąd nie osiągnięto.

* * *

Wyprawa do Grenlandji. Około d. 1 czerwca wyruszą prawie jednocześnie dwie wyprawy naukowe, mające na celu dokładniejsze zbadanie naukowe torytorjum Grenlandji. Pierwsza wyprawa, urządzona przez Danję, pozostawać będzie pod kierownictwem kapitana Kocha, który brał udział w ostatniej ekspedycji duńskiej i wyprawie Nansena. Wśród uczestników znajdować się będzie docent uniwersytetu w Marburgu, dr. Wegener. Druga wyprawa, szwajcarska, wyruszy pod wodzą dr. Alfreda da Queivajna.

* * *

Polska akademja górnicza. W Krakowie obradowała przed kilku dniami ankieta, zwołana przez Delegację górników i hutników polskich, która oświadczyła się za utworzeniem akademji górniczej w Galicji.

* * *

W poszukiwaniu nowej religji. Rząd japoński poszukuje — religji, odpowiadającej nowoczesnym zeuropeizowanym poglądom Japonji. Odrzuciła ona wschodni strój, wschodni obyczaj pragnie się też wyzwolić od swych dawnych religji, od szyntoizmu i puddyzmu. Rząd obawia się żepy naród, odwróciwszy się od starych bogów, nie popadł w bezbożność, więc pragnie na gruncie dawnych wierzeń zaszczepić chrystyanizm i trzy religie stopić w jedną, to jest chrześćjanizm, szyntoizm i buddyzm. W tym celu rospisał rząd japoński listy do teologów europejskich z prośbą o pomoc i o wskazanie mu sposobu, w jaki mógłby

ułożyć nową religję i narzucić ją ludowi. Tak zawsze się robiło w historji, dlaczegóżby i Japonja nie miała czerpać złego wzoru.

* * *

Obrazek z sądu amerykańskiego. Ciekawi są niektórzy sędziowie amerykańscy. Podczas sesji sądu w Midland, Texas, gdy rozpatrywano sprawę zakupna gruntu przez miasto, jeden z komisarzy rozgniewany, że sędzia Knowles popiera osobiście tę sprawę, powstał i zawołał:

— Jesteś kłamcą, sędzio!

— Odraczam sesję sądu na dziesięć minut, aby temu panu dać po zębach — zawołał rozgniewany sędzia.

Jak zapowiedział tak zrobił, gdyż sesję zawiesił, podszedł do komisarza i nasypał mu kułaków w zęby, pod oczy, w żebra i gdzie się dało, aż go zupełnie ogłuszył i oślepił, poczem spokojnie poszedł na swoje miejsce.

— Otwieram ponownie sesję, panowie i skazuję siebie na dziesięć dolarów kary za pobicie człowieka — oświadczył oryginalny sędzia i karę natychmiast złożył w ręce klerka sądowego.

Zdumieni i oszołomieni komisarze uchwalili bez protestu zakupno gruntu pod budynek miejski wedle życzeń sędziego, snać się obawiając o... swoje zęby i żebra.

* * *

Spiewający nieboszczyk. Takie rzeczy dzieją się tylko w Ameryce. Nietylko dlatego, że ojczyzna Edgara Poe, ale też że wszelkie dzikie, dziwne, niesmaczne i straszliwe rzeczy tam sobie dały rendez-vous.

W Stanach Zjednoczonych usłyszano nieboszczyka, śpiewającego na własnym pogrzebie.

To nie fantazja, ani „kaczka". To fakt.

W tych dniach w mieście Jakson (stan Michigan) odbywał się pogrzeb profesora W. M. Skinnera. Nieboszczyk ten za życia śpiewał bardzo pięknie, a nawet dawał lekcje śpiewu. Miał bardzo wielu uczniów i stąd za jego trumną szły liczne rzesze.

Pastor wygłosił zwykłe modlitwy i nastała cisza. Milczenie trwało tak długo, że stało się niepokojącem — ale nikt go nie przerywał — i w tem rozległ się, niewiadomo skąd idący, poważny, pełen melancholji śpiew, którego tekstem był poemat Tennysona, zaczynający się od słów:

„Gdy przebywam ostatnią zaporę".

Nie podobna było znaleść słów odpowiedniejszych w takiej chwili, a jednak obecnych ogarnęło zdziwienie, zmieszanie, osłupienie...

Ten głos, któremu widocznie głęboki smutek nadał dźwięki nieco nosowe, — był głosem umarłego!

Trup w trumnie śpiewał żegnającym go o boleści ostatniego przedzierania się na inny świat! Głos był pełen rozpaczy!

Jakaś kobieta zemdlała. Niektórzy z obecnych zadawali sobie pytanie czy profesor Skinner umarł istotnie! Inni wierzyli, że to jego dusza śpiewa.

Tymczasem trup leżał zimny, spokojny...

Gdy trwoga coraz większa ogarniała zebranych, pastor rozwiązał tę iście amerykańską zagadkę.

Prof. Skinner na kilka dni przed śmiercią sam przygotował ów koncert przyjaciołom, śpiewając w fonograf ulubioną kompozycję. W testamencie polecił rodzinie, żeby im zgotować taką niespodziankę.

I amerykanie ustawili fonograf za katafalkiem — i odegrali tę kompozycję na pogrzebie.

* * *

Zagadkowy statek. We czwartek wieczorem do portu w Dunkierce zawinął jacht niemiecki „Porthos", który wyglądem zewnętrznym zwrócił na siebie odrazu uwagę władz morskich. Statek ten, jak na jacht, był za silnie zbudowany i miał wygląd okrętu strażniczego, oprócz tego na pokładzie znaleziono aparat kinematograficzny.

Kapitan jachtu Dapfers złożył wyjaśnienie, że statek jego pochodzi z Kolonji, ze względu jednak na silniejszą budowę nie może swobodnie kursować po Renie, żegluje więc przy brzegach, a do Dunkierki zmuszony był zawinąć skutkiem burzy na morzu. Co zaś do aparatu kinematograficznego, to kapitan dał wyjaśnienie, że sam jest zapalonym miłośnikiem tego sportu i w razie jeżeli ma na pokładzie podróżnych lubi im uprzyjemniać czas pokazami na ekranie.

Przedstawiciel władzy portowej wysłuchał tego wyjaśnienia na pozór spokojnie, ale ponieważ właśnie w tym czasie minister marynarki Delcasse robił przegląd floty francuskiej, więc złożył szczegółowy raport swej zwierzchności. Władze przyszły do przekonania, że mają tu do czynienia ze sprytnie pomyślanem szpiegostwem, pozwalającem za pomocą aparatu kinematograficznego utrwalać wszystkie ruchy statków wojennych, postanowiono więc dokonać na jachcie szczegółowej rewizji.

Nazajutrz władze zajęły miejsce w łodzi motorowej i udały się na miejsce, gdzie „Porthos" zarzucił kotwicę. Ku zdumieniu urzędników jacht w ciągu nocy zniknął bez śladu.

* * *

Samobójstwo z powodu kandydatury Roosevelta. W Nowym Jorku popełnił samobójstwo bogaty kupiec William Vormilja Beging. W pozostawionym liście samobójca twierdzi, że targnął się na życie z tej przyczyny, ponieważ Roosevelt zyskuje coraz więcej zwolenników, popierających kandydaturę jego na stanowisko prezydenta Stanów Zjednoczonych, co dla kupiectwa może przynieść bardzo wielkie szkody, czego dowodem pamiętny popłoch giełdowy i przesilenie finansowe w stanach Zjednoczonych, gdy Roosevelt stał na czele rządu.

* * *

Pamiętniki Steinheilowej. Nakładem wydawcy londyńskiego Eveieigha Nasha, zajmującego się przeważnie wydawnictwami sensacyjnemi, jak niedawno ogłoszony pamiętnik b. następczyni tronu saskiego, zjawi się w krótce pamiętnik p. Steinheilowej, głośnej z procesu o zamordowanie męża i teściowej, tudzież z tego że miała przyczynić się do przedwczesnej śmierci prezydenta Faure'a. Pamiętnik zajmuje się przeważnie osobą prezydenta, który miał często rozmawiać o polityce z p. Steinheilową będącą — co jasno widać z pamiętnika — jego kochanką. Zresztą autorka sama przyznaje, że nie tylko z prezydentem utrzymywała stosunki więcej niż przyjaźne. Reszta książki zajmuje się głośnym procesem, przyczem autorka nie szczędzi gorzkich słów sądownictwu francuskiemu, jakkolwiek wyszła z procesu zwycięsko. Pamiętnik jej wywołał zapewne w Paryżu szereg pojedynków wskutek niedyskrecji w nim zawartych.

* * *

Wiek kobiet i wybory. Wiele kobiet wyborczyń w Kalifornji, zapytywanych przy wyborze przez urzędników o wiek, nie chciało podać wieku urodzenia. Inne kłamały, a inne jeszcze nie podchodziły nawet do urny wyborczej, byle tylko uniknąć tego niedyskretnego pytania. Dlatego też zniesiono je zupełnie, a wyborczynie będą musiały na przyszłość zapewnić tylko komitet wyborczy, że są pełnoletnie.

* * *

Nieszczęście przy lądowaniu balonu. Straszną śmiercią zginął w Berlinie balonmistrz Nobbos. Gdy po jednogodzinnej próbnej jeździe wrócił około 10 godziny wieczorem balon reklamowy Parsevala nr. 6 na plac wzlotowy w Johannisthalu i gładko wylądował, porwał go nagle w chwili, w której miał być wciągnięty do hali, silny podmuch wiatru. Stało się to tak szybko, że balonmistrz Nobbos nie zdążył odczepić rąk od liny i został razem z balonem uniesiony w powietrze. Wisząc u balonu i kurczowo trzymając się liny, przeleciał w powietrzu aż do Oberschoeneweide; zanim balon opuścił się jednakże na ziemię, wyczerpały się widocznie siły nieszczęśliwego, gdyż puścił naraz linę i runął z krzykiem na ziemię. Smierć nastąpiła na miejscu.

* * *

Pod wrażeniem strachu. Spiewaczka operowa, Edyta Walker, opisuje w wiedeńskim „Fremdenblacie“ wrażenia podczas ostatniego trzęsienia ziemi w San Francisco.

Była godzina 5 rano, kiedy jej pokój w hotelu „zaczął tańczyć“. Artystka rzuciła się do ucieczki. na dole, w westibulu spotkała swych kolegów oraz koleżanki również w kompletnym negliżu. Dyrektor hotelu poradził im, ażeby wrócili z powrotem póki jeszcze czas i zabrali najpotrzebniejsze rzeczy. „Lecz nie bawcie państwo długo — dodał — za minutę może być za późno.

Wszyscy byli tak przerażeni, że nikt nie namyślał się, na skutek „rozkazu“ wrócono tłumnie do swych pokojów, lecz w wyborze rzeczy najpotrzebniejszych kobiety okazały się o wiele przytomniejsze od mężczyzn.

Panna Walker wróciła z okryciem i portmonetką. Jedna z jej koleżanek wyratowała futro, buciki i szlafrok.

Mężczyźni zaś: Scotti przyniósł gazetę i poduszkę. Kapelmistrz Eertz złapał butelkę wody kolońskiej i szczotkę do zębów; Burgstaller wrócił tylko z grzebieniem; a sławny śpiewak Caruso był tak przerażony, że nie mógł się zdecydować na wybór i nie wziął nic, zostawił nawet, pomimo znanej swej cnciwości, pugilares naładowany banknotami.

* * *

Jubileusz słynnego astronoma. Świat uczonych obchodził 50 lecie pracy Kamila Flammariona. Kamil Flammarion astronom i popularyzator nauk astronomicznych, urodzony w r. 1842 rozpoczął pracę zawodową w obserwatorjum paryskiem, poczem oddał się wyłącznie literaturze popularno naukowej i jest redaktorem (od 1856 r.) „Cosmosa“, jak również redaktorem dzieła naukowego „Siécle“. Z prac jego najgłośniejszemi są „O ilości światów zamieszkałych“, „Życie Kopernika“, „Bóg w przyrodzie“, „Niebo“, „Koniec świata“, „W nieskończoności“ i „Stella“. Wszystkie utwory jego owiane są wielką poezją. Z dzieła Flammariona uwieńczone zostały nagrodą francuskiej „Akademji Nauk“. Obchód pięćdziesięciolecia Flammariona obchodzony był przez świat naukowy i literacki bardzo uroczyście.

* * *

Chińskie bronzy. Rząd chiński, potrzebując na gwałt pieniędzy, sprzedaje z publicznego przetargu jedną z najcenniejszych i najdawniejszych na świecie kolekcji bronzów, znajdujących się w cesarskim pałacu w Mukdenie. Ma się rozumieć, na wieść o tem zjechali się „zbieracze“ ze wszystkich stron, antykwarjusze — angielscy, francuscy, niemieccy, amerykańscy i nabywają za bezcen przedmioty wprost — bezcenne dla swej olbrzymiej wartości. Wazę bronzową, licząc tysiąc lat z górą, a ważącą 65 pudów, sprzedano na wagę bronzu. Cudna waza, pokryta wypukłorzeźbą, przedstawia w 232 figurach czyny wojenne i trofea myśliwskie chana Szin-Chuan-Di. Całe pokolenia artystów pracowały nad nią w ciągu lat dwustu. Sprzedano dalej parawan, wyrobiony w trzecim wieku przed Chrystusem, z kości słoniowej, perłowej masy i hebanu, arcydzieło słynnego artysty T-Lun-Dry i pięciu pokoleń jego potomków. Pod młotek poszły dwa bronzowe świeczniki z VIII-go wieku, zawierające 20 procent złota. Ponieważ mają 500 pudów wagi, zatem przedstawiają wartość 100 pudów złota, czyli 1 800 000 rubli. Podobno nabywca, niemiecki handlarz, zamierza je stopić, niszcząc prześliczną ich robotę, dla osiągnięcia tej olbrzymiej, złotodajnej bryły.

* * *

Zamach na barona Rotszylda. Na barona Leopolda Rotszylda, współwłaściciela znanego banku loudyńskiego, strzelił jakiś człowiek 4 razy z rewolweru, gdy baron jechał samochodem. Kule chybiły, lecz zraniły ciężko pewnego detektywa, stojącego po drugiej stronie ulicy. Sprawcę aresztowano.

Dymokrackie medykacje.

Górny Śląsk w mandatach poselskich odstawiół dwie roboty do parlamyntu, jedna dambowo, a wtóro sosnowo. Ta piyrwszo, to jino staro kłoda dambowo, zakonserwowano kajsik we wilgoci a pleśni, to sie i psu na buda nie zdo, bo zmurszało; a ta sosnowo robota hrubo ale słabo, bo sękato a lekko, to wiater f niej hnet dziurami poleci, bo nie zdzierży. Tak my prawili po wyborach.

Terazki sie pokozało, iże my mieli prawie. Bo Dombek sie jino przeciągo na łowie poselskiyj, a na posiedzyniach Koła a po gazytach rzóndzi przeca o „pracy pozytywnyj“, za to Sosiński zión na odwoga i pedzioł mowa, ale lepszy bółby sie strzymoł na zadku. O niedoli robotniczyj prawiół, niewiele nowygó pedzioł ale byłoby jeszczy za telo. Ale kiej pedzioł, iże krygierferajny wyciepli polokow zato, iże na niegó gosowali i kiwoł rzóndowi palicem w bucie, iże za to poloki nie mają do rzóndu zaufanio, miasto s uznaniem pochwolić taki porządek, bo niech se krygrzy bydą czym chcą a są, to można pedzieć: norody, klynkejcie, dziwejcie sie, a nie r'zyjcie takij móndrości.

Jużech tyż padoł, iże tak dalszy nie można s tym Kołem, to jag je kiedy pizna w szprychy, to wszyjskie buksy wyfrukną.

„Dziynnik Poznański“ jeszczy w śniku prawi o anielskiyj dobroci kapitalistów, s chtórymi robotnicy mogą śmiało żyć w pokoju a w drożyźnie tyż. Nie czytoł pono, iże minister angielski Asquith musioł zagrozić kapitalistom ustawą o płacy minimalnyj a jeszczy im rury nie smiękły. A nasza górnośląsko spółka kopalniano i cynkowo wypłaciła terazki 18 procent dywidendy, ale na 15 procent podwyżki zorobku dlo robotników niy mo skisz kosztów wiynkszych. Bo tyż w Prusach sprawiedliwych niy ma wtórygó Asquitha, a jeszczy miyniyj takiygó ministra, coby przeprowadziół tako ustawa, nie jino obiecoł.

W parlamyncie naszo partja a Koło polskie wyfedrowały cało hołda wniosków, nogłych a miyniyj nogłych. Rząd wszyjsko przyjmuje do wiadomości, ale robi swoje. Kiej to wszycko przyjdzie pod obrady, tegó żoden prorok nie wymedykuje, ale to sie wiy, iże przyszłe wybory pomogą nieco rządowi w tyj robocie, bo tak dalszy nie idzie, coby obywatele jino pracowali na podatki a sami z głodu marli a s tych podatków nie mieli nic, jino ostuda s rostmaitymi urzędami, co te podatki źrą i jeszczy człeka za nic mają.

Ubolywanie a rozgoryczynie wielgie, lud widzi już nieco, kaj gó zawiodło Cyntrum, chtóre hań panowało wkrótce jeszczy, to tyż żenie je pomału bliżej Odry. Ale cyntrowcy mają jeszczy piyniądze, nasnoszone księżoszkom cyntrowym przez ciymny lud polski i za te piyniądze chcą mu sprawić nowygó jadu, coby mu jeszczy wiynkszy zawróciół pałety. Tak postanowili od apryla wydować „Tygodnik katolicki“. Jak wielo tam bydzie katolickiyj wiary a obyczajów katolickich w tym nowym cyntrowo-niymieckim Tygodniku pisanym jino w mowie polskiyj, to można wiedzieć, kiej sie spamiynto na cyntrowo agitacjo wyborczo s tegó roku. Bydzie to pismo na podoba „poważnyj damy“ s Królewskij Huty, ale tyż na podoba ónyj zaśnie w Bogu hnet.

Do popuku były odwiedziny złodziei u prokuratora w Bytóniu a na wasze w Królohucie. Prokurator medykowoł pono albo śniół zaś o politycznym śpiewie i inkszych wiecach, a tu mu ziyni kuferek. Policaj zaś dowała pozór na polityczne piwo a tu im ziyni rewolwery a zeble służbowe; to sie zaś bydą mogli kryminoły chwolić, iże lepszy sie znają na polityce jak na złodziejstwie.

Drożyzna pizła tyż farorzyka Zielonkoskiegó w Niymieckich Piykarach, choć ón mioł piyńć trzydzieści tysiąców przez rok dochodu. Zrobili mu rewizjo kasy kościelnyj i nie znojdli 14 000 marków. Ano, toć hnet zión urlop a pojechoł do Szwajcarji, to potrzebowoł na podróż nadzwyczajno. W laurahuckim folksbanku dali papiyry dyrechtorowi a kasjerowi, bo ze zrewidowanych ksiąg tyż pono sie przekonali, iże naprowiali drożyzna.

Gustlik Beskuryjo.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott z Zabrza.

Nr. 11. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 16 marca 1912.

SŁUŻBA.

Julka była dzieckiem miłości. Ojca nie znała wcale, matka umarła przed kilku miesiącami. Na śmiertelnem łożu opowiedziała jej swoją ciernistą drogę życia. Szesnastoletnią dziewczynę uwiódł panicz, obiecując szczęście nie znane. Kochała go pierwszą gorącą miłością, śniła piękny sen pełen czarownych obrazów. Straszne było przebudzenie. Znalazła się na bruku, sama, dziecko prawie, z niemowlęciem przy piersi. Żeby nie rozstać się z dzieckiem, poszła do służby na wieś. Pracowała dniami i nocami, byle tylko Julkę ochronić od głodu.

Straszne przejścia i ciężka praca zrujnowały jej zdrowie.

Julka pamiętała urywany oddech matki, ciągły, tłumiony kaszel. Nocami często widziała matkę siedzącą na łóżku, czułem spojrzeniem obejmowała swoją Julkę. Jednej nocy zbudziła ją, okrywając gorącemi pocałunkami.

Była to ostatnia noc. Na drugi dzień Julka była sierotą, bez ojca, bez matki, bez dachu nad głową.

Zaczęło się ciężkie sieroce życie; Julkę przygarnęli znajomi, za łyżkę strawy i trochę przyodziewku kazali ciężko pracować. Miała już lat piętnaście i postanowiła iść na prawdziwą służbę. Całe swoje mienie zawiązała do chustki, książkę schowała do kieszeni i poszła do miasta. Oglądały ją różne panie, wypytywały, co umie robić i nareszcie jedna zabrała do służby.

Julka oszołomiona gwarem wielkomiejskim, prawie bezwiednie poszła za nią i za chwilę weszła po schodach do mieszkania, które zajmowała jej pani.

Dostała zawrotu głowy, kiedy pani zaczęła jej tłomaczyć całą litanję obowiązków, co w ciągu dnia należy zrobić. Nie rozumiała dobrze słów wypowiadanych bardzo szybko. Przypomniała sobie matkę swoją ukochaną i ukradkiem obcierała łzy, które uporczywie napływały jej do oczu.

Po niedługim czasie przyszedł pan, starszy człowiek w okularach, o nieprzyjemnem wejrzeniu.

— Jak się nazywasz, mała? — zapytał i poufale uszczypnął Julkę w policzek.

— Julka, proszę pana.

— Ładne imię, no, zadowolony jestem z ciebie. Musisz posłusznie spełniać, co ci rozkażemy, a będzie ci u nas dobrze.

Julka odetchnęła swobodniej. Nareszcie jedno serdeczne słowo! Jaki ten pan dobry! Na wspomnienie jednak jego oczu doznawała dziwnego, nieokreślonego uczucia. Pani nie była tak serdeczna, Julka bała się jej bardzo.

Dziwiło ją bardzo, że państwo z sobą nie rozmawiali wcale, pan miał osobny pokój, pani spała w jadalni.

Wieczorem musiała panu pomagać przy rozbieraniu, rano przy ubieraniu. Nie zważając na jej obecność, pan wychodził z łóżka. Julkę palił wstyd, nie śmiała jednak wyjść z pokoju, kiedy kazano jej zostać.

— To tylko z początku dziwnem ci się wydaje — uspakajał ją pan — przyzwyczaisz się; każda służąca musi pomagać mi w ubieraniu. Nie mogę się schylać, bo krew mi uderza do głowy.

Po kilku tygodniach pani wyjechała do krewnych. Julka została sama z panem. Jednego dnia pan skarżył się na różne dolegliwości i nareszcie oświadczył, że nie może sam spać w spokoju, Julka musi na kanapie się położyć.

Dziewczyna ogromnie współczuła z biednym panem, ułożyła się na kanapie. Postanowiła nie spać, żeby być na każde zawołanie. Jednak sen zmógł wszystkie szlachetne postanowienia i za chwilkę Julka spała, śniąc o dobrym panu, o matce swojej ukochanej. Czuła, jak ją okrywa pocałunkami, pieści, obejmuje. Dobra, kochana mateczka...

Przetarła oczy... — matuś moja... nie, to pan, zdejmował z niej spodnicę i koszulę.

Julka oniemiała z przerażenia, za chwilę dopiero zrozumiała, co pan do niej mówi.

Zaczęła krzyczeć przeraźliwie, rzuciła się ku drzwiom, były zamknięte...

Drżąc jak w febrze, padła na kolana i błagała dobrego pana, żeby pozwolił jej odejść.

Pan zaśmiał się cynicznie.

— Julko, gołąbku, nie krzycz, nic ci się nie stanie. Chodź, połóż się w mojem łóżku, bo ci zimno. Będę cię pieścił, będziesz panią. Dam ci pieniądze, kupię korale. Będę cię kochał jak ojciec — chodź dziecko, nie bój się mnie.

Julka z niedowierzaniem spojrzała na dobrego pana. Oczy zaszły mu mgią, ślina ciekła z ust, drżał na całem ciele i zbliżał się znowu do Julki.

Jednym susem skoczyła na okno, pod naporem ciała pękły szyby i z ogromną szybkością poleciała w dół...

Kiedy otworzyła oczy, nie zdawała sobie sprawy gdzie się znajduje. Wielka sala, kilka łóżek i dziwne jakieś postacie na tych łóżkach. Gdzie pan, kiedy zawoła na nią pani?...

Przymknęła oczy i zapadła w półsen. Zdawało się jej, że dobry pan chce ją całować, daje jej korale, ubiera w piękne suknie... Usłyszała swoje nazwisko, spojrzała: stał nad nią jakiś pan, gładził po włosach i prosił, żeby się przyznała, gdzie schowała albo komu oddała pierścień, który swymu panu zabrała...

Julka zrazu nie rozumiała, co do niej mówiono. Po chwili pojęła, że obwiniają ją o kradzież... Wybuchnęła strasznym płaczem — nawet badający ją pan zmieszał się.

— Na rany boskie, to niemożliwe, to jakaś straszna pomyłka! — wołała Julka nieludzkim głosem.

Opowiedziała całe zajście. Nie wierzono jej słowom. Dobry pan znany był w mieście jako człowiek pobożny, zacny obywatel, opiekun sierót. Spisano protokół.

Julka była wyczerpaną, leżała bez ruchu, bez myśli...

Upłynęło kilka tygodni, ze szpitala przewieziono ją do więzienia. Co kilka dni prowadzono ją do sędziego śledczego, który jej radził, żeby się przyznała, kara będzie daleko mniejsza. Nie pomagały zaklęcia Julki, że jest niewinna.

Jednego dnia wprowadzono Julkę do wielkiej sali. Zmieniona była bardzo. Chuda, o zapadłej twarzy, żółtej cerze, zaledwie przypominała dawną Julkę.

Za stołem okrytym zielonem suknem siedzieli panowie, na stole krzyż z wizerunkiem Chrystusa, dwie świece.

Długo coś czytano, czego Julka zupełnie nie rozumiała. Zapatrzyła się w krzyż Pański, w rany Chrystusa i zdawało się jej, że za chwilę i ją rozepną na krzyżu, dobry pan będzie wbijał gwoździe w jej ciało. Krzyknęła, zachwiała się i omal nie spadła z ławki...

W tej chwili właśnie dobry pan opowiadał, że nie może z całą pewnością twierdzić, czy Julka pierścień zabrała. Jednak jej ucieczka w nocy, i to przez okno, dawały mu dużo do myślenia.

Julka własnym uszom nie uwierzyła, w głowie i sercu miała chaos... Czyżby to był sen taki straszny...

To była pierwsza służba Julki!...

A. KRAGEN.

O budowie i powstaniu istot żywych.

Wystarczy wyjść latem za miasto, aby zobaczyć wielkie bogactwo roślin i zwierząt. Kształty i barwy różnorodne uderzają nasz wzrok. Jaka rozmaitość uderza nas wśród samych traw i drzew, a cóż dopiero wśród kwiatów barwnych!

Bogatszym jeszcze w kształty jest świat zwierząt.

Mimo jednak tak wielkiej różnorodności wszystkie zwierzęta i rośliny są do siebie podobne. Zdziwi was to, skoro tylko będziecie myśleli o budowie dostrzegalnej dla gołego oka. Skoro jednak weźmiecie cieniutki skrawek z rośliny lub zwierzęcia i dacie go pod mikroskop, t. j. szkała silnie bardzo powiększające, spostrzeżecie szereg przylegających do siebie pęcherzyków, często nieco spłaszczonych, Są to tak zwane komórki.

Z nich to zbudowana jest każda istota żywa, Miljony niezliczone komórek stanowią ciało nasze. Wszystkie organa nasze zewnętrzne i wewnętrzne są z nich zbudowane, a nawet włosy i paznogcie są zbiorem komórek. Komórki te wciąż się w ciele naszem zużywają, ulegają zniszczeniu, a miejsce ich zajmują nowe powstające w ten sposób, że komórka każda dzieli się na dwie nowe komórki. Przez nieustanny podział komórek, liczba tch się mnoży i wten sposób przybywa materyału na budowę naszego ciała, które rośnie i rozwija się.

Tak samo naturalnie są zbudowane wszystkie zwierzęta i rośliny. Komórki są to więc jakoby cegiełki ogromnie małe, gołem okiem niedostrzegalne, wielkość ich powiem mierzy się na dziesiętne, a często nawet na tysięczne części jednego milimetra. Pomyślcie, jak one są małe, kiedy jeden milimeter jest dziesiątą częścią centimetra! Mimo tak małych rozmiarów komórka jest zdoloną do życia samodzielnego. Bakterje n. p., z których liczne dają się nam we znaki przez to, że powodują choroby zakaźne wśród ludzie i bydła, są stworzeniami jednokomórkowemi.

Każda komórka bez względu na to, czy wchodzi w skład złożonego bardzo organizmu, czy też żyje samodzielnie, składa się z części jednakowych, które warunkują zdolność jej do życia i dalszego rozwoju. Skoro spojrzycie na komórkę, zobaczycie w środku jej ciało kuliste. Jest to jądro, które przy podziale komórki gra rolę pierwszorzędną. Jądro to otoczone jest galaretowatą, ziarnistą masą t. z. plazmą. Plazma wraz z jądrem jest do życia komórki niezbędną. Skoro z komórki oddalimy jądro, komórka długo istnieć nie będzie mogła, tak samo jądro oddzielone od plazmy nie ma warunków niezbędnych dla życia i wkrótce marnieje.

Skoro dzięki mikroskopowi odkryto komórkę, zaczęto badać jej części składowe t. j. plazmę i jądro. Zaczęto badać budowę ich i skład, aby się przekonać, co właściwie sprawia to, że komórka oddecha, pobiera pokarmy, że się mnoży, że jednem słowem żyje.

Okazało się w końcu, że wszystkie istoty żywe nie różnią się składnikiem swym niczem od ciał nieożywionych. Wiecie pewnie, że ciała nieożywione n. p. kamienie, i. t. p. dadzą się rozłożyć ostatecznie na ciała dalej niepodzielne na t. zwane pierwiastki. Takiemi pierwiastkami są na przykład węgiel, wodór, tlen, fosfor, siarka, żelazo, miedź i wiele innych. Jest ich przeszło 70. Te same pierwiastki dają związki tworzące plazmę i jądro. Nie znaleziono ani jednego pierwiastka, któryby w istotach żywych wyłączenie tylko występował. Tak więc niema żadnej różnicy w składzie ciał żywych i nieożywionych. A kiedy komórka zbudowana jest z pierwiastków tych samych co świat martwy, wydało się prostem przypuszczenie, że z pierwiastków tych można będzie zbudować komórkę. W ten sposób człowiek mógłby sam stworzyć życie. Usiłowania dotychczasowe nie przyniosły oczekiwanego rezultatu. Wprawdzie znamy związki tworzące plazmę i jądro, okazuje się jednak, że budowa ich jest tak złożona, że w obecnych warunkach nie zdołano jej odtworzyć.

Nigdzie też w przyrodzie nie zauważono, aby istota żywa choćby najprostszej budowy tworzyła się z materji martwej.

Każda komórka żywa może powstać tylko z komórki już istniejącej.

Niesłusznem z gruntu jest mniemanie, że robaki n. p. rodzą się z brudu. Robaki bowiem jako istoty żywe, rodzą się z komórki, z jaja składanego zwyczajnie w miejscach, w którychby młode z jaja wylęgłe mogły mieć poddostatkiem pożywienia. Tylko komórka żywa umie dać początek czy to roślinie, czy zwierzęciu.*)

Zapytacie pewnie, czy życie zawsze rozwijało się z komórki.

Na pytanie to można odpowiedzieć tylko przypuszczeniem, które teraz wydaje się najprawdopodobniejszem.

Był czas, kiedy ziemia nasza była rozpaloną kulą. Życie żadne ostać by się na niej nie mogło. Pierwiastki wszystkie znajdowały się na niej w postaci gazów tak, jak teraz na słońcu i gwiazdach. Ciała te rozgrzane znacznie rzucały w dal światło.

Powli ziemia ostygła, pojawiło się na niej powietrze i woda. Zapanowały warunki sprzyjające rozwojowi życia. I wtedy to na pustej, martwej ziemi pojawił się zarodek życia. Jak to się stać mogło?

Wiemy już. że ciała żywe i martwe składają się z tych samych pierwiastków. Na tej podstawie opierają uczeni przypuszczenie, że świat żywy powstał kiedyś z martwego. Może na ziemi, kiedy ona ostygała były warunki takie, jakich dzisiaj na niej już niema, w których komórka z pierwiastków sama się wytworzyć mogła — Możliwem jest jeszcze i to, że na ziemi akt twórczy życia z pierwiastków miał miejsce, ale gdzieś poza nią. Może poza naszą planetą były, a może i są jeszcze warunki dla tworzenia się komórek, które unoszą się nieustannie w całym wszechświecie i mogą dać początek życiu, skoro przypadkiem padną tam, gdzie ono rozwinąć się może. Komórki te mają być bardzo małe i lekkie, mogą długo znosić niekorzystne warunki jak zimno i brak powietrza. Te ciała mogły przypadkiem paść na ziemię ostygającą i stać się zarodkiem bujnego na niej życia.

Według tego ostatniego przypuszczenia życie jest wieczne, niezniszczalne. Może po miljonach lat słońce nasze spotka los ten sam co i ziemię, słońce ostygnie, a wtedy na ziemi zapanuje ciemność wieczna zabraknie na niej warunków niezbędnych dla życia, mróz zetnie bujne rośliny, poniszczy zwierzęta. Na ziemi zapanuje wieczna pustka. Zarodki życia rozsiane w postaci małych komórek pozostaną jednak, jako zadatek dalszego życia na świecie.

„Światło".

*) Najczęściej dzieje się tak, że komórka wytworzona w ciele samicy t zw. jajo łączy się z komórką wytworzoną przez ciało samca. Ze złączenia tych dwu komórek powstaje nowy organizm.

Odkrycie bieguna południowego.

Norweski badacz Roald Amudsen nadesłał sprawozdanie o odkryciu bieguna południowego, a pisma angielskie donoszą, że tenże Amudsen donosi też o dokonaniu tego samego odkrycia przez angielską wyprawę naukową pod dowództwem Scotta. Norweskie instytucje naukowe zapewniają, że Amudsena sprawozdanie wytrzymuje naukową krytykę i że nie będzie to kawał a la Cook i Peary z biegunem północnym. Sprawozdanie Amudsena opiewa:

Dnia 1 lutego 1911 rozpoczęliśmy prace na dalekiem południu. Dnia 1 kwietnia utworzyliśmy trzy składy, gdzie złożyliśmy prowianty, razem 4100 kgr. Najniższa temperatura była d. 13 sierpnia, wynosiła — 53° C. Dnia 8 września w 8 ludzi na 7 sankach z 90 psami i zapasem żywności na 4 miesiące puściliśmy się w drogę do bieguna.

Ponieważ odtąd temperatura dzień w dzień spadała, co szczególnie dawało się odczuwać psom, wróciliśmy do chaty śnieżnej. Dnia 20 października znowu rozpoczęliśmy pochód. Wyprawa składała się z 5 ludzi na 4 sankach z 52 psami i zapasem żywności na 4 miesiące. Dnia 17 listopada dotarliśmy do 85 stopni szerokości poł., gdzie urządziliśmy główny skład. Teren, na który dostaliśmy się, wydawał się nieprzebytym, były na nim wzgórza, dochodzące do 10 tysięcy stóp wysokości, w kierunku południowym były jeszcze wyższe. Musieliśmy okrążać te wzgórza, oraz obchodzić szerokie szczeliny i przepaście, które się tam rozciągały.

Dnia 1 grudnia przebyliśmy pole lodowe, przerywane licznemi dziurami. Snieg poruszał się tu, jak kry na jeziorze, ziemia pod nogami tętniła. Pochód przez ten teren był bardzo trudny. Zapadł się jeden człowiek i kilka psów. Nartów nie mogliśmy tam użyć, pożytecznemi okazały się natomiast specjalnie urządzone sanki lodowe. Teren ten nazwaliśmy „Salonem tanecznym djabła". Dnia 13 grudnia dotarliśmy do 80° 45', powinniśmy więc byli nazajutrz dotrzeć do bieguna. 14 grudnia o godzinie 3 popołudniu zatrzymaliśmy się, bo wedle obliczeń dotarliśmy do celu. Wywiesiliśmy tu jedwabną chorągiew norweską i nazwaliśmy ten ogromny obszar, na którym leży biegun, krajem króla Hakona VII. Jest to teren płaski, jednostajny. W ciągu popołudnia przeszukaliśmy kraj na przestrzeni 8 kilometrów.

Nazajutrz od 6 popołudniu do 6 rana robiliśmy obserwacje. Stwierdziliśmy, że się znajdujemy na 89° 55' szerokości popołudniowej i że w celu możliwego zbliżenia się do bieguna trzeba jeszcze posunąć się o 9 kilometrów na południe.

Dzień 16 grudnia spędziliśmy przyjemnie w promieniach słońca. Czterech uczestników wyprawy przez cały dzień zajmowało się obserwacjami. Jedno było pewnem, że jesteśmy na biegunie południowym, tak blisko niego, jak to się da stwierdzić narzędziami, jakie mamy do dyspozycji, t. j. sekstantem i sztucznym horyzontem. Okrążamy ten punkt na parę kilometrów, wznosimy mały namiot i zatykamy chorągiew norweską i flagę okrętu „Fram". Namiot ten nazwaliśmy „domem biegunowym". Odległość jego od kwatery zimowej wynosi 1400 kilom., przebywaliśmy więc dziennie przeciętnie 25 kilom.

17 grudnia rozpoczęliśmy powrót w czasie pięknej pogody. Jeszcze w ciągu grudnia na dwóch sankach z 11 psami wróciliśmy do kwatery zimowej.

Najważniejszą rzeczą oprócz dojścia do bieguna było oznaczenie rozciągłości i cech t. zw. barjery Rossa, odkrycie połączenia między południową Wiktorją, a prawdopodobnie krajem króla Edwarda VII i dalszym jego ciągiem w potężnym łańcuchu górskim, który wedle wielkiego prawdopodobieństwa idzie w poprzek przez cały ląd antarktyczny. Nazwaliśmy go górą królowej Maud.

Rozmaitości

85 godzin pod ziemią. W Weronie mularz Piotr Maccacaro zajęty był przy murowanu studni, gdy nagle ziemia się odsunęła i zasypała go całkowicie. Wezwano natychmiast oddział pionierów, z których 30 na zmianę pracowało z zachowaniem wszelkich ostrożnośei w ciągu 85 godzin i wykopali 3000 metrów kubicznych, na co w zwykłych warunkach 20 robotników potrzebowałoby dwa miesiące czasu. Wreszcie pionierzy dokopali się do nieszczęśliwego który nie dawał znaków życia. Po dostawieniu do szpitala zastrzyknięto mu kofieny dwie dawki i mularz odżył, a nawet jest na drodze do zupełnego wyzdrowienia.

* * *

Pies postrzelony dolarami. Niejakiś Jan Wincenty w Swojerville w Ameryce, nie ufał bankom, a że w kufrze bał się trzymać pieniądze z obawy przed złodziejami, przeto wpadł na wyborny pomysł i wszystkie oszczędności w sumie 50 dolarów w samych papierkach schował w lufie starej fuzji, która nieużywana wisiała na ścianie. Przypadek chciał, że podczas nieobecności Wincentego pies włóczęga wpadł na podwórze domu i takie zaczął harze wyprawiać z drobiem, iż jeden z robotników porwał strzelbę i gruchnął do psa grubym śrutym. Psisko, choć postrzelone, zawiło i schowawszy ogon pod siebie, dało drapaka. Jakież jednak było niemiłe zdziwienie Wincentego, gdy po powrocie do domu dowiedział się o wypadku. Całe 50 dolarów razem ze śrutem poszły w psią skórę, a na podwórzu znaleziono tylko kilka dolarowych szczątków. Jan Wincenty wybrał się na poszukiwanie postrzelonego psa, ma bowiem nadzieje, że pod skorą jego znajdzie jeszcze część nieuszkodzonych banknotów.

* * *

Oryginalne oszustwo. W pewnej wsi w pobliżu Heidelbergu wydarzył się wypadek oryginalnego oszustwa. W wiosce owej urządzono z łona towarzystwa dla hodowli drobiu wystawę ptactwa domowego. Jeden z wystawców kazał sobie z tego powodu od pewnego hodowcy drobiu przysłać pięknego koguta. Nadesłano mu też okaz naprawdę rzadki. Lecz radość nie trwała zbyt długo, po kilku dniach bowiem począł kogut z pięknego ogona gubić jedno pióro po drugiem. Gdy w sprawę tę bliżej wejrzano, przekonano się z niemałem zdziwieniem, że wszystkie pióra w pięknym ogonie były sztucznie przyprawione. Dawniejszy właściciel odciął kogutowi stary, niepięknı ogon, a w pozostałe części piór powkładał pióra inne, piękniejsze, przymocowując je w dotatku, ażeby lepiej trzymały, klejem.

Sprawa ta rozegra się prawdopodobnie przed sądem, gdzie obrady mogą dać obraz nader ciekawy i śmieszny. Kogut z potraconemi pióry stanie prawdopodobnie jako świadek.

* * *

Parowóz z głową ludzką. W chwili kiedy pociąg, zwolniwszy znacnie biegu, wjeżdżał na peron stacji Lille, urzędnicy i obecni podróżni zdrętwieli ze zgrozy. Oto na buforze parowzu wisiały strzępy worka, a między buforem i latarnią wyglądała okrwawiona głowa ludzka z otwartemi oczyma i z zastygłem w nich przerażenin. Po chwili dróżnik jednego z przejazdów wyjaśnił przez telefon tę tragiczną zagadkę. Przez przejazd przechodził jakiś człowiek, niosący na plecach worek ziemniaków. Jednocześnie nadbiegł pociąg, który odciął nieszczęśliwemu głowę, odrzucając tułów na plant kolejowy, worek zaś zaczepił się o bufor. Stało się to tak prędko, że maszynista nic nie wiedział o wypadku.

* * *

Śmierć głodowa latarników. Z Madrytu donoszą o tragicznym losie dwu latarników, osądzonych w latarni morskiej, stojącej na niebezpiecznej rafie podwodnej w pobliżu portu Labejry. Od 22 dni na wybrzeżach Hiszpanji trwają tak gwałtowne burze, że wszelkie usiłowania w celu dostarczenia żywności latarnikom pod Labeirą okazały się daremnemi. Ogromne fale odbijają się z taką siłą o skałę, że żadna łódź nie jest w możności przybyć do niej. Tymczasem zaś nieszczęśliwi latarnicy przez cały szereg dni dawali znać zapomocą sygnałów, flagami i rzucanych do morza flaszek, unoszonych przez fale ku brzegowi, że nie mają żywności i cierbią głod straszny. Z latarni morskiej przestały nareszcie dochodzić oznaki życia, biedni latarnicy pomarli z głodu.

* * *

Reklama prawdziwie amerykańska. Najnowszy amerykański pomysł reklamy, o którym donoszą pisma angielskie, przewyższa chyba wszystko, co znane jest dotychczas pod tym względem. Na jednym mianowicie z cementarzy chicagowskich zwraca uwagę powszechną nagrobek niezwykłego kształtu i wielkości. Co jednak ciekawsze, niż sam nagrobek, to wyryty na nim napis następujący: „Tu spocznie John Malcolm — po śmierci, obecnie zaś mieszka przy X-street nr. 200 i wyrabia mydła, perfumy, oraz wszelkie kosmetyki najlepszego gatunku. Ceny niezwykle niezkie". To się nazywa. myśląc o śmierci, nie zapominać o własnym interesie.

* * *

Zagryziony przez wilki. Koło wsi Wopy, w gub. grodzieńskiej, powiat wołkowyski, jak donosi „Nasza Niwa", gromadz wilków włócząc się koło domostw, napastują przechodzących. W tych dniach zagryzły na śmierć powracającego z jarmarku gospodarza Grzegorza Osipczaka. Przerażenie ogarnęło mieszkańców; wszelkie obławy wobec bezmiernej liczby drapieżników nie wiele pomagają.

* * *

Zamarznięcie weselników. Z Petersburgu donoszą: W pobliżu Kołogriwu (w gub. kostromskiej) cały orszak weselny, złożony z 13 osób, padł ofiarą śmierci przez zamarznięcie podczas zawiei śnieżnej.

* * *

Wyścigi napowietrzne nad oceanem. Jeżeli spełnią się marzenia czterech śmiałych żeglarzy, rok 1912 upamiętni się zwycięstwami napowietrznemi. Niemiec — dr. Gans i trzej Amerykanie: Melpin Vaniman, James Martin i Harry Atwood powzięli, każdy z osobna, zamiar przepłynięcia oceanu Atlantyckiego w balonach sterowych. Pierwszy wyrusza dr. Gans (w ostatnych dniach b. m.). Zbudowany wedle jego pomysłu balon ma 162 stób długości, uczepiona doń gondola przypomina kształtem łódź podwodną. Poruszają ten napowietrzny statek dwie gondole o sile 110 koni parowych. Dr. Gans puści się tą samą drogą, którą przebywał Krzysztof Kolumb, dążąc do okrycia nowej ziemi. Towarzyszyć mu będą: sternik, meteorolog i oficer niemieckiej marynarki.

Dr. Gans zamierza startować przy wyspach Kanaryjskich w pobliżu Teneryfy popłynąć wprost do Barbados, stamtąd przez Florydę ku amerykańskiemu kontynentowi.

Vaniman obrał krótszą drogę: wyruszy ze wschodnich wybrzeży Neufundlandu, aby prostą drogą dopłynąć do zachodniego wybrzeża Irlandji. Dwaj pozostali aeronauci zamierzają przebyć drogę z Saint-Louis do Nowego Jorku. Ich balony są niemal dwa razy większe i cięższe od balonu niemieckiego.

Dymokrackie medykacje.

Strejk w całkij Europie, ba, na całkim świecie.

Zastrejkowali nasi bracio od kilofa a śleperki w Anglji, za nimi pośli inksi, ale za nimi poszły jeszczy ceny czornych dyjamentów a całko drożyzna, ale jino w góra, bo drożyzna nijak nie strejkuje.

Rząd mo ostuda, burżuje sie dziwają, ale kapitalisty padają se, iże mają mocniejsze kabzy, jak robotnicy; jino kiej za te swoje skarby nie bydą mieli co jeść, to im jelita a serca nieco smiękną.

W zachodnich Niymczech tyż strejk górników. Ferband ciyrpistów a chrześćjańskie gewerki tyż strejkują, ale jino wobec jedności robotników, bo tak to są ś nich zorganizowane łamistrejki. A jeszczy gewerki, isto kręcijańskie podały do kupy s kapitalistami depesza do ministra, coby ich bróniół od strejkujących braci. Te kręcijańskie judosze pono szpekulują, coby im wszyjskim gruby dały kilofai miasto kilofów, a pruskie władze jeszczy takie piykne biołe przepaski z czornym ptoszkiem a dienstrewolwery w kabzy i zaprzysiyngły ich na blicablajtrów strejkowych. No, mało tam jeszczy tysięcy wojoków, siandarów a policajów a pobrzebieranych sztygarów, jeszczy trza uniformów dlo łamistrejków, a bydzie cołko odpowiydź kapitalistów a poprawa zorobków. Niech se jino tak dalsze gospodarują, to sie jeszczy podziwomy, co pedzą Saksy a Dolny Sląsk a my haw tyż jeszczy.

Panoczek von Puttkammer w Izbie Panów, a ugodowiec polski Dunin w poznańskim Towarzystwie gospodarczym tyż pono zastrejkują, kiej rząd nie bydzie móg ich posuchać. Bo Puttkammerowi zachciało sie jeszczy lepszyj ochrony dlo łamistrejków a pan z panów Dunin pado, iże robotnikom rolnym nie trza wolności stowarzyszania sie, ón sie już ze swoimi robotnikami pogodzi albo harapem albo landrotem. Niech im sie jino spicho s takimi wnioskami, tak na zawołanie, takich trza nom wiynkszy, coby robotnikom pokozać te dobrodziejstwa panoczków.

U krawców strejk i lokaut, ale na tym pono sie nie skończy, to przeca początek dopiyro.

Lokaut tyż zarządzono nad kościelnym u św. Doroty we Wrocławiu a nad generaldyrechtorem Lobem w Wełnowcu. Bo tyn służka boży żądoł pocichu poprawy zarobku o 50 000 mk. na roz i zión je se ze skarbonek kościelnych.

Nie wiym jino, co bydą kosztowały 13 pańskich domów Donnersmarka w Mikulczycach, chtóre tam mają budować hnet, ale ta nowo szpilszula bydzie piykno, bo to tym małym dzieckom trza pokazować od malusiygó, iże panoczki jednako dobre, a niymczyzna fajno. Kiej s takiyj szpilszuli wyńdą, to już we szkole rechtory bydą mieli lekko robota ś nimi, a ostmarkenculagi a elternabenty pomogą. Zaś nieskorzy farorzyk z jinglingami a jungfrauami a inkszymi ferajnami nawrócą ich do cyntrum i tak sie robi u nos wolnych obywateli światłych, a zaś we fortbyldungszuli nauczyciele bydą im dowali „gezynungsunterycht", kiej kieryś rechtór w krysie tarnogórskim; a to sie wiy, czegó trza, coby taki „gezynung" ulepić. Bracio! pozór! A nie dować dziecek do szpilszuli a na te osmolóne abenty!

Tyn dryl pruski już tyż mo od set roków obywatelstwo w Rusyji, tam sie tyż mówi: paragrafy, befele, sztrafy, okrom tego nie wolno nikómu nic myśleć, bo wdycki źle. Tak tyż suchało 6 wojoków, co wieźli skarbczyk, przez to posuszyństwo hnet byliby bajonetami zapchali wielkiygó księcia, przyjociela samygó cara; ale miasto nagrody dostali koza, bo tako je wszędy sprawiedliwość.

Gustlik Beskuryjo.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott z Zabrza.

Nr. 12. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 23 marca 1912.

IWAN CANKAR.

KRZYŻ.

(Ze słoweńskiego).

Pan odkupił świat swojemi cierpieniami i w ten sposób spełniło się proroctwo, trwające od wieków.

Droga do wiecznej radości prowadzi przez górę cierpienia, droga do życia przez górę śmierci. Aż do nieba wznosił się ciemny znak krzyża, a wszyscy znękani spoglądali nań z ufnością, bo godzina smutku była godziną poznania — a poza krzyżem błyszczała jasna dal rajskiemi barwami.

Ufajcie, wy zmęczone oczy! Bo ani kropla krwi tego szlachetnego serca nie była przelaną na darmo, a droga Tego, który ugina się pod ciężarem krzyża, wiedzie do radości.

Nadejdzie chwila, gdy dwoje krwią nabiegłych ócz spojrzą ku niebu, a z dręczonego serca zabrzmi głośny krzyk:

„Elohi, Elohi, lama sabaktani!

Skończy się czas smutku i otworzą się bramy.

Była niedziela; z dalekich pól wznosiła się ciepła para ziemi, w ogrodach i winnicach kwitły brzoskwinie i wiśnie. Gościńcem szedł człowiek nieznajomy, boso, z gołą głową, odziany w szeroki czerwony płaszcz, sięgający mu aż do stóp, którego rękawy tak były szerokie, że ramiona obnażały się aż do bioder, gdy je wznosił ku niebu, by dać rozkaz chmurom. Jasne włosy spadały mu na ramiona a wokoło głowy błyszczał krąg świetlany.

Naprzeciw niego szło dziecko w podartem ubraniu, które na głowie niosło wiązkę drzewa i płakało.

— Dokąd idziesz, moje dziecię, i czemu płaczesz?

— Jestem zmęczone i głodne.

Nieznajomy pochylił się ku niemu, pogłaskał jego twarzyczkę i rzekł:

—Odrzuć tę wiązkę i chodź ze mną!

Dziecko rzuciło ciężar na ziemię, pochwyciło rękę nieznajomego i poszło z nim — a delikatna, blada twarz tego dziecka, które jeszcze nigdy się nie śmiało, błyszczała radością i szczęściem.

Oczy nieznajomego spoczęły na rozległych, kwitnących niwach.

— Do kogo należy to pole?

— Do pana.

— Kto uprawia je, kto sieje i zbiera?

— My uprawiamy je, my siejemy, lecz pan zbiera z niego, bo jego jest.

Oczy nieznajomego zaszły mgłą smutku, a gdy wzrok jego przesunął się po kwitnącem polu, zwiędły kłosy. Ziemia stała się suchą i nieurodzajną.

Potem szli dalej.

Długi szereg ludzi szedł ku nim. W rękach nieśli węzełki a wszyscy spoglądali ku ziemi, pochyleni głęboko, aż do basa pokrycie kurzem; mężczyźni, kobiety, starcy, nawet dzieci spoglądały smutnie ku ziemi.

— Dokąd idziecie, ludzie? — zapytał nieznajomy.

Nie stanęli, nie podnieśli głów lecz śpiewali smutną pieśń wędrowną?

— Do Ameryki, do ziemi obiecanej; szukamy chleba i nowej ojczyzny!

Nieznajomy spoglądał na nich, na każdego z kolei i skoro tylko poczuli na sobie jego wzrok, rozjaśniły się ich oczy, które jeszcze nigdy wesoło nie patrzyły w świat.

— Odłóżcie węzełki i chodźcie ze mną!

I natychmiast odrzucili węzełki i poszli z nim.

Wkrótce potem przyszli do pewnej biednej, smutnej wsi; drewniane, słomą kryte chaty zmęczonym wzrokiem spoglądały na długi szereg wędrownych. Przed chatami zaś stali ludzie, pochyleni w milczeniu, z różańcami w kościstych palcach.

— Pole jest nieurodzajne, więc niechaj kamienie staną się naszym chlebem, a modlitwa naszą pracą.

— Rzućcie precz różańce! — rzekł nieznajomy — odwróćcie święte obrazy do ściany, wylejcie z naczyń święconą wodę i chodźcie za mną!

Jak rozkazał, tak zrobili; porzucili różańce na gościńcu, odwrócili święte obrazy do muru, wylali święconą wodę z naczyń i poszli za nim.

Długo wędrowała ta olbrzymia procesja, aż przyszła do wielkiego czarnego domu z czarnemi oknami. Ciężkie młoty dźwięczały, żelazne koła huczały, a gęsty czarny dym wzbijał się w górę — niedochodził jednak do nieba, lecz wracał napowrót do ziemi, jak dym z ofiary Kaina.

— Kto mieszka w tym domu? — spytał nieznajomy.

A oni odpowiedzieli mu:

—Tu mieszkają ci, którzy nie posiadają ani domowego ogniska, ani ziemi, ani ojczyzny. Tam mieszka ich praca — oni zaś sami mieszkają w nędzy!

Dom zadrżał pod wzrokiem nieznajomego; potężne bramy otworzyły się i zewsząd, ze wszystkich dróg i ścieżek, ze wszystkich domów nadchodziły czarne smutne postacie — gdy jednak na nich spoczął jego wzrok, prostowały się dumnie, ich twarze rozjaśniały się, a wreszcie podały sobie ręce i pociągnęły z nim.

— Dokąd? — pytały wargi.

Lecz serca ich znały cel.

Na przedzie szedł nieznajomy w długim, czerwonym płaszczu, a jego jasne włosy bujały w wietrzyku.

Podczas tej wędrówki przyszli do opuszczonej okolicy, podobnej do grobu, zasianej czarnemy, wysokiemi skałami.

— Do kogo należy ten kraj? — spytał nieznajomy.

— Do pana! — odpowiedzieli mu.

Gdy zaś wzrok przesunął się po okolicy, otwarły się chaty, ukryte pod skałami i niezliczone mnóstwo zmęczonych, pochylonych ludzi wyszło na dolinę.

— Skąd przychodzicie? — sbytał nieznajomy.

— Z pod ziemi! — odpowiedzieli. — Czarne złoto, wydobywamy z ziemi: dla naszego pana czarne złoto, dla nas zaś czarne kamienie!

Nieznajomy popatrzył na nich, a wtedy wszyscy poszli za nim krokiem lekkiem i z oczyma błyszczącemi zwycięstwem.

Była to procesja bez końca. Szła przez góry i doliny, a pod jej krokami, pod cieniem czerwonego płaszcza i jasnych, rozwianych włosów obumierały pola i więdły łąki; góry waliły się, a doliny równały się. Bogactwo zrodzone z przekleństwa było przeklęte.

Szli coraz wyżej. Za nimi i pod nimi leżał kraj równy, daleki, przed nimi zaś jaśniał długi, czerwony płaszcz i jasne włosy błyszczały w słońcu.

— Dokąd?

Nieznajomy milczał.

Niebo rozżarzyło się jak o trzeciej godzinie na górze Golgoty i krzyż, swemi ogromnemi ramionami sięgający od wschodu do zachodu słońca, podniósł się w jasności.

Nieznajomy zaś wstąpił na górę, schylił głowę i zakrył swoje oblicze, ponieważ był smutny.

— Wy wszystkie tysiące i miljony, którzyście szli za mną, wy wszyscy upokarzani i obrażani, wy wszyscy poniżeni i ujarzmieni — nie patrzcie poza siebie w przekleństwie i nędzy, bo dzień nasz nadszedł, śpiewajcie Hosanna i Alleluja! Z łez i nędzy wzrósł nasz dzień, a aż do nieba wznosi się nasz krzyż.., śpiewajcie Hosanna i Alleluja!

I poszedł przed nimi, wielki i wzpaniały, w długim, czerwonym płaszczu, a wszyscy poniżeni i gnębieni poszli za nim do innego, pięknego życia; za nimi zaś leżała straszna noc nad Sodomą: noc sądu.

I prowadził wszystkich uciśnionych do szczęścia i wesela: wszystkich tych, do których powiedział:

— Królestwo boże jest w was!

Absolutyzm pracodawców.

My jesteśmy chlebodawcami! my rozkazujemy! Komu się podoba, może sobie iść precz! Tak i gorzej jeszcze brzmią odpowiedzi przedsiębiorców, gdy robotnicy podnoszą swe żądanie równouprawnienia przy układaniu warunków pracy. W odpowiedziach tych przebija duch absolutyzmu, który dziś silnie jeszcze zakorzeniony jest u wszystkich wyzyskiwaczy ludzkiej siły roboczej.

A przecież ten faktyczny absolutyzm wynika z zupełnie fałszywego pojmowania istoty i znaczenia poszczególnego przedsiębiorstwa w obrębie ustroju kapitalistycznego. Bezkrytycznie zupełnie przenosi się tu na fabrykę prawne pojęcia o prywatnej własności. Podobnie jak właściciel surduta, lub wogóle jakiejkolwiek rzeczy zupełnie dowolnie może z nią postępować, tak samo — twierdzi się — i fabrykant może w swej własnej fabryce postępować i rządzić tak jak uznaje tylko za stosowne. I w tem właśnie leży cały błąd rozumowania. Zapewne, gdy uwzględni się tylko prawo własności, to właściciel jest jej nieograniczonym panem; skoro jednak weźmiemy pod uwagę społeczne znaczenie produkcji, to sprawa przedstawi się zupełnie inaczej.

Fabrykant zbudował fabrykę i całe jej urządzenie nie dla własnej przyjemności, nie dlatego, aby mieć tego rodzaju własność, lecz po to, by swój majątek powiększyć. Jako zaś producent towarów wkracza on w zakres całokształtu naszego życia ekonomicznego, w sferę interesów całego społeczeństwa. Już z tego samego wynika, że musi on tedy uwzględnić ogólne potrzeby społeczne. A to tembardziej, o ile poszczególne przedsiębiorstwo wytwarzania towarów możliwe jest tylko jako część całego kapitalistycznego aparatu gospodarczego. Wzajemne oddziaływanie pomiędzy potrzebami społecznemi a produkcją towarów jest tym głównym nerwem życiowym kapitalistycznego przedsiębiorstwa, bez którego pozostanie ono tylko zupełnie bierną własnością przedsiębiorcy, nie mogącą odpowiedzieć swojemu celowi i nie będącą w stanie przynieść zysku, przeciwnie, mogącą stać się tylko ciężarem dla swego właściciela.

Dawna, zupełnie w sobie zamknięta gospodarka domowa nie była zależną od innych gospodarstw. Wszystko prawie, co było potrzebnem do utrzymania rodziny i jej członków, wytwarzano w domu. Nie było towarów, były tylko przedmioty użytku. Gospodarstwo domowe samo dla siebie, niezależnie od innych, tworzyły cały ustrój gospodarczy. Zupełnie inaczej ma się rzecz z nowoczesnemi przedsiębiorstwami w produkcji towarów. Wszystkie one skazane są na cały ogół konsumentów. Ich podstawą, gwarancją ich egzystencji jest rynek światowy. Tysiączne nici, które tu zbiegają się i łączą się w jedną sieć o miljonach oczek, tworzą ożywczy system krwionośny kapitalistycznej produkcji towarów. A potrzeby społeczne napinają te nici do góry i od dołu. Bez konsumującego ogółu i bez współpracy różnych gałęzi produkcji pojedyńcze przedsiębiorstwo jest bezużyteczną rzeczą, jest zabawką dziecinną. Dopiero przez to, że wciągnięte zostanie w całokształt organizmu społecznego, nabiera znaczenia jako część całości i musi się liczyć z potrzebami tej całości.

O ile robotnicy wchodzą w rachubę jako producenci, przedsiębiorca stara się, wszystko wywrócić na opak. Nie interes społeczny, nie potrzeby konsumentów mają według niego rozstrzygać, nawet prawa udziału w tem rozstrzyganiu stara on się im odmówić. Przedsiębiorca, dumny ze swego stanowiska i ze swej przewagi gospodarczej, chce panować samowładnie i sam naznaczać dla robotników warunki produkcji, powodując się jedynie swym własnym, osobistym interesem. To że stanowisko takie pana nieograniczonego we własnej fabryce, a co za tem idzie odrzucanie organizacji zawodowej, jako tej, która ma wspólnie decydować o warunkach pracy, prowadzi często do zupełnej anarchji w przedsiębiorstwie i przynosi szkodę przedsiębiorcy — wspomnimy tylko mimochodem.

A sami jednak przedsiębiorcy, którzy chcą być despotami o ile rozchodzi się o ich społeczne obowiązki, którzy przedsiębiorstwo uważają za swą wyłączną własność nawet wtedy, gdy chce wejść w zakres interesów społecznych, natychmiast odwołują się do powagi państwa, to jest zorganizowanej władzy społeczeństwa, jeżeli nie mogą sobie sami dać rady z robotnikami i przeprowadzić swej absolutystycznej woli. Jeżeli robotnicy wzbraniają się oddać swą siłę roboczą na rozkaz przedsiębiorcy, ma wkroczyć społeczeństwo, któremu jednak odmawia się równocześnie prawa decydowania o warunkach pracy. Tego rodzaju postępowanie, nie licząc się z żadną logiką, ni konsekwencją, możliwem jest tylko w społeczeństwie, w którem kapitał opanował władzę państwową i zrobił z niej narzędzie w rękach wyzyskiwaczy.

Gdziekolwiek się spojrzy, wszędzie widzi się organy władzy państwowej po stronie przedsiębiorców przeciw robotnikom. Policja, opłacana z pieniędzy podatkowych całego społeczeństwa, pomaga organizować łamanie strejków, odgrywa rolę aniołów opiekuńczych łamistrejków i we wszelki możliwy sposób pomaga w prześladowaniach, groźbach i szykanach przeciw strejkującym. Na rozkaz przedsiębiorców policja pozbawia strejkujących nawet ich praw obywatelskich, a wszystko w tym celu tylko, by nie dopuścić do przełamania absolutyzmu fabrycznych despotów. Podobnie jak policja — i sprawiedliwość stała się dziś narzędziem w rękach wyzyskiwaczów. Drakońskie wyroki przeciw robotnikom, występującym przeciw interesom kapitału, stały się dziś zwycięstwem w całym świecie kapitalistycznym. W Anglji, w Niemczech, w Austrji ustawicznie jesteśmy świadkami, jak kapitalizm z wymiaru sprawiedliwości robi środek dla utrzymania swej absolutystycznej władzy.

Klasa robotnicza zaś może oczekiwać spełnienia swych życzeń i żądań ze strony państwa wtedy tylko, gdy ma siłę, jako czynnik polityczny wywrzeć odpowiedni wpływ. W miarę zaś, jak to się dzieje, przedsiębiorcy popadają w czasowe konflikty z władzą państwową i rozpoczynają natychmiast agitację, by nie dopuścić do najmniejszego ustępstwa wobec robotników. Robotnicy muszą więc ustawicznie stać na straży, nietylko by wpływem swym politycznym nie dopuścić do robienia z urządzeń społecznych środków do podtrzymania władzy przedsiębiorców, lecz również, by przełamać absolutyzm przedsiębiorców i zyskać sobie równouprawnienie przy ustanawianiu warunków pracy. To zaś uzyskać można tylko przez organizację zawodową. Im organizacja

ta jest większą i silniejszą tem więcej przedsiębiorca musi rezygnować ze stanowiska pana w fabryce i prawo decydowania o warunkach pracy musi podzielić z tą organicacją.

Rozmaitości

Jak się „bawią" fabrykanci łódzcy? (Gwałcenie nieletnich dziewcząt). „Nowa gazeta" donosi z Łodzi: „Policja śledcza wykryła przy ulicy Mikołajewskiej nr. 40 w cukierni Müllera dom rozpusty, gdzie schodzili się zamożni fabrykanci na grę w karty, a zarazem uprawiali rozpustę, ściągając w tym celu młode dziewczęta po lat 10—15. Orgie te odbywałe się w tylnych pokojach cukierni. Dziewczęta ściągano na czekoladę z ciastkami i tutaj stawały się one łupem bogatych rozpustników. Od jak dawna gnieździe się tam zaraza, od jak dawna o ściany jaskini odbijają się krzyki ofiar i ile stamtąd dziewcząt pchnięto w otchłanie nierządu, dziś jeszcze trudno ustalić.

Wykrycie tej nory zawdzięczać należy przypadkowi, a mianowicie jednemu z lowelasów jakaś dziewczynka zabrała portfel, grubo wypchany banknotami. Nie chcąc ponosić straty, zawiadomił policję, która niebawem znalazła portfel, a przy tej okazji wykryła jaskinię. Prócz tej nory wykryto podobną przy ulicy Piotrkowskiej, dokąd zwabiano dziewczęta przy pomocy rajfurki. Aresztowano kilku fabrykantów, których, po złożeniu wysokich kaucji, wypuszczono na wolność. Należeli do orgji tych włącznie fabrykanci niemcy i dwóch lekarzy, z których jeden polak".

„Kurjer Warszawski" uzupełnia te dane następującymi faktami: Śledztwo dało plon obfity, gdyż wykryto całą bandę szulerów i rozpustników, w liczbie około 30.

W piątek ubiegły aresztowano jednego z fabrykantów Józefa Müllera, właściciela cukierni, którego jednak za kaucją zwolniono z więzienia. Aresztowano ich z rozborządzenia sędziego śledczego do spraw szczególnej wagi, p. Rubcewa. Jak wykazują dane, ofiar rozpustników jest z górą 40, z których, jak informują, dwie dziewczynki rozchorowały się ciężko w jednym ze szpitalów łódzkich i życiu ich zagraża poważne niebezpieczenstwo.

Policja śledcza, dokonawszy szczegółowej rewizji lokalów rozpusty przy ulicy Mikołajewskiej nr. 32, wykryła przy okoliczności i inne domy i lokale prywatne, gdzie uprawiano rozpustę na szeroką skalę.

* * *

Echa odkrycia bieguna południowego. W rozmowie z dziennikarzami kapitan Amundsen, odkrywca bieguna południowego, oświadczył, iż na podstawie pewnych śladów, znalezionych po drodze do bieguna, przypuszcza, iż przed nim był tam już Scott. Na samym biegunie wprawdzie nie było żadnych śladów obecności ludzkiej, ale jeżeli Scott zbudował tam tylko domek z lodu i śniegu, więc nic dziwnego, iż Amundsen po swem przybyciu nie znalazł już nic. W każdym razie pobyt Scotta na biegunie nie jest stwierdzony i do chwili sprawdzenia przypuszczeń Amundsen uważa się za pierwszego człowieka, który był na biegunie. Według obliczeń biegun znajduje się na dosyć wysokiem płaskowzgórzu, wzniesionym na 3200 metrów nad powierzchnią morza. Ponieważ Amundsen, idąc na południe, zostawiał za sobą w pewnych odstępach zapasy żywności, więc w drodze powrotnej nie brakło ekspedycji pożywienia i podróż odbyto o wiele prędzej i wygodniej niż w stronę bieguna.

* * *

Nowe dziedziny wiedzy. (Odczyty dr. Ochorowicza). Potężny umysł ludzki przenika głębie wszechświata, wznosi się do gwiazd, czepia, się ich łańcuchów, by sięgnąć jeszcze wyżej i w niedostrzegalnych dla oka mgławicach odkryć nowe światy, nowe słońca. Ten sam umysł zwraca się do samego siebie i po opanowaniu zda się szczytów wiedzy — opanowuje go zdumienie: W stosunku do siebie samego czuje się bezradnym, jak mocarz, ulegający nałogom. Oto staje przed nami uczony badacz zjawisk psychofizycznych dr. Juljan Ochorowicz, aby, skoro dzisiejsza wiedza nie jest w stanie wyjaśnić nam niezbadane objawy, — przekonać nas jedynie, że na dnie zjawisk nadzmysłowych, oplątywanych często przez szalbierstwo, spoczywają przecież niewytłómaczone dotychczas naukowo siły, zbyt subtelne dla zmysłów naszych, dające jednak obrazy na czułych kliszach fotograficznych.

Przeźrocza demonstrowane przez dr. Ochorowicza stwierdzają, że organizm ludzki posiada właściwe sobie promieniowania. Istnienie świetlnych promieniowań jest znanym faktem w świecie zwierzęcem. Znane są nam świecące ryby, mięczaki i robaczki świętojańskie. Promienie ludzkie nie świecą, ale działają na kliszę, podobnie jak działają promienie Röntgena, jeno w większym jeszcze stopniu posiadają zdolność przenikania minerałow.

Znane działania mechaniczne, owe stukania, podnoszenia, zdarzające się na posiedzeniach spirytystycznych, o ile nie są wytworami fantazji, uczony psychofizyk tłomaczy działaniem pewnego rodzaju promieni, zwanych sztywnemi, uwidaczniającemi się na kliszy pod postacią wiązek linji prostych.

Niesłychanie ciekawe fakty, jakby odczepiań się od żywych organizmów ich eterycznych całokształtów, demonstrowane na kilku przeźroczach, wymykają się dotychczas od częstszych i ściślejszych doświadczeń, będąc z natury swojej bardzo trudnemi do wykonania. Wymagają one bardzo zdolnego medjum.

Wypadkom tym towarzyszy stan odrętwienia medjum, powodujący zaburzenia psychofizyczne.

Tylko istnienie wyjątkowych anormalnych natur umożliwia wogóle badania na tem polu. Tryumfy wiedzy, jak i każde inne wymagają wiele ofiar. A. B.

* * *

Krwawe posledzenie sądu. Z Nowego Jorku donoszą: Sąd okręgowy w Hillsville w stanie Wirginia był widownią niebywałego zajścia. Sędzia skazał niejakiego Lloyda Allena na rok więzienia. Bracia i przyjaciele skazanego oburzeni tem, dobyli swych rewolwerów (nieomal każdy mężczyzna w Wirginji nosi przy sobie rowolwer i ludność w Wirginji znaną jest z swej porywczości) i rozpoczęła się długotrwała strzelanina. Zabici zostali: sędzia, prokurator, szeryf i jeden z przysięgłych, a zranieni zostali inni przysięgli i kilkanaście osób z publiczności. Przysięgli również odpowiedzieli na ogień i zranili skazanego Allena. Po tym czynie winni zbiegli w góry.

* * *

Zmiana odzieży w Chinach. Konsulowie Stanów Zjednoczonych A. Północnej w doniesieniach ostatnich zaznaczają nadzwyczajne rozpowszechnienie wśród chińczyków odziezy europejskiej. Zamiana ta zaczęta się bynajmniej nie w csasach ostatnich, lecz trwa już dość dawno a wypadki ostatnie były w tym kierunku pobudką bardzo silną. W ciągu jednego tygodnia wślad za proklamacją republiki, w samym tylko Kantonie odcięto 35 000 warkoczy a to bezwłocznie pociągnęło za sobą zmianę odzieży. W Hongkongu magazyny kapeluszy momentalnie sprzedały cały zapas towaru i zwróciły się zagranicę z nowymi zamówieniami, dalej w wielkich ilościach zaczęto sprzedawać odzież, obuwie typu europejskiego i bieliznę.

W Chinach południowych panuje obecnie istotny głód czapek z powodu zupełnego braku europejskiego typu ubrania głowy średnich i gorszych gatunków. Wielu wpływowych chińczyków wypowiada się przeciw gwałtownej zmianie odzieży, ponieważ pociągnie to za sobą odpływ olbrzymich sum pieniężnych. W tym duchu zapadają nawet uchwały na zebraniach narodowych.

* * *

Sun-Jat-Sen wyjeżdża do Europy. Nowy rząd chiński wysyła do Europy słynnego twórcę republiki chińskiej, Sun Jat-Suna z misją przeprowadzenia ostatecznego uznania przez mocarstwa „Rzeczypospolitej Srodka"..

Sun-Jat-Sun zamierza odwiedzić wszystkie wielkie stolice europejskie. Celem jego podróży jest równiez zaciągnięcie wielkiej pożyczki dla Chin oraz utworzenie towarzystwa chińsko-francuskiego, w celach finansowo przemysłowych.

* * *

Pastor defraudantem. W Seebau w Saksonji zbiegł pastor Mohr, roztrwoniwszy 75 000 marek z funduszów kościelnych. Pozostawił on list, w którym pisze, że piniądze te stracił i że odbierze sobie życie, a gdyby mu odwagi zabrakło, to stawi się przed prokuratorem. Jak dotychczas nie natrafiono na ślad zbiegłego.

* * *

Dymisja kotów. Dopóki kolej warszawsko wiedeńska była własnością prywatną, trzymano w archwium i magazynach kolejowych kilkadziesiąt kotów, które wyłapywały myszy i szczury. W ten sposób chroniono papiery ważne i towary przed zniszczeniem. Na utrzymanie kotów znajdowała się w budżecie osobna suma. Obecnie po przejściu kolej na rząd, pozycję tę skreślono, koty otrzymały dymisję, wbrew pogłoskom, że zostaną tylko wydalone i zastąpione kotami z głębi Rosji.

* * *

Krwawe starcie. Na stacji Małogoszcz, koleji Herby-Kielce (w Królestwie), w poniedziałek w południe rozegrała się krwawa scena. Przed nadejściem pociągu miejscowy podoficer żandarmerji zwrócił uwagę na jakiegoś młodzieńca, który zachowaniem się swojem ujawniał pewne zdenerwowanie. Gdy oczekiwany pociąg nadszedł i młodzieniec rzucił się na peron, żandarm chciał go aresztować. Wówczas nieznajomy w oka mgnieniu dobył rewolweru i trzema strzałami położył żandarma trupem, poczem rzucił się do ucieczki wraz z trzema towarzyszami, którzy czuwali w pobliżu, wsi. Wywiązała się strzelanina, w czasie której jeden z uciekających został zabity i jeden ze strażników ciężko raniony.

* * *

Katastrofa automobilowa. Z Londynu donoszą, że w obozie wojskowym w Aldershof automobil lorda Cochrane najechał w pełnym biegu w nocy na oddział wojska, który pod dowództwem porucznika wykonywał nocno ćwiczenia. Porucznik i siedmiu żołnierzy odniosło śmiertelne poranienia, dziesięciu lżejsze. Wśród oddziału powstała straszliwa panika tak, że dopiero po dłuższej chwili ocaleni zajęli się ratunkiem ofiar.

* * *

Srodek przeciw cholerze. Z paryża donoszą że tunetański lekarz dr. Naame wynalazł środek przeciw cholerze, w skład którego wchodzi adrenalina. W dwudziestu wypadkach cholery uczony uzyskał zupełnie pomyślne wyniki. W Paryżu odbywają się obecnie próby z nowym środkiem.

Dymokrackie medykacje.

Kapitoł zaś górą, ale nie na samym wierchu.

W Anglji pono strejk słabnie, ale mo być nowe prawo o najmiyńszym mycie dlo górników, można i dlo inkszych robotników, a to sie tyż chwoli. W Galicyji tyż nieco lepszy przez strejk, ale kajindzij nie wiym jeszczy. Nad Rurą już je fertyk, terazki bydą strejkowały wszyjskie wysłane tam pikelhauby, a kręcijańskie werkferajny tyż strzelą służbą policyjno, kiej im wezną rewolwery, może nieskorzy bydą jino szpiclować kamrotów. Dolny Sląsk som tyż niewiela zrobi; podziwomy sie jino, co bydzie na Górnym Sląsku, czy dzikie strejki zamienią sie na rychtyczne, czy tyż połączone organizacje bydą czekały całe roki, aże je kapitalisty osmola jeszcze wiynkszy.

Terazki trza bydzie sie spamiętać na przepisy, wedle chtórych można żyć przy tej drożyźnie. Tak rząd miyni, iże nojlepszy środek na głód, tó policaje, siandary, wszelakie pikelhauby a szpicle, zeble, brauningi, rewolwery a maszyngwery i hołda wojoków s kosztami, zaś dlo Górnego Sląska policjo królesko. Izba Panów pado, iże nojlepszy je stan oblężynio; Puttkammer, iże wyższe myto dlo policajów tak kiej ostmarkenculagi, bo wtedy policaj wdycki umiołby pokazować, iże cosik robi. Ale tyn panoczek prawi na bzdury swojymu Najjośniejszymu, bo tyn padoł, iże niemczyzna, to wolność, a Puttkammer boi sie, iże ze wszyjskich strón czuje tryskanie wolności w góra i chce, coby rząd ta wolność spuczół siłą.

Lepszy je hauptmacher od werkferajnu Schiffer, bo pado, iże górnicy ambonują wszyjskie ber'zenblaty, to wiedzą dokumyntnie, ile wąglo i inkszych towarów posyłają Niymcy do Anglji, a kiej sie zwiedzieli, iże tegó je moc, to muszą gó nafedrować, a o myto bydą walczyć, kiej wszycko bydzie sprzedane. Wiync na głód je wedle niegó nojlepszy: doczkać, aże minie. Tak ciyrpiści tyż padają. A na Zachodzie wyszpekulowały władze niekiere, iże nojlepszy je posyłać dziecka o ćmoku do szkoły, bo w dzień muszą spać i nie widzą biydy przy świetle dziennym. Zaś prezes regirunku opolskiygó miyni pono, iże nie trza dziwać sie broni po sklepach. Inksi dalszy padają, iże nojlepszo je polityka.

Tak i krygry na Bor'zyku zaś wyciepli 20 członków za wybory. A terazki wszyjskie krygry do kupy rajcują, coby zrobić porządek ze swoim gienerałem, co jako narodowy liberoł na wiceprezydenta parlamyntu wybroł czerwonygó Scheidemana.

Pastor Mohr z Wobau poszoł za tymi, co padają: na drożyzna brać co sie do; zrobiół se tyż 50 tysiąców długu, 96 tysiąców zión na kust a obleczynie i bółby se pono tyż pojechoł za Amudsenem a Scottem na biegun południowy, ale gó chycili za forengla jeszczy we faterlandzie.

Za to w polityka nie bawią sie ani siandara ani amtowy w Małyj Dąbrówce, bo nie wiedzieli, kiej były wybory rozpisane, a można i nie wiedzieli, kiej były robione.

A terazki „Gazyta Robotniczo" pomstuje na lantrota, iże im tegó nie przyganiół, bo ón jino pado, iże to je prawie. Niech sie nasza gazyta nie dziwi. Toć Mało Dąbrówka je aże przy granicy ruskij, to sie te dwa panoczki od tej zarazy, co to pono wdycki idzie z samodzierczej Rusyji, nie uchroniły.

W Rusyji niyma ani telegrafów ani poczt rychtycznych, wszyjskie ukazy przychodzą na czas, kiej padają „strelat", „wieszat", ale inksze pakują do baraków cholerycznych, za to są intendantury i kasy dobroczynne, kaj stupajki bez strejku, jino gorliwą pracą mogą se poprawić zorobków.

Moc księżoszków centrowych zaś z kazalnic, a hnet pono i ze spowiednic, zrobiła budy jarmarczne, kaj straganiorz wykrzykuje: „Hier, majne herszaften!" Ten nowy „massenartikel", co gó polecają tónio a dobrze, to je ta nowo gazyta cyntrowo-niymiecko-polsko, co sie pisze „Tygodnik Katolicki". Dali mu piykny napis, ale czy to co pomoże tymu, co tam bydzie pisane, to sie wiy, iże nie. Ale tyż piykny obrozek namalowali przy tym napisie: po jednyj stronie klosztór w Panewniku a po drugiyj klosztór św. Anny. Ale zaboczyli namalować jeszczy kardynała Koppa z (nie-katolicko-)pruskim orderem a Kalwarjo w Niymieckich Piekarach z błogosławiącym tłumy ks. kanonikiem Zielonkoskim z kajdankami szwajcarskimi na rękach.

Gustlik Beskuryjo.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott z Zabrza.

Nr. 13. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 30 marca 1912.

ZA PRACĄ.

Z butami w ręku, boso, spieszył, co mu sił starczyło. Droga była falista, raz pnąca się w górę, to znów stromo spadająca w dół, wysypana świeżym ostrym szutrem, o który potykał się często i ranił swe bose nogi. Wczoraj słońce zachodziło, kiedy wychodził z T., a oto dziś znowu zapada za wielkim, ciemnym lasem — jednę noc i jeden dzień już tak szedł o głodzie i bez chwilki wypoczynku, lecz szedł wytrwale i cieszył się, iż z każdą godziną zbliża się do celu swej podróży. Od czasu do czasu wyjmował z kieszeni list i po raz setny może czytał go z radością. I po każdem przeczytaniu go uśmiechał się wesoło i nabierał nowych sił do dalszej męczącej podróży.

Treść listu była krótka, lecz dla niego bardzo wymowna:

„Przyjeżdżaj zaraz, miejsce jest!“.

Cieszył się. Nareszcie! Nareszcie! Skończą się te długie tygodnie przymusowego bezrobocia, tygodnie nędzy i głodu. Nareszcie zacznie pracować, będzie miał co jeść, będzie miał gdzie mieszkać, uwolni się od ciężkiego brzemienia trosk i wiecznego niepokoju o jutro. Czas też już był najwyższy po temu, bo sponiewierał się i podupadł bardzo. Ach! Dość już miał takiego życia.

Poczciwy Stach! Wszyscy o nim zapomnieli, nie poznawali go już więcej, na listy nie raczyli odpowiadać nawet, on jeden o nim pamiętał i wyszukał mu pracę. Dobre, uczciwe chłopisko.

Nie przyjedzie wprawdzie, bo nie ma nawet złamanego szelążka, ale przyjdzie, stawi się na czas. Toż dopiero się zadziwi, gdy mu powie, iż z T. przyszedł do K. piechotą w tak krótkiem czasie. Nie zechce zapewne wierzyć. On tego nie zwyczajny, piechotą za chlebem nie chodził, ale on!... O, on umie chodzić! Były czasy, że dziesiątki mil robił piechotą i przychodził do celu jakby nigdy nic; nigdy nie czuł skutków tych gwałtownych marszów. Ale naturalnie trzeba umieć chodzić. Albo i przy wojsku — nie darmo był uważany za doskonałego piechura...

Jak też teraz wygląda K.? Dawno w nim nie był. Zmienić się musiał — to pewne. Zobaczy go wreszcie, osiędzie w nim, pracować będzie! Hej!

Że też jemu dotąd nigdy się jakoś nie wiodło. Fatum jakieś nad nim zawisło. Koledzy jego, znajomi, chleb już dawno mają w rękach — a on? Bogiem a prawdą nie mógłby powiedzieć, że mu w dotychczasowem życiu było kiedy dobrze, Troski, bieda — nic więcej... A tu lata uciekają...

Droga podniosła się gwałtownie w górę, Stanął na chwilę i spoglądnął przed siebie z uczuciem rozpaczy.

Nie, doprawdy, co za okropna droga! Od samego T. nic, tylko z góry na dół, z dołu do góry. Odetchnął, potarł rękami łydki i począł się piąć w górę powoli, z coraz większym trudem. A gdy wreszcie znalazł się na szczycie, począł dygotać i dyszeć ciężko. Zmęczenie poczęło robić swoje. Żyły pod kolanami zaczęły mu tężeć, w łydkach uczuł nagle dotkliwy ból, całem ciałem począł wstrząsać dreszcz.

— Oj, źle! — mruknął. — Muszę odpocząć. Niedługo, kwadransik tylko... przecież już nie daleko., dwie mile tylko... zajść muszę...

Skręcił do przydrożnego rowu, położył się i wyciągnął nogi, które zaraz zdrętwiały mu jak kłody.

— Oj, źle — powtórzył.

Zamiast kwadransika leżał godzinę. Słońce już zaszło, noc poczęła zapadać.

Nagle usłyszał turkot wozu, jadącego w stronę K.

— Wóz! Poproszę, może mnie weźmie. — Opierając się na rękach, wstał powoli i czekał. Turkot stawał się bliższym i wyraźniejszym. Po chwili ukazał się wóz, w którym siedział chłop, sam jeden. Zresztą wóz był całkiem pusty.

— Pochwalony! Gospodarzu, zmęczony jestem okropnie, z daleka idę, podwieźcie mnie trochę, z łaski swojej...

— Eee, z łaski? Wio?

Podciął konie i pojechał dalej.

— Jedź i złam szyję! — krzyknął za nim ze złością. — A to ci kołtun!

Począł iść powolutku, krokiem drobnym, często stając i trąc kolana. Dreszcze wzmagały się, a do nich przyłączyło się uczucie głodu, niezaspokojonego prawie od dwóch dni.

Po dwustu krokach odpoczął znowu. Tym razem usiadł na kamieniu, łokcie oparł na kolanach, a na dłoniach głowę. Zmęczone powieki przymykały się zwolna.., ogarniało go uczucie zupełnej niemocy... myśli zaczęły się zaciemniać, plątać... Ujrzał przed sobą matkę, która coś do niego mówiła, lecz co, nie mógł zrozumieć. Potem przyszła młoda kobieta z odkrytą piersią, a za nią młody człowiek, który ją począł całować... całować...

W tem miejscu spadł z kamienia i obudził się.

Podniósł się i powlókł się dalej.

Odtąt co sto kroków siadał i odpoczywał i za każdym razem nawiedzały go różne widziadła.

— Nie dobrze — mruknął — gorączkuję.

Ogarnęła go apatja i nieprzeparta chęć snu i odpoczynku. Tak był osłabiony, że mała dziecina palcem jednym mogłaby go powalić na ziemię.

— Zresztą, jaki ja durny! — począł mówić do siebie. — Przecież mogę się trochę przespać... tak że dwie, trzy godziny... po północy wstanę i rano będę na miejscu... tak, tak... oj...

Na lewo od gościńca szarzały jakieś krzaki. Ku nim skierował swe kroki, wyszukał niezarosłe miejsce i rzucił się na nie. Za chwilę zesztywniał cały. Teraz mogły bić pioruny, mogł cały świat się walić — on nie wstałby — nie mógłby wstać.

I zaraz przyszła nań gorączka, a z nią przyszły męczące marzenia, zwykłe gorączkowe majaki. Na chwilę tylko odzyskał świadomość swego położenia, aby poskarżyć się samemu: „Biedny jestem... och, jaki biedny...“.

Rano znaleziono go nieprzytomnego i nieruchomego, z czarnemi od gorączki wargami. I tylko oddech chrapliwy wskazywał, że duch się w nim jeszcze plątał.

Fr. Piętak.

Czy kobiety mogą zwalczać alkoholizm?

Z żadnym wrogiem walka nie jest tak ciężką, jak z alkoholizmem. Piją wszyscy: inteligencja i robotnicy, panowie i chłopi. Jedni z nałogu, drudzy w przekonaniu, że alkohol wzmacnia siły, rozgrzewa albo chłodzi, zależnie od okoliczności. Kobiety na ogół piją mniej jak mężczyzni, zwłaszcza wódka niema między kobietami tyle zbytu, co między mężczyznami.

Jest jednak rzeczą naukowo dowiedzioną, że alkohol jest szkodliwy i nawet w małych ilościach stale spożywany odbija się źle na zdrowiu. Choroby wątroby, nerek, serca mają przeważnie początek w używaniu alkoholu. Także tuberkulosa (suchoty, lonzok) ma często za podłoże alkoholizm. Człowiek, który pije, zwyczajnie je niewiele, bo niema apetytu, organizm jest osłabiony i podatniejszy dla zarazków tuberkulicznych. Jeżeli jeszcze dodamy wszystkie choroby nerwowe, które przeważnie są następstwem alkoholizmu, to mamy obraz zniszczenia, jaki alkohol sieje.

Nietylko ci, co piją, cierpią, ale także ich niewinne potomstwo rodzi się dziedzicznie obciążone i skłonne do chorób fizycznych jak i duchowych.

Alkohol jest ojcem wszystkich zbrodni i występków; prawie 90 procent przestępców popełniło swoje czyny albo w stanie pijanym, albo podochoceni alkoholem. Na niektórych ludzi działa alkohol tak drażniąco, że dostają napadu ostrego szału, niszczą wszystko naokoło siebie, łamią i tłuką, co im pod rękę wpadnie.

Nic dziwnego, że partja socjalistyczna, ktora jest partją bojową, zmopilizowała wszystkie siły do walki z alkoholem, bo chcąc zwyciężać, należy być trzeźwym. Na wszystkich zjazdach, kongresach omawia się walkę z alkoholem jako ważny punkt porządku dziennego.

Jak się odnosi do alkoholu rząd i popierające go stronnictwa? Rząd, który czerpie z alkoholu ogromne dochody, jak i burżuazja produkująca alkohol, wyszydzają wprawdzie pijaków, udają, że alkohol zwalczają, w gruncie rzeczy nie chcą go wcale zwalczać.

Alkohol jest niezawodzącem źródłem dochodu, i ile razy potrzebuje rząd nowych pieniędzy, zawsze pierwszy pada ofiarą alkohol właśnie dlatego, że masowa konsumcja zapewnia miljonowe dochody.

Najbardziej odczuwają klęskę alkoholową bezsprzecznie kobiety. Całe szczęście rodzinne pada w ofierze alkoholowi, mąż-pijak jest największem nieszczęściem, jakie sobie można wyobrazić. Pożycie z takim człowiekiem jest rzeczą prawie niemożliwą a przykuta do niego kobieta jest męczennicą. Dzieci z takiego małżeństwa są chore, często idjotami, a wychowanie takich dzieci na ludzi pracy i obowązku bardzo trudne.

Skoro właśnie kobiety tak bardzo ciepią z powodu alkoholu, czyż nie powinny zwalczać go wszystkiemi siłami? Czy jednak kobiety zwalczają celowo alkoholizm, w pierwszym rzędzie już u dzieci?

Nietylko że tego nie robią, ale często nieświadomie wychowują na alkoholików. Matki dają małym chorym dzieciom wódkę dla wygrzania, sprowadzenia potów itd. Dają dzieciom piwo, chociaż dzieci nie chcą pić, bo jest gorzkie. Posyłają dzieci do szynków i sklepow po wódkę i piwo i dzieci są od maleńkiego świadkami spożywania alkoholu przy każdej sposobności. Czy można się dziwić, że gdy dorosną piją mało, później coraz więcej i stają się pijakami?

Dziecku należy od małego wpajać przekonanie, że alkohol to trucizna, że pić nie wolno i pokazywać pijaków jako odstraszające przykłady. Przy każdej sposobności należy dziecku tosamo powtarzać, a jest rzeczą wykluczoną, żeby w ten sposób nie można było przynajmniej w szeregach socjalistycznych osiągnąć pewnych rezultatów.

Ponieważ kobiety najbardziej cierpią z powodu alkoholu, powinny go bezwzględnie zwalczać. Przedewszystkiem samym nigdy nie pić, bo jeżeli chcemy u dzieci mieć zaufanie, to musimy im świecić przykładem. „Głos Kobiet".

Rozmaitości

Oszustwa spirytystów. W kołach spirytystów i okułtystów paryskich zawrzała burza: Najlepsze i najsławniejsze „medium", pani Demange, została zdemaskowana. Seanse pani Demange. na które uczęszczali tylko najznakomitsi spirytyści, odbywały się w podziemiach starożytnego kościoła św. Genowefy.

Niskie, ciemne, sklepione izby nadawały się jak najlepiej do tego zawierania stosunków z duchami zmaterjalizowanymi, to też na seansach działy się prawdziwe dziwy. Na seansie, który odbył się w zeszłym tygdniu, wywołano ducha Klodwiga.

Duch poruszał ciężkie ławy, stukał, rzucał różne przedmioty, zjawił się również w postaci świecącego cienia na tle sąsiedniej izby ciemnej, i na koniec zaczął dotykać obecnych. Ale to właśnie zgubiło „medium". Jeden z obecnych spostrzegł długą trzcinę z miękką gałką, osadzoną na końcu i złapał ją, a inny złapał... nogę pani Demange, manewrującą pod blatem stołu. Powstał ogromny hałas i zamieszanie. „Medium" wyparło się wszystkiego, więc zaproponowano seans sprawdzający. Pani Demange po długim oporze musiała się zgodzić. Posadzono ją na krześle i związano jej ręce i nogi. Wszystkie nogi od krzeseł i stołów określono dokoła kredą, ażeby sprawdzić przesuwanie się tych przedmiotów i rozpoczęto seans. Pani Demange drżała, dostała nawet konwulsji, ale pomimo wszystkich wysiłków, które trwały prawie godzinę, żaden duch się nie zjawił.

Po 20 minutach odpoczynku powtórzono próbę, również napróżno. Na drugi dzień p. Demange zniknęła ze swego wspaniałego mieszkania przy rue d'Auber i już nie pokazała się wcale.

* * *

Zuchwalstwo bandytów warszawskich. Jako przykład niebywałego rozzuchwalenia się bandytów warszawskich, „Kurjer Warszawski" podaje opis następującego zdarzenia: Znana artystka opery, p. Tracikiewiczówna, o godz. 1 w południe wyszła z zakładu gramofonów, gdzie otrzymała sumę 500 rubli za naśpiewanie kilku płyt. Pieniądze te p. T. schowała do dobrze zamkniętego woreczka. Na placu Teatralnym, w środku miasta, gdzie ruch bardzo ożywiony, p. T. zatrzymała się przed wystawą składu jubilerskiego Mankielewicza. W tej chwili zbliżył się do niej jakiś jegomość elegancko ubrany, odchylił palto i ze słowami: „otworzyć torebkę", błysnął jej przed oczami lufą rewolweru. Artystka, drżąc ze strachu, rozkaz spełniła, a nieznajomy, zabrawszy pieniądze, oddalił się szybko w kierunku ulicy Wierzbowej. I to wszystko działo się w biały dzień, w samym śródmieściu o 200 kroków od biura policji.

* * *

Wędrująca góra. Na cyplu góry Hochenseelbachkopf pod Giessen poczyniono w tych dniach ciekawe doświadczenia. Szczyt góry, składający się ze skał bazaltowych, spoczywał na miękkiem podłożu z węgla brunatnego i dlatego swym olbrzymim ciężarem zaczął się staczać po pochyłości górskiej. W pierwszych dniach góra obsuwała się tylko około 1 centymetr na godzinę, potem coraz prędzej, aż ruch jej doszedł do przeszło pół metra na godzinę. Cypl górski ześlizgnął się wreszcie do poziomu podgórza i całym swym ciężarem naparł na stojące u podnóża góry olbrzymie bazaltowe słupy skalne, wysokie na 80 metrów, które zostały złamane i runęły z ogromnym łoskotem.

Przestrzeń pokrywa rumowisko skał bazaltowych objętości około 50 000 metrów kubicznych, a wśród tego rumowiska góra wreszcie się zatrzymała.

* * *

„Domyślność" poczty niemieckiej. Dnia 19 grudnia zeszłego roku wysłany został przekaz pocztowy ze St. Paulo w Brazylji pod adresem: Redakcja „Gazety Opolskiej", Opole. Allemagne. Choć poczta wie niewątpliwie, że słowo „Allemagne" oznacza Niemcy, posłała przekaz przez Toruń do Opola w Królestwie Polskiem. Stamtąd odesłano przekaz do Ameryki z powrotem, gdzie dopiero adresat musiał dodać karteczkę z objaśnieniem, iż miasto Opole, po niemiecku Oppeln, znajduje się na Górnym Śląsku. W tych dniach nareszcie przekaz dostał się we właściwe ręce.

Dziwna rzecz — dodaje od siebie słusznie „Gazeta Opolska" — że poczta słynąca zresztą ze swej przebiegłości i domyślności, w tym razie nie dała sobie rady. Choćby już naprawdę nie mogła znaleźć Opola, to przecież w każdym urzędzie pocztowym wiadomem jest, gdzie wychodzi „Gazeta Opolska".

* * *

Koszary w śmietniku. W Bydgoszczy na podwórzu domu, w którym znajduje się zarząd garnizonowy, nie mogła służąca pewnego dnia otworzyć wieka od śmieci. Przywołano więc domowego, który musiał wieko odśrubować. Jakież było jednak zdziwienie, gdy po odśrubowaniu wieka spostrzeżono w pudle żołnierza, piechura z 14 pułku. Podobno wskutek złego obchodzenia się z nim uciekł biedak z pułku i schował się do pudła. Odstawiono go do lazaretu, ponieważ z wycieńczenia prawie mówić nie mógł.

* * *

Największym dworcem na świecie ma być co dopiero ukończony dworzec kolejowy w Lipsku. Wybudowano go kosztem 5 miljonów marek. Z ruchu, jaki tam panuje, można mieć jakie takie wyobrażenie, jeżeli się zważy, że przybywa tam codziennie 300 tysięcy a więc przeszło ćwierć miljona paczek. Same wagony pocztowe, które przywożą i odwożą codziennie olbrzymią ilość paczek, stworzyłyby pociąg o długości 5 kilometrów.

* * *

Polowanie na dziewczęta w Łodzi. Prasa warszawka donosi z Łodzi:

W sobotę, około godziny 9 zrana, uczennica 6 klasy szkoły handlowej p. Siennickiej, idąc na lekcję, zatrzymała się na rogu ul. Andrzeja i Piotrkowskiej, gdzie czekała na tramwaj.

W tej właśnie chwili do przystanku tramwajowego podjechał duży samochód, w którym siedział mężczyzna z starszą, wytwornie ubraną kobietą. Owa kobieta zbliżyła się do dziewczęcia, mówiąc, że jest wysłana przez przełożoną, która zapomniała poprzedniego dnia uprzedzić uczennice o nabożeństwie, jakie miało być odprawione przed lekcjami. Nieznajoma przyjechała samochodem, aby zabrać do kościoła spotkane po drodze uczennice.

Instynktownie, przeczuwając coś niedobrego, panienka pobiegła do pobliskiej i pustej o tej porze cukierni Lardellego. Ale i tam udała się za nią nieznajoma, proponując dziewczęciu czekoladę, ciastka, bilety do teatru.

Gdy uczennica odrzuciła te propozycje i wyszła na ulicę, zbliżył się do niej towarzyszący nieznajomej mężczyzna, usiłując skłonić pensjonarkę, aby wsiadła do samochodu. Dziewczę coraz bardziej przyśpieszało kroku, aby ujść swoim prześladowcom, którzy opuścili ją dopiero na rogu ul. Ewangelickiej i Piotrkowskiej, mówiąc: „To ci nie pomoże, i tak wpadniesz w nasze ręce".

Zawiadomiona o tem zajściu przełożona szkoły wniosła zażalenie do policmajstra Łodzi, który nakazał przeprowadzić śledztwo.

Jednocześnie, wskutek skarg kilku innych przełożonych, wydano policjantom posterunkowym polecenie, aby na pierwsze żądanie aresztowali mężczyzn, napastujących na ulicy idące do szkoły dziewczęta.

Od siebie dodamy, iż tego rodzaju czelność — jak uwijanie się po mieście w biały dzień samochodami i karetami, celem uprowadzania nieletnych dziewcząt — byłaby niemożliwą, gdyby policja nie była przekupioną: umiałaby bowiem odszukać „tajemnicze" ekwipaże i dojść, kim są winni. Ci jednak są widocznie, pewni bezkarności, mogą paradować samochodami, a policmajster walczy z nimi... papierowemi instrukcjami.

* * *

Miljoner oprawca. Sąd okręgowy w Baku skazał Tagijewa, miljonera tamtejszego, króla naftowego, na dwa i pół roku rot aresztanckich za znęcanie się nad inżynierem Bebutowem, który miał nastawać na jego żonę.

O procesie tym prasa rosyjska, z wyjątkiem „Russkoje Słowo" podawała wzmianki krótkie. A „Birż. Wied.", drukując streszczenie aktu oskarżenia, pisały, że „okoliczności sprawy niniejszej wychodzą poza ramy aktu oskarżenia", że „wielu rzeczy o tej sprawie nie możemy dotykać".

Kto był Tagijew?

Pięćdziesiąt lat temu ów „król giełdy bakińskiej", miljoner, honorowy sędzia pokoju, rzeczywisty radca stanu, nosił na swoim grzbiecie kamienie i wodę jako prosty robotnik (ambał).

Obecnie posiada własną fabrykę, bank, teatr, flotę handlową, dziennik i — nawet więzienie, za którego ofiarowanie rządowi otrzymał urząd rzeczywistego radcy stanu. Na półwyspie Surachańskim drżało przed nim wszystko, wszyscy uginali się przed jego wolą, wykonywało jego zachcianki.

„Birż. Wied." twierdzą, że przyczyną jego wydźwignięcia się z roli prostego robotnika do tylu bogactw była kobieta, jakaś kupcowa, która go wzięła do swego sklepu. Później Tagijew zawładnął ziemią naftonośną w Bibi-Ej-Bacie, którą sprzedał za olbrzymią sumę firmie angielskiej „Oleum" — no i wkrótce został dyrektorem giełdy miejscowej, tytanem finansowym, który z zimną krwią zastawiał sidła na mniejsze i większe przedsiębiorstwa, nabywając je za bezcen.

Szukając popularności, Tagijew stworzył pierwsze na Kaukazie progimnazjum żeńskie, dawał pieniądze na cele dobroczynne, wreszcie — ofiarował rządowi sześciopiętrowe więzienie.

„Birż. Wied." zaznaczają, że „ostatnią ćwierć wieku ubiegłego i początek wieku obecnego mieszkańcy Baku mogą bez przesady nazwać epoką hegemonji Tagijewa, który panował tam na wszystkich polach pracy, przemysłu, handlu i gospodarki miejskiej. Tagijew wszędzie miał posłuszne swojej woli narzędzia: radcami miejskimi z ludności tatarskiej zostawali wyłącznie „ludzie Tagijewa". To samo bywało na giełdzie, w bankach, w większych przedsiębiorstwach prywatnych. Wszędzie... dosłownie wszędzie Tagijew miał „swoich ludzi".

Inżynier Bebutow pochodzi z rodziny chanów szuszyńskich. Przez lat 8 piastował urząd głównego dyrektora mechanicznego oddziału wszystkich jego przedsiębiorstw.

I pewnego razu, dnia 28 maja 1911, Tagijew zwabił Bebutowa do swego mieszkania pod pozorem czynienia tam jakichś pomiarów i zaprowadził go aż do swojej sypialni. Tam na niego krzyknął:

— Bijcie go!

Na to rzucili się na inżyniera ludzie, którzy wyszli z sąsiedniego pokoju i za nim: rotmistrz sztabowy Mamedbekow, Mamed Riza Tagijew i Mechti Dżafarow, Hasan Aga Hasanow, syn Tagijewa Sadych i książę perski Mansur chwycili go za ręce i zaczęli bić pięściami po twarzy i po całem ciele, aż Bebutow upadł i stracił przytomność. Gdy się ocknął, wiązano mu ręce, poczem bili go, kopali i pluli mu w twarz.

Bebutow na kolanach ich błagał, aby się nad nim nie znęcali, żeby choć powiedzieli, za co go to spotyka.

Na to Tagijew odpowiedział mu: za to, że ściga żonę Tagijewa swoją miłością. Bebutow odparł, że nieprawda, to czyjaś intryga.

Jeszcze ktoś ostrogą rozciął podbródek torturowanemu, poczem Tagijew wezwał żonę swoją i żonę Bebutowa, (którą w tym celu zaprosił do siebie), żeby przyszły do sypialni, ma tam rzecz ciekawą im pokazać.

Obydwie kobiety weszły — i żona Bebutowa dostała histerycznego płaczu, poczem uprowadziła ją żona Tagijewa.

Według świadectwa Hasenbeka Mamedbakow pokazał świadkowi kół zaostrzony, mówiąc, że „tu ma nastąpić maleńka operacja", świadek uprosił Tagijewa, żeby nie robiono tej tortury...

W sądzie świadkowie ccfali swoje zeznania. Jeden z nich powiedział otwarcie, że się boi. W Baku tak łatwo nająć kogoś za 50 rubli, żeby zabił, a potem wyprawić go do Persji...

Żona Tagijewa zeznawała, że Bebutow istotnie „ścigał ją miłością".

Tagijew zaprzeczał wszystkiemu, ale żona Bebutowa raz jeszcze kategorycznie wszystko potwierdziła.

Wyrok wiadomy, 2 i pół roku rot aresztanckich dla Tagijewa, 2 dla wspólników jego zbrodni.

* * *

Olbrzymi pożar w Tokio. Dzielnica miasta Tokio, w Japonji, która zaledwie przed 3 miesiącami stała się pastwą płomieni, znowu została nawiedzioną olbrzymim pożarem. Spaliło się około 700 domów mieszkalnych i wiele domów towarowych. (W Japonji budują przeważnie lekkie, gustowne domy drewiane. — Z powodu silnego wiatru pożar przeniósł się niebawem na drugą dzielnicę, Tuka Gawa, której również grozi całkowita zagłada.

* * *

Burze i powodzie we Francji. W całej Francji od 14 dni panują burze, połączone z deszczami, które wyrządziły już ogromne szkody. Woda, roztaczająca się na rolach, spłókała zasiewy zimowe. Ukazujące się już na roślinach pączki i młoda zieleń z powodu zimna zostały zniszczone. Rzeki wystąpiły z brzegów i zalały niżej położone części różnych miast, przedmieść i wsi. Szkody pod tym względem doznały zwłaszcza miasta Motpellier i Limoges, mosty zostały przez wodę zerwane i zapadło się wiele domów, wskutek czego daje się dotkliwie we znaki także brak mieszkań.

* * *

Proces o masowe zatrucia. W Berlinie rozpoczęły się przed dziesiątą izbą karną I sądu ziemiańskiego rozprawy przeciwko drogerzyście Scharmachowi i podróżującemu i fabrykantowi esencji Zastrosowi, podróżującemu Meyerowi i oberzystom Radomskiemu i Dahlowi, oskarżonym o oszustwa, względnie spowodowanie śmierci w przytulisku berlińskiem, przez fabrykowanie i sprzedawanie im t. zw. alkoholu metylowego, który jest trucizną. Przesłuchaniu licznych świadków dalsze rozprawy na wniosek obrońców odroczono do piątku, aby oskarżeni w tym czasie mogli dostarczyć dowodów na swoją obronę.

* * *

Trzęsienie ziemi na Kephalonji. Na wyspie Kefalonja w morzu egejskim nastąpiły liczne trzęsienia ziemi, które wyrządziły wielkie szkody. Pomiędzy ludnością wybuchł popłoch. Bliższych szczegółów brak na razie.

* * *

Wypadek na morzu. Szalupa francuskiego okrętu szkolnego dla kadetów rozbiła się u wysp Hygieres. Z 12 znajdujących się na pokładzie kadetów utonęło dwóch, a stan innych jest bardzo poważny.

Dymokrackie medykacje.

Już nie można zdzierżyć dalsze.

S tym postem? — spytosz sie. — Toć s tym postem, ale s tym, o chtórym pado Mickiewicz: ...Wielki Post — niewola! Bo niewolnictwo je zniesione, ale niewola je wdycki wszędy, a w Prusach mo swoja nojwiynkszo kwatyra.

Niewolnika katowoł jino dozórca, ale mu jeść dowoł, bo kiejby niewolnik zmar ból z głodu, toby panoczek musioł ból kupić nowygó.

Niewolnygó katuje i dozórca i nadzórca i panoczek o beleco, jeszczy gó oszydzą; katuje i farorzyk, kiej s kartkami wyborczymi stoi, katuje i siandara i policaj i włosno baba w chaupie, bo jij ksiynżoszek pałeta zaciymniół jasnością niebieską; i dziecka tyż ojca katują, bo szkoła prusko i ostmarkenculagi zaszczepiają im bałwochwalstwo ku ónyj „puppenallee" w Berlinie a ku pikielhaubie, a nie czworte przykozanie Boskie; katują i kamracio a grożą rewolwerem, kiej upomino sie o lepszy zorobek dlo siebie a dlo nich tyż; a kiej z jankoru idzie do szynku zaloć chroboka, jeszczy go tam chyci szynkorz za pieniądze a zaś za kraglik i wyciepnie. A zorobki? — z głodu zdychać.

W Anglji tak nie katują, bo robotnik tam je światlejszy, ale taki zorobek, coby móg żyć ś niegó, musioł se dopiyro górnik wywalczyć przez strejk; kapitalisty sami nie dali gó z włosnyj woli ani skisz strejku, jino musiało być takie prawo zrobione ekstra. Ale zaboczyli w tym prawie o sztrafparagrafach, to można i niewiele pomoże, bo panoczki bydą tymu rzyć. W kasach strejkowych kiejby wymiół, to i nijak tam patrzyć swegó.

Mogliby górnicy całego świata dopomóc braciom angielskim a sobie tyż, ale niyma tyj zgody ani tych piyniyndzy, co ich trza ku tymu. Poprawiyło sie tyż wszędy nieco, to i chęci niyma do walki. W Ameryce, kaj górnikowi gorsze od maszyny, bo ta oleją a szanują, coby nie pukła, a o bezpieczeństwo górnika nijako nie dbają, bydzie strejk na Apryla. A w Niemczech?

Bół strejk, ale niezorganizowani, a wiynkszy zorganizowane łamistrejki żółtych a nojwiynkszy werkferajn kręcijański gó zepsuły; wściekłość stróżów bezpieczeństwa tyż zrobiła swoje, a sprawiedliwości tyż sie zwyrtnyła lampa do ruły. A iże panoczki uprowiali teror, to sie tyż wiy, ale to nic nowygó, bo tak robią wdycki.

Co powiy Górny Śląsk? Dzikie strejki zawieszone, konferencjo wszyjskich organizacji górniczych mo pomedykować nad odpowiedziami grub, chtórych nie bydzie, a zaś pedzieć: „strejk!" albo „robić"! Jo ta nie wiym, co uchwolą, ale kiej tam cyntrowe związki bydą tyż oddować głosy, to może być rostmaicie i zaś nie bydzie jedności. A iże w czasie strejku kapitalisty ziyniby rusinów na hajerów, bo policaj górniczo je wiynkszo od ustaw i na wszycko pozwolo, to już wiymy tyż.

Kiejby nie te strejki, toby nic nie bóło na świecie nowygó; jino jeszczy w Chinach nieco rewolucji a w Trypolisie jeszczy wojna, a w Meksyku bez rewolucji żyć nie można. A to nic nowygo, iże zaś polińdra wywaliła drzwi siykiyrą, coby wtargnąć bezprawnie na zebranie polskie w kółku zamkniętem, albo, se zaś rozkurzyła pora zebrań polskich, bo nie proszono jij o pozwolenie, chtórygo wedle prawa nie potrza. Uwiadomiynie a prośba o pozwolynie to przeca co inkszygó. Alech już pedzioł: tak dalsze nie można s tą niewolą. Ale co? Kiej wszyjscy całują siandarom ostrogi a policajom galoty, to te stupajki muszą miynić, iże obywatele powinni snosić im ofiary ze swoich pra w obywatelskich.

Za to óni na takich panoczków, co uciykają z kradzionymi piyniędzmi, są łaskawsi. Zielonkowskiygo wypuścli do Szwajcarji; tam jeszczy niymo różańców żelaznych na swoich rękach, ale za to posyło listy a „sprostowania" do pism centrowych.

Gustlik Beskuryjo.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott z Zabrza.

Nr. 14. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 6 kwietnia 1912.

CHRYSTUS ZMARTWYCHWSTAŁ.

Już stracił rachubę dni. Były one bowiem tak zdumiewająco do siebie podobne, tak się wzajemnie niczem nie różniły, że wreszcie stały się dlań jednym długim sznurem wlokących się wolno świtów i zachodów.

Wiedział jeno, że przybliża się wiosna. Bo na zmianę szarym, ponurym blaskom ukrytego gdzieś za zwałem chmur słońca, szły weselsze, jakby żywsze, snopy świetliste, kładące się jasnemi, migotliwemi plamami na smołą oblepione ściany celi, na brudną kamienną podłogę i bielony, pajęczyną zasnuty sufit. I wraz z tymi słabymi promieniami słońca wiosennego, lękliwie, ostrożnie i skąpo przedzierającymi się poprzez żelazne zardzewiałe kraty, skądsiś, z krynicy jakiejś nieznanej i tajemniczej, sączyło się zwolna w duszę jego cienkim strumieniem balsamiczne ciepło bladej nadziei radosnej, stapiającej niespostrzeżenie lodową powłokę stępiałej niewiary i zwątpienia.

A tak już o wszystkiem zapomniał, a tak już stargał wszystkie nici, łączące go ze światem żywym i burzliwym, jakby już za życia legł do grobu, z którego żadna siła dźwignąć go nie może. Myśl o nieuniknionej śmierci, śmierci strasznej, męczeńskiej, wżarła się już w najtajniejsze zakątki jego mózgu, zawładnęła sercem, chłodem swym zmroziła świadomość i czucie. Wiedział, że musi umrzeć, że zawisł już mu nad głową miecz, który lada dzień, lada chwila opadnie i jednym ciosem zdruzgocze mu czaszkę, i pojmował, że niema już mocy, która zdoła miecz ten wstrzymać. W piersi wchłonął już tchnienie śmierci, żył niem i oddychał. Zaginęła gdzieś groza, umilkł lęk, okropność tego, co stać się miało, przyczaiła się gdzieś w ukryciu, skuliła i zamarła. Ciężki, dławiący całun legł na myśli jego. Stały się one jakoś niepotrzebne i obce, niezależne od woli jego, postradały nad nim władzę. Myślał, bo miał mózg, krwią jeszcze tętniący, czuł — bo drgały w nim jeszcze sploty nerwów.

A gdy go obudzono dnia tego o świcie — w celi było jasno, słonecznie i radośnie. Czuł, jak obejmuje go ciepło blasków słonecznych, które czepiają się włosów jego, pieszczą czoło całują wargi i oczy. Dał się jednak bez oporu związać, choć wiedział, że coś z nim czynią złego, coś, czemu dalekiem, obcem i wrogiem jest to słońce wiosenne, i to niebo sine, pogodne, spoglądające ciekawie w okno celi. Gdy pozostawili go samego z myślą o tem, że musi za chwil kilka umrzeć, odejść ze świata na zawsze, pozostał na krótko nieruchomy w oszołomieniu bezradnem, a potem, z oczyma, wzniesionemi ku górze, podszedł do okna.

Długo sbogląd ał na strzęp sinego nieba, widnego mu przez kraty i jakieś ciche, smętne wspomnienia o dniach, dawno minonych, o życiu młodem i wolnem, objęły jego myśli.

Niby korowód długi, nieskończony toczyły się przed nim sny dawne, marzenia promienne i szczęśliwe. Ściskało się serce, a duszę ból wypełniał i błogość nieznana.

To było tak dawno... Umiłowania wielkie, wizje czynów bohaterskich, pragnienia mocarne, a potem walka zgiełkliwa i krwawa...

To było tak dawno... A oto teraz powstało przed nim, niby ostatni obrachunek z tego, czem żył, co myślał i co czynił...

Poprzez otwarte okno do celi wpadł łagodny, ciepły zefirek. Musnął czoło jego, igrał z włosami, wił się po twarzy i zdał mu się szeptać śpiew jakiś, zasłyszany wśród pól i lasów, mórz i gór...

Było cicho zupełnie... Więzienie całe jeszcze spało... Jeńcy niepewni jutra, przesypiali ostatnie swe, może godziny... Powoli, lecz ciągle i bezustannie sączyły się w dnszę jego oderwane, podarte, zszarpane strzępy myśli jego i uczuć. I równie powoli składały się, stapiały w jedną nierozłączną, harmonijną całość, wyrastały, niby sturamienny kwiat, wonny, cudny, czysty...

Skrępowane sznurami ramiona pragnęły rozewrzeć się szeroko, objąć w jeden uścisk serdeczny tych wszystkich, ktorzy tacy, jak i on byli niewolni, uciskani i nędzni. Usta chciały rzucić krzyk pożegnania, wyznanie wiary i łagodne słowa przebaczenia.

Na kurytarzu rozległy się kroki, stawały się coraz głośniejsze i bliższe. Czuł, że z nimi zbliża się śmierć jego. Jeszcze jeden wysiłek myśli, jeszcze jedno głośniejsze uderzenie serca, jeszcze chwila zmagania się duszy. A potem, niby objawienie, stanęło przed nim całe życie jego...

Miłością żył — przez miłość umiera...

Kroki umilkły pod samemi drzwiami. Rozległy się czyjeś głosy. Nasłuchiwał. Chciał usłyszeć jeszcze dźwięk mowy ludzkiej, chciał wchłonąć w siebie treść jakiejś troski człowieczej.

I do uszu jego dobiegły zrazu ciche szeptania, a potem przez kilka ust kolejno powtarzane słowa:

— Chrystus zmartwychwstał! Chrystus zmartwychwstał!...

A po nich rozbrzmiały głośne dźwięki pocałunków.

Zawarczał klucz w zardzewiałym zamku i do celi z groźnemi twarzami weszli po niego ci, co przed chwilą w radości bezmiernej powtarzali sobie wzajem szczęśliwą wieść o Zmartwychwstaniu...

Em. Es.

J. LORENZ.

ZABÓJSTWO.

(Zdarzenie prawdziwe.)

Zastukał wieczorem przed zamknięciem biura i wszedł cicho z kartką w ręku, na której zanotował rodzaj poszukiwanej pracy.

Był to człowiek niskiego wzrostu około czterdziestu pięciu lat liczący, o małych niebieskich oczach i miłym wyrazie twarzy. Mówił narzeczem saskiem.

Z zawodu giser, od trzech tygodni poszukiwał pracy. Przypadkowo mogłem mu wskazać zajęcie, na które się natychmiast zgodził.

W paszporcie zapisano mu „karany".

Zaciekawił mnie ten wypadek.

— Pan karany? — zapytałem.

— Tak. Pięć lat za zabójstwo.

Wyrzekł to z takim spokojem, jak gdyby zwykłą powszednią wiadomość podawał.

— Za zabójstwo? — jak się to stało?

— Jaknajprościej. Może Pan tego nie pojmie — zabiłem go jak psa.

I znów ten ton bezbarwny, spokojny, jakgdyby zabójstwo należało do jego codziennych zajęć. Widocznie zauważył, iż przykro mi było o tej porze samemu z nim w biurze przestawać.

— Niech się Pan nie obawia — rzekł — ja nawet robaczka skrzywdzić nie potrafię, nikomu jeszcze krzywdy nie zrobiłem — tylko jednemu.

— Sześć tygodni byłem bez zajęcia. W fabryce kawał żelaza ugodził mnie w pierś raniąc ciężko. Dziesięć tygodni leżałem w szpitalu — wypuścili mnie wśród srogiej zimy. Oj co to za nędza była! Osłabłem silnie — to też nikt nie chciał do pracy nająć. Grosze się skończyły — a skąd tu wziąść na chleb. Zebraninę niech djabli wezmą — człowiek na psy zeszedł i tyla. Cóż tu począć — chciałbyś być coś dobrego, a musisz na psy zejść. Człek myśli jak to niegdyś lepiej było i martwi się. Uda się raz parę groszy wyżebrać, trochę się podreperujesz aż tu znów dni kilka nie masz za co chleba kupić. I tak w nędzy szukasz pracy bez końca. Ktoś bąknie, że jest robota, lecę do fabryki pełen nadziei: da Bóg jutro znów stanę do pracy i wyjdę z tego gałgaństwa. Przychodzę — wrzasną tylko jak na psa, albo i nic nie powiedzą i stoisz daremnie. I tak idą tygodnie. A tu człowiek nawpół chory, przemoknięty, zmarznięty, radby wleźć w jaką myszą dziurę w gospodzie, byle na parę godzin o swej nędzy zapomnieć.

A głód trawi. Jałmużną żołądka nie wyżywisz — kruczy bo głodny. Na dworze śnieg sypie, broczą po kostki i nie wiem, czy iść dalej czy tu ledz poprostu.

Mój Boże! jak tu nie być gałganem, nie kraść, gdzie się da.

Tak i wtedy było. Szósty tydzień w takiej nędzy. Od siódmej rano łazłem po ulicy. Łachy przemokły do dna, z czapki woda się sączy i spływa po czole i twarzy. Byłem wprost wściekły. Przeklinałem żebraczkę zbierającą drzewo wśród śniegu, zaciskałem pięście na widok przemykających sanek bogacza. Ogarnęła mnie bezgraniczna złość na ludzkość całą, co z człeka skórę łupi a gdy zedrze co się da, to głódź się gałganie. I to wszystko się pokrywa okruchami miłosierdzia.

Niebo ciążyło nad głową, ledwie wlokły mnie jeszcze skostniałe nogi, a woda przy każdym kroku w bucie jak w bagnie pluskała, jeden tylko łachman pokrywał zziębnięte ciało. — Tu legnę — pomyślałem — może kto przyjdzie zabierze gdzie pod dach. Wśród tych rozmyślań spostrzegłem zdala dymiący komin. Dodało mi to odwagi, pobiegłem dalej. Była to gisernia, jak słusznie przewidywałem.

Gisera nie potrzebowali, tylko pomocnika. Trudno — w takiej nędzy niema wyboru, choćbyś znał swój fach jaknajlepiej musisz brać co dają. Miałem kiedyś towarzysza obrotnika z zawodu. Najlepiej czuł się przy warsztacie. „Wolę nędzę niż nie swoją pracę" mawiał nieraz. I ten biedak potem przy budowie kanałów musiał po kolana w wodzie broczyć.

I tak pełen nadziei zabrałem się zaraz do roboty.

Ale jakże osłabłem podczas tej podłej choroby i sześciotygodniowej głodówki. Nie traciłem jednak otuchy — byleby co porządnego zjeść myślę, to człowiek znów siły nabierze — trzeba zaraz matce napisać, że znów jest robota, że się nędza skończyła. Może się wkrótce i dla gisera miejsce znajdzie...

W tem wszedł dozorca. Parę chwil mi się przyglądał a gdy spostrzegł jakim słaby, zaczął rękoma wymachiwać i wskazując na mnie wrzeszczał swym ochrypłym głosem: „A tego włóczęgę kto znów najął, toć on i szczypty prochu nie wart, wont mi stąd zaraz! Tu niema schroniska dla włóczęgów".

Stałem jakby piorunem rażony. Znów wszystko stracone. Czekająca mnie nędza zajrzała mi znów w oczy. Czułem tylko bezgraniczną wściekłość, stokroć straszniejszą jeszcze aniżeli wśród dzisiejszej rannej wędrówki po mrozie i śniegu. Nie wiem co się ze mną działo. Przed sobą widziałem tylko jak przez mgłę zielonkawą twarz dozorcy przeklinającego wciąż jeszcze. Wtedy schwyciłem ciężki drąg żelazny i zebrawszy resztkę sił z okrzykiem wściekłości ugodziłem dozorcę. Głuchy trzask — dozorca padł — z rany sączyła się krew strumieniem, wrzask, bieganina dokoła. Stałem spokojnie, między nami leżał drąg żelazny. Schwycili mnie, uprowadzili. Szedłem jak we śnie, przed oczyma wszystko mi wirowało niby płatki śniegu wśród zawiei.

Jeden tylko utkwił mi w pamięci. Stał obok trupa i palcem nie tknął, spojrzał tylko na mnie z uśmiechem jak gdyby chciał powiedzieć „nareszcie, nareszcie".

Przysądzili mi pięć lat. Ale niech mi pan wierzy, że ja muchy nie skrzywdzę — aleć wszak i taki nędzarz człowiek.

Podał mi swą wychudłą rękę która śmiertelny cios zadała.

Uścisnąłem ją serdecznie.

Jak żyje się na biegunie?

Dzienniki londyńskie podają obszerne sprawozdania z rozmowy przedstawiciela prasy angielskiej z Amundsenem w m. Hobart Town, w Tasmanji.

Odkrywca bieguna południowego oświadcza, że nie jest niemożliwem, aby kapitan Scott dotarł był przed nim do bieguna. Być może, iż wichry i burze zatarły ślady po nim. To jednak, co widział Amundsen na biegunie, zdaje się zaprzeczać temu prawdopodobieństwu.

Dalej opowiada Amundsen ciekawe szczegóły o szybkości jazdy swej pod biegun. Przebywano po 15 mil angielskich w przeciągu 6 godzin, poczem zatrzymywano się, pożywiano, karmiono psy, robiono obserwacje astronomiczne, załatwiano inne prace, cotrwało razem dwie godziny, sześć godzin poświęcono spaniu, poczem następował znów marsz sześciogodzinny. W ten sposób zdołano w drodze powrotnej przebywać dziennie średnio po 20 mil angielskich.

Największe trudności miała wyprawa przy przekraczaniu łańcuchów górskich, okrytych lodem i sięgających w niektórych miejscach 16 750 stóp (5 300 metrów wysokości.

Płaskowzgórze, na którem znajduje się biegun, rozpościera się na wysokości 3 360 metrów wnad powierzchnią morza i pozbawione jest wszelkich śladów życia zwierzęcego lub roślinnego. Panuje tu martwota i cisza niezmierna, a zimne, blade słońce oświetla promieniami jaskrawemi śniegi bezgraniczne.

Wyprawa nie odczuwała wcale podczas podróży braku pożywienia, jakkolwiek w strefie tej mrozów wiecznych, człowiek spożywa bez porównania więcej niż w strefach umiarkowanych. I psy otrzymywały jedzenia ile tylko chziały. Bardzo smacznem znalazł Amundsen psie mięso. Po przekroczeniu 85 stopni szerokości północnej, musiała wyprawa zabić 25 psów. Wszystkie niemal były bardzo tłuste, a mięso ich stało się prawdziwym delikatesem. Przedtem jeszcze, pod 82 stopniami, zabito sukę i pozostawiono mięso jej w składzie tam urządzonym. Pod 83 stopniami zdezertowały trzy najlepsze psy, widocznie dla odnalezienia suki zabitej. W drodze powrotnej z pod bieguna wyprawa natrafiła na ślady tych dezerterów. Ślady te wiodły aż do składu pod 82 stopniem, gdzie zbiegłe psy znalazły zamarzłe mięso suki i zjadły je zupełnie. Rozgrzebały także skład i wydobywszy z niego paczkę pemikanu (suszone i utarte na proch mięso) oraz dwa inne psy zabite, uszkodziły je mocno.

Boże Narodzenie spędziała wyprawa w pobliżu bieguna. Przez porcje dodatkowe sucharów i zupy z kaszy owsianej uczczono tę uroczystość.

— O przygodach nadzwyczajnych — kończy Amundsen skromnie — nic powiedzieć nie umiem. I biedy wyprawa nie zaznała także. Wszyscy jej członkowie byli dobrze odżywejni i zdrowi, gdy zawitali nareszcie z powrotem do „Framheimu“ (tak nazwał Amundsen osadę, założoną w zatoce Wielorybiej po wylądowaniu tam z „Frama“.

Czarownica z Barcelony.

W Barcelonie, w Hiszpanji, aresztowano „czarownicę“, Henrietę Marti, pod zarzutem używania do swych praktyk, mianowicie do sporządzania lekarstw i napojów miłosnych, krwi ludzkiej.

Śledztwo przeprowadzone w tej sprawie miało wykazać prawdziwość tych zarzutów, a nadto, że Marty od dłuższego już czasu zajmowała się tym strasznym procederem, chwytając i mordując dzieci gromadnie.

Dzienniki madryckie donoszą, jakoby czarownicy udowodniono już zamordowanie co najmniej ośmiorga dzieci, prowadzone jednak w dalszym ciągu poszukiwania w mieszkaniach, w których Marti mieszkała dawniej zdwoją, a może potroją tę liczbę! W jednem z tych mieszkań, naprzykład, znaleziono skrytkę, w ścianie, a w niej kości i włosy ludzkie, w podwórzu zaś innego domu w stosie ziemi tak wielką ilość kości, że stos ten ma być prawdziwym cmentarzem nieszczęśliwych ofiar megery. Marti jednak twierdzi, że są to psie kości. W ostatniem z mieszkań czarownicy znajdowała się jeszcze przy życiu dziewczynka kilkoletnia, nazywająca się Angelita, lecz nie znająca swego nazwiska. Ponieważ rodziców jej jeszcze nie odszukano, władze oddały ją pod opiekę rodzinie portjera gmachu sądowego.

Dziewczynka opowiada, że czarownica dawała jej często do jedzenia białe, mdłe mięso. Już więc krąży pogłoska, jakoby okrucieństwo i zezwierzęcenie megery doszło do tego stopnia, że dzieci schwytane karmiła mięsem ofiar pomordowanych.

Podczas rewizji domowej u „czarownicy“ miano znaleść też zeszyt, zawierający opis chorób, które można wyleczyć rzekomo za pomocą lekarstw czarodziejskich, sporządzonych ze krwi ludzkiej.

Aresztowanie nastąpiło wskutek doniesienia pewnego fryzjera, cierpiącego na gruźlicę, któremu Marti miała ofiarować za tysiąc pesetów środek, rzekomo niezawodny. A ponieważ dawno już krążyły pogłoski, jakoby czarownica używała tłuszczu i krwi ludzkiej dla sporządzania lekarstw, fryzjer przeto doniósł o tem policji.

Aresztowano również jej męża Juana Pujato, który od lat kilku nie żyje już z żoną, tudzież jej ojca i dwie szwagrowe. Wszyscy oświadczają, że są niewinni.

Marti wiodła dziwne życie. Rano wychodziła w brudnych, porwanych sukniach żebrać na miasto, po południu natomiast ubrana wytwornie szukała przygód miłosnych, wieczorem zaś sporządzała i sprzedawała maści i napoje ludziom przesądnym, biorąc za to dziesiątki i setki pesetów.

Pewna służąca, która kupiła od czarownicy za 10 pesetów słoiczek maści na chorobę nerek, zapytana dlaczego zapłaciła tak drogo za to lekarstwo? — odpowiedziała pytającym: „Dlatego, ponieważ maść sporządzana jest z tłuszczu ludzkiego“.

Zdaniem wszakże lekarzy, którym polecono zbadać czarownicę, Marti powinnaby raczej być w domu dla obłąkanych, niż w więzieniu. Jest ona chorą nerwową, przeświadczoną o skuteczności swych środków; czarownicą, która przed kilku wiekami byłaby na pewno zginęła na stosie. Popada też często w omdlenia wywołane przez wadę sercową. Oczywiście nie wyłącza to możliwości, że jest istotnie zbrodniarką.

W tych dniach uległa znów w więziuniu silnemu atakowi. Zdawało się, że walczy ze śmiercią. W ataku tym zawołała, jakby pod wpływem wyrzutów sumienia!

— Wiem, że pójdę na szafot. Przeszukajcie jednak mieszkanie moje szczegółowo, a przekonacie się, że nietylko ja jestem winna!

Te i tym podobne sprawozdania korespondentów specjalnych, wysłanych przez dzienniki madryckie do Barcelony, sprawiły, że cała Hiszpanja nie mówi teraz o niczem innem, jak tylko o owej czarownicy.

Rozmaitości

Proces króla Alfonsa XIII. Dnia 29 października r. z. zmarł w zakładzie dla obłąkanych pod Fr quville we Francji bogaty właściciel ziemski z okolic Luzonu, Albert Sabane. Gdy otwarto testament, okazało się ku powszechnemu zdziwieniu, że Sabane zapisał cały swój majątek wartości trzy miljony franków królowi hiszpańskiemu z pominięciem własnej wnuczki. Zdziwienie było tem bardziej uzasadnione, że Sabane nigdy nie miał jakichlowiek stosunków z królem Alfonsem. Przypuszczano więc powszechnie, że ukoronowany spadkobierca zrzeknie się spadku niespodziewanego na rzecz wnuczki po zmarłym. Tymczasem stało się inaczej. Snadź Alfons XIII uznał, że i jemu przyda się dodatek tak znaczny do majątku już posiadanego, przyjął więc spadek, gdy zaś wnuczka wystąpiła sądownie o zwalenie testamentu, jako sporządzonego przez dziadka jej w stanie niepoczytalności, król upomniał się przez adwokata o prawa swoje, udowadniając, że w chwili sporządzania testamentu przy zdrowych zmysłach. Rozpoczął się ciekawy proces przed trybunałem cywilnym w Saint Gaudens, we Francji, Adwokat królewski zażądał tymczasowego zasekwestrowania majątku spornego. Przeciwko temu wystąpił adwokat wnuczki Sabanego. Sąd odroczył na tydzień ogłoszenie wyroku.

* * *

Wydobycie łodzi podwodnej „A. 3“. Po 38 dniach wysiłków zdołano nareszcie wydobyć z dna morskiego angielską łódź podwodną „A. 31“, która z całą załogą, złożoną z 14 marynarzy, poszła na dno dnia 2 lutego wskutek starcia się z innym okrętem w pobliżu wyspy Wight. Komendant portu wojennego w Portsmouth, admirał sir Artur Moore, kierował ostatecznemi pracami nad wydobyciem łodzi. Stan atmosfery był pomyślny, to też mnóstwo mieszkańców wyspy wyległo na wybrzeże, spoglądając niecierpliwie na miejsce katastrofy, w którem zebrało się 5 parowców holowniczych i parowców specjalnie urządzonych dla podnoszenia okrętów z dna morskiego. Gdy nurkowie założyli pod łódź zatopioną nowe liny, na miejsce zerwanych podczas poprzednich usiłowań, wyndy zaczęły działać i po pewnym czasie z fal morskich wyłoniła się łódź zatopiona. Przy zachowaniu wielkich ostrożności przymocowano ją następnie pomiędzy dwoma parowcami holowniczemiw takiej pozycji, w jakiej leżała na dnie morskiem, aby nie zmieniać położenia ciał nieszczęśliwych marynarzy, którzy w niej zginęli, z położenia bowiem zwłok uda się, być może podczas śledztwa stwierdzić przebieg katastrofy.

* * *

Sprzedaż córki. We wsi Zaturowiznie w powiecie rypińskim, gminie Okalewo, pewien średnio zamożny gospodarz sprzedał zwą 28 letnią bardzo ładną córkę za 2 tys. rubli. Kupił ją młodzieniec w wieku około 26 lat i wywiózł do Argentyny.

* * *

Złoto i platyna z żelaza. Chemik Verley, który zasłynął już jako wynalazca w dziedzinie kombinowania farb i zapachów, utrzymuje, że można z żslaza wydobywać złoto i platynę — dwa najcenniejsze metale. Próbę takiej przeróbki posłał on już słynnemu angielskiemn chemikowi lordowi Wiljamowi Ramsay'owi, a tymczasem opowiada, co następuje:

W kopalniach złota afrykańskich i amerykańskich, koszt wyprodukowania kilogr. złota wynosi 2800 koron, a wartość takiej bryły — 3500 kor.; ja zaś mogę wydobyć kilogr. tego metalu z żelaza kosztem 500 kor. W założonym przezemnie warsztacie mogę codzień wyprodukować od 20—30 gramów. Dopóki cena złota nie spadnie wskutek mego wynalazku, będę miał olbrzymie zyski, ponieważ mogę oddawać moje złoto na sprzedaż, jak się oddaje kopalniane. Sam jestem przerażony możliwymi następstwami mego wynalazku. Przecież musi nastąpić bajeczny krach, a ja nie chcę być autorem takiej katastrofy. Zamierzam tedy ułożyć się z rządem: niech on zwoła międzynarodową konferencję, któraby uchwaliła zmonopolizowanie przez rządy mego wynalazku, poczem każdy prywatny fabrykant złota byłby traktowany jako fałszerz pieniędzy. Opis fabrykacji złożyłem Akademji umiejętności w zapieczętowanej kopercie. Nie przypuszczam, bym się łudził. W grudniu roku przeszłego pracowałem w laboratorjum Ramsay'a i tam pod ścisłą kontrolą jego asystentów wyprodukowałem z żelaza platynę. Oto na dowód list Ramsay'a, który stwierdza, że 40 gramów platyny wydobyłem z tony żelaza. Chciałem u Ramsay'a wyprodukować także złoto, lecz on — nie wiem dlaczego — nagle przerwał moje doświadczenia.

Jeżeli Verley się nie łudzi, to znaczy, jeżeli w żelazie jest element złota i platyny, a koszt wydzielenia tych metali nie przeniesie 500 koron na każdy kilogram, to oczywiście nic nie pomoże żadne zmonopolizowanie tej przeróbki. Potajemne laboratorja powstaną na całym świecie, a złoto szalenie stanieje, mniej będzie warte od srebra, i jednocześnie spadną z ceny wszystkie wartości, oceniane teraz podług złota.

* * *

Zrośnięte bliźnięta. Para bliźniąt, w niezwykły sposób zrośniętych, przyszło na świat w miejscowości Bibel, tuż pod Frankfurtem nad Menem. Bliźnięta owe płci żeńskiej zrośnięte są głowami, które tworzą prawie jedną bryłę, ciała zaś prostą linię, czyli, że zrośnięcie nastąpiło na ciemieniu. Długość obu niemowląt wynosi 90 cent. Leżą w łóżku dla dorosłych i spoglądają wesoło w świat, nie mogąc atoli widzieć się nawzajem. Żywione są sztucznie i przybierają normalnie na wadze. Stwierdzono, że każde z bliźniąt ma swój osobny mózg, że gdy jedno śpi, drugie czuwa.

Jest wykluczone, ażeby które z dzieci mogły się nauczyć chodzić, gdyż w takim razie musiałoby drugie pionowo mieścić się na jego głowie. Zagadką jest jeszcze, czy dzieci te mają każde osobną czaszkę, czy wspólną. W drugim wypadku rozdzielenie dzieci za pomocą operacji, byłoby niemożliwe, spowodowałoby bowiem śmierć obojga. Rodzice bliźniąt, rzemieślnicy, są przygnębieni. Lekarze żywo zajmują się temi dziećmi, które będą przedstawione na zwyczajnem zebraniu Tow. lekarzy we Frankfurcie i zostaną prześwietlone promieniami Roentgena.

Dymokrackie medykacje.

Pedzioł już kieryś, iże Wojtek Korfanty siedzi terazki spokojnie, kiej mysz pod miotłą. Jednako ta myszka zapiskała, jak „Robotniczo" nadepła jij nieco na ogonek. Bo to mo filipa ta stwora, jino, iże inksi tyż gó mają. Bo to bóło tak. Wojtkowi sztacwald dopolo skisz rostmaitych „zasług", chtóre se som zarozki płaciół, ale o to sie nie wypomino, bo gó wstyd tak, iże zión urlop ze sejmu już przez sześć albo siedem tydni; ale kiej dostoł terminy skisz gewerbesztajeru, i jeszczy inkszy na tyn som dzień, tak w Bytoniu pedzioł, iże musi do Katowic, a haw, iże do Bytonia, a nie poszoł na żodyn; za to pojechoł do Koła sejmowygó, coby go retowało skisz tegó „zapomniynio", a zaś bółby wszyjskim pokazowoł, iże sejm uznoł proces jego za belejaki, bo posły uznały gó za kolega. Ale mu pedziała komisjo porządkowo pono, iże takie „ornungssztrofy" nijak im rozpatrywać, to tyn wniosek odpolili. Terazki szkli o „bredniach socjalistycznych" i pisze o zaspokojeniu „ciekawości" naszyj. Panie Korfanty, my nie ciekawi, bo downo „wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi". Ale kiej kiery siedzi w szklanym dómku, a na inkszych kamieniami chce ciskać, to niech se piyrwy swoja mądro pałeta a unfal a basok nieco zakryje, a gamba tyż. A co pan Korfanty robiół s urlopem? Czy agitowoł za strejkiem, czy przeciw strejkowi? Niekierzy padają, iże mu psińco bół strejk, bo ón robiół bilanse. No, niech mu tam zając wielkanocny naznosi moc jajec, to bydzie mioł co wysiadywać — na dalszym urlopie, to sie wiy.

Ale prawie my ciekawi, co powie cyntrum w trzecim czytaniu w parlamencie na ostmarkenculagi dlo poczciorzów. Terazki bo gosowało jeszczy przeciw tym premjom za szykany; bo za takie premje to poczta wdycki wiy, chtóre karty są zakozane, ale nie wiy, kaj na tyn przykłod znojść „Gazyta Opolsko", bo Opolo nie zno, a podziwać sie w rejestr gazyt, to byłoby popiyraniem polskości a utratą culagów, to nie lza. Ale minister a prawica padają, iże to je sprawiedliwość, a niesprawiedliwość, kiej se nie kupisz powroza, na chtórym cie chcą powiesić. To sie choć terazy piyknie stało w parlamyncie, kiej takie szpicloskie mytosnieśli, bo nasi a cyntrum gosowali jak noleży, a Koło polskie tyż musiało. Ale postępowcy zaś tu pokozali swój postęp — ku prawicy. Już za Bilowa pedzioł jeden ś nich som: „Kiej my jeszczy mieli swoje zasady"...

A te ostmarkenculagi nie po daremno wymedykowały se Prusy. Szkoła prusko słynie pono w świecie, ale tyż rostmaite rechtory a nauczyciele muszą przy rostmaitych abentach a hurafestach występować ślandesgemes, a za coby mydlili oczy ciymnyj hołocie polskiyj? A młode niekiere te panoczki za coby dziewczętom kupowały bonbony, kiejby nie było ostmarkenculagów? A przeca óni tyż muszą sie bawić. Zankną tyż kierygó, kiej Metznera w Lublińcu, ale te dziołchy bydą już byldowane, a zaś fortbyldowane i bydą poradziyły śpiywać po niymiecku swoim dzieckom po urzyndniku, a to nojwiynkszo chwała dlo pruskiygó faterlandu i jegó szkoły.

Ale w sejmie śniyść te ostmarkenculagi terazki nie można, bo partje ładu i porządku na to nie pozwolą. Narodowe liberały już sie nieco śmiłowały nad staruszkiem systemem wyborczym do sejmu pruskiego, ale nie uznali gó za cołkiygó inwalida, jino za pół-inwalida, tak jak robią po grubach a werkach s robotnikami, bo chcą zatrzymać trzy klasy, jino zaprowadzić wybory tajne a bezpośrednie. Te bezpośrednie, bez welmanów, niechby se już tyż ziyni w kabza, ale tajne, to im sie chwoli; ale po jakiymu jeszczy te trzy klasy? Pono po tymu, iże są isto narodowo-pruskie? Nic jim to nie pomoże! Uciskani bydą wiedzieli, kandy szukać swoich praw.

Jeszczy nom brak jedności a oświaty. Strejki pokozały, iże można coś niemi zrobić, ale świadomych a odważnych a zgodnych jeszczy nie stykło, a zdrajców tyż moc jeszczy; ale i to sie zmiyni.

Uroczystość Zmartwychwstania nadchodzi, święto zwycięstwa Swiatła nad Ciemnością, Prawdy nad błędami a podłotą, Wiosny nad Zimą. Tak i wszyjscy ubodzy a uciskani a krzywdzeni, wszyjscy zgłodniali a zmarzli niech zbiorą kożden z osobna a wszyjscy społem swoje siły, niech sie otrząsną z niewoli, ockną ze snu, niech zmartwychwstaną! Tegó życza im, wołając swoim czytelnikom: „Wesołego Alleluja!".

Gustlik Beskuryjo.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott w Katowicach.

Nr. 15. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 13 kwietnia 1912.

Skóra z czystego złota.

(Bajka.)

Królowa nimf zgromadziła koło siebie wszystkie swe wierne poddane. Siedziała na błyszczącym tronie w płaszczu tkanym ze srebrnych promieni księżyca.

— Moje kochane nimfy i rusałki — tak poczęła mówić dźwięcznym głosem — wiecie, w jakim celu zgromadziliśmy się dziś tutaj. Znowu dwie z nas osiągnęło wiek, w którym muszą przebyć próbę. Promyku słońca i księżyca, wystąpcie!

Wtedy wystąpiły dwie z szeregu innych nimf. Były jeszcze delikatniejsze od drugich, a skóra ich miała złoty blask.

— Moje kochane córki — rzekła królowa — znacie prawo, które każdej z nas przepisuje odbyć na ziemi wśród ludzi czas próby na dowód, czy godną jest być ostatecznie przyjętą do królestwa nimf. Także i wy musicie teraz pójść pomiędzy ludzi na dwadzieścia lat. Po upływie tego czasu spotkamy się tutaj na tem samem miejscu, co dzisiaj, aby usłyszeć, co się z was stało. Wiecie, iż my nimfy od natury jesteśmy obdarzone złotą, błyszczącą skórą. Zatrzymacie ją, nawet nieświadomie, tak długo, jak długo okażecie się godnemi waszego pochodzenia.

I królowa skinęła ręką. W tej chwili księżyc schował się za chmurę i zabrał ze sobą całe królestwo nimf. Na ziemi jednak w tej samej chwili narodziły się dwie małe dziewczyny.

I znowu zgromadziły się nimfy przy blasku księżyca, znowu siedziała królowa na swym brylantowym tronie. Wtedy poruszyło się całe zgromadzenie. Szybkim krokiem weszła w środek dziewczyna. Była wysoką, smukłą, włosy miała jasne, bujne. W śnieżnobiałej sukni, jaka ją okrywała, była podobną do anioła z nieba. Ujrzawszy ją nimfy, ucieszyły się i cichy szept przeszedł przez ich szeregi.

— Promyk słońca, promyk słońca.

Królowa jednak nakazała milczenie.

— Musimy jeszcze poczekać na promyk księżyca — odrzekła.

Wtedy przyszła do tronu wolno pochylona postać, której dotąd nikt nie zauważył. Wielka, szara chustka zakrywała ją całkiem.

— Kto to jest, kto to jest? — przeszło przez szeregi.

— Kto jesteś? — zapytała królowa.

— Nazywałam się kiedyś promykiem księżyca — odpowiedziała smutnym głosem dziewczyna.

Szeregi nimf zabrzmiały narzekaniem.

— Biedny promyk księżyca, biedny promyk księżyca — narzekały nimfy.

Lecz i teraz królowa nakazała spokój.

— Promyku słońca, opowiadaj nam swoją historję!

— Ach, jest ona dosyć krótką — odpowiedziała dziewczyna. — Przyszłam na świat jako dziecko bogatych rodziców. Dzieckiem już byłam dumą i radością moich rodziców i wszystkich krewnych. Później nauczyłam się wszystkiego tego, co młoda dziewczyna umieć i wiedzieć musi. Znam ręczne roboty, umiem grać na fortepianie i gotować i znam trzy języki. W ostatnich latach zostałam wprowadzoną w towarzystwo. Nie było w naszem mieście żadnego kiermaszu, żadnej zabawy, urządzonej na korzyść biednych, w którejbym nie brała udziału.

Na tem skończyła i dumnie rozglądała się wkoło, świadoma swojej wielkiej wartości. Królowa jednak rzekła poważnym głosem:

— Naopowiadałaś nam dużo rzeczy, promyku słońca, ale wypuściłaś najważniejsze, to, co dla dziewczyny jest prawdziwym kamieniem probierczym. Jakie stanowisko stanowisko zajmowałaś względem mężczyzn?

Wtedy promyk słońca zaczerwinił się aż po same uszy. Potem zaczęła mowić, jąkając się:

— Ach panowie byli zawsze wszyscy tacy uprzejmi dla mnie. Nie można przecie być zanadto okrutną, ma się przecież obowiązki względem swojej piękności... tak przynajmniej mówili zawsze. No, tak tu i tam pozwoliłam sobie ukraść całuska, czy to w ciemnym kącie sali balowej, czy to na wycieczce, wtedy, kiedy mama nie patrzyła. A potem — ciągnęła dalej z wahaniem, widząc, iż królowa patrzy na nią pytająco — trudno było uniknąć, by mnie któryś z nich nie przycisnął do siebie silniej, niż to być powinno, by mnie nie pogłaskał, także... Z pewnością to być nie powinno... Ale tak to było przecie piękne!... Ale więcej nikt nie mógł odemnie osiągnąć. Dopiero gdy wyjdę za mąż.

Wtedy królowa rozkazała jej zdjąć suknię. A wtedy stanęła wśród promieniających w swej mizernej piękności, drżąc od zimna. Skóra jej była biała i delikatna, ale straciła swój złoty blask.

Wtedy rzekła królowa ze łzami w oczach:

— Wracaj z powrotem do ludzi, do których cię twoje serce ciągnie. Jesteś brudną jak oni. Dla nimf jesteś straconą.

Promyk słońca zaśmiał się głośno i tańcząc, odbiegł szybko.

Głęboka cisza panowała na zgromadzeniu. Przerwał ją nagle dźwięk, jak gdyby pękło czyjeś dręczone serce. Promyk księżyca płakał. Królowa zwróciła się do niej:

— Czemu płaczesz?

— Ach, jestem tak nieszczęśliwą. Jakże ja grzesznica mogę być przyjętą do waszego czystego koła, jeżeli już taka została odepchniętą.

— Opowiadaj!

— Przyszłam na świat w ciemnej suterynie proletarjusza. Lata dziecięce spędziłam na ulicy. I to na jakiej ulicy! Mieszkały tam same dziewczęta lekkich obyczajów. Ale właśnie dlatego, że miałam je zawsze przed oczyma, nie myślałam nigdy nad tem, co robiły. Gdy miałam 15 lat, zakochałam się w jednym mężczyźnie, który mnie uwiódł. Powiłam dziecko. Jak ja je kochałam. Wszystko bym była zrobiła, aby je pielęgnować!... Umarło. Mężczyzna mnie opuścił.

Zaszlochała głośno.

— Dalej — rozkazała surowo królowa.

— Byłam znowu sama i nie wiedziałam, do kogo mam się zwrócić o pomoc. Wtedy poszłam — biedna i chora — do mojego ojca. Chciał mię wyrzucić na ulicę, ale kobieta, z którą teraz żył — moja matka dawno umarła — rzekła: „Zostaw ją tu! Ona może coś zarabiać.“ Wtedy ja nie chciałam. Lecz oni bili mnie, dopóki, złamana na duchu i ciele, nie uczyniłam tego, czego odemnie żądali. Stałam się — prostytutką. I teraz — teraz muszę znowu wracać do tego błota.

Zakryła twarz rękami i od płaczu nie mogła dalej mowić.

Płakały i nimfy. Twarz jednak królowej promieniała w łagodnem świetle księżyca, gdy rzekła:

— Zdejmijcie z niej płaszcz!

A wówczas stanęła w swej boskiej nagości, a skóra jej błyszczała złotem. Zadziwiły się nimfy, lecz królowa rzekła:

— Promyku księżyca, tamta jest brudną w swojej czystości, ty jednak pozostałaś czystą w brudzie. Patrz, twoja skóra błyszczy jak złoto oczyszczone w ogniu.

I zstąpiwszy ze swego brylantowego tronu, wzięła siostrę w swe miękkie objęcia. Z tyłu zaś przyszło małe, całkiem małe dziecię nimfy do promyka księżyca i rzekło:

— Matko!... Fr. Piętak.

Bezkarne mordowanie obywateli.

Dnia 22 kwietnia r. z., wskutek otrzymanej od wach mistrza żandarmerji pow. kutnowskiego wiadomości, że w tym dniu właśnie przybyć ma do Kutna jeden z uczestników napadu na pocztę pod Turkiem, naczelnik powiatu kutnowskiego, bar. Kurteinsiedel, delegował 2 przebranych po cywilnemu strażników do restauracji Brzozowskiej; dokąd według „wiarygodnych“ wieści miał przybyć oczekiwany bandyta.

Około godziny 9 wieczorem strażnicy „otrzymali informację“, że nazajutrz bandyta kąpać się będzie w zakładzie Geista około godz. 8 wieczorem, wobec czego zalecili Geistowi, aby zawiadomił policję, gdy przyjdą podejrzane osoby.

Jakoż dnia 23 kwietnia r. z., około godziny 5 po południu do zakładu Geista przyszedł nieznany mu młodzieniec, zajął numer, kupił kawałek mydła i zażądał zmiany prześcieradła na lepsze i czystsze, oświadczając, że dopłaci za to. To wydało się podejrzanem.

Niebawem do zakładu Geista przybyli dwaj strażnicy: Smolko w uniformie i Głyżyn, przybrany po cywilnemu. „Cywilny“ strażnik pozostał na kurytarzu zakłada, Smolko zaś ukrył się w jednym z niezajętych numerów.

Wkrótce uchyliły się drzwi numeru, zajętego przez nieznanego i wyszedł z nich młody mężczyzna w szarej czapce. Rozległ się okrzyk Głyżyna: „Stój, ręce do góry!“ a za nim wystrzał.

Wybiegłszy z zasadzki strażnik Smołko zobaczył, że nieznajomy usiłuje wybiec z korytarza do poczekalni, stojący zaś w odległości 3 kroków od niego z rewolwerem w ręce strażnik Głyżyn, powtórzywszy żądanie zatrzymania się, strzelił ponownie do nieznajomego. Nieznajomy, brocząc krwią, upadł u drzwi, prowadzących na ulicę, wołając: „nie tego trafiliście!“

Była to prawda.

Nieznajomy nie był bandytą, tropiony przez policję; był to Stanisław Walczak, administrator dóbr Suchodęby, w powiecie kutnowskim.

W tydzień potem pseudo-bandyta zmarł w szpitalu.

Przed zgonem swym Walczak złożył sędziemu śledczemu zeznanie: Gdy wyszedł z numeru, jakiś nieznany mu człowiek z okrzykiem „stój, ręce do góry!“ wymierzył do niego z rewolweru i stojąc tuż przy nim, wypalił z rewolweru przy lewem jego uchu, przyczem oparzył mu lewą skroń i przedziurawił kulą daszek od czapki; wtedy na kurytarzu zjawił się policjant, który zawołał: „Strzelaj, bo on nas zastrzeli! Rozległ się drugi wystrzał, który zranił Walczaka.

Było to już w poczekalni kąpielowej; Walczak dodał, że nie wyrywał się bynajmniej strażnikom, lecz że przestraszył się i dlatego uciekał.

Strażnika Głyżyna oskarżono o to, że pełniąc obowiązki służbowe, bez koniecznej potrzeby wystrzelił do podejrzanego przez niego nieznajomego człowieka, gdy ten usiłował uciec, i zadał mu ranę, która wywołała śmierć. Gorliwych policjantów morderców 5 wydział karny warszawskiego sądu okręgowego na sesji wyjazdowej w Kutnie uniewinnił.

Czy zmienia się nasz klimat?

W ostatniem dziesięcioleciu mnożą się na powierzchni ziemi zjawiska klimatyczne, które zdają się uzasadniać zdanie niektórych ludzi, że klimat nasz ulega zmianom. Jeszcze przed dwudziestu laty panowały w środkowej Europie ostre i długie zimy, podczas których zamarzały nawet większe rzeki. Ludzie starsi, porównując zimy teraźniejsze z dawnemi, zawsze twierdzą, że są one znacznie łagodniejsze. Dawniej już w listopadzie ziemia pokryta była zwykle grubą warstwą śniegu, w późniejszych miesiącach śnieg padał całymi dniami, szalały zadymki, tworzyły się nieprzebyte zaspy, śniegu była taka masa, że np. w mieście powstawały na ulicach prawdziwe góry śniegowe.

Na wiosnę znów, która poczynała się dopiero pod koniec marca, kiedy śnieg zatajał, koryta rzek nie mogły pomieścić olbrzymiej masy wody, powstawały wylewy, które niszczyły sąsiednie pola, okrywały drogi, wytwarzały bagna. Wylewy te były niekiedy przyczyną nieurodzaju, a następnie klęsk głodowych, które często się powtarzały (na co niewątpliwie i inne składały się czynniki), a o których ludzie prości, zwłaszcza na wsi, opowiadając, czasy dzisiejsze nazywają szczęśliwymi, pełnymi błogosławieństwa bożego.

A dziś? Jeżeli przez kilka dni panuje silny mróz, to mówi się, że zima jest ostra; śnieg należy niemal do rzadkości, a długotrwałych zadymek już od kilku lat nie było. Dawniej w marcu jeszcze jeżdżono saniami, w lutym panowały silne mrozy, stąd przysłowie ludowe: „Luty — obuj chłopie dobre buty!“ Tegoroczna zima, która zdaniem meteorologów już od dnia 1 marca należy do lawusa meteorologicznego, była jeszcze łagodniejsza od swych poprzedniczek. Do Trzech Króli było stosunkowo ciepło, śniegu ani na lekarstwo, tylko w styczniu zakosztowaliśmy silnego mrozu, który zajął razem zaledwie kilkanaście dni, zaś w lutym spadła większa ilość śniegu, który jednak niezadługo stajał.

Tak uboga w śnieg zima jak ubiegła wzbudza przypuszczenie, że w sferach klimatycznych, które odpowiedzialne są za klimat, nie wszystko jest w porządku, skoro nawet po Bożem Narodzeniu nadchodziły wiadomości z różnych stron Europy o niezwykłych kwiatach, które przyniosła ta zimowa wiosna. W krajach nieco dalej na południe wysuniętych miesiąc grudzień charakteryzowała zieleń i kwiecie, w czasie tym nie było śniegu ani mrozu. A nawet u nas na łąkach zieleniła się trawa jak w maju, masowo zakwitły stokrocie, na gałązkach drzew widać było świeże pączki, niektóre zioła wypuszczały nowe listki.

Piękniej jeszcze przedstawiała się przyroda w tym miesiącu na zachodzie Europy. W miejscowości Bourghteroult w Normandji 15 grudnia kwitły czereśnie, we Francji obok Malang jabłonie okryły się kwieciem, w Loisin już w połowie października jabłonie zakwitły, a w połowie stycznia dojrzewały owoce. We Francji najwspanialej rozwinęła się ta grudniowa flora, którą zniszczyły mrozy z początkiem stycznia. Do owego czasu mnożyły się z dnia na dzień

wiadomości o nowej wiośnie, która nastała po suchem lecie i łagodnej, a dopiero poczynającej się zimie.

Im dalej na zachód, tem dłużej i trwalej panowało tam ciepło, które, jak na tę porę dosięgało niezwykłej siły. W wielu miejscach zakwitły fiołki, pierwiosnki i jaskry; w Nadrenji wyrosły wysokie źdźbła zboża, obok Hanoweru ludzie kwiatami kasztanów stroili drzewka zamiast świecami, w chatach można było spotkać bazie wierzbowe, a na polach słychać było śpiewy ptaków przelotnych, które nie chciały pożegnać swej letniej ojczyzny. W Szwajcarji jeszcze przed Bożem Narodzeniem pasły się krowy na polach.

(Dokończenie nastąpi.)

Rozmaitości

Jak serce pracuje. „Medizinische Klinik" referuje według artykułu pewnego anatomicznego czasopisma angielskiego o czynności serca ludzkiego, co następuje: Wychodząc z założenia, że serce jest pompą autor danej rozprawy stwierdza, że pompa ta przeciętnie 70 razy w minucie spełnia swą czynność, zatem w godzinie 4200 razy, na dobę 10 800 razy, w całym zaś roku 36 792 000 razy. Autor, określając długość życia przeciętnego człowieka na lat 70, co do klasy robotniczej absolutnie zastosować nie można, oblicza, że przez całe to życie serce funkcję swą pompowania krwi, spełnia dwa i pół miljarda razy. Serce ludzkie przy każdem uderzeniu puszcza w obieg 100 gramów krwi, zatem 7 litrów na minutę, 420 litrów w godzinie. Ten na pozór tak nikły przyrząd ciała ludzkiego codziennie rozwija siłę, z pomocą której 46 ton 1 metr wysoko podnieść by można. W przeciągu 70 lat serce, pracując bez ustanku, wprowadza 250 000 metrów kub. krwi w obieg.

* * *

Najmądrzejsze mózgi. Znany anatom, profesor Waldeyer zajmował się specjalnie badaniem mózgu różnych ras ludzkich. W dziele swojem Waldeyer stwierdza przedewszystkiem, że miarą rozwoju zdolności jest nietylko waga mózgu, lecz również stosunek tej wagi do wzrostu człowieka.

Np. japończyk ma mózg tej samej wagi, co europejczyk, ale jego zdolności umysłowe są większe, bo jest mniejszego wzrostu.

Najwięcej waży mózg człowieka z Europy Zachodniej. Istotnie północno zachodnie wybrzeża morza Śródziemnego zaludniają rasy, które dochodziły do najwyższych szczebli rozwoju kulturalnego. Mózg ludzi z tych krajów waży od 1,400 do 1,450 grm.

W Europie południowej przeciętna waga mózgu wynosi około 1350 gramów.

Mózg japończyka waży 1,367 gr.

Murzyni afrykańscy posiadają mózg ważący wszystkiego 1,250 do 1,270 gr. Ale murzyni, którzy zamieszkali w Ameryce, po kilku pokoleniach nabrali większej wagi mózgu.

Dużo waży mózg chińczyków i hindusów.

Oprócz wagi duże znaczenie ma też ilość wgłębień i wygięć mózgowych. Pod tym względem mózgi chińczykow, japończyków i hindusów są najlepiej rozwinięte.

* * *

Studenci we Francji. Według ogłoszonej obecnie statystyki francuskiego ministerjum oświaty ilość studentów, uczęszczających w tym roku na uniwersytety francuskie, przedstawia się w ten sposób: Na wydziały prawne uniwersytetów uczęszcza 15,835 francuzów, 1192 cudzoziemców i 142 studentki. Razem 17,169, z tej liczby w Paryżu 7506. Na wydziały medyczne — 7005 francuzów, 1260 cudzoziemców i 865 studentek. Razem 9130. Z tej liczby w Paryżu 4930. Do szkół praktycznych i przygotowawczych medycznych i farmaceutycznych uczęszcza 1481 francuzów, 41 cudzoziemców, 134 kobiety. Razem 1656. Na wydziały matematyczne i przyródnicze — 5118 francuzów, 1345 cudzoziemców, 534 studentki. Razem 6997. Z tego 2000 w Paryżu. Na wydziały: historji, ekonomji, literatury — 4605 francuzów, 1704 cudzoziemców, 2194 studentki. Razem 8503. Z tego w Paryżu 4252. Do wyższych szkół farmaceutycznych — 1334 francuzów, 24 cudzoziemców i 40 studentek. Razem 1398. W Paryżu 723. Ogółem więc wszystkie uniwersytety francuskie posiadają 44,853 słuchaczy, z czego na uniwersytet paryski wypada 19,411, Cudzoziemców jest 5566, studentek 3909, pochodzą one przeważnie z krajów obcych.

* * *

Uwięzienie bandyty automobilowego. Jeden z przywódców bandytów automobilowych, którzy urządzili znany napad na bank w Chantilly, uwięziony został przez szefa policji w miescowości Lozére w depart. Sekwany. Caurouy znajdował się na dworcu i miał właśnie odjechać, zanim mógł się obronić, został ujęty przez dwóch pomocników szefa policji. Znaleziono w jego kieszeniach dwa rewolwery nabite, flaseczkę z tuucizną i 150 fr. w gotówce. Liczy lat 21.

Podczas jazdy automobilem z Lozére do Paryża w towarzystwie agientów policyjnych, Carouy był bardzo wzburzony, tak samo z początku podczas przesłuchania na policji w Paryżu — następnie jednak przyznał się po części do zarzuconych mu napadów bandyckich, oświadczył jednak, że nie wie, gdzie znajdują się obecnie jego towarzysze Garnier i Bonnoot.

Carouy byłby znakomitym strzelcem i to głównie skłoniło bandytę Garniera do zaangażowania Carouya do wyprawy w Chantilly.

Podczas drugiego przesłuchania późno w nocy przyznał się Carouy do popełnienia ostatnich morderstw rabunkowych wspólnie z Carnierem i Bonnotem.

* * *

Uprowadzenie jedenastoletniego syna rosyjskiego króla wódczanego i miljonera Smirnowa przez matkę, jest obecnie, jak donoszą z Petersburga, najnowszą senzacją stolicy nadnewskiej. Smirnow nie żyje z żoną, lecz z pewną diwą operetkową, którą wywiózł za granicę. Żona skorzystała z jego nieobecności, wtargnęła do mieszkania podstępem i uprowadziła dziecko, zanim służba zdołała temu zapobiedz. Ślad po zbiegach zaginął.

* * *

Dramat w przytulisku. W przytulisku dla położnic w Ekaterinosławiu miał miejsce prawdziwie tragiczny wypadek. Jednocześnie żydówka Woronowa powiła syna, a prawosławna Warina córkę. Warina ustąpiła nowonarodzoną córkę na własność niejakiej Tarasow. Przy wręczaniu Tarasowej niemowlęcia zaszła fatalna omyłka; oddano jej nie córkę Warinej lecz synka Wonowej. Tarasowa natychmiast dała ochrzcić dziecko. Wkrótce omyłkę spostrzeżono, Woronowej zwrócono dziecko, ale władze nie dają zezwolenia na unieważnienie chrztu, co w konsekwencji może pociągnąć za sobą odebranie dziecka prawosławnego matce żydówce!

* * *

Komisarz królewski w Chorwacji. Dziennik urzędowy w Zagrzebiu ogłasza cesarskie pismo odręczne, mianujące Cuvaja komisarzem królewskim, oras trzy rozporządzenia tego komisarza z dn. 3 bm.

Pierwsze rozporządzenie dotyczy kilku zarządzeń prasowych w sprawie cenzury prewencyjnej, w sprawie złożenia należytości kaucyjnej za przekroczenie tego rozporządzenia, oraz w sprawie nowego zgłoszenia odpowiedzialnych redaktorów. Drugie rozporządzenie zawiesza tymczasowo moc obowiązującą ustawy z r. 1875 o prawie zgromadzania się na podstawie przepisów tej ustawy. Trzecie rozporządzenie oddaje policję w ręce władz krajowych, oraz zarządza utworzenie w kraju królewskich komisarzy policyjnych.

* * *

Wykopaliska starosłowiańskie. W Poczdamie, otoczonym dokoła miejscowościami, które dotychczas zachowały brzmienie słowiańskie, znalazły bawiące się pod kościołem św. Ducha dzieci kilka naczyń, które wskazywały pochodzenie słowiańskie z IV wieku i epoki Korolingów. W jednej chwili zjechała na miejsce komisja, która stwierdziła, iż we wspomnianem miejscu było uroczysko starosłowiańskie, obok zaś osady, ciągnące się wzdłuż Haweli. Dotychczas odkopano przeszło 160 urn i różnych naczyń, zachowanych bardzo dobrze. Wykopaliskami zajęli się profesorowie: Schuchard i Götze; robotami około wydobywania zabytków kieruje budowniczy Nigmann. Wszyscy zgadzają się, że świeżo odkryte wykopaliska stanowią niezrównany nabytek w dziale starożytności słowiańskich i potwierdzają jeszcze dosadniej udowodnioną zresztą teorję, że Berlin i jego okolice były siedzibą wyłącznie słowiańską. Gmina Poczdamu zbiera fundusz specjalny na roboty około wykopalisk i urządzenie miejscowego muzeum.

* * *

Miljonowy zapis czecha patrjoty. W Nicei zmarł niedawno radny miejski z Pilzna w Czechach, nazwiskiem Houska, który zapisał w testamencie miastu rodzinnemu 1 miljon koron na różne cele dobroczynne oraz 200 tysięcy koron wyłącznie na sprawę narodową częską. Przytym niebożczyk zawarował, aby z jego fundacji dobroczynnych korzystały osoby wyłącznie narodowści czeskiej.

* * *

Dworzec za 170 miljonów koron. Głowny dworzcc kolejowy w Lipsku jest już w połowie gotowy. Część pruska dworca podejmie już ruch w kwietniu lub maju. Hala tak zwaną poprzeczna będzie mieć 300 metrów długości. Obok na 26 torach będą poruszać się pociągi. Będzie to największy dworzec w niemczech. Budynki zajmują 30 000 metrów kwadratowych, całość 50 000, Koszt ogólny budowy wyniesie 170 miljonów koron.

* * *

Okrutny żart na „prima aprilis" urządził jakiś nieznany osobnik, który do pomocnika krawieckiego Sokala w Pradze wysłał telegram z doniesieniem, że matka jego, mieszkająca na wsi, umarła. Równocześnie matka Sokala otrzymała depeszę, z wiadomością o śmierci syna. Matka natychmiast udała się do Pragi, syn zaś pospieszył do miejsca zamieszkania matki. Gdy Sokal przybył na dworzec w Pradze, ażeby kupić bilet jazdy, ujrzał swoją matkę, wysiadającą z pociągu. Na ten widok Sokal dostał nagle ostrego ataku szału i zaczął rzucać się na otaczające go osoby. Kilku policjantów ubezwładniło nieszczęśliwego i odwiozło do zakładu dla obłąkanych. Wdrożono śledztwo karne przeciw nieznanemu autorowi telegramów.

Dymokrackie medykacje.

Dziwy a dziwy na tym naszym Górnym Śląsku; bo tyż momy haw cudotwórca, co nie belejakiyj kobyły żrybie, a kamrotów tyż mo za telo.

Kiej te panoczki sztudyrowały, to kajsik nabyli mądrości, iże piynłądz nie śmierdzi, to gó trza brać, kandy życzą albo dają. Tako i brali. Dowoł Śląsk na te swoje przyszłe gwiozdy, dowała cało Polsko na ta swoja chluba. No, i wysztudyrowali te smyki, iże im trza wiynkszy piyniędzy, to urajcowali, iże trza być wdzięcznymi narodowi i na tej wdzięczności zarobić; bo to, jako to młode, chcieli i świat do góry szporami przewrócać i sami na głowach skokać. Dwuch pedziało se, iże dlo zbawiynio norodu muszą zostać posłami a ku tymu założyć pismo na Śląsku. To se wziyni inkszygó s piyniędzmi na zocząłek, a zaś sie piyniądze same lęgły; kiej pismo bóło, a piyniędzy tyż za telo, tak ich nie stykło. To tyn nojhrubszy harapem przegnoł tegó nojlepszygó, zaś wtórygó wygryz aże do Ameryki a som zostoł posłem, pumpnół se jeszczy piyniędzy na pismo, słożół w banku na swoje imie i zrobiół plajta.

Nieskorzy tyn som założół zaś pismo a jeszczy wtóre, zión kamrotów za unfal, coby mu zwerbowali spólników, a kiej mu chyrtoń spuch od wygadowanio przez 10 roków na ugodowców, poszoł dó nich na służba, podarowoł im swoja makulatura za drogie piyniądze, a spolnikom kozoł łaskawie wypłacić po 50 procent. To sie zwie „plajta", a inakszy jeszczy tyż, ale on to nazwoł „zgoda", bo „cołki lud górnośląski", zebrany przy poru stołach w Rajchshali, obloł ta uroczystość piwem, objod kiełbasą, obśpiywoł hymnem na zgoda: „Tańcowały dwa krupnioki — Leberwuszt im groł — Kiełbasa sie im dziwała, — Preswuszt im sie śmioł...", no i tyż pono pedzioł: zgoda!

A hruby pan poseł pomyśloł se, iże za taki dobry geszeft a za takie hrube nowe myto, chtórygó uczciwie w życiu nie potrafiół zarobić, trza tyż nowymu chlebodawcy cosik zarobić, a swojej skóry tyż brónić. To tyż ogosiół światu jawnie i poufnie, iże ta zespolono, osmolono makulatura to je jedyno katolicko a narodowo-polsko, a wszyjscy, co ji nie ambonują, to są masony, socjoły, hakatysty, zdrajcy norodu itd. Tak padoł jeszczy przed rokiem, a dziś?

Dziś tyn panoczek, tyn isny, zaś chce zakłodać nowe pismo, s nowym hasłem: Śląsk dlo ślązoków!"

Tyn isny panoczek, co w imie hasła „Przez lud dla ludu" wodziół tyn lud za nos przez 10 roków, darł gó ze skóry, wyzywoł od chamów a kóndlów wyborczych, denuncjowoł jawnie, kiej mu bół przeciwny, pozbawioł chleba a trupa mu tyż sprawiół i jeszczy sie chwolół zasługami, coby mu je cało Polska płaciła.

Tyn isny zakłodo pismo dlo ślązoków, do tych ziomków swych, chtórym piyniądze wywióz do inkszyj dzielnicy, coby sie tam nimi podzielić s inkszymi cyganami; tyn isny, co sie chwolół, iże retowoł ziymia polsko, a kupiół ją za piyniądze ślązoków, coby gibko za prowizjo sprzedać łacno żydowi, jino, iże mu nie dali.

Ale zión se tyż kamrotów ku tymu. Całuje sie terazki s tym, chtórygó drzywiyj pogłoskoł harapem, a srobiół tyż kompanijo s takim przyjocielem duchowym, chtóry tyż zaboczół, co durkowoł przed rokiem o zdrajcach jedynyj dobryj makulatury a terazy jest ji mocno przeciwny od kierychś miesiąców. Ale to nic jeszczy. Bo do kierychś geszeftów trza tyż nieco spólników i takich, co poradzą szklić, i takich, chtórzy nic nie potrafią, jino być automatami; a trza ich mieć wszyjskich i na to, coby óni byli hnet a hnet winni, a nie isny.

Takim macherem od szklynio paragrafami mo tu być jedyn, co skisz łapówek poszoł z banku do ruły, a zaś do inkszygó banku, ale mu tam nieco za wysoko powiesili kosz s chlebem. A tym automatem z urodzynio a po przyjocielstwie bydzie szwagierek, chtórygó tyż z banku pajęczyną wyciągną, ale sie już wkupiół do inkszygó, kaj pono bydzie derechtorem. Bo ón mo piyniądze, nie włosne, ale na przechowaniu, takie se pół śląskie, pół cysarskie. Ón tam prawie nie jest taki rychtyczny ślązok, bo przeciw ślązokom agitowoł za poznańskim czerwonym grofem, ale to nie wadzi; kiej bydzie pismo dlo ślązoków przeciw poznaniokom, to ón sie tam już obstaro inakszy. I ta cygańsko trójca chce pono uwolnić Śląsk! — chyba od pieniędzy, czci i wiary!?

Ale jo se miynia, iże tyn ubogi Górny Śląsk nie ujzdrzy już tegó swojygó zbawiynio w tym nowym piśmie. Bo pruski sztacwald je bardzo przeciwny na polityka, ale na dziurawe kabzy tyż.

Gustlik Beskuryjo.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott w Katowicach.

Nr. 16. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 20 kwietnia 1912.

FRANCISZEK PIĘTAK.

BIEDOTA.

I.

Zdala od wsi w szczerem pustkowiu stała chata. Ku niej skierowaliśmy swe kroki, aby — jeśli się da — przenocować się i odpocząć. Grunt w tem miejscu podnosił się nieco i tworzył wzgórze, małe wprawdzie, ale zawsze dające jaką taką ochronę dla chaty przed wiatrem północnym. Wokoło, gdzie okiem sięgnąć było, leżały dalekie, puste ugory, pokryte marną trawką i kępkami jałowca.

Chata sama była raczej szopą, skleconą z nawpół zgniłych desek, kiepsko do tego zbitych gwoździami. Dziury w ścianach pozatykane były szmatami tak, iż chata cała była podobną do biblijnego Łazarza, pokrytego łachmanami.

Drzwi były otwarte. Weszliśmy. Rzekłszy boskie słowo, poprosiliśmy o nocleg. Gospodarz chaty, suchy, mizerny człeczyna, wzruszył ramionami.

— Niema gdzie, jak widzicie. Pełno nas, miejsca niema...

— Nie szkodzi, gospodarzu. Zmęczeni jesteśmy, a w podróży nie szuka się wygody. Na ziemi się prześpimy, byle trochę słomy.

— Jak chcecie... siadajcie.

Usiedliśmy w kącie na jedynej ławce, jaka się znajdowała i poczęliśmy się rozglądać.

Bieda wyglądała z każdego kąta. Ławka, na której siedzieliśmy, stół i kilka poszczerbionych misek i garnków glinianych, a w drugim kącie olbrzymi, brudny tapczan — to było całe urządzenie chaty. Komina nie było, była to bowiem jedna ze starych dymnych chat. W zimie i dym grzeje. Na stole leżały resztki czarnego chleba i książka do modlitwy, stara, pożółkła, podarta.

Maleńkie okienko miało cztery szybki. One dawały światło.

— Cóż słychać u was, ojcze?

— Ta coby było słychać — odpowiedział powoli, głosem głuchym, niskim.

— Bieda, nie prawda?

— Jak widzicie — odrzekł krótko.

Małomównym był widać, gadać nie lubił lub może nie chciał.

— Dużo was w chacie?

— Dziewięcioro.

— A gdzież żona?

— We dworze... na zarobku.

— Jeszcze? Taż to już noc!

Wzruszył ramionami.

— A wy, ojcze, gdzie robicie?

— W lesie... w skarbowym... drzewo rąbię... cały boży dzień. Tam wszyscy od nas robią... na niedzielę tylko przychodzim do domu...

— A żona cały tydzień we dworze?

— Tak.

— A dzieci?

Znowu wzruszył ramionami. I jak gdyby chcąc zakończyć rozmowę, wyszedł z izby i wrócił po chwili z odrobiną słomy, którą nam rozesłał pod piecem.

II.

Wieś cała była podobną do owej chaty. Biedna, nędzna, brudna, zimą i latem głodna. Płynęło jej życie w mozołach i trudach, podobne raczej do powolnej śmierci.

Mieszkańcy jej, to znaczy mężczyźni od wielu lat pracowali w rządowych lasach lub też i nie w rządowych, rąbiąc i rżnąc drzewo. Każdego poniedziałku o godzinie 2 po północy wysuwali się cicho ze swoich nor, z piłami i siekierami pod pachą i spieszyli co sił, aby na czas zdążyć na „plac“. Mieli przed sobą trzy mile drogi — kamienistej, pełnej korzeni i kłod. W ręku niósł każdy węzełek z chlebem i sadłem — to była ich żywność przez cały tydzień. Nic ich od tego powstrzymać nie mogło. Ni deszcze jesienne, ni mrozy i śnieżne zawieruchy. Szli, bo iść musieli, jeżeli nie chcieli z głodu ginąć jak robaki.

III.

Niedziela była. Wieś cała jakby wymarła. Chaty pozamykane, żaden głos się nie odezwał, tylko w kościele słychać było śpiew ciężki, ponury, jakby z grobu wychodzący. Brzmiała pieśń beznadziejnej rozpaczy, pieśń wymyślona zapewne przez rozpacz dla zabicia człowieczeństwa w chłopie: „pieśń pokory“... Biedni! Płakać tylko i błagać umieli, innego nic, bo płakać i błagać uczono ich od dziecka.

Nabożeństwo się skończyło, drzwi kościelne się otwarły, wieś wyszła. A jednak ciszy, jaka dotąd panowała, nie zamącili. Nie odezwał się żaden głos, a nawet kroki idących nie wydawały żadnego odgłosu. Szli cicho jak orszak pogrzebowy, rzucając długie cienie — sami będą raczej cieniami, z których duszę wypędziła trwoga.

I cicho, bojaźliwie wkradali się do swych własnych chat — grzesznicy, aby grzeszyć.

Czy zmienia się nasz klimat?

(Dokończenie.)

Od niepamiętnych czasów nie zdarzyło się tam, aby bydło tak długo pozostało na pastwiskach, aby w tym czasie odrastała trawa. Śnieg, który w październiku miejscami pokrył góry, w listopadzie stajał, cofając się do linji śniegowej, a do stycznia nowy nie padał. W niektórych miejscach w górach szwajcarskich, przed Bożem Narodzeniem znaleziono szarotki alpejskie, które kwitły po drugi raz, na słonecznych stokach dojrzewały poziomki, a nawet styczeń, który w Europie środkowej przyniósł ostre mrozy, przez 10 dni trwające, na zachodzie wypadł bardzo łagodnie.

Ta niezwykła łagodność zimy nie tylko w Europie

dała się zauważyć. W Azji wschodniej była zima łagodniejsza niż gdzieindziej, choć już w grudniu zdarzały się tam mrozy. W Jakucku, we wschodniej Syberji, najzimniejszej na ziemi miejscowości po Werchojańsku, tej zimy termometr nie spadł poniżej, 52 stopni, choć tam każdego niemal roku bywa 62 stopnie.

W wielu miejscowościach wschodniej Syberji, począwszy od nowego roku, zdarzały się dni łagodniejsze niż zwykle o 5 do 7 stopni.

Również w Alasce, położonej naprzeciw Azji, która znana jest z surowych zim — bo tam 40 stopni poniżej zera w zimie nie stanowi rzadkości — niespełna przed miesiącem panowało niezwykłe ciepło, co tam pod koniec stycznia jest rzeczą niebywałą. Majtkowie, którzy jechali wzdłuż południowych wybrzeży Alaski, opowiadali o niezwykłych zjawiskach klimatycznych i o prądach morskich, których tam nigdy nie widziano. Ciepły prąd od strony Japonji unosił okręty o 60 klm. dalej na wschód, aniżeli się tego spodziewano, zdaje się więc, że prąd ten obecnie płynie w innym kierunku, niż w latach poprzednich. Wynika to także stąd, że w okolicach tych padały obfite deszcze i że w styczniu — kiedy tam zwykle przeciętna temperatura wynosi 3 stopnie, w tym roku na południowym wybrzeżu Alaski mierzono przeciętnie 7 stopni ciepła.

Zjawisko to uważają za skutek zmiany kierunku ciepłego prądu, który niesie wody od słonecznych wybrzeży południowych Chin. Podopnie rzecz się ma z prądem morskim, płynącym od środkowej Ameryki ku północnej Europie. Jak prąd ten wpływa na klimat Europy zachodniej i na południowych wybrzeżach Anglji od strony Atlantyku wyczarowuje styczeń, który podobny jest do stycznia w Genui, widać stąd że na wyspie Wight, po nowym roku zakwitły krzewy, dalej na wybrzeżach Cornowalji wawrzyn, mirty i wszystkie te wspaniałe rośliny, które u nas rosną na południu.

Tylko prąd morski stwarza ten cud, ponieważ przynosi on od ciepłych wybrzeży Ameryki środkowej obfitość ciepła słonecznego. Jeżeli zajdzie zmiana w tem europejskiem ogrzewaniu ciepłymi prądami morskimi, to odczuwamy to natychmiast w naszym klimacie, wpływa to na zimę i lato. I nie tylko klimat ulega tym wpływom. Dopiero w ostatnich latach udało się Nasenowi stwierdzić na podstawie studjów, że rozwój roślinności w Norwegji, rozwijanie się drzew, a nawet wydatność połowów ryb od tego są zależne, jaki kierunek obierze ów ciepły prąd, ile ciepła zaniesie on aż do Przylądka północnego.

Jest to problem, blizki wprawdzie rozwiązania, ale zawierający jeszcze wiele zagadek, lecz Nansen przypuszcza, że kiedyś będzie rzeczą możliwą, już rok naprzód oznaczyć, jaka będzie zima lub lato w Europie północnej, jeżeli studja nad kierunkiem i temperaturą środkowo-amerykańskiego prądu morskiego będą dalej prowadzone. Prąd ten, płynąc wolno dokoła Norwegij ku Białemu morzu, wszędzie po drodze wywiera wpływ na pogodę, a temsamem na klimat. Jeżeli u wybrzeży Anglji było zimno, to także w Norwegji po dniach i togodniach będzie zimniej.

W niedalekim czasie studja nad prądami morskimi a zwłaszcza wspomnianym wyżej prądem, który jest tak ważny dla klimatu całej Europy, będą jeszcze gorliwiej prowadzone, będą jednem z najważniejszych zadań badania, ponieważ przez to możliwem będzie poznanie przyczyn zmian klimatycznych, dotąd niezrozumiałych. Dotąd zawsze stoimy przed zagadką, ilekroć jest niezwykle ciepłe lato albo nadzwyczaj łagodna zima jak w tym roku. Mówi się zawsze o wpływach z wszechświata, ale jest rzeczą wielce prawdopodobną, że także prąd morski od środkowej Ameryki płynący, gra tu wybitną rolę, jak to można było teraz stwierdzić na klimacie Alaski, na którą oddziałuje prąd japoński Kuro-Siwy, W tym samym czasie, kiedy skutkiem zmiany kierunku tego prądu ubiegły styczeń był tam niezwykle ciepły, to w głębie lądu i w państwach Unji amerykańskiej panowały niebywałe mrozy. W głębi Alaski styczeń był o 8 stopni zimniejszy niż kiedyindziej, kiedy na wybrzeżu była różnica o odwrotnym kierunku.

Jeszcze w połowie stycznia w północnej Ameryce były tak silne mrozy, jakich tam od lat nie znano; obok Waszyngtonu mierzono 30 st. C. poniżej zera, a w połowie lutego zapanowało znowu tak straszne zimno, że lód na rzece Hudson miał 70 cm. grubości, że jezioro Miczigan zamarzło, co się już od kilkudziesięciu lat nie zdarzyło. W Stanach Zjednoczonych szalały olbrzymie burze śnieżne i zadymki, a termometr wielokrotnie wskazywał tam około 30 stopni zimna.

W tym samym czasie u nas panowało łagodne ciepło i tylko w północnej Europie była ostrzejsza zima, a w Skandynawji panowały niebywałe mrozy, nieznane tam od 40 lat. Nawet do 30 stopni niżej zera spadał tam termometr, odnogi morza Północnego zamarzły, w anglji nastały niebywałe zimna, a po raz pierwszy od długiego czasu widziano nawet w południowej Anglji ptaki arktyczne, które żyją tylko w polarnych okolicach. Ptaki te widziano także w pobliżu Londynu, kiedy przed paru tygodniami ptaki letnie aż do bożego narodzenia spotkać było można na polach.

Tak więc zima ostatnia miała niezwykły przebieg. Przyniosła ona wielkie sprzeczności klimatyczne: wiosnę w grudniu i arktyczny mróz. Na jednych miejscach, gdzie zwykla się zroży, tym razem użyczyła łagodnych dni, okolice znów, gdzie zwykle łagodnie panuje, ukarała syberyjskim mrozem. Tak więc wyrównały się przeciwieństwa, klimat wystąpił w swych najrzadszych formach, ale w ogólności kłam zadał twierdzeniu, jakoby się dokonał jakiś olbrzymi przewrót w nowych klimatycznych stosunkach. Jeżeli takie u nas zimy w ostatnich latach utrwalić mogły przekonanie, że klimat nasz się zmienił, to mądrość przyrody wskazuje, że się wszystko wyrównuje, że zawsze, jeżeli gdzieś jest szczególnie ciepło, to na innem miejscu panuje niezwykłe zimno, że raz w jednych okolicach zdarza się obfitość deszczów, to znów w innych, Możnaby powiedzieć, że nie ilość ciepła w przyrodzie zmieniła się, a więc np. po naszym klimacie sądząc, zwiększyła się, lecz że tasama ilość ciepła pod wpływem wspomnianych czynników w różnych miejscach na kuli ziemskiej w różnej występuje mierze. Tak też po naszych bardzo łagodnych zimach, nastąpią znów nieubłagane i srogie, które dobrze się dadzą we znaki.

Zbrodniarze jako literaci.

W Paryżu ogłosił ostatnimi dniami znany socjolog Raymond Hesse ciekawą książkę, oryginalną doborem współpracowników. Są nimi wyłącznie kryminalnie karani przestępcy: mordercy, zabójcy i oszuści. Autor nadał swej pracy tytuł: „Przestępcy w swojem własnem oświetleniu". Przedmowę do książki napisał prof. Grasel, zaznaczając w niej, że zebrane przez autora dokumenty tworzą wielce cenny przyczynek do badań naukowych w zakresie psychologji i psychiatrji, zwłaszcza wobec stosowanej obecnie metody.

Doświadczenie poucza, że wszyscy niemal przestępcy, zarówno podczas śledztwa, jak i później po zasądzeniu, objawiają skłonność do czynienia zapisków, odnoszących się do popełnionej zbrodni. Po większej części w zapiskach tych i notatkach, które prof. Hesse zbierał w archiwach więziennych francuskich, a także i zagranicznych. uwidocznia się chęć ich autorów do gloryfikacji swych przestępstw, do wykazania, że zostały one dokonane w warunkach, które nie tylko tłumaczą, ale rzucają pewien nimb romantyczny na ich sprawców.

Morderca Anastaj, przebywający w więzieniu La Roquette w Paryżu, podczas śledztwa komponował cały szereg wierszy i impresji, w końcu zaś zabrał się do pisania wielkiej powieści, w której znajduje się taki ustęp: „Prawdopodobnie z końcem maja będę musiał wstąpić na szafot. Warunki, w których żyję w więzieniu, nie pozwalają mi na skoncentrowanie myśli, tak, aby moje idee wypowiedzieć się mogły z całą jasnością, Pracuję z całym zapałem, ale

pomimo tego, widzę, iż znaczną część mego dzieła będę musiał zabrać z sobą do grobu".

Bandyta Peugnez, który zamordował w bestyalski sposób starą kobietę i jej siedmioletniego wnuka, pozostawił po sobie trzy zeszyty „aforyzmów", w których wypowiada bardzo idealny pogląd na świat i ludzi.

Głośny morderca Lacenaire pisywał wiersze liryczne, a morderca Abadie przedłożył władzom więziennym memoryał pod tytułem: „Reforma sprawiedliwości„. W przedmowie do niego pisze: Obywatele, zastanówmy się razem nad reformami, które są niezbędne w naszem sądownictwie i w systemie używanym przez policję. Władze nie mają na oku moralnego dobra przestępcy. Obojętnem jest dla nich czy żałuje on swej zbrodni, czy nie został przez nią duchowo odrodzony. Wydają wyroki, bo więzienia muszą być zapełnione".

Groźny morderca Tropmann, gilotynowany w Paryżu w obecności Turgniewa, układał wiersze pełne smutku i uczucia i żądał, by je pozostawiono przy nim, gdy szedł na gilotynę.

Prado, zamyślając o ucieczce z więzienia, w liście przejętym przez władze, tworzył takie projekty na przyszłość: „Po opuszczeniu więzienia osiedlę się w Paryżu. Mam nadzieję, że będę mógł zarabiać kilka tysięcy frankow rocznie przez ogłaszanie w dzinnikach historji mego życia i moich przygód więziennych".

Włamywacz Bellamy napisał w więzieniu satyrę pod tytułem „Sąd w niebie", w której święty Piotr wydaje wyrok, potępiający na sędziego, który Bellamy'ego skazał. Satyra ta zawierała wiele dowcipu i wywołała w swoim czasie senzację w świecie prawniczym.

Vacher ogłosił swoją obronę, w której w patetyczny sposób stwierdza, że popełnione przez niego morderstwo było „aktem sprawiedliwości".

Podobna w tonie jest i pozostała treść zebranych przez prof. Hessego rękopisów.

Rozmaitości

Zbrodniczy dom. W dziejach kryminalistyki wszystkich czasów i krajów trudno zapewne będzie znaleźć opisy zbrodni, równe tym, jakich się dopuściła przed niedawnym czasem zbiegła z Chicago, a energicznie przez tamtejsze władze poszukiwana wdowa Bella Guiness. Łączyła ona w sobie dar niezwykłej łagodności, pobożności i słodyczy wraz z krwiożerczymi instynktami zbrodniarki. Zwabiała ona mężczyzn do swego domu, których następnie pod wpływem nigdy nie ugaszonej żądzy krwi mordowała, a ciała ich grzebała w podziemiach swej willi.

Wszystkie jej zbrodnie otaczała głucha tajemnica i nigdy może świat by się nie dowiedział o tym, gdyby nie dziwny zbieg okoliczności.

Wdzięki Belly, którym nie mogł się oprzeć żaden prawie mężczyzna, uwiodły również i pewnego biednego robotnika, imieniem Ray Lamphere, który zapaławszy namiętnością do pięknej wdowy, oświadczył się jej, a odrzucony zemścił się na niej, podpaliwszy jej wilę. Pożar ten stał się przyczyną wykrycia zbrodni Belly.

W piwnicach znaleziono zwłoki pomordowanych wielbicieli pięknej wdowy i zwołki najstarszej jej córki, która musiała się dowiedzieć o zbrodniach matki, wobec czego ta ostatnia usunęła ją ze świata. Znajomym zaś oświadczyła, że córkę wysłała na dalsze studja do Europy.

Motywem tych zbrodni jak władze przypuszczają była chęć rabunku. Belly mordowała swych wielbicieli, a później ich ograbiała. Za zbiegłą zbrodniarką, o której władze przypuszczają, że ukryła się w którymś z większych miast Ameryki, zarządziły tamtejsze władze energiczny pościg.

* * *

Mamut pod Przemyślem. Gazety lwowskie donoszą że na Kruhelu małym pod Przemyślem natrafiono w kamieniołomach miejskich na zęby i kości mamuta. Wydobywanie odbywa się pod kierownictwem przewodniczącego stacji erchеologicznej Osińskiego. Dotychczas wydobyto ząb przeszło 2-metrowy, który jednak wskutek zasypania się ziemi, został na kilka części przełamany — oraz kilka kości. Nadmienić należy, że w okolicy znaleziono przed dwoma laty także wspaniały okaz mamuta.

* * *

Nowy środek prof. Ehrlicha. Profesor Ehrlich, mimo świetne wyniki, osiągnięte w ciągu dwuletniego stosowania wynalezionego przez siebie preparatu, znanego pod popularną nazwą „606", nie zaniechał dalszej pracy w celu wynalezienia takiego preparatu, któryby posiadał wszystkie cechy lecznicze poprzednio wynalezionego, a był mniej od niego szkodliwy dla organizmu. Jeżeli wierzyć dziennikom berlińskim, prof. Ehrlich jest już w posiadaniu środka takiego. Nosi on nazwę „914". O nowym tym środku dzienniki podają szczegóły następujące:

Po wynalezieniu preparatu „606", Ehrlich dokonał doświadczeń z 307 nowymi preparatami, starając się znaleźć taki, któryby dawał pomyślne wyniki w czasie możliwie najkrótszym, bez szkody dla ogólnego stanu organizmu chorego. Środek taki udało mu się znaleźć przy doświadczeniu z 308 ym preparatem i stąd nowy ten środek nosi nazwę „914" (606+308).

W ciągu ostatnich pięciu miesięcy prof. Ehrlich dokonał z nowym preparatem 300 doświadczeń nad ludźmi i zwierzętami i wszystkie one wypadły pomyślnie. Wynalazca nie ma na razie zamiaru dać nowemu środkowi szerszego zastosowania i z właściwą sobie ostrożnością ogranicza się do ściśle naukowych doświadczeń z nowym preparatem.

* * *

Zegar 24-godzinny. Z Paryża donoszą: Wskutek ankiety, rozpisanej przez b. ministra robót publicznych we Francji, Wiktora Augagneura, postanowiono zmienić rachubę czasu na kolejach francuskich i liczyć godziny od 0 do 24. Reforma wejdzie w życie kolejno na linjach kolei francuskich od maja do lipca. Rachuba powyższa, stosowana już w zarządzie wewnętrznym poczt i telegrafów we Francji, ma od 1 lipca objąć również wszystkie dokumenty i formularze, wydawane przez zarząd stronom.

* * *

Telegraficzne przesyłanie fotografji. Berl. Lokal-Anz. w roku ubiegłym zaprowadził pmiędzy redakcją swoją a stacją paryską pisma L'Illustration" regularny ruch komunikacyjny w celu telegraficznego przesyłania obrazów. Z początkiem roku bieżącego taką samą linję urządzono pomiędzy Berlinem a Monte Carlo. Zaraz na początku zdołano z Berlina przesłać do Monte Carlo w ciągu 15 minut doskonale odbitą fotografję księcia Monte Carlo, ubiegłej nocy zaś Lokal-Anz. w ten sam sposób przesłał do Monte Carlo widok miasta Berlina. Odległość z Berlina do Monte Carlo wynosi 1500 kilom. czyli 200 mil. List, przesłany do Monte Carlo pociągiem ekspresowym z Berlina dojdzie na miejsce zaledwie po dwuch dniach.

* * *

Śladem bandytów paryskich. Paryscy bandyci automobilowi znaleźli już naśladowców — w Nowym Jorku. W nocy na niedzielę weszło do pewnej restauracji przy ulicy 14, w najbardziej ożywionej dzielnicy, siedmiu bandytów, którzy, grożąc czterdziestu znajdującym się w niej gościom rewolwerami, zrabowali rozmaite przedmioty wartości 700 dolarów. Czterech bandytów wyniosło jej najspokojniej, wsiadło do przejeżdżającego automobilu i umknęło. Pozostali w lokalu zbrodniarze odczekali z wymierzonemi do gości rewolwerami, dopóki tamci nie uszli z łupem, następnie wycofali się i zniknęli. Policja napróżno śledzi za nimi.

* * *

Ofiary ciemnoty. Włościanin wsi Kostowiec na Podolu dowiedział się od jakiejś wróżki, aby rozporządzać djabelską mocą, trzeba zjeść serce żydówki. Miejscowy sklepikarz zgodził się sprzedać na ten cel żonę swoją za

300 rubli. Umowę tę podsłuchała 12-letnia córka sklepikarza i zawiadomiła matkę, ta zaś policję. Zaczęto pilnować. O czasie oznaczonym zjawił się chłop z narzędziami zabójstwa i razem ze sklepikarzem mieli się wziąć do rzeczy. Już nieszczęśliwa kobieta znajdowała się blisko śmierci, gdy weszła policja i zapobiegła przerażającej zbrodni. Chłopa i sklepikarza aresztowano.

* * *

Trupy z przed osiemnastu stuleci. W Pompei olbrzymi zjazd cudoziemców. Większy zjazd, niż zwykle. Nie freski przybyli oglądać. Przybyli oglądać... trupy. Trupy zasypanych przez lawę wulkanu i popiół siedmiu osób przed osiemnastu wiekami.

Odkopano rodzinę. Mężczyzna przyciska do siebie kobietę — oboje mają członki powykręcane z bólu. Dwoje dzieci ściska się na podłodze. Z drugiej strony oddzielnie dwoje ludzi również w pozach skurczonych. Zdala leży mężczyzna przyczepiony do gałęzi drzewa, na które się widocznie wdrapał, pragnąc uniknąć zalewu lawy. Drzewo się złamało i nieszczęsny runął.

Jeden ze sprytnych wydawców błyskawicznie wydał jednodniówkę z ilustracjami odkrycia i z opisem wypadku zaszłego tysiąc ośmset lat temu. Historję odkopanej rodziny opisano z takiemi szczegółami, jakgdyby opisujący był świadkiem ich życia i tragicznej śmierci. Jednodniówka jest rozchwytana.

* * *

Miljonerzy w Japonji. Kapitalizm robi w Japonji coraz większe postępy. Szczególnie od wojny rosyjskiej kraj rozwija się bardzo szybko pod względem gospodarczym. To też w Japonji jest już liczna grupa miljonerów. Obecnie jest 1018 osób, które mają ponad 1,2 miljona kor. majątku. Przed dziesięciu laty było zaledwie 441 takich bogaczów; liczba więc miljonerów wzrosła o 130 procent. Ponieważ obecnie liczy Japonja już 51 miljonów mieszkańców, przeto jeden miljoner wypada na 50 000 ludzi. Najbogatszym człowiekiem w Japonji jest baron Bitsui, którego majątek szacują na 500 do 1000 miljonów koron. Tak więc i na dalekim wschodzie tworzy się olbrzymia przepaść między garstką miljonerów a masami ludu, które w Japonji są biedniejsze niż w Europie.

* * *

Straszna tragedja. Z Wadowic w Galicji donoszą: Kazimierz Karpiel, 37 letni gospodarz w jednej z pobliskich wsi, sprzedał na targu jałówkę za 100 koron. Wróciwszy do domu położył na stole banknot stukoronowy i poszedł do obory dać bydłu jeść. Za powrotem do izby zastał dziecko, 4-letniego Stasia, bawiące się pieniądzmi, stukoronówka była podarta w strzępy. Wtedy ojciec rozgniewany i nieco podchmielony porwał nóż i odciął dziecku palce obu rąk. Na krzyk dziecka wbiegła matka, która kąpała 6 miesięczną córeczkę w drugiej izbie i poczęła opatrywać okaleczałego synka. Zawinąwszy mu okrwawione palce opatrunkami, położyła go do łóżka i wróciła do córeczki, którą zastała już utopioną w wanience. W rozpaczy wybiegła przed dom wołać o ratunek, a ujrzawszy na wierzbie przed domem powieszonego męża, padła trupem na miejscu.

Dymokrackie medykacje.

Tageśmy szczęśliwie przeżyli óno zaćmiynie słońca. Ludziska se osmolili gamby zadymionymi szybkami, jo tyż, i telo. Zaćmiynie zapowiedzieli na jednoście, ale sie spóźnili, kiej s kożdą uroczystością, zabawą albo zebraniem, bo zocątek ból haw dopiyro o jednyj. Szołech już s jankorem od katoskiyj gwiożdziorni przy bismarkturmie, aże na rynku mie dopadło. Chciołech tyż podziwać sie, co pedzą na te dziwy rostmaite zwiyrzęta, bo to pisali o ich strachu, ale tych stworów ani jako jadu nie bóło; bo kóniami sie tu nie jeździ, jino automobilami, a psy kajsik sie podziały. Możno i lepszy, bo o ćmoku bółoby sie wdepło w jakie psińco, chtórygó połno na chodnikach; bo to sie wiy, iże policaj nie widzi, co mo widzieć, jino wdycko kajindzij sznupo, kaj gó nie trza.

Wykalkulowołech se tedy, iże trza mi pojechać do Bytónia, bo tam pono miało być tyż zaćmiynie kieryjś gwiozdy śląskij; pedzieli mi tam, iże jeszczy je niewidzialne, ale bydzie cołkie.

Ale mi tyż padali o trzęsiyniu ziymi dokoła Bytónia a o tym, iże sie tam coś a kieryś tyż trzęsie, a zaś inkszy trzęsie zaś inkszymi, coby gó mogli wytrząsnąć kiej wesz s kożucha. Prawo tyż zaraza padła na wszyjskich bytóńskich mężów, bo terazki wszyjscy na komynda broją, a kiej im kieryś przygani, to wszyjscy óni wołają: „my! my zasłużeni!"... Tych zosług do djobła a trocha, ale noród jino sie dziwo a pięści wcisko w próżne kabzy, bo tych zosług napłacił już za telo. Napiyralski ból pono wdycki zdrajcą, ale kiej pana Korfantygó kupiół s makulaturą, tak tyn mu kozoł wydurkować świadectwo, iże je zasłużonym, a pan Korfanty tyż, a Zorząd bytóńskiygó Banku ludowygó tyż se kozoł publicznie poświadczyć zosługi przez swoich urzyndników za to, iże ich postyrkoł a w cyntrowyj gazycie objawiół światu, iże banki nie są do uprowianio polityki.

Takie zosługi nic nie kosztują. Gorsze je, kiej sie musi taksować dłużników albo domy do nabycio; ale tyż za takie zosługi bierze sie osobno, bo to na karty a na knajpy pono tyż trza nieco grosza. Kierymuś hnet a hnet styknie tyż, kiyj gó poszlą do piyknyj kobiyty, co sie mu zawiyszo u karku, to na raty do i piyniądze i pozór na budowa i swoje świadczynia miłosne. Ale takich przywilejów jino tyn dostąpi, chtó już na swojem zrobiół dwa razy plajta, coby u inkszych dopiyro nauczół sie gospodarować, no a dlo kobiyt swoich kamrotów ból tak fajny, iże po nocach w lakowych butach a w biołych glasejkach właziół do nich oknami.

W Mikulczycach tyż zaćmiynie a trzęsienie od żałoby, co sie przydarzyła farorzykowi: Zmarło mu nojlepsze, nojpiykniejsze jegó dziycie, śmiysznyj pamięci jinglingsferajn. Natropiół sie ś nim borok, wychowoł, ogrzywoł, no i — pochowoł; pono dzieciątku zaszkodziło mlyko od wściekłyj krowy, zwanyj hakatyzmem.

Towarzyszowi Podemskiymu udało sie s tym piyknym paragrafem 130. Sztacwald som tak dlo sławy tegó paragrafu musioł coś pedzieć, więc żądoł 20 marków. No, jak na gwołty to nieco mało, jino, iże rozsądek bół sprawiedliwy, to zrobiół fraj.

Ale bo tyż sztacwald hnet a hnet szanuje tyn paragraf. Kiej taki gieneroł od kawalerji Bernhardi wydaje książka, iże trza porządek zrobić s Francyją, a s Anglją tyż a ze wszyjskimi, chtórzy Niymcom nie chcą oddać ziymi, a w tyj książce tyż jeszczy pisze, iże siła je prawem, to sztacwaldy chowają swój paragraf 130 do aktów i padają se, iże to nie je podburzanie do gwałtów, jino czyn patrjotyczny. Bismark to i padoł: siła przed prawem, Bernhardi jino: siła to prawo. Ale kiej inksi tak padają, to sie ich zwie buksy, rozbójniki i chyto, więzi a ścino. Jo tam nie chca takich bronić, jino ech sie spamiętoł na tych, chtórych wieszają a na tych, co im wszycko wolno i pytom: po jakiymu? A co do porządku s Francją to kiejby óna chciała zrobić gó s Elzasem a Lotaryngją, tak coby na to gieneroł? A kiejby inksze norody jeszczy pokozały Niymcom hierajn? Jo im dom rada: Idą se, panie gienerale, na Marsa zakłodać kolonje s Cepelinami, bo na ziymi już wszyjscy za telo mają tyj buty wszechniymieckiyj.

Gustlik Beskuryjo.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott w Katowicach.

Nr. 17. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 27 kwietnia 1912.

KAROL EWALD.

KORALE.

(Z duńskiego.)

Było raz przed wielu, wielu laty — daleko w morzu, tak głębokiem, że wyobrażenia o tem mieć nawet nie można, i tak wielkiem, że żeglarz może jechać całymi dniami, nie widząc lądu, a mianowicie było to morze podzwrotnikowe, w którem woda jest tak samo gorąca, jak u nas w domu w ciepłej kąpieli.

Lecz tylko na powierzchni świeci słońce i ogrzewa wodę. W głębi zaś jest strasznie zimno i ciemniej niż podczas najczarniejszej nocy. I morze nie jest również jednako głębokie, gdyż na dnie znajdują się wysokie góry i głębokie doliny, zupełnie tak samo, jak na lądzie.

Otóż w tem morzu było pewne miejsce, gdzie wysoka góra sięgała od dna aż do samej powierzchni wody. Gdy się spoglądnęło do góry nie można było widzieć nic innego prócz wody i wody.

Natomiast w dole można było zobaczyć tem więcej ciekawych rzeczy.

Na stokach góry rosły mianowicie miezmierne lasy iglaste, ciągnące się na mile całe. Gdy się toczyły fale, wtedy poruszały się listki w wodzie podobnie, jak poruszają się liście drzew na lądzie. Tylko pnie drzew owych nie były tak grube i silne, jak pnie buków i dębów, i dlatego gięły się zawsze w stronę, w którą poruszały się fale.

Drzewa morskie były wyższe od drzew na lądzie, nie wyrastały jednak nigdy ponad powierzchnię morza. Bo skoro tylko ich listki dostały się na powietrze, zaraz zasychały i więdły. Gdy zaś woda była spokojna, wtedy rozszerzały się i błyszczały pysznemi barwami, czerwonemi i żółtemi, zielonemi i szaremi, podobnie jak się to dzieje w jesieni z liśćmi naszych lasów. A pomiędzy koronami drzew iglastych pływało mnóstwo ryb od drzewa do drzewa — tak samo jak na lądzie ptaki przelatują w lesie.

Lecz nie były to takie nudne, szare rybki, jak szczupak, węgorz, karp. Wiele z nich błyszczało jak złoto i srebro; jedne były błękitno-niebieskie, drugie purpurowo-czerwone. A między niemi była kolczatka, która mogła wydać się w kulę, postawić swe igły i napędzać innym zwierzętom okropnego strachu.

Bo było jeszcze wiele, wiele innych zwierząt w lesie...

A więc były tam muszle z niezmiernie śmiesznemi skorupami i ślimaki z wielkimi pstrymi domkami. A więc były tam ryby czarne jak atrament, które z olbrzymią szybkością poruszały się w wodzie w tył; raki, które również pływały w tył i cięły swemi wielkiemi nożycami, i krzywe, płaskie kraby, które pełzały bokiem, a jednak szły naprzód.

Czasem przychodziła cała trzoda, złożona z kilkuset wielkich, nieporadnych żółwi, które w lesie morskim pasły się jak krowy na łące.

Zdarzało się czasem, iż nadpływał olbrzymi wieloryb, a wtedy w lesie, przez który się przedzierał, robiło się ciemno, jak gdyby chmura zakryła słońce. A kiedy począł bić koło siebie swym potężnym ogonem, drżały drzewa w lesie, jakby podczas jakiego trzęsienia ziemi.

Raz zdarzyło się także, iż okręt płynął ponad lasem. Jeden majtek spadł z pokładu okrętu i został natychmiast połknięty przez rekina, który po tej zbrodni płynął sobie dalej z najczystszem sumieniem w świecie.

Tak, bujne i wesołe życie panowało w lesie morskim. Tylko cicho było, całkiem cicho; bo żadne zwierzę nie krzyczało, ani nie spiewało.

W środku lasu, między koronami drzew, było małe, wygodne, otwarte miejsce, oddalone niedaleko od powierzchni wody. Woda była tam ciepła i czysta, a miejsce to leżało tak, że rzadko kiedy kto do niego zaglądał.

Na tem miejscu bawiło się codziennie czworo dzieci, bawiły się tak, jak mogły i umiały.

Były one tak małe, że gołem okiem widzieć ich nie było można. A nawet gdyby je kto wziął pod szkło powiększające, miałby niemało trudu rozróżnić je od siebie, gdyby nie posiadał całej masy wiadomości przyrodniczych.

Były to bowiem cztery istoty okrągłe, przeźroczyste, z delikatnymi włoskami, lecz bez głowy, nóg, ócz i wszystkiego tego, co należy do porządnego zwierzęcia, a bez czego i człowiek nie łatwo mógłby się obyć.

Mimo to nie należały bynajmniej do jednej i tej samej rodziny. Jedna istotka pyła dzieckiem koralu gwiaździstego, druga była dzieckiem kruchy, a trzecia dzieckiem gwiazdy morskiej. Czwarta zaś była prawdziwym potomkiem ostrygi.

Pewnego dnia rozmawiały wszystkie cztery o tem, czem jak chcą być, dorosną.

— Ja chcę być rabusiem! — krzyczało dziecko gwiazdy morskiej. — Chcę ukrywać się w lesie i rzucać się na muszle i małe rybki i na wszystko, co mogę zdobyć, i ssać z nich krew do ostatniej kropli.

Mała koncha wołała:

— Ja chcę pływać sobie wokoło i pięknie wyglądać. A gdy kto zanadto zbliży się do mnie, ładnie się wtedy na mnie sparzy.

— Ja jestem przeznaczoną do czegoś wyższego! — rzekło dziecko ostrygi, bawiąc się przytem tak, jak to jest tylko możliwem, gdy się nie ma twarzy ani ócz.

— Tak? — zapytała gwiazda morska. — Skądże wiesz o tem?

— To już jest każdemu wrodzone — odpowiedziała ostryga. — Powiem wam coś: Jestem rodzajem zwierzęcia zwierzęcia domowego u ludzi. Nie uwierzycie, jak oni mnie cenią. Na brzuchu leżą wszyscy przedemną. Wielu z nich nie ma nic lepszego do roboty, jak tylko mnie hodować, pielęgnować i sprzedawać; drudzy zaś nie znają większej przyjemności, jak mnie spożywać. Ludzie budują przepiękne wielkie zbiorniki wody z kijami, abym mogła na czem się osadzić.

— Widzę tedy, iż ty służysz ludziom! — rzekła na to mała koncha. — Ale każdy ma swój gust. Jabym nie mogła usiedzieć na takim kiju.

Ostryga zaś odpowiedziała:

— Nie obchodzi mnie spokojne życie i spokojne siedzenie, dopóki nie zostanę zjedzoną.

Tylko dziecię koralowe milczało cały czas; poruszało swoje włoski w wodzie i przysuchiwało się drugim. Tamte zaś nie dziwiły się jego milczeniu, znały je bowiem z cichego usposobienia. Nie sądziły też, aby z niego było kiedyś coś dobrego. W końcu jednak rzekła gwiazda morska:

— No, mały koralu, cóż ty nam powiesz? Cóż z ciebie kiedyś będzie? Czyś myślał kiedy o tem?

— Ja nie myślę nigdy o niczem innem — odpowiedziało dziecię koralowe.

— Oho — zawołała gwiazda morska. — A czy można wiedzieć twoje myśli?

— Nie zrozumiecie mnie, choćbym nawet wam powiedział — brzmiała odpowiedź korala.

— Spróbuj! — rzekła gwiazda morska.

A mała ostryga i koncha mówiły to samo.

— Gdy dorosnę, będę budował wyspę — opowiadał mały koral.

— Co będziesz budował? — spytały wszystkie jednocześnie.

— Wyspę — powtórzył koral.

— Tanim kosztem nie pójdzie ci to — rzekła na to gwiazda morska, trzęsąc się od śmiechu. — A jakże ty to zaczniesz?

— Tego jeszcze nie wiem — rzekł koral. — Ale wyspę bezwarunkowo muszę zbudować... prawdziwą wyspę, któraby sterczała ponad wodę i któraby się z miejsca nie ruszyła, gdy o nią fale uderzą.

— Jakże ty możesz chcieć coś podobnego robić? — zawołała ostryga.

A mała koncha dodała:

— Dreszcz mnie przebiega, gdy tego słucham.

Tak wszystkie trzy drażniły korala. Ten jednak nic sobie z tego nie robił; poruszał dalej włoskami w wodzie i ciągnął dalej spokojnie:

— Ma to być prawdziwa wyspa. Wyspa z palmami i ptakami. Wokoło niej mają pływać gwiazdy morskie i konchy, a fale mają je wyrzucać na brzeg, aby leżały w w słońcu i gniły. A na wyspie będą mieszkać ludzie i jeść ostrygi.

Tu umikło dziecię koralowe. Tamtym zaś nie chciało się już go drażnić. Stały się znowu dobrymi przyjaciółmi i pływały sobie dalej po lesie, ciesząc się swoją młodością i życiem.

Po jakimś czasie dorosły owe czworo dzieci w lesie.

Ostryga dostała skorupę. Siedziała na skale na dnie morskiem i, ziewając, chłonęła w siepie wodę morską. Gwiazda morska dostała pięć kończystych ramion, które stercały w wodzie na wszystkie strony, przez co wyglądała jak gwiazda na szczycie drzewka wigilijnego. Dwa razy pewna ryba odgryzła jej jedno ramię. Lecz gwiazda morska nie robiła sobie nic z tego.

Ramię odrosło na nowo, a zwierzątko, zdrowe znowu jak przedtem, pełzało od drzewa do drzewa i stało się wkrótce gwałtownym rabusiem, o czem to marzyło iuż w swojej młodości.

Małej konsze nie poszło tak dobrze.

Pewnego dnia, gdy się bawiła w towarzystwie dzieci, została pożartą przez wieloryba, który nadpłynął z otwartą paszczą. Były wtedy w towarzystwie tysiące małych konch i wszystkie zniknęły w przepastnym brzuchu wieloryba.

A dziecię koralowe? Gdy już dorosło, odpłynęło z dotychczasowej okolicy, w której spędziło młodość i popłynęło razem z falami.

Długo błąkał się mały koral, szukając miejsca, gdzieby mógł zamieszkać. Wreszcie znalazł takie miejsce — a to po przeciwnej stronie góry. Tu nie rósł żaden las. Woda była jasna i czysta, słona i rozkosznie ciepła. Tam osiadł.

Dostał również ramiona, jak gwiazda morska, tylko o wiele więcej niż ona, a wszystkie ramiona tkwiły wieńcem około ust. Zwolna zauważył, że ze wszystkich stron twardnieje, że poczyna mieć w sobie wapno.

— Idzie czas! — pomyślał z zadowoleniem. — To początek do budowy wyspy! (Dokończenie nast.)

Helena Wimuth.

O ziemi i jej skorupie.

Weźmy pomarańczę do ręki i niech nam ona wyobrazi kulę ziemską. W takim razie skóra tej pomerańczy przedstawi nam skorupę ziemi. I jak mucha łazi po pomarańczy, tak my chodzimy po ziemy, po skorupie ziemi. Ziemię zewsząd otacza powietrze. Bez powietrza, bez tchu czyli oddychania żyćbyśmy nie mogli. Gdy się powietrze porusza jest wiatr. Powietrze jest lekkie, przezroczyste, w małej ilości bezbarwne, w dużej błękitnego koloru. Im wyżej, tym powietrze jest zimniejsze i rzadsze. Na wysokości 8—10 kilometrów już jest dla człowieka niezdatne. Dlatego na wysokich górach ludzie mieszkać nie mogą i leży tam wieczny śnieg. Powietrze gdzieś wysoko musi się kończyć, ale gdzie, na jakiej wysokości — niewiadomo.

Ziemia na niczem nie jest oparta. W wiecznym jest ruchu. Wiruje wciąż i obiega wielkie koło tak, jak to robi osoba tańcząca polkę lub walca, dookoła izby. Ruchów ziemi nie czujemy wcale, bo wszystko, co jest na ziemi, wszystko, co nas otacza, a również i powietrze kręci się wraz z nami. Tak ktoś jadący w wozie kolejowym, gdy pociąg wcale nie trzęsie, może nie czuć tego że jedzie dopóty, dopóki nie spojrzy przez okno chociażby na słupy telegraficzne, co są przy torze kolejowym.

Podobnie jest z ruchem ziemi. Po przez powietrze widzimy ogromną mnogość innych światów, innych kul. Te światy przedstawiają się nam, jako „gwiazdy na niebie“. Pilne badanie widoku nieba przekonała ludzi o ruchach ziemi.

W tym szalonym pędzie nic z ziemi nie zlatuje, nic się nie gubi. Pomimo kulistego kształtu ziemi — ludzie i rzeczy, a nawet i woda w każdym byle równym, a względnie wgłębionym miejscu na niej utrzymać się mogą. Zarówno tu, gdzie my jesteśmy, jak i po przeciwnej stronie, zarówno „u góry“, jak i „u dołu“, jak się to niewłaściwie mówi. Tę przyczynę, która sprawia, że się wszystko ziemskie przy ziemi trzyma, nazwał gienialny Newton (czytajcie Niuton) siłą przyciągania ziemi. Newton porównał tę siłę z siłą, krórą magnes przyciąga żelazo do siebie, z siłą która sprawia, że kropelki wody przystają do szkła, że cząstki byle kamienia, byle grudki ziemi trzymają się razem. Każda rzecz ma siłę przyciągania, im która rzecz (bryła, masa) jest większa, tym silniej mniejsze do siepie ciągnie. Ziemia jest ogromna, więc wszystko co przy niej jest musi się jej trzymać. Newton wytłómaczył, że dzięki przyciąganiu ziemi, spada na ziemię jabłko z drzewa, kamień rzucony do góry musi powrócić na ziemię i woda musi spływać w dół. Dzięki Newtonowi zrozumiemy też, że mówiąc, to jest niżej, a tamto wyżej, to jest u dołu, a tamto u góry, oznaczamy przez to, że pierwsza rzecz jest bliżej ziemi (jej środka), druga dalej od ziemi. Widząc to, nie wyrazimy się nigdy o jegomościu, który mieszka na przeciwnej niż my stronie ziemy, że on chodzi nogami do góry, a głową ma zwieszoną w dół: jego nogi są bliżej ziemi a więc u dołu, a głowa jest dalej od ziemi, a więc u góry.

Nasi rodacy w Paranie (w Brazilji) są na innej niż my półkuli, a chodzą po ziemi zupełnie tak samo, jak my w Polsce. A może też jakiemu ciężkomyślącemu Brazylijczykowi zdaje się, że to my właśnie wisimy głową na dół.

Ziemia cała na wylot nie jest przewiercona, nawet skorupa ziemi nie została w całości przebita. Najgłębiej dokopali się ludzie zaledwie do 2 kilometrów. A cóż to znaczy wobec tego, że do środka ziemi jest przeszło 6 tysięcy kilometrów, a żeby zaś ziemię przez środek na drugą stronę przekopać, trzeba byłoby kopać „szyb“ długości około 13 tysięcy kilometrów.

Pomimo to badanie skorupy ziemskiej dużo już pomnożyły wiedzę ludzką. Przekonano się, że skład skorupy ziemskiej jest bardzo rozmaity, okazało się, że ziemia liczy lata swego istnienia nie na tysiące, jak podaje kalendarz żydowski, ale conajmniej na miljony lat. Z badań tych okazało się, że był bardzo długi czas, kiedy wcale na ziemi istot żywych: ani roślin, ani zwierząt, ani człowieka

nie było. Pierwsze rośliny i zwierzęta były bardzo niedoskonałe, dalej się mnożąc stawały się coraz rozmaitsze, coraz doskonalsze, i coraz więcej podobne do tych, jakie teraz istnieją na ziemi. Od czasu pojawienia się początków życia do czasu pojawienia się człowieka minęły miljony lat. Najpierwszych istot nie doszukano się jeszcze i może nie doszukają się ich nigdy. Przecież o tych dawnych, wymarłych roślinach i zwierzętach sądzić można po szczątkach, jakie po nich w skorupie ziemi pozostały. Jedne pozostawiły swoje tęgie pokrzywy ciała, pancerze i skorupy, inne kości, niektóre przynajmniej odciski łap lub cielska na miękkich gruntach, które później w skałę stwardniały. Jaki ślad mogły zostawić, jakie szczątki istoty tak niedoskonałe, które pewnie nie miały żadnych twardych części, których ciało podobne było do galarety? Jeżeli zaś prawdą jest, że zmienność i zdolność do doskonalenia się właściwe są istotom ożywiającym kulę ziemską, to cieszmy się! Bo w takim razie wszystkie klęski i niedole nasze ludzkie miną kiedyś, bo my, prawom ziemi naszej, świata całego podlegli, wciąż się doskonalić musimy.

Geologia podaje zdobyte dotychczas przez ludzi wiadomości o skorupie ziemskiej i naucza jak sie brać do badań dalszych.

Jest to jedna z najbardziej ciekawych i rozwijających nauk. Widzimy do jakich ważnych rzeczy doszła, pomimo iż zadania swego w całości jeszcze nie spełniła.

Ziemie polskie pod względem geologicznym są ogromnie ciekawe i mało jeszcze zbadane. A badania geologiczne są i z tego względu ważne, że od nich zależy stan górnictwa w kraju.

Gdzie ziemia nie jest badana dokładnie, tam mogą nawet o paręset metrów pod ziemią kryć się nieprzebrane bogactwa rozmaitych kopalni — węgla, żelaza, nafty i innych, a na ziemi lud ciemny ginąć będzie w nędzy bez pracy i zarobku.

Rozmaitości

Zawalenie się szybu w kopalni soli w Bochni. Z Bochni donoszą o katastrofie przed kilku dniami w kopalni soli w szybie „Kampia", głębokim około 400 metrów.

W kopalni bocheńskiej od kilku lat prowadzi się roboty nad obmurowaniem szybów, posiadających dotąd wyprawę drewnianą. Szyb „Kampia" wyprawiono już do wysokości plisko 380 metrów, a w ostatnich 20 metrach pod ziemią natrafiono na czterometrowej grubości warstwę lotnego piasku z wodą, która pod ciężarem 16 metrowej powierzchni ziemi, posiadała prężność blisko dwóch atmosfer.

Przedsiębiorstwo „Tepege", prowadzące te prace, chcąc szyb na tej cztero metrowej przestrzeni istnego piasku oprawić w mur otoczyło piasek 30 metrowej grubości dębowymi palami, powbijanymi w twardą ziemię powyżej i poniżej wodnistego piasku zwanego „kurzawką". Te fale tak znacznego ciśnienia nie wytrzymały, powyginały się mimo podparcia i rusztowania ochronnego, aż zgniecione spadły do szybu. Ziemia zaczęła się usuwać wokół szybu w promieniu kilkudziesięciu metrów, zapadając się na 7 metrów w głąb. Znajdujące się na tej przestrzeni budynki, jak hala maszyn, młyn solny i jedna ściana kotłowni runęły, zawaliło się też całe nadszybie, a spadająca ziemia zasypała szyb na wysokości kilkudziesięciu metrów i przyległy korytarz.

* * *

Losy porwanej. W miejscowości Wank, w gubernji elisawetpolskiej, w górach, polak p. Leśkiewicz spotkał się przypadkiem u felczera ze staruszką, która przybyła do niego z prośbą o poradę. W rozmowie z felczerem staruszka do łamanego języka rosyjskiego wtrącała niekiedy czysto polskie wyrazy. Zainteresowany tem p. Leśkiewicz, zostawszy ze staruszką sam na sam, jął wypytywać ją o przeszłość i oto, czego się dowiedział:

„Urodziłam się w Polsce — opowiadała staruszka — w mieście Sochaczewie, nazywam się Teofila Krońska, ojciec był sędzią, braci miałam sześciu, z których pięciu imiona pamiętam: Jan, Władysław, Roman, Michał, Wojciech. W 1862 r., gdy miałam lat 13, poszłam zbierać maliny za miasto, w towarzystwie pewnej kobiety, która wyprowadziwszy mnie zdala od domu, sprzedała młodemu tatarowi. Ten wywiózł mnie na Kaukaz, następnie do Turcji, gdzie zmusił mnie do przejścia na mahometanizm i przyjęcia miana Meszedi, Po powrocie na Kaukaz, osiedliliśmy się w górach, między Kurdami, w osadzie Ktniełu Łaczyn, gdzie jako wdowa od 30 lat mieszkam z czworgiem dzieci, wnukami i prawnukami".

Skarżąc się na swe cierpienia, staruszka zapewniała, że jedynem marzeniem jej było i jest — powrócić do Polski i tam złożyć swe kości.

* * *

Odważny sędzia. Sędzia Beeman, z miasta Sterling, w stanie Illonois, jest obecnie najsławniejszym mężem w Stanach Zjednoczonych.

Czemuż należy przypisać tę sławę niezwykłą? Oto sędzia Beeman odważył się ogłosić publicznie, w sali sądowej, wyrok, na własną małżonkę.

Rzecz się tak miała. Sędzia przewodniczył w rozprawie przeciwko pijakowi, oskarżonemu o awantury nocne, gdy sędzina wkroczyła do sali Sądowej i zasiadła na ławie obrońców, czekając końca rozprawy, małżonek bowiem obiecał towarzyszyć do krawcowej. Rozprawa skończyła się wreszcie skazaniem pijaka na 10 dolarów kary, ponieważ zaś skazany nie mógł zapłacić tej kwoty, sędzia zmienił karę pieniężną na tydzień aresztu.

Wyrok ten oburzył panią sędzinę do tego stopnia, że zawołała głośno:

— To hańba!

— Cicho! zagrzmiał sędzia.

Sędzina wszakże nie wiele robiła sobie z tego ostrzeżenia mężowskiego i tak rozpuściła języczek, że w końcu sędzia zagroził połowicy, iż podlegnie karze, jeżeli nie zamilknie ze względu na szacunek należny sądowi.

Lecz pani sędzina nie przywykła widocznie do takiej energji ze strony męża i wyobrażając sobie, że ma go i tu pod pantoflem, rozjątrzyła sie na dobre.

— Chciałabym to widzieć! — zawołała. — Zdaje ci się, niedołęgo, że ponieważ jesteć sędzia, to każdy ulegać ci musi! Poczekajno, pokażę ci ja sędziostwo, gdy wrócimy do domu.

— Cicho! — zagrzmiał sędzia powtórnie, a gdy i to nie pomogło wygłosił:

— Za obrazę sędziego w czasie spełniania obowiązków 25 dolarów kary!

— A no, zobaczymy — ryknęła małżonka w odpowiedzi, powstawszy z miejsca i skrzyżowawszy ręce na piersiach — czy zdołasz mnie zmusić, abym tę karę zapłaciła!

Wówczas stało się coś fenomenalnego. Sędzia powstał z fotelu i zwracając się do obecnego w sali policjanta, rzekł głosem zdławionym:

— Proszę aresztować tę osobę za obrazę sądu.

Policjant podszedł posłusznie do pani sędziny, ujął ją za ramię i wyprowadził osłupiałą z sali sądowej.

Dopiero w celi aresztu policyjnego dostała sędzina ataku nerwowego i wybuchła płaczem spazmatycznym. Uspokoiwszy się zaś nieco, zapłaciła karę.

Jakkolwiek jednak zajście skończyło się tak wspaniałem zwycięstwem władzy sędziowskiej — w całym Sterlingu nie było dnia tego bezwątpienia ani jednego męża, któryby chciał siedzieć w skórze sędziego Beemana.

* * *

Pielgrzymkę po Polsce w pierwszej połowie lipca b. r. urządza Sekcja wycieczkowa krakowskiego Ogniska nauczycielskiego. Uczestnicy zwiedzą Częstochowę, Warszawę, Wilanów, Pragę, Malborg, Gdańsk, półw. Hela, Toruń, Gniezno, Poznań i Wrocław. Koszta wycieczki, obejmujące jazdę III klasą pociągów pospiesznych, jazdę II klasą parowcem po morzu, całe utrzymanie (śniadanie, obiady ko-

lacje), noclegi w pierwszorzędnych hotelach, wstępy do muzeów i zamków, tramwaje i napiwki służbie wynoszą 180 kor. od osoby.

Zgłoszenia uskutecznia się przysłaniem zadatku w wysokości 20 K najpóźniej do 5 czerwca. Liczba uczestników jest ograniczona, zatem lista może być wcześniej zamknięta. W wycieczce mogą brać udział osoby z poza sfer nauczycielskich. Zgłoszenia przyjmuje i wyjaśnień udziela p. Jan Szkodziński w Krakowie, pl. Matejki 11. Na odpowiedź należy dołączyć markę. Prócz powyższych urządza Sekcja wycieczkowa w lipcu wycieczkę do Szwajcarji, a w sierpniu do Danji, Szwecji i Norwegji.

* * *

* **Żmija w szkole.** Z Zagrzebia w Chorwacji donoszą: Z jednej z pobliskich miejscowości Zagrzebia do klasy pierwszej elementarnej szkoły wśliznęła się z ogrodu żmija, która niepostrzeżona narazie przez nikogo, pełzając ukryła się między ławkami. Obecność jej zauważyły dzieci szkolne po dłuższej chwili, aczkolwiek jednak zdawały sobie sprawę z następstw, jakie może ona pociągnąć za sobą, milczały, tak były bowiem przerażone, że nie mogły wydać ani jednego okrzyku trwogi. Jednem słowem były jakby zahypnotyzowane. Zmija tymczasem w straszny sposób grasowała wśród dzieci i dopiero po pewnym czasie udało się ją zabić nauczycielowi, gdy jeden z ukąszonych przez nią chłopców zwrócił na nią uwagę. Jak wykazały oględziny, dokonane natychmiast przez zawezwanego lekarza, bestja ukąsiła ogółem 17 dzieci. Pomimo niezwłocznego ratunku i pomocy lekarskiej troje dzieci wkrótce potem zmarło wśród straszliwych boleści. Resztę dzieci zdołano utrzymać przy życiu prawie cudem przez przedsięwzięcie radykalnych środków zapobiegawczych przeciwko ukąszeniu żmii.

Dymokrackie medykacje.

Borok Zielonkoski se zmar pono. Jegó truna przywieźli do Piykor, ale czy w nij nie bóło jino kamiyni, to już nie wiym; tak padali tyż o Kruppie, a tyż wiedzieć nie można prawie. Ale ta kalwarjo piykarsko zamknęła policaj, coby ludzi odzwyczaić od snoszynio piyniędzy tam, kaj ich moc, to ją tyż roz musza pochwolić; bo te piyniądze i tak nie szły downo Bogu na chwała a ludziom na pożytek a zbawiynie, jino na szkoda. Tak pono tyż bydzie s nowym gezelenhauzem, co gó zakłodają pon farorzyk na Staryj Wsi pod Raciborzem; to pono tyż bydzie takie chowanie synków we czci do tronu i ołtorza a panoczków i w strachu przed piekłem a pikelhaubą; ale co sie kómu prawie noleży po chrześcijańsku, tegó na Śląsku terazki ani szkoła ani kazalnica nie uczą.

Ano, kiej cyntrum je s rządem, to musi tak prawić, jak tyn rząd chce. A to sie wiy, iże tyn rząd je rostmaity. Potwiyrdziół konstytucyjo a prawa, mo je wykonywać i dować pozór, coby bóły spełnione, ale som stoi ponad prawami. Toć minister koleji Breitenbach pedzioł, iże wolno każdymu robić, co chce, ale rząd musi swoim pracownikom prawa ograniczać, bo nie mógby rządzić; to tyz, kiej inksi pracodawcy ograniczają prawa robotników a inkszych pracowników, to taki rząd musi zauknąć oczy na to, bo som daje taki przykłod kapitalistom. Tak wyglądają stróże prawa; a na to trza im płacić myto, za tako opieka płacić podatki i jeszczy dziękować na kolanach...

A haw biyda aże ścisko. „Robotniczo“ miała prawie, co pizła tyż rydachtorów od „Ludowyj“, bo ich Wojtek Pierończyk, miasto dostać od nich cosik na imiyniny, to musi jeszczy skarżyć sie, iże mu te rydachtory pozjodały wszyjskie kroszonki, chtóre mu libsty poprzysyłały na śmiergus; a to gańba takim panoczkom tak obżyrać ubogiygó chachara, co im przaje a pisze. Alech zaboczół tyż powinszowaś Wojtkowi Korfantymu imiynin, to mu choć w oktawa na końcu dzisiejszyj godki posyłom wiyrszyk, a haw życza mu jino jeszczy, coby sie nie cieszół na świadkowe skisz Meyera.

Zaboczółech tyż pedzieć jeszczy o tym nowym zosłużonym piśmie dlo ślązoków, chtóre mo wydować óna trójca albo piątka, iże to mo być pismo niymieckie. Bo óni se padają tak: cyntrowcy niymcy wydają pismo polskie, zrobili plajta i zrobią jeszczy, więc to są gupcy. Trza zrobić inakszy, polocy muszą wydać pismo niymieckie, to bydą zyski, a te wdycki sie przydadzą; a bydzie ta wygoda, iże nicht nie bydzie potrzebowoł uczyć sie czytać po polsku, bo szkoła prusko styknie, coby czytoł pismo polskie i bół dobrym — prusokiem. Już tyż ci wybawiciele zbiyrają piyniądze na to pismo; ale padoł koleksom kieryś gehajm, iże to na rajza do Ameryki dlo tegó hauptmachera, a zaś inksi padają, iże to dlo inkszygo mo być udział dlo banku, coby sie wkupić na derechtora, albo tyż na pokozanie sztacwaldowi, kiejby sie pytoł, kaj sie działy rostmaite piyniądze cysarsko-śląskie. Bo to obrachunki hnet bydą skisz tegó, iże te isne księgi zginęły a znalezione są i s uśmiechem oddane, można jeszczy lepsze jak piyrwy.

Bytońskie szmaty zaś święcą zwycięstwo. Zorząd bytońskiygó Banku Ludowegó wygnoł polityka w postaci doniesień o zebraniach towarzystw ze swoich progów i chwoli się s tym po gazytach cyntrowych. Terazki zaś Irlandjo dostała samorząd, więc bytońskie polityki dowodzą, iże to stało sie skisz ugodowości irlandczyków wobec Anglji. Isto! No, to niech se tyż zaśpiywają „Wacht am Rhein“ po polsku, to je

„Straż nad Bytónką“;

śpiywo sie tak:

W Bytóniu nad Bytónką wrzask;
Ugodzie przybół nowy blask:
Król gazyt nie pozostoł sam,
Krom sług — zastępy tworzy tam.
O, faterlandzie, cicho bądź,
Spokojnie na galotach siądź,
Bo z Polski synów — ty ich znasz
Wierna ci nad Bytónką czuwo straż.

Pan Napieralski, no, a pan
Korfanty — lubią taki stan:
Od swoich brać, co kaj sie do,
Obiycać za to beleco;
Państwowe konieczności są,
Trza na nie płacić miyniem, krwią,
A za te utropienia zaszczyt masz,
Że nad Bytónką czuwo prusko straż.

Zaś Bank Ludowy zosług mo
Hnet cołko hołda, ba, oho!
On polityki nie chce mieć
W lokalu; s listkiem darmo leć
Do urzyndników, — bo im w łeb.
Hakacie tym sie żducho w ślep.
A choć rząd wdycki woło — — —
Furt nad Bytónką błozny robi straż.

Lecz, faterlandzie, pozór dej,
Byś se nie pedzioł: „ach her jej!“
Na tako piynkno twoja straż,
Bo mógbyś łacno mieć blamaż.
Kierymuś sztacwald ostrzy nóż,
Zaś inkszym nieco gorko już;
Kiej noród im papiyry ciśnie w twarz,
Hnet djobli wezną nad Bytónką straż.

Gustlik Beskuryjo.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott w Katowicach.

Nr. 18. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 4 maja 1912.

KAROL EWALD.

KORALE.

(Z duńskiego.)

(Dokończenie.)

Pewnego dnia puścił na jednym boku pączek — zupełnie na podobieństwo drzewa. A pączek stał się maleńkim gwiaździstym koralikiem z ramionami, ustami i żołądkiem i z kawałkiem wapna w swem wnętrzu. Lecz ten trzymał się silnie starego korala i siedział na nim, jak siedzi gałąź na drzewie.

Stary koral był nadzwyczaj zadowolony.

— Wszystko idzie dobrze! — wykrzykiwał. — Teraz jest nas dwóch!

I opowiadał nowemu koralowi o wyspie, którą chciał zbudować. A nowy koral zgodził się z nim we wszystkiem. I tak puszczali ze siebie obaj pączki za pączkami, aż pewnego dnia stanęło piękne drzewo koralowe z licznemi gałęziami, pełnemi gwiaździstych koralików. Te zaś cały dzień poruszały w wodzie swojemi ramionami i zwabiały maleńkie zwierzątka, które pożerały.

Gwiazda morzka, pełzając raz obok, stanęła zdziwiona i zawołała:

— Co za śmieszne drzewo z kwiatami!

— Nie jestem żadnem drzewem — odpowiedział koral. — Jestem koralem gwiaździstym.

— Boże, i tyś to jest? — zakrzyknęła gwiazda morska. — Ale porządnie się zmieniłeś! Doprawdy, nie mogłem cię poznać!

— Ja tak samo. Teraz dopiero widzę, kogo mam przed sobą. Ale bo też rzeczywiście nie widzieliśmy się, odkąd byliśmy dziećmi. Zamierzam właśnie budować wyspę.

— Czy jeszcze ciągle myślisz o głupstwach? — spytała, śmiejąc się, gwiazda morska. — Sędziłam, iż z latami zmądrzejesz. Masz zresztą, jak widzę, towarzystwo.

— Tak — odpowiedział koral. — Są to pączki i gałęzie, jakie puściłem ze siebie... Wszystkie kwiaty, które tu widzisz, są to zwierzątka koralowe, które razem ze mną budują wyspę.

— Tak, tak! Założyłeś przedsiębiorstwo akcyjne. Jest to bardzo rozsądnem z twojej strony, gdyż sam nicbyś nie zrobił. Czy dobrze powodzi się wam razem?

— Wybornie! Lepszych stosunków rodzinnych nie można sobie wyobrazić. We wszystkiem tworzymy jedność. Pomyśl tylko: Gdy jeden z nas dobrze je, to wszyscy mamy z tego przyjemność.

— Zdaje mi się, iż uprawiacie wspólność! Ja jeżeli znajdę jaki przysmak, to wcale sobie nie życzę, aby się dostał do cudzego żołądka.

— Nie rozumiesz mnie — rzekł koral.

— Adin! — zawołała gwiazda morska. — Życzę dużo szczęścia przy budowie wyspy.

Stary koral jednak, który siedział w dole na korzeniu drzewa, szeptał do najbliższego sobie pączka:

— Ty jesteś mną a ja jestem tobą i nigdy nie możemy ze sobą się rosłączyć. Należymy wzajemnie do siebie, i mamy jeden cel przed sobą: zbudować wyspę.

Pączek powiedział to najbliższemu pączkowi, a ten podał to dalej tak, iż wkońcu wszystkie pączki na drzewie wiedziały o tem.

Podczas gdy drzewo dostało coraz to więcej gałęzi miały zwierzątka młode, które wypływały na wodę, malutkie, przeźroczyste, okrągłe istotki z delikatnymi włoskami.

Zażywały swej wolności, jak długo były dziećmi; wszystkie jednak miały na myśli wyspę. A skoro tylko dorosły, osadzały się obok starego korala, puszczały pączki i stawały się drzewami, jak on.

— Teraz nie mogę już więcej! — rzekł pewnego dnia stary koral.

Wokoło niego rósł cały las gwiaździstych korali. Białe gałęzie połączyły się silnie ze sobą, a wszystkie błyszczały maleńkimi kwiatkami gwiaździstymi. Rosły coraz to nowe pączki i w ten sposób wiele miljonów małych dzieci koralowych wyszło na świat. A korale, budując nieustannie, ciągle myślały o wyspie.

Stary koral mógł być dumnym ze swego działa. Był on bowiem praprapradziadkiem całej rodziny koralowej.

— Nie zapominajcie o wyspie! — nakazywał swoim potomkom do ostatniej chwili.

Wreszcie umarł. Woda spłukała jego ciało, lecz w miejscu, na którem siedział, pozostał na drzewie koralowem znak gwiazdy.

Minęło wiele, wiele stuleci.

Fale morza toczyły się nieustannie, słońce świeciło burza śpiewała i korony lasu morskiego poruszały się w wodzie.

Drzewa, między którymi bawiło się dziecię koralowe, zostały oczywiście dawno wyrwane i spłukane; lecz inne w ich miejsce wzrosły. Żółwie, które się tam pasły, zmarły przed wieloma laty; lecz nowe żółwie przyszły na ich miejsce. Zginęła ostryga, zginęła gwiazda morska, zniknęły także pstre ryby, które kiedyś pływały między drzewami. Olbrzymi wieloryb, który tyle małych konch połknął za jednym zamachem, został zabity harpunem i na tran ugotowany.

Lecz chociaż wszyscy poginęli, to pozostali ich potomkowie, ktorzy wyglądali tak samo jak oni i tak samo się zachowywali, tak iż nie zaszła zmiana w lesie.

Tylko tam, gdzie się osiedliło dziecię koralowe, aby zbudować wyspę, wyglądało inaczej.

Stało tam ogromne mnóstwo ław koralowych, do których przyłączały się coraz to nowe. Miljony małych dzieci koralowych wypływały w świat, powracały znowu i osiadały obok swych rodziców i przodków. Miljony zwierząt umarły. W wielu drzewach koralowych nie było ani jednego żyjącego zwierzątka, lecz wszystkie twarde zwapniałe gałęzie pełne były gwiazd tam, gdzie one siedziały.

A fale wywróciły martwe drzewa, rozbiły na kawałki i rzuciły je na inne i między inne. Zwolna całość stała się wielką, silną bryłą wapienną, która ciągle rosła; bo nowe dzieci koralowe osiadały na starych drzewach i pilnie budowały dalej.

Pewnego dnia dostały się tuż pod powierzchnię morza.

— Mamy już wyspę! — mówiły do siebie radośnie. — Gdyby był tego dożył nasz pra-pra-pradziadek!

Lecz cieszyły się nieco zawcześnie.

Bo gdy miały już wyrość ponad wodę, nie mogły. Małe zwierzątka nie mogły znieść światła słonecznego, a wszelki trud, jaki sobie zadawały, nic nie pomagał. Nie mogły wyjść dalej.

— My wam pomożemy! — orzekły wdedy fale.

I wyniosły fale z dna morskiego kilka potężnych koralowych bloków i rzuciły je na drugie.

Wyspa była gotową. Wielką wprawdzie nie była, lecz pięknie wyglądała w blaskach słonecznych, a wokoło niej, jak daleko okiem sięgnąć było, nie było nic prócz wody. Pewnego dnia przyleciała biała mewa i osiadła na wyspie.

W tym samym czasie stało się, że ziemia — wielka, okrągła ziemia, która w przestorach świata krąży koło słońca, ciągnąc za sobą księżyc — była w nadzwyczaj złym humorze. Księżyc drażnił ją ciągle i nie uspokoiła się nawet wtedy, gdy rozbiła jedną kometę w kawałki, zanim ta mogła jej opowiedziec wszystko, co widziała podczas swej wędrówki.

Gdy więc ziemia oglądała pewnego dnia swój brzuch, zobaczyła na równiku mały guz, którego dotąd nigdy nie widziała.

— Cóż to u licha jest znowu? — zawołała ziemia gniewnie.

Nie było to nic innego jak nasza koralowa wyspa. Gdy się ziemia dowiedziała, jak się to stało, rozgniewała się strasznie.

— Tego mi już zadużo! — zawołała. — Nie dość, że głupia kometa co miesiąc natrząsa się i wyśmiewa ze mnie... nie dość, że ludzie grzebią w moich wnętrznościach, robią z lądu wodę, a z wody ląd i postępują ze mną, jak się im żywnie podoba, to jeszcze takie maleństwa koralowe, których pod szkłem powiększającem trudno zobaczyć, chcą przekształcić moją figurę i sadowlą prawdziwą wyspę na moim brzuchu. Nędzne stworzenia! Lecz musimy z tem skończyć.

To rzekłszy w miejscu, w którem leżała wyspa koralowa, obniżyła dno morskie.

Strach powstał nie do opisania.

Wyspa zniknęła w morzu, a mewa, która siedziała na niej, z głośnym krzykiem uleciała w górę. Bloki koralowe zwaliły się i rozbiły. Uciekły ryby, raki, żółwie tak prędko, jak mogły, a każdy listek w lesie drżał.

Gdy się jednak woda znowu uspokoiła, szeptały do siebie zwierzątka koralowe:

— Nie zapominajcie o wyspie!

I nie zniechęcone wcale rozpoczęły nanowo budowę. Po upływie jakiegoś czasu znalazły się znowu na powierzchni wody; fale wyrzuciły potężne bloki i wysba znów była gotową.

A przecież muszę... — zawołała ziemia.

I obniżyła dno morskie jeszcze głębiej.

— Pamiętajcie o wyspie! — szeptały korale.

I po jakimś czasie znów pyła wyspa gotową.

— Czy chcecie i jesteście w stanie zawsze tak robić? — spytała ziemia.

— O, z pewnością! — odpowiedziały korale.

— W takim razie podaję się, bo widzę, że nic nie poradzę! — rzekła ziemia.

Pozostała więc wyspa tam, gdzie leżała. Korale budowały nieustannie dalej, fale rzucały coraz to więcej bloków na powierzchnię, wyspa powiększała się.

Pewnego dnia przypłynęła wielka, okrągła, brunatna istota i zapukała w bok wyspy.

— Kto tam? — zapytały korale z pod wody.

— To ja jestem! — brzmiała odpowiedź.

— Tak, ale kto? — pytały korale.

— Czy mnie nie znacie? Jestem orzech kokosowy, znany i sławny w całym świecie. Buduję wyspy, znane na mapach i w geografji. Nawet pieśni układają na moją część.

— To wszystko może być — rzekły korale — lecz my o tem nic nie wiemy. Tę wyspę zbudowaliśmy sami i nie mieliśmy nigdy czasu na śpiewanie pieśni.

— Doprawdy, nie do uwierzenia, ile to jeszcze nieświadomości panuje na świecie — odpowiedział orzech kokosowy. Czy macie na tyle ziemie, abym zapuścił korzenie i wyrósł w piękną palmę.

— Aha — szeptały korale — to jest palma!

Prosiły go więc grzecznie, aby powrócił za jakiś czas, a wtedy uczynią wszystko, aby mu dostarczyć ziemi, w którejby mógł rosnąć.

— Dobrze! — rzekł orzech kokosowy. — Powłóczę się więc jeszcze czas jakiś po morzu. Za rok łupina moja zgrubieje tak, iż zniosę wszystko.

Z temi słowy odpłynął.

Korale zaś prosiły fale, aby rośliny, martwe ryby, gwiazdy morskie, jakie czasem spotkają, wyrzucały na wyspę. Fale robiły to, a wówczas wszystko, leżąc na wyspie, gniło i zamieniało się w ziemię. Przylatywały ptaki morskie i starały się o nawóz; w nawozie była raz pestka z wiśni, która puściła korzenie i wyrosła w piękne drzewko.

Pewnego dnia przypłynęło wielkie, wydrążone drzewo. A gdy, leżąc na wyspie, gniło, wypadła z niego duża ilość nasion trawy i po jakimś czasie cała wyspa zazieleniła się pięknie. W drzewie były także dwie jaszczurki, te miały młode, a że wyspa podobała się im, zostały.

A wtedy powrócił orzech kokosowy.

— Podnieście mnie górę! — rzekł do fal.

I zakiełkował i stał się wspaniałem drzewem, Orzechy jego spadały wokoło i wkrótce stanął na wyspie cały las palm kokosowych. Ptaki budowały na drzewach swe gniazda, znalazły się także kwiaty, pszczółki i motyle.

Wkońcu przypłynął także raz człowiek w łódce.

Okręt jego zatonął, a on wiele dni błąkał się po morzu. Był bardzo głodny i spragniony, a gdy zobaczył wyspę, ucieszył się ogromnie, wyszedł na ląd, jadł orzechy kokosowe i ostrygi, a wreszcie zbudował sobie chatę, w której mieszkał dotąd, dopóki nie przybył okręt i nie zabrał go do jego ojczyzny.

A w wodzie budowały korale ustawicznie dalej, bo nigdy wyspa nie była dla nich za wielką.

— Ach, gdyby to mógł zobaczyć nasz pra-pradziadek! — mówiły do siebie.

Z krainy marzeń.

Jeden z najwybitniejszych psychologów współczesnych profesor Havelock Ellis ogłosił niedawno w wielkiem dziele wyniki swych studjów nad marzeniami sennemi, czyli jak, się zwykle mówi snami. Przedmiot przez niego opracowywany przedstawia niezwykle wielkie trudności w naukowem badaniu, które między innemi na tem także polegają, że żadna dziedzina psychicznego życia człowieka nie nastręcza tyle powodów do przesądów i nie jest w takim stopniu przesądami nasiąknięta, jak właśnie marzenia senne.

To też często wyrażano zdanie, że stopień znaczenia, jakie przypisuje się snom, jest miernikiem poziomu umysłowego ludzi. Tak np. rodzinę ilistrów nsjlepiej charakteryzuje 10, że wszyscy jej członkowie przy wspólnem śniadaniu opowiadają sobie wzajemnie sny z ubiegłej nocy, wypowiadają o nich swoje zdania, wysnuwają z nich najdziwaczniejsze wnioski, a wszystko to objektywnego słuchacza pobudzić by mogło do szczerego śmiechu. Zdaje się poprostu, jakoby dla tych ludzi mniejsze znaczenie miało rzeczywiste życie, które świadomie lub mniej świadomie przeżywają i z którego na swój sposób korzystają, aniżeli dziwactwa senne, na które oni przenoszą punkt ciężkości wszelkich zdarzeń, a więc i życia. Bo zdaniem ich wszystko, co się dzieje, jest następstwem snów, które mieli, oni lub inni, lecz przedewszystkiem oni, ze snów tych wysnuwają niewątpliwe wnioski o najbliższej przyszłości.

Faktem jest, że im mniej wykształceni są ludzie, tem

skłonniejsi są do tłumaczenia snów, a ponieważ nauka nie dała dotychczas dostatecznego wyjaśnienia zagadki marzeń sennych, przeto wyobraźnia ma w tej dziedzinie otwarte pole do działania. Przyczynia się do tego także to, że w źródłach panującej obecnie religji, zwłaszcza w starym testamencie, sny odgrywają bardo ważną rolę, co w bezkrytycznych i klerykalizmem zaciemnionych umysłach tem silniejsze wzbudza przekonanie, że należy snom przypisywać pewne znaczenie, że są one sprawą Boga, który na tej drodze zawiadamia lub nawet ostrzega swych wiernych, o przyszłych, zwłaszcza niepomyślnych zdarzeniach. Daremnie ciemnym ludziom tłumaczyć śmieszność i głupotę takiego poglądu, daremnie kościół katolicki za grzech uważa obecnie (bo dawniej kościół inaczej tę sprawę traktował) wiarę w sny obok czarów i guseł.

Sny mają znaczenie w rezultacie i loterji. Ludzie układają swoje numera jedynie na podstawie snów, swoich i cudzych, mają wyrobione w tym kierunku szablony. Śmiech porywa, gdy się widzi, jak ci biadacy podsłuchują się wzajemnie, jeżeli dowiedzą się, że ktoś miał „lepszy“ sen. Bo zdaniem ich, co „wychodzi“ na loterji, to naprzód się wyśni; jeżeli nie wyjdzie na pierwszym „cyjungu“ to niewątpliwie na następnych.

Co jest źródłem snów? Różnie o tem sądzono. Tak np. w ostatnim akcie „Zbójców“ Schillera, w scenie między Franciszkiem Moorem a Danielem wyrażona jest krańcowa sprzeczność o pochodzeniu snów; kiedy jeden mówi: „Sny pochodzą z żołądka,“ zaś drugi: „Sny pochodzą od Boga“. Uczony inaczej będzie pojmował tę kwestję, a do zbadania snów dążył będzie przez możliwie rzeczową obserwację. Przytem musi się chronić przed błędami, które łatwo sprowadza skłonność, zwykle nieświadoma, do przekształcenia i przejaskrawienia obrazu sennego.

Profesor Ellis od wielu lat nałożył sobie obowiązek, że codziennie rano spisywał będzie w możliwie objektywny i rzeczowy sposób treść snów ubiegłej nocy i materjał ten przedstawia teraz w swem dziele. Zapewnia on, że przedstawienie jego można uważać za uczciwy, żadnymi dodatkami nieskażony obraz tego, co się zwykło nazywać normalnem życiem sennem. Rozumie się samo przez się, że u ludzi obciążonych chorobami sny mają pewne stałe zabarwienie, ulegają wpływowi choroby w pewnym określonym kierunku, tak, że należałoby tu mówić o patologicznem życiu sennem.

Według sprawozdania Ellisa zdaje się także, jakoby sny u ludzi zdrowych miały wielkie podobieństwo, albo, że treść ich często się powtarza. Możnaby je przeto z niejaką pewnością i stosunkowo prosto objaśnić, a mianowicie według reguł nauk psychologicznych. Bardzo często jednak w snach obrazy i przeżycia, które ze względu na swą treść nie przedstawiają nic szczególnego, przybierają niezwykłą szatę, a do tego przyczynia się i ta okoliczność, że nikt nie może się uważać za stale zdrowego i że pewne stany chorobowe niektórych organów wpływają na życie senne w sposób, który nie dostarcza danych do wnioskowania o ich pochodzeniu.

Dlatego jeden z współpracowników pisma naukowego „Lancet“, uzupełniając wywody prof. Ellista zwraca np. uwagę na to, że wrażenia, jakich doznaje epileptyk przed napadem, wykazują łudzące podobieństwo ze zmianami, jakich w mniejszym lub większym stopniu doznają przed mioty w śnie, i zatracają one poniekąd swój zwykły wygląd a przyjmują raczej postać nierzeczywistą. Okoliczność ta pozostaje prawdobodobnie w związku z tem, że odnośna osoba zostaje niejako wyprowadzona ze swej świadomości.

Ludzie obarczeni chorobami nerwowemi, albo też histerją, mogą ulegać takim złudzeniom co do istoty swego otoczenia.

Uczucia strachu, które zdarzają się np. jako obawa przed śmiercią, albo też w łagodniejszej formie jako wyobrażenie, że musiałoby się jeszcze raz chodzić do szkoły lub zdawać egzamin, prawdopodobnie powodowane są nieregularnościami w systemie naczyniowym. Przy tego rodzaju stanach chorobowych zauważono mianowicie wypadek, że chory ma niepewne wrażenie, jakoby głowa jego skurczyła się do znikomo małych rozmiarów, a członki jego nabrzmiały do olbrzymich kształtów.

Z tem wszystkiem istota i pochodzenie marzeń sennych dlatego jeszcze będzie dla nauki zagadką; jednak materjały i studja mozolne, przez świat naukowy nieustannie prowadzone z czasem i na tą dziedzinę życia psychicznego rzucą jaśniejsze światło.

Rozmaitości

Węgiel przed 500 laty. Chociaż pokłady węgla kamiennego w Anglji nie prędko jeszcze się wyczerpią, w gazetach odzywają się od czasu do czasu głosy, które w przewidywaniu różnych okropności, mających nawiedzić ludzkość po wyczerpaniu się zasobów węgla, nawołują do oszczędności i nie marnowania drogocennego chleba wielkiego przemysłu.

Przed 500 z górą laty inaczej nieco oceniano pożytek węgla. Anglja wówczas nie wiele jeszcze wiedziała o swych bogatych pokładach węgla i kiedy przed 500 laty przywieziono po raz pierwszy z Newcastle do Londynu ładunek węgla kamiennego, to gmina stolicy wystosowała do tronu petycję o zakaz palenia w piecach „tym niebezpiecznym materyałem“. Ponieważ zakaz królewski nie powstrzymał całkowicie przewozu węgla, więc ustanowiono prawo, na mocy którego każdy, kto palił w piecu lub gdzieindziej węgiel kamienny, podlegał karze śmierci. — Tylko kilka położonych za rogatkami domów otrzymało specjalne pozwolenie na używanie „materyału przeklętego“.

Prawo, karzące śmiercią konsumentów węgla, nie zostało tylko martwą literą. Kroniki więzień londyńskich wspominają o paru obywatelach tego miasta, którym ucięto głowy za palenie węglem w swych piecach.

* * *

Pięciokrotne bratobójstwo. O niezwykle brutalnej, wprost zwierzęcej, zbrodni donoszą z miejscowości Beckerleel, położonej na północ od Brukseli. Mieszka tam wdowa Polpoe z sześciu synami i dwiema córkami. Jeden z synów jej zajmuje się gorliwie hodowlą gołębi. W piątek spostrzegł amator gołębi brata swojego, wspinającego się po drabinie do gołębnika i, podejrzywając go, że chce mu zabrać kilka gołębi, zaczął mu robić gwałtowne wyrzuty. Po stronie jego stanęła reszta rodziny, co tak rozjątrzyło ujętego na gorącym uczynku złodzieja gołębi, że porwał widły od gnoju i rzucił się z niemi na braci oraz siostry. Przerażona matka wybiegła na ulicę, wołając o pomoc, zanim wszakże sąsiedzi nadbiegli, już trzech braci brutala leżało na ziem zakłutych na śmierć, obie zaś siostry odniesły tak ciężkie rany, że wkrótce potem skonały. Pięciokrotnego bratobójcę aresztowano.

* * *

Niezwykła płodność. Z miejscowości belgijskiej Berlenx donoszą, że żona pewnego robotnika tamtejszego urodziła czworaczki, mianowicie trzy dziewczynki i chłopca. Tak matka, jako też dzieci, mają się dobrze. Poprzednio urodziła już trojaczki, dotychczas żyjące, tak, że w ciągu dwuletniego małżeństwa wzbogaciła rodzinę o siedmioro dzieci. Bardzo niezamożnemu mężowi tak płodnej niewiasty pospieszono z pomocą materyalną.

* * *

Szczątki Roberta Bluma. W dzielnicy wiedeńskiej Brigittenau przy kopaniu rowów pod fundamenty pomiędzy laskiem „Brigitta“ a nasypem kolej zachodniej znaleziono kości ludzkie, które uważane są za śmiertelne szczątki Roberta Bluma, uczestnika rewolucji 1848 r. Robert Blum na polecenie parlamentu frankfurckiego przybył z Juliuszem Fröblem do Wiednia, wioząc adres do rewolucjonistów wiedeńskich. Po zdobyciu Wiednia przez wojska Windischgrätza zarówno Blum, jak Fröbel zostali uwięzieni. Blum

został skazany na śmierć dlatego, że walczył na barykadach przeciwko wojsku cesarskiemu. Chociaż powoływał się na swoją nietykalność jako członek parlamentu, został rozstrzelany na miejscu wyżej wspomnianem. Czy wykopane kości są szczątkami zwłok Bluma, niepodobna dzisiaj stanowczo stwierdzić.

„N. W. Tag.", donosi, że Blum pochowany jest na cmentarzu na Waehringu, a w tym samym grobie leżą zwłoki Edwarda Jelowickiego, pochodzącego z zaboru pruskiego, rozstrzelanego w fosie fortecznej na drugi dzień po śmierci Bluma.

* * *

20 000 marek za łódź ratunkową. Z Meranu donoszą, że bawiący tam fabrykant nazwiskiem Aron Hirsch wystosował do gieneralnego dyrektora niemieckiego „Lloydu" list, w którym oświadcza, że składa 20 000 marek jako premję dla inżyniera, który wynajdzie łódź ratunkową motorową tak skonstruowaną, by przez jeden nacisk elektryczny sama spadała na morze i w ciągu pół minuty była gotową do wyjazdu.

* * *

Cmentarze morza. Z powodu katastrofy „Titanica" podają pisma angielskie, że mimo coraz wyraźniejszych postępów w technice budowy okrętów, morze co rok pochłania tysiące ofiar. Dokładniejsze o tem pojęcie dają cyfry statystyczne. W r. 1906 uległo zupełnemu zniszczeniu 376 parowców, o łącznej pojemności 522 292 ton. Naczelne miejsce w żałobnej liście katastrof zajmuje oczywiście flota angielska. W r. 1906 utraciła ona 166 parowców, nadto 202 okrętów żaglowych. W 187 wypadkach ogólnej liczby katastrof r. 1906, przyczyna było rozbicie okrętu, w 33 zderzenie z innym okrętem, w 11 pożar, w 26 wywrócenie okrętu, 15 okrętów przepadło bez wieści, 10 zostało opuszczonych przez załogę, 81 zaś po zbadaniu przez władze portowe uznanych zostało za „pływające trumny" i wykluczonych od dalszej żeglugi.

Co się tyczy geograficznego położenia miejsc, w których najczęściej wydarzają się katastrofy, istnieją okolice, noszące fatalną nazwę „cmentarzów morza". Należą do nich wybrzeża angielskie kanału La Manche, okolice wysp Scilly, wybrzeże kanału Bristol i kanału św. Jerzego, wybrzeża Mersey i wiele angielskich i szkockich „wjazdów portowych". Najgorszą opinię wśród marynarzy mają okolice Cap-Race na Nowej Fundlandji, które właśnie były widownią katastrofy „Titanica", oraz wybrzeża Sable-Island na południe od Cap-Breton w Nowej Szkocji. Mgły i góry lodowe stanowią największe niebezpieczeństwo tych tragicznie w dziejach żeglugi zapisanych miejscowości.

Jak stwierdzają raporty w r. 1899 dziesięć parowców uległo katastrofie wskutek zderzenia z górami lodowemi. W r. 1907 niemiecki parowiec „Kronprinz Wilhelm" w tych właśnie okolicach uległ poważnemu uszkodzeniu, w r. 1909 cztery wielkie parowce znalazły się wskutek naporu gór lodowych w sytuacji bez wyjścia. Sable-Island jest płaskim szczytem podziemnego łańcucha górskiego, który najwyższymi swymi cyplami w odległości 250 kilometrów od Halifaxu, wychyla się z powierzchni oceanu. Okoliczność, że gęste mgły przez całe tygodnie zasłaniają wyspy i że zwykła linja między Europą a Nowym Jorkiem przechodzi tylko o 40 mil morskich od Sable-Island, była już powodem wielu katastrof. W ciągu 19 wieka uległo to uszkodzeniu lub zupełnemu zniszczeniu 185 okrętów.

* * *

Baterja elektryczna w ustach. Jeden z dentystów petersburskich opowiedział współpracownikowi pisma Birżewyja Wiedomosti dziwne rzeczy o wpływie zębów sztucznych na charakter człowieka. Dentysta zauważył, że charakter ludzi noszących sztuczne zęby, wprawione zapomocą płytek metalowych, ulega niebawem ostrym zmianom. Badając tę kwestję, dentysta przyszedł do przekonania, że winien temu prąd elektryczny. Ponieważ płytki zębów sztucznych są zwykle zrobione z dwuch różnorodnych metalów, więc stanowią one elementa prądu galwanicznego, a pod wpływem śliny w ustach formuje się prawdziwa baterja elektryczna. Baterja ta, chociaż bardzo słaba, lecz ciągle działająca, drażni system nerwowy i ludzie, którzy odznaczali się charakterem najspokojniejszym, po wprawieniu zębów sztucznych stają się nerwowymi i kłótliwymi. Każdy, kto wstawił sobie zęby na płytkach metalowych, odczuwał z początku lekkie swędzenie w ustach. Wywołuje je właśnie prąd elektryczny. Ludzie z czasem przyzwyczajają się do tego swędzenia i nie odczuwają go więcej, ale system nerwowy cierpi. Obserwacja dentysty petersburskiego wymaga w każdym razie potwierdzenia ze strony lekarzy.

* * *

Telegraf bez drutu a katastrofy. Pisma londyńskie zamieszczają statystykę wypadków na morzu w ostatnim roku i podnoszą doniosłe znaczenie telegrafu bez drutu, któremu już przeszło 4000 osob zawdzięcza swe ocalenie. Ogółem w czasie tym było 542 katastrof okrętowych. Z tego przypada 173 wypadków na Anglię, 75 na Stany Zjednoczono, 73 na Norwegję, 33 na Francję, po 30 na Szwecję i Rosję; ponadto uległo rozbiciu 17 parowców włoskich, 15 hiszpańskich i 11 duńskich. W stosunku do całej floty świata, liczącej 22 000 parowców i 8000 żaglowców o ogólnej pojemności 40 miljonów ton, procent wypadków jest stosunkowo znaczny.

Dymokrackie medykacje.

Święto pracy! Bóło święto, alech pracowoł wiynkszy jak po inksze dni; bo to te paragrafy dobre są dla kapitalistów a hurapatrjotów, zaś te kiepskie dlo ubogich a tych, chtórych zowią rewolucjonistami. Pochody nom zakozane, to sie wiy. Ale kiej rostmaite ferajny za dnia albo o ćmoku s muzyką albo ze śpiewem wrocają do dom, to sie i pozwolo i bez pisma.

W sejmie pruskim uskorżali sie tyż posłowie na te postępowanie policji s prawami o zebraniach a stowarzyszyniach. Podowali tyż rostoliczne środki na to, ale wszyjscy zaboczyli o tym, iże niekierym policajom nie chodzi o prawo, jino o świadkowe.

To samo potwiyrdzo tyż kieryś urzędnik komunalny w pismach hakatystycznych, bo chce, ażeby okrom rządów i gminy dowały ostmarkenculagi. Ale jo mu padom, iże tym hnet wszyjskim panoczkom nie ostmarki, óni wolą raczej rajchsmarki; i to je tyn cołki patrjotyzm.

Niy mom dzisiok czasu na medykacje. Zaś mi przysłali sztajercetel, to musza reklamować. Bo to kiej sie fedruje to licho płacą a jeszczy s tego i sztrofy trza płacić; kiej sie strzeli tako robota, to nijak inkszą znojść, a kiej sie idzie do ruły, to loncetlów niyma. Tak nic a tak tyż nie wiynkszy. Dołbych sie już i pansjonować, aleby mi po dwu rokach udowodnili, żech już sie nałożół do niemocy a starych roków, toby mi i ta renta wziyni. A w armenhauzie woli ferwalter wszycko sobie wziońć jak dać tym, chtórym miasto a dobrzy ludzie coś przyniesą. Z organizacji nie trza wdycki brać, bo to byłaby krzywda dlo tych, co wiynkszy potrzebują. Tako i niy ma dochodów, a drożyzna gryzie kiej pies wściekły, a ty jeszczy płać za to podatki na to, coby ci wszycko jeszczy wiynkszy dopolało. Nie, na to trza reklamować. A tym, co chcą skłodki na aeroplóny, to padom, iże moje piyniądze i tak już poszły do luftu, a kiejbych je mioł, tobych kupiół raczyj presówki.

To wyboczą, żaś Im napisza wiynkszy.

Gustlik Beskuryjo.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott w Katowicach.

Nr. 19. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 11 maja 1912.

ANATOL FRANCE.

LUCYFER.

(Z francuskiego przełożył J. S.)

Tafi, florentyński mistrz pendzla i dłuta, odczuwał niezmierny strach przed złymi duchami, zwłaszcza w tych godzinach nocnych, kiedy dozwolonem jest czartom rządzić i panować w cieniach mroku. Bojaźń ta była uzasadnioną, gdyż siły piekielne miały za co nienawidzić malarzy, którzy kilku pociągnięciami pendzla psuli im połów dusz bardziej, niż jakiś tam wymowny mnieszek całymi tuzinami nauk zbawiennych. W rzeczy samej mnich zmuszonym był rozwodzić się długo i szeroko o dniu gniewu pańskiego, w którym, zgodnie z przepowiedniami Dawida i Sybilli, świat cały w perzynę się obróci. Podnosił więc kaznodzieja głos, huczał w złożoną jak tuba dłoń, starając się naśladować odgłos trąby archanielskiej. Wiatr jednak rozpraszał słabe te dźwięki. Co innego obraz na murze klasztoru lub kaplicy, wyobrażający Chrystusa, sądzącego żywych i umarłych: widok ten nieustannie przemawiał do oczu grzeszników, pobudzał ich do żalu i skruchy, a tem samem wpływał zbawiennie na obyczajność i moralność. W owych czasach znakomici mistrze przedstawiali we florentyńskich i pizańskich kaplicaeh obrazy Sądu Ostatecnego. Wzory do tych prac czerpali z opowieści Dantego Alighieri, człeka dokładnie obeznanego z teologią i prawem kanoniczem, który na własne oczy oglądał dobre i złe duchy podczas słynnej swej wędrówki po piekle, czyśćcu i niebie, dokąd udało mu się przedostać dzięki nadzwyczajnym zasługom swej damy serca. Obrazy owe były nader pouczające i wierne prawdzie, to też śmiało twierdzić możemy, iż czytanie najobszerniejszych i najwymowniejszych traktatów moralnych nie obfitowało w tak zbawienne skutki, jak oglądanie arcydzieł pendzla. Więc mistrze florentyńscy wysilali się, aby przedstawić taką naprzykład scenę: w cieniu drzew pomarańczowych, na kwietnej łące grono pięknych dam i wytwornych kawalerów prowadzi przy akompaniamęcie lutni ożywioną rozmowę o miłości, a opodal widać śmierć, skradającą się do nich ze swą nieodłączną kosą. Był to najlepszy sposób nawracania grzeszników ciała, spijających z ust kobiecych rozkosz i zapomnienie o Bogu. Aby naprawić skąpców, mistrz wyobrażał djabłów naturalnej wielkości, lejących strugę roztopionego złota do ust jakiegoś biskupa lub przeora, który ośmielił się źle wynagrodzić pracę malarza. Mieli więc djabli za co nienawidzić malarzy, zwłaszcza najcelniejszych mistrzów florentyńskich, ci bowiem przedstawiali czartów w postaci ohydnych potworów z ptasiemi lub rybiemi głowami, tułowiem węża i skrzydłami nietoperza. Przygoda Spinella daje nam wyobrażenie, jak się na to zapatrywali czarci.

Spinello Spinelli z Arezzo pochodził ze szlachetnego rodu, niegdyś skazanego na wygnanie z florencji. Szlachetność umysłu jego równą była szlachetności pochodzenia. Był to jeden z najznakomitszych mistrzów swej epoki. Wykonał on monumentalne prace w kościołach florentyńskich, a Pizańczycy powierzyli mu upiększenie murów klasztornych. Pod koniec pracowitego żywota swego, kiedy miał już sporo zaoszczędzonego grosza, zapragnął Spinello wrócić do swego rodzinnego miasta, sławnego Arezzo. Przyjęto go tam z należnymi honorami, gdyż obywatele zachowali pamięć o tem, jak za młodych lat swych Spinello, członek bractwa Panny Marji Miłosierdzia, odwiedzał chorych i grzebał umarłych podczas srogiego pomoru w roku 1383. Wdzięczni mu też byli za to, iż wiekopomnemi dziełami swemi rozpowszechnił szeroko i uczynił sławnem w całej Toskanji imię miasta Arezzo, zgotowali mu więc wielce uroczyste przyjęcie, i powrót jego podobnym był do pochodu tryumfalnego. Osiedliwszy się w Arezzo, przyjął na się Spinello, pomimo podeszłego wieku, bardzo ważne i odpowiedzialne obowiązki obywatelskie. Często mawiała mu żona:

— Jesteś zamożnym. Odpocznij, niech tworzą młodsi. Mądrze czynią ci, którzy w jesieni żywota swego zaznają dobrze zasłużonych wczasów, albowiem godzi się, by lata sędziwe płynęły w spokoju i pobożnem rozpamiętywaniu. A to malowanie, malowanie do nieskończoności, wznoszenie budowli świeckich, istnych wież babilońskich, to jest zaprawdę kuszeniem Pana Boga. Powiadam ci, Spinelo, odleci od twej duszy spokój, jeżeli nie zaniechasz pendzla i dłuta.

Tak mówiła cnotliwa niewiasta. Spinello jednak nie słuchał jej, a myślał wciąż o przysporzeniu nowych dukatów swej szkatule i nowych wawrzynów wieńcowi swej sławy.

To też, zamiast pójść za radą małżonki i zaznać rozkoszy wypoczynku, zawarł umowę z budowniczymi i z zapałem zabrał się do wykonania malowideł w Sant Angello. Zamierzał przedstawić całą historję Michała archanioła, a to wymagało umieszczenia na murze mnóstwa figur. Odczytywał stosowne ustępy z Pisma Świętego, które miały dać mu natchnienie do tej pracy, zagłębiał się w znaczenie każdego wiersza, każdego słowa. Całe dnie spędzał w swej pracowni, a nawet zasiadając do stołu, lub udając się na spoczynek, natężał myśli w kierunku swego dzieła. Wieczorami, przechadzając się u stóp wzgórza, na którem wznoszą się potężne mury i strzeliste baszty Arezzo, nie pozwalał odpocząć spracowanej swej głowie, lecz wciąż obmyślał szczegóły zamierzonej pracy.

Gdy dzieło dojrzało juz w zupełności w umyśle jego, zabrał się do szkicowania czerwonym ołówkiem na murze poszczególnych figur. Nad wielkim ołtarzem umieścił najwspanialszą, najpotężniejszą scenę: Michał archanioł stacza zwycięską walkę ze smokiem o siedmiu głowach i dziesięciu rogach, a pod stopami rycerza niebios wije się nadeptany książę piekielny Lucyfer, wyobrażony w postać najohydniejszej, jaką można sobie przedstawić poczwary. Postacie z pod pewnej ręki mistrza zdawały się wychodzić żywe, a najlepszą, najpełniejszą wyrazu była przejmująca zgrozą postać Lucyfera. Twarz jego była tak ohydną, tak potworną w swej bezsilnej wściekłości, że wżerała się głęboko w wystraszoną duszę widza, i długi czas prześladowała wyobraźnię każdego, kto chociaż raz na nią spojrzał;

nic więc dziwnego, że i twórca miał ją wciąż przed sobą, czy to na ulicy, czy w domu.

Z nadejściem nocy udał się Spinello do sypialni, położył się obok żony i zasnął. We śnie ukazał mu się anioł również piękny, jak i Michał, lecz cały czarny od stóp do głowy. I rzekł czarny anioł:

— Spinello! Jestem Lucyfer. Przypatrz mi się. Czyż oglądałeś mię gdziekolwiek i kiedykolwiek w postaci tak ohydnej i upokarzającej, jak ta, w której przedstawiłeś mię na swem malowidle?

Drżącym z trwogi głosem odrzekł sędziwy mistrz, że nigdy nie oglądał go oczami, gdyż nie był w piekle, jak Dante Alighieri, a nadał mu odstraszającą postać jedynie w tym celu, aby uwidocznić całą ohydę grzechu.

Lucyfer wzruszył ramionami, a biednemu mistrzowi zdawało się, że to całe wzgórze San-Geminiano wzniosło się nagle ku niebiosom i opadło z powrotem.

— Spinello, — rzecze Lucyfer — posłuchaj mnie i odpowiedz na me pytania. Jestem niezłym djalektykiem; wie o tem Ten, przed którego stopy zanosisz modły twe.

Spinello milczał, a Lucyfer ciągnął dalej:

— Czytałeś księgi, w których mowa o mnie, znasz więc me dzieje, wiesz, jak porzuciłem niebo, by zostać księciem wszechświata. Był to czyn potężny i byłby jedynym, nie mającym sobie równego w wiekach, gdyby nie Giganci, którzy w podobny sposób powstali przeciw bogu Jowiszowi. Widziałeś przecie tę scenę, rzeźbioną w marmurze starożytnego grobowca...

— Prawdę rzekłeś, — odpowiedział Spinello — widziałem grobowiec ten, podobny do skrzyni, w Santa Reparata we Florencji. Jest to wspaniała spuścizna po Rzymianach!

A — jednak — mówił z uśmiechem Lucyfer — nie przedstawiono tam bynajmniej buntowniczych Gigantów w postaci ropuch lub smoków.

— I słusznie — wtrącił malarz — podnieśli oni bowiem ręce na bożka pogańskiego, a nie jedynego i prawdziwego. To zasadnicza różnica. A ty, Lucyferze, podniosłeś sztandar buntu przeciw prawdziwemu Panu ziemi i niebios. Tak było niewątpliwie.

— Przypuśćmy — odrzecze Lucyfer. — Ile więc rozmaitych grzechów wkładasz za to na mnie?

— Z zupełną pewnością siedm, i to samych grzechów śmiertelnych.

— Siedm! — zawołał anioł mroków. — Znów więc liczba teologiczna. W dziejach mych siódemka owa powtarza się wciąż, a dzieje me nierozerwalne są z dziejami Tego Drugiego. Spinello, wiem, iż uważasz mię za hardego, złośliwego i zazdrosnego. Chętnie przyznam się do tych cech, lecz pod warunkiem, że przyznasz mi, iż jedynem mem dążeniem jest sława. Sądzisz może, że jestem skąpym? Niechże tak będzie. Skąpstwo — to cnota królów. Nie twierdzę również, że pragnienie użycia i rozkoszy jest mi obcem. Pozostaje jeszcze gnuśność.

Wymawiając to słowo, skrzyżował Lucyfer ręce na puklerzu, osłaniającym pierś jego; pochylił ciemne swe oblicze i wstrząsnął płomieniem włosów.

— Spinello, czyż naprawdę przypuszczasz, że jestem gnuśnym. Czyż możesz uważać mię za nikczemnego tchórza? Czy myślisz, że brakło mi odwagi, kiedym podniósł bunt? O nie: Sprawiedliwość więc nakazywałaby, byś na malowidłach swych przedstawiał mię jako nieustraszonego bojownika z dumnem czołem. Nawet względem szatana należy być sprawiedliwym. Bądź pewnym, że obrażasz Tego, do Kogo się modlisz, przedstawiając Go w walce z przeciwnikiem o postaci potwornego gada. Spinello, jesteś nieokrzesany i głupi, pomimo twych lat podeszłych; bierze mnie chęć nakręcić ci porządnie uszu, jak tępemu uczniakowi.

I ku wielkiemu swemu przerażeniu ujrzał Spinello, że przy słowach tych wyciągnął Lucyfer rękę do głowy jego. Przejęty trwogą malarz zawył nieludzkim głosem i obudził się.

Zacna pani Spinello, zbudzona nagle tym przeraźliwym wrzaskiem, spytała, co się stało. Dzwoniąc jak we febrze zębami, opowiedział malarz, że widział we śnie Lucyfera i obawia się o całość swych uszu.

— Mówiłam ci przecie — rzekła czcigodna niewiasta — że wszystkie te postacie, które nieustannie malujesz po murach kościelnych, doprowadzą cię wreszcie do szaleństwa.

— Nie oszalałem — zawołał mistrz — widziałem go wyraźnie; jest piękny, chociaż smutny i dumny zarazem. Jutro zniszczę natychmiast okropną postać, którą namalowałem, a na jej miejscu umieszczę tę, którą widziałem we śnie. Nawet wobec szatana nie wolno być niesprawiedliwym.

Nazajutrz chciał Spinello dźwignąć się z łoża, ale siły niedopisały mu; stracił przytomność i opadł na pościel. W przeciągu kilka dni trawiła go gorączka. Niezadługo wyzionął ducha.

Bezpieczeństwo morskich podróży.

Niebywałych rozmiarów katastrofa na „Titanicu", pogrążenie całego miasta-okrętu z dwutysięczną niemal ludnością na dnie oceanu, powoduje wiele umysłów do zastanowienia się nad sprawą bezpieczeństwa podróży morskich.

Przy zaprowadzeniu wielu udoskonaleń, jakie wniósł w dziedzinę żeglugi wiek pary i elektryczności, wielkie przedsiębiorstwa okrętowe chlubiły się, iż w rekordzie bezpieczeństwa pobiły ruch kolejowy co do ilości wypadków, gdy oto wypadek obecny przechylił kilkaktrotnie statystykę na ich niekorzyść. Nasuwa się mimowoli pytanie, kto tu zawinił: nauka, słaba, niedoskonała technika, czy człowiek, jego psychiczne ułomności?

Technika żeglugi ma o wiele więcej skomplikowane zadanie do rozwiązania, niż ruch kolejowy.

Człowiek przebywa żywioł dla niego obcy — wodę. Znalazłszy się w niej — tonie.

Ratuje się sztuką pływania. O ile nam się ona przydaje w morzu? Pływać na niem i łatwiej i trudniej! Łatwiej, bo woda morska przesycona solą, cięższa jest od rzecznej; trudniej, bo fala to się podnosi, to opuszcza, nieumiejętnego chłoszcze, pianą pluje w twarz. Przyrządy ratunkowe utrzymują każdego nieumiejącego pływać na powierzchni morza, ale cóż z tego, skoro zimna woda klimatów umiarkowanych szybko odbiera ciału jego ciepłotę i życie.

Kilkugodzinne przeto pływanie w morzu, które na Adryatyku może być miłą kąpielą, bod Nowym Jorkiem grozi nam śmiercią. Umiejętność jednak pływania i pasy korkowe są niezbędne; chronią one od natychmiastowej śmierci w nurtach morza przy wsiadaniu do łodzi ratunkowych.

Wyobraźcie sobie kilkunastometrową wysokość pokładu ponad wodą, fale, które powstają przy tonięciu okrętu, zamęt katastrofy! Ilu ludzi spada z drabinek sznurowych do morza. Technika posiada bezpieczniejsze środki do ratowania osób. Są to opony w rodzaju długich worków bez dna. Ale rzadko kiedy okręty bywają niemi zaopatrzone.

Przejdźmy do samej budowy okrętów.

Przed stu laty nie umiano budować parowców; okręty były żaglowe. Do niebezpieczeństw skał, lodów i burzy, przyłączało się niebezpieczeństwo od wiatru, łatwo wywracającego okręt, który utracił zdolność poruszania się kadłubem. Najmniejsze opóźnienie w zwinięciu żagla groziło straszną katastrofą. Rozbity okręt szybko napełniał się wodą jak dziurawe czółno. Dzisiaj o tych niebezpieczeństwach zapomniano.

Okręty pod wiatr żagli nie wystawiają i prawne przepisy nakazują dzielić wnętrze statków wodochronnemi ściankami, których drzwi na jeden sygnał kapitana zamykają się szczelnie i automatycznie.

Dzięki temu „Titanic" pomimo rozprucia kilku komór odrazu, jeszcze kilka godzin utrzymał się na powierzchni wody, zdołał spuścić wszystkie szalupy i naładować je podróżnymi.

Dzisiejsze okręty-olbrzymy zbudowane są z blach stalowych. Mocny szkielet żelazny wytrzymuje ciężkie uderzenia, ale cienka blacha stalowa, stanowiąca powłokę, ustę-

puje bodaj co do wytrzymałości dawnym grubym deskom drewnianym.

Niebezpieczeństwo pożaru mniejsze i większa pojemność statku, stanowi zalety nowego materjału.

Wiotkość swojej cienkiej powłoki wynagradzają okręty nowoczesne skomplikowanym aparatem, który jest niejako dla okrętu tem, czem są zmysły dla żywego organizmu. Oczy okrętu, to dalekowidzące lunety, którym podczas mgły i nocy silne reflektory oświecają przestrzeń na odległość kilkudziesięciu kilometrów. Uszy — to są mikrofony, chwytające dźwięki odległych sygnałów nieuchwytnych dla ucha ludzkiego i specjalne przyrządy, które chwytają i donoszą szum kursujących statków, rozprzestrzeniony przez wodę, która lepiej od powietrza przenosi pole dźwiękowe. Dla dalekiej mowy służą powielacze dźwięku tuby różnego rodzaju i cud ludzkiej wynalazczości telefon bez drutu.

Temu, dobrodziejstwo twórczego umysłu zawdzięcza swe życie sześćset rozbitków nieszczęsnego „Titanica", uratowanych przez „Carpathię", spieszącą, całą siłą pary na wołanie o pomoc, przeniesione telegrafem bez drutu. Gdyby była dostateczna liczba łodzi, ocaleliby wszyscy. Niestety przeciwko przepisom, zwiększającym obowiązkową liczbę łodzi na okręcie, całą siłą walczą kompanie okrętowe. Powody wiadome. Łodzie, zawieszone nad pokładem, są bezużyteczne dla transportu, przydają się tylko w wjątkowych razach, a obciążają okręt stale i zwiększają koszta przewozu. Przepisy wymagają ilości łodzi ratunkowych dla 40 prc. podróżnych, w przewidywaniu, że resztę nadeśle okręt spieszący na pomoc.

Doświadczenie pokazuje, że ta rachuba zawodzi i organizacja żeglugi morskiej postępuje w trzech kierunkach.

Z jednej strony powstają przepisy obowiązujące okręty do instalowania stacji telefonu bez drutu, z drugiej strony okaże się potrzeba większego porozumiewania kompanji między sobą, jednolitego układu żeglugi w taki sposób, żeby bliskość okrętu na linji morskiej była zawsze zapewniona.

Budowa czółen okrętowych pozostaje dla teehniki zadaniem do rozwiązania. Istnieją pomysły wodochronnych balonów, okrętów, składanych z oddzielnych pudeł, rozczepianych na wypadek katastrofy, ale idee te nie weszły dotychczas na tory praktyczne. Należy się spodziewać, że i na tem polu będziemy świadkami zdobywczego postępu.

Alfons Bielicki.

Rozmaitości

Tunel przez Kaukaz. Rząd rosyjski planuje budowę długiego tunelu przez cześć gór kaukaskich w celu połączenia kolejowego między Władykaukazem a Tyflisem. Tunel ma mieć długości 27 i pół kilom. Obecnie, chcąc jechać od Władykaukazu do Tiflisu, trzeba objechać olbrzymie półkole długości 1500 kilometrów. Nowa kolej jaka będzie przechodziła przez tunel, uprości więc linję tę, pozatem kolej ta łączyć się będzie z linją kolej transkaukaskiej i ułatwi Rosji handel z Persją.

* * *

Ilu jest żydów na świecie? Według urzędowej statystyki „Jewish Jear Book" (Rocznik żydowski) ilość żydów na całym świecie wynosi 11 081 000. Z tej cyfry przypada na Europę 8 748 000, na Amerykę 1 556 000, Afrykę 354 000, Azję 242 000, Australję 17 000. Na poszczególne kraje europejskie przypada: Rosja 5 100 000, Austro-Węgry 2 100 000, Niemcy 600 000, kraje bałkańskie 400 000, Belgja i Holandja 105 000, Anglja 90 000, Francja 100 000, Włochy 40 000, Królestwo Polskie liczy 1 800 000, z tego sama Warszawa 300 000, Warszawa zajmuje tedy pod względem ilości mieszkańców żydowskich drugie miejsce po Nowym Jorku, liczącym 800 000 żydów. W innych miastach przedstawia się lndność żydowska następująco: Wiedeń 180 000 Budapeszt 160 000, Berlin 100 000, Londyn 80 000, Paryż 50 000, Jerozolima 40 000, Kraków 30 000.

Największemi bezwzględnie gminami żydowskiemi w Austro-Węgrzech są Wiedeń i Budapeszt. Rozwój ludności żydowskiej w tych miastach przedstawia się następująco:

Rok	Wiedeń	Budapeszt
1869	51 880	41 938
1880	72 588	68 573
1890	118 405	103 317
1900	146 926	150 000
1906	175 000	169 974

Z tabeli widoczne jest, że rozwój ludności żydowskiej w Budapeszcie w ostatnich 15 latach postępował szybciej, niż w Wiedniu. W Budapeszcie mieszka 20 procent wszystkich żydów węgierskich, podczas gdy Wiedeń mieści 12,5 procent ogółu żydów, zamieszkałych w Austrji. Szybki wzrost obu gmin nie jest wynikiem naturalnego rozwoju, ale gwałtownej emigracji. Przychodźtwo na Węgrzech było znaczniejsze, aniżeli w Austrji. Jednakowoż mnóstwo żydów węgierskich przebywa w Wiedniu.

Z kraiów bałkańskich przypada na Serbję 5729, na Bułgarję 32 661 żydów, między tymi 3437 obcokrajowców (1726 mężczyzn, 1711 kobiet).

W Tunisie mieszka 62 000 żydów rozproszonych po 20 miastach i 12 wsiach; pięć szóstych części z tego przypada na 5 wielkich miast: Tunis 40 000, Bizerta 1 200, Djerba 4 000, Susa 3 5000, Sfaz 3 200. Są to głównie drobni kupcy, rzemieślnicy i robotnicy.

W roku 1900 było w Galicji ogółem 811 183 żydów, czyli o 42 338 więcej, aniżeli w roku 1890. Przyrost wynosi tedy w owem dziesięcioleciu 5 5 proc.

* * *

Po katastrofie „Titanica". Czy możliwe jest wydobycei „Titanica" z głębi oceanu? Oto pytanie, narzucające się niejako siłą faktu. Kwestję tę rozstrzygają fachowcy w sposób następujący:

Dno morskie podobnie jak powierzchnia ziemi posiada góry i doliny, skutkiem czego np. głębokość oceanu Atlantyckiego jest bardzo rozmaita. Największa głębia wynosząca 7 086 metrów znajduje się około zachodnio-indyjskiej wyspy St. Thomas, a w tem samem zagłębieniu, tylko płytszem i dalej na północ położonem, spoczywa parowiec „Titanic" na 3 310 metrów pod powierzchnią wody. Panuje tam wieczna ciemność i cisza śmierci. Swiatło białe — jak stwierdzono zapomocą bardzo czułych płyt fotograficznych — dociera tylko do 500 metrów głębokości, zielone nieco głębiej.

Ciśnienie wody jest olbrzymie. W głębokości, w której spoczywa „Titanic" ciśnienie wody na każdy cal kwadratowy wynosi 5000 funtów, a więc powierzchnia o 10 centimetrach kwadratowych znajduje się pod ciśnieniem przeszło 20 000 kilogramów. Na człowieku spoczywałby mniej więcej ciężar 20 naładowanych pociągów towarowych i gdyby człowiek został wystawiony na takie ciśnienie, działające tylko z jednej strony, zostałby zgnieciony na cienkość papieru. — Przy pomiarach spuszczano w głąb płyty korkowe. Po wyciągnięciu miały one, skutkiem nadmiernego ciśnienia, połowę pierwotnej wielkości. Podobnie dzieje się z drzewem, a stąd możemy wnioskować, jak obecnie wygląda „Titanic". Wszystkie naczynia, szafy, skrzynie zostały zgniecone, podobnie jak komory okrętowe. Zwłoki, znajdujące się w tułowiu okrętu, tworzą bezkształtną masę z rozmaitemi przedmiotami. O wydobyciu parowca niema co myśleć. Nurek dociera mniej więcej do 60 metrów głębokości, ale już tutaj skutkiem wzmożonego ciśnienia wody pracuje z wysiłkiem. Zresztą nasze środki techniczne nie wystarczają na wydobycie okrętu w takiej głębokości. „Titanic" na zawsze pozostanie na dnie oceanu.

* * *

Polacy na „Titanicu". Pisma warszawskie otrzymały od konsulatów amerykańskiego i angielskiego w Warszawie dokładną listę osób, uratowanych po katastrofie „Tytanica". Na liście tej, obejmującej kilkaset nazwisk różnych narodowości, znaduje się szereg nazwisk osób, sądząc z brzmienia, pochodzących z Polski. Brzmią one, jak następuje:

Jerzy Borowiecz, H. Borowiecz, Maryan Borowiecz, Ludwika Antoni(?), Ryszard Bary, Karolina Bystram, Florencja Koszerny, Halina Nuberek, Ireneusz Nubereg, Róża Pińska, Bereg Trzebiński, Jadwiga Tukuła, Matylda Wesz i Salomon Jaźlik.

* * *

Swiadectwo 3-letniego dziecka. Niezwykle dramatyczna scena odegrała się w więzieniu śledczem na Pawiaku Warszawie. Oto sędzia śledczy prowadzący dochodzenie w sprawie dzikiego mordu dokonanego 17 stycznia r. b. w lesie w Borzęcinach na rodzinach administracji leśnej, gdzie jak wiadomo w straszny sposób wymordowano 8 osób, z jedyną ocalałą z posgrumu 3 letnią Esterą Jankielewiczówną udał się na Pawiak dla dokonania konfrontacji.

Przed 3-letnim świadkiem przesunął się szereg ludzi, na których widok Estera nie reagowała.

Nagle na widok jednego z przeprowadzanych przed nią mężczyzn — niejakiego Wolskiego, zaczęła płakać i wołać:

— On, on zabijał tatusia i mamusię. Niechcę patrzeć, bo mnie zabije!

Krzyk ten wywołał piorunujące wrażenie na obecnych.

Zmieszany tym okrzykiem Wolski wypierał się udziału w zbiodni, niemniej jednak świadectwo dziecęce uważane jest za okoliczność niezmiernie obciążającą Wolskiego.

Wolski istotnie trzymany był za towarzysza zbrodniarzy, którzy dokonali krwawego mordu.

Między uczestnikami zbrodni, których oprócz Wolskiego było 5, znajdowało się 2 koniokradów z Borzęcina i dwóch przechrzczonych żydów.

* * *

Co w Rosji jest możliwe. Sprawa głośnego rozwodu małżonków Butowiczów przybiera coraz bardziej skandaliczny rozgłos. Obywatel gubernji kijowskiej, Rosyanin Butowicz, bez żadnego powodu przed kilku laty został zmuszony do wyjazdu za granicę przez ówczesnego jenerał-gubernatora kijowskiego, Suchomlinowa. Pośredniczył w tej sprawie były szef ochrany Kuljabko, który groził Butowiczowi zesłaniem na Sybir. W Nicei zawiadomino Butowicza, że bez żadnego udziału z jego strony otrzymał rozwód, żona zaś jego wyszła za jenerała Suchomlinowa, który był już wówczas ministrem wojny. W sprawie wydania dziecka pertraktował z Butowiczem przyszły zabójca Stołypina, pomocnik adwokata przysięgłego Bogrow, który odwiedzał Butowicza w Nicei. Butowicz wszczął jednak sprawę o krzywoprzysięstwo świadków podczas sprawy rozwodowej w synodzie. Dzięki poparciu pewnego członka Rady państwa, jednego z ministrów, otrzymał pozwolenie na przyjazd do Rosji oraz uzyskał możność powierzenia całej sprawy sędziemu śledczemu. Butowicz bawi obecnie w Kijowie, gdzie sędzia śledczy bada 50 kilku zamieszkałych tam świadków. Teraz otrzymał sędzia śledczy wiadomość z Petersburga, że dokumenty, na podstawie których synod udzielił rozwodu, zostały sfałszowane.

* * *

Nowy romans Macochowej. Z Piotrkowa piszą: Helena Krzyżanowska vel Macochowa, siedząc w więzieniu, miała się zakochać w jakimś więźniu i rozpoczęła z nim korespondencję. Władze więzienne przejęły list, adresowany do „Stasia". Jak się okazało, w sąsiedniej celi więziennej siedzi młody, przystojny więzień, któremu na imię Stanisław, a z którym widocznie w jakiś sposób Krzyżanowska zdołała się zaznajomić. Przejęty list Macochowej władze więzienne pokazały prokuratorowi.

Dymokrackie medykacje.

„Dziynnik Poznański" a jegó garda bytófisko są za koniecznościami państwowymi, to je za wojokami, flotą, kanonami, cepelinami a tym wszyjskim klimbimem, co to ołowiem a zielazem szerzy wiara, nadzieja a miłość chrześcijańsko, to sie wiy; bo pobożne cyntrum tyż je za tym, a som papiyż tyż bogosławiół wojnie, chtóro cołko Ojropa nazwała rozbojem włoskim. Ale inksze narodowcy padają, iże większość Koła polskiygó w parlamencie je przeciw powiększyniu tyj potęgi rządowyj. No, dobrze, jo bych ta i wierzół w to, ale mogli se tyż wybrać ku tymu inszygó panoczka do komisji, coby tak, kiej nasi, gosowoł przeciw. Ale wybrali tak, kiej ci, którzy na wyborach posuchali kierygóś żyda na Grundmańskiej; bo tyn napisoł w swoim oknie „Welen Zy", a kiej sie podziwało, kogó stowio na kandydata, bóło tam napisano: „ajnen fon dizen sztoffen." Kiej tak bydzie przy trzecim czytaniu, to bydzie swąd, a kiej przyńdzie uchwolić nowe podatki na te wydatki, to s tegó „języczka u wagi" zrobi się do cna Koło, ale nie polskie, jino — młyńskie.

Terazki pan Wojtek Korfanty bydzie opowiadoł, iże to skisz tegó tako tam ostuda, bo jegó już niyma w parlamyncie. Jegó księgi handlowe już pono w szyku, tegó isnygó świadka w swojej sprawie podoł do sztacwalda, terazy mu już nie trza urlopu ze sejmu, to se tyż tam pojechoł, bo sprawa tam bydzie ważna; chodzi o podwyższynie dyjet poselskich i wolno jazda baną w cołkich Prusach. Tak, to borok musi jeździć jeszczy automobilem; pono na koszt swojygó pana.

Ano, ugodowcy swoje a rząd swoje. Zaś już zapowiedzieli ministry wywłoszczynie, ale zmiana kursu w polityce antypolskiyj jest. Bo okrom tegó wywłoszczynia uchwolą jeszczy kolonizacyjo na Stare Prusy a na Śląsk a na Pomry, zaś coby sie polokom samym nie cniło, to i na duńczyków w Szlezwiku ją wymedykowali. A kiej te sto miljonów pójdą za okno, to sie znojdzie i wiynkszy na Brandenburgjo a Nadrenjo s Westfalją, bo sam tyż już hakata wyszniupała za telo niebezpieczyństwa polskiygo; tam jeszczy tyż bydą wprowadzone westmarkenculagi, bo inakszy, toby patrjoty niymieckie tyż poszły do rewolucjonistów przeciw rządowi. A kiej sie spisy ludności już tak pofałszuje, co już wcale poloków nie bydzie, te se patrjoty niymieckie wymedykują innermarkenculagi przeciw wszyjskim wrogom wewnętrznym. Jo to wim, bo jużech za telo wyprorokowoł; tak jino przykłodom do tegó, co gewerki kręcijańskie miały szpiclować, a to tyż tak bóło, bo te rostoliczne wyroki sądów na strejkujących to jino wszycko skisz tegó szpyclowanio a denuncjacji.

Aleć szpyclowanio tu już dziecka uczą rechtory pruskie. Bo to sie wiy, iże te byldowane panoczki hnet a hnet wypytują dziecka o to, co sie w dómu dzieje, a miasto nauki opowiadają bery o starym Frycu a inkszych tymu podobnych bogach. Dziecka nie mogą dobrze po niymiecku; i tak cołko nauka przez ośm roków marnuje dzieckom czas a zdrowie. Kiejby te dobre panoczki nie pytali, jak w dómu mówią a do chtórych ferajnów tam należą, jino, co jedzą a jako tam biydą, i to meldowali kaj należy, to bółoby można nieco lepszy. Ale tak to przez tako szkoła jino ostuda a zgorszynie. Som minister wdycki padoł, iże system szkolny pruski je dobry, ale terazki już chce, coby odbywali „nachhylfeunterycht", to je, gónili to, co zmitrężą przez szpiclowanie, a bery, a elternabendy, a deklamacje na rostmajte hurafesty a inksze wiecy.

Zaś ta isno policaj to je do szpyclowanio politycznygó tyż dobro a na bezbronnych tyż. Ale kiej roz na Śląsku szukali morderców, to ci pili na dole, a policaj piła na wierchu, bo szukać takich panoczków, co strzylają, to trudno. Tako odwoga, to sie jino pokazuje tym, co strzylają z tytki od papirosów; tych sie i bije i psa na nich puści; zaś ci isni zbóje jadą do Ameryki, bo tam ich inksi mogą chycić. A zaś szmaty hakatystyczne śmieją się z francuzów, iże ci ordery dają swoim policajom, którzy zastrzelili bandytów automobilowych i r'zą te szmaty, iże tam telo wojoków ziyni do pomocy na brauningi. A wiele tysiąców wojoków a inkszych pikelhaubów z maszyngwerami idzie w Prusach na obywateli bezbronnych? Na to se te lagramenciny nie spamiyntają. A jakie ordery a pochwały a premje dostają ci, co nojwiynkszy nasiekli — uciekających? To te szmaciska tyż już zaboczóły?

Gustlik Beskuryjo.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott w Katowicach.

Nr. 20. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 18 maja 1912.

MAKSYM GORKIJ.

BAJKA.

Niema piękniejszych bajek nad te, które tworzy samo życie.
Andersen.

W Genui, na małym placu przed dworcem kolej zebrał się gęsty tłum ludu, — przeważają robotnicy, nie brak jednak i osób dostatnio ubranych i dobrze odżywionych. Na czele tłumu — członkowie rady miejskiej. Kołysze się w powietrzu piękny, wyszyty jedwabiem sztandar miasta, a obok niego powiewają różnobarwne sztandary organizacji robotniczych. Szeleszcze jedwab i szumi uroczyście nastrojowy tłum, jak gdyby chór, co śpiewa półgłosem.

A nad tem wszystkiem wznosi się na wysokiem piedestale piękny pomnik Kolumba, który tyle wycierpiał za to, w co wierzył, i zwyciężył — gdyż wierzył. I spogląda ze swej wysokości na ludzi, jak gdyby chciał im rzec:

Zwycięstwa ci jedynie odnoszą, co wierzą!

U stóp jego, dokoła piedestału rozłożyli muzykanci trąby miedziane, a miedź błyszczy na słońcu jak złoto.

Wznosi się półkolem ciężki, marmurowy budynek stacji, roztoczył swe skrzydła, jak gdyby chciał objąć ludzi. Donosi się z portu ciężki oddech parostatków, plusk obracającej się w wodzie śrupy, brzęk łańcuchów, rozlegają przeciągłe gwisdawki i okrzyki; na placu cicho i duszno, wszystko zalane palącem słońcem. Z balkonów i okien wyzierają kobiety z kwiatami w rękach i świątecznie odziane, podobne do kwiatów, dzieci.

Rozlega się gwizdanie wpadającej do stacji lokomotywy — tłum drgnął; jak czarne ptactwo, wzniosło się ponad głowami kilka zmiętych kapeluszy, muzykanci wzięli swe trąby, jacyś poważni, starsi ludzie występują naprzód, zwracają się twarzami do tłumu i mówią coś, żywo wymachując rękami,

Powoli, nie spiesząc się, rozstąpił się tłum, tworząc szerokie przejście do ulicy.

— Kogo to spotykają?

— Dzieci z Parmy.

Tam w Parmie — strejk. Pracodawcy nie chcą ustąpić, robotnikom ciężko, i oto — zebrali swą dziatwę, która poczęła już z głodu chorować, i wysyłają ją do towarzyszy genueńskich.

Z poza kolumn dworca kroczy dziwny pochód małych ludzi; — są nawpół odziani, i w łachmanach swych czynią wrażenie jakichś istot kudłatych, tak kudłatych, jak jakieś nieznane zwierzątka. Idą, trzymając się za ręce, po pięcioro w szeregu — takie maleństwa zapylone i widocznie bardzo znużone. Twarze mają poważne, lecz błyszczące życiem i jasnością; gdy muzyka zagrała na ich spotkanie hymn Garibaldiego, po ostrych, chudych i wygłodzonych twarzyczkach przebiega wysoły uśmiech zadowolenia.

Tłum wita tych ludzi przyszłości ogłuszającymi okrzykami; sztandary pochylają się przed nimi, grzmią trąby — nic więc dziwnego, iż dzieci są cokolwiek oszołomione tem przyjęciem; cofnęły się na krótką chwilę, zaraz jednak wyciągnęły się, jakby podrosły w górę, zbiły się, jakby w jedno ciało, i nagle ulatuje z setek piersi jeden wielki okrzyk:

— Niech żyją Włochy!

— Niech żyje młoda Parma! — grzmi tłum, rzucając się ku dzieciom.

— Niech żyje Garibaldi! — wołają dzieci i wbijając się szarym klinem w tłum nikną w nim.

Z okien hotelowych, z dachów domostw powiewają, jak białe ptaki, chusteczki; sypie się stamtąd na głowy tłumu deszcz kwiecia, rozlegają się wesołe, gromkie okrzyki.

Wszystko miało wygląd świąteczny, wszystko ożyło, nawet szary marmur zdawał się zakwitnąć jakiemiś jaskrawemi plamami.

Furkocą sztandary, wzlatują w górę kapelusze i kwiaty, a ponad głowami dorosłych wykwitły małe główki dziecięce, wznoszą się malutkie rączki, chwytające kwiaty i zasyłające pozdrowienia, a w powietrzu grzmi wciąż bez przerwy potężny okrzyk:

— Nich żyje socyalizm!

— Niech żyją Włochy!

W mgnieniu oka tłum porozchwytywał dzieci na ręce; siedzą maleństwa na plecach dorosłych, tulą się do szerokich piersi surowych wąsali; ledwo słychać tony muzyki tak ją zagłuszają śmiechy i okrzyki.

W tłumie przebiegają kobiety, zabierają pozostałe dzieci.

— Dwoje bierzecie, Anito?

— Tak; a wy także?

— I jeszcze jedno dla beznogiej Małgorzaty.

Dokoła wesołe zamieszanie, wszędzie świąteczne twarze, dobre szczere oczy. Tu i owdzie dzieci strejkujących gryzą cukierki, żują chleb.

— Za moich czasów nie wyślano nawet o tem! — mówi jakiś starzec z ptasim nosem i z papierosem w ustach.

A to takie proste!

— Doprawdy, proste i rozumne.

Starzec wyjął papierosa z ust i, westchnąwszy, strącił popiół. Ujrzawszy obok siebie dwóch chłopczyków z Parmy, zapewne braci, zrobił groźną minę, napuszył się, — chłopcy spojrzeli nań poważnie, — nasunął kapelusz na oczy, rozłożył ręce, — chłopcy przytuliwszy się jeden do drugiego, nachmurzyli się i odstąpili krok wstecz,— starzec zaś przysiadł do ziemi i zapiał głośno, jak kogut. Dzieci wybuchnęły śmiechem, tupiąc bosemi nóżkami po bruku, a starzec wstał, poprawił kapelusz i, powiedziawszy sobie w duchu, iż uczynił wszystko, co mógł, oddalił się, kołysząc się na niepewnych nogach.

Jakaś garbata siwa kobieta o twarzy czarownicy z twardem, siwem uwłosieniem na brodzie stoi u podnóża posągu Kolumba i płacze, ocierając czerwone oczy końcem zmiętego szalika. Ślepa kaleka czuje się tak bardzo sama wśród tego wesołego tłumu.

Tanecznym krokiem idzie czarnowłosa genuenka, prowadząc za rączki siedmioletniego chłopaka w drewnianych trepkach i szarym kapeluszu.

Cchłopak potrząsa główką, chcąc zsunąć kapelusz w tył, ten jednak nieposłuszny wciąż spada mu na nos; kobieta zrywa nagle kapelusz z małej główki, i wysoko nim potrząsając, śpiewa i śmieje się, chłopak zaś patrzy na nią, zadarłszy główkę, cały, jakby zamieniony w uosobienie śmiechu, potem skacze co sił, starając się dosięgnąć kapelusz. Oboje nikną w tłumie.

Wysoki mężczyzna w skórzanym fartuchu, z dużemi obnażonemi rękami trzyma na plecach sześcioletnią dziewczynkę i mówi do kobiety idącej obok niego i prowadzącej za rączkę małego, jak ogień rudego chłopaka:

— Ccy wiesz, jak przyjdzie co do czego, trudno nas będzie przełamać!

I głośno, radośnie się śmiejąc, podrzuca zlekka w górę małe swe brzemię i woła:

— Niech żyje Parma!!

Rozchodzą się powoli ludzie, prowadząc lub niosąc dzieci. Na placu zostały zmięte kwiaty, papierki z cukierków, wesoła gromadka ulicników, a nad tem wszystkiem szlachetny posąg, posąg tego, co świat nowy odkrył.

A z okolicznych ulic, jak z olbrzymich trąb, płyną wesołe okrzyki tych, co idą na spotkanie życia nowego

Jak uwolniliśmy dziesięciu więźniów.

Zamieszczamy tu opis świetnego epizodu minionej rewolucji w Królestwie Polskiem, skreślony przez akcję jej kierownika. Opis ten wyjmujemy z nowego miesięcznika lwowskiego „Placówka".

Czytam, że Bakaj popisuje się w Paryżu „sensacjami", na temat znanego wywiezienia dziesięciu więźniów z Pawiaka. Wywiezienie to, według Bakaja, miało być dziełem Grüna, Konstantinowa i Meyera, którzy całą akcję z P. P. S. omówili i ułożyli, aby w ten sposób spozyskać jej względy i odwrócić od siebie oręż jej „bojówki". Nie wiem, po co Bakajowi potrzebne są te łgarstwa; prawdopodobnie gdy wyczerpał mu się materjał istotnych rewelacji, pragnie spieniężać zwoje zmyślenia i bzdurne plotki „ochranne". Ale ta jego bajka jest zbyt głupia: bo przecież nikt nie uwierzy, że kilku „poważnych członków P. P. S." mogło pójść do mieszkania Grüna, aby się z nim naradzać, każdy wie, kto to byli Grün i Konstantinow (zgładzeni właśnie przez P. P. S.).

Gaponady, Azefiady, Bagrowiady itp. historje takim „historykom", jak Bakaj, każą wszędzie doszukiwać się policyjnych sprężyn albo poprostu — zmyślać je. Ale nasz ruch rewolucyjny, na szczęście, był wolny od takiej zarazy: mieliśmy zdrajców, prowokatorów, bandytów, ale nigdy policyjne intrygi nie wpływały na naszą taktykę, nigdy nie wchodziliśmy w takie czy owakie stosunki z ochraną dla dokonania jakiejś akcji.

Mniejsza jednak o łgarstwa Bakaja. Dam tu krótki opis owego wywiezienia towarzyszów — a opis ten niech sam świadczy za siebie.

W marcu 1906 r. jeden z tow. wystąpił z projektem, żeby „hurtownie wyprowadzić z Pawiaka więźniów, mających gardłowe sprawy, bo oskarżonych o udział w akcjach bojowych. Zaczęły się przygotowania. Pracy w przygotowanie trzeba było włożyć niemało. Postanowiliśmy więźniów uwolnić „legalnie", w roli władzy, która ma wszelkie do tego prawo, trzeba więc było dla oficera żandarmskiego i jego orszaka przygotować odpowiednie uniformy i uzbrojenie, wyćwiczyć się należycie, aby rolę grać bez zarzutu, sumiennie i łudząco sfałszować rozkaz wydania więźniów w nazze niezawodne ręce, ułożyć plan odwrotu w razie niepowodzenia i — o wiele przyjemniejszy — plan tego, co wypadnie robić po tryumfalnym wyjeździe z Pawiaka... Słowem, mnóstwo było szczegółow i dużo też ludzi, potrzebnych do wykonania akcji, a w różnym stopniu wtajemniczonych. Szable dla policjantów otrzymaliśmy od towarzyszy z organizacji wojskowej, artylerzystów. Ja, upatrzony na kierownika wyprawy, otrzymałem szynel, kurtkę, szablę i ostrogi od pewnego towarzysza oficera. Resztę potrzebnego przyodziewku sporządziliśmy własnem sumptem, przyczem, gwoli oszczędności, policjanci pod szynelami mieli całkiem cywilne tużurki. Tow. oficer wymustrował nas należycie, nauczył nas, jak mamy chodzić, stać, siedzieć, abyśmy wyglądali po ludzku... przepraszam, po żandarmsku. Byliśmy gotowi. Czekaliśmy tylko, żeby nie spotkać na Pawiaku sekretarza Pińczuka, ajenta ochrany i wielkiego spryciarza, który mógł nam pokrzyżować plany. Pińczuk lada dzień miał opuścić Pawiak i przenieść się do Włocławka na wyższą posadę (zginął tam, niebożę, z rąk P. P. S. na stanowisku naczelnika więzienia). Nareszcie przyszła wiadomość, że Pińczuka niema. Wieczorem tedy 27 kwietnia zebraliśmy się w pewnem mieszkaniu, przebraliśmy się, jeszcze raz przypomnieliśmy sobie, co każdy ma robić. Było nas 7: 6 policjantów, w tej liczbie 2 inteligientów i 4 robociarzy, i ja, rotmistrz żandarmski, baron von Budberg. Nazwisko niemieckie obrałem sobie, by usprawiedliwić moją wymowę niezbyt „iście-rosyjską". Przypomniałem sobie to nazwisko z pamiętników Sieversa, który opowiada, że jakiś baron von Budberg tak spodobał się szlachcie lubelskiej, że obdarzyła go licznymi podarunkami. Chciałem więc być tak „sympatycznym" jak ów Budberg i wywieść z Pawiaka swój podarunek...

Tegoż wieczora pewien tow., obdarzony głosem a la Meyer, za telefonował do kancelarji więciennej, że w nocy przepędzie rotmistrz żandarmski w celu przewiezienia 10 więźniów do X. pawilonu.

Dodam nawiasowe, że oprócz tych 10 ciu zamierzano jeszcze z początku wywieźć 2 prowokatorów, siedzących na Pawiaku, aby załatwić się z nimi „Sądym polowym"... Z różnych jednak powodów myśli tej zaniechano, między innemi dlatego, że obawiano się, iż karetka więzienna będzie zbyt ciasna dla 18-tu osób.

Zbliżała się pora. Wypiliśmy po kieliszku koniaku „na powodzenie". Obecny przy tem CKR-owiec dał nam swe błogosławieństwo. Nagle z przerażeniem zauważyłem, że pendenty od szabel moich „policjantów" są żółte, jak wypada nosić artylerzystom, ale nie wypada — policjantom. Czemprędzej tedy zacząłem je smarować fiksatuarem, licząc na to, że noc dopełni mego czarnego dzieła... Wyruszyliśmy. Aby nie zwracać uwagi stróża, otworzyliśmy podrobionym kluczem drugą bramę (dom był przechodni). Na rogu przywołałem stójkowego. — Czewo izwolitie, Wasze Wysokorodie?" — Kazałem mu sprowadzić dwie dorożki. Dorożkarze nie bardzo lubią jazdę z policyjnymi pasażerami, ale uderzenie w kark przekonało ich o słuszności Tołstojowskiej z sady „niesprzeciwiania się złu". Podjechały więc dwie dorożki. Do jednej wsiadłem ja z dwoma tow. policjantami, do drugiej reszta orszaku. Zajechaliśmy pod Pawiak. Było już koło godziny 2 ej po północy. Zadzwoniliśmy Czekaliśmy dość długo, zaczęliśmy się niecierpliwić. Nareszcie strażnik wyjrzał przez okienko i usłyszałem jego głos: otwieraj prędko, pan oficer czeka...

Kilka kroków i znalazłem się w kancelarji. Policjanci siedzieli na schodkach na podwórzu i palili papierosy, czekając dalszego biegu wypadków, ewentualnie w razie niebezpieczeństwa mego alarmowego strzału. Przyznam się, że tak przejąłem się swą rolą, że nie miałem żadnej tremy! Dyżurnym był pomocnik naczelnika więziennego, starowina Maculewicz. Wręczyłem mu rozkaz, pisany na maszynie, z bardzo „przekonywająco" zrobionym podpisem oberpolicmajstra Meyera. Maculewicz przyjął go do wiadomości, zrobił jednak uwagę, że otrzymali rozporządzenie, aby jednego z więźniów, wymienionych w rozkazie, Czarneckiego, dostarczono o godzinie 10 do sądu. Odpowiedziałem, że to mnie nic nia obchodzi i że odeślą go z X-go pawilonu. Maculewicz kazał starszemu strażnikowi Ciupińskiemu zbudzić więźniów i sprowadzić ich „so wsiemi wieszczami" (ze wszystkiemi rzeczami). Jednocześnie wydał polecenie, aby zaprzężono karetkę więzienną. Ubolewał jednak, żem nie wziął „swojej" karetki i koni z ratusza, bo, jak mówił, pawiackie konie są tak spasione, że „chodzą jak krowy". Radził mi też, bym wiął z Pawiaka do pomocy żandarmów

konnych, bo eskortę mam zbyt szczupłą. Odpowiedziałem krótko, — junacko, że dam sobie radę. Zacząłem przynaglać Maculewicza, żeby więźniów prędzej sprowadził. Ciupińskiemu ostro wyraziłem niezadowolenie, że pozwala więźniom guzdrać się. Oczywiście, zbudzeni ze snu więźniowie nie kwapili się wcale z wyjazdem, bo poza murami Pawiaka tylko gorszego losu mogli się spodziewać. A to trzeba było istotnie śpieszyć się, bo nuż — odezwie się dzwonek telefoniczny z Ochrany (miałem przygotowane nożyce, aby przeciąć drut, ale nie mogłem tego zrobić, bo ciągle po kancelarji kręcili się albo zaglądali z kurytarza strażnicy i żandarmi; z tego też powodu nie mogłem zwędzić ze stołu różnych papierów, które mnie intrygowały). Nareszcie sprowadzono więźniów, spojrzałem na nich tak, jak szanujący się żandarm spoglądać powinien, to jest wzrokiem badawczym i bystrym. Znałem kilku z nich, ale tylko jeden mnie poznał: patrzał na mnie swemi czarnemi oczyma, w których malowało się: zdumienie, wzruszenie, jakaś pieszczotliwa wdzięczność. Na szczęście nie zdradził się żadnym gestem. Zauważyłem, że jeden z więźniów trząsł się ze strachu jak liść. Wśród więźniów było 7 P. P. S.-owców, 2 proletarjatczyków i 1 endek, oskarżony o zamach na tle bojkotu szkolnego (bojówka n-decka, prócz „walk bratobójczych", uprawiała jeszcze, chociaż w skromnych rozmiarach, „teror szkolny").

Poleciłem Maculewiczowi spełnić obowiązek „pierekliczki" (wywołania więźniów z nazwiska), poczem zostawiłem pokwitowanie! „10 człowiek priniał. Rotmistr baron von Budberg" a że pióro było złe, z gniewem rzuciłem je na podłogę.

Wyszliśmy. Więźniowie szli wzdłuż szpaleru strażników, żandarmów i żołnierzy (na Pawiaku stała rota żołnierzy).

Przywołałem swego „starszego" — Sidorow!... Podbiegł, doskonale grając swą rolę: w miarę służbista, w miarę spoufalony. Dałem wskazówki, jak rozmieścić się w karetce. W jednym przedziale siedziało sześciu więźniów, w drugim czterech więźniów i dwóch strażników, z tyłu i na koźle obok woźnicy usadowiło się dwóch strażników. Zamknąłem karetkę i klucz oddałem „starszemu". Otworzyły się wrota... Wsiadłem do dorożki, która stała przed Pawiakiem, i kazałem jechać za karetką. Dopiero wtedy uprzytomniłem sobie, żem przebył awanturę dość niebezpieczną, i zrobiło mi się wesoło na duszy. Jechałem jakiś czas za karetką, a gdy ona wjeżdżała w odludną dzielnicę, kazałem dorożkarzowi zawrócić na inną drogę. Byłem już niepotrzebny. Wysiadając z dorożki, dałem dorożkarzowi rubla i powiedziałem mu wesoło po polsku: Jedź bracie i nie oglądaj się za siebie. Dorożkarz spojrzał zdziwiony, ale ukłonił się i odjechał coprędzej.

Tymczasem w karetce policjanci „rozkonspirowali" się wobec więźniów.

Jeden z nich zaświecił elektryczną latarkę i zawołał:

— Towarzysze to ja (wymienił swój pseudonim)...

Poczem każdy więzień otrzymał brauning. Można sobie wyobrazić, co się działo w ich duszy...

Gdy karetka wjechała w ulicę Okopową, zupełnie pustą, nagle „Sidorow", który siedział z tyłu, krzyknął:

— Stój!..

Woźnica zatrzymał konie. Wtedy wyrwano mu lejce z rąk, w jednej chwili ściągnięto z kozła i wpakowano do karetki. Woźnica tak był zadumiony, że nie zdążył krzyknąć — później tylko błagał, żeby go nie zabijano.

Karetka popędziła dalej... Rozwarły się wrota, prowadzące do jednego z ogrodów. Tam już czekali towarzysze z organizacji Wolskiej. Zamknięto bramę. Wyprzężono konie. Woźnicę zawiązano, zachloroformowano i zamknięto w karetce. Policjanci zrzucili szynele, i inne niepotrzebne rzeczy, brauningi wręczono tow. z miejscowej organizacji, poczem zaczęto się wymykać trójkami. Uwolnionych więźniów prowadzono na z góry upatrzone mieszkania w tej dzielnicy, gdzie już leżały przygotowane dla nich paszporty, pieniądze i ubranie. Zaraz rano różnymi pociągami i z różnych dworców wyjechali z Warszawy. Jeden wszakże z nich przypomniał sobie, że w fabryce Lilpopa, gdzie przed uwięzieniem pracował, należy mu się pewna sumka; poszedł więc o 7-ej rano, odebrał od kasjera należność i dopiero wtedy pośpieszył na dworzec.

Ja poszedłem na pewne mieszkanie, gdziem pozbył się powłoki żandarmskiej, potem poszedłem do siebie, przyczem wobec stróżki nie omieszkałem udać pijanego, wracającego po nocnych lipacjach, a następnie miałem „randkę" z towarzyszami, którym opowiedziałem przygody tej nocy. Była już przygotowana czerwona kartka, zawiadamiająca publiczność o porwaniu przez P. P. S. dziesięciu więźniów...

„Baron von Budberg" po wesoło spędzonej nocy poszedł do biura, gdzie pracował. Szukano go — napróżno. Biedny „Roland", Stanisław Jędrzejewski, obecnie już nieżyjący, przez 7 miesięcy siedział, podejrzany o „Budbergostwo". Ciupiński go „poznał", natomiast Maculewicz stanowczo twierdził, że to nie „ten".

W tydzień po uwolnieniu więźniów spotkałem Maculewicza w tramwaju. Spojrzał na mnie uważnie, jakby sobie coś przypominał, strach i niepewność malowały się na jego twarzy. Patrzałem na niego spokojnie i obojętnie, tak, że Maculewicz doszedł zapewne do wniosku: nie, nie ten...

Baron von Budberg.

Rozmaitości

Zemsta apaszów. O solidarności apaszów paryskich i o postrachu, jaki usiłują siać dokoła, świadczy następujący fakt. Pomiędzy bandytami, którzy zostali uwięzieni w Paryżu jako podejrzani o zamordowanie i obrabowanie posłańca kasowego Cabyego na ulicy Ordener, znajduje się także niejaki Dieudonné. W czasie śledztwa Dieudonné usiłował udowodnić, że w krytycznym czasie nie było go wcale w Paryżu, przebywał bowiem w Nacy. Znaleźli się usłużni świadkowie, którzy potwierdzili „alibi" Dieudonnego, a byli to małżonkowie Reiner i mieszkający u nich bracia Bill, wszyscy z Nancy. Alle inni, zasługujący w zupełności na wiarę świadkowie, zeznali odmiennie i wykazali kłamliwość zeznań Renerów i Billów. Pomiędzy tymi świadkami znajdował się stolarz Blanchet i szwaczka Bellot. Policja uwięziła skutkiem tego Reinerów i Emila Billa, którego jednakże później wypuściła na wolność.

Po tych zeznaniach bandyci zasypali panią Bellot listami, pełnemi pogróżek i doszło do tego, że policja ukryła pannę Bellot, ażeby ja uchronić przed zemstą bandytów. Emil Bill, powróciwszy do Nancy, postanowił zamścić się na Blanchecie.

W niedzielę spotkał Bill za miastem Blancheta. Pomimo obecności trzech osób Bill wydobył rewolwer i dał pięć strzałów do Blancheta, który padł trupem. Po dokonaniu zbrodni Bill zawołał:

— To jest zemsta za to, że zdradziłeś Reinetów.

Owi trzej świadkowie byli tak steroryzowani, że stali bezradni, a tymczasem Bill wsunął do browinga nowe naboje i zniknął w pobliskim lesie. Dopiero później jeden z nich stolarz Humblot, zawiadomił o zbrodni żandarmerję, która urządziła na opryszka obławę, na razie bezskuteczną. Zamordowany Blanchet, zacny robotnik, osierocił żonę i małego synka. W mieście ludność jest ogromnie wzburzona.

* * *

Pogrzeb żyjącego. Przed kilku dniami straszna scena rozegrała się na cmentarzu w Żurawicy pod Przemyślem. Na cmentarzu tutejszym odbywał się pogrzeb zmarłego bogatego włościanina, Hryńka Masnego. Nad odwartą mogiłą ksiądz odprawił już ostatnie modły, poczem trumnę spuszczono do grobu. Wśród płaczu i łkań rodziny zaczęły na trumnę z głuchym łoskotem padać grudki ziemi. W tej chwili wieko trumny zaczęło się ruszać, a po chwili z trumny zaczął się dobywać głos, wołający ratunku... Powstał wśród obecnych popłoch. Natychmiast wyciągnięto trumnę z grobu, odbito wieko, poczem rzekomego nieboszczyka wydobyto. Masny wkrótce przyszedł do siebie

Winę omyłki, której ofiarą omal że nie padło życie ludzkie, ponosi miejscowy oglądacz bydła, który — jak to zwykle bywa — równocześnie pełni w gminie urząd oglądacza zwłok.

* * *

Głód wśród wygnańców. Wygnańcy osiedleni w powiecie Kańskim gubernji Jeniskiej są w ostatnich czasach w położeniu bardzo krytycznem. Dwie trzecie części wygnańców zupełnie niemają z czego żyć. Nieurodzaj jeszcze pogorszył to położenie. Głód, w najściślejszem tego słowa znaczeniu, który przed rokiem był zjawiskiem sporadycznem, obecnie jest stałem. Brak cukru, herbaty, mleka i mięsa jeszcze jest uważanym za oznakę nędzy. Wygnańcy niekiedy po dwa dni nie mają czego włożyć w usta. We wsi Kołona policja znalazła na ulicy wygnańca umdlałego z głodu. We wsi Rosdiestwieńskoje wygnańcy zbierają okruchy pożywienia ze stołu zamożniejszych gospodarzy i odnoszą je dzieciom... Matki nie wstają z łóżka, by nie marnować sił, dzieci chodzą o proszonym chlebie. — Mający jakie takie środki wygnańcy starają się dopomódz towarzyszom niedoli w ten sposób że stołują ich kolejno, dziś jednego jutro innego. W gminie Szałajewskiej nadchodzą takie same wiadomości o głodzie śród wygnańców...

* * *

Nieszczęście w kopalni. Przy pracach nad otwarciem nowego szybu VII na kopalni Radbod (Essen) wybuchł przedwcześnie nabój dynamitowy i walącemi się masami węgla i kamienia 4 robotników ciężko zostało skaleczonych.

* * *

„Czem pan jest, panie Paderewski?!" Stara Europa nie imponuje bynajmniej Afryce. Czarny kontynent dał temu wyraz dowodny podczas „tournée" Paderewskiego, który namówiony przez impresarja wybrał się do krainy djamantów i tuczonych byków, by zapoznać mieszkańców tamtejszych z najnowszą twórczością na polu muzycznem.

Paderwskiego przyjęto nieprzychylnie, wprost wrogo. Nie animozja jakaś była tego przyczyną, tylko zwykły brak zrozumienia dla sztuki, z którym zresztą „południowcy" wcale się nie kryli.

Już na statku spotkała artystę przykrość. Siedział mianowicie w salonie i grał na fortepianie. Wtem przystąpił do niego jakiś jegomość i zawołał gburowato:

— Przestań pan już raz bzdąkać!...

Paderewski opuścił natychmiast salon, w tej samej zaś chwili z przyległego fumoiru doszły go śmiechy. To ów „dowcipniś" przechwalał się wśród ogólnej wesołości, iż dokuczył wielkiemu artyście.

Epizod ten jednak w porównaniu z tonem artykułu, umieszczonego w jednej z gazet południowo-afrykańskich, jest drobnostką. Gazeta ta wystąpiła z artykułem, który, gdyby nie to, iż pisano go zupełnie serjo, ściągnąćby mógł na autora podejrzenie, iż zacytował nam ustęp z humoreski Marka Twaina.

— Panie Paderewski! — woła organ południowo-afrykański — co pan właściwie zrobił dla świata? Czem się pan trudni? Gra pan na fortepianie — a nas zapewniają, że gra pańska nie posiada sobie równej na całym świecie. All right! Nie sprzeczamy się wcale o to. Przypuśćmy nawet, że to prawda, więc cóż takiego, iż ktoś gra dobrze na fortepianie?! Mieliśmy niedawno sposobność widzieć człowieka, który nietylko na fortepianie, ale na 17 jeszcze innych instrumentach grał. A do tego i na harfie! Nie robiono jednak nadzwyczajnych historji, a wstęp na salę podczas jego występu kosztował tylko 2 szylingi. A już wcale nie wymagał, by go przyjmowano z honorami i nie kazał sobie płacić całego funta szterlingów za krzesło w pierwszym rzędzie!...

Tyle dziennik południowo-afrykański. „Matin" zaś, którego współpracownik w wywiadzie z Paderewskim całe powyższe zajście opisał, dodaje od siebie: Zrozumieć łatwo, iż Paderewski, nie mogąc konkurować z owym człowiekiem, grającym aż na 17 instrumentach — opuścił Afrykę...

Dymokrackie medykacje.

Niech żyje policaj! Hura! hura! hura!

Wszyjscy dziwią sie, po jakiymu policaj je w Prusach wiynkszo jak prawo i robi co ji sie spodobo. A to, bo wiy, iże sprawiedliwości i tak nijak niy ma. Cołki sejm pruski mo fundament niesprawiedliwy, to i prawa po tymu; a ta wiynkszość posłów to dbo o wykonanie swoich praw, co je uchwoliła, tyż jino przez swoich członków landrotów. Inkszym wolno tylko płacić na wszycko a kary ponosić, kiej nie słuchają tych praw. Ale kiej se wybierą posłów na to, coby ich bronili, to tym sie zanknie gamby, a kiej jeszcze bronią, to sie woło policaj, coby prawodawców brali za kragliki. I po jakiymu tu policaj niy mo uznać, iże jest wiykszo jak prawodawcy i ich prawa?

Uchwoliły se panoczki hausknechcparagraf w regulami nie przeciw konstytucji, sami pokozali tym, iże r'zą tej konstytucji. Terazy miasto hausknechta ziyni blicablajtry, no i pokozali, iże smolą na cołko nietykalność poselsko. A blaty hakatystyczne już piszą, iże marszałek Erffa podo jeszczy naszygó Borchardta na sztacwalda o najście tej budy, chtóro je wszyjskich a nie jegó. Takby se te szmaty winszowały, ale pono daremno; bo sąd pono nie wyraziłby Erffie tegó zaufanio, chtóre mu wyraziły w poniedziałek wszyjskie junkry a burżuje sejmowe, okrom duńczyków a dwu postępowców. Koło polskie nie gosowało, bo siedziało tymczasem s miną dziada u wrót rządowych, kaj wystowiają buty kirasjerske a policyjne do pucowanio albo do lizanio, jak chtó woli.

Co robiół w sejmie Wojtek Korfanty, to jeszczy nie wiym dokumyntnie. Ale tu po Śląsku już rozpowiedzioł, iże już je fertyk ze sztacwaldem, jino jeszcze te lasy na cysarskim mu dopolają. No, kiej fertyk, to fertyk, ale czy inksi nie godali sztacwaldowi inakszy jak ón, to wiedzieć nie można. Jobych mu jednako poradziół, coby pojechoł do Ameryki, póki tam nie obostrzą praw na wychodźców. A tak mógby jeszczy postawić swoja kandydatura na prezydenta Stanów Zjednoczónych, bo jeszczy nie wybrany. Myto miołby wiynksze jak w Bytóniu a w Berlinie społem, lasów tam dość, toby móg zrobić lepsze geszefta jak na cysarskiem, urlopy dowołby se som, a nie brołby ich od frakcji albo chlebodawców, pisma mógłby zakłodać w rostmaitych mowach, bogatych łatwowiernych znojdby za telo między tylu miljonami ludności, no, a sztacwalda pruskiygó ani cysarskiygó tam niy ma. A swoich przyjocieli a kamrotów, co mu pomogli ratować ziymia polsko i uratowali tak, coby zyskać psim swędem, może tam se porobić ministrami, bo znają sie na finansach dobrze.

Kiej o swędzie godka to sie wdycki spamiyntom na katowskie miejsca spacerowe, rostmaite parki a anlagi, chtóre kupa kosztują piyniądzów, coby obywatelom odświyżyć płucka, ale ino są frakiem a klakiem a biołymi glasejkami dlo tegó, co sie nie umół a miyszko w takiyj budce, kandy sie chodzi pieszo. Idziesz do parku nad Rawą, a tu rzyka a Martahuta smrodzą, co sie śmieści; idziesz na Wilhelmsplac, to samo, a Baildon też pomogo; idziesz na Blichera, to uńdzie, ale bana tyż tam puszczo swój dym; idziesz na Zytpark, to ci s jednyj strony automobile, a s drugij chemiczno fabryka na Hołdzie a Ujku kadzą pod nos. Tako nijak niy można nikaj oddychać. Oczy patrzą jino na te piykne kwiotki a drzewa i radują sie, ale i litują, jak takie boractwa tam mogą żyć. Ale to już je tako moda pysznych parwenjuszów, coby poprowiać piyrwy swoja strona zewnyntrzno, coby inksi widzieli, kaj są piyniądze.

Gustlik Beskuryjo.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott w Katowicach.

Nr. 21. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 25 maja 1912.

JERZY AURIOL.

SERCE MATKI.

(Z francuskiego).

Rzecz dzieje się w Manchesterze. Pewien dwudziestopięcioletni młodzieniec, bardzo dobrze wychowany, bardzo dobrze ułożony i bardzo dystyngowany przychodzi pewnego pięknego poranku do gabinetu swego ojca i rzecze:

— Ojcze, pragnę się ożenić.

— Ożenić?

— Tak, powziąłem ten zamiar.

— Cóż, mój synu, to zamiar bardzo chwalebny. Skończysz wkrótce lat dwadzieścia i pięć — sądzę, że wiek ten jest najodpowiedniejszym dla zawarcia związków małżeńskich. Czy upatrzyłeś już sobie jaką odpowiednią partję?

— Tak, mój ojcze — odrzekł młodzieniec. — Osoba, którą zaraz wymienię, jest mem zdaniem bardzo odpowiednią. Kocham miss Pengen. Pragnę pojąć ją za żonę.

— Miss Pengen?! — powtórzył ojciec. — Żałuję bardzo, jest to jednak stanowczo niedopuszczalnem.

— Niedopuszczalnem?

— Yes!

— Przepraszam ojca, dlaczegóżby to miało być niedopuszczalnem? Miss Pengen pochodzi z dobrej, ogólnie szanowanej rodziny; najlepsze stosunki wiążą cię, ojcze, z jej rodzicami; tąk często bywasz w ich domu i gościsz ich w naszym domu! Spodziewałem się, że pochwalisz mój wybór...

— Nigdy! Małżeństwo to nie może przyjść do skutku.

— Dlaczego?

— Czy koniecznie tego chcesz, czy nastajesz stanowczo, abym ci wyjawił przyczynę mego sprzeciwienia się?

— Bardzo ojca proszę o wyjawienie tej przyczyny.

— Dobrze więc, powiem ci, mój synu: nie możesz żenić się z miss Pengen, gdyż jest ona twą siostrą. Rozumiesz?

Dobrze wychowany młodzieniec zgodził się, iż bezwarunkowo nie może żenić się z panną, której ojcem jest jego ojciec. Pogodziwszy się z tą myślą, począł szukać innej narzeczonej w gronie swych znajomych.

Po upływie miesiąca, oświadczył ojcu, iż znalazł inną miss, również piękną i równie dobrze wychowaną, jak miss Pengen, i że pragnie połączyć swe losy z jej losami. Gdy jednak wymienił nazwisko nowej swej bogdanki, usłyszał od ojca odmowną odpowiedź:

— To być nie może: ta miss jest twą siostrą.

Teraz już przyszedł młodzieniec w głębi ducha do przekonania, iż ojciec drwi z niego, lub żartuje, postanowił więc udać się w sprawie ożenku do matki. Tak też i uczynił.

— Masz słuszność, mój synu. Rzeczywiście czas już, abyś założył rodzinę. Czy masz na myśli jaką pannę?

— Tak, matko — odrzekł młodzieniec. — W tej to właśnie kwestji chciałbym z tobą pomówić. Początkowo miałem zamiar ożenić się z miss Pengen, ojciec jednak sprzeciwił się temu, mówiąc mi, iż jest ona mą siostrą.

— Ojciec ci to powiedział?

— Yes. Wybrałem inną narzeczoną — miss Robinson. I znów sprzeciwia się ojciec, twierdząc, iż i miss Robinson — to moja siostra!

— Czyż być może! Czyż ci to ojciec powiedział!

— Yes.

— W takim razie, powiem ci wszystko, mój, synu: możesz nie liczyć się z tem wszystkiem, co ci ojciec mówił. Możesz z czystem sumieniem żenić się z kim chcesz, gdyż przysięgam ci, iż ojciec twój... nie jest twym ojcem!

Bolesław Prus.

W niedzielę 19 b. m. zmarł w Warszawie Bolesław Prus, jeden z największych pisarzy polskich w ostatniej ćwierci XIX wieku. Postać to wybitna, reprezentująca w swoich dziełach pewien okres w rozwoju społecznym narodu polskiego.

Prawdziwe jego nazwisko brzmiało Aleksander Głowacki. Urodzony w roku 1846, przeżył wiek męski w dobie popowstaniowej. Była to epoka, w której nowoczesny kapitalizm zaczął się rozwijać w Królestwie Polskiem. Na arenę życia społecznego wkroczyła nowa w Polsce klasa: burżuazja. Społeczeństwo polskie z rolniczego zaczęło się przetwarzać na przemysłowe. Ruina dawnych nadziei, zgotowana przez klęskę powstania, wytworzyła grunt pod ideologię nowej klasy. Rozbrzmiało hasło wyzbycia się romantycznych marzeń o wywalczeniu z bronią w ręku niepodległości narodowej, pogodzenia się z myślą o niewoli, „otrzeźwienia“, a natomiast zdobycia w tych warunkach jaknajwiększej potęgi ekonomicznej zapomocą „pracy organicznej“, tj. krzewienia przemysłu.

To odwrócenie się od wszelkich haseł politycznych, a przejęcie się wyłącznie hasłami ekonomicznemi, znamionuje ów okres powstawania w Polsce burżuazji, której ideologię głosiło grono młodych pisarzy warszawskich, t. zw. pozytywistów, pod wodzą Aleksandra Świętochowskiego.

Do grona owych pozytywistów warszawskich przyłączył się i Głowacki, piszący pod pseudonimem Bolesława Prusa. Ale różnił się on od nich. Był on naturą uczuciową, romantyczną, a jego „trzeźwość“ była wyrozumowana. To wewnętrzne rozdwojenie, ta sprzeczność wycisnęła swe piętno na całej działalności, na całej twórczości Bolesława Prusa. Uczucie płatało figle jego rozumowi, rozum uczuciu.

Program ekonomicznego odrodzenia Polski, który przejął i ukochał sercem gorącem, przybrał w jego fantazji wprost poetyczne kształty; była to istna poezja cyfr, poetyczna statystyka i ekonomia, wyczarowywująca nie z rzeczywistości, lecz z płomiennego pragnienia świetlaną przyszłość. Mimo to jednak uczucie nie pozwoliło Prusowi

zerwać z przeszłością orężnych walk o wolność i rzucać na nią kamieniem potępienia, jak to czynili inni pozytywiści, tradycja tej przeszłości żyła w nim jako ideał szanowany i kochany, który też opromienił całą potęgą swego uczucia w postaci weterana tych walk Rzeckiego w powieści „Lalka".

To gorące uczucie nie pozwoliło również wzrastającemu dobrobytowi burżuazji przesłonić Prusowi oczu na dolę drugiej daleko liczniejszej klasy, powstającej razem z burżuazją: proletarjatu, któremu „praca organiczna", rozwój kapitalizmu niosły nie zbawienie, lecz jarzmo wyzysku. Prus jeden z pierwszych w Polsce dojrzał tę rysującą się sprzeczność klasową i dobre serce jego stanęło po stronie wyzyskiwanych. Obszerna jego nowela „Powracająca fala" jest jednym z pierwszych polskich pomników literackich walki między pracą a kapitałem; słychać w niej jakoby pierwsze grzmoty, zapowiadające burzę, która niebawem zerwać się miała.

Serdecznem współczuciem dla doli ludu owiane są pierwsze opowiadania, osnute na tle życia wydziedziczonych i wyzyskiwanych. Pierwszą większą powieść wydał w r. 1885 p. t. „Placówka". Powieśc ta wywarła ogromne wrażenie. Chłop polski był bohaterem tej powieści, nie chłop sielankowy z dawnej literatury, lecz po raz pierwszy chłop realny, w którym Prus widział najważniejszą, najpotężniejszą placówkę narodową.

Ale najwybitniejszem dziełem Prusa stała się jego powieść następna, trzytomowa „Lalka". Jest to epopea popowstaniowego pokolenia burżuazji polskiej, które od miecza przeszło do wagi i miarki i robiło doskonałe interesy na „pracy organicznej".

Jest ono uosobione w bohaterze powieści Wokulskim i przeciwstawione światu dawnemu: z jednej strony spróchniałej arystokracji, z drugiej starym romantykom żyjącym wspomnieniami dawnych walk zbrojnych. Nie jest jednak bohater powieści bohaterem zwycięskim, albowiem Prus już dostrzega pokolenie jeszcze młodsze, pokolenie, które rozwinie sztandar socjalizmu.

Trudno dzisiejszemu człowiekowi wyobrazić sobie wrażenie, jakie „Lalka" wywarła przy ukazaniu się; trzeba było to przeżyć i widzieć na własne oczy ten ferment umysłowy, jaki wywołała, poruszając najżywotniejsze wówczas zagadnienia naszego życia społecznego. Nie zdołały wrażenia „Lalki" przyćmić sukcesy Sienkiewicza, który w owe czasy święcił największe swe tryumfy, odwracając oczy społeczeństwa swą trylogją od zagadnień współczesnych ku zamierzchłej przeszłości „dla pokrzepienia serc".

Nie było właściwej rywalizacji między Prusem a Sienkiewiczem, ale nie da się zaprzeczyć, że współczesność obu tych talentów miała pewne ujemne strony dla Prusa. Prus był umysłem głębszym i sercem bardziej miłującem, ale Sienkiewicz talentem świetniejszym, który sławą swą przesłaniał nieco Prusa w oczach społeczeństwa.

Następna powieść Prusa „Emancypantki" nie stała już na tej wyżynie, co „Lalka", natomiast w wielkiej historycznej powieści „Faraon" z powodzeniem zmierzył się Prus ze Sienkiewiczem, ustępując mu pod niejednym względem, ale przewyższając go głębokością perspektywy dziejowej, której podłoże stanowi w „Faraonie" odwieczna historja między kościołem a państwem.

Na tem zakończył się najświetniejszy okres twórczości Prusa. Odtąd, ulegając wiekowi i długoletniej chorobie nerwowej, pisał już rzeczy mniejszej wartości. A przytem w życiu jego zaszedł wypadek, który podciął mu skrzydła na zawsze. Gdy w r. 1896 car Mikołaj II, wstąpiwszy na tron, przyjechał do Warszawy, ugodowcy zgotowali mu uroczyste przyjęcie; wciągnęli oni do tego Prusa, który dzięki swej dobroduszności dał się przez nich obałamucić. Ten jego fałszywy krok potępiło społeczeństwo polskie i Prus odczuł to żywo; bolało go to niezmiernie, że stanął w sprzeczności ze społeczeństwem i ból ten nosił w sercu aż do końca życia.

Nowych czasów już nie rozumiał; zasklepiwszy się w ideach i w ideałach swej młodości, nie rozumiał rewolucji 1905 r. Sympatyzował z nią, ale jej nie rozumiał i dowód tego niezrozumienia złożył w swej porewolucyjnej powieści „Dzieci".

Był on pisarzem okresu z końca XIX wieku. W okresie tym wywarł wpływ przemożny na umysłowość polską i epoce owej postawił pomnik w swych dziełach. Oto jest znaczenie Prusa w dziejach piśmienictwa polskiego.

Pozostawił w „Placówce", „Lalce", „Faraonie" i drobnych nowelach nieśmiertelne arcydzieła, których „humor przez łzy" nie postarzeje się nigdy i zawsze wzruszać będzie do śmiechu i płaczu czytelników polskich.

E. Haeker.

W obliczu śmierci wszyscy są równi.

Przeciwieństwa klasowe panują nad całem naszem życiem, tak publicznem jak i prywatnem, nie zatrzymując się przed żadnym tego życia objawem. Kto ma oczy, aby nimi widzieć i uszy, aby nimi słyszeć, musi te przeciwieństwa klasowe na każdym kroku zauważyć, a jeżeli się ich często nie spostrzega, to tylko dlatego, że uważa je za rzecz naturalną, która już nikogo nie interesuje, że przyjmuje się je za rzecz normalną. A niestety szczególnie klasy wyzyskiwane i uciskane przyjmują przeciwieństwa klasowe jako coś naturalnego, z czem nie można i nie potrzeba walczyć.

Ci, którzy głoszą nam ciągle kazania o „harmonji" między biednymi a bogatymi; ci, którzy zaprzeczają istnieniu przeciwieństw klasowych, muszą jednak, wobec mnożących się dowodów, ustępować na całej linji. Statystyka pouczyła ich, że nawet śmierć i choroba podlegają zasadzie przeciwieństw klasowych, że życie biedaków jest krótsze niż życie bogaczy i że choroby są u biedaków liczniejsze i częstsze niż u bogatych. Ostatecznie rzucono się na nieulegający zaprzeczeniu fakt, że przecież każdy — biedny i bogaty — musi umrzeć i na tej zasadzie oparli swe zdanie o równości wobec śmierci.

Nietylko statystyka, ale i życie codzienne uczy, że i to zdanie jest kłamstwem. Przy łożu umierającego bogacza gromadzą się znakomitości lekarskie dla naradzenia się, jak uratować kosztowne życie pacjenta; biedak zaś umiera — w najlepszym razie — po szablonowej, bo źle zapłaconej, pomocy lekarskiej, jeżeli nie przypadnie mu w udziale śmierć przy pracy albo w rowie. Któż nie widział jeszcze na każdym cmentarzu wspaniałego pogrzebu bogacza — i czasem równocześnie — pogrzebu nędzarza?

W ostatnich czasach katastrofa okrętu „Titanic" dowiodła znowu niezbicie, że „równość wobec śmierci" jest także jednem z kłamstw kapitalistycznych; dowiodła, że także w tej ostatecznej chwili nie zanikają przeciwieństwa klasowe. Ogromny okręt pędzi przez morze; nazywają go „pływającym pałacem", a w rzeczywistości jest on pływającem państwem kapitalistycznem w minjaturze. Dla małej cząstki pasażerów I i II klasy ma on ogromny zbytek w jedzeniu, piciu i rozmaitych sposobach rozrywki, zaś dla większości pasażerów, dla tych, których stać tylko na III klasę, niema komfortu, niema nawet dostatecznego pożywienia. Na mostku komendanta stoi kapitan, któremu donoszą o pojawieniu się gór lodowych. Rozsądek nakazuje mu zmienić kurs okrętu, ale nie może on tego uczynić, bo przełożeni jego żądają „rekordu" i okręt pędzi ku katastrofie.

Okręt tonie i zaczyna się ratunek pasażerów. Kto ma najpierw być ratowany? Wszystkim grozi równe niebezpieczeństwo; śmierć wyciaga ramiona po pasażerów I klasy jak i po biedaków III klasy; — teraz najlepsza sposobność do obrócenia w praktykę zasady o równości wobec śmierci. Co jednak mówią cyfry?

W I. klasie było pasażerów . .		330
	uratowano	210
	utonęło	120
w II. klasie było pasażerów . .		320
	uratowano	125
	utonęło	195

w III. klasie było pasażerów . .	740
uratowano	175
utonęło	565

Oto „równość“ wobec śmierci! Nawet w takiej chwili zwracano uwagę na stanowisko klasowe; nawet wtedy bogaci mieli pierwszeństwo. Naprawdę: wszyscy są wobec śmierci „równi„ — taksamo jak wszyscy są „równi“ w życiu.

Rozmaitości

Teściowa zabójczyni i podpalaczka. D. 22 kwietnia r. b. przepadła bez wieści 16-letnia Apolonja Szulcowa, żona właściciela folwarku pod Poznaniem. Wszelkie poszukiwania spełzły na niczem i policja przerwała dalsze śledztwo.

W ostatnich dniach we wsi Kruż natrafiono wypadkowo na ciało młodej kobiety i przy oględzinach stwierdzono, że zabita została jakiemś tępem narzędziem.

Wówczas cała ta tajemnicza sprawa odżyła na nowo i na podstawie poszlak aresztowano Marjannę Szulcową, teściową Apolonji. Na śledztwie Marjanna Szulcowa zeznała, że w czasie sprzeczki ze swoją synową zabiła ją drewnianym pantoflem i ciało zakopała we wsi Kruż.

Ale nietylko tę zbrodnię miała ona na sumieniu, okazało się bowiem, że podpaliła dom mieszkalny i budynki i tym sposobem zrujnowała swego syna. Gdy zbrodniczą teściowę miano przeprowadzić do sędziego śledczego, znaleziono już tylko martwe jej zwłoki, powieszone na kracie więziennej.

* * *

Katastofa lotnicza. Jak nieoczekiwanie i na pozór bez powodu może nastąpić katstrofa lotnicza, pociągając za sobą śmierć odważnych pionierów żeglugi napowietrznej, tego wymownym — śród tak licznych — przykładem jest zajście na lotnisku Brooklands, pod Londynem, o którym doniosły już telegramy ze stolicy Anglji.

We wtorek po południu odbywały się, przy idealnej pogodzie, wzloty na lotnisku wyżej wymienionym. Wśród bardzo licznych widzów znajdował się tam także miljoner amerykański, Wiktor Mason, który już raz dokonał wzlotu, jako pasażer na tym samym lotnisku, w poniedziałek Wielkanocy. Widząc, że pogoda jest tak wspaniała, Mason wyraził życzenie użycia ponownie przyjemności lotu na aeroplanie, na co znany lotnik angielski, Fisher, oświadczył mu, że chętnie zabierze go z sobą. Start odbył się bardzo gładko, motor działał bez zarzutu, podczas jednak zataczanie przez aeroplan Fishera kręgów w powietrzu, na wysokości jakich 70 lub 80 stóp, widzowie spostrzegli, że coś musiało się zepsuć, aeroplan bowiem chwiał się podczas zakrętów. Widocznie i Fisher to spostrzegł, zaczął bowiem wolno opuszczać się ku ziemi. Nagle, bez żadnej pozornej przyczyny, aeroplan przewrócił się przodem ku ziemi i runął, jak kamień, zdruzgotany zupełnie, a z rozbitego zbiornika benzyny trysnęły w górę jasne płomienie, ogarniające w jednej chwili lekkie skrzydła przyrządu. Gdy aeroplan przewrócił się w powietrzu, Fisher i Mason wypadli z miejsc swoich i legli na murawie o kilkanaście kroków od niego. Miejsce, w którym zdarzyła się katastrofa, znajdowało się o kilometr od lotniska, unoszący się jednak właśnie w powietrzu lotnik Sapwith spostrzegł upadek, opuścił się więc natychmiast i pospieszył z pomocą Fisherowi i Masonowi. Obaj zginęli na miejscu, ulegszy złamaniu karków.

* * *

Zniszczony dziw natury. W Argentynie istniała słynna na cały świat wahająca się skała. Kto tylko podróżował po Argentynie, tego zapytywano, czy widział ten dziw natury? I podróżny jechał do miasteczka Taudil w południowej części prowincji Buenos i dostawał się do szeregu olbrzymich skał, wyrastających wprost z pamnasów.

Skały te o dziwacznych kształtach same zdumiewają — podróżnych.

Na najwyższej z nich, wprost nad stromą przepaścią, wisiała w powietrzu ogromna skała, ledwie zaczepiona o przeg. Skała miała około 5 metrów wysokości i 20 szerokości. Oparta była o skałę, na której zawisła, powierzchnią nie większą od dłoni. Dość było poruszyć tę skałę, aby zaczęła się wahać nad przepaścią, nie spadając w głąb.

I nagle ta wahająca się skała znikła... Nikt nie był świadkiem katastrofy Sprzykrzyło się jej wieczne wahanie i może jaki orkan, może wstrząśnienie ziemi stoczyło ją wdół, gdzie się rozbiła na szczątki.

Argentyńczycy uważają stratę wahającej się skały za katastrofę narodową.

* * *

Na stanowisku. Statek holenderski „Gravenhagen“ spotkał na morzu Północnem trzymasztowiec norweski „Haabet“ w stanie beznadziejnym, oddanym na pastwę fal morskich. Kapitan zbliżył się do żaglowca i przekonał się, że jest naładowany drzewem do Anglji. Na statku nieznaleziono ani jednego człowieka z załogi tylko martwe ciało kapitana, który wyczerpawszy wszystkie środki ratunku, odebrał sobie życie na stanowisku. Stan żaglowca nie był jednak tak rozpaczliwy, skoro „Gravenhagen“ zdołał przyholować go do Amsterdamu.

* * *

Odkrycie fabryki fałszywych monet. Władze austryjackie od dłuższego czasu bezskutecznie szukały fałszerzy monet, przemycanych w kurs w olbrzymiej liczbie zwłaszcza w czasach ostatnich. Wreszcie udało się ich wykryć. Fabrykant organów Józef Erhatic w Nagykanizsa na Węgrzech i jego syn fabrykowali wielkie ilości 20-halerzówek i 20-koronówek i puszczali w obieg za pośrednictwem fotografa Kulumbara. Erhatic kradł w kościołach, w których pracował, złote wota i przerabiał na złote monety. Ubiegłej soboty był Kolumbar u Eratica, aby zabrać falsyfikaty i otrzymał fałszywych 20-halerzówek za 500 koron. Na stole znalazł złotą 20-koronówkę i ukradł ją. Udało mu się tę monetę wydać w Belovar, w sklepie. Kupiec spostrzegł jednak niebawem, że 20-koronówka jest tylko z jednej strony obrobiona, a z drugiej zupełnie gładka. Na polecenie kupca aresztowano Kulumbara. Przyznał się w śledztwie do winy. Dokonano następnie rewizji u Erhatica. Wynik był niebywały. Na strychu znaleziono dwa centnary metryczne gotowych fałszywych monet, pozwijanych w rulony. Erhatic miał w swym pomieszkaniu poruszaną motorem maszynę do bicia monet. Aresztowano Erhatica, jego żonę, syna, pomocnika i ucznia.

Stwierdzono, że fabryka istniała od 7 lat, lecz dopiero od lat trzech, kiedy powiodło się fałszerzom sporządzić falsyfikaty bez zarzutu, zarzucano nimi Chorwację, Krainę i Syrję. Naśladownictwo było tak znakomite, że rzeczoznawcy zaledwie mogą odróżnić monety fałszywe od prawdziwych. Aresztowano nadto cztery inne osoby, podejrzane o wydawanie fałszywych monet. Policja skonfiskowała fałszywe monety na sumę stu tysięcy koron, suma puszczona w obieg jest naturalnie o wiele większa. Fałszerze sporządzali 20-groszowe monety węgierskie z datą 1903 i austrjackie z datą 1908.

* * *

O odpowiedzialność fiskusa za niebezpieczne urządzenie. Wieczorem 8 go stycznia 1910 roku pokaleczyła się pewna wdowa, wychodząc z głównej poczty w Monachium. Przy drzwiach prowadziły schody na dół na ulicę, których z powodu braku oświetlenia i wskazującego napisu nie można było zauważyć. Wychodząc temi drzwiami, spadła owa wdowa głową na dół, kalecząc się dotkliwie. Za odniesione rany zażądała od bawarskiego fiskusa pocztowego odszkodowania, ponieważ urządzenie nie odpowiadało przepisom,

Sąd ziemiański w Monachium przyznał skarżącej prawo do odszkodowania, ponieważ stwierdzono, że dopiero po owym wypadku umieszczono tablicę i oświetlono niebezpieczne schody. Sąd nadziemiański w Monachium uznał zupełnie wywody sądu ziemiańskiego co do braków w budynku, lecz przyznał oskarżonej tylko trzecią część odszkodowania, uzasadniając wyrok tem, że skarżąca sama ponosi największą winę, ponieważ bez uwagi w budynku chodziła i z pospiechem ogromnym go opuściła. Przeciw temu wyrokowi założyły obie strony rewizję do sądu rzeszy. Skarżąca zbija uzasadnienie sądu nadziemiańskiego, twierdząc, że w budynku przeznaczonym dla ogromnego ruchu powinno być takie bezpieczeństwo, ażeby nikt nie potrzebował uważać na każdy swój krok. Delej twierdzi oskarżona, że ze szybkiego wychodzenia nie można jej robić zarzutu. Fiskus zaprzecza, jakoby owe schody były niebezpieczne i całą winę przypisuje skarżącej.

Sąd rzeszy odrzucił rewizję fiskusa i przyznał pełne odszkodowanie skarżącej, potwierdzając wyrok sądu ziemiańskiego.

* * *

Kolej na oceanie. Amerykanie dokonali dzieła, które wydawało się wprost niemożliwym. Wykończono most kolejowy na oceanie, łączący południowy cypl półwyspu Floryda z portem Key-West, położonym na jednej z wysepek archipelagu Floryda Key. Długość mostu wynosi 100 kilometrów, z czego na wysepki archipelagu wypada do 40, na ocean zaś 60 kilometrów. Chodziło więc o zbudowanie na dnie oceanu szeregu filarów, takich, które mogłyby oprzeć się naporowi fal, co dokonano pomyślnie i przerzucono ponad falami oceanu 180 olbrzymich łuków żelazno betonowych, na których spocznie pomost z szynami. Pomost ten otwiera się w kilku miejscach, żeby statki rybackie i okręty mogły przepływać swobodnie. W ten sposób most nie będzie krępował wcale żeglugi.

Most przez ocean zawdzięcza swe istnienie jednemu z bisnesistów amerykańskich, który, zrobiwszy olbrzymi majątek na nafcie, poświęcił znaczną cześć swych kapitałów, żeby obdarzyć Florydę niezwykłym mostem. Nowa kolej przez ocean skróci o wiele drogę z Nowego Jorku do Havany i ułatwi transport produktów Kuby do Bostonu, Nowego Jorku i Waszyngtonu. Ponieważ port Hey West jest najbliższym do Panamy portem Stanów Zjednoczonych, więc po otwarciu kanału, kolej na oceanie wpłynie znacznie na zwiększenie się dobrobytu na półwyspie Floryda.

* * *

Na śladzie strasznej zbrodni. Donoszą z Dynaburga, że w domu przepadłego bez wieści tamtejszego adwokata Brica przy rozkopywanin studni znaleziono trup wdowy po kasjerze kolejowym Rozenfeldzie i jej psa.

Trup ma związane ręce i nogi.

Rozenfeldowa była klijentką Brica.

Po zamordowaniu jej adwokat uciekł z pieniądzmi, które z jej rachunku podniósł z banku dynaburskiego. Rozenfeldowa Bricowi dała sprawę spadku po mężu, ale nie dała mu prawa odbierania za nią pieniędzy. Pomimo to Bric odebrał z banku należną jej sumę, podstawiwszy jakąś kobietę, która okazała dowody na stanowisko Rozenfeldtowej.

To naprowadziło władze śledcze na przypuszczenie zbrodni.

W studni znajdującej się w podwórzu znaleziono naprzód lusterko, rękawiczki i różne przybory toaletowe Idy Rozenfeldtowej.

Na bluzce, która znajdowała się na zwłokach, znaleziono ślady krwi. Włosy jej wypadły, czy tez wyrwała jej z rozpaczy, bo pęki tych włosów znaleziono w jej zaciśniętych pięściach. Oczy wyszły na wierzch, język był wysunięty.

Ciało znaleziono w pozycji siedzącej.

Adwokata Brica aresztowano już zagranicą. Aresztowano też jego matkę Urszulę oraz włościanina Krukowskiego.

Podobno Rozenfeldtowa — to nie pierwsza ofiara Brica.

W innej zasypanej studni jego podwórza ma leżeć ciało jego pierwszej ślubnej żony.

Dymokrackie medykacje.

Sejm trzyklasowy zaś se wystawiół piykne świadectwo, bo jego komisjo a zaś ón cołki wydoł naszych posłów Borchardta a Leinerta sztacwaldowi. Już niy mogli doczkać ani sztyrydwudziestego, kiej bydą mieli feryje a sztacwald wolno ręka na posłów, tak im sie śpichało s tym pokozaniem, iże nie sejm robi prawa ku tymu, coby ich sztacwald a policaje suchali, jino posły mają suchać sztacwaldów, a policajów tyż. To se ta większość światło sama uznała, iże pod bele pikelhaubą wiynkszy filipa siedzi, jak pod ich cylundrami a myckami. No, kiej na inkszo sesyjo bydzie wniosek, coby śniyść nietykalność poselsko, iżeby ta buda nie miała ostudy z gosowaniem nad towarzyszami, to trzaby wniyść, coby śnieśli ta cołko buda niesprawiedliwo, bo to jino ku tymu tam je, coby ludom mydlić oczy, iże tam w Berlinie je tyż folksfertretung; ale to je prawe folksferdrejtunk, a paragrafenferdrejtung tyż.

Uchwolili tyż wzmocniynie niymczyzny na wszyjskich krajach futerlandu, bo tyj boroczce wysycho miycz w krzyżach. Ale to sie wiy, iże takie wysychanie łączy się s mózgiem, a tyn już downo tyj hura-niymczyźnie wysycho; a kiej mi pedzą, iże nie, no, to dobrze, tako mają w pałetach wiynkszy jak za telo wody. Te flostry ze stu miljonów mają leczyć ta choroba. Kiejby to jino nieco uleczóły a smiyniło sie tyż prawo wyborcze do sejmu. Ale terazki jeszczy tyj smiany pono nie trza, bo jeszczy prawo dobre, o reformie zamyko się dyskusjo i już. Konserwy, chtóre żyją w zaduchu a ćmoku, zdechłyby, kiejby sie nieco poluftowało ta buda a wpuściło nieco światła. No, ale nasi towarzysze wszędy dobrze padają: „nie tyn dostaje, co prosi, jino tyn, co bierze"...

W parlamyncie bóło fajn przed tydniem. Towarzysz Szajdeman pedzioł kanclyrzowi, coby wiedzioł, jak jego póu koronowany miyni o obywatelstwie pruskim a cuchtauzie. Policajprezydent Jagow już pono na to dostoł wiedzynie, iże na prawicy trza zawiesić hundeśpera, a som kanclyrz ze sztabem, choć to wojoki, pokozali nieprzyjacielowi plecy; takie to dzielne wojoki, co uciykają, kiej ich prowda w oczy kole. Bo tyż takie miyszanie sie wszyjskich prusaków, od nojwiynkszych do nojmiyńszych, do spraw wewnętrznych Alżacji a Lotaryngji je zakozane wszędy przez prawa międzynarodowe, a do spraw wewnętrznych jednyj fabryki kuždymu zasie; na inkszy roz prusko policaj patrzałaby každymu alzasowi w gornki, a kiejby ich chto piznół przez pikelhauba, toby bół belajdygunek a opór przeciwko władzy.

Tak wdycki bywo, kiej sie policajom za telo pozwoli, kiej można trza im pedzieć hierajn ale lepszy „raus"! Jużech tyż chcioł tresować antipolicajhundy, coby wszyjskich siandarów a policajów nie wpuszczały kaj im nie trza, ale policaj nie chce zatwiyrdzić ustaw takiygó hundeferajnu, to musza reklamować. Bo to nie je dlo zła państwa, jino dlo dobra, kiej prawo we wiynkszym bydzie poszanowaniu.

Padali mi, iże kiery dochtór z banku opolskiygó zaś pódzie do ruły na lipca. Tak ech se wykalkulowoł, iże testamyntnie pódzie na derechtera bankowygó do Bytónia, coby ulepszyć system „gospodarki", albo tyż założy óno pismo, o chtórym ech pisoł, iże mo mieć hasło „Śląsk do ślązoków" a być pono niymieckie. No, gupich nie sieją, sami się rodzą; tak pono tyż zaś jeszczy nojdły sie ciymne chopy, co dali piyniądze na pismo. Ale to sie wiy, iże niekierzy bydą sie za nie ożerali, tak, jak robili inkszym. Jedyn bydzie zaś szpekulowoł s drzewem a wtóry zaś s cegielniami coby stracić nie swoje piyniądze. Jednygó zaś chyci sztacwald za formaletka, wtórygo ożartygó wystrzelą ze wszyjskich barów a winiarni. I zaś bydą nowe zosługi dlo norodu. Za telo już poszło grosza śląskiego na rostoliczne cele nieznane ofiarodawcom. Kaj to wszycko? Ale pedzieć tym panoczkom: zdajcie rachunki, to r'zą a pomstują od bezbożników; a pedzieć tym okradzionym: tyś pono z Rybnika uciyk, co takim dajesz, to ci odpowiy: „to nasi", no i jeszczy dumny s ich zosług obębniónych. Gustlik Beskuryjo.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott w Katowicach.

Nr. 22. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 1 czerwca 1912.

MAKSYM FORMONT.

Filantrop wbrew swej woli.

(Z francuskiego przełożył J. S.).

Pan Aubertin nienawidził życia i ludzi. Pożycie jego z nieboszczką żoną, które trwało niestety za długo, rozgoryczyło go względem całego świata. Pani Aubertin była żoną niewierną i nieznośną, jedną z tych istot, które wszelkimi sposobami potrafią unieszczęśliwić związanego z sobą człowieka i zatruć mu życie. A jednak kat przeniósł się do wieczności przed swą ofarą: pani Aubertin umarła, pan Aubertin poczuł się wolnym.

Gdy nie stało Ksantypy, odetchnął z ulgą, pozostał jednak po dawnemu zgorzkniałym, gdyż doszedł już do tych lat, kiedy cechy charakteru tak są utrwalone, że nic ich zmienić nie zdoła. Coraz bardziej opanowało go uczucie nienawiści do ludzi w miarę, jak lata czyniły coraz czerstwiejszem jego serce, wyschłe z powodu ciągłych niesnasek rodzinnych. Mieszczanin z dziada pradziada, spadkobierca fortuny, na którą złożyła się mrówcza praca trzech pokoleń, spotęgował jeszcze w swej osobie typ przedstawiciela klasy niezbyt czułej na cierpienia bliźnich. W gruncie rzeczy skąpym nie był, rozkoszował się jedynie zeznaniem, że, będąc bogatym i niezależnym, może żyć wyłącznie dla siebie samego, podług swej własnej woli, nie licząc się z nikim i z niczem, nie przynosząc nikomu pożytku. Dobrowolnie postawił siebie poza nawias społeczeństwa, obcy jego smutkom i radościom, dążeniem i celom. Dusił bezużytecznie grosz, ten przedmiot pożądania zazdrości i nienawiści. W ten sposób mścił się na otoczeniu za całe lata pożycia małżeńskiego.

Mieszkał daleko od Paryża, w małej smutnej mieścinie N... w Szampanji. I w tym ponurym zakątku nawet zwracało na siebie uwagę, cierpkie jego usposobienie. Stykał się jedynie z kilkoma sąsiadami, również jak i on nienawidzącymi świata. Zdarzają się często na prowincji typy usychających, zapoznanych geniuszów. Do tego rodzaju zgorzkniałych dusz należał stary sędzia, osiadły w mieścinie od tak niepamiętnych czasów, że zdążył już wrość w prowincje. Nie przenoszono go do większego miasta, tłómacząc to tem, że niema nikogo, ktoby go mógł zastąpić. Z nudów począł się zajmować wiedzą tajemną i zdołał zająć nawet pana Aubertin'a sprawami magnetyzmu i hipnotyzmu. Często spotykano obu tych panów, rozprawiających podczas spaceru o spirytyzmie. Dało to powód do rozmaitych plotek, i wkrótce dokoła pana Aubertin'a, i bez tego zażywającego nie najlepszej sławy z powodu swej cierpkości, powstały całe legendy. Ci nawet, co nie wierzyli w istnienie djabłów, byli przekonani, że stary sknera wdaje się w jakieś czartowskie sprawy.

Pan Aubertin cieszył się niewymownie z tego, iż został niejako wyklętym za swą oschłość i rzekome obcowanie z djabłami. Z zadowoleniem widział, jak dzieci, spotkawszy go na ulicy, uciekały przed nim, jako przed złym i powszechnie przeklinanym bogaczem. Kilka razy w pewnych odstępach czasu opuszczał miasteczko i razem z sędzią udawał się do Paryża. Zachodzono w głowę, co też oni mogli tam robić? Niewątpliwie przebywali w dzielnicy Marais, w tych tajemniczych salonach, zamkniętych przed wszystkimi niepowołanymi i niepoświęconymi; tam zapewne oddawali się hipnotyzmowi i spirytyzmowi.

Po powrocie z jednej z takich wycieczek pan Aubertin zaziębił się, gdyż nie miał w zwyczaju ubierać się ciepło, i umarł w sposób najbardziej pospolity, bez żadnych zjawisk nadprzyrodzonych, umarł poprostu na obustronne zapalenie płuc. Notarjusz, u którego złożył swój testament, pośpieszył zawiadomić spadkobierców.

Nadciągnęli ze wszystkich zakątków Francji, gdyż beznadziejna nędza rozproszyła po szerokim świecie całą rodzinę Aubertin'ów. Bogatą była jedynie ta gałąź, której ostatnim przedstawicielem był nieboszczyk. Wiedziano, że owdowiał przed piętnastu laty, że był bezdzietnym, to też słabe zdrowie „kuzyna Aleksandra“ było słońcem nadziei wszystkich krewnych aż do dwunastego stopnia pokrewieństwa. W tępych umysłach tych biednych, zapracowanych wieśniaków sprawa dziedzictwa nabierała jakiegoś znaczenia niemal mistycznego, zdawała się być gwiazdą przewodnią ich życia. To też na wieść o śmierci bogatego krewnego zbiegli się radośnie, jak na żer, nie zdając sobie nawet sprawy, iż tak wielką jest liczbą tych, co obsiedli złote jabłko, że przy podziale każdemu wypadłaby zaledwie odrobinka. Biedakom, którzy liczyć umieli jedynie na grosze, zdrój złota, prześladujący ich chciwą, rozgorączkowaną wyobraźnię, zdawał się być niewyczerpanym.

Co do pana Aubertin'a, ten dobrze umiał rachować, a serce jego rozpierała radość szatańska na samą myśl, jakie przyjęcie zgotuje licznym swym krewniakom, którzy się zbiegną na uroczystość podziału. Była to ostatnia złośliwość jego, ostatni akt zemsty nad rodzajem ludzkim, który miał nieszczęście posiadać niegdyż w swem gronie nienawistną panią Aubertin.

W dniu, oznaczonym przez pana Petit-Radela, poczekalnię notarjusza zapełnił tłum obcych twarzy: zebrał się ród Aubertin'ów, rozproszony po całej Francji. Rozlegały się dźwięki gwary, właściwej mieszkańcom północy, przerywane okrzykami, właściwymi południowcom. Jak spiżowy dzwon, dźwięczał marsylski akcent jakiegoś południowego „Aubertinga“; przerywały mu rozwlekłe, śpiewne słowa jakiegoś Aubertina z północy; słowem krzyżowały się wszystkie gwary francuskie, a w sali znajdowali się sami Aubertin'owie... Jedna myśl gościła we wszystkich głowach; „zadużo nas zebrało się na gody spadkowe, stanowczo zadużo!“ Spoglądali na siebie z pode łba, jak gdyby mieli chętkę wymordować się wzajemnie.

Pan Petit Radel długo kazał czekać na siebie, a gwar rozmów wzmagał się wciąż, jak burza morska. Coraz większe roznamiętnienie malowało się na rumianych, ogorzałych twarzach, gdyż rozmowa o pieniądzach podniecała do najwyższego stopnia poczciwców tych, zgiętych pod brzemieniem ciężkiej pracy na roli.

Wreszcie drzwi kancelarji otworzyły się i ukazał się sam pan notarjusz z pliką papierów w ręce. Przez krótką

chwilę zatrzymał sią na progu. Dwadzieścia pięć lat pracy na tak ważnym posterunku uczyniły oblicze pana Petit-Radela prawdziwie ministerjalnem: nieruchoma, jakby w kamień zaklęta twarz zdawała się być godnem uosobieniem kodeksu cywilnego.

Cisza zapanowała dokoła...

Pan Petit Radel mówił:

— Panowie! Wezwałem was, aby w waszej obecności odczytać testament, spisany i zdeponowany w mej kancelarji przez nieodżałowanej pamięci Aleksandra Aubertin'a. Taką była ostatnia wola nieboszczyka. Poczuwam się jednocześnie do obowiązku poinformować panów, że testament, który odczytam, został unieważnionym przez prawomocny i obowiazujący akt, noszący datę późniejszą. Akt ten otworzyłem przed chwilą i treść jego podaję do wiadomości panów. Zgodnie z brzmieniem tego drugiego testamentu jedynym spadkobiercą całej masy, wszystkich ruchomości i nieruchomości, jakie pozostawił ś. p. Aleksander Aubertin, jest nasze miasto N... pod warunkiem, iż cały dochód z zapisu tego użytym będzie wyłącznie na cele dobroczynności publicznej. Akt ten nie jest należycie ostemplowany, nakłada się więc grzywnę w kwocie 62 fr. 50 ct., która to suma jednak nie może być ściągniętą z panów, jako nie spadkobierców.

Przy ostatnich dopiero słowach notarjusza pojęli Aubertin'owie cały ogrom spadłej na nich klęski.

— Ach, zbój! Ach, bandyta!

— Złodziej!

— Tak jest! Okradł nas....

— Nam się te pieniądze należały.

— Cały majątek po śmierci właściciela na rodzinę przejść musi.

— A nasza fatyga! Przybyłem aż z Montbéliard.

— A ja aż z Pézenas!

— Wniesiemy protest!

— Tak, tak, protest!

Pan Petit-Radel podniósł spokojnie rękę do góry; żaden muskuł nie drgnął na jego jakby drewnianej twarzy.

— Wierzcie mi, panowie, żaden protest nic tu nie pomoże. Testament, spisany, datowany i podpisany ręką nieboszczyka, w chwili, gdy tenże był przytomnym i przy zdrowych zmysłach, nie może być zaczepionym. Możemy wyrazić nasze zdziwienie, z powodu iż ś. p. Aleksander Aubertin drugim swym testamentem tak radykalnie zmienił swą wolę, zawartą w testamencie pierwszym. Jako testator jednak miał prawo anulować poprzedni testament, a prawo to jest ustawowo zagwarantowanem.

Ostatnie zdanie wypowiedział notarjusz ze szczególnym naciskiem i godnością. Ponieważ Aubertin'owie znów wszczęli piekielny hałas, przeczekał więc, aż minęły wybuchy wściekłości, poczem zaczął odczytywać testament głosem jednostajnym, suchym, jakby płynącym bezpośrednio z zielonych okładek, w których spoczywały akta.

— — — — — — — — — — — — —

Pięć lat minęło od tego czasu. Na dworcu w miasteczku N... wysiadł nieznajomy w sile wieku, o twarzy spokojnej i energicznej zarazem, stworzonej jakby po to, aby rozkazywać. Pewnym krokiem udał się do śródmieścia i zaczął je natychmiast zwiedzać. Na rogu jednej z głównych ulic ujrzał piękną tablicę emaljowaną z napisem:

ULICA ALEKSANDRA AUBERTIN'A,
uczonego i filantropa.
(1832—1901)

Wiadomo, że małe mieściny często nadają ulicom swym nazwiska rozmaitych, nikomu zresztą nieznanych znakomitości lokalnych, aby je w ten sposób przekazać potomności. Przybysz więc, spotykając po raz pierwszy w swem życiu nazwisko X.. lub Y..., zmuszonym jest prosić przechodniów o pouczenie go, kim właściwie był ów sławny X... lub Y..., którego pamięć tak szumnie uczczono.

Nieznajomy nasz udał się ulicą Aleksandra Aubertin'a na rynek. W pośrodku placu piętrzył się zarówno okazały, jak i brzydki stożkowaty pomnik, a na nim wyryte (zapewne przez miejscowego rzeźbiarza grobowców) popiersie jakiegoś jegomościa, zaopatrzone w napis:

ALEKSANDROWI AUBERTIN'OWI,
swemu dobroczyńcy,
Miasto N.....

Na ustach nieznajomego zadrgał nieznaczny uśmieszek. Oddaliwszy się zaledwo o parę kroków od pomnika, ujrzał gromadkę niebiesko ubranych dziewczątek, wychodzących z gmachu szkolnego. Nad wejściem do niego widniał napis:

ZAKŁAD DLA OSIEROCONYCH DZIEWCZĄT,
Fundacja Aleksandra Aubertin'a

Zatrzymał jakiegoś przechodzącego duchownego i spytał go:

— Przepraszam księdza, jestem tu obcym. Proszę z łaski swej objaśnić mi, kim właściwie był ów pan Aleksander Aubertin, z którego nazwiskiem spotykam się w tem mieście na każdym kroku?

— Niestety, mój panie — odrzekł zagadnięty — nie znałem tego człowieka, gdyż umarł, zanim przybyłem w te strony. Sądząc jednak z dzieł jego, musiał to być szczodrobliwy i prawy chrześćjanin. Imię jego wymawiają tu powszechnie z czcią i uwielbieniem.

— Dziękuję stokrotnie za objaśnienie.

Przybysz uśmiechnął się znacząco. Wiedział on dobrze, jakiemi to drogami doszedł nieboszczyk po śmierci do miana filantropa, chociaż za życia pałał zajadłą nienawiścią do całego rodzaju ludzkiego: do znakomitego hypnotyzera zajrzał niegdyś z ciekawości pan Aubertin w towarzystwie sędziego. Hypnotyzer skorzystał ze snu magnetycznego, w jaki pogrążył tego mizantropa i nakazał mu uczynić testament, godny św. Wincentego à Paulo...

Oto kpiny z dobroczynności!.

Z historji miljarderów amerykańskich.

Bardzo ciekawą i pouczającą jest historja kolosalnych majątków amerykańskich, historja o tem, jak amerykańscy miljarderzy dorobili się swych kolosalnych kapitałów.

Rozwój koncentracji kapitałów amerykańskich idzie w tempie bardzo szybkiem. Jeszcze w r. 1854 w Nowym Jorku obliczano liczbę miljonerów tego miasta na 25 z łącznym majątkiem 43 miljonów dolarów; wraz zaś z Bostonem, Filadelfią i innemi centrami amerykańskiemi, oraz wraz z tak zwanymi pół-miljonerami otrzymujemy, jako ogólny majątek amerykańskich bogaczów, jakieś 100 miljonów. Tylko.

Zupełnie inaczej stoi sprawa obecnie. Taki np. król naftowy Rockefeller, którego majątek jeszcze w r. 1889 obliczano tylko na 100 miljónów, obecnie ma rocznego dochodu około 100 miljonów dolarów! Czyli że kapitalizacja tego dochodu daje kapitał wysokości od 2000 do 3000 miljonów. — Obok tego krezusa stoi jeszcze paru prawdziwych miljarderów — Astor, Vanderbildt. Dalej zaś idą skromni właściciele tylko setek miljonów — Gould, Harriman, Morgan i inni.

Majątek Rockefellera już przed laty obliczano na jedną czterdziestą narodowego majątku amerykańskiego; cała zaś kompanijka, grupująca się około trustu naftowego około $^1/_{10}$ całego narodowego majątku.

Jaką właściwie jest historja tych majątków? W jaki

sposób zdobyto te niesłychane skarby? Na to objektywna analiza może odpowiedzieć tylko jedno: historja amerykańskich miljonerów jest historja długiego szeregu najpospolitszych rabunków i innych zbrodni, co nietrudno wykazać na przykładach konkretnych. Niestety masy pracujące w Ameryce bynajmniej nie zawsze uświadamiają sobie ten fakt w stopniu należytym, gdyż prasa w olbrzymiej części znajduje się pod wpływem trustów, a każdy miljarder i niemal każdy większy miljoner ma swego kamerdynera od „literatury", który pod niebiosa wychwala swego chlebodawcę, jako dobroczyńcę ludzkości, co tem łatwiej mu przychodzi, że niejeden arcymiljoner ofiarowuje parę okruchów, to znaczy kilka miljonów na czytelnie, bibljoteki, uniwersytety lub ochronki i w ten sposób oszołamia łatwowierną masę...

Lecz przejdziemy do faktów, których sporo zawierają trzy tomy dzieła Meyersa: „History of the Great American Fortunes", Chicago, 1910.

Weźmy na początek takiego Astora.

Założycielem finansowej dynastji Astorów był John Astor, rodem z wioski badeńskiej, urodzony w roku 1768. Pewnego dnia w „porządnem ubraniu niedzielnem", oraz z 5 funtami szterlingów w kieszeni, przybył on w 18 roku życia do Ameryki jako emigrant. Z początku był czeladnikiem piekarskim, następnie zaczął handlować futrami i w r. 1786 założył swój pierwszy sklep futrzany. Na futrach też dorobił się przeważnie swej kolosalnej fortuny — ceną zdrowia majątku i życia setek ludzi.

Na Astora pracowały bowiem dziesiątki pośredników, trapperów, którzy operowali po lasach i stepach amerykańskich, siejąc spustoszenie i korupcję wśród tubylców, wśród czerwonoskórych. Groźby, zdrada, strzelba, sztylet — wszystko puszczono w ruch, aby spokojnych, biednych tubylców zrobić niewolnikami Astora.

Trapper, który więcej whisky dawał, więcej spajał, wydobywał od tubylców więcej futer. Oczywiście taki proceder już wówczas był zakazany przez rząd, lecz Astor umiał wpłynąć na władzę... I w pobliżu składów futer widziano nieraz kupy ciał mężczyzn i kobiet — spojonych do nieprzytomności.

Za głupi naparstek liczono tubylcom 1 i pół dolara, za funt tytoniu 18 dolarów i t. d. Przez całą zimę czerwonoskórzy uganiali po lasach za zwierzyną, zawsze zadłużeni u Astora, a na wiosnę trapperzy Astora alkoholem, siłą i oszustwem odbierali od nich owoc pracy. A jeśli czerwonoskórzy próbowali się mścić, donoszono do Waszyngtonu, że Indjanie się buntują, zlatywało się wojsko i ograbionych z zimną krwią mordowano.

Tak trapperzy oszukiwali tubylców. Astor zaś oszukiwał trappperów. 10 do 11 miesięcy w roku oszukiwali, grabili i mordowali tubylców traperzy, otrzymując za to rocznie około 130 dolarów, naturalnie nie gotówką, lecz drogimi towarami ze sklepów Astora.

Monopol na handel futrami przyniósł Astorowi inne monopole. Futra wywoził do Chin, uszukiwał tam, kogo mógł, a podróż jednego tylko okrętu przynosiła Astorowi do 30 000 dolarów.

Lecz tego było Astorowi zamało. Chwycił się spekulacji gruntowej. Polegała ona natem, iż w stanie nowojorskim skupywał grunta w nadziei na podniesienie cen, na rozszerzenie się Nowego Jorku. Pewnego np. razu przy pomocy swych adwokatów spędził 700 farmerów z ich gruntów i zabrał ich ziemię. Oburzenie ludności było tak wielkie, że rząd widział się zmuszonym kupić u Astora jego pretensje za sumę — 1 i pół miljona dolarów.

Tak — po cencie — zbierał Astor swe dolary.

W początkach XIX stulecia rozpoczęła się w miastach gorączkowa spekulacja gruntowa. Przekupione magistraty — „wobec braku pieniędzy w kasach" — sprzedawały grunta podmiejskie, a po kilku latach skupywały je na nowo po bajońskich cenach. Do roku 1906 jedno tylko miasto Nowy Jork zapłaciło 70 miljonów dolarów za niegdyś sprzedane grunta — „nieużyteczne"... A Astor był jednym z pierwszych, który się obłowił!

Wziął udział w działalności banków, przekupił kogo należy, zdobył — bezprawnie — pozwolenie na emisję banknotów i zapełnił nimi rynki, skupując pieniądz metalowy. Podczas kryzysu w r. 1837 Astor zawiesił wypłaty — rządowi oraz prywatnym wkładkodawcom. 800 banków zawiesiło wypłaty. Pieniędzy metalowych w obiegu nie było już wcale. Wśród ogólnej biedy Astor gorączkowo skupywał listy zastawnicze, hipoteki i t. d., a później — w razie nieakuratności w spłatach — licytował. I w ten sposób niemal za darmo zdobywał grunta, skupywał domy.

Nie będziemy dla braku miejsca opisywali oszustw Astora z emigrantami.

W r. 1847 Astor umarł, jako najbogatszy człowiek w Ameryce, zapisując 400 000 dolarów „bibljotece Astora", co różnym sprzedajnym piórom dało sposobność do głoszenia sławy Astora, jednego z najnikczemniejszych oszustów.

Syn i wnuk poszli w ślady ojca i dziadka i doprowadzili majątek do 440 miljonów dolarów — tymi samymi sposobami.

Tak powstała świetna dynastja Astorów — mecenasów sztuki i nauki, dobroczyńców ludzkości.

Rozmaitości

Patrolowanie gór lodowych. Katastrofa „Titanica" zniewoliła władze marynarki amerykańskiej do zorganizowania służby patrolowej w okolicach oceanu, najczęściej nawiedzanych przez góry lodowe. W tych dniach pierwszy taki parowiec patrolowy „Birmingham" opuści Nowy Jork i krążyć będzie po oceanie na południe od wielkich ławic Newfeundlandu, zawiadamiając za pomocą telegrafu bez drutu przepływające pomiędzy Europą a Ameryką parowce o kierunku i położeniu zauważonych gór lodowych. Po wyczerpaniu zapasów węgli, „Birmingham" powróci do Nowego Jorku, a na jego miejsce wysłany będzie inny parowiec.

* * *

Gdzie czytają najwięcej na świecie? Pokazuje się, że w Australji. W zeszycie marcowym „Book Monthly" znajdujemy nader ciekawy artykuł, z którego dowiadujemy się nader ciekawych szczegółów o tem, jak dalece wszyscy w Australji opanowani są nadzwyczajną namiętnością do czytania. Prawie niema takiej chaty w najbardziej oddalonych i odciętych od świata okolicach lądu australijskiego, gdzie nie byłoby np. klasyków angielskich. W każdem najmniejszem miasteczku musi znajdować się czytelnia publiczna i biblioteka, a stołeczne miasta stanów utrzymują oprócz tego na koszt rządu bezpłatne biblioteki publiczne, którym rokrocznie parlamenty miejscowe uchwalają hojne zasiłki na uzupełnienie zapasów książkowych. Biblioteki te przystępne są dla wszystkich bez żadnych ograniczeń i każdy z niej może otrzymać książkę, o jakiej zamarzy.

Oprócz tego istnieje też wiele czytelń prywatnych, które wypożyczają książki do domu, a nadto w Australji ogromnie rozpowszechniony jest typ bibliotek latających, rozsyłających książki po prowincji; nawet w najbardziej zapadłe kąty wysyła się komplety 300 tomowe książek najpoczytniejszych, które corocznie wymienia się na nowe. Ponadto po wsiach ludność może korzystać z czytelni przy szkołach. Amatorzy czytelnictwa pozakładali także mnóstwo klubów, poświęconych specjalnie lekturze, które sprowadzają zewsząd najbardziej cenne i rzadkie wydawnictwa.

* * *

100 tys. marek ukradł woźny kasowy bankowego i transportowego Tow. amerykańskiego „Express", 22 letni Max Hasse w Berlinie. Miał on podjąć z „Dresdener Bank" przy Behrenstr. 100 tys. mk., następnie wpłacić je do banku rzeszy. Młodemu Haasemu dodano dla bezpieczeństwa starszego woźnego. Obaj podjęli wyznaczoną sumę z banku i włożyli ją do torby skórzanej, którą Hasse zawiesił sobie na szji, poczem udali się do banku rzeszy. Przed gmachem bankowym oświadczył Hasse towarzyszowi, że jeszcze szybko uda się do toalety, prosząc, aby na niego zaczekał.

Tak się też stało. Starszy woźny, któremu ani na chwilę nie zaświtało w głowie podejrzenie, czekał i czekał, lecz gdy po niejakimś czasie jeszcze nie wracał, zatelefonował do banku swojego. Zaalarmowano natychmiast policję, która rozpoczęła poszukiwania za oszustem, lecz dotychczas nie natrafiono ani na ślad jego.

* * *

Katastrofa kolejowa w Królestwie. Z Kielc donoszą: Na kolei nadwiślańskiej między Suchedowiem a Zagnańskiem w pociągu towarowym Nr. 147, skutkiem nadłamanego stalowego łącznika i znacznej pochyłości toru, oderwało się 20 wagonów od pociągu. Oderwane wagony z zawrotną szybkością doleciały do rozjazdu. Łączna i wpadły na pociąg towarowy Nr. 145. Skutkiem silnego zderzenia utworzył się wysoki stos rozbitych wagonów, który zagrodził oba tory. Tor uszkodzony został na przestrzeni 15 sążni. Od uderzenia wagonów pociągów Nr. 147 oderwało się od pociągu Nr 145, stojącego na rozjeździe, 17 wagonów które potoczyły się ku stacji Suchedniów, gdzie je dopiero zatrzymano. Z miejsca katastrofy zażądano telegraficznie pomocy. Między rozbitymi wagonami jeden wypełniony był zapałkami, które skutkiem katastrofy zapaliły się. Ogień w jednej chwili ogarnął stos rozbitych wagonów.

Katastrofa powyższa pociągnęła za sobą ofiary, które przewieziono do szpitala kolejowego na Pradze. Stan zdrowia dwóch konduktorów jest beznadziejny, natomiast dwaj inni mają się o tyle dobrze, że ich życiu nie grozi na razie niebezpieczeństwo.

* * *

Wybuch Etny. Z Katanji donoszą, iż ze środkowego krateru Etny zaczynają wydobywać się gęste kłęby białego dymu, z których opada na zbocza góry deszcz popiołu. Jak się zdaje, wybuch ten jest skutkiem zawalenia się ścian wewnętrznych krateru.

* * *

Zatrudnianie dzieci szkolnych w przedsiębiorstwach przemysłowych unormowano odpowiednimi przepisami ustawodawczymi z dnia 30 marca 1903. Według nich nie wolno obcych dzieci szkolnych zatrudniać przed nauką przedpołudniową oraz przed godziną 8 rano. Surowo więc zakazanem jest np. roznoszenie pieczywa przez dzieci we wczesnych godzinach porannych. Podczas dnia nie wolno dzieci zatrudniać ponad 3 godziny. W południe należy urządzić dwugodzinną przerwę. Po południu praca dzieci może się rozpocząć dopiero w godzinę po nauce popołudniowej. Po 8 godzinie wieczorem nie wolno dzieci zatrudniać wogóle. A więc nie wolno np. używać ich przy kulaniu w kręgle do ustawiania kręgli, ani też do roznoszenia gazet wieczornych i t. p. Dzieci poniżej lat 12 nie wolno wcale zatrudniać, dzieci zaś ponad lat 12 należy zaopatrzyć w karty tak zwane robotyicze, wydawane przez miejscowe władze policyjne bezpłatnie.

Osobom, wyłamującym się z pod powyżej wymienionych przepisów, grozi kara do dwuch tysięcy marek. W razie zaś uporczywego, dalszego przekraczania tych przepisów przewidziana jest kaźń więzienna do 6 miesięcy.

Dymokrackie medykacje.

Hnet przez całkie Święta Zielóne, te święta Ducha miłości a mądrości, niebo płakało, pono skisz tegó, iże te dary jegó tak marnieją terazki; możno i gibko nie bydzie poprawy.

Bo po jakiymu szukać miłości, kiej niy ma ani sprawiedliwości na tym świecie? Tyn ucisk, te prawa na ubogich a to wszycko społem utropiynie, to pono jino dopust boski, ale nie dary Ducha mądrości a miłości; w kościołach prawią o tym, co stoi w Piśmie Świętym, ale niekierzy i cyganią o tym, jak je w życiu; trza rozróżniać nauka a nauczycieli a to, co „nauczają", bo inakszy te człek bółby gupi ze wszyckim.

Mądrością a miłością mo być, kiej głowa kościoła ewanielickiegó w Prusach grozi alzasom a inkszym zemstą; mądrością głęboką a miłością wielką mo być, kiej arcykatolicki bawarski związek chłopski stowio do sejmu rezolucjo, coby szkoły wyższe nie przyjmowały wiele uczniów, bo za telo je już proletarjatu uczonygó. Anó, jest tegó za telo, to mają prawie, ale chtó tymu winien? Wdycki te same winowajcy: rząd a junkry a kapitoł. Bo rząd na urzędników potrzebuje wydrylowanych podoficerów, co hnet a huet ani protokołu nie napiszą jak noleży, i takich, co wdycki jak maszyny mu przają, uczone tyż, ale bez woli; ale na ograbianie z praw obywatelskich człek nie ciymny se nie zawsze pozwoli; a kiej je ubogi, tak je i proletarjuszem. Zaś junkry na takiygó ani nie patrzą, ani na bogatygó inteligienta tyż nie, bo u nich człowiek zaczyno sie dopiyro od oficera a grofa. No, a kapitoł wyzyskuje wszyjskich, to mu za jedno, chtó mu służy, albo, kogo utrąci swoją siłą. Jednako wdycki je ciemiężyciel kuźdy swobodniejszy, kiej mo ciymne masy przed sobą, a nie takich, co są świadomi praw ludzkich; takiygó proletarjatu mu strach.

Miłość osobliwą uprowiają tyż niekiere księżoszki-hakatysty. Głoszą miłość do trónu a ołtorza, o bliźnim nie wypamiętają, jeszczy pomstują, kiej se nie do w krupy pluć; a sami upodobali se dlo siebie miłość zakozano duchownym. Znomy wielu takich; terazki fleguje tako miłość, pono nie z Ducha świętygó, kieryś erciprijster niedaleko od cesarskiej granicy. Możno chce wyflegować se osobno rasa duchowno, bo wybroł se ku tymu panny klosztorne. Kiej Adam s Ewą chodzili se pod paża po zagrodzie i jedli owoce zakozane, r'zali tak, aże jego matka i siostra nie mógły śniyść tegó zgorszynio i wyjechały, choć pedzioł, iże je za to wyherbuje. Sztyry takie libsty farorzykowe już pono boroczki wróciły do tegó świata grzysznygó, coby mu przydać wiynkszy grzyszników, a za wiana, słożone na chwała bożo farorzykowi, kupić se chopów. Na misyji padali zokonnicy, iże to nieprowda, ale to sie wiy, co wert są wszyjskie zaprzeczenia urzędowe.

Padali tyż, iże tak pisać mogą jino gazyty wrogie kościołowi a niemoralne a cygańskie. Ano, widza, iże poszli po nauka do pana Studta, chtóry ból pruskim ministrem oświaty a terazy siedzi w Izbie Panów. Tegó panoczka tyż jakoś siła nadziemsko natchnyła mądrością, iże pisma Sienkiewicza są niemoralne. Mo prawie, iże Sienkiewicz pisoł za telo o niemoralności, ale jino tyj, chtóro uprowiali krzyżacy, ojcowie i założyciele dzisiejszych Prus, społem s tegó państwa rostmaitymi książętami, na tyn przykłod Eulenburgami, a rostolicznymi duchownymi faryzeuszami, zdradami, rozbojami, ustawami wyjątkowymi, ostmarkenculagami, wywłoszczyniem, kolonizacją, wszyjskimi wyborami jawnymi a trójklasowymi, i s policją w sejmie a na kożdym kroku, okrom tam, kaj byłaby potrzebno.

Tako to miłość a mądrość na tym świecie. I niebo nie miało płakać w dzień, kiej obchodzono pamiątka zesłania Ducha Świętego s tymi i jeszczy pięciu inkszymi darami? Przespołech tyż jankór a starość a biyda w piyrsze święto, a w drugio pojechołech na Jęzór, coby winem zaloć chroboka, zaboczyć o dymie a swądzie górnośląskim a o pikelhaubie pruskij.

Ale tam, na cysarskiym, tyż im niewesoło. Bobrzyński, tyn namiestnik czórno-żółty, poszoł w nauka do prusoków, to tyż zarozki na dymonstrantów we Lwowie puściół policaj a wojsko, za to, iże chcieli pruskiymu konsulowi a ruskiymu zrobić kocio muzyka o wywłoszczenie z roli a Chełmszczyzny. Możno tyż terazki pójdą na odstowka wszyjskie ciymne duchy, kiej na tyn przykłod minister Długosz, chtóry przysięgo, co mu sie lepsze widzi.

Gustlik Beskuryjo.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott w Katowicach.

Nr. 23. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej".

Katowice, sobota, dnia 8 czerwca 1912.

RODA-RODA.

Antipellina, najlepszy środek na mole.

— Cóż u pana słychać? — spytał dr. Brzezlarzik, profesor wiedeńskiego uniwersytetu. — Czem panu mogę służyć? — dodał uprzejmie.

Fabrykant gryzł sobie wargi. Podniósł kilkaktrotnie brwi do góry i znów je opuścił. Wykrztusił wreszcie:

— Panie radco dworu... tu... zaszła pomyłka...

— No, no, jakaż to pomyłka? Poprawimy ją zaraz.

— Gdy... Czy przypomina sobie pan radca dworu, że już byłem u niego przed dwoma tygodniami z prośbą o świadectwo?... Pan radca dworu nie przypomina sobie? Nazywam się Edhofer.

Profesor dr Brzezlarzik nic jednak nie mógł sobie przypomnieć.

— Prosiłem o świadectwo pana radcę dworu. Nazwisko moje — Edhofer.

— Ach, tak, tak, istotnie; wiem już, wiem. Cukierki słodowe...

— Przepraszam pana radcę dworu, nie cukierki słodowe, tylko...

— Prawda, teraz przypominam sobie. Tak, waterklozety z mechanizmem...

— Przepraszam pana radcę dworu, nie klozety, tylko antipelina.

Pan Edhofer przyjął pozę mówcy i począł recytować:

— Antipelliua jest najlepszym środkiem na mole. Od lat już dwudziestu zajmuje się nasza firma wytwarzaniem proszków, za przeproszeniem, na rozmaitego rodzaju robactwo i pasorzyty. Firma nasza zdobyła sobie światową sławę. Jesteśmy dostawcami dworu Jego Wysokości księcia Mikołaja Czarnogórskiego. Mamy mnóstwo listów dziękczynnych od najwyższych urzędników i wpływowych osób — lecz, Boże broń, nie możemy ich ogłosić. Skąd więc publiczność dowie się, iż wyrób nasz przypadł do gustu tym wysoko postawionym osobom. Rozmaite oszukańcze firmy, wytwarzające również proszki na szkodliwe owady, drukują sobie listy i świadectwa pochwalane, podpisane przez jakichś nieznanych asystentów, jakichś profesorów nieistniejących uniwersytetów. Pomyślałem sobie: Edhoferze, idź do naszego znakomitego radcy dworu profesora Brzezlarzika i poproś go o dokładną analizę, za przeproszeniem, naukowe zbadanie antipelliny i wystawienie świadectwa, któreby można potem ogłosić w pismach. Z tą właśnie prośbą zwróciłem się do pana radcy dworu.

— Wiem już, wiem. Przed dwoma tygodniami, nieprawdaż?

— Tak jest, panie radco dworu. Przyniosłem sześć flaszeczek antipelliny i prosiłem o łaskawe... Przed trzema zaś dniami posłałem po to świadectwo mego urzędnika, który położył na biurku pana radcy dworu kopertę, zawierającą pięćset koron, proszę pana radcy dworu... o tem wspominam tylko dla porządku... Położył więc kopertę, zawierającą pięćset koron...i...

Pan Edhofer wyjął z kieszeni arkusz papieru.

— Aleś pan, panie dostawco nadworny, otrzymał świadectwo?

— Tak, panie radco dworu, otrzymać — otrzymałem je, ale co za świadectwo! Niech pan radca dworu sam raczy przeczytać.

Pan radca dworu, uzbroiwszy się w okulary, począł czytać:

„Do Wielmożnego Pana
Antoniego Edhofera,
Dostawcy Dworów
w Wiedniu.

Przeprowadziłem badania naukowe nad wielokrotnie polecanym mi i nagrodzonym złotym medalem na wystawie światowej w Antwerpji proszkiem na mole „Antipellina" i otrzymałem następujące rezultaty:

Młode osobniki molów futrzanych (Fineada pellionella L.), umieszczone w „Antipellinie" wzrosły znakomicie w przeciągu zadziwiająco krótkiego czasu. Liszka, dochodząca w warunkach normalnych do 6 7 mm. długości, umieszczona w „Antipellinie" osiągnęła 10 mm. długości, rozwinęła się bujnie i szybko.

Jeszcze lepsze rezultaty otrzymałem z liszką mola sukiennego (fineada Sarcitella L.), która w warunkach normalnych nie przekracza 6 7 mm., hodowana zaś w „Antipellinie", doszła do długości 11 05 mm.

Nie waham się przeto uznać „Antipellinę" za najlepszy z istniejących środków dla hodwoli moli i upraszam o nadesłanie mi jeszcze kilku flaszeczek „Antipelliny" dla użytku osobistego.

Podpisano: Dr Brzezlarzik,
Profesor c. k. Uniwersytetu."

Uczony pokiwał głową, pomilczał chwilę, poczem rzekł:

— Widzisz pan, kochany dostawco nadworny... To oczywista pomyłka — przyznaję to. Ale kto zawinił? Pan. Zechciej to pan przyjąć pod uwagę: gdy uczony zabiera się do szeregu doświadczeń naukowych, musi mniej więcej wiedzieć, co ma udowodnić. Według tego skierowuje swe doświadczenia i otrzymuje pomyślne rezultaty.

— Przepraszam pana radcę dworu...

— Niech się pan nie gniewa, panie dostawco nadworny. Powiedziałem to panu, abyś pan wiedział, jak postępować w takich razach. Co się tyczy świadectwa tego, przyznaję, iż nie ma ono wartości, gdyż zepsuł je asistent podczas mej nieobecności. Uspokój się pan jednak: jestem człowiekiem honoru i chętnie wystawię panu inne świadectwo, z którego będzisz pan zadowolony, panie dostawco nadworny. Żegnam pana, panie dostawco nadworny. Przeprowadzę osobiście szereg doświadczeń i wystawię świadectwo zgoła odmienne od poprzedniego. Bardzo mi było miło! Do widzenia, panie dostawco nadworny!

Największy okręt na świecie.

W porcie wolnego miasta hanzeatyckiego, Hamburga, spuszczony został na wodę największy na świecie parowiec pasażerski, który otrzymał dumne imię „Imperator". — Ten olbrzymi potwór morski posiada 50 000 ton pojemności, a więc o 5 000 ton więcej niż „Titanic", który niedawno zatonął. Długość „Imperatora wynosi 268 metrów, szerokość 29,9 metra, boczna głębokość 19,5 metra. Bez maszyn kotłów i ładunku waga okrętu wynosi 34 miljony kilogramów. Największe wojenne okręty liniowe ważą o 10 miljonów kilogramów mniej.

„Imperator" będzie mógł zabrać 4 100 pasażerów, a załoga będzie liczyć 1 100 głów. Poprostu pływające miasto. Parowiec ten posiada 11 pięter, a górne brzegi jego kominów wznoszą się na 47,5 metra nad poziom wody.

„Imperator" waży bez maszyn, kotłów i ładunków 34 miljony kilogramów. Skądże pochodzi ta bajeczna wprost liczba? — Przestaniemy się dziwić, gdy rozpatrzymy się w szczegółach budowy tego parowca. Otóż podwójne dno okrętu, to jest fundament jego ma 234 metry długości, a 26 metrów największej szerokości. To podwójne dno w którem stanąć może wygodnie człowiek bardzo wysokiego wzrostu, jest zbudowane ze stali i spoczywa na 550 potężnych podporach, a w swoich komorach może pomieścić 6 i pół miljona litrów wody. Na tym fundamencie wznoszą się potężne belkowania rusztowania i żebrowania, ażeby dać podporę stalowym płytom zewnętrznej powłoki. A potem rozpoczęła się budowa wnętrzna pokładów, z poprzecznych ścian, za pomocą których tworzą się szczelne oddziały, ażeby w razie zderzenia się okrętu i wybicia w nim otworu woda nie mogła zalać całej przestrzeni.

Szczelne komory są najważniejszym środkiem bezpieczeństwa i dlatego przy budowie „Imperatora" zwrócono na nie szczególniejszą uwagę. Gdy w parowcu „Titanic" komory szczelne dochodziły tylko do linji wodnej, to w parowcu „Imperator" wznoszą się aż do drugiego pokładu na wysokość 17 metrów, to jest znacznie ponad linję wodną naładowanego okrętu. Przednia komora, zwana kolizyjną, wznosi się nawet aż do pierwszego pokładu. Komory są nadzwyczajnie odporne, a każda z nich waży około 60 000 kilogramów. W komorach znajduje się 36 szczelnych drzwi, z czego 23 drzwi, leżących poniżej linji wodnej, można hydranicznie i automatycznie zamykać z pomostu komendanta i to w przeciągu kilku sekund.

W nocy i podczas mgły, albo w razie innego niebezpieczeństwa, np. ze strony pływających lodowców, parowce linji Hamburg—Ameryka jadą zawsze z zamkniętemi komorami, gdy „Titanic" mimo przestróg płynął z komorami otwartemi i pełną siłą pary.

Dlatego woda szybko wcisnęła się do wnętrza okrętu i zatopiła go. O dalszych środkach bezpieczeństwa pomówimy później, a poprzednio wspomnieć musimy o innych jeszcze obciążeniach okrętu. I tak całe urządzenie sternicze ma wysokości 17,5 metra i waży 2200 centnarów; sam ster waży 1800 centnarów. Śruby o grubości około 50 centimetrów wprawiają w ruch cztery śruby popędowe, z których każda ma 5 metrów średnicy. Z pięciu potężnych kotwic największa waży 240 centnarów, najmniejsza 45. Kotwice przymocowane są do stalowych łańcuchów o łącznej długości 1200 metrów. Te cyfry składają się na olbrzymią wagę parowca.

Olbrzym, spuszczony na wodę jest dopiero pustym gmachem, któremu brakuje duszy: siły rozpędowej i w którym jeszcze niejedno musi być zbudowane. Nie ma jeszcze kotłów. maszyn, kominów i masztów, które dopiero po spuszczeniu na wodę są umieszczone na okręcie. „Imperator" jest cztero śrubowcem turbinowym. Każda z turbin daje siłę 15 000 koni. Trzy kominy mają wysokości 21 metrów, a ich otwory owalne mają średnicę długości 9 metrów. Maszyny wznoszą się na wysokość 75 metrów.

Na „Imperatorze" powstanie hotel pałacowy. — W ten sposób, obok istniejących już 5 pokładów, przybędą jeszcze 4 pokłady. Podróżny, przechadzający się na pokładzie tak zwanym łodziowym, będą znajdować się na wysokości 30 i pół metra ponad spodnim trazmem.

O wewnętrznem urządzeniu „Imperatora" nie ma co wspominać — będzie ono zbytkownem, pod tym bowiem względem światowe towarzystwa żeglugi walczą o rekord. Otóż rekord „Imperatora" polegać będzie na łazienkach morskich w stylu pompejańskim, urządzonych wewnątrz okrętu. — Trzeźwy rozsądek może zżymae się na podobne wybryki, ale publiczność bogata wymaga ich i płaci! Przyjdzie kolej na okrętowe tory wyścigowe.

Po katastrofie „Titanika" podnoszono, ze rozmaite luksusowe urządzenia na okrętach należy policzyć na koszt ich zmniejszonego bezpieczeństwa. Otóż przy budowie „Imperatora" uwzględniono tę okoliczność. I tak obok komor szczelnych system cztero-śrubowy jest dalszą rękojmią bezpieczeństwa, umożliwia bowiem na wypadek złamania się steru dalsze nienaganne sterowanie. Osobny warsztat umożliwia natychmiastową nastawę maszyn. Obok kapitana będzie „Imperator" mieć jeszcze dwóch starszych oficerów, z których jeden będzie czuwać wyłącznie nad jazdą i nad bezpieczeństwem okrętu. Wszelkie nautyczne środki pomocnicze bedą znajdować się na okręcie, nie mówiąc o stacji telegrafu bez drutu. Załoga okrętowa będzie wyszkolona w prowadzeniu akcji ratunkowej.

Czyniąc przegląd rozwoju okrętów handlowych i pasażerskich, spostrzedz musimy wybitne dążenie do budowania coraz to większych parowców. Jeszcze w ostatnim dziesiątku lat ubiegłego wieku okręty handlowe miały rzadko pojemność ponad 10 000 tonn bruttu. Dzisiaj parowiec „Olympic", bratni okręt „Titanika", ma 40 000 ton pojemności, zaś „Imperator" o 5000 ton więcej. Odgrywa tu rolę ambicja towarzystw żeglugi, ale głównym powodem są względy ekonomiczne. Jeden wielki okręt przynosi więcej dochodu, niż dwa małe okręty o równej szybkości i równej łącznej wielkości. — A wreszcie wielki okręt umożliwia wszelkie wygody dla podróżnych.

„Imperator", którego budowę rozpoczęto dnia 18 czerwca 1910 r., jest własnością towarzystwa żeglugi „Hapag" (Hamburg-Ameryka-Paketfahrtgesellschaft), założonego w roku 1847. Rozpoczęło ono ruch okrętowy do Ameryki za pomocą 4 żaglowców. Kapitał akcyjny wynosił 450 000 marek. Pierwszy okręt „Deutschland" o pojemności 718 tonn miał miejsce dla 20 pasażerów kajutowych i 200 emigrantów. Podróż z Hamburga do Ameryki trwała 42 dni. Dzisiaj pospieszny parowiec „Deutschland odbywa tę drogę w ciągu 5 dni i 8 do 16 godzin. Kapitał akcyjny wynosi 125 miljonów mk.

Flota towarzystwa „Hapag" obejmuje 179 parowców oceanowych o pojemności 1 163 771 tonn, tudzież 229 okrętów rzecznych o pojemności 46 946 tonn. W budowie obok „Imperatora" znajdują się jeszcze dwa parowce tej samej wielkości, tudzież 12 mniejszych parowców o łącznej pojemności, 1 163 771 tonn. Z początku okręty były budowane w Anglji, poźniej w Kiel i Hamburgu. Obecnie „Imperator" został zbudowany w warsztatach okrętowych „Wulkan" w Hamburgu.

Rozmaitości

Złoto na dnie morza. W pobliżu Eastbourne zatonął, jak wiadomo, statek „Oceana", wiozący między innemi znaczną kwotę pieniędzy. Specjalne towarzystwo ratownicze podjęło się wydobycia skarbów i dokonało tego niezwykłego przedsięwzięcia po nader utrudnionej pracy przerewanej burzami i ogromnemi prądami w ciągu 9 tygodni,. Wydobyto z zatopionego statku i leżącego na dnie oceanu 750 tysięcy funtów sterlingów w złocie i srebrze.

* * *

Jak klerykalizm muzułmański prześladuje kobiety. Po rewulucji tureckiej, kobiety tamtejsze podjęły, jak wiadomo, energiczne próby, ażeby swój los poprawić, i wszę-

dzie widać było dążności emancypacyjne, zmierzające głównie ku wyswobodzeniu kobiety z więzów haremu. Tymczasem, jak oto dziennikowi „Daily Chronicle" donoszą z Konstantynopola, ruch kobiecy po nadaniu konstytucji znalazł pożałowania godny koniec.

Kobiety tureckie są obecnie w bardziej aniżeli kiedykolwiek rozpaczliwem położenie, gdyż każda, która chociażby w najmniejszej mierze wykracza przeciwko przepisom ortodoksyjnym, czy to pod względem ubrania, czy też zachowania, naraża się na bezprzykładną brutalność. Ojcowie zamykają córki, które się bez osłony pokazują w otwartych oknach. Mężowie wypędzają z domu żony, które się pokazują na miejscach publicznych, gdzie bywają także mężczyzni. Bracia denuncjują na policji swoje siostry, które się ważyły bez towarzystwa eunucha wstąpić do europejskiego sklepu. Każdy krok kobiety, każde słowo, chocażby najmniejsza zmiana w osłonie twarzy, słowem wszystko, co wskazuje na wpływ europejski, najsurowiej jest zakazane, a korespondent wspomnianego wyżej dziennika opowiada o akcie brutalności pewnego ojca, który córkę swoją bił, dopóki ducha nie wyzionęła, za to, że się pokazała w kapeluszu na głowie.

Ale nie koniec na tych prywatnych prześladowaniach, rząd turecki poczuwa się także do obowiązku wkraczania w tę sprawę, ażeby muzułmańskim przepisom religijnym zapewnić bezwzględne poszanowanie. Wysokie kary pieniężne, ba więzienia nawet są na porządku dziennym, a specjalny artykuł ustawy zakazuje kobietom uczęszczania do którejkolwiek kawiarni czy restauracji w Perze, europejskiej, jak wiadomo, dzielnicy.

Szeik ul Islam, naczelny zwierzchnik duchowy muzułmanów, uznał za stosowne wydać własne przepisy, dotyczące głównie młodzieży; jest on wrogiem mody europejskiej i wpływ jej nazywa drogą do piekła. Fanatyzm posuwa się tak daleko, że żadna kobieta turecka nie może być pewną, czy z niej sukni, nie uszetej według przepisanego kroju, nie zedrą — na ulicy, w wozie kolei miejskiej, słowem, wszędzie. Zdarzyło się niedawno, że jakiejś młodej Turczynce rozcięto w wozie kolei miejskiej nożyczkami suknię z tyłu, od góry aż do samego dołu i biedna ofiara prześladowań nie mogła naturalnie wysiąść, dopóki jej jedna z przyjaciółek, osłaniając ją swojem okryciem, nie przyszła z pomocą. Niegodziwi tacy prześladowcy uchodzą zawsze bezkarnie i można śmiało powiedzieć, że „działają" oni pod osłoną fanatyków.

* * *

Strindberg a Polska. Bliski stosunek łączył osobę i twórczość Strindberga z literaturą polską w dobie modernizmu. Stosunek do dziś bardzo mało znany i bardzo słabo oświetlony. Był Strindberg wśród tych, którzy stali nad kolebką modernizmu. W latach 1890 w Berlinie, w kółku literackiem, złożonem z najmłodszych talentów niemieckich i skandynawskich, przewodził Strindberg wraz z Przybyszewskim.

Należeli tam znani i dziś wybitni z nazwiska autorzy: Johannes Schlaf, Dehmel, Ola Hanson, Holger Drachmann i Munch.

Na kształcących się indywidualnościach twórczych uczestników tego kółka wybił silne piętno umysł Strindberga, a znowu znajomość z Przybyszewskim nie została bez śladu w twórczości Strindberga. Był to moment ciekawego oddziaływania wzajemnego obu pisarzy na siebie.

Przedstawieniu tego stosunku poświęcili osobne utwory dwaj młodzi członkowie kółka berlińskiego. Znany poeta Otto Julius Bierbaum napisał romans p. t. „Stilpe", w którym Przybyszewski figuruje jako „Kasimir der Fugenorgler". Fr. Servaes wydał rzecz p. t. „Gärungen", w której znowu przedstawił Przybyszewskiego jako „Czecha" Spirydjyna Krakutschka...

Wreszcie sam Strindberg w sposób godny jego genjuszu przedstawia w „Infernie" epizodycznie zresztą autora „Topieli" jako Popowskiego, ustępy zaś tej znakomitej książki, poświęcone Popowskiemu, należą w niej chyba zresztą do najwspanialszych. Poeta mianowicie, wyczuloną swą duszą wyczekujący jakichś ciągłych ostrzeżeń od losu, spotkał raz dwie gałązki na ścieżce, które ułożyły się w kształt litery „P"; powróciwszy do domu, słyszy dolatujące go z dali, z za drzew, w dolinie, dźwięki jednej z pieśni Schumana. „Jak rumak, tknięty ostrogą, zrywam się — pisze Strindberg — chwytam powietrze piersiami i słucham. Tak mógł grać tylko on — Popowski, mój uczeń, a dziś mój wróg śmiertelny."

Ze względu na ścisłe osobiste i prywatne momenty w historji kółka berlińskiego — jest nam dotąd ciekawa karta z dziejów modernizmu zupełnie nieznana. Odsłonią ją kiedyś w przyszłości biografje i wspomnienia.

* * *

Najdroższy ogród na świecie. Amerykański miljarder James B. Duke będzie wkrótce właścicielem najcenniejszego ogrodu na świecie. Na urządzenie tego ogrodu, leżącego w New Jersey, wydał on 60 miljonów koron. Miejsce, na którem urządzono ogród, było zwykłą farmą. Duke sprowadził cały szereg ogrodników, którzy z farmy zrobili wspaniały ogród, poprzerzynany pagórkami, jeziorami, wodospadami. Ogród zajmuje przestrzeń 12 kilometrów kwadratowych. Ścieżki mają 32 mil angielskich długości. W ogrodzie zasadzono 10 miljonów roślin, z tego wiele sprowadzonych specjalnie z wielkiemi kosztami. Wodotrysków urządzono 200. Wodotryski te, w razie użycia przez cały dzień, spotrzebują 90 miljonów litrów wody. Znajdujący się w środku dom jest jeszcze w budowie. Pod ogrodem urządzony jest tunel przeznaczony dla użytku służby.

Takie sumy wyrzucił na urządzenie ogrodu „król tytoniowy" Duke, podczas gdy miljonowe rzesze ludu cierpią nędzę i bezrobocie. Przepaść między kapitalistami a robotnikami coraz bardziej się powiększa.

* * *

Katastrofa w kinematografie. Straszna katastrofa wydarzyła się w teatrze kinematograficznym w miasteczku hiszpańskim Villa Real. Zginęło na miejscu 61 osób, a 167 osób odniosło rany mniej lub więcej ciężkie.

Ogółem przybyło na przedstawienie blisko 300 osób. Katastrofę wywołał właściciel kinematografu, niejaki Pitasch, rzuciwszy nieostrożnie filmę, która mu się zapaliła przy manipulowaniu przyrządem, do kosza, napełnionego filmami zużytemi. W jednej chwili jasny płomień wystrzelił z kosza, a ponieważ przedstawienie odbywało się — jak podczas pamiętnej katatrofy we wsi rosyjskiej Bołogoje — w budzie drewnianej, niczem nie zabezpieczonej od pożaru, przeto ogień znalazł lekką strawę i zanim zdołano pomyśleć o ratunku, już dach budy stanął w płomieniach.

Blask gwałtowny ognia wywołał straszny popłoch wśród publiczności. Część jej rzuciła się ku wyjściu, część zaś ku drugim, naprzeciwko położonym drzwiom, które miały służyć za wyjście zapasowe. Niestety, okazało się, że drzwi te są zamknięte. Fala więc osób, odbiwszy się o te drzwi, runęła z powrotem na tłum, cisnący się przez drzwi pierwsze, wywołując ścisk i zamęt okropny. Wśród ryku, jęku, płaczu i przekleństw wszyscy darli się dosłownie jeden przez drugiego, gniotąc i przewracając słabszych, ku zbawczemu otworowi, przy trzasku i huku płonących nad głowami belek.

Cały ten okropny zamęt nie trwał nawet kwadransa, wystarczało to jednak dla zabicia kilkudziesięciu osób, przeważnie kobiet i dzieci, oraz do pokaleczenia większości przerażonych.

Na progu drzwi wyjściowych utworzył się stos 40 zwłok, wprost skłębionych w jedną masę. 21 osób leżało wzdłuż ścian i ławek budy. Bardzo nieznaczny ich procent zginął od dymu i ognia. Ogromna większość padła ofiarą popłochu i dzikiego przerażenia. Mężczyźni dali tu dowód brutalności okropnej, tratując, odpychając i gniotąc kobiety oraz dzieci.

Z liczby 17 osób, najciężej ranionych, 10 jest umierających.

Władze aresztowały właściciela kinematografu, ludność jednak miasteczka domaga się także aresztowania burmi-

strza, który, lekceważąc wszelkie przepisy obowiązujące, udzielił pozwolenia na „urządzenie kinematografu w budzie drewnianej.

* * *

Walka z polypem morskim. Paryski „Excelsior“ donosi o nadzwyszajnym wypadku, który się zdarzył nurkowi w zatoce tulońskiej. W głębokości 6 metrów został przez polypa ramionami otoczony. Po zaciętej walce udało mu się zwierzę zabić i w ten sposób z niebezpiecznego uścisku uwolnić. Potwór morski miał ramiona 8 metrów długie.

* * *

Ofiary lotnictwa. Z Paryża donoszą: Gdy w sobotę po południu lotnik Collardeau z towarzyszem swoim Robi się wzniósł na aeroplanie na placu Port Aviation w Juvisy aparat się z powodu silnego wiatru przewrócił. Robi poniósł śmierć na miejscu z powodu złamania kręgosłupa. Collardeau złamał tylko nogę.

Również z Hamburga donoszą że lotnik Buchstätter z pomocnikiem Stille spadli z aeroplanu. Obaj ponieśli śmierć na miejscu.

* * *

Zagadkowy dramat. W wytwornym mieszkaniu jednej z najbardziej wziętych w Paryżu akuszerek, pani Barlet, przy ulicy Reaumura, znaleziono w środę zwłoki jej oraz mieszkającego w pobliżu aptekarza Mabille'a. Na obojga zwłokach nie było widać ran, ani też oznak otrucia. Dramat ten osnuty jest mgłą tajemnicy, którą zapewne wyjaśni dopiero śledztwo szczegółowe. Pani Barlet żyła w separacji z małżonkiem, wszcząwszy proces o rozwód. Mabille, posiadający aptekę w pobliżu Wielkiej Opery, był żonaty. Policja dotarła nie bez trudności do pokoju, w którym leżały zwłoki. Dwie dorosłe córki pani Barlet, które przybyły do matki z pensji na Zielone Święta, leżały w skurczach nerwowych przed drzwiami pokoju; służąca chciała się rzucić przez okno na bruk uliczny, pies zaś pani Barlet leżał przy zwłokach, wzbraniając przystępu do nich i rzucając się zaciekle na policjantów.

Dymokrackie medykacje.

Cierp, cierp! Pokój wam! i zaś cierp! I przyszło błogosławiyństwo papiyskie na cierpistów. Terazki nie przystępuj dó nich bez kija, bo terazki bydą mieli jeszczy wiynkszy siły, coby cierpieć, choć jino pasą sie śledziem a kartofiem. Kapitaliści pedzą im, iże bółoby krzywdą, kiejby wiynkszy zarobili, jak styknie jino na śledź a kartofel a na skłodka na „ajeroplan, możno i kierymu na klasa, co tyż idzie do luftu; to panoczki zaś uźrą kans zorobku i bydzie wszycko w porządku na wiynkszo chwała bożo a na utropiynie inkszym robotnikom jak ciyrpistom.

Nojwiynkszy na bzdury bydzie to błogosławiyństwo werkferajnom kręcijańskim, bo terazy u ciymnych ich członków wiynkszy wiary bydzie dlo błogosławionych ciyrpistów, zaś te światlejsze członki już podczas strejku na Zachodzie Niymiec ziyni se papiyry i niekiery jeszczy terazy pono weźnie od nich, coby przystąpić do inkszyj organizacje. Co powiy pobożne Zjednoczynie polskie, chtóre Kopp a Beyer tam pono w Rzymie tyż wsadzili na czorno lista, tego jo terazy jeszczy nie wiym, musim sie podziwać.

Papiyż Leon XIII wzywoł robotników do organizacje, ale Pius X pochwolo a uznaje jino ferband ciyrpistów berlińskich. Tych drugich jino nie pochwolo ale i nie potępio, jino nie uznaje ich zasad fałszywych. Ale o to potępiynie downo starały sie i starać bydą farorzyki, co wszyjskie inne organizacje nazywać bydą bezbożnymi a wrogimi duszy i ciału robotnika, to sie wiy, bo tak tyż nauczać nakazują kapitalisty, co są patronami kościoła. Takie tyż farorzyki nie mogą doczkać, aże se djobli sami wezną tych przeklętych, jino na nich wołoją policaj do kościoła, chtóro se zapisuje ich imie, coby jeszczy wiynkszy płacili sztrofu za swoja gupota, bo mało zapłacili księżoszkowi za mszo bez śpiywu a bez chorągwi.

Do cierpiynio już szkoła wychowuje ubogich, wdycki to padom. Sjechały sie rechtory z Prus a zagranicy, coby rajcować nad sobą a o szkole. Minister radził im, coby sie sami chowali w idealiźmie. To je bardzo piykne; ale kiej rząd rechtorom przyznaje ostmarkenculagi a robi ich szpyclami jednygó na drugiygó, a na dziecka a ich ojców tyż, kiej ograbio ich jako i wszyjskich urzędników z włosnyj woli, to osmolół tako robota w idealiźmie.

Wiynkszy idealizm pokozało już, to trza uznać, towarzystwo policajów górnośląskich, bo óni wszyjscy nie chcą piyniędzy, ani ostmarkenculagów, jino chcą być wachtmajstrami, bo siyrżancio to nic. Takiygó siyrżanta to postyrkają niekierzy albo chcą ś nim pić bruderszaft, ale takiymu wachtmajstrowi kuźden buks z brauningiem powie „cu befel, her wachmajster“. Zaś policaj cołko terazki nos podniesła nieco do góry, bo terazy wolno jij bezkarnie łomać nietykalność poselsko, to óni wiedzą tyż testamyntnie, iże są wiynksi jak prawo a prawodawcy.

Bo sztacwald odpolół naszych towarzyszy niemieckich, posłów Borchardta a Leinerta, s ich skargą o naruszenie prawa o nietykalności poselskiyj przez policjo. Bo tyn panoczek miyni, iże regulamin tyj budy sejmowyj a zarządzynie jyj marszołka nie naruszo konstytucyji. Zaś widno, iże ta konstytucjo mo za telo gumy w poštrzodku, kiejby gurtlik jakiyj dziouchy, a kalkulacjo sztacwaldzko wdycki je przeciwno inkszym. Jino szmaty burżujskie radują sie s tegó ku włosnyj gańbie. A taki se „Oberszlezyszer Kurijer“ r'zy, iże nasi sie zblamowali se swoim szpasem, a blamaż bydzie tuplowany, kiej pójdą dalsze. No, możno i prawie mo ta lagramencina, iże te obersztacwaldy a wszyjskie inksze instancje nad nimi zaś pokożą futer od konstytucji a dziury w nim, ale to sie wiy, iże sprawiedliwość w Prusach je ślepo, kiej mo sie podziwać dokumyntnie w paragrafy konstytucji, a inaksze to nie wdycki ślepo. A kiej mo być blamaż, to bydzie dlo budy sejmowyj trójklasowyj, a nie dlo naszych posłów.

Za to sprawiedliwość sądu łowniczygó w Kilonji może sie pokozać jako wzór. Taki se sztancamcbejamter nie chcioł kierymuś towarzyszowi zapisać miana cery „Lassalina“, bo faterland bółby se usiod na zadku od strachu. Ale sąd kiloński pokozoł tymu sztreberowi, iże Lassale ból gryfny chop, a soliki nie są wrogami państwa jino rządu, a rząd a państwo to nie jedno, to Lassalina je piykne miano. Oszkliwy „Ratiborer ancajger“ pisze, coby tyn rozsądek kiloński nie robiół szkoły, po bółoby źle, a Lassaliny a Marksiny nie byłyby takie gryfne dziouchy kiej Wilhelmijne a Frijderijke a Maryj a Ojuste a inksze. Ale jo padom, iże to nowe miana społem s dziouchami prawie bydą piykniejsze, jak te staromodne, a tyn rozsądek kiloński prawie mo robić szkoła, coby sie roz wszyjskie sądy pruskie nauczóły sprawiedliwości.

Te szmaciska hakatystyczne wdycki cosik żądają a chcą rządzić. Wkrótce elzasy pojechali se do Paryża, coby tyż obejzdrzyć se zadkiem pruskie pikelhauby a oczami swoja ukochano Francyjo, kaj mogą godać, jak im dziób urós, bo w doma wszycko dajcz, kiej u nos. Te se tyż i pograli nieco, bo tu im nie wolno. No, ale tam szpiclów pruskich bóło za telo, to do szmat hakatystycznych opisali rychtyczno rewolucjo. I terazy Rajnisz-Westfelisze Cajtunk pisze kiejby gieneroł albo choć podoficer: „wir ferlangen ajn ferbout“, żądomy zakazu, coby elzasom nie wolno bóło brać udziału w obchodach francuskich.“ No, a jo żądom, coby tegó isnygó od tyj szmaty podszukali w Rybniku.

Gustlik Beskuryjo.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott w Katowicach.

Nr. 24. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 15 czerwca 1912.

K. ETTLINGER.

Fabryka przetworów chemicznych.

Zbankrutowawszy po raz trzeci, przyszedł Szymon Reichmann do przekonania, iż uciułał już wcale znaczny kapitalik, z pomocą którego może zacząć poważne jakieś przedsiębiorstwo.

Oczywiście obmyślił dobrze Szymon swe plany i każda drobnostka była przedmiotem skrupulatnych rozważań.

W ciągu długich lat trzech, spędzonych chlubnie w więzieniu poprawczem, przemysłowiec nasz pilnie pracował nad rozwiązaniem pytania:

— Jak się wzbogacić?

Najpierw przyszło mu na myśl, by po odsiedzeniu kary udać się do Ameryki i stanąć na czele jakiejś nowej, przez siebie założonej sekty religijnej; wkrótce jednak przyszedł do przekonania, iż zbyt wielką jest konkurencja na polu wyznań.

Na krótki czas przykuła uwagę jego myśl, apy zająć się skupowaniem i wydawaniem utworów lirycznych młodych autorów całego świata i zmonopolizować wkońcu cały ruch wydawniczy. Postanowił wreszcie założyć natychmiast po opuszczeniu gościnnych progów więziennych fabrykę przetworów chemicznych.

Sądzę, iż uwierzą mi czytelnicy na słowo, skoro zapewnię ich, że Szymon Reichmann nie miał o chemji najmniejszego wyobrażenia. Łatwo mu się mógł wydarzyć taki naprzykład wypadek, że poleciłby siarkowodór, jako wonne perfumy. Nie posiadając żadnego wykształcenia w dziedzinie chemji, posiadał Szymon Reichman inną, bardziej w tym wypadku pożądaną zaletę: energiczny, przedsiębiorczy umysł i kupiecki zmysł. Przygotowanym był również w razie potrzeby zbankrutować po raz czwarty i to bez najmniejszych wyrzutów sumienia.

Założył więc Szymon Reichmann fabrykę przetworów chemicznych, to znaczy wynajął gdzieś na przedmieściu drewnianą budę, zaangażował młodziutkiego doktora chemji i kazał mu „coś wynaleźć“.

Cokolwiek bądź wynaleźć! Może to być jakiś środek na przeczyszczenie, proszek do zębów, proszek do prania bielizny, jakiś nowy plaster — wszystko jedno! Byleby zadość uczynić dwom warunkom: po pierwsze, koszt produkcji nie może przekroczyć 10 proc. ceny sprzedaży; po drugie środek ten powinien posiadać bardzo przyjemny zapach. Taki to był esteta Szymon Reichmann.

Młody uczony po trzech dniach żmudnych dociekań naukowych wynalazł „Apetytolinę“, płyn posiadający cudowną własność wzbudzania apetytu. Zielonkawy ten płyn o przyjemnym zapachu należało podawać dwa razy dziennie po siedem kropel łyżkę wody. Koszt produkcji: 30 groszy za hektolitr.

Szymon był w siódmem niebie! Sprzedając flaszeczkę „apetytoliny“ tylko po trzy marki, można w krótce zrobić majątek. Szymon Reichmann jednak, jak ostrożny przemysłowiec, postanowił najpierw wypróbować działanie nowego środka na psie. Podał „apetytolinę“ ściśle według przepisu: siedem kropel na łyżkę wody! Dla wzbudzenia apetytu.

Po zużyciu „apetytoliny“, pies stracił zupełnie apetyt, a na trzeci dzień podwinął ogon, legł ciężko chory i nie dźwignął się już z łoża boleści. To, iż wynalazek okazał się nieużytecznym, nie zmartwiło Szymona; zafrasowała go jedynie śmierć psa, gdyż widział w niej proroctwo niepowodzenia.

Rozkazał swemu doktorowi wynaleźć „coś innego“. Doktor znów coś warzył, coś cedził, coś spalał i wreszcie wynalazł „pokarm dla dzieci“, środek, który miał z powodzeniem zastąpić mleko matki. Był to zwykły sobie proszek, bez koloru, smaku i zapachu, a podawać go należało w kroplach laurowo-wiśniowych lub grzanem winie; najbardziej jednak wzkazanem było nie podawać go wcale.

Tym razem postanowił Szymon wypróbować działanie nowego środka na psie swego sąsiada, psie, względem którego oddawna już żywił nienawiść. Cchociaż kundel ów nie posiadał zgoła zbyt wydelikaconego podniebienia, wolał jednak spożyć starą znoszoną podeszwę, niż zaprawione „pokarmem dla dzieci“ jadło, a sąd swój o nowym środku uwidocznił zupełnie zdecydowanym ruchem.

Ponieważ pomysłowość doktora chemji wyczerpała się przy tym drugim wynalazku, Szymon uznał za właściwe nadać mu epitet „niedołęgi i idjoty“, za co obrażony doktor cisnął mu w twarz naczynie z restkami apetytoliny i opuścił fabrykę. To zakończenie uradowało wielce Szymona, gdyż nie potrzebował płacić uczonemu za jego wynalazek.

Przyszła nagle Szymonowi Reichmannowi zbawienna myśl do głowy: oto należy się zwrócić do jednego z kolegów więziennych; ten mu będzie pomocnym.

Należało bezwarunkowo dostać listy dziękczynne, tyczące się działania cudownego środka. Kolega więzienny dał mu za wynagrodzeniem pięciu marek entuzyastyczny list z podziękowaniem za „Pokarm dla dzieci“. Pięciomiesięczny skrofuliczny synek jego po dwóch miesiącach zażywania tego proszku doszedł do 33 funtów wagi, za co wdzięczny ojciec codziennie odmawia modlitwy za pomyślność fabrykanta i błogosławi go, jako swego dobroczyńcę. Za to błogosławieństwo musiał Szymon zapłacić jeszcze dwie marki naddatku. Podobne listy dziękczynne wystawili mu jeszcze inni znajomi i przyjaciele.

Na to wszystko trzeba było dużo, dużo pieniędzy. „Reklama“ — to rzecz droga, pochłonęła więc wkrótce niemal doszczętnie cały „majątek“ Szymona.

Jako szanujący się kupiec, nie chciał uciekać się do kredytu, znalazł więc inny, bardziej odpowiedni sposób wyjścia: Teraz asekurował fabrykę, oblał ją naftą i niechcący podpalił.az na miejscu drewnianej budy wznosi się dumnie zabudowanie fabryczne firmy:

„Szymon Reichmann & Comp.“. Fabryka zatrudnia 600 robotników, wyrabiających „Dentynę“, znakomity patentowany proszek do zębów. Właściwie natychmiast po pożarze Szymon Reichmann wziął się do fabrykacji „Pokarmu dla dzieci“, wkrótce jednak przekonał się, że na tym polu szaleje knnkurencja, zmienił więc nazwę swego preparatu z „Pokarm dla dzieci“ na „Dentyna“, uzbroił się w świadectwa i listy i zrobił wkrótce krociowy majątek.

„Dentyna“ cieszy się wielkim popytem.

Maszyna a robotnik.

Koniecznem jest dla uświadomienia każdego robotnika, by znał rozwój techniki i wpływ maszyn na klasę robotniczą.

W połowie poprzedniego stulecia rozpoczęła klasa kapitalistyczna Niemiec, na wzór Anglji, stosować wynalazek James Watta: maszynę parową. W roku 1840 pracowało w Prusiech już 634 maszyn parowych, które dawały siłę 12 278 koni. Natomiast już w roku 1878 liczba tych maszyn dochodzi 35 684 o 2 519 513 sił koni. Podczas gdy maszyny w roku 1840 dokonywały pracy ćwierć miljona ludzi, to w roku 1875 zastępują już pracę 53 miljonów ludzi, to znaczy dwa razy tylu ludzi, niż Prusy wówczas mieszkańców posiadały. Żadne cyfry nie charakteryzują lepiej rozwoju pracy ekonomicznej w poprzednim stuleciu, jak właśnie cytowane. Wedle cyfr za rok 1908 pracują maszyny parowe w Prusiech z siłą 6 372 321 koni. Gdyby więc możliwe było zastąpić je siłą ludzką, to potrzebaby na wykonywanie ich pracy o 130 miljonów robotników więcej, niż dziś Prusy posiadają. Przy tem obliczeniu mówimy tylko o maszynach parowych i nie uwzględniamy zupełnie maszyn poruszanych inną siłą. Dla wielu maszyn używa się wiatru, wody, gazu, benzyny, a w ostatnich czasach bardzo często elektryczności jako siły poruszającej. Ale nawet te maszyny, które poruszane są siłą ludzką, powodują że znaczna część robotników staje się zbyteczną. Kiedy w roku 1862 w jednej tylko fabryce nowojorskiej ustawiono 400 maszyn do szycia, to następstwem tego było, że 2000 robotnic stało się w fabryce zbytecznemi, pozostało bez pracy. Uwzględniwszy więc wszystkie maszyny, jakiemi się dzisiaj w Niemczech przy pracy posługują, możemy bez przesady powiedzieć, że zastępują one pracę przynajmniej 300 do 400 miljonów ludzi. Powierzchowny obserwator mógłby wobec tego sądzić, że możnaby łatwo przez ograniczenie liczby maszyn uwolnić klasę robotniczą od ciężaru, jaki stanowi bezrobocie.

W istocie przypisywali też robotnicy w okresie powstawania maszyn całą winę za swe coraz gorsze położenie ekonomiczne maszynom. Równocześnie z zaprowadzeniem maszyn nastąpiło bezgraniczne obniżenie płac, przedłużenie dnia roboczego, ogromne pogorszenie warunków mieszkaniowych i żywnościowych, jakie w tym stopniu w poprzednich okresach były nieznane. Gdzież mogła leżeć wina tego, jeśli nie w maszynach?

W rzeczywistości jednak jest maszyna dobroczyńcą ludzkości. Z łatwością przerzyna ona blok stalowy, któremu człowiek w najkrwawszym wysiłku nawet by nie podołał, ciągnie olbrzymie ciężary po lądzie i morzu, dźwiga i kuje, toczy i wierci; ona ściera pot z czoła znużonego robotnika, daje muskułom jego czas do odpoczynku, przynosi ulgę ręce ludzkiej. To jest jej istotą, nie może więc mieć tych ciężkich następstw, które jej krótkowzroczny obserwator przypisuje. W czasach, kiedy nasz system produkcji kapitalistycznej jeszcze nie istniał, witano pojawienia się maszyny z radością. Widziano w niej zbawicielkę ludzkości, wyzwalającą niewolników i zapowiedź wieku złotego. Tak było z wynalezieniem koła młyńskiego i innych prymitywnych maszyn. A jak było w czasach nowszych? Kiedy w wiekach średnich zaprowadzono w Niemczech młyn wiatrowy, to ze spokojem ten wynalazek przyjęto tylko cesarz, junkry i księża targowali się z sobą a to, do kogo wiatr należy. Młyn wiatrowy zastąpił tylko siłę koni, które dotąd używano do poruszania kamienia młyńskiego, w Holandji np., gdzie użyto go do odwodnienia pól, przyczynił się nawet do pomnożenia pracy dla robotników rolnych. Inaczej było z maszyną do robienia wstążek, wymyśloną przez Antoniego Müllera w Gdańsku. „Ponieważ rada miasta się obawiała, że wynalazek ten pozbawi wielu robotników pracy i uczyni z nich żebraków, przeto zakazała używanie tej maszyny, a wynalazcę kazała udusić czy też utopić.“ Tak opowiada kronika wenecka z roku 1663. Maszyna ta pozbawia pracy wyuczonych tkaczy, bo mógł ją usługiwać każdy chłopak i odrazu 4 do 6, a później w poprawionej formie nawet 40 do 50 tkanin równocześnie zporządzać. Zaprowadzenie tej maszyny w Anglji wywołało rozruchy robotnicze. Cesarskiem rozporządzeniem z dnia 19 lutego 1685 zakazano jej użycia w całych Niemczech. W Hamburgu spalono ją publicznie na rozkaz władzy. Jeszcze większe rozruchy wywołała maszyna tkacka Johna Wialta, udoskonalona później przez Hargreava, tak zwana „Spinning-Jenny“. Powstały tajne sprzysiężenia i jawne bunty. Wśród okrzyków radości spalili mieszkańcy miasta Blackburnu taką maszynę, podczas zaburzeń ludowych zburzono dom wynalazcy. Hargreav sam zmarł w przytułku dla biednych. Podobne losy spotkały też inne maszyny i ich wynalazców. W Anglji powstała dla walki z maszynami tajna organizacja, która kraj cały strachem napełniała. W istocie też nędza, spowodowana przez zaprowadzenie maszyn, przybierała coraz straszniejsze rozmiary, bo każda nowa maszyna wyrzucała niezliczone rzesze robotników na bruk. Wówczas np. dziesięciu mężczyzn produkowało dziennie 48 000 igieł. Poszczególne manipulacje przy fabrykacji igieł były tak rozdzielone, że każda igła przechodziła przez ręce dziesięciu robotników. Wynaleziona wówczas maszyna do fabrykowania igieł dawała natomiast 145 000 igieł dziennie, a jedna robotnica mogła równocześnie cztery takie maszyny obsługiwać. Jedna robotnica wytwarzała więc dziennie 600 000 sztuk igieł. Jednym zamachem pozbawieni więc zostali ropotnicy w fabrykach igieł pracy, bo jedna robotnica mogła za pomocą maszyn tyle wyprodukować, co dotychczas dziesięć tuzinów robotników. Tak działo się też i w innych dziedzinach pracy. Zrozumiałem jest więc, że w pierwszych czasach cała nienawiść bezrobotnych zwracała się przeciw maszynom. Potrzeba było pewnego czasu i uświadomienia, zanim się robotnicy nauczyli odróżniać wartość maszyny od jej kapitalistycznego zastosowania. W Niemczech panowały w początkach okresu maszynowego podobne stosunki. Na Śląsku było w połowie lat czterdziestych 120 000 głodujących tkaczy. W roku 1845 nastąpiło tam wielkie powstanie robotnicze, które bagnetami i ołowiem uśmierzono. Ale już to pokazało, że nienawiść głodnych robotników zwracała się nie tyle przeciw maszynom, co przeciw ich posiadaczom. Z czasem bowiem zrozumieli robotnicy, że cała nędza, jaka na nich z prowadzeniem maszyn spadła, nie z istoty maszyn wynika, lecz z dążenia właścicieli maszyn do coraz większych zysków. W socjalistycznym ustroju miałoby wprowadzenie maszyn ten skutek, że czas pracy stawałby się coraz krótszy, zależnie od tego, ile pracy maszyna ludziom zaoszczędziła. Inaczej dzieje się w ustroju kapitalistycznym, tu maszyna służy tylko do tego, by kapitaliście przysporzyć coraz większych zysków.

Przeciętna praca robotnika musi być tak duża, aby wystarczała na utrzymanie rodziny robotniczej. Automatycznie działająca maszyna powoduje jednak, że coraz więcej wykwalifikowanych robotników stają się zbytecznymi, a miejsce ich przy maszynie zajmują robotnicy niekwalifikowani lub kobiety, a często nawet dzieci. Tym sposobem wszyscy członkowie rodziny robotniczej staje do pracy fabrycznej. Kapitalista może już robotnikowi mniej płacić, bo więcej znajdzie rąk do pracy niż potrzebuje. Wartość siły roboczej mężczyzny została więc obniżona. Rodzina robotnicza dopiero wówczas może mieć tyle, ile na życie koniecznie potrzebuje, jeżeli i żona i dzieci w fabryce pracują. W istocie obserwować też się daje ogromny wzrost pracy dzieci i kobiet. Obliczenia statystyczne wykazały, że od r. 1841 do 1891 liczba mężczyzn, zatrudnionych w przemyśle, wzrosła o 53 procent, podczas kiedy liczba kobiet, pracujących po fabrykach, wzrosła o 221 procent. Już tym jednym faktem wytłumaczyć można upadek płac robotniczych z powstaniem wielkiego przemysłu. Oprócz tego spowodowało jeszcze zaprowadzenie maszyn przedłużenie dnia roboczego. Maszyna może bez przerwy pracować. Dla kapitalisty oznacza każde zatrzymanie maszyny utratę procętów od włożonego w nią kapitału. Nadto chce kapitalista jak najszybciej wydobyć z maszyny włożone w nią pieniądze, gdyż wynalazek następuje po wynalazku, a maszyna, która dzisiaj ostatniem jest słowem techniki, już jutro może mieć wartość starego żelaziwa. Dla tego kapitalista nie znosi spokoju dla swej maszyny. Najchętniej zaprzągłby ropotnika całe 24 godziny w jarzmo maszyny.

Wówczas potrzebowałby tylko jedną rodzinę robotniczą utrzymywać. Jeżeli zaprowadza 12-godzinną szychtę, to musi już dwom robotnikom płacić, a przy 8 godzinnej zmianie nawet trzem. Dla kapitalisty jest więc przedłużenie dnia roboczego zawsze pardzo „pożądane".

Opok tych głównych, szkodliwych wpływów, jakie w kapitalistycznym ustroju ma maszyna na położenie robotnika, istnieją jeszcze inne. Techniczne podporządkowanie robotnika pod regularny i jednorodny bieg maszyny pozbawia go wszelkiej możności choćby chwilowego wytchnienia, niezmierna szybkość nowoczesnej maszyny wymaga od niego stałego skupienia uwagi, wskutek czego siła zmysłów i nerwów robotnika przed czasem się zużywa. Wieczna równomierność biegu maszyny podnosi wprawdzie produktywność robotnika, ale przytępia jego wrażliwość i indywidualność. robi z niego samego maszynę. Z drugiej zaś strony daje maszyna kapitaliście niezmierzone zyski i powiększa coraz bardziej przepaść i przeciwieństwa między klasą posiadającą a klasą robotniczą. Ale w samym rozwoju techniki maszynowej i gospodarki kapitalistycznej leży źródło przyszłego wyzwolenia proletarjatu i ludzkości. Maszyna skupiła robotników w ogromnych przedsiębiorstwach przemysłowych i w kolosalnych koloniach fabrycznych; łatwiej więc i głębiej dojść może do tej masy wyzyskiwanej hasło: „Proletarjusze wszystkich krajów: łączcie się!„ Łączcie się do walki z klasą kapitalistów, którzy wszystkie zyski maszyn dla siebie zagarniają, a na was coraz większe nakładają ciężary! W chwili, kiedy wszyscy staniemy do tej walki w jednym zwartym szeregu, wówczas zwycięstwo będzie nasze!

Postępy lotnictwa.

Pod tym tytułem ukazała się w tych dniach w Londynie książka F. T. Jane'go, w której autor podje zajmujące i pouczające zestawienie zdobyczy poszczególnych państw na terenie awjatyki i wzajemnego ich do siebie stosunku. Z dat przytoczonych przez Jane'go wynika, że z końcem roku ubiegłego ogólna cyfra znajdujących się w praktycznem użyciu statków powietrznych wynosiła około 2000. Nawet Chiny, w których zdobycze nowoczesnej techniki przyjmuje się z trudnością i powolnie, rozporządzają dziś już trzema statkami powietrznymi. Jeden z nich jest własnością armji, dwa są w posiadaniu prywatnem księcia Tsai Tao. Japonja w kierunku lotnictwa wykazuje znacznie większy postęp: armja japońska posiada już dzisiaj 10 statków powietrznych, marynarka 4 aeroplany. Brak jej jednak jeszcze wyszkolonych pilotów, znających sztukę lotniczą.

Pierwsze miejsce między państwami w zakresie lotnictwa zajmuje Francja. W armji rozporządza już 259 statkami powietrznymi, a ogólna liczba samolotów we Francji, licząc i te, które należą do prywatnych osób, wynosi nie mniej jak 682. Cyfry, odnoszące się do żeglugi powietrznej, a podane przez biura statystyczne Stanów Zjednoczonych, są wprawdzie jeszcze wyższe, ale, jak stwierdza autor, nie zasługują na zaufanie. Tak np. z podanej cyfry ogólnej 755 statków powietrznych w Stanach Zjednoczonych wypróbowano praktycznie zaledwie 174 aeroplany, jako rzeczywiście zdolne do użytku. Reszta nie odbywała jeszcze wzlotów, a niektóre nie są jeszcze nawet zaopatrzone w motory.

W dalszym ciągu stwierdza autor, że Anglja dziś już znacznie wyprzedziła Niemcy w liczbie wyszkolonych lotników i zdobyła drugie po Francji miejsce. Autor podaje dokładną tabelę porównawczą stosunku wzajemnego państw do siebie na polu zdobyczy w zakresie lotnictwa. Przedstwia się ona jak następuje:

	wojsko	flota	prywatne	cyfra ogólna
Anglja	23	6	130	159
Chiny	1	0	2	3
Francja	259	1	422	682
Japonja	10	4	2	16
Niemcy	46	2	100	148
Rosja	99	1	50	150
Stany Zjednoczone	3	2	750	755
Włochy	22	4	40	76

Co się tyczy lotników technicznie wykształconych, tabela porównawcza wykazuje następujące cyfry:

	wojsko	flota	prywatne	cyfra ogólna
Anglja	57	31	167	255
Chiny	1	0	1	2
Francja	161	10	400	571
Japonja	4	4	3	11
Niemcy	50	2	101	153
Rosja	23	5	41	69
Stany Zjednoczone	11	3	301	315
Włochy	31	4	36	71

Z cyfr powyżej przytoczonych, jak już powyżej nadmieniono, należy zredukować do właściwych rozmiarów cyfry, odnoszące się do Stanów Zjednoczonych. Tak samo jak z liczby statków powietrznych podanej na 755 zostaje właściwie 174 — tak i liczba pilotów rzekomo wynosząca 315 nie ma za sobą uwierzytelnienia ich fachowego uzdolnienia.

W aktywnej służbie wojskowej posiada po Francji najwięcej statków powietrznych Rosja. Charakterystycznym jest jednak, że brak jej lotników. Na 100 samolotów wojska i floty ma Rosja zaledwie 28 lotników, zdolnych do operowania nimi. W Anglji stosunek jest wprost odwrotny: 31 grudnia 1911 roku miała Anglja w armji i flocie 20 samolotów, a na to 88 zupełnie ukwalifikowanych lotników. Poza tem rząd angielski ma zamiar jeszcze utworzyć „królewski korpus lotników" dla celów wojskowych, który będzie miał 131 lotników i takąż samą ilość statków powietrznych. We Francji rozpoczęta ma być również w pobliżu Tulonu budowa aerodromu dla lotników marynarki.

Wojna w niebie.

I jeszcze nie było słońca,
ani gwiazd w przestworzu.
Ani ludzi na ziemi,
ni wieloryb w morzu —
Był Bóg i aniołowie.
Lecz ci pobłądzili,
Wydali sobie wojnę
i mieczmi się bili,
Bo kule i armaty
nie były im znane,
Prochem lub dynamitem,
jak dziś, nabijane.
Wojna to pierwsza była —
a biły się duchy.
Z nieba djabli pobici
spadli jak muchy,
Bił Michał, bił Lucyfer,
bili aniołowie.
O co im właśnie poszło —
któż to nam opowie?
O tem mało jest w pismach —
i nie mówią wiele,
Wiedza ta egzystuje
przy naszym kościele;
Wie o tem każde dziecko,
że djabli z rogami,
Anieli gdzieś są w niebie
z białemi skrzydłami —
W piekle ma być gorąco,
aż smoła się warzy
Z siarką, djabli z widłami
przy bramach na straży.
Lucyfer wszystkiem rządzi,
on księciem nazwany.
Wszyscy są mu posłuszni,
jak popom barany.
Wiarę w djabłów wymyślił
pono Egipt stary,
Od Egipcjan przyjęły
niepogańskie wiary.

Rozmaitości

Kapitan z Koepenicku nie żyje. Sławny szewc Wilhelm Voigt, który przez swoją wyprawę do Koepenicku, zyskał sobie rozgłos wszechświatowy, umarł w szpitalu w Londynie. W ostatnich czasach zapomniano o nim zupełnie. Wiedziano tylko, że włóczy się po Niemczech, Francji i Holandji, wkońcu ukazywał się w Londynie za pieniądze. Ale gwiazda jego już zagasła i ostatecznie Voigt musiał udać się do szpitala publicznego, gdzie też życie zakończył, licząc lat 63.

* * *

Zbrodnia w Łodzi. Gazety Warszawskie donoszą o zbrodni popełnionej w Łodzi na 10 letniej dziewczynce, którą zgwałcono i uduszono, co następuje:

W piwnicy domu nr. 12 przy ul. Nowotargowej w Łodzi znaleziono zwłoki 10 letniej dziewczynki, córki lokatora tego domu, M. Szpillreina, która przed kilku dniami zginęła bez śladu. Ponieważ żadnych poszlak zbrodni nie było, a podejrzenia jakie miała policja, okazały się niesłuszne, użyto więc do wytropienia zbrodniarza psów policyjnych.

Jednego z nich wprowadzono do piwnicy, gdzie dokonano morderstwa. Pies obwąchał zwłoki, poczym pobiegł na pierwsze piętro i zatrzymał się przed drzwiami lokatora Hirscha Bleiweisa. Pies rzucił się na drzwi zamknięte, drapał je i szczekał. Gdy drzwi otwarto, pies wpadł do mieszkania, obleciał wszystkie pokoje, zatrzymał się w jednym, i tu rzucił się zajadle na leżącą na stole czapkę ucznia gimnazjalnego. Okazało się, iż czapka ta jest własnością syna lokatora, 17-letniego Henryka Bleiweisa. W domu go nie było. Przy dalszym tropieniu pies poprowadził na ul. Srednią, gdzie zatrzymał się przed domem nr. 51., poczym wbiegł na podwórze i po schodach na strych. Tam znaleziono ukrywającego się Bleiweisa.

Badany początkowo zaprzeczał, lecz następnie przyznał się do zbrodni. Młodzieniec zapewnił, iż nie miał zamiaru zabijać, gdy zaś dziecko broniło się krzykiem, zadusił je.

* * *

Straszny człowiek. Pisma warszawskie donoszą: Do tutejszych żydowskich pism donoszą z Jerozolimy o wykryciu przerażających nadużyć, jakich dopuszczał się stale bardzo wybitny działacz palestyński, opiekujący się także ofiarami pieniężnemi, nadsyłanemi przez organizację żydowsko-warszawską do Palestyny.

W mieszkaniu tego działacza jeden pokój był przeznaczony na dom modlitwy, a drugi na dom rozpusty, którego jedną z ofiar była własna córka „działacza". Od ojca dwojga dzieci, które miał wychować w Jerozolimie, wyłudził 5000 rubli, a dzieci za to pełniły obowiązki sług. Urządził oszukańczą loterję, sprzedawał fałszywe akcje, założył szulernię; wywoził dziewczęta do Egiptu i wreszcie uprawiał prowokacje.

Specjalna komisja śledcza stwierdziła już słuszność znacznej części zarzutów.

Dymokrackie medykacje.

Oba sejmy berlińskie poszły se do ruły.

Parlamynt uchwolół zaś kupa miljonów na mordowanie ludzi a ku podwyższyniu drożyzny, odpolół pora wniosków o lepsze reformy i to bóła cółko jegó robota; kanclyrz a ministry dostali za to ordery. A sejm pruski uchwolół szpitale dlo niemocnyj niymczyzny a krankekasy dlo niyj, poniechoł reformy wyborczyj a inkszych potrzebnych, pochwolół naruszynie swoji nietykalności przez policaj, no i tyż kozoł rządowi myśleć za siebie o delszych auchreformach.

Marszałkowi tyj budy, Erffie, sie zmerło. Junkry uczczą gó jako swojoka, policaj wystawi mu pomnik za to, iże ji przyznoł prawa niebywałe, no, a prezydent sejmu ugierskiygó Tisza wdzięcznie wspómni o nim jako o swoim profesorze.

Jino Tisza jeszczy prześcignół swojygo majstra. „Eljen policaj!" możnoby wołać, kiej sie dziwo na te błozny w sejmie ugierskim. Tam je opozycjo wiynkszo, jak w pruskim, a dó nij noleżą tyż grofy a inksze panoczki. Ale prawica je tyż tako szpetno, kiej w Berlinie, a Tisza tyż tak bezstronny, iże robi se som paragrafy, bez pytania stronnictw. Bez dyskusji kozoł gosować za wojokami, a kiej prawica tak przemocą podeptała prawo, lewica chciała je retować tyż przemocą, ale trąb a piskanio, bo inakszy nie szło. Za to co dziyń terazki gospodarzy w syjmie policaj za pozwaniem Tiszy, kiej w destylach na policajsztunda. I szukej tu prawa, człowiecze ubogi. Kiej w tyj przejętej Pestbudzie, chciołech pedzieć w tym Budapeszcie bół strejk o reforma wyborczo, to krew się loła a syjm obradowoł dalsze. Terazki z robotnikami pójdą i grofy i inksi burżuje przeciw rządowi, ale co to jeszczy bydzie?

A ta lagramyncina trzecio Duma rosyjsko tyż jeszczy gibko uchwoliła pół miljarda rubli na flota, coby zaś czym bóło zapełnić dno morskie. Sztyry sta tysiąców s tych rubli bydzie zaś skradzione, pięćdziesiąt tysiąców stracą się, pięćdziesiąt tysiąców dostaną fabrykancio forszusu, a robotnik bydzie marł z głodu; tagech se już wykalkulowoł.

Te nowe uchwolone wojoki niymieckie trza tyż kajsik pomieścić. Tak sie zebrała kupa patrjotów, co chcieli im liwerować obleczynie a ziymnioki a krupy a inkszy kuszt dlo ludzi a dlo koniów a na kwatyrach tyż cosik zarobić, i wysłali se amtlich po garnizony swoich burmistrzów, chtórzy tyż se chcieli na koszt miasta pojechać do Berlina na majluft. Dwasta pięćdziesiąt bóło tych panoczków, ale nic nie sprawili, a nasz katoski Pohlmann tyż nic. Magistrat a rajcy pono mu pedzą swoje uznanie; ale w Sangershausen tak gładko nie poszło burmistrzowi, bo tam mu pedzieli, iże nie obstaroł się jak noleży, to tyż ci, co za darmocha są rajcami magistrackimi, zastrejkowali. Tako se tyn borok Knobloch zadoł czosnku.

Pastorsko Krojccajtunk wymedykowała se inkszy patryotyzm. Tyj zachciywo sie „Prajsenferajnu ku wzbudzaniu a wzmocniyniu poczucio narodowygó". Pado tyn gosklerykalny tak: „Ich bin ajn prajse" trza śpiywać ze szowinizmem! I trza tyż wszędy wielgiygó klimbimu skisz Prus, bo „wielgo masa chce zewnętrznościów a symbolów, chtórymi nie lza styrkać z błoznów, bo uczucia państwowe a monarchiczne psują się". Terazki wiycie, co je patrjotyzm pastorski: głowy kapuściane, krzyczcie hura! a! a! muzyka gro-o-o! chorągiew czorno bioło wiewa-a-a! patrjocie pruskiymu ordery świycą-ą-óm-um! a kabza ty y yż! inkszych bliźnich nie miłuj po chrześćjańsku, ale bi-i-ij! To są te piykne uczucia monarchiczne a państwowe; terazki nie dziwić się, iże sie tak gibko psują, kiej noród nie je ciymny. Tyn prajsenferajn tyż hnet bydzie chcioł zjidmarkenculagów dlo tych echtpruskich urzędników, chtórzy pracują w prowincjach zabranych, jak w Saksach, Hanobrach no i wszyjkich delszych pruskich społem, bo i ta piyrwszo, Brandeburgjo, to jino cmentarzysko słowiańskie, kaj miyńszko jeszczy gromadka wendów.

Ale Prusy padają, iże tam wszyjsko zdobyli prawnie. No, toć i lantrota Halyma tyż wybrali prawnie do parlamentu w Świeciu, jino „polskie hordy", kiej ich nazwały sztacwaldy, bóły tymu przeciwne, za to muszą ich uczyć kultury pruskiyj we więziyniu. Czy to nie dobrodziejstwo? Bo „Katowicerka" pisze przeca, iże poloki a inksi niezadowolyni muszą być wdzięczni prusakom za wszyjskie dobrodziejstwa, bo te bóły jino dane ku wzmocniyniu niymczyzny, ale wdycki dlo ostmarków; a chtó nie umie być wdzięczny, tyn na dobrodziejstwa dalsze nie zasługuje! A jo padom tak: chtó sie cieszy na oberszlezyszes bundesszyjsen, tyn niech se chowo żołądek a pałyta, oże wszyjscy razem będą pić, a niech sie nie ożyro już terazki a błoznów nie stroi; gorko je, to je prowda. Gustlik Beskuryo.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott w Katowicach.

Nr. 25. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej".

Katowice, sobota, dnia 22 czerwca 1912.

N. A. TEFFI.

Zazdrość.

(Z rosyjskiego).

Codziennie niemal czytamy w dziennikach o różnych zabójstwach z zazdrości. Tak już oswoiliśmy się z tem, że nie zadajemy sobie nawet trudu doczytać notatkę do końca — wiemy bowiem zgóry, iż przyczyną była za zdrość.

Nietylko zabójstwa! Najrozmaitsze zbrodnie, występki i przekroczenia płyną z zazdrości.

Dla zwalczania tej plagi wystawili Francuzi specjalną lecznicę, w której leczą z powodzeniem ludzi dotkniętych tą straszną chorobą. Przypuszczać należy, iż wkrótce odkrytym zostanie mikrop zazdrości, i wtedy sposób leczenia zyska podstawę ściśle naukową. Najwyższy już czas po temu!

Uczucie zazdrości coraz bardziej ogarnia ludzkość, rośnie, potwornieje i opanowuje całe życie.

Jak się państwu podoba taka notatka dziennikarska:

„Włościanin Nikodem D. wpadł do mieszkania swej znajomej Anisji i zażądał od niej pieniędzy. Gdy Anisji odmówiła mu, schwycił nóż i podciął jej gardło. Przyczyną zabójstwa była zazdrość".

Prawdę mówił król Salomon: „okrutna, jak zazdrość piekielna".

„Mieszczanin K. zabił sklepikarza i zrabował jego kasę. Przyczyna — zazdrość".

Przed kilkoma dniami aresztowano na dworcu znanego złodzieja kolejowego w tej właśnie chwili, kiedy wyciągał pugilares z kieszeni jakiegoś zagapionego pana. Złodziej tłómaczy się nagłym wybuchem uczucia zazdrości.

Sędziowie przysięgli, przeważnie również opanowani przez uczucie zazdrości, najczęściej uniewinniają podsądnych, podających zazdrość, jako przyczynę swych zbrodni.

A ileż to okropności nikomu nie znanych, lub znanych bardzo niewielu osobom, sprawia zazdrość w pożyciu małżeńskiem!

Pewna młoda mężatka wracała do domu z miasta, gdzie robiła sprawunki, a działo się to na wiosnę. Trafił się jej dorożkarz z białym koniem, wiadomo zaś, iż każdy unika na wiosnę dorożkarzy z białymi końmi, aby nie zostać obsypanym sierścią końską.

Mąż spotyka swą żonę bardzo groźnie, obrzuca jej suknię badawczym wzrokiem i rzecze:

— Może ośmielisz się utrzymywać, że nie byłaś na schadzce?

Żona oczywiście przeczy, przysięga, a na dowód prawdy pokazuje zakupione sprawunki.

— Wszystko to bardzo piękne! — odrzekł zimno mąż. — Może jednak powiesz mi z łaski swej, jak się nazywa ów starzec, który cię tak obdarzył swymi włosami?

Argument był nie do odparcia, nie pozostało więc biednej kobiecie nic innego, jak zgodzić się na rozwód, wziąć na siebie cały ciężar winy i wypłacać w dodatku alimenta stronie poszkodowanej, która, mówiąc nawiasem, wkrótce pocieszyła się, wszedłszy w związki małżeńskie z własną kucharką.

Straszliwszym jednak od tych wszystkich zabójstw i zbrodni na tle zazdrości jest pewien cichy dramat rodzinny, o którym dowiedziałam się przypadkowo (przy końcu opowiadania wyjawię czytelnikom, skąd się o nim dowiedziałam).

Rzecz tyczy się uczucia zazdrości, które wśliznęło się do serca kochającej kobiety, sprowadziło z drogi cnoty małżeńskiej wiernego i kochającego jej męża i zniweczyło długoletnie szczęśliwe ich pożycie.

W ciągu lat sześciu żyli szczęśliwie. Sześć lat! W dziejach pożycia współczesnego, to termin nie krótki.

Pewnego razu złożyła żonie (nazwijmy ją panią Marją) wizytę serdeczna przyjaciółka (nazwijmy ją panią Lizą) i została na obiedzie.

Przyjaciółki siedziały już przy stole, gdy powrócił z biura mąż pani Marji. Przy obiedzie było bardzo wesoło — rozmawiano, śmiano się.

Wtem zauważyła pani Marja, że mąż jej jest jakiś nienaturalnie podniecony, poczęła więc pilniej go obserwować.

Po odejściu gościa pyta pani Marja męża:

— Czy naprawdę tak ci się Liza podobała?

— Tak, bardzo miła.

— A co ci się w niej najbardziej podobało?

— Czy ja wiem. Ot, poprostu, jestem dziś w wyśmienitym humorze: obiecano mi podwyższenie gaży i urlop.

Zdawało się to być bardzo prostem, pani Marja jednak, jako przenikliwy psycholog, pojęła odrazu, iż tłumaczenie to jest niczem innem, jak zwykłym wykrętem męskim, ciągnie więc dalej:

— Cudne ma oczy! Nieprawdaż?

— Tak? Coprawda nie zwróciłem uwagi, ale trzeba będzie przyjrzeć się lepiej.

— A jakie ma rączki! Takie miękkie, aksamitne! Takby się chciało wciąż je całować. Nieprawdaż? Chcesz, zaproszę ją na jutro. Dobrze?

— Dobrze, dobrze. Skoro tak ją wychwalasz, muszę się jej baczniej przyjrzeć.

Nazajutrz mąż przyglądał się pani Lizie bardzo bacznie, całował wielokrotnie jej rączki, a pani Marja zaś myślała sobie:

— Aha!

Upłynęło dwa dni. Mąż spóźnił się na obiad.

— Byłeś na wybrzeżu i spacerowałeś z Lizą? — pyta żona, zaciskając usta.

— Co-o-o?

— Proszę cię, nie udawaj. Wiesz bardzo dobrze, że Liza codziennie spaceruje o tej porze na wybrzeżu. Pojmuję to doskonale, że spacer z tak piękną kobietą sprawia ci wielką przyjemność.

Mąż, człek młody i z natury dość romansowy, chociaż taktowany, zastanowił się nad tem. Rozmyślał w ciągu dni dwóch, na trzeci zaś dzień udał się wprost z biura na wybrzeże, odszukał tam panią Lizę i odprowadził ją do domu.

— Naturalnie, zaprosiłeś ją do teatru? — pyta żona, podając mu talerz wystygłej zupy.

Mąż wzruszył ramionami — rzeczywiście, nie przyszło mu to na myśl!

Za parę jednak dni naprawił swój błąd i zaprosił panią Lizę do „Farsy".

Nazajutrz pyta pani Liza:

— A gdzie jedliście kolację?

Mąż milczał z opuszczoną głową. Wstyd mu było, iż nie domyślił się zaprosić pania Lizę do restauracji.

— Pytam pana, gdzieś pan był z Lizą na kolacyjce!? — gniewnie krzyknęła pani Marja i, nie czekając na odpowiedź, wybiegła, trzasnąwszy drzwiami.

W ciągu całego tygodnia nie przemówiła do męża ani słowa. A mąż dręczył się niewymownie. Zdążył już być z panią Lizą w restauracji, nie wiedział jednak, co ma dalej począć. Bez mądrych rad pani Marji był jak bez rąk.

— Co teraz? Co mam teraz czynić? — zachodził w głowę. — Niepodobna wciąż tylko spacerować i zjadać kolacyjki. Wkońcu może się to naprzykrzyć!

Po upływie tygodnia przemówiła pani Marja, wykrzywiając pogardliwie usta:

— Cóż to, pan siedzi dziś w domu, a na dworze tak piękna pogoda! Możeby pan powiózł swą bogdankę do Pawłowska? Możeby ją pan tam pod każdym krzaczkiem wycałowywał. Myśli pan może, iż nie wiem, dokąd to pan z nią jeździ? Cha-cha-cha!

Mąż wdział zarzutkę i wybiegł radośnie; tak teraz wie, co począć: żona poddała mu zbawienną myśl.

Po niejakim czasie pani Marja wystawiła w oknie kartkę z napisem, że jest mieszkanie do wynajęcia.

— Ponieważ wiem, iż postanowiliście państwo zamieszkać od jesieni razem — rzekła z godnością — chcę odnająć część mieszkania: dla mnie samej jest ono za obszerne,

Mąż westchnął i udał się do pani Lizy. Wysłuchała go ze zdziwioną miną i zdawała się nie rozumieć, o co chodzi.

— Zdaje mi się — rzekła — że pan zbyt poważnie traktuje nasz przelotny flirt i wysnuwa z niego zbyt daleko idące wnioski.

Zmieszał się tem, lecz się nie zasmucił; wrócił do żony z prośbą o wskazówki, jak ma dalej postąpić, ta jednak nie chciała go nawet wysłuchać.

— Wiem o wszystkiem! Wiem! Masz pan za mało pieniędzy i chcesz, abym zaopatrzyła nową pańską rodzinę.

Przyzwyczaił się był słuchać jej we wszystkich sprawach miłosnych, powtórzył więc bezwiednie:

— Chcę! Chcę!

Rozpłakała się.

— Tak, a teraz może zaczniesz okładać mnie pięściami, jeżeli się nie zgodzę dać pieniędzy.

Zerwał się nagle i począł ją bić, krzycząc:

— Musisz, musisz dać nam pieniędzy!

Zdziwiła się bardzo pani Liza, dowiedziawszy się, iż jakaś nieznana osoba złożyła w banku znaczną kwotę pieniężną na jej imię.

Z panią Marją zerwała wszelkie stosunki i nie pokazała się więcej w jej domu. Po tych zdarzeniach pomysłowość pani Marji jakby się wyczerpała: nie była już w stanie podsuwać swemu mężowi pomysłów. Wkrótce też przyszli oboje do równowagi i poczytywali sobie za szczęście, iż tak tanim kosztem pozbyli się demona zazdrości, który omal nie zniweczył całego ich życia...

Zazdrość — to okrutne uczucie! Jeżeli kiedykolwiek powstanie u nas lecznica dla zazdrosnych, powitam radośnie pożyteczną tę instytucję...

Post scriptum. Omal nie zapomniałam! Obiecałam wyjawić czytelnikowi, skąd się dowiedziałam o szczegółach tego wstrząsającego dramatu rodzinnego; źródło nader proste:

Sama całą tę historję zmyśliłam!

Stolica stokfiszów.

W pobliżu północnych wyprzeży Norwegji leżą na oceanie Atlantyckiem malownicze wyspy Lofoty, mające około 4000 kilometrów kwadratowych rozległości. Mimo to ludność ich wynosi zaledwie 30 000 głów, gdyż nagie, dzikie, poszarpane skały mało dają równej przestrzeni, gdzieby można się budować. Na każdym równiejszym kawałku ziemi wznoszą się domki, oraz szałasy, do których chronią się rybacy, zjeżdżający tu w czasie połowu stokfiszów. Przybywa ich tu corocznie około 30 000 na połów, trwający od połowy stycznia do połowy kwietnia. Ilość złowionych przez sezon dorszów czyli stokfiszów wynosi od 20 do 40 miljonów sztuk, których wartość dochodzi nieraz do 50 miljonów marek.

Połów dorszów należy do najniebezpieczniejszych, odbywa się bowiem zimową porą w czasie nieprzerwanej nocy, na morzu zawsze burzliwem i znanem z groźnych prądów. W dodatku łodzie muszą być płytkie i małych rozmiarów. Jeżeli burza zaskoczy rybaka, ucieka on w stronę lądu stałego lub Lofotów; z chwilą, kiedy łódź dobija do jakiej skały, jest uratowana. Co kilka dziesiąt metrów powbijano z rozkazu rządu norweskiego klamry żelazne w skały; tych klamer chwytają się rybacy i przytwierdzają do nich łodzie, aby przeczekać burze. Jeżeli nie uda się dobić do brzegu, wówczas czeka ich śmierć pewna: prądy i bałwany łamią ster i maszty, rozbijają słaby statek, a rybaków pogrążają w nurty. Nie ma roku, żeby kilkunastu nie poszło na dno morza.

Z nastaniem zimy, kiedy mrok długiej nocy podbiegunowej ogarnie wyspy, na Lofotach budzi się tętni pracowite życie. Rybacy gromadzą się w osobnych osadach, w których nierzadko pobudowane są małe kościółki i szpitale. Jest tu i lekarz, któremu nigdy nie brakuje praktyki, tembardziej, że rybacy przybywają tu z rodzinami. Rząd otwiera dla nich osobne poczty, sąd i administrację; w biurach telegraficznych i telefonicznych aż wre od roboty. Podczas sezonu zimowego nie wolno na Lofotach sprzedawać ani posiadać żadnych trunków.

Sowity zysk bywa zazwyczaj nagrodą trudów rybaka. Złowione dorsze, półtora metra długie, ważące do 30 a nawet 50 kilogramów, najprzód pozbawia się głowy i wnętrzności, (służą one za nawóz), a następnie przecina się wzdłuż na dwie równe części, które po wysuszeniu pakuje się w skrzynie. Najwięcej stokfisza wywożą do południowych krajów Europy, zwłaszcza do Hiszpanji. Pewną część dorszów niesuszoną, lecz tylko nasoloną także pakuje się w beczki i wywozi. Suszonemi głowami ubożsi żywią bydło w zimie w braku paszy. Bardzo ważną częścią dorsza jest jego wątroba, z której wytapia się tłuszcz, zwane tranem.

Suszarnie stokfiszów i warzelnie tranu znajdują się głównie koło miasta Tromsö, zbudowanego na wyspie w przepysznem położeniu nad fiordem. Ze wszystkich miast, leżących na północ od koła biegunowego, Tromsö jest największym. Mimo bliskości bieguna, klimat jest dość łagodny, a roślinność wspaniała: skaliste stoki gór okolicznych pokryte są gęstwiną lasów i przebujną trawą; rosną tu nawet klony i jesiony.

Miasto ma wygląd europejski i wszelkie dogodności cywilizacji, ale pobyt w nim dla nieprzyzwyczajonych jest nieznośny z powodu strasznej woni tranu i tłuszczu rybiego. W około Tromsö suszą się miljony dorszów na drewnianych rusztowaniach; po wyschnięciu składają je w kupki i przyciskają silnie kamieniami, żeby się prostowały. Ale to jeszcze fraszka w porównaniu z wyziewami warzelni tranu dorszowego i wielorybiego. Już w odległości kilkudziesięciu metrów od zakładu, w którym gotowano tran z wątrobą 18 000 dorszów i wytapiano tłuszcz z siedmiu wielorybów, omdlewa się od straszliwego zaduchu. Takich fabryk jest tu kilkanaście. Szczegóły te zaczerpnięte są z zajmującej książki J. Jakubowskiego: „Do granic wiecznego lodu".

Rozmaitości

Okropne wydarzenie. Donoszą nam z Łużyc: Na „Kauscher Werke" w fabryce brykietów wydarzyło się w poniedziałek rano straszne nieszczęście. Kilku mularzy i

robotników zajętych było murowaniem kanału pod kotłami. Przez osłabienie przeciwległych ścian odzielających kanały popiołów ogniowych, nagle przerwał się otwór i ogromna masa lawy ogniowej zasypała znajdujących się w kanale. Polier, trzech robotników i jeden mularz zostali w okropny sposób poparzeni. Z niektórych z nich spieczone ciało kawałkami wprost odchodziło od korpusu. Wszystkich odwieziono do lazaretu miasta Spremberg. Trzech prawdopodobnie nie przeżyje okropnych męczarni.

* * *

Dwie osoby zamknięte w tresorze. Niemądrego figla urządził pewien kantorzysta w hurtownym handlu masła firmy Gause przy Brüderstr 7 w Berlinie.

W kantorze znajduje się wielki szeroki tresor, w którym przechowuje się księgi handlowe. Do szafy owej weszli wczoraj kantorzysta Neumann z jednym z uczniów, a inny kantorzysta zatrzasnął za nimi ciężkie drzwi. Wszelkie usiłowania, aby otworzyć szafę, okazały się daremnemi, bo klucze od niej miał zamknięty Neumann przy sobie.

Szalony strach ogarnął resztę personału, a mianowicie owego „dowcipnego" pomocnika. Na reszcie zaalarmowano straż pożarną. Mistrz ogniowy rozkazał nasamprzód odbić drzwi, lecz rzecz okazała się niemożliwa do wykonania. Zabrano się tedy do wybicia dziury w jednej ze ścian tresoru, na przeszło ćwierć metra grubej. Pracowano przeszło pół godziny, zanim powiodło się wybić dziurę, a inni tymczasem trzymali w pogotowiu aparat z kwasorodem, ponieważ liczono się także z tem, że zamknięci w szafie znajdują się w niebezpieczeństwie uduszenia się. Przez dziurę w szafie wydali nareszcie zamknięci klucze, któremi nakoniec drzwi otworzono.

Na szczęście tak kantorzysta jak uczeń nie doznali prócz przestrachu żadnej szkody na zdrowiu.

* * *

Gieografja i arytmetyka byłego ministra marynarki. W komisji pojednawczej Dumy przy omawianiu preliminarza ministerjum marynarki był referentem admirał Birylew, który bronił wszystkich pozycji. Ktoś zauważył, że referent pomylił się w obliczaniu in plus. Admirał oponuje i na poparcie prawdziwości przytoczonych liczb oświadczył, że własnoręcznie sprawdzał budżet. Na ogólne żądanie następuje sprawdzanie, które istotnie stwierdza błąd.

Charakterystyczniejsze jest jednak zajście następujące. B. minister marynarki i człowiek, od którego w razie wojny zawisła potęga morska Rosji, nie zna gieografji. Gdy admirałowi Biryłewowi zwrócono uwagę, że ministerjum marynarki podwójnie żąda kredytów na wywłaszczenie pod Rewlem, admirał bez zająknienia wypalił:

— Nie rozumiem, jak można wywłaszczać grunta w obcym państwie.

Zdumienie było tak wielkie, że nikt nie odważył się zauważyć, iż „Rewel chwała Bogu, należy do Rosji".

* * *

Wynalazek polaka. Jak donoszą z Kornenburga do pism lwowskich, służący obecnie tam przy pułku telegraficznym jednoroczny ochotnik, dyplomowany inżynier-elektrotechnik p. Józef Plebański, dokonał wynalazku z dziedziny telegrafu bez drutu, stanowiący ogromny postęp w szybkim nader rozwoju tej gałęzi elektrotechniki. Doniosłość tego wynalazku ma specjalne znaczenie dla telegrafów wojskowych, gdyż w sposób nader prosty umożliwia przesyłanie depesz w tak szybkim tempie, że pochwycenie ich przez aparaty nieprzyjacielskie stało się wykluczone. Istota zaś wynalazku polega na tym, że w stacji odbiorczej zastosował p. Plebański aparat piszący, w którym znaki powstają na papierze wskutek reakcji elektrochemicznej. Wynalazek ten został zaakceptowany przez wojskową stację doświadczalną, a w dowód uznania dla doniosłości wynalazku przesunięto inż. Plebańskiego na... feldwebla, zamiast na kaprala, jak to normalnie bywa przy przejściu jednorocznych ze szkoły do kompanji.

* * *

Przeciw starości. Z Paryża donoszą, iż prof. Miecznikow, dyrektor instytutu Pasteura, zajmujący się obecnie wynalezieniem środka przeciw starzeniu się człowieka, miał w akademji umiejętności dłuższy wykład o wynikach swej pracy. Miecznikow powiedział, iż czynił próby z trującymi bakterjami kiszkowymi, które przez wydzielanie indolu i fenolu sprowadzają powoli porażenie systemu arteryjnego, nerek, wątroby i mózgu, a tym samym powodują jednocześnie ujawniające się coraz więcej starzenie się ciała. Podług Miecznikowa, chodziłoby o to, aby miąźnicy (kiszce wielkiej) dać możność wytwarzania cukru. Potrzebnego do wytwarzania cukru bakcyla znalazł Miecznikow w jelitach psa i nazwał go „glycobacter". Wypróbował go z początku na szczurach, później zaś w kilku przypadkach na ludziach. „Glycobacter" przyrządzono w mieszanej potrawie, składającej się ze 120 gramów mięsa oraz 500 do 600 gramów kwaśnego mleka, jarzyn, mąki i owoców. Przy wszystkich próbach skonstatował Mieczników widoczny ubytek obu rozkładowych trucizn, indolu i fenolu. Próby z tym nowym eliksirem życiowym mają trwać w dalszym ciągu.

* * *

Sporady. Po okupacji wysp tureckich przez Włochy znalazł się prawie cały łańcuch wysp Sporadów na morzu Egejskiem w posiadaniu włoskiem. Kilka pozostałych jeszcze wysepek ulegnie prawdopodobnie również aneksji w najbliższych czasach, tak że Włochy prowizorycznie zawładną całym kompleksem wysp, rozciągających się od Krety aż do wybrzeży Anatolji.

Sporady, po grecku „Sporades", „rozproszone" odgrywały już w epoce starożytnej nieraz ważną rolę w historji. Należały do nich podówczas wyspy: Melos, Kimolos, Polyagos, Pholegandros, Sikinos, Sos, Amorgos, Thera i Anaphe, które jednak współczesna gieografja wszystkie zalicza do Cykladów. W dzisiejszej nomenklaturze gieograficznej cykl Sporadów stanowią wyspy: Astypalea, Lebinthos, Ikaria, Karassia, Patmos, Leros, Kałymna, Kos, Istros, Nissyros, Hyali, Telos, Karpathos, Kazos. Najważniejszą z nich jest Karpathos, leżąca pomiędzy Rodos a Kretą. Ma ona formę podłużną; liczy 13 kilometrów szerokości i 48 długości. Według świeżo dokonanych obliczeń włoskich wyspa ma 8000 mieszkańców zajmujących się przeważnie robotami ciesielskiemi i budowaniem okrętów. Najwyższym szczytem jest góra Lastros, mająca 1219 metrów wysokości. Karpathos należy do tureckiego wilajetu Dżesaik Bari Sefid. Stolicą jest miasto Aperi z nieznaczną liczbą mieszkańców. Grunta wyspy są nieurodzajne i nie nadające się do uprawy. Ludność przeważnie grecka, doryckiego pochodzenia.

Na południe od Karpathos leży wyspa Kazos, mająca 67 kilemetrów kwadratowych przestrzeni i 5000 mieszkańców, słynna połowem gąbek, który stanowi właściwie jedyny środek utrzymania mieszkańców. Dla połowu lepszych okazów muszą nurkowie zapuszczać się w głębinę morską nieraz do 35 metrów, przyczem przy całodziennej pracy nie wydobywają więcej nad dziesięć do dwunastu gąbek, wskutek czego ceny ich są dosyć wysokie. Mieszkańcy Kazos mają onpinję znakomitych nurków. Zawód, którym się zajmują, wyrodził już pewne tradycje, tak np. młodzieniec nie prędzej może się ożenić, aż się wykaże pomyślnym połowem co najmniej 20 gąbek wydobytych z głębokości 30 do 35 metrów.

Okupacji włoskiej uległa także wyspa Nissyros, zwana dziś Nisari. Znajduje się na niej wulkan czynny do dnia dzisiejszego. Z czasów greckich zachowały się na wyspie ruiny Akropolis, badane wielokrotnie przez archeologów. Mała wysepka Hyali, położona między wyspą Kos i Nissyros, jest również czysto wulkaniczną. Bogatszą pod względem przemysłowym i handlowym jest wyspa Kos, dawna Meropis, dziś przez turków nazwana Istankoj. Produkuje znaczne zapasy pomarańcz, wina i jedwabiu. W starożytności posiadała słynne na całą Grecję przędzalnie. Znajdowała się tam także wspaniała świątynia Asklepiosa, której Apelles ofiarował swą Afrodytę Anadyomene. Z świątyni tej nie pozostało do czasów obecnych ani szczątka. Kos była też miejscem urodzenia słynnego lekarza Hippokratesa i poety Philetasa.

Pod względem historycznym najświetniejszą przeszłość ma ze Sporadów wyspa Patmos. Głośna była za czasów greckich kultem Artemidy. Zasługuje także na uwagę wyspa Ikaria, związana z podaniem o Dedalosie i Ikarze, którego zwłoki, po nieudanej ucieczce z labiryntu kreteńskiego, miał na tej wyspie ojciec pochować.

Wtargnięcie wołu do apteki. Istniał dotąd przysłowiowy zwrot — o krowie w składzie porcelany... Obecnie mówić można: pasuje, jak wół do apteki. Taki bowiem gość znalazł się onegdaj w aptece p. Barcza przy ul. Marszałkowskiej w Warszawie.

Był upał, drzwi stały otworem, wkroczył więc do apteki, snać szukając tam chłodu, gruby opasły wół, wychowaniec stepów.

Na widok niezwykłego, a rzecz prosta niepożądanego gościa, wśród osób obecnych w aptece wyniknął popłoch: pracownicy z obawy, aby potężne wolisko nie uszkodziło urządzeń, potracili na razie głowy, a oczekujący na lekarstwa z krzykiem zaczęli uciekać do kątów.

Tymczasem wół stanął pośrodku „officyny zdrowia", popatrzył spokojnie przed siebie i snać nic godnego uwagi nie znalazł, gdyż się odwrócił ku drzwiom i machnął ogonem. Był to czyn najfatalniejszy ze strony wołu, gdyż owo „machnięcie" spowodowało zrzucenie i rozbicie kilkunastu flaszek z lekarstwami, przygotowanemi dla doręczenia klientom, a ustawionemi na kontuarze. Wół jednak wcale się skutkami, które sprawił ogromny jego ogon, nie stropił, lecz stał spokojnie i żuł. Grzeczne to zachowanie się opasa uspokoiło zarówno personal jak i publiczność, postanowiono więc wielkiego czworonoga wypędzić z apteki.

Czynne jednak zachody pracowników aptekarskich, zmierzające ku usunięciu wołu, nie sprawiały na nim wrażenia. Toteż i w tym wypadku, tak samo jak w mnóstwie innych, nie wymyślono nic innego, tylko zdecydowano uciec się do pomocy policji. Lecz i policjant nie mógł dać rady rogatymu zwierzęciu. Dopiero przy pomocy kilku stróżów wołu przemocą wyciągnięto z apteki. Wyszedłszy stamtąd, bez oporu już poczłapał do cyrkułu XIII, gdzie stwierdzono, że „stepowiec" odłączył się od gromady wołów, którą pędzono na stację towarową kolei kaliskiej.

* * *

Ofiara badań naukowych. Profesor A. Lanfranchi, kierownik kliniki uniwersyteckiej w Parmie, czynił doświadczenia z chorobą „śpiączka" na zwierzętach. Przed dwoma miesiącami dr. Lanfranchi zakaził się widocznie bacylami śpiączki, zaczął bowiem wśród objawów tej choroby niedomagać. Ponieważ stan jego pogarszał się z dniem każdym, więc asystenci zbadali krew pacjenta i znaleźli w niej bacyle śpiączki. Zakład Pasteura w Paryżu potwierdził wynik badania. Profesora Lanfranchi'ego przewieziono do Paryża, do zakładu Pasteura, gdzie pacjent zaczyna przychodzić do zdrowia.

Dymokrackie medykacje.

W Maroku sułtan zión papiyry, coby franzuzy mógli dokumyntnie zrobić z jegó kraju swoja prowincjo, bo italjanom tyż sie już śpichało s Trypolisem a z wyspami tureckimi. Pora kapitalistów założy tam swoje fabryki a domy handlowe i to bydzie cołki zysk za wszyjskie koszta wojenne a krew przelono; krajowcy bydą im służyć i to bydzie ich cołko cywilizacjo. Francuzy i tak nie mają ludzi na eksport, bo ich w kraju co roz miyniyj; italianów bółoby wiynkszy, ale ich wojna przesieko, to te zagrabione ziymie i tak im na psa.

Strejki o poprawa bytu słabną w Anglji a na cysarskim, ale dopolóły kapitalistom tyż nieco. Za to na wszechnicy w Bukareszcie zastrejkowali prefesory, bo im narzucono kolega; to sie chwoli; w Berlinie tegó niyma, tam skisz hakatystycznygó prefesora Bernharda, narzuconygó przez rząd, wszyjscy jino kiwali palcem w bucie. A w sejmie ugierskim zastrejkowała lewica, bo pado, iże bez wykluczónych posłów szkoda ji czasu na dziwanie sie bezprawiom prawicy, broniónyj przez wojoków; tyż mają prawie.

Ale w państwie niymieckim je wszycko fajn, można sie radować.

Bół bezuch z bożyj łaski w Berlinie aże z Bułgarji, to sie te stosunki ojropejskie zaś nieco pono poprawiły na korzyść pokoju a równowagi ojropejskij. Niymcy lajstnyły se nowy krygsszyf, to sie ś nim pochwolóły w Ameryce, kaj gó ich kamrot Taft witoł syrdecznie, tak sie i ta wielgo polityka wszechświatowo pofarbowała na różowo. A w Hamburgu rostmajte byldowane a niebyldowane damy nawiązały ścisłe stosunki z beduinami, puserują ś nimi oże ci biją sie o nie między sobą a policaj się gorszy; tak powaga Niymiec tyż zyskała zagranicą. Szmaty hakatystyczne padają, iże nie, ale jo padom, iże to bóło dobrze, bo jino tym sposobem dostaną niymcy ochotników, chtórzy bydą mieli wrodzoną miłość do piochów afrykańskich, to bydą gryfne kolonisty do kolonji afrykańskich, kaj inksi wysiedzieć nie mogą. Tako tyż nie rozumia tych zakazów małżeństw półmurzyńskich a odejmowanio praw ich dzieckom, kiej prawa należą sie wszyckim obywatelom, a więc tym cołkiem czornym lancmanom tyż; ale kiej ci są „minderwertig", to ich nie brać se za lancmanów, ale zostawić im tyż ziymia a swoboda bez tych paragrafów pruskich, chtóre jino gańba przynoszą cywilizacji, a chtóre tow. Rycman chcioł wymieść swoją zielezną miotłą za dwasta marków kary.

Pruski faterland tyż sie nieco podreperowoł. Bo w Brandeburgu obchodzili rocznica od pół tysiąca lot, kiej piyrwszy Hohencoler jako urzyndnik cysarski przyjachoł do Brandeburga; za to mu terazki postawili pomnik ze studnią, jako patronowi od wody pono, bo przyszłość Niymiec leży pono na wodzie; zrobili mu tyż parada a przemowa, to sie wiy, a piykny obiod tyż. A tyn isny prefesór od nojwiynkszyj chwały Niymiec a Prus, w Berlinie, robi terazki tyż pomnik admirałowi Gaspardowi de Coligny; obsztalowali gó za to, iże tyn admiroł bół prastarzykiem piyrszyj kurfyrsztowyj brandeburskiyj; co ón za to móg, to jo już nie wiym, bo to downe roki tymu, ale denkmal bydzie mioł, pono piykny, bo sie ónymu bardzo podoboł, tymu, co gó obsztalowoł.

A na Śląsku oberwała sie chmura z jublami w niedziela. Nie wiym jak tam poświęcili te dzwóny w Małyj Dąbrówce a wielo udziadowały frelki na blumentaku, nie wiym tyż, ile piwa spotrzebowały w Bytóniu gardeferajny na poświęcenie nowyj chorągwi a kieryś jubileusz. Ale wiym, iże śpiywoki robotnicze z Górnygó Śląska sjechały sie do Bogucic, a strzelcy z cołkiygó Śląska do Katowic, coby urządzić swój bundes-zaufen. Co tam naśpiywali robotnicy pod protektorem Willigerem, a co wystrzylali strzelcy za zebrane z podatków 60 tysiąców, to można wiedzieć. Bo to w tym cołkim patrjotyźmie pruskim hnet a hnet je tak:

Jedni śpiywają tak:

Jo jezdech prusok, znocie farby moje?
Chorągiew czorno-bioło chłodzi łeb,
Kiej frajne piwo błozny w nim fedruje,
A rząd kiełbasa daje mi na chleb.
Niech Sprawiedliwość, Rozum płaczą ha!
Przegłuszą trąby je swym tratata.
Bele mi rząd doł dobrze jeść a pić,
Byda prusokiem, chca prusokiem być.

Zaś inksi śpiywają tak:

Wewnętrznych i zewnętrznych wrogów moce
Niech drżą! Bo jo som w strachu wielgim je,
Przed pikelhaubą smykom sie dnie, noce;
Na apel jino w mycce stawia się:
Ordery dzwónią, lajtnant mi kamrat,
Ustawi hołda patrjotycznych szmat:
Tak być prusokiem wdycki to je fajn,
Jo byda pruskim, wil ajn prajze zajn.

Niech dymokraty, ś nimi i poloki,
Elzasy a duńczyki wadzą sie
Ze rządem; jo na moje stare roki
Nic nie chca lepszy, godom tak a nie.
Kiej farorz klątwy na nich cisko,
Kiej rząd, kaj może, ich ucisko,
Chtó je mądrzejszy od tych boskich władz?
— Jo jezdech prusok, o na inkszych ...pac!

Gustlik Beskuryjo.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott w Katowicach.

Nr. 26. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej".

Katowice, sobota, dnia 29 czerwca 1912.

W. AZOW.

„Bezrobotny":

(Z rosyjskiego).

Siedziałem w ogrodzie miejskim, zatopiony w czytaniu dziennika. Wtem zbliżył się do ławki mej jakiś jegomość w brunatnej zarzutce i takimże meloniku, obejrzał mię od stóp do głowy (było to widocznie jego zwyczajem) i usadowił się obok mnie.

— Szpicel! — pomyślałem sobie.

— Czy niema czego w gazetach o bezrobotnych? — zabrzmiał ochrypły głos „fijoła", takiego pośledniejszego szpicla, zmuszonego nieraz wystawać całemi godzinami w bramach, narażonego na przeciągi, deszcze, mrozy i skwar.

— Nic ciekawego — odparłem. — A co, może pan też bezrobotny?

— Tak. Od wczoraj. Wydalono mię, jako nieuzdolnionego... To się tylko tak mówi, że nasz zawód — to złote jabłko. Ot, niech pan tylko na mnie rzuci okiem: tyle mego majątku, co mam na sobie. Prawda, tę zarzutkę mi sprawili. I cóż mi z tego?

— O jakim to zawodzie pan mówi?

— O „ochranie". Byłem agentem... Teraz tam wielkie reformy, powiadają, że wszystkich nas wyrzucą. Z zagranicy agentów mają angażować, bo nasi rosyjscy nie nadają się. A ja tak sądzę: powiedział prezydent Roosewelt, że Ameryka dla Amerykanów; dobrze — więc Rosja dla Rosjan. Cóż, kiedy władza twierdzi, że jesteśmy do niczego. Wyrzucili mnie, za miesiąc tylko zapłacili. Wczoraj w bilard z kolegami przegrałem... Niech mi pan pożyczy papierosa.

Podałem dymisjonowanemu szpiclowi papierośnicę.

— Fińskie papierosy? — zapytał.

— Fińskie.

Znam je dobrze: dwa miesiące służyłem w Finlandji... Oj tak, tak. Nieuzdolniony! — powiadają. Jakże mogłem rozwinąć swe zdolności, siedząc na małej stacyjce kolejowej, gdzie nie da się nic zrobić? Śledź! — powiadają. Jakże mam śledzić, kiedy po tygodniu wszyscy mnie już znali. Chodzą za mną i przedrzeźniają: „zoolog!", „botanik!"... To nas zwykle tak przedrzeźniają, ponieważ niektórzy z naszych, mniej wprawny, gdy chcą kogoś podsłuchać, zbliżają się i patrzą uważnie na ziemię z miną, jakby szukali tam jakiegoś żuka lub trawki. Naturalnie, tem się zdradzają. Niewiele brakowało, abym się w Finlandji rozpił z nudów. Wysyłam raport: „ekscelencjo, w całej okolicy jestem już znany". I jakby mogło być inaczej: zarzutka bronzowa, melonik bronzowy — jak jaki uniform! A z ochrany odpowiadają mi, abym nie rezonował, tylko śledził.

— I cóż, nic pan nie wyśledziłeś?

— A cóż mogłem wyśledzić? Mówić w Finlandji wolno o wszystkiem. Nawet malcy, uczniowie, i ci śpiewają różne tam pieśni i mówią tak, jak buntowszczyki. A w Finlandji nie kazano donosić o rozmowach i śpiewach... I żandarm krępował mnie bardzo i prześladował.

— Żandarm pana prześladował??

— I jak jeszcze! Gdy tylko o czemś przewącham, usuwa mnie zaraz. „Tu — powiada — stacja, mój teren. Ty sobie poza stacją pracuj, a tu mi w drogę nie właź". Cóż robić, każdy chciałby ubiedz drugiego. Czy przyjemnemby było żandarmowi, gdybym pod jego bokiem rozwijał swe zdolności? A z ochrany rozkaz: stercz na stacji.

— A na zgromadzenia robotnicze chodziłeś pan?

— Chodziłem, ale cóż mi z tego przyszło? Pewnego razu poznali mnie, wyrzucili i wyłapali. „Znają go wszyscy, jak psa burego — powiadają — a wsuwa swój nos. Bydlę!" Wracam sobie szosą, a każdy, kto mnie spotka, w oczy się śmieje i ogląda się. Patrzę, a tu za mną cała gromada malców się wlecze; kładą się ze śmiechu. Ki djabeł? — myślę sobie, nic nie pojmuję. Aż tu jakiś Finlandczyk mówi mi: „spójrz na swe plecy". Patrzę, a na plecach ktoś kredą wykaligrafował: „szpicel". Poskarżyłem się, naturalnie, ale bez rezultatu. Mieli mnie już przenieść na inną stację, aż tu naraz wydalają za brak zdolności. Cóż teraz poczne? Kto mnie przyjmie. Pójdę do komitetu bezrobotnych, może chociaż chleba dostanę.

— Jaką pan miałeś pensję?

— Dwadzieścia pięć rubli. A życie na stacji drogie: ani się obejrzysz, jak rubla przejesz. Tyle, że mi tę zarzutkę sprawili. Paskudna służba!

Machnął pogardliwie ręką.

— Ot jak z Petersburga przyjeżdża starszy agent — to ci pan! I djetę ma, i pensję porządną, i tak z boku coś dostanie. A ja sterczałem o głodzie i chłodzie całe dwa miesiące na małej stacyjce. Pewnego razu pasja mnie ogarnęła, zaaresztowałem jakiegoś czarnego pana za rozmowę. Myślę sobie, że to żyd, bo tak wyglądał; okazało się, że rosyjski poddany — i za moje dobre chęci burę jeszcze dostałem. Szczęście chociaż, że nie nabili mnie. A ci agenci, których do fabryk przeznaczyli, to często takie lanie od robotników biorą, że miejsca zdrowego na ciele nie znajdziesz... Proszę mi pożyczyć papierosa.

„Pożyczyłem" mu.

— Przyjemny to kraj, ta Finlandja — ciągnął dalej szpicel, zapalając papierosa. — U nas paczka zapałek kosztuje dziesięć kopiejek, a w Finlandji — sześć. Papierosy też lepsze i tańsze. Piwo takie dobre. I żyć tam swobodnie. Nikt cię nie zaczepi, nie haczy, nie widać tych faraonów policyjnych, a i chuliganów niema. Czemu to u nas niema takiego porządku?

— Gdyby tu były takie porządki, to cóżby pan i panu podobni mieli do roboty?

— Robota zawszeby się znalazła... Wie pan, co zamierzam zrobić? Będę dziennikarzem. „Russkoje Znamia" zbiera swoich ludzi i organizuje na prowincji spółkę donosicielską. Z przyjemnością pojadę! Słyszał pan, że na prowincji obowiązuje ustalony cennik?

— Jaki cennik?

— Za złapanie! Na prowincji podwójna taksa. A tu za złapanie esdeka — 4 ruble, za esera 7 rubli. Wykryłem tu kiedyś dwóch esdeków, myślę sobie — 8 rubli uczciwie zarobiłem; gdzież tam: żandarm z przed nosa mi sprzątnął — taki łapczywy. „Na moim terenie złapałeś — powiada — to pieniądze mnie się należą". Na prowincji ludzie są lepsi, nie tacy zachłanni... Ale, na mnie już czas... Moje uszanowanie!

Podreptał w kierunku wybrzeża, obrzucając badawczem spojrzeniem każdą spotkaną osobę.

EMIL FAGUET.

Kilka uwag o sztuce czytania.

Już Voltaire skarżył się, że tylko niewielu jest takich, którzy czytają, a i wśród nich większość czyta źle. Na to, aby jakąś książkę przeczytać dwa razy, ludzie w Paryżu wogóle nigdy czasu nie mają!

Czytanie jest sztuką. Ale na czem polega ta sztuka? Odpowiedź na to pytanie wprawia nas w pewne zakłopotanie.

Sztukę oznaczamy podług celu, jaki sobie stawia; bez wątpienia musimy sobie postawić pytanie, dlaczego czytamy. Czy chcemy się czegoś nauczyć, czy osądzić czyjeś prace? Jeżeli chcemy się czegoś nauczyć, to musimy czytać bardzo powoli, z piórem w ręku, aby zanotować sobie wszystko, czego nas książka uczy lub rzeczy nam nieznane, jakie w sobie zawiera; następnie musimy książkę czytać powtórnie i także bardzo powoli. Jest to praca bardzo poważna, bardzo ważna, która nie zawiera żadnej przyjemności jak chyba tę, że z każdą chwilą widzimy, iż stajemy się coraz to mądrzejszymi i wykształceńszymi.

Powolne czytanie jest zasadą, odnoszącą się do każdej lektury. Bo nie czytanie samo dla siebie, a tem mniej czytanie byle czego może nam pomagać w kształceniu się.

Zarzuci tu kto, że jest ogromna masa książek nie zasługujących na to, aby je czytać powoli; na to jest tylko jedna odpowiedź: takich książek nie powinno się wogóle czytać.

Czytanie jest przyjemnością — czytanie powtórne jeszcze większą przyjemnością; niestety nie wielu tylko ma na to czas. Jest wiele powodów do powtórnego czytania. Z całego mnóstwa wybieram trzy przykłady.

Czytamy powtórnie na to, aby lepiej zrozumieć. Niema może poety, któryby jaśniej pisał niż La Fontaine lub La Brugére. A przecież może się zdarzyć że przy czytaniu po raz dwudziesty znajdziemy miejsca, których nie zrozumieliśmy tak, jak byśmy je zrozumieć powinni. Przyjemność lepszego rozumienia czegoś, rozpłomienia ducha, rozgorącz kowuje go, pobudza siłę wyobraźni.

Jeżeli książkę jaką czytamy po raz drugi, to robimy to także dlatego, aby się cieszyć stylem i szczegółami przedstawiania rzeczy.

Czytanie powtórne uczy sztuki czytania; jest to sztuką myśleć z odrobiną pomocy. Ta sama reguła odnosi się także i do myślenia; musimy myśleć powoli, uważnie, bez wielkich skoków myślowych i autorowi bez ustanku robić zarzuty. Tymczasem musimy najpierw oddać się biegowi jego myśli i badać je dopiero po pierwszym czasie inaczej wpadniemy w niebezpieczeństwo niemyślenia więcej. Musimy mieć tymczasowe zaufanie do autora, a zarzuty stawiać mu dopiero wtedy, gdy jesteśmy pewni, żeśmy go dobrze zrozumieli, ale też za to potem stawiać mu wszystkie zarzuty, jakie przychodzą nam na myśl i badać, co onby na to mógł odpowiedzieć.

Powiadają, że nawet z najgorszej książki można wyciągnąć korzyść, ostatecznie każda książka jest przyjacielem i dobroczyńcą. Niech każdy na czas wejdzie z nimi w ścisłe stosunki, bo książki są naszymi ostatnimi przyjaciółmi, którzy nas nie zawodzą i nie zarzucają nam, że się starzejemy.

Jest to niezaprzeczoną prawdą, że czytanie może się stać namiętnością, że uprawiane ponad miarę działa szkodliwie, gdyż przeszkadza człowiekowi w działaniu. Ale czytanie z pewną miarą i ostrożnością jest źródłem najwyższego szczęścia. Czytanie prowadzi do szczęścia, bo prowadzi do mądrości, ponieważ przychodzi stamtąd i tam też nas skierowuje.

Czy ludzie prości, nie mający pretensji do kształcenia się, mają czytać książki trudno zrozumiałe? Takie, których nie pojmuje się odrazu. Odpowiadam: tak; powinni tego spróbować. Chodzi o to, aby przezwyciężyć pewne lenistwo duchowe, pokonanie, którego jest reczą bardzo pożądaną. Walka z wielkiemi trudnościami, przezwyciężanie przeszkód przyczynia się do ożywienia ducha, do odebrania lenistwu siły, zepchnięcia go do najniższego stanu.

Znałem pewnego starca nazwiskiem Galése. Był on notarjuszem na prowincji. Skończywszy pięćdziesiąty rok życia, sprzedał swoją kancelarję i usunął, się, ale nie nad brzeg rzeki celem rwania kwiatów, tylko do Paryża do biblioteki narodowej. Spędzał tam codziennie, stosownie do pory roku, sześć do ośmiu godzin.

Z dwóch powodów osiadł w Paryżu. Po pierwsze dlatego, że życie duchowe i artystyczne jest tam bardzo tanie, po drugie że nie jest się tam do niczego zmuszanym i dlatego, jak się wyrazał, jest on miastem biednych i cichych.

Powinszowałem mu tego zamiaru i poradziłem, aby w bibliotece nie zawierał żadnych znajomości. W bibliotece narodowej jest masa miłych gawędziarzy, którzy zdają się nie lubieć czytania, którzy naprzemiany przeszkadzają drugim w pracy, nie pozwalają zaznajomić się z co dopiero otwartą książką. Odpowiedział mi, że ma swoją metodę; skoro tylko któryś z takich panów oprze się łokciami o jego f.tel, natychmiast zasypia. A że to jest dawnym zwyczajem w czytelniach czy na publicznych wykładach, przeto nikogo nie może obrazić i również nie zmusza do usprawiedliwiania się.

Ponieważ nie był żadnym wielkim uczonym, a chciał bez wytężających trudów doprowadzić do tego, aby módz czytać pisarzów z najdawniejszych okresów języka francuskiego, postępował w ten sposób. Najpierw czytał nowoczesnych pisarzy, potem zwolna przechodził do autorów wieku dziewiętnastego, ośmnastego i tak dalej. W ten sposob, przez te stopniowe przejścia przyzwyczaił się prawie niespostrzeżenie do starożytnego języka, wyrobił sobie, mimo, że postępował w tył, jasne wyobrażenie o związku literatury. Ten starzec Galèse jest w swoim rodzaju pilnym, wytrwałem i mądrym. Zamiast rwać kwiaty, on zrywał delikatnie najpiękniejsze myśli, najpiękniejsze rozmowy, najwspanialsze opisy, jakie kiedykolwiek wydał duch ludzki.

W języku łacińskim „legere“ znaczy czytać, a także zrywać. Jak pięknym doprawdy jest język łaciński!

Karin Michaelis w kwestji rozwodowej.

Kwestja rozwodowa, zjawiająca się coraz częściej na porządku dziennym, jest zawsze aktualna. Z zaciekawieniem słuchamy opinji ludzi, znających życie i posiadających życiowe doświadczenie, a przytem wyrozumiałość, łączącą się z prawdziwą dojrzałością umysłu.

Z ciekawością witamy zapatrywania kobiet w tej kwestji, zwłaszcza gdy one podają nowy projekt, mogący doprowadzić jeśli nie do rozwiązania tej mocno zawikłanej kwestji, to do zastanowienia się nad nią.

Warto tedy zapoznać się ze stanowiskiem, jakie zabiera w kwestji rozwodu znana autorka duńska, Karin Michaelis.

Autorka od dziewięciu lat zajmuje się planem ubezpieczenia od rozwodu.

Utrzymuje, że panny, wychodzące zamąż, powinny być przez wychowanie przygotowane do rozwodu.

Nie chce przez to powiedzieć, że rozwód jest czemś, co się samo przez się rozumie, lecz że trzeba przewidzieć tę ewentualność i zastosować do niej ową miarę ostrożności, która nam każe np. uczyć dzieci pływać w płytkiej wodzie, aby nie utonęły, jeśli im się zdarzy pewnego razu dostać się na głębię.

Zanim autorka przystępuje do wyłuszczenia swego projektu, daje ocenę pracy duchowej i fizycznej kobiety, żony i matki. Dzisiejszy ruch feministyczny nie zwalcza bynajmniej działalności kobiety w ognisku domowem; zna i docenia wartość kobiety, która z zainteresowaniem i oddaniem zarządza państwem domowem. Zarząd ten wymaga pracy duchowej, a kobieta, wywiązująca się dobrze z tego zadania, przyczynia się do materjalnego utrzymywania domu.

Wychodząc z tego punktu, autorka mówi:

„W dobrem małżeństwie żona oddaje mężowi nietylko zmysły i duszę, lecz też swój czas i zdolności. Każdy, kto rozważy czynności dobrej gospodyni, przyzna, że pracuje nietylko na wikt i ubranie, lecz że oddając całą swoją oso-

bistość i biorąc na siebie tak wielką liczbę obowiązków, zdobywa sobie niezaprzeczone prawo do połowy materjalnych dochodów, zdobywanych przez męża dla utrzymania domu. To też pomimo całego uznania dla samodzielnie zarabiających bobiet, kochającej i kochanej przez męża małżonki nie powinno nigdy zawstydzać to, że się z mężem dzieli pieniądzmi i mieniem.

„Ale... jeśli kobieta przestaje być kochaną? Jeśli wyrzekając się wspólnego pożycia małżeńskiego, mąż i żona prowadzą własne życie. Co wtedy?“ — pyta autorka.

Bywają tak subtelne kobiety, że wolą znosić głód i podjąć się najcięższej roboty, niż znosić tak wielkie upokorzenie, t. j. dać się utrzymywać przez człowieka, z którym niegdyś dzieliły wszystko, a z którym je dziś łączy tylko zobowiązanie prawne.

Samodzielnie zarabiająca kobieta może zostać spokojniejszą wobec rozwodu od materjalnie zależnej. Ale nie wszystkie kobiety nadają się do samodzielnego zarobku, również jak nie wszystkie nadają się do małżeństwa. Czynność kobiety-żony, gospodyni i matki — której zamiłowanie do pracy i porządku wytwarzają przyjemną atmosferę domową, w zakresie rodziny — odpowiada pewnej wartości majątkowej. Przy rozwiązaniu ogniska domowego czynność ta staje się zbyteczną. Kobieta wtedy może przyjąć miejsce w domu obcym, jeśli jest młoda, zdrowa i jeśli nie ma dzieci. Ale często położenie takiej kobiety bywa bez wyjścia.

Temu położeniu kobiety Karin Michaelis chce zapobiedz, uważając, że niema dla niej nic tak poniżającego, jak dać się utrzymywać przez męża, z którym się rozeszła może w gniewie i pogardzie, a przyjmować od niego musi, bo sama nie posiada majątku i nie umie zarabiać.

W Ameryce niedawno utworzyło się Towarzystwo zabezpieczające od „kosztów rozwodowych“. Ma ono jednak znaczenie tylko dla Ameryki, gdzie rozwód wymaga kosztownego procesu.

Projekt Karin Michaelis, obejmujący ubezbieczenie od rozwodu, przedstawia się następująco: Każdy ojciec wkupuje swoją córkę do upezpieczenia na życie, które w razie małżeństwa obejmuje mąż. Ubezpieczenie wtedy zmienia swój charakter, mając ważność tylko w razie rozwodu. Gdy ojciec z własnej woli płaci policę, dla męża musiałaby być obowiązkową i stać w odpowiednym stosunku do jego dochodów. Po upływie pewnego czasu należałoby przerwać wypłaty premiów, np. jeśli małżonkowie doszli do wieku, w którym rozwod wydaje się niemożliwym. W razie gdyby ta katastrofa jednak miała nastąpić, kobieta na zasadzie opłacanych w przeciągu kilku lat wkładek, miałaby prawo żądać odpowiedniej rocznej pensji.

Takie upezpieczenie od rozwodu ma wielką wartość moralną, gdy teraz wiele kobiet ze strachu przed nędzą, jakoteż dla uniknięcia przykrych walk o pensję rozwodową, pozostają w warunkach, które zarówno dla nich, jak i dla dzieci są niegodne i szkodliwie.

Z drugiej strony zaiste nie potrzeba obawiać się wyzysku, ponieważ pensja taka zawsze będzie odpowiadała dochodom męża; zła kobieta nie będzie tedy widziała materjalnej korzyści, dążąc do rozwodu.

Wobec idei pani Karin Michaelis jednak można podnieść ten sam zarzut, który podniesiono wobec jej sensacyjnej książki „Niebezpieczny wiek“.

Bywają zdarzenia, które nie dają się ująć w kategorję. Podobnie jak każda historja miłości jest „wiecznie starą historją, a wiecznie nową“ — tak i każda historja rozwodu będzie miała swój odrębnytyp. Bo na każde wspólne pożycie składają się tysiące szczegółów, tysiące indywidualnych czynników... Kto zechce rozstrzygnąć, po jakim czasie rozwód jest niemożliwy? Czy nie znamy wypadków, w których małżonkowie rozeszli się po 25 letniem pożyciu?

Ale i dużo prawdy jest w tem, co nam autorka mówi, a kwestja jest dość ważna, aby wysłuchać projektu.

Rozmaitości

Kraj bez starych panien. Krajem takiem jest Syam w Azji, gdyż nie posiada ani jednej starej panny. Przyczyna tego jest bardzo prosta: małżeństwo należy tam do „środków karnych,“ które nakłada się na ludzi przekraczających ustawy. W oznaczonym czasie każda kobieta w Sjamie, niemająca męża, zostaje wpisana na własne życzenie na listę „dziewcząt królewskich.“ Przez to król obejmuje opieki nad nią, a przedewszystkiem stara się znaleźś jej męża. Kawalerowie, którzy popełnili jakąś zbrodnię, zostają skazywani, prócz zadekretowanej na nich kary, na ożenienie się z taką „dziewczyną królewską.“ Jeżeli przewinienie skazanego jest małe, to ma on prawo wyboru; jeżeli jednak ma się do czynienia z większą zbrodnią, to skazanemu daje się za żonę najstarszą, najbrzydszą i najzłośliwszą „dziewczynę królewską.“

* * *

„Polska maszyna latająca“. We wydanej świeżo, zajmującej książce Abla Mansoya znajduje się interesujące wspomnienie o lotniku, który bawił we Warszawie we wieku siedemnastym za Władysława IV. Był to Wenecjanin Titus Livius Buratini. Mieszkał on we Warszawie. Z listów Des Noyers'a okazuje się, że m. i. wynalz B. „smoka latającego“, który, sądząc z opisów, jest zapowiedzią dzisiejszych aerplanów. Niewątpliwie doświadczenia były niezbyt udatne, gdyż braki w konstrukcji i przymitywność motoru nie pozwalały na lepsze. Władysław IV interesował się wynalazkiem Włocha; B. zdawał królowi szczegółowe relacje z postępów maszyny. Niewiadomo, czy król był kiedykolwiek obecny przy próbach wzlotów. Bardziej wątpliwie jest, czy uniósł się kiedykolwiek w przestworza aparat większy dla ludzi. W każdym razie próby Buratini,ego zyskały jednak rozgłos; w całej Europie mówiono wtedy o „polskiej maszynie do latania z 8 skrzydłami“.

* * *

Ostrożnie ze „znalezionymi“ przedmiotami! Pewien podróżny jadąc z Mylhuzy do Leinefelden zajął się troskliwie parasolem, który w jego przedziale leżał w siatce do pakunków. Na następnej stacji oddał „znalezioną zgubę“ urzędnikowi. Po pewnym wszakże czasie zjawia się z innego przedziału właściciel „znalezionego“ parasola — ale dowiaduje się ku wielkiemu swojemu rozczarowaniu, że parasol oddano na poprzedniej stacji jako „znaleziony.“ Wywiązała się sprzeczka, podczas której „właściciel parasola“ gwałtownie żądgł parasola. Szafner przyznał mu rację, a znalazca, zmartwiony swoim przedwczesnym uczynkiem miłosierdzia, przeprosić i w końcu wysłać musiał za znalezionym parasolem na swój koszt depeszę w której donosił o „odnalezieniu właściciela“ z żądaniem natychmiastowego odesłania parasola.

* * *

Manja samobójcza u niedźwiedzi. W Londynie wygłasza obecnie jeden z najlepszych znawców życia zwierzęcego, Ernest Thompson Sefon szereg odczytów o faunie północno-amerykańskiej. — Przed kilku dniami mówił rzeczy dziwne, prawie nie do wiary o amerykańskich niedźwiedziach. Niedźwiedź brunatny jest w pewnych wypadkach sam dla siebie lekarzem. Gdy cierpienia stają się dla niego nie do zniesienia, popełnia samobójstwo. Zauważono kilkakrotnie, że w pewnych określonych odstępach czasu udają się do gorących źródeł siarki i kąpią się w nich, widocznie więc znają sbawienny skutek tych wód. Gdy stan ich zdrowia nie poprawia się, popełniają samobóstwo w ten sposób, że wdychają kwas węglowy, znajdujący się w górskich jaskiniach. Czy tu idzie istotnie o prawdziwe zamierzone i uplanowane samobójstwo, nie objaśnił Thompson w swym wykładzie.

* * *

Mąż na próbę. Grono amerykanek nosi się podobno z zamiarem założenia stowarzyszenia panieńskiego, którego członkinie nie będą mogły zawierać związków małżeńskich, bez odbytej poprzednio „próby“, a to w celu lepszego doboru stadeł małżeńskich.

Mają być otwarte specjalne lokale, gdzie pary „na próbę“ będą spędzały trzy miesiące „próbnego pożycia“ pod dozorem starszej pani, „żeby się nie stało nic zdrożnego“. „Małżonek na próbę“ ma ponosić wszystkie ciężary prawdziwego męża, nie korzystając z żadnych praw.

Przez czas trwania tej próby młodzi, obserwując się nawzajem, będą podobno mogli ocenić, czy współżycie

ich na zawsze jest możliwe. Gdy próba wypadnie niekorzystnie, mają się rozejść bez żadnej pretensji. Najciekawsze jest jednak to, że panny amerykańskie mają, według projektu stowarzyszenia, wydawać świadectwa swym „próbnym mężom".

Wzór świadectwa jest taki: Wierność: Bardzo dobrze. Umiejętność zachowania tajemnicy: Bardzo dobrze. Oszczędność: Źle. Odwaga: Bardzo dobrze. Śmiałość: Średnio. Grzeczność: Średnio.

Świadectwa te mają służyć na to, że każdy „wypróbowany", a odrzucony kandydat do stanu małżeńskiego nie potrzebuje przechodzić drugiej próby. Wystarczy pokazanie świadectwa swej następnej przyszłej, a ona osądzi, czy wady i zalety są dla niej odpowiednie. Oczywiście, że co jest zaletą dla jednej, może być wadą dla innej i odwrotnie; więc „odrzucony" podczas próby nie potrzebuje się martwić, a tymbardziej ukrywać swego świadectwa.

Inicjatorki mają nadzieję, że w niedalekiej przyszłości nie będzie ani jednego młodzieńca nie zaopatrzonego w „świadectwo próby małżeńskiej".

* * *

Jak pozbyć się natręta? Gazety nowojorskie opisują, w jaki sposób znany artysta amerykański, Bullow, pozbył się natrętnego towarzysza podróży. Pewnego razu Bullow jechał w wagonie z Nowego Jorku do Chicago i, paląc cygaro, czytał zajmującą książkę. Na jednej ze stacji wszedł do przedziału jakiś drugi pasażer i, zaledwie usiadł, zwrócił się do artysty z zapytaniem:

— Jak pan sądzi, kto zwycięży: Taft czy Roosevelt.

— Kto to taki ten Taft i Roosevelt? — odpowiedział Bullow, patrząc ponuro na pytającego.

— Jakto! nie znasz pan Teddy i Bulla? — zawołał nieznajomy.

— Nie znam — brzmiała odpowiedź i Bullow znowu rozpoczął czytanie.

Nieznajomy popatrzył z niedowierzaniem na artystę, lecz za chwilę rozpoczął znowu.

— Ciekawym, co obecnie zrobi z trustem wielki John?

— Co to za John?

— Ja tak nazywam najbogatszego człowieka na świecie, Rockefellera, zapewne pan o nim słyszał?

— Nigdy w życiu — odpowiedział spokojnie Bullow.

Nieznajomy długo patrzył z pogardą na artystę, następnie zauważył z ironją.

— A o Adamie czyś pan kiedykolwiek słyszał?

— Adam? Jaki Adam? Jak on się nazywa?

Tego było już za dużo, nieznajomy, trzasnąwszy drzwiami, wyszedł z przedziału.

* * *

Podróż naokoło ziemi w 16 minutach. Oto ostatni rekord, jaki zdobyła redakcja dziennika Times w Nowym Jorku. Oczywiście chodzi tu o podróż depeszy telegraficznej, a nie o automobil lub aeroplan. Telegram miał następujące brzmienie: „Ta depesza ma zrobić podróż naokoło świata „Times". „Nowy Jork". Depesza nadana była punktualnie o godzinie 7 wieczorem, a o godzinie 7 minut 16 i sekund 30 nadeszła już z powrotem. Przeszła ona przez 17 stacji i odbyła 28 613 gieograficznych mil. Rekord Timesa chce pobić inny dziennik nowojorski, który twierdzi, że jego depesza wróci jeszcze o jedną minutę wcześniej.

* * *

Życie organów po śmierci organizmu. Daily Telegraph otrzymała z Nowego Jorku wiadomość o sensacyjnym odkryciu dr. Alexisa Carrela. Otóż na zebraniu w Atlantic City w Nowym Jorku, wobec członków amerykańskiego Towarzystwa lekarskiego dr. Carrel, zajmujący się badaniami w instytucie Rockefellera oświadczył, że jest w stanie zapewnić dalsze życie każdej części ciała ludzkiego po odjęciu. Dodał on, że może on im zapewnić rozwój i życie w ciągu dziewięciu miesięcy po odłączeniu od ciała. Doktór Carrel rozpoczął swe doświadczenia na zwierzętach niższego rzędu. Kawałek serca kurczęcia biło w ciągu 104 dni po wycięciu go i badanie mikroskopiczne wykazało, że tkanki jego rozwinęły się w ciągu tego czasu. Oprócz tego doktór Carrel oświadczył, że organy, na których on robił swe doświadczenia, brał ze zwierząt nieżywych i twierdzi, że możliwe jest zaszczepić tkanki i organy z organizmu martwego na żyjący organizm i w danym wypadku nie obumierają one po dziewięciu miesiącach, lecz połączywszy się z ciałem, funkcjonują wraz z nim w dalszym ciągu. Doświadczenia kliniczne z takimi szczepieniami dały już obecnie tak dobre rezultaty, że institut, na którego czele stoi dr. Carrel, który podjął się dostarczania żywych organów, nie może nastarczyć zamówieniom.

Dymokrackie medykacje.

Koło polskie w sejmie pruskim zaś straciło szprycha, chtóro se pedziała, iże do inkszych nie pasuje; tak kiejby te sztyry koła: konserwa, nacjonałliberoły, cyntrum a Koło polskie wdycki nie smykały jednygó wozu, tegó rządowygó; a jeszczy hnet a hnet wolnomyślni kiej piąte koło u woza lecą za nimi. Tako to pociecha s tyj cołkiej kołowaciny; telo miół prawie farorz Kapica, iże się dostoł w błędne koło, to mu sie i mierzło być posłem, tak już nie móg doczkać tegó roku ostatniygó jino oddaje swój mandat wyborcom a komitetowi, coby mu pozwolili wstąpić do kamrotów cyntrowych albo być dzikim farorzem-posłem. Ano, trza tyż, coby narodowcy po sprawiedliwości oddali cyntrum, co je cyntrowygó, to je nie tyn mandat, jyno ta osoba.

Zaś inkszo szprycha, a możno ta część od buksy, chtóro sie zwyito wdycki kiej chorągiewka wedle wiatru politycznygó, wszyjskim zasłużony a kochany — kiej psom dziod — Wojtek Korfanty, pojechoł se leczyć do Kosowa na cysarskiem. Wybroł se dobre miyjsce, bo ugiersko granica blisko, kiejby mu trza bezpiecznie jechać dalsze, a w Kosowie są tyż hnet a hnet hrube ryby na kuracje, to możno im cosik wyłowić na to nowe pismo, chtóre ech mu obmierdziół, a rostmajtym inkszym tyż. Może tyż se pojedzie do Rzymu po błogosławiyństwo na lepszy geszeft.

O tyn Rzym wszyjscy sie wadzą: błogosławiony ferband berliński ciyrpistów, hnet przeklęte kręcijany a zdziwione Zjednoczynie Zawodowe Polskie. Ferband i tak bół wdycki błogosławiony jako cichy a pokornego serca, a możno i jako ubogi w duchu. Zaś kręcijanów za telo przeklinają kamroty od roboty, bo to skisz ich masowygó szpiclowanio założono na Zachodzie Niymiec fabryka wyroków przeciw strejkującym; telo skazanych jeszczy sądy ani w Prusach nie nafedrowały, spamiyntom sie jyno na sądy wojenne w Rusieji, kaj tyż sie śpichali s wyrokami.

Wkrótce bół tyż taki proces w Tarnowskich Górach. Taki se dziekon Konietzko na stare roki musioł jeszczy pokozać swoja miłość bliźniygó a pruskiygó faterlandu, bo za skorzystanie z wolności dyskusji na wiecu poprowadziół swoje owieczki nie za kratki spowiednicy w miejscu cudownym, jino za kratki — sądu pruskiygó. To je taki krzyżacki sposób zbawianio dusz: nie doczkać sprawiedliwości boskiyj. Pono społem s Kopem zakozoł pąci do Częstochowy, pono skisz agitacji wielgopolskiyj a Macocha; możno mu lepsze piyniądze dlo kalwarji w Niymieckich Piykarach, kaj ich przeca Zielonkoski tyż umioł użyć nie gorsze od Macocha, jyno, iże nie zabiół brata jyno pono siebie.

Lepszy szpyclowanie udało się Koryciorzowi, to trza uznać. Policaje oże sie wstydzili, iże s takim mieli spółka, to rozprawy sądowe musiały być przy drzwiach zankniyntych. Jak to sie radowały hakaty s Kocota, iże światłe policaje wykryły spisek krakosko-wielgopolski przeciw pomazanej głowie pruskiyj! Oże tu wyłażą na wierch szydła z miecha, i ta lagramyncina, co to tak dzielnie bróniła faterlandu i jegó głowy, oże niewinnygó posądził, jedzie se dziś do badów siarczystych na piytnaście roków. Tak to szpyclowi te bomby poszły do luftu.

Ale miasta sjechały sie w Kożlu, coby „Oberszlejzjen" poszoł do luftu, to je tak, iże chcą dać społem pięćdwadzieścia tysiąców na balon albo ajeroplan, chtóry musi zaś mieć takie miano, testamyntnie „Oberszlejzjen". Wszyjscy tyż już pilno zbiyrają na flukcojgi, a w Pszowie panoczki od grub a werków chcą pozwolić na polsko mowa skisz tego dziadowanio. No, ale jo downo mówia, iże wdycki, kiej panoczki przykożą godać po polsku, tako mowa mo luft.

Gustlik Beskuryjo.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott w Katowicach.

Nr. 27. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 6 lipca 1912.

ARKADYUSZ AWERCZENKO.

SAMOTNIK.

— Tak mi go żal — rzekł buchalter Kazanłykow do swej żony. Pędzi smutne życie samotnika, nikt na niego nie zwraca uwagi, nikt nie przemówi do niego... A jest to człowiek dobrze wychowany, na swojem miejscu, sądzę zresztą, iż nie będzie nas krępował. Jest, jak i ja, urzędnikiem banku. Czy nie masz nic przeciwko temu, żem go dziś zaprosił do nas na herbatkę?

— Ależ bardzo proszę — odrzekła żona. — Bardzo mi będzie miło.

*

Goście zebrali się około godziny dziewiątej. Popijano herbatę, składano życzenia imieninowe gospodarzowi domu, śmiano się wesoło i żartowano z młodej pary: z siostry buchaltera Kazanłykowa i jej narzeczonego, studenta Aniczkina.

O godzinie dziesiątej zjawił się dobrze wychowany samotnik, o którym wspomniał żonie pan Kazanłykow. Był to wysoki i prosty, jak piorunochron, mężczyzna w sile wieku, o rzadkich i twardych, jak stalowa szczotka, włosach i gęstych, czarnych, jakby dziwiących się, krzaczastych brwiach. Miał na sobie długi, czarny, szczelnie zapięty surdut, nadający tułowiu jego wygląd wałka z otomany; mówił głosem przyciszonym, bardzo grzecznie, lecz stanowczo i dobitnie, zmuszając słuchaczów swych do uwagi.

Pił herbatę z rumem. Wypił dwie szklanki, za trzecią podziękował i obrzucił gospodarza łaskawym wzrokiem.

— Ma pan dziatki? — zapytał.

— Właśnie spodziewamy się! — rzekł z uśmiechem Kazanłykow, wskazując nieznacznie na żonę.

Pani Kazanłykowa zapłoniona uczyniła ruch właściwy ludziom otyłym, starającym się zmniejszyć objętość brzucha.

Samotnik spojrzał z powagą na figurę pani Kazanłykowej.

— Spodziewacie się państwo? Tak... hm... Niebezpieczna to rzecz — rodzenie dzieci!

— Czemu? — spytał Kazanłykow.

— Bardzo niebezpieczna. Często wynik bywa śmiertelny. Gorączka połogowa, lub inna jaka choroba. I — koniec!

Kazanłykow uśmiechnął się blado.

— Miejmy nadzieję, iż w tym wypadku odbędzie się to szczęśliwie. Będziem mieli takiego dużego, takiego tłustego chłopaka... He he!

Samotnik w zamyśleniu przeciągnął parę razy mokrą dłonią po czarnych rzadkich drutach na swej głowie.

— Chłopaka, powiada pan... Hm... chłopcy, wie pan, często martwymi na świat przychodzą.

Gospodarz wzruszył ramionami.

— To bardzo rzadkie wypadki.

— Rzadkie? zaprzeczył gość: — O, wcale nie tak rzadkie. Są kobiety, które wcale dzieci mieć nie mogą. Takie już organizmy. Ot pani dobrodziejka!... Obawiam się, czy przyjście na świat dziecka nie będzie jej groziło bardzo poważnem niebezpieczeństwem, które może źle się skończyć...

— Cóż to za rozmówy państwo wszczynacie? — przerwała pani Fitilowa, żona urzędnika. — Nic się złego nie stanie, zapewniam państwa. Pan zaś — zwróciła się do samotnika — tańczyć będziesz na chrzcinach.

Samotnik potrząsł smutnie głową.

— Daj to Boże! Zdarza się jednak często, że dziecko rodzi się szczęśliwie, potem zaś umiera nagle. Organizm dziecka bardzo kruchy i nikły. Byle wiatr go zawieje, byle okruszynka jakaś na niego spadnie — i już koniec. Statystyka śmiertelności u dzieci...

Pani Kazanłykowa blada, z wykrzywioną od strachu twarzą, słuchała przemowy gościa.

— Co tam statystyka! Mam troje dzieci wszystkie żyją, zdrowe jak rydz — przerwała pani Fitilowa.

Gość uśmiechnął się uprzejmie.

— Do czasu, pani dobrodziejko, do czasu. Czy słyszała pani, że w mieście panuje dyfterja? Spaceruje dzieciaczek, biega wesół i rzeźki — zaczyna nagle kaszleć... W gardziołku małe zaczerwienienie... Na pierwszy rzut oka mogłoby się to wydać głupstwem...

Pani Fitilowa drgnęła i rozwarła szeroko oczy.

— Mój Boże! Naprawdę mój chłopak wczoraj wieczorem kaszlał... ze dwa razy...

— Otóż widzi pani — rzekł znacząco gość — bardzo jest możliwem, iż synaczek pani ma dyfterję. Chociaż dla uspokojenia pani dodam, iż może to nie być dyfterja, a jakaś inna choroba, szkarlatyna naprzykład... Powiada pani, że kaszlał wczoraj! Radzę go izolować, gdyż mogą się inne dzieci pozarażać.

Blada, jak płótno, pani Fitilowa przymknęła oczy, nie będąc w stanie wydobyć z siebie głosu.

— Niechże się pani dobrodziejka tem nie przejmuje — rzekł słodko gość. — Szkarlatyna nie zawsze kończy się śmiercią. Zdarza się często, że wywołuje ona zapalenie ucha środkowego i rzecz się kończy na głuchocie. Bardziej niebezpiecznem jest zaatakowanie przez szkarlatynę płuc.

— Pani już odchodzi? — zapytała pani Kazanłykowa, widząc, iż Fitilowa wkłada drżącemi rękami kapelusz i, zacisnąwszy zęby, kłuje sobie nielitościwie palce szpilką.

— Droga pani, proszę mi wybaczyć, ale tak się spieszę... Strach mię ogarnia, co się z synkiem stało... może, broń Boże, coś złego...

Zapomniawszy nawet pożegnać się z towarzystwem, trzasnęła pani Fitilowa drzwiami i popędziła, jak strzała do domu.

Gość popijał małymi haustami herbatę z rumem, spoglądając od czasu do czasu na siedzących naprzeciwko niego studenta Aniczkina i jego narzeczoną.

— Na jakim pan wydziale? — zapytał, mrużąc uprzejmie oczy.

— Na prawniczym.

— Hm... tak... I ja byłem na uniwersytecie. Kocham młodzież akademicką. Ale prawo — to nieszczególna karjera, pozwolę sobie zauważyć.

— Dlaczego?

— Powiem panu, dlaczego: uczy się pan, uczy się w ciągu długich czterech lat. Kończy pan (dobrze to, jeżeli

się uda skończyć). I czemże pan zostaje? Kandydatem adwokatury — bez praktyki, bez samodzielności; albo wstępuje pan do dyrekcji kolejowej na posadę bez gaży w nadziei uzyskania po kilku latach czterdziestu rubli miesięcznie! Oczywiście nie będzie pan do tego stopnia lekkomyślnym, aby się ożenić, ale...

Student uśmiechnął się i przerwał:

— Właśnie żenię się. Pan pozwoli, że mu przedstawię moją narzeczoną.

— Że ni się pan — powtórzył dobitnie i ze smutkiem samotnik. — Hm, hm!... Cóż robić, życzę pani szczęścia i dobrego życia w dostatku i pomyślnościach. Powiem jednak, iż zdarzało mi się nieraz obserwować życie żonatych studentów: pokój na szóstem piętrze, chore dziecko za parawanem (chore, bezwarunkowe chore!), przedwcześnie zwiędła od nędzy, chuda i smutna żona, zdenerwowany ciągłem głodowaniem i niepowodzeniami małżonek... Rozumie się i w tych wypadkach zdarzają się wyjątkowo szczęśliwe fakta: dziecko umrze, albo żona ucieknie z jakimś przystojnym sąsiadem; ale niestety, nie zawsze na tem się kończy. Przeważnie bywa tak, że mąż wysyła żonę do lombardu, nibyto poto, aby zastawiła ostatnią zarzutkę, sam zaś umocuje rzemień na haku w suficie, i... amen.

W pokoju panowała cisza.

Dzieje ekonomiczne i społeczne w dziełach Emila Zoli.

Czesław Halisz pisze w tygodniku „Światło“:

Kiedy Emil Zola, podczas rozgłośnej w swoim czasie sprawy Dreyfusa, rzucił społeczeństwu francuskiemu swoje słynne „Obwiniam“ — z jednej strony rozległy się głosy uwielbienia dla odwagi i sprawiedliwości wielkiego powieściopisarza, z drugiej strony krzyki oburzenia i nienawiści, piętnujące go jako złego patrjotę, niemal jako zdrajcę swojej ojczyzny. A przecież ten gwałtowny protest, to potężne „Obwiniam“ nie po raz pierwszy padło wówczas z ust jego. Każda z jego powieści była jakgdyby płomiennym aktem oskarżenia, demaskującym jakiś grzech lub krzywdę społeszną, zdzierającym niemiłosiernie osłonki z fałszywej cnoty mieszczańskiego społeczeństwa.

Lecz Zola nie jest li tylko prokuratorem piętnującym społeczne grzechy jest on, i to nas przedewszystkiem zajmuje na tym miejscu uważnym i wysoce umiejętnym obserwatorem współczesnego życia. Żadna nowa doktryna społeczna, żadne prawo ekonomiczne naszych czasów nie jest mu obce. Jego bystry wzrok obejmuje szerokie horyzonty współczesnego życia, a potężna wyobraźnia twórcza zaklina je w szereg niezmiernie plastycznych, czasami wprost potężnych obrazów. Wszystkie teorje społeczne: socjalizm naukowy i utopijny, kolektywizm i anarchizm, znajdują w jego dziełach mniej lub więcej silny oddźwięk. Zajmują go również kolejno wszystkie dziedziny ekonomji politycznej i społecznej. Rolnictwo, wielki i drobny handel, przemysł domowy i fabryczny, górnictwo, kapitał pokój i wojna, problematy religijne i etyczne, jednem słowem całokształt społecznego życia objęty jest przez trzy wielkie cykle jego powieści: „Rodzina Rougen Maquartów“, „Trzy Miasta“, „Cztery Ewangelje“.

„Ziemia“ — ta odwieczna żywicielka narodów — jest przedmiotem jednej z pierwszych jego opowieści. Przez wieki całe ludzkość brała wszystko od ziemi, nic jej wzamian nie dając. I oto przewiduje Zola chwilę mniej lub więcej daleką, kiedy ta karmicielka wiecznie wyzyskiwana, wiecznie maltretowana nic już nie będzie miała do oddania niebacznym dzieciom swoim. Już przed Zolą rozliczni uczeni i ekonomiści widzieli w tym wyczerpaniu się ziemi przyczynę wielu klęsk społecznych. Naprzykład Liebieg widzi jedną z głównych przyczyn upadku Rzymu w złym systemie rolnictwa, w nie zwracaniu ziemi niezbędnych dla niej elementów. Zola widzi dobrze ten cały system rabonkowej gospodarki związany nieodłącznie z małą własnością rolną. Jakiż jest środek zaradczy? Dwaj przedstawiciele dwuch różnych doktryn ekonomicznych — protekcjonista i wielki farmer Hennin i zwolennik wolnego handlu, wielki przemysłowiec Cheneville — rozprawiają nad tym problematym i znajdują najrozmaitsze wyjścia oprócz jednego — nacjonalizacji ziemi. Dla nich ziemia jest i musi pozostać na zawsze własnością prywatną. I oto zawiązuje się między nimi djalog wysoce charakterystyczny, streszczający doskonale ten nieustanny antagonizm, tę nieustanną wojnę ekonomiczną, która istnieć musi w społeczeństwie, a która zajadłością i okrucieństwem przewyższa walkę o byt krwiożerczą, jaka toczyła się w zamierzchłych czasach w cieniach olbrzymich lasów pierwotnych.

Hennin, zwolenik wolnej wymiany, wielki przemysłowiec, mówi: „Jeżeli zboże będzie w tej cenie, w której pan chcesz, moi robotnicy padną jak zmorzone głodem muchy“. Cheneville, wielki właściciel rolny i protekcjonista, odpowiada; „Jeżeli będą w tej cenie, w której pan żądasz, moi rolnicy zdechną jak głodne psy“. Hennin: „Znajdziemy jednak środki, aby zmusić chłopa by żywił robotników“. Cheneville: „Trzeba żeby chłopi przedtem mieli zagwarantowane zaspokojenie najpierwszych potrzeb swoich“. Oczywiście jednemu i drugiemu chodzi przedewszystkiem o interes własny, t. j. o możliwie niską płacę dla robotników rolnych i fabrycznych.

Różowe brzaski lepszej, jaśniejszej przyszłości znajdujemy jedynie w płomiennych słowach młodego zapaleńca i trybuna ludu przebiegającego nieustannie wieś fracuską. Chopi słuchają go pobłażliwie, bo nie atakuje on małej własności rolnej lecz słuchają jego słów zupełnie, jak tych bajek czarodziejskich, w których urzeczywistnienie nie wierzy się ani na chwilę. Tymczasem między chłopami toczy się walka nieustanna o to największe bogactwo i największe upragnienie wieśniaka — o ziemię. W posępnych barwach maluje Zola tę wieś współczesną; opisuje jak jedna siostra zabija niemal drugą w walce o szmat ziemi, jak dzieci maltretują ojca jako niezdolne, już do cna zużyte, pociągowe zwierzę, jak cały ten lud rolny żyje, wegetuje raczej w przyjemnym zwierzęcem niemal bytowaniu. Ani śladu sielanki, ani cienia nie znajdzie się tutaj owego taniego sentymentalizmu, z którym opisuje się „wioskę“. Obraz to ciemny, ale po mistrzowsku malowany. Posępny, ale nie beznadziejny, bo kończący się płomiennym okrzykiem, hejnałem tryumfalnym na część Ziemi Matki i Żywicielki Rodów. W poetyckiej wizji widzi Zola nową odrodzoną ziemię, która jest własnością i zarazem największym ukochaniem wszystkich bez wyjątku jej dzieci.

„Germinal“ porusza drugą dziedzinę gospodarczego życia narodów — górnictwo. Całokształt pracy górników występuje tak wyraziście, tak plastycznie, jak na płaskorzeźbach genjalnego artysty Karola Meuniera. Lecz Meunier, jako rzeźbiarz, daje nam naturalnym porządkiem rzeczy tylko piękno i dostojeństwo pracy u Zoli zaś znajdujemy całokształt górniczego życia a obraz to smutny, wprost tragiczny. Akcja rozgrywa się w kopalniach węgla należących do jednego z wielkich Towarzystw akcyjnych, z tych potężnych towarzystw, które Leroy Beaulieu porównał do owych band zbójeckich i grabiących spokojnych mieszkańców, podczas mrocznych czasów średniowiecza. W chwili, kiedy zaczyna się ta opowieść, świat przeżywa wielki kryzys handlowo przemysłowy. Cukrownie, fabryki, huty nie znajdują więcej rynków zbytu dla swoich towarów i dlatego zmuszone są ograniczyć produkcję i co za tem idzie zapotrzebowanie węgla staje się mniejsze. Lecz akcjonarjusze kopalni nie chcą ażeby ich dywidenda się zmniejszyła. Cóż zatem począć? Odpowiedź jest oczywiście bardzo prosta. Trzeba zmniejszyć płacę roboczą. Lecz górnicy nie chcą a raczej nie mogą się zgodzić. Wybucha więc bezrobocie. Bezrobocie jest zrazu spokojne, lecz później pod wpływem nędzy i rozgorszenia coraz ostrzejsze przyjmuje formy. Strejk prowadzi Stefan Lantier, młody inteligentny robotnik. Lecz nie nadszedł jeszcze czas odpowiedni. Górnicy nie zorganizowani odpowiednio, pozostawieni samym sobie, po trzech miesiącach strejku zmuszeni głodem zetępują z powrotem do szybów.

Rozmaitości

Książęca hojność. W Alzacji obchodził pewien 75 letni drożnik 50 letni jubileusz służbowy. Za sumiennie wypełnianie obowiązków w tym wielkim okresie czasu postanowiła go administracja dróg specjalnie uczcić. Wobec tego doniesiono staremu drożnikowi przez jego bezpośredniego przełożonego, że ze względu na swą 50-letnią wierną służbę — nie potrzebuje w dniu jubileuszu przyjść do służby. Także hojność!

* * *

Gubernia piotrkowska w liczbach. Ciekawe daty statystyczne podaje prasa warszawska o najbardziej uprzemysłowionej gubernji na całym obszarze imperium rosyjskiego. W obrębie gubernji piotrkowskiej znajduje się 12 miast, 40 osad i 2850 wsi o 151 gminach. W dniu 1 stycznia roku 1910 gubernia piotrkowska liczyła 1 929 828 mieszkańców, w tem 941 969 mężczyzn i 987 859 kobiet. W ciągu roku 1910 było 96 544 urodzeń, a zmarło 46 779 osób; przesiedliło się z gubernji piotrkowskiej 199 523 osób. W taki sposób w roku 1910 ludność zwiększyła się o 188 981 głów i doszła do 2 118 900 mieszkańców.

Gubernia piotrkowska jest najbardziej przemysłowa w państwie, w roku 1910 było w niej 1795 fabryk i zakładów przemysłowych; liczba robotników wynosiła 147 751 głów, a wartość produkcji dosięgła 543 802 011 rb. W miastach znajdowało się 1038 fabryk i zakładów przemysłowych z 123 231 robotnikzmi z produkcją wartości 247 513 310 rb., a w osadach i wsiach było 757 fabryk i zakładów przemysłowych z 24 520 robotnikami i produkcją wartości 296 288 701 rb. W powiecie będzińskim, gdzie w 17 fabrykach i zakładach przemysłowych pracują 7 894 robotników, produkcja przedstawia wartość 275 104 612 rb., z czego przeciętnie na jednego robotnika przypada 34 723 rb. Liczba wypadków nieszczęśliwych z robotnikami w Zagłębiu dąbrowskiem była w dalszym ciągu wielka, bo 3932, z tej liczby 3571 robotników powróciło do zdrowia; 260 robotników starciło pewną część zdolności do pracy, 59 zmarło, a 45 odbyło kurację.

W ciągu roku sprawozdawczego sądy w gubernji piotrokowskiej osądziły osoby 41 113, w tem 33 395 mężczyzn i 7718 kobiet. Zakładów naukowych wszelkiego rodzaju były 1623, w tej liczbie 597 żydowskich chederów.

* * *

Dramat na granicy. „Berliner Tageblatt" opisuje następujące tragiczne zajście na granicy w pobliżu Tylży. Grupa wychodźców z Litwy chciała się przedostać przez granicę, w tym celu więc przewodnik ich umówił się z posterunkiem po stronie rosyjskiej. Pertraktacje te jednak zabrały tyle czasu, że właśnie nadeszła chwila zmiany straży, wobec czego strażnik poradził przewodnikowi udać się do następnego posterunku, sam zaś po zluzowaniu go ukrył się w zaroślach, chcąc się przekonać, co z tego wyniknie. Drugi posterunek zgodził się na przepuszczenie i wychodźcy mieli już przekroczyć kordon.

Pierwszy strażnik, obawiając się widocznie odpowiedzialności, wybiegł z ukrycia i począł namawiać kolegę, żeby cofnął wychodźców, było jednak już zapóźno. Mimo to pierwszy wystrzelił z karabinu na alarm, drugi zaś, widząc, że sprawa przybiera fatalny bieg, zmierzył się i strzelił do kolegi, widząc zaś go podnoszącego się z ziemi, strzelił drugi raz i położył go trupem. Po chwili, kiedy w oddali ukazali się strażnicy na koniach, krzyknął do wychodźców: „Uciekajcie!" i wystrzałem w piersi pozbawił się życia.

Przybyły oddział znalazł na miejscu dwa trupy i dojrzał grupę wychodźców już po stronie pruskiej.

* * *

Walka z palaczami. Z Nowego Jorku donoszą: W Kansas City, w stanie Missouri, przyszło do niezwykłych scen z powodu walki między zarządem tramwajowym a fabrykantami cygar. Zarząd miejski wydał pozwolenie na palenie tytoniu w tramwajach, natomiast zarząd tramwajowy opiera się temu wskutek utraty $^2/_3$ pasażerów, którzy nie chcą jeździć w tramwajach obok palących cygarz. W następstwie nieporozumień zarząd tramwajowy wydał polecenie, aby konduktorzy wstrzymywali tramwaje z chwilą, gdy kto z jadących zapali cygaro. Z drugiej strony znowu fabrykanci wynajęli kilkuset chłopaków, którzy siadają do tramwajów i, zapaliwszy cygara, wypuszczają kłęby dymu. W wyniku tramwaje stoją w całem mieście, a walki na pięści między jadącymi są na porządku dziennym.

* * *

Pomiary dna morskiego. Wysłany dla dokonywania pomiarów morskich okręt „Planet", obecnie znajduje się na drodze ze Wschodnio-Chińskiego morza do oceanu indyjskiego. Na tej drodze udało się z okrętu tego określić największą głębię dna morskiego, mianowicie dokonane pomiary w odległości 40 mil od północnego brzegu wyspy Mindanao wykazały głębokość morza na 9780 metrów. Dotychczas znana była największa głębokość 9636 metrów, określona przez załogę okrętu amerykańskiego „Negro" w roku 1899 na południe od wyspy Guama z archipelagu Marjańskiego.

* * *

Walka z krótkiemi rękawami. Kierownik nowojorskiego biura telefonicznego wydał rozporządzenie, wzbraniające telefonistkom pracować w stanikach z otwartą szyją i krótkimi rękawami. Rzecz prosta, że taki zakaz wzbudził niezadowolenie. Panny z telefonów zwróciły się ze skargą do rzeczniczek praw kobiecych, sufrażystek. Ale zdania tych pań podzieliły się. Większość stanęła po stronie telefonistek, lecz inne, a między niemi prezesowa nowojorskiego oddziału sufrażystek, orzekły, iż dyrektor biura miał słuszność, albowiem „kobiety pracujące spełniają nieraz swe obowiązki w bluzkach tak przejrzystych i tak głęboko wyciętych, że patrząc na nie, przyzwoite kobiety rumienią się.

* * *

Mówiona gazeta. Nowojorczanie mają od niejakiegoś czasu gazetę „mówion" Telephone Herald. Z początku nie wiele miano zaufania do tego rodzaju gazety, wkrótce jednak zmieniło się to i po 6 tygodniach miała gazeta 2500 abonentów, płacących 6 mk. miesięcznie, a liczba ich coraz więcej wzrasta. Abonenci mają połącznie z redakcją, od której przyjmują wiadomości. Mogą tylko słuchać — do rozmowy powiem aparatem tym nie można się posługiwać. Czas podawania wiadomości jest podzielony według ułożonego zgóry porządku. O godzinie 8 z rana następuje ogłoszenie czasu astronomicznego i telegramów nadesłanych w nocy z giełdy londyńskiej i ważniejsze wiadomości lokalne; od 9 do $9^1/_2$ wyprzedaże, zabawy, zdarzenia w towarzystwie; od $9^3/_4$ do 10 wiadomości osobiste i pomniejsze; od 10 do $11^1/_2$ notatki z giełdy nowojorskiej i ceny targowe; od $11^1/_2$ do 12 doniesienia z bruku nowojorskiego i rozmaitości. O 12 ogłaszają znów czas astro-astronomiczny; od $12^1/_2$ najnowsze telegramy, wiadomości z wojska i marynarki oraz Parlamentu; od $12^1/_2$ do 1 notatki z południowej giełdy nowojorskiej; od 1 do 2 krótki rzut oka na najważniejsze wiadomości z przedpołudnia. Od 2 do $2^1/_4$ najświesze telegramy kablowe; od $1^1/_4$ do $2^1/_2$ rozmaitości z Waszyngtonu; od $2^1/_2$ do $2^3/_4$ wiadomości modne i wskazowki dla gospodyń: od $2^3/_4$ do $3^1/_4$ wiadomości sportowe i teatralne; od $3^1/_4$ do $3^1/_2$ ostatnie wiadomości z giełdy nowojorskiej; od $3^1/_2$ do 5 wiadomości muzyczne i krytyki; od 5 do 6 feljeton zawierający szkice, nowele, wiersze i bajki dla dzieci; od 8 do $10^1/_2$ może abonent uprzyjemnić sobie wieczór do woli. Przez telefon może słuchać koncertu, śpiewu, występów solowych, gry na skrzypcach, czelo i t. d. Do mówienia w telefon są zaangażowani specjaliści, którzy mówią 15 minut, a potym 45 odpoczywają. Praca ich jest bardzo męcząca.

* * *

„Testament" Wilburga Wrighta. Zmarły przed niedawnym czasem jeden z twórców awiatyki, Wilbur Wright w jednym z ostatnich listów poruszał sprawę konstrukcji nowego swojego aeroplanu. Wypowiedziane w liście tym poglądy znakomitego awiatora uchodzić mogą za rodzaj duchowego jego testamentu. „Nowy nasz aeroplan — pisze

Wilbur Wright — jest tylko dalszym ciągiem tych wszystkich prób i usiłowań poruszania się i utrzymywania w powietrzu. Chodzi mianowicie przedewszystkiem o to, aby awiatyka doprowadziła do możliwości, by aeroplan raz już znajdujący się w przestworzach powietrznych, mógł w nich pozostawać nieograniczony bez ruchu, utrzymując ciągle równowagę. W tem jest właśnie przyszłość awiatyki".

* * *

Przemyślna wdowa. Z powodu zastrzeżenia, uczynionego w testamencie miljonera Astora (ofiary „Titanica"), który cały swój majątek zapisał żonie pod warunkiem, że drugi raz za mąż nie wyjdzie, „Pall Mall Gazette" opowiada o fakcie podobnym, który wziął obrót, nieprzewidziany przez spadkodawcę. Pewien londyński agient giełdowy, który, mając lat 70, ożenił się z młodą panną, umierając, przekazał jej dwa miljony funtów szterlingów pod warunkiem, że do końca życia zatrzyma jego nazwisko; w razie przeciwnym pieniądze miały przejść na synowca. I cóż uczyniła wdowa? Wyszła za synowca.

* * *

Jaskinia gry w Portofino. Od dłuższego już czasu policja genueńska zwraca uwagę na hotel w Portofino, gdzie miał się znajdować dom gry. Nie było jednak na to żadnych dowodów, gdyż klub był nadzwyczaj pilnie strzeżony. Wkońcu jednak policji sprzykrzyła się gra w ciuciubabkę. Pewnego wieczora zjawiło się w hotelu dwuch elegancko ubranych panów i zamówili sobie kolację z szampanem. Po całym hotelu rozeszła się niebawem wieść, iż obaj przybysze są miljonerami. Po tej wystawnej kolacji, nieznajomi wyrazili chęć zabawienia się jakąś grą. Członkowie klubu, nie przeczuwając nic złego, zaprowadzili ich do sali gry, gdzie nieznajomi, którzy widocznie nie mieli szczęścia, puszczali w obieg setkę za setką, tysiączkę za tysiączką. Nie zdawało się to jednak robić na nich jakiegoś wrażenia. Straty przyjmowali z uśmiechem... Nagle po niejakim czasie obaj miljonerzy zniknęli i po chwili wrócili... lecz na czele kilkunastu policjantów. Przerażeni gracze sądzili z początku, że mają do czynienia z bandą apaszów, coby z pewnością było dla nich milszem, lecz niebawem przekonali się, że są to rzeczywiście policjanci, którzy, spisawszy nazwiska graczy i zabrawszy 30 000 lirów, odeszli.

* * *

Szczęśliwy skok z balonu. Pewna przejezdna trupa aktorska urządza w Zurychu w Szwajcarji przedstawienie, pomiędzy innemi puszcza także balon gazowy; raz balon porwany został silnym wichrem, który zapędził go nad jezioro. Znajdujący się w koszu dyrektor trupy zeskoczył z wysokości 50 metrów do jeziora; niebawem nadpłynęły liczne łodzie, które go przewiozły na brzeg. Balon również uratowano.

* * *

Nieszczęście balonowe. w Berlinie wzniósł się balon, w którym obok kierownika dr. Halbena, znajdowali się radca legacyjny dr. Göppert i budowniczy rządowy Lange. W pobliżu Rostoku wskutek burzy postanowiono wylądować. Balon znajdował się w wysokości 4 200 metrów i po wypuszczeniu gazu gwałtownie zaczął spadać, uderzając silnie o ziemię. Dr. Halben złamał prawą rękę, a dwaj jego towarzysze odnieśli cięższe uszkodzenia.

Dymokrackie medykacje.

Zaś polskie liziłapstwo ugodowe odczuwo psie dni. Miyńsza o znane s tegó c. k. Koło polskie we Wiedniu, ale te lagramynciny w Dumie ruskiyj dokumyntnie z kalyndorza wyleciały. Mało im Chołmszczyzny a inkszych prześladowań, terazki tymu ruskiymu rządowi z bożyj łaski a wyroków niezbadanych ku wzmocniyniu uchwolóły wiynksze pół miljarda rublów na flota. Kiej zaś Puryszkiewicz stawi wniosek, coby takie ze trzy okręty wojenne kupić nahajek a wygarbować tym gupim poloczkom skóra, to jeszczy tyż bydą gosowali, ale jo — tyż bych gosowoł za tym, bo możno przyszliby nieco do rozumu. Mom nadzieja, iże pospół polski kopnie tych wdycki przed rządem zgibanych w nadstawióne zadki tak, iże razem połomią karki.

Oba sejmy berlińskie pojechały siano kosić, a inksze parlamenty tyż, to terazy je taki czas ogórkowy dlo rydachtorów. Ale roboty inkszyj je za telo, bo są rostmajte sjazdy, bezuchy a mowy. A szmaty niymieckie jeszczy tyż kadzą książce, chtóro napisoł kronprync dlo junkrów. Co robotnikom po takich fajnościach, tegó nie wim ale furt ambonują te hakatystyczne blaty, miasto na nowy kwartoł zapisać se nasza Gazyta Robotuiczo, chtóro raczy pisze o bydle krajowym a zagranicznym, a świniach, coby robotnikowi miyso bóło łacniejsze, jak o elefantach a inkszych bestyjach indyjskich, co jyno są panoczkom na uciecha.

Przy tym gonie a onych kadzidłach spamiyntołech sie na pieśń „Trzej królowie monarchowie wschodni kraj opuszczają". Bo to je tak: W Prusach je tak, kiej wkrótce bóło jeszczy na wschodzie, a terazki śjechali sie pono trzej królowie, to je bajerski, wyrtemberski a tyn od zaksów i uchwolili, coby nie dać se pluć w krupy od państwa niymieckiygo; a iże tam Prusy chcą rządzić, to te trzy króle „opuszczają" tyn wschodni kraj. Tako sie ta pieśń przykłodo do tegó śjazdu a Prus.

Zaś dwa cysorze, tyn niymiecki a tyn ruski, sjyżdżają sie pod Bałtiszportem na wodach finlandzkich, a ich kanclyrze a ministry tyż. Zaś bydzie wielgo polityka a wielgie mowy, bo lordkanclyrz angielski Haldane pedzioł wkrótce w swoji mowie do niymców angielskich, iże Wylhelm II mo „gajsta". Możno tyż se wypómną ruskich a niymieckich oficyjerów, chtórych dobre stosunki sąsiedzkie przykazują wsodzać do ula za nawiedzanie kamrackich fortec a odpisywanie planów wojennych tak se ku braterskiymu pouczaniu. A matrozy na onym okręcie ruskim występują w paradzie w czarno-bioło-czerwonych galotach spodnich, chtóre zrobili se s niymieckich flag, co im ostały sie jako pamiątki z piyrszygó sjazdu. Tak to uczczono chorągiew niymiecko; niymiecki monarcha pedzioł w Hamburgu, iże flaga niymiecko trza chrónić we czci, ale jegó kamroty ruskie chronią ją w galotach. To nie beleco takie kamractwo. Bydzie tyż za telo dzidżu s orderami; ale kiej im tak pójdzie, kiej ónymu łańcuchowi w Kolonji, chtóry złodziejowi wpod w kabza, to tegó blasku bydzie miyniyj.

Terazki pono w Prusach nie bydzie wolno nosić orderów s napisami; bo kieryś paragraf, po starym Frycu jeszczy, pado, iże inkszych plakatów durkowanych, jak ogłoszeń o zebraniach dozwolonych a gieszefcie a rzeczach zgubionych lub znalezionych nie wolno nosić ani wystowiać publicznie, tak, iże naszygó towarzysza Klemma z Halli skorali za plakat „Welen Zy Kuhnert". Inksze partje pouczyły sie zaś terazki naszym kosztem, bo terazki bydą wiedziały, iże im tyż nie wolno, kiej do terazy, obnosić na drągach a na piersiach plakatów s mianem swojygo kandydata; tak prawo przykazuje a rajchsgierychl tyż. Bydzie tyż biyda na tych patrjotów, chtórzy wdycki obwiyszają sie orderami a myntoljami.

Taki se swój włosny patrjotyzm osobliwy uprowiaja wszyjskie żółte związki robotnicze. Kiej sie śjechały przed tydniem, tako razm ogosiły, iże żółci a kapitaliści to są jedno; ale kiej uchwolili podatek na posiadających, coby płacili na wojoków a flota, to przeca pokozali, iże robotnik a panoczek to są dwa. Okrom tegó jeszczy nacyganili, iże werkferajny kręcijańskie są im przeciwne. Pono óni mówcy już przed rokiem nauczyli sie swoji mowy na pamięć, bo tymczasem już po Nowym Roku kręcijany pokozały sie, kaj chcą noleżeć, poszły nie jyno do patrjotów ale i do szpyclów, a jeszczy wołali o bajonety a kanony; tako i nie zosłużyli se na honór, coby ich stowiać za równo ze starymi naszymi związkami wolnymi a inkszymi organizacjami, chtóre są za strejkiem, bo padają, iże zorobek robotnika to je tyż majątek norodowy, a krzywda tysięcy robotników je większą krzywdą narodową, jak miyńszy zorobek poru panoczków.

Zaś Im wiynkszy napisza, bo dzisiok mom przekludzki do ruły. W tym piyknym nowym kwartale szkoda drogich piyniędzy na kwartyr; na lepszy ich niy ma, na gorszy iść nie chca, a w pańskich kasarniach miyńszkać nie lża, bo mi sie cni, choćby jyno za baupolicają.

Gustlik Beskuryjo.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott w Katowicach.

Nr. 28. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 13 lipca 1912.

JERZY AURIOL.

FONOGRAF.

(Z francuskiego).

W małym zacisznym, obitym jasno-zielonym jedwabiem buduarze siedzi czarująca, wysmukła młoda blondynka. Z nudów droczy się z malutkim kasztanowatym pieskiem bolońskim, który się wygodnie rozłożył na jej kolanach. Wchodzi tęgi, przystojny młodzieniec. Nie trudno domyślić się, iż jest to narzeczony blondynki. Pod pachą trzyma owinięte w papier pudło.

Młodzieniec (od progu): Hm... Hm...

Piesek Hau... Hau...

Panna (nie zwróciwszy się nawet w stronę przybyłego, niedbale): Ach, to pan, panie Herbercie! Jakże się panu powodzi?

Herbert (zmęczonym głosem): Tak sobie, ani źle, ani dobrze... A pani, droga panno Edyto, jak się czuje?

Edyta (bezdźwięcznie): Ach, moja dusza dziś blada... Cieszę się, żeś mię pan odwiedził... Tak się nudzę...

Młodzieniec, umieściwszy na krześle pudło, siada na foteliku obok narzeczonej.

Edyta: Masz mi coś do powiedzenia? Czyż być może?

Herbert (z ugrzecznieniem): Przedewszystkiem pozwól, iż ucałuję ten najcenniejszy wytwór piękna. (Podnosi jej rączkę ku swym ustom).

Piesek, wyciągnąwszy szyję, wybucha przeraźliwem szczekaniem.

Edyta (z uśmiechem): Masz tobie, teraz psina naśladuje wycie wichru w bezlistnych krzakach w ciemną noc jesienną. Taka zazdrośnica! Widzi pan, żąda, abyś pan również i jej łapki ucałował. Niechże pan to uczyni, bo szczekaniem swem do rozpaczy mnie doprowadza.

Herbert (składa z uszanowaniem pocałunek na łebku psiaka).

Piesek (zaszywa się w fałdach sukni swej pani i uspokaja się).

Edyta (tonem rozkapryszonego dziecka): Cóż więc? Co mi powiesz nowego?

Herbert. Nic nowego, chyba to, że za tydzień nasz ślub... Ale chyba to nie wystarczy? Ileż uroku w tem słodkiem zeznaniu! Za tydzień! (ujmuje jej dłoń). Czegoż mogę jeszcze pragnąć, skoro wiem, że za tydzień będę posiadał ten cudny twór piękna...

Edyta (w zamyśleniu): Tak, za tydzień... to tak blisko... nawet za blisko, nieprawdaż?

Wyciąga się zlekka, nie zaniedbując przytem, zgrabnym ruchem zdradzić wysmukłości i gibkości swego ciała. Wzrok jej pada na pudło, które przyniósł Herbert.

Edyta: Co to?

Herbert (rozwijając pakunek): To prezent dla ciebie, moja droga... fonograf...

Edyta: Prawdziwy?

Herbert: Naturalnie, prawdziwy.

Edyta: Cóż on wyśpiewuje? Czy arje z oper?

Herbert (jąkając się): To... to będzie trochę trudnem do powiedzenia... do wytłumaczenia... postaram się jednak. Widzi pani, w dniu naszego ślubu pani matka udzieli jej kilka rad... kilka wskazówek... Możliwem jest jednak, że coś zapomni... Otóż przyszło mi na myśl, aby kupić fonograf. Umieściłem go w swej sypialni... całą noc tam stał... a teraz przyniosłem go pani.

Edyta (z szeroko rozwartemi oczami): Nic a nic nie pojmuję.

Herbert: Przecie to takie proste. Pani umieści ten fonograf w swej sypialni i każdego wieczora, udając się na spoczynek będzie go nakręcała.

Edyta: Po to, abym nasłuchała się rozmaitych nieprzyzwoitości?

Herbert (oburzony): Edyto, jakże możesz przypuszczać coś podobnego!

Edyta: Cóż więc usłyszę?

Herbert: Nic wielkiego. Poprostu pewien charakterystyczny szmer.

Edyta (zniecierpliwiona): Mój Boże, jaki pan dziś tajemniczy! Nic nie rozumiem, o co panu chodzi. Niechże pan mówi prosto i bez niedomawiań.

Herbert (zbliża się. Przyciszonym głosem). Posłuchaj mię, droga pani: muszę pani wyznać, iż mam przykry zwyczaj chrapania we śnie. — Z obawy, by nie zrazić panią i nie sprawić jej przykrości w pierwszą zaraz noc poślubną, obmyśliłem, iż najlepiej byłoby przyzwyczaić ją przedtem do mego chrapania. Jeżeli więc będziesz słyszała chrapanie me przez fonograf w ciągu tych siedmiu nocy, to obędziesz się z tem, i nie będzie cię raziło bezpośrednie me chrapanie. Tyle miałem ci do powiedzenia.

Dzieje ekonomiczne i społeczne w dziełach Emila Zoli.

Jest taki obraz Meuniera, z cyklu „Czarna Kraina“, zatytułowany: „Zejście robotników do szybu“. Obraz to pełen zgrozy: czarna czeluść kopalni wydaje się jak olbrzymia paszcza wiecznie głodnej, wiecznie czychajacej na ofiary apokaliptycznej bestji. Ten obraz przypomina nam żywo końcowy ustęp Germinala, kiedy robotnicy wstępują znowu w podziemia, schodzą zda się bezpowrotnie w królestwo ciemności krzywdy i wyzysku. Lecz Zola zbyt silnym, zbyt potężnym jest twórcą, zbyt kocha życie, ażeby nie wierzyć w przyszły tryumf sprawiedliwości, ażeby tym beznadziejnym akordem zakończyć współczesną epopeją górniczego ludu.

Cóż z tego, że to pierwsze usiłowanie materjalnie się nieudało? Wszak Francja cała usłyszała ten pierwszy okrzyk bojowy, ujrzała tę pierwszą walkę stoczoną w imię społecznej sprawiedliwości. Myśli i uczucia tym pierwszym, aczkolwiek bezskutecznym, wzbudzone czynem, nie zczezną niby perz marny, lecz będą kiełkowały podziemnie i ukrycie będą długo może wschodziły, ale wystrzelą napewno

kiedyś w błogosławionej przyszłości zielonym pędem przyszłego czynu. Przez usta Stefana Lantier, który jest przedstawicielem idei samego autora, dowiadujemy się, że Zola widzi rozwiązanie tego problematu w kooperatywach wytwórczych, w syndykatach robotniczych. Dopiero znacznie później w swojej utopji społecznej zatytułowanej „Praca" (Le Travail) Zola zastępuje syndykalizm przez idee Fouriera. Lecz do tej powieści, będącej zakończeniem, syntezą niejako całego cyklu, powrócimy we właściwym miejscu.

W powieści „Dla szczęścia Pań" („Au bonheur des dames") Zola rozważa zagadnienia wielkiego i małego handlu. „Dla szczęścia Pań" jest to jeden z tych wielkich nowoczesnych bazarów jak Louvre lub Bon Marché albo też berliński Waarehaus Tietza. Taki wielki bazar to jakgdyby olbrzymia pułapka dla kobiet, spekulująca na lekomyślność, nieuświadomienie i próżność tego olbrzymiego szeregu kobiet, dla których piękny strój jest orężem walki, a także jedynym niemal celem życia. Te zakłady propagują ów tani trywjalny zbytek, który rozpanoszył się w mieszczańskiem społeczeństwie, szych i pseudo-estetyczną tandetę, a obok tego stają się przyczyną upadku wielu kobiet i źródłem rozlicznych katastrof rodzinnych.

Zola roztacza przed nami cały szereg wysoce charakterystycznych typów kobiecych, ofiar tego nowożytnego Molocha. Więc z jednej strony kobiety ze sfery mieszczańskiej, ofiary próżności, pracowite próżniaczki przebiegające nieustannie bazar w celu robienia różnych zakupów, wyzyskując pracę mężów lub też sprzedające się poprostu za pieniądze dla zdobycia środków zaspokojenia swych kosztownych fantazji. Z drugiej strony widzimy personel wielkiego magazynu, zwłaszcza owe nieszczęsne manekiny, zarabiające po 300 fr. rocznie, 25 franków miesięcznie, trochę za wiele aby umrzeć z głodu, lecz ażeby wyżyć stanowczo za mało. I nie trzeba tego uważać za przesadę powieściopisarza. Gide w swojej ciekawej pracy „Instytucje społeczne XIX go wieku" daje statystykę zarobków kobiecych, które stanowią połowę tego, co nawet w tych samych warunkach i na tych samych stanowiskach zarabiają mężczyźni. Zarobek kobiet mówi Gide, uważany jest ogólnie, jako dodatek. Jeżeli idzie o kobietę zamężną, to ma być to dodatek do zarobku męża. Lecz jeżeli to jest kobieta niezamężna, to do czego ma to być dodatkiem? zapytuje z ironją sławny ekonomista. Odpowiedź jest oczywiście jasna, aż nazbyt jasna. Dodatek do tego towaru, który znajduje zawsze swoich nabywców, do kobiecego ciała. I nawet ten nędzny zarobek przepada podczas tak zwanych martwych sezonów. Wielka maszyna handlowa odrzuca, miażdży bezlitośnie wszelkie nieużytki, skazując jawnie i nieodwołalnie pracujące dziewczęta na prostytucję. Jakie rozwiązanie, jaki środek zaradczy znajduje Zola przeciw tej groźnej, społecznej klęsce?

Śnią mu się jakieś olbrzymie falanstery, jakiś bazar olbrzymi pełny wszelakiego rodzaju towarów, gdzie każdy pracownik będzie miał udział w ogólnym zysku, gdzie wszyscy pracownicy będą zarazem współwłaścicielami.

Ta idea, którą Zola nazywa kolektywistyczną, nie wydaje nam się dość jasno określoną i nie jest zgodną z teorją kolektywizmu, gdyż nie mówi się tutaj o składach towarów przeznaczonych dla wymiany i zarządzanych przez odpowiednich urzędników, lecz o właściwym handlu, co nie zgadza się z teorją kolektywistyczną, przytem Zola przesadza widząc w wielkim handlu nietylko nieunikniony, lecz bardzo nagły upadek małego handlu. „Żadna nowa instytucja nie zastępuje w zupełności starej", jak mówi De Greef w swojej socjologji — „po największej części istnieją one przez długi czas współrzędnie, gdyż każda z nich znajduje swoich zwolenników, a tradycja jest potężnem źródłem konserwacji wszystkich bez wyjątku instytucji i urządzeń społecznych". Zresztą statystyki, które podaje Audrzej Gide w swej Ekonomji Politycznej, świadczą, że mały handel nietylko nie zanika, lecz przeciwnie wzrasta.

W powieści „Pieniądz" (L'Argent) Zola przedstawia wszystkie formy współczesne kapitału i kredytu. Wielkie akcyjne towarzystwa, banki, giełda występują tu przed nami z zadziwiającą wyrazistością. Bohater tej powieści Saccard, zdolny, a nawet wprost genjalny finansista, zakłada wielkie akcyjne Towarzystwo, ażeby eksploatować kopalnie srebra, odkryte w górach Karmelu, w Azji Mniejszej. Śmiałe i pociągające są jego projekty. „Mała Azja, ten kraj od wieków uśpiony a posiadający tak świetną przeszłość, ma zmartwychwstać wkrótce. Kraj cały pokryje się siecią szos, dróg żelaznych i telegrafów, a razem z temi drogami komunikacyjnemi wejdzie nowe życie do tej od wieków uśpionej krainy, tak samo jak powraca życie do chorego ciała, kiedy krew nanowo krążyć zaczyna". I w istocie ta wielka olbrzymia antrepryza, wprost niemożliwa dla wysiłków indywidualnych staje się łatwo wykonalną dla towarzystwa akcyjnego, gdzie najmniejsze kapitały służyć mają jako środek dla nowych zdobyczy ekonomicznego i społecznego postępu. Lecz dla Saccarda jak dla wszystkich zresztą giełdowców, prawdziwy cel tego akcyjnego towarzystwa jest w gruncie rzeczy zupełnie obojętny. Jego cel istotny — to spekulacja na giełdzie za pomocą akcji tego nowego towarzystwa. Zola roztacza przed nami wstrząsający obraz szalonych spekulacji giełdowych, tę gorączkę złota, ten hazard, który ogarnia najróżnorodniejsze sfery społeczne. Upadek tego akcyjnego towarzystwa to nietylko upadek świetnych nadziei zmartwychwstania w wiekowej drzemce pogrążonego kraju, lecz jednocześnie ruina kompletna wielu ludzkich egzystencji. I ukazuje nam klęskę moralną społeczeństwa ogarniętego żądzą zdobycia pieniądza, tej największej potęgi współczesnego świata. Widzimy jak urzędnicy sprzedają sekrety publiczne, kobiety sprzedają swe ciało, ażeby zdobyć środki dla hazardownej gry, podniecającej ich stępione nerwy, publicystów kupczących swem piórem, ministrów frymarczących sprawą publiczną. A w tem zwyrodniałym społeczeństwie rozlega się nagle głos dziwny, odosobniony — głos młodego marzyciela, ucznia Karola Marksa. Z okien swojej izdebki na 6-em piętrze, skąd roztacza się widok na giełdę, młody zapaleniec mówi do giełdowca Saccarda i do brata swego, lichwiarza Busza, zwiastuje im klęskę kapitalizmu i w potężnej wizji rzuca promienny obraz przyszłego społeczeństwa. Mówi do nich o pracy społecznej jako o jedynym mierniku wartości, o wspólnej własności wszystkich bez wyjątku narzędzi pracy, o wymianie za pomocą bonów pracy, o kompletnem unicestwieniu pieniędzy. „Róbcie miljony, jak dotąd", mówi do dwuch geszefciarzy młody apostół przyszłego społecznego porządku, „zbierajcie jaknajwięcej pieniędzy. Kiedy kapitał zcentralizuje się w jaknajmniejszej ilości rąk, łatwiejszem będzie zadanie, ażeby go się pozbyć".

Cz. Halicz.

Kraje, w których kobiety mają prawo wyborcze.

W Ameryce. Pierwsze kobiety na wolnej ziemi amerykańskiej wystąpiły do walki o równouprawienie:

W Stanie Wyamingu już od roku 1869 mają kobiety prawo wyborcze i piastują wszystkie urzędy. Adres Izby niższej Stanu Wyamingen do parlamentów świata całego podkreśla fakt, że głosowanie kobiet przyczyniło się do wyplenienia zbrodni i oduczyło uciekania się do środków gwałtownych.

W Colorado zaprowadzono w r. 1893 głosowanie kobiet i powołano do parlamentu szereg wybitnych działaczek, przy których udziale uchwalono dużo ważnych ustaw, jak karę więzienia i grzywny za zatrudnianie dzieci poniżej 14 lat, bezpłatne nauczanie do lat 16 itd.

W Idao współrządy kobiece rozpoczęły się od roku 1896.

W Utah równouprawienie polityczne, urzeczywistnione w r. 1895, przyczyniło się do wzmocnienia opieki państwowej nad pracą kobiet i dzieci.

W Stanie Konzos mają kobiety od r. 1887 prawo wyborcze do gmin, a w mieście Argonia burmistrzem jest pani Clodbson.

Stan Waszyngton nadał w r. 1910 kobietom pełnię praw wyborczych. Ponieważ kobiety wypowiedziały walkę

alkoholowi, handlowi żywym towarem, rozpuście i grze w karty, występują przeciwko prawom wyborczym interesowane w tych występkach sfery i prowadzą zaciekłą agitację przeciw kobietom. Siedlisko ruchu wyzwoleńczego znajduje się w Nowym Yorku i śmiałe Amerykanki nie ustaną w pracy, aż zwyciężą.

W Australji i Nowej Zelandji nikt nie stoi przed ani poza prawem. Od roku 1893 mają kobiety częściowe prawa wyborcze, od r. 1908 wysyłają reprezentantki zorówno do poszczególnych stanów, jak i do parlamentu związkowego i głosami swojemi przyczyniły się do wprowadzenia w życie doniosłych ustaw, zwalczających alkohol.

W Europie. Pierwsze kobiety w Norwegji zdobyły prawa wyborcze do gmin i w 1900 r. 150 kobiet zostaje wybranych do rad gminnych. Zaraz wypowiedziały walkę szynkom przez przyczynienie się do wydania obostrzonych przepisów, ograniczających handel alkoholem. — W Norwegji obowiązuje dla mężczyzn prawo wyborcze, dla kobiet zaś dano „na początek" prawo wyborcze, ale tylko tym, które opłacają podatek w mieście od 400 koron, a na wsi od 300 koron dochodu. W ten sposób przeszło 200 tysięcy kobiet bracujących zostało prawa wyborczego pozbawionych. To samo ograniczenie obowiązuje i przy wyborach do parlamentu i z tego powodu kobiety klas posiadających przeważyły szalę na rzecz konserwatystów. Powszechne prawo wyborcze dla kobiet w Norwegji jest niedalekie urzeczywistnienia.

W Szwecji wybrano w r. 1910 poraz pierwszy 35 kobiet radczyniami gminnemi.

W Danji odbyły się pierwsze wybory gminne bez różnicy płci w r. 1909 i 127 kobiet wyprano radnemi w 82 gminach. W stolicy państwa wybrano 8 kobiet, w tej liczbie 3 socjalistki.

Wszyscy stwierdzają dodatni rezultat pracy kobiet w gminach i niezadługo wejdą one do parlamentu duńskiego.

W Anglji mają kobiety od r. 1907 gminne prawo wyborcze. W mieście Aldenburgu jest kobieta nawet burmistrzynią. Z całą energją walczą o prawa polityczne. Jednak przed kilku tygodniami parlament angielski odrzucił bill o prawach wyborczych kobiet zaledwie 22 głosami większości.

W Finlandji od r. 1905 mają kobiety pełne prawa polityczne.

Rozmaitości

Samobójstwo całej rodziny. Onegdaj chłopiec, pasący bydło w pobliżu stawu Stefańskiego w Rudzie Pabjanickiej spostrzegł pływającą około upustu przewróconą łódź, a przy niej zwłoki ludzkie. Dał zaraz znać we wsi, skąd zbiegli się ludzie i wyciągnęli ku swemu przerażeniu zwłoki trzech osób.

Mężczyzna z kobietą obwiązani byli płaszczem, między sobą zaś mieli dziecko 7-miesięczne. Rozumie się wszelkie środki zaradcze na nic się zdały. Wszyscy troje nie żyli i jak później stwierdzono było to samobóstwo zbiorowe, spełnione w piątek po wzajemnem porozumieniu.

Ofiarami zawodu życiowego są: 46 letni J. Majer, 37-letnia Emma, jego żona i dziecko. Majer, stolarz z zawodu, w ostatnich czasach popadł w nędzę, skutkiem braku pracy, a z nędzy tej w walce o utrzymanie rodziny, uległ rozstrojowi umysłowemu. — Plan samobójstwa powziął od kilku dni, widziano go bowiem kilka razy pływającego z żoną i dzieckiem po stawie i coś gorąco, z ożywieniem przekładającego żonie. Widocznie w końcu ta ostatnia zgodziła się i w piątek oboje skoczyli do stawu z łódki, zabierając niemowlę z sobą.

Majer z pierwszej żony pozostawił dwoje dzieci, które w dniu katastrofy przyszły na brzeg stawu. Przypuszczają, że miał je spotkać ten sam los, na szczęście jednak spóźniły się..

* * *

Rozruchy włościańskie. Mieszkańcy Nowosiołek w pow. ihumeńskim na Litwie, posiadając serwitut w lasach radziwiłłowskich, pewnej nocy wpuścili do nich swe konie które rano zostały zapędzone do dworu przez strażników inguszów. Włościanie zebrali się we dworze z prośbą o oddanie im koni, lecz na nieszczęście spotkali inguszów, których zbili kijami. Chłopi wpadli we wściekłość, gdy jeden z inguszów wystrzałem z karabinu zranił dwóch włościan. Po rozprawieniu się ze strażnikami, chłopi uwolnili swe konie i powrócili do domu. Policja aresztowała 12 włościan i oddała ich pod sąd za bunt rolny w dobrach ks. Radziwiłła.

Osadzono ich w więzieniu ihumeńskiem.

* * *

Psie wyścigi. I psy się ścigają. Właściwie mówiąc, jest to rdzennie psie zajęcie. Wprawdzie częściej ścigają się konie, ale, zaiste, w wyścigu zawsze jest coś psiego. Bo o co w wyścigu chodzi? Jedynie o to, aby być pierwszym. Wyciąga się cztery łapy, odbija się od ziemi czterema łapami, sadzi się ze wszystkich sił naprzód, pokazując konkurentom wszystkie zęby, a czasami zatrzymując się na chwilę w drodze, aby współzawodnikowi wbić w podgardle kły.

Czyście nie zauważyli, jak pies nie lubi, żeby głaskano innego psa? Natychmiast poddaje pod ludzkie pieszczoty własny łeb i grzbiet i warczy na szczęśliwszego. On chce być pierwszy. I jedyny! Wyścigi to psia rzecz!

A w społeczeństwie człowieczem? Każdy by pragnął pobić współzawodnika, przyjść pierwszym do mety bogactw, w wyścigu o powodzenie zdobyć monopol! Wyścigi to psia rzecz.

A jak się ludzie w codziennym, w nieustannym wyścigu za monetą gryzą! Jak psy! Nie, nie jak psy! Sto razy więcej! Aż przykro na to patrzeć, aż przykro o tem słyszeć! Wyścigi to psia rzecz!

Piękniejsza jest samotność, buddyjska kontemplacja śród bezpragnień, w ciczy, na ustroniu. Wprawdzie można wówczas wrosnąć w ziemię, jak głogowie, którym we włosach ptaki uwijają gniazda. a przez nieruchome stopy przedzierają się ku słońcu pędy roślinności, ale, zaprawdę lepszy jest spokój od zgiełku, lepsza bezczynność od czynu, lepsza śmierć od namiętności! I niech nie będzie dla zmęczonego człowieka wyścigu metampsychozy z małpy w króla, z osła w filozofa, z kapłana w wieprza, niech raczej będzie bezwyścigowa Nirwana! Niech zdyszany kłopotami człowiek w wieczorną godzinę życia obróci się kilkoro razy w koło miejsca swego snu, jak pies, układający się do spania, i niech śpi bez marzeń i bez obudzenia pod ciepłą pierzyną Nirwany. Niech mu się nigdy nie przyśni jego doczesny wyścig, lub wyścig z kształtu podlejszego w kształt doskonalszy, bo wyścig to psia rzecz. Niech mu się nie przyśni nawet wesoły dosłownie wyścig psi, odbyty w Kole sportowem, bo i sen o wyścigach to — psia rzecz!

* * *

Kobieta we walce z alkoholizmem. 70 000 kobiet stanęło już na całym świecie do zorganizowanej walki z nędzą alkoholową (123 000 mężczyzn, 62 000 młodzieńc.). Z tych prawie 60 000 kobiet (82 000 mężczyzn, 62 000 młodzieńc.) wyznaje zasady zupełnej wstrzemięźliwości, a tylko 10 000 (41 000 mężczyzn) jest w towarzystwach umiarkowanej wstrzemięźliwości. Niemiecki związek liczy pomiędzy swymi 38 000 członkami niespełna 5000 abstynenckich kobiet. W polskim Związku „Wyzwolenia" jest już przeszło 1000 kobiet abstynenckich, przeważnie panienki. Każdy tylko jak najgoręcej pragnąć może, by idea wstrzemięźliwości zupełnej coraz więcej w sercach naszych szlachetnych i ofiarnych kobiet się przyjęła, bo w ich rękach spoczywa po większej części wychowanie lepszej, wstrzemięźliwej młodzieży!

* * *

Bogactwo w Prusiech. Według statystyki co do uzupełniającego podatku (Ergänzungssteuer) ściągnięty majątek wynosi w Prusach za rok 1911 104,2 miljardów marek

wobec 91,65 miljardów w roku 1908 a 64,02 miljardów w roku 1896. Widzimy więc, że majątek bogaczy rośnie z szaloną szybkością, albowiem przez 15 lat powiększyło się bogactwo w samych tylko Prusach o 40 miljardów marek. A ponieważ podatek uzupełniający płaci się dopiero od 6000 marek majątku, więc jasnem jest, że majątek wzrósł tylko u ludzi majętnych, bogatych mieszczuchów, posiedzicieli dóbr, kopalń, fabryk i t. d. W czasie tym zapewne niejeden chłop musiał sprzedać swą chudobę lub małą swą parcelę rozdzielić pomiędzy dzieci, ponieważ wobec podatków, długów i różnych ciężarów ludziska nie mogą podołać. Natomiast właściciele dóbr, magnaci węglowi i fabrykanci coraz więcej skupują mejątków i budują. Jeżeli ojciec posiada jedną kopalnię lub dobra, to synowi w spuściźnie pozostawi przynajmniej dwa. Po jednej stronie wzrastają przepych i bogactwo, a po drugiej bieda, niezadowolenie i rozpacz.

* * *

„Głównem dążeniem ogólnego ruchu socjalistycznego jest, aby ludzie w walce o byt nie mordowali się wzajemnie, lecz aby postępli jako bracia wspólnie zdobycze kultury. Do celu tego ludzkość i na drodze ewolucji dojść może. I socjalistyczny porządek społeczny nie stworzy od razu raju na ziemi, ale w rozwoju tym stanowić będzie pewien postęp kultury. Jeżeli chrześcianin mówi: „Ludzie już raz są źli, lepiej tak czy tak nie będzie", to ja osobiście zdania tego podzielać nie mogę. Każdy człowiek dążyć winien do pewnego ideału. Nie jest koniecznem, aby bieda i nędza zawsze panoszyły się na świecie. Ludzkość dążyć musi do wyżyn, aby narody stały się narodami pracy. I Chrystus nie chciał, aby bieda i nędza nadal panowały, lecz wolą jego było, aby ludzie wzajemnie traktowali się jak bracia. I w radykalnym ruchu robotniczym jest dużo pierwiastków chrześciaństwa. Nieznośnem jest słyszeć, jak 4 miljony robotników niemieckich nazywa się bandą rozbójników i zdrajców ojczyzny, pomimo że i oni mają swój ideał patrjotyzmu, wiarę w lepszą przyszłość ludu!"

(Pastor Cordes, Hamburg, w przemowie do towarzystwa robotników w Mörs.)

* * *

Terytorjaliści żydowscy. Przez cztery dni obradował w Wiedniu pod przewodnictwem znanego angielskiego literata Izraela Zangwilla zjazd terytorjalistów żydowskich. Partja ta powstała przed kilku laty przez secesję jednego odłamu z partji syjonistycznej.

Terytorjaliści dążą do uzyskania od jednego z państw kolonjalnych większego terytorjum, leżącego w portugalskiej Afryce. Rząd portugalski zaproponował mianowicie zarządowi organizacji terytorjalistów kolonizowanie Angoli przez żydów, a parlament portugalski przyjął nawet odnośną ustawę, która przyszłym kolonistom żydowskim w Angoli udziela pewnych praw autonomicznych.

Na zjeździe proponowano także kolonizację żydów w Teksas i w Honduras, w końcu jednak przyjęto wniosek o wysłanie ekspedycji celem zbadania warunków kolonizacyjnych w Anglji.

Uchwalono też założenie banku kolonizacyjnego z kapitałem 25 miljonów koron.

Nie jest jednakowoż rzeczą wykluczoną, że znaczny odłam terytorjalistów przyłączy się napowrót do partji sjonistycznej, która uprawia obecnie żywą akcję kolonizacyjną w Palestynie.

Dymokrackie medykacje.

Kiej downe króle, cysarze, wodze a inksi wyjeżdżali do miast zdobytych, to wyjeżdżali konno kiej wojocy, ale kiej wrocali do chaupy, do stolic swych, to wspaniałym wyjeżdżali wozem tryjumfalnym. Takim wozem jyżdżo terazy tyż polsko gańba norodowo. Sztyry koła u tegó woza to są óne sztyry Koła polskie: dwa w Berlinie, jedno we Wiedniu a jedno w Petersburgu; a kónie, co tyn wóz tryjumfalny tyj gańby norodowyj ciągną, te sie mianują: Gupota, Ślepota, Tchórzostwo, Podłota, Próżność a Niedbalstwo albo Niesprawiedliwość na przeprząg, a powozi kuczer Ugoda. Obręcze na tych kołach są pono złote, bo zowią się solidarnością. Ale jedna tako obręcz, ta we Wiedniu, terazki pukła, kiej óne kónie poniosły, bo Ugoda chlasnół je jeszcze batem. Nieco szprych, tych nojzdrowszych, przełomało zwona a buksy spróchniałe i wyleciały, bo tyn wóz Gańby nieco za mocno styrknół, kiej to Koło polskie uchwoliło wykluczynie mowy polskiyj z armiji. Koło w dumie rozleciało się już tyż, bo terazy cołko trzecio duma zanknięto i mają welować do czwortyj. Pono cysorz niymiecki a król pruski dowoł przyjocielowi rada, a Bethman-Holweg Kokowcowowi a inkszym koleksom ruskim, jak to trza robić prawa do wyborów, coby rzónd wdycki bół na wierchu, bo to do tegó pruskie gowy mają filipa, albo, kiej pedzioł Haldane, „gajsta".

Okróm tego ta cołko Bałtycko Gawań hakata rozmazuje na telo makulaturze, coby za cołkie lato stykła cołkiymu Jungdojczlandowi na hołmy, a z tegó cołkiygó pisanio taki człek mądry kiej piyrwy. Lepszy już robi hakatystyczno kapitalistyczna „Katowicerka", bo niy mo terazki o co oskarżać przeciwników, to se tyż wrazłła swój nos, do statystyki kryminalny. No, i znojdła tam, co chciała. Bo Górny Śląsk mo ta ostuda, iże nojwiynkszy pokazuje zbrodniorzów a i inkszych przestępców, to ta hakatystka a kamrotka panoczków pado, iże to idzie rasą a fachem to je zawodem. Tako jo sie pytom: Kiedy „Katowicerka" cyganiła, czy, kiej padała, iże Śląsk to je urdajczes land, czy tyż, iże haw je rasa inksso jak w Zaksach a inździyj? Albo tyż cyganiła, kiej padała, iże w Prusach je musterwyrtszaft a nojwiynkszy w grubach a werkach, albo, kiej padała, iże praca robotnika śląskiygó musi wieść do zbrodni? A czy spamiyntała sie tyż ta szmata na to, jak to farorzyk z Radzionkowa mało dwadzieścia owieczek swych wiedzie prokuratorowi na rzeź, a nauczyciel religji w Glajwicach 8 gimnazistów, a co tyż haw policaj dokazuje s towarzystwami, a panoczki a rostmaici lizunie a szpycle tyż? A tegó wszyckiygó inździyj niy ma, bo tam niyma ostmarkenculagów a świadkowygó za bele co dlo policajów a dziecka uczą sie inździej we włosnyj mowie, a nie kiej papugi w obcyj dlo rechtora jyno, coby nieskorzyj wszycko zaboczyć a dlo siebie nic nie strzymać. Tako niech se „Katowicer Cajtunk", kiej sie mianuje „Katowicer", niucho swądy katoskie, a nie wtyko nosa poza nie, bo sie i tak nie wyzno na inkszych wiecach. Kiejbych zapytoł wydawcy, co sie pisze Siwinna: jakiyj rasy je Siwinna? toby mi tyż nie móg pedzieć, albo by niechcioł, czy polskiyj, czy niymieckiyj, czy ruskiyj, czy ugierskiyj, czy angielskiyj albo inkszyj importowanyj.

A gieltaki tyż haw małe, to sie wiy; a kiej chcesz terazki w Katowicach kupić kiełbasy za czeski, to tyż nie dostaniesz, bo cech masarski tak uchwolół. Trza bydzie jeszczy terazki ustawić wszędy jyno automaty s kiełbasą po czeskiymu, bo inakszy bydzie biyda. Takie automaty można tyż ustawią jeszcze dlo flukcojgów a pomników dlo Bismarka, bo ich jeszcze mało.

W Bismarkhucie śmiłowali sie nad nim, to mu na nowym banofie między dźwierzami do czekalni piyrwszyj a tymi do trzeci klasy dadzą miyńsce za wachtyrza. Czy tymu wolno bydzie dować trynkgield, czy nie, to bydzie pono napisano na forordnunku, co bydzie jako napis na tym denkmalu. Bo padają inksi iże w Prusach panuje pono jeno ordnunk, ale jo downo padoł, iże jeszcze wiynkszy panuje forordnunk.

Gustlik Beskuryjo.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott w Katowicach.

Nr. 29. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 20 lipca 1912.

O. L D'OR.

MARZENIA.

Tłusty, rumiany obywatel ziemski, wysłużony oficer huzarów pan Obałduj Obałdujew po wypiciu kilku szklanek rumu z herbatą rozłożył się na starej pradziadowskiej kanapie i tak sobie marzy:

„Gdybym miał teraz z 5 tysięcy, pojechałbym do Petersburga... Tam bale, przyjęcia, rauty, podczas których ministrowie, ambasadorowie i generałowie rozmawiają z zaproszonymi gośćmi, jak prości śmiertelnicy... Za mych młodych lat miałem sposoby na przedstawicieli władzy, wiedziałem, co komu może się spodobać, pewny więc jestem, że i terazbym się nie poszkapił.

Dobre teraz czasy! Jedno zręczne i w porę wyrzeczone słówko — i można zrobić złotą karjerę. Mam węch!.. Kto wie, co w trawie piszczy — mogę jeszcze stanąć u steru rządów!...

Wylazłbym wreszcie z tej dziury zapadłej, co mi tak dokuczyła. Zamieszkałbym w wielkiem mieście, w rządowem mieszkaniu... co mówię: mieszkaniu?... apartamentach! Rozumie się, zaraz na wstępie — wspaniały bal.

Maszeńkę, Paszeńkę, Katiczkę, Wieroczkę i Luboczkę ubiorę zaraz podług ostatniej mody i każę tańczyć tylko z kamer-junkrami i dyplomatami. Wyjdą rozumie się za mąż i nie będą mi już siedziały na karku.

Potem za zasługi dostanę jakiś tam orderek, jakąś wstęgę; wpadnę do Dumy państwowej i rozkażę przystawom dumskim rozpędzić posłów na cztery wiatry“!

...Przy ostatniej tej myśli aż dech mu zaparło z rozkoszy i uniesienia. Skoczył i biegnie do przedpokoju.

— Dokąd? — zatrzymnje go żona.

— Biegnę do Dumy, muszę ją rozpędzić — krzyknął Obałduj-Obałdujew. — Pokażę ja im, gdzie raki zimują, zobaczą!...

— Mój Boże! Upił się, aż ma Dumę w głowie! — woła żona, załamując ręce. — Dzieci! Dzieci!

Przybiegają Katia, Masza, Pasza, Wiera i Luba i wspólnemi siłami wyprowadzają pijanego ojca do sypialni. Tam go rozbierają i pakują do łóżka. Obałduj-Obałdujew opiera się początkowo, potem jednak staje się posłuszny, mrucząc jedynie pod nosem.

— Przeszkodziłyście mi stać się potentatem!... Zniszczyłyście mi złotą karjerę!... Same sobie winneście — zostaniecie w staropanieństwie!...

Sen go morzy, sypie mu mak na oczy i wkrótce rozlega się potężne jego chrapanie.

* * *

„Gdybym miał pięćset rubli — marzy młody, czarnobrody pop Nikander — zaraz wydałbym obiadek odpustowy. Zaprosiłbym ojca błagoczynnego *) z dziećmi i wnukami.

Nasz ojciec błagoczynny przepada za dobrem winkiem i likierami, nakupiłbym więc takich win, wódek i likierów, że po pierwszym kieliszku rozmokłoby serce zacnego ojca błagoczynnego.

Mam dorastające dziatki, czas juz je uczyć, a tu, w tej głuszy, gdzież je uczyć będę? Przy kolacyjce szepnę słówko ojcu błagoczynnemu. Ma on zięcia przy konzystorzu. Tego też zaproszę i przegram do niego w stukułkę jakie pięćdziesiąt rubelków. I sprawa ubita: przenoszą mnie do wielkiego miasta, na dobrą, tłustą parafję. Dzieci oddam do gimnazjum, będą z nich urzędnicy. Popowskie dzieci zawsze dobrą robią karjerę przy urzędach... Kupię pianino, żona nauczy się grać.

Wieczorami będą się u nas zbierali goście: ojciec protojerej, policmajster, redaktor „Wiadomości Gubernjalnych“. Matuszka zasiądzie do pianina i zacznie“...

... Ojciec Nikander wpada w zapał i poczyna bębnić palcami po stole.

— Przestań! — krzyczy matuszka. — Od rana męczy mnie migrena.

Dźwięk znajomego głosu doprowadza ojca Nikandra do przytomności. Poczerwieniał, westchnął i zwiesił głowę.

* * *

Zaduch i mrok ciasnej, wilgotnej salki szkoły wiejskiej. Nauczyciel ludowy siedzi nad otwartą, zatłuszczoną książką. Od caasu do czasu wstrząsają nim dreszcze: jeszcze na wiosnę zaziębił się... Cały majątek ma na sobie: dziurawą zarzutkę, dziurawy pled i dziurawe letnie kalosze na szczerzących zęby butach.

Myśli nauczyciela błąkają się daleko poza książką, po raz już dziesiąty odczytywaną. Marzy:

„Gdybym miał pięć rubli, zaraz pojechałbym do kolegi, do miasta. Temu koledze uśmiechnęło się szczęście: ma posadę w banku, zarabia sto rubli miesięcznie... Sto rubli!!“

Nauczyciel zdaje sobie wyraźnie sprawę z wielkości tej sumy, której mu nigdy nie sądzono posiadać.

„Kolega ma młodą żonę, a żona ma młodziutką siostrę gimnazjastkę. Co za oczy ma to dziewczę!“

Na myśl o oczach „dziewczęcia“ robi się nauczycielowi jakoś ciepło na duszy.

„Co za oczy! Tak aż się wpraszają do duszy!... Ach, żeby mieć tę piątkę i pojechać!“...

Nagle potrząsnął porywczo i głową przysunął ze złością książkę.

Nie jest utopistą, wie dobrze, że pięć rubli ze sfery marzeń nie wyjdą...

„Też coś! Mrzonki trzymają się mej głowy. Cóż to, czy jestem smarkaczem? Skąd mogę mieć aż pięć rubli? Cuda w naszych czasach się nie dzieją“.

Sseleszczą kartki starej, zatłuszczonej, po raz dziesiąty odczytywanej książki. Pierś nauczyciela gniecie smutek, nuda...

* * *

Przed chatą siedzi głowa rodziny, chłopek Kuźma Kusy, i mówi sam do siebie:

*) Błagoczynny — dziekan prawosławny.

„Gdybym miał rubla, zarazbym kupił kwartę gorzałki, słoniny, wędzonki...

Dziadek mi jeszcze opowiadał, jak pachnie wędzonka. Powąchasz, a sama do gęby ci lezie!

Wysuszylibyśmy z sąsiadami po szklaneczce, zagryźlibyśmy najprzód słoniną, a potem..."

Ślina cieknie z ust Kusego. Ślina cieknie z ust przysłuchujących się temu monologowi członków rodziny.

— Ech, ojciec, nie drażnilibyście lepiej! — nie wytrzymał najstarszy syn. — Wiecie, że rubla mieć nie będziecie!...

Oświata szerzy się wśród młodzieży wieśniaczej, to też przestano juz wierzyć w cuda.

Ubezpieczenie bezrobotnych.

Angielskie ubezpieczenie socjalne, które zainicjował Lloyd George, jest monumentalnem dziełem, które we wszystkich szczegółach prawie mogłoby znaleść zastosowanie w innych krajach Europy. Część zaś ubezpieczenia socjalnego, ubezpieczenie dla bezrobotnych, wstępuje w całkowicie nowe tory, wprowadzając w istotę ubezpieczenia socjalnego zupełnie nowe pojęcia.

Nowoczesna Anglja, którą kapitalizm zmusił do gwałtownego zorganizowania się robotników, uznaje, iż brak pracy równa się słabości i największemu złu, by polepszyć ekonomiczne położenie utworzyła obok zabezpieczenia dla chorych i na starość — ubezpieczenie dla pozbawionych pracy. Ustawą, która wchodzi w życie z dniem 15 lipca 1912, uznaje państwo prawo zabezpieczające pracę i wspomaga robotników w czasie braku pracy; kierując się ponownie, jak przy billu minimalnej płacy, zasadą socjalistyczną. Prawo to stało się czynem i z Anglji rozejdzie się z czaswym pochodzie tryumfalnym po świecie.

Brak pracy spowodowany być może z dwu przyczyn. Jest ona z jednej strony kapitalistycznem zjawiskiem i zależnem od stanu konjunktury lub manewrów przedsiębiorców, jak ograniczenie produkcji, by ceny wyśrubować wyższe itp. Szczególnie wielki przemysł, następnie przemysł budowy okrętów, nawiedzane bywają bardzo często przez brak pracy. Po drugie zastój pracy może być spowodowany przez regularnie pojawiające się okresy, jak jest n. p. w przemyśle sezonowym, a więc budowlanym, u mularzy, robotników ziemnych i wielu innych. W tych dwóch grupach przemysłu, gdzie Anglja zatrudnia $2^1/_2$ miljona robotników, zaprowadzono obowiązkowe ubezpieczenie dla bezrobotnych.

Przeprowadzenie tego ubezpieczenia powierzono ministerstwu handlu (Board of trade), pozostawiając mu prawem zastrzeżoną daleko idącą wolność kierowania temi sprawami. I tak mogą być wcielone również i inne gałęzie przemysłu a później za zezwoleniem parlamentu wykluczane. Ministerstwu handlu podlegają w interpretacji ustawy urzędy pracy, przy których szczególnie najważniejszą funkcję spełniają biura pośrednictwa pracy.

Do ubezpieczenia bezrobotnych należą wszyscy robotnicy wspomnianych gałęzi przemysłu, którzy przekroczyli 16 rok życia. Wkładki tygodniowe robotnika i tegoż przedsiębiorcy wahają się od 1 do $1^1/_2$ pensów (10 pensów równa się 15 halerzom). Gdy następuje brak pracy, ustaje obowiązek płacenia tychże. Zapomoga dla bezrobotnych wynosi na razie 7 szyllingów, (1 szylling równa się 1 kor. 20 hal.), więc tygodniowo 7 szylingów jest 8 kor. 40 hal. Wypłata zapomogi rozpoczyna się z pierwszym tygodniem pozostawania bez pracy i nie może przekroczyć w ciągu roku 15 tu tygodni. Przytem jest zastrzeżone, iż po pięciu tygodniach należenia ma się prawo do zapomogi tygodniowej. Każdy własnowolnie opuszczający pracę lub jeśli z własnej winy ją utracił, otrzymuje dopiero zapomogę po 6 tygodniach. Robotnik płacący 500 tygodni ma prawo przy osięgnięciu 60 roku życia do odebrania swego kapitału przy ściągnięciu mu $^2/_3$% wypłaconych wkładek ubezpieczenia. Prawo do owych pieniędzy mają spadkobiercy — tak iż ubezpieczenie bezrobotnych spełnia zarazem funkcje kasy na starość i pośmiertnej. Wielką wagę kładzie państwo na to ubezpieczenie i tak w orzeczeniach swych mówi: Urzędnik ubezpieczenia bezrobotnych może zbadać robotnika kwalifikacje przy częstem pojawieniu się na funduszu bezrobotnym. Gdy okaże się w rzeczywistości nieudolność robotnika, może urzędnik poczynić starania, celem dalszego wykształcenia się robotnika w danym zawodzie, a gdy ten opiera się, wówczas traci zupełnie zapomogę.

Przedsiębiorcy, który daje robotnikowi zajęcie całoroczne, zwraca kasa ubezpieczenia bezrobotnych bonifikację t. z. iż część wkładek tygodniowych, które opłacać musi i to jedną trzecią część.

W Austrji upadło to ubezpieczenie z powodu pytania: Jak można brak pracy udowodnić? Jakich dowodów ma dostarczyć pracujący, że mimo swych zdolności pracy znaleść nie może mimo starań i jak to sprawdzić można.

W Austrji argumentowano bez sensu, iż robotnik częstokroć pragnie być bez zajęcia i teraz już nikt pracować nie zechce.

W Anglji nie wywołało to pytanie żadnej dysputy. Prawo reguluje tę sprawę najlepiej, a co najgłówniesze, że tego nie stara się wybadać, o tem żadnych specjalnych postanowień nie ma, pozostawiając rozstrzygnięcie sumienności urzędu pośrednictwa pracy, do którego po zapomogę zgłaszają się bezrobotni. W razie nieporozumień, przysługuje robotnikom odwołanie się do sądu rozjemczego, składającego się w połowie z przedsiębiorców i pracujących, którym przydzielony jest bezpartyjny przewodniczący. Trzecia instancja w razie sporu powołuje specjalnego rzeczoznawcę, który ostatecznie decyduje.

Koroną wieńczącą dzieło ubezpieczenia bezrobotnych jest orzeczenie: pozostający bez pracy ma prawo do pobierania zapomogi, gdy mógłby znaleść zajęcie stosowne ale z powodu bojkotu tamże stałby się łamistrejkiem. Przyznano zatem robotnikowi angielskiemu prawo strejku i uznano solidarność robotniczą, kiedy w żadnem państwie ustawa się temi kwestjami nie interesuje, a to dzieje się właśnie wtedy, gdy w innych krajach Europy wprost są ustawy przeciwstrejkowe.

Anglja poucza nas, jak wychowawczo działa moc organizacji robotniczych — Anglja, kolebka kapitalizmu, dzierży sama sztandar socjalizmu, przed którym słania się cały kapitalistyczny ustrój.

Wakacje.

Z tęsknotą czekają ludzie pracy lata, żeby odpocząć. Spieszą na wsie, do letnisk, miejsc kąpielowych, żeby odetchnąć świeżem powietrzem i spracowanemu ciału i duchowi dać odpoczynek. Nawet urzędnicy państwowi, od najniższych kategorji począwszy mają ustawowo zapewniony urlop przy pełnej płacy. Nie można bez poważnego uszczerbku dla zdrowia pracować bez wytchnienia, odpoczynek jest niezbędnym jeżeli wydajność pracy nie ma się zmniejszyć przedwcześnie.

Zaledwie bardzo mały procent ludzi jest w tem szczęśliwem położeniu, że może przerwać swoje zajęcia i wyjechać w góry, lasy. Ogromna większość, tj. klasa pracująca nie może o tem ani myśleć. Robotnik i robotnica muszą pracować bez odpoczynku, jak długo siły starczą, dopiero choroba daje prawo do przerwy w pracy, ale dochody się zmniejszą, bo zasiłki w razie choroby nie wynoszą wysokości zwykłego zarobku. O wyjeździe na świeże powietrze, nie może rodzina robotnicza nawet pomyśleć, bo środki finansowe na to nie pozwalają.

Choroby klasy pracującej, tuberkuloza i skrofuloza zbierają obfite żniwo właśnie dlatego, że ludzie tej klasy nie mają możności poratowania pracą nadwątlonego zdrowia.

A jednak dałoby się dużo zrobić gdyby klasa pracująca zdobyła wpływ na rządy w gminach i kraju. Kilka

gmin razem połączonych mogłoby założyć wspólne uzdrowisko, gdzie chorzy mogliby spędzić po kilka tygodni, utrzymywani z pieniędzy podatkowych. Dla dzieci należałoby założyć kolonje letnie, pod odpowiednią opieką lekarzy i pedagogów.

Jakiż przykry widok sprawiają dzieci robotnicze po miastach, blade, wychudzone, z wykręconemi nogami, chorobą angielską, wałęsające się po brudnych i zakurzonych ulicach, podwórkach, bez słońca, brudne i obdarte. Dla tych biedactw nie ma pieniędzy, ale jak przyjedzie jaka rządowa wielka figura, to zaraz sypie gmina kilka tysięcy na przyjęcie, rauty, kwiaty itd. —

Klasy posiadające nie mają serca dla potrzeb ludu, a chociaż udają „dobroczynność“ i przy tej sposobności tańczą i bawią się doskonale, to zaledwie mała, bardzo nieznaczna część potrzebujących może skorzystać z tej „dobroczynności“. Krzywda dzieje się klasie pracującej, bo pracą swoją utrzymuje całe społeczeństwo, a dla poratowania jej zdrowia to społeczeństwo nic zrobić nie chce.

Chore matki i dzieci daremnie czekają zmiłowania i cudu w swojej niedoli, daremnie wyciągają ręce do nieba, pomocy z tamtąd nie doznając.

Tylko silna i zorganizowana klasa robotnicza położy kres krzywdom, których pada ofiarą.

Rozmaitości

Szybany pruskie. Firma „S. Sarna“ w Płocku niedawno temu uzyskała na swoje pługi dwuskibowe „Sokół“ dwa niemieckie patenty, a teraz, wobec zagranicznej konkurencji, starała się w Berlinie o prawo wyłącznego nazywania tych pługów i w Niemczech mianem „Sokół“.

Otóż obecnie nadeszła od niemieckiego cesarskiego zarządu patentowego (Kaiserliches Patentamt) odpowiedź odmowna, umotywowana oświadczeniem, iż pługi pod nazwą „Sokół“ mogą wzbudzić przypuszczenie, jakoby służyć miały dla „ogólnie znanych słowiańskich stowarzyszeń sokolskich“ (Sokolvereine), wobec czego żądana nazwa z powodów politycznych nie zostanie zatwierdzona.

* * *

Najszybszy okręt wojenny. Nowy rosyjski krążownik torpedowy „Nowik“ odbył wczoraj podróż próbną z szybkością 36¼ węzłów na godzinę. Najszybszy ten w świecie statek zbudowany został — w Szczecinie.

* * *

W stolicy Anglji zakończył właśnie swoje obrady kongres niezwykły. Był to zjazd przedstawicieli 53 uniwersytetów, istniejących na obszarze ogromnego imperjum brytyjskiego, w samej Anglji i jej kolonjach. Przedstawicieli tychże było przeszło 300. Obrady kongresu zagaił były premjer angielski, znany z wielkiej swej wiedzy lord Rosebery, który po dziś dzień jest kanclerzem uniwersytetu londyńskiego.

— Przed kilku dniami otwarto w Holland-Park w Londynie wystawę storczyków we wszystkich możliwych odmianach i barwach. Wśród niezwykle rzadkich okazów zdumiewa storczyk, wyrosły na metr wysokości, z purpurowymi kwiatami. Wartość kwiatów, znajdujących się na wystawie, oceniają na miljon koron.

* * *

Jakie szkody czyni alkohol? W Berlinie ukazało się dzieło statystyczne, opracowane wspólnie przez „urząd kasy chorych“ i „urząd zdrowia“, o szkodliwości alkoholizmu.

Urzędnicy tych dwóch instytucji obserwowali 1 mil. 250 tys. robotników, stale zatrudnionych w lipskim okręgu przemysłowym. Abstynentów między nimi znaleźli niewielu, i to pośród młodocianych robotników we wieku od lat 14 do 19; starsi zaś wszyscy piją.

Między pijącymi znaleźli lekarze urzędu zdrowia 952 tys. 674 takich robotników, którzy byli na drodze do zostania alkoholikami. Alkoholików zaś nałogowych było 4 tysiące 847 czyli jeden na 200.

Obserwacje wykazały, że abstynenci chorują 0,8 dni na 100 dni roboczych; pijący umiarkowanie chorują w tymsamym czasie 2,1 dni, alkoholicy zaś 12,6 dni.

Z badań przeprowadzonych wynika, że alkohol najmniej szkodzi ludziom we wieku dziarskim, alkoholicy bowiem do lat 30 wskutek chorób tracą 33 proc. dni roboczych; we wieku od lat 30 do 40 tracą 3 procent, a później stopniowo coraz więcej, tak, że w 60-tym roku życia tracą 12 i pół dnia na 100 dni roboczych, gdy abstynenci dopiero w 75 tym roku życia tracą 11 proc. dni roboczych.

Smiertelność między abstynentami jest najmniejsza, abstynenci prawie nigdy nie są ofiarami z własnej winy nieszczęśliwych wypadków, natomiast pijącym, chociaż tylko umiarkowanie, zdarzają się dość często nieszczęścia z maszynami, kotłami, windami, wagonami itd.

* * *

Ilu jest miljarderów na świecie? Mówi się tyle i pisze się tyle o miljarderach amerykańskich. Mówi się też o miljarderach europejskich. Każdy powtarza bezmyślnie owe słowa — miljarderzy, nie zastanawiając się, co to jest właściwie miljard, jaki ogrom przedstawia on pieniędzy i jaki ogrom przedstawia wpływów oraz siły.

W czasopiśmie „Ekonomista francuski“ znany pisarz Paweł Leroy-Beaulieu porobił na ten temat uwagi następujące.

Mówi się często o miljarderach. W rzeczywistości istnieje na świecie bardzo mało miljarderów. Ludzi, którzy posiadają miljard, możnaby zliczyć na palcach jednej ręki. Ściśle biorąc, istnieje tylko trzech miljarderów na świecie, a wszyczy zaś są amerykanami. Najbogatszym jest przemysłowiec naftowy pan Rockefeller, bezsprzecznie najbogatszy człowiek na świecie. Jego majątek wynosi pięć miljardów franków. Głównem źródłem jego bogactwa jest przemysł naftowy wraz z wszystkiemi przeróbkami, jak parafina, służąca do wyrobu świec, jak benzyna, której zastosowanie staje się coraz różnorodniejszem i większem, jak mazut, służący do celów opałowych, jak rozmaite smary olejne, nie licząc właściwej natty. Ale olbrzymie dochody, które Rockefeller ciągnie z przemysłu naftowego, pozwoliły mu na owładnięcie kolejami, kopalniami węgla, żelaza, miedzi, a nawet na owładnięcie takiemi gałęziami przemysłu, jak hotele i restauracje.

Drugim miljarderem, ale miljarderem, który posiada tylko miljard franków, jest król stalowy Carnegie. Jest on tylko zwyczajnym miljarderem, ponieważ od szeregu lat rozdaje olbrzymią część swoich setek miljonów, które napływają corocznie do jego kas, na rozmaite cele filantropijne. Gdyby nie ta filantropja Carnegiego, miałby dzisiaj również kilka miljardów, ponieważ w pewnej wysokości majątku dochody się same kapitalizują bez pracy właściciela, który nawet nie może rozdać połowy swojego dochodu rocznego.

Natomiast w Europie niema ani jednego miljardera. Poprzednio podobno dom bankowy Rotschild jako taki posiadał miljard franków. Gdy jednak ów kapitał domu bankowego podzielono między poszczególnych członków rodziny, miljard się zmienił na olbrzymie fortuny miljonowe.

Zdaniem ekonomisty francuskiego również i na Wschodzie niema ani jednego majątku prywatnego, który wynosiłby miljard franków. Onego czasu twierdzono, że sławny chiński mąż stanu Li-Hung-Czang jest miljarderem. Ten majątek miał tkwić głównie w kopalniach węgla Kaiping. Pokazało się przecież, że owe kopalnie nie warte więcej, niż 80 miljonów franków. Nadto po śmierci Li-Hung-Czanga rząd chiński zaczął twierdzić, że sprzedane przez niego kopalnie węgla nie były jego własnością, lecz własnością państwa chińskiego.

Gdy miljarderów prawdziwych jest zaledwie trzech, to półmiljarderów i ćwierćmiljarderów jest około stu na świecie. Kto wie nawet, czy w tej dziedzinie Europa i Azja nie mogą rywalizować z Ameryką. Sama Rzesza Niemiecka posiada ich kilku, a na ich czele stoi książę Max Egon Fürstenberg, którego majątek jest ocenianym na 400 miljonów marek czyli pół miljarda franków.

Rzecz zajmująca, że ludzi pasiadających przeszło 100 miljonów franków jest około tysiąca, a przeszło dwa tysiące posiada majątek, który wynosi od 50 do 100 miljonów franków.

* * *

Krwawy samosąd. W Strzałkowie pod Radomskiem schwytano na gorącym uczynku Józefa Pawlikowskiego, lat 32, mieszkańca Suchej wsi, znanego złodzieja zawodowego, który budził postrach śród okolicznych włościan. Pawlikowskiego schwytano w chwili, gdy kradł gęsi z komórki. Na alarm, jaki wszczęły gęsi, nadbiegł gospodarz Jan Gunera, oczywiście z grubym kijem, a schwytawszy złodzieja, przystąpił do wymierzenia kary. Nie skończyło się też na tem, gdyż nadbiegło kilku sąsiadów, którzy zbili P. do utraty przytomności. Pawlikowski zmarł niebawem. Wdrożono energiczne śledztwo i aresztowano Gunerę. Dr. J. Guberski stwierdził skon, wskutek upływu krwi oraz uderzenia w ciemię. Zabitemu wybito 7 zębów, złamano 5 żeber, obojczyk, obie ręce, prawą nogę, oraz zadano 9 głębokich ran.

* * *

Wydalenie żydów. We wszystkich wsiach w pobliżu Telsz w gub. kowieńskiej policja po raz drugi zawiadomiła wszystkich żydów, którzy tam jeszcze nie mieszkają 6 lat, ażeby natychmiast opuścili te miejscowości.

Wydaleniu podlega 120 rodzin, przeważnie pachciarzy, młynarzy, dzierżawców itd.

* * *

Nagłe osiwienie. Jak powszechnie wiadomo, siwienie włosów jest rzeczą zwyczajną, można powiedzieć nawet prawidłową w wieku późniejszym, jakkolwiek bywają od tego liczne wyjątki, z jednej strony u ludzi, którzy nawet w późnych latach nie siwieją, z drugiej strony u osób, które w wieku nawet młodym np. koło 18 roku życia zaczynają siwieć, a już koło 30 roku mają same tylko włosy siwe. Nawet takie przedwczesne siwienie włosów bywa nierzadko dziedziczne. Przyśpieszają siwienie ciężkie choroby, zmartwienia, pobyt w więzieniu.

Co do nagłego, czasem jednej nocy osiwienia, zdania są podzielone. Gdy jedni powołując się na przykład słynnego kanclerza Tomasza Morusa i królowej Marji Antoniny, którzy osiwieli jednej nocy, gdy im odczytano wyrok śmierci, twierdzą, że jest to możliwe, inni temu przeczą stanowczo, a raczej nie zaprzeczając faktowi temu, tłomaczą go sobie w inny zupełnie sposób. Osoby te czerniły sobie włosy, ale znalazły się przed widmem niezawodnej śmierci, nie miały myśli o farbowaniu sobie włosów i w ten sposób ukazały się siwe włosy.

Jak może wiadomo, włos wyszły z właściwej cebulki nie rośnie do nieskończoności, lecz doszedłszy do pewnej długości wypada, a na jego miejsce wyrasta włos zupełnie nowy. Otóż siwienie włosów według dzisiejszego stanowiska nauki odbywa się albo przez to, jak bywa najczęściej, że w miejscu wypadłego włosa zabarwionego, wyrasta włos bez barwika, czyli biały, pospolicie siwym zwany, albo włos, doszedłszy do pewnej długości traci barwik i w dalszym staje się białym, czyli siwym. Jaka jest jednak przyczyna ostateczna tego zanikania barwika we włosach, a przez to siwienia, dotychczas nie wykryto.

Dymokrackie medykacje.

Ónygó alzasa Szaca, chtóry obejzdrzoł se tegó isnygó nie-kamrota s inkszyj strony, a zaś pono pedzioł po francusku, coby tyj bijście gipsowej jeszczy napluć, już skorali na sztyry miesiące. Bo sztacwald, jak padoł som, „mo zaszczyt być prusokiem", a to sie wiy, iże w Prusach procesy o obraza majestatu a łamistrejków idą gibko. Zaś inkszy alzas pobogosawiół bijsta cysarsko, pedzioł: der her zajmyt dir, wraziół ji swój osmolony kapelusz i chcioł mantel powiesić na nosie, ale nie szło. No, ale szpycel niy mioł ś nim szczęścio; bo gó obszczekoł na policaj, ale tam mu pedzieli, iże to jyno taki bół kiepski szpas, ale nie belajdygunek; tako tyn szpycel poskomloł tyż sztacwaldowi, ale tyn mu pedzioł to samo; kiej gó tako kopnyli, terazki skomli po gazetach, a hakata łzy połyko. Widno, iże to sztacwald isto byldowany. Kiejby takim bół tyn nowy sztacwald, piyrwszy w Katowicach, tobych mu tyż przoł. Pono ón je z Grajfswaldu, to tyż możno bydzie dobrze grajfoł, to je chytoł, ale spodziywom sie, iże jyno buksów a gorszych, a nie takich, co ich jyno policaj chce naschwol skorać.

Bo to sie wiy, iże mało wszędy w Prusach policaj moprawie. Kiej hnet a hnet niy może pedzieć co dodokumyntnie, to pado, iże mioł wrażynie, a to je wiynkszy wert niekierym, jak zeznania inkszych świadków. A sztacwaldy lecą na bele ancajga. Kiej niekiery policaj mo filipa a chce moc świadkowego, a dni wolnych, to ma za telo wrażyń. Pójdzie se drogą, a tu idzie siydm krów czerwónych a siydm czornych a pora czerwono biołych, jedne chude, inksze tłuste, jeden pastuch ź dzieckiem pędzi je, a trzech ludzi dziwo sie i padają, iże to piykne krowy. To taki siandara kalkuluje se tak: to przypomino sny egipskie Józefa ale tyż może być dymonstracją zocjaldymokracką a narodowopolską a może anarchistyczną. Woło tedy: „imnamen des gezeces halt!" Zaś pisze: pastucha a dziecko a ich gospodorza o urządzanie demonstracji wrogich państwu bez pozwolynio policji a podburzanie do gwołtów; ónych trzech, co chcą se kupić tyż takie krasule, tyż pisze o usiłowane podburzanie a odrywanie części państwa pruskiego itd.; wszyjscy sprzeciwiają się tymu, to ich jeszczy napisze o opór przeciwko władzy; a kiej pies mu zato naszczeko, napisze właściciela o groben Unfug to je o hrubo swawola. Swiadka inkszygó niy ma, to sie bierze amtowygó, bo tyn wszycko wiy od siandara no i to, czy wieś możno wzburzyć; amtowy tyż nic nie wiy, ale cosik sie spamiynto, iże razy widzioł óne krowy, to mioł tyż wrażynie, iże te na bzdury tako bóły dobrane. Tak sztacwald pado wstrząsające kozanie, dumne spojrzenia s pod pikelhaub strzylają dokoła, bo to ba, co to sie ździałało! Sędzia przewodniczący pociągnie pędzlem przez szablona położono przez sztacwalda, kiej fonograf powtórzy jegó wywody, dołoży cosik kary i imnamen des keniks uczyniło się zadość sprawiedliwości: siandara dostoł cetla, idzie do kasy sądowej, dostaje pora marków, amtowy jeszczy wiynkszy, i rzą se, iże foterland bółby i bez nich stoł na swoich glinianych nogach.

A zaś „Katowicerka" mo s tym ostuda, bo musi zapisać ónych dziesięć zbrodni w statystyka kryminalno; i zaś bydzie jośniła czytelnikom, iże to idzie rasą a zawodem. Ale isto nic nie napisze o tyj rasie krowiyj ani psiyj, a nojmiyniyj, iże to idzie tą rasą szpyclów, chtóro wychowuje system, co je wedle serca „Katowicerki", nojmiyniyj tyż wypómni, iże to idzie zawodem, chtóry je potrzebny, ale rostmajtym za telo daje przyleżytości do takich podłych zarobków.

A na takie chowanie takiyj szlachetnyj rasy wydali na samych „kresach wschodnich" wiynkszy siydmiu miljónow marek. No, i za tako kupa piyniędzy nie miałoby być widno owoców tych funduszów gadzinowych, korupcyjnych i jak tam óne wszyjskie sie mianują? No, wkrótce uczony lekarz, profesor doktor Kunts w Bónn napisoł świadectwo lykarskie kierymuś robotnikowi polskiymu tak: „Ciyrpi na jaglica, chtóryj pono nabół w swoich zarażonych strónach rodzinnych". Mo prawie tyn uczóny profesór, iże nasze strony rodzinne są zarażone, zapowietrzóne — ale.... kulturtregierstwem pruskiem, chtóre je morowem powietrzem dlo ciała a dlo ducha; a takiyj zarazy Dr. Kunts nie uzno, bo ji som już uległ, to i oślepł przytym.

Gustlik Beskuryjo.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott w Katowicach.

Nr. 30. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 27 lipca 1912.

Rozwój ruchu robotniczego w Niemczech.

Kraje bardziej rozwinięte dają innym wzór ich przyszłości.
Marks o Anglji.

W szalonem tempie rozwinął się w ostatnich czasach przemysł i handel miemiecki. Wyprzedził dawno Francję i zbliżył Niemcy — strukturą ekonomiczną — do Anglji.

Ta ostatnia niegdyś była monopolistką w zakresie przemysłu. Odzwierciadlając ten stan rzeczy, ruch robotniczy angielski przybrał w tych wyjątkowych okolicznościach specjalną formę — trade-unionizm, apolityczny ruch zawodowy. Dziś Anglja straciła już monopol na rzecz dwóch nowych kolosów — Niemiec i Stanów Zjednoczonych, lecz przestarzałe formy angielskiego ruchu robotniczego dopiero powoli zmieniają łożysko, przybierając stopniowo formę i treść nowoczesnej socjalnej domokracji.

Za to niemiecki ruch robotniczy rozwijał się już w innych warunkach, w warunkach obostrzonej kunkurencji międzynarodowej. To też o nim, zdaje się, z większą słusznością możnaby powiedzieć to, co mówił w latach 60-ch Marx o Anglji, — że daje innym krajom wzór ich przyszłości.

Przyjrzyjmy się rozwojowi niemieckiego ruchu. Punktem zwrotnym jest rok 1890, upadek ustawy przeciw socjalistom. Od tego czasu partja bez większych przeszkód rozwijała swą organizację i stworzyła ten „kult“ organizacji, systematycznej pracy nad budową potężnych organizacyj, który tak wyróżnia Niemcy — zwłaszcza w porównaniu z takimi krajami, jak Włochy lub Francja... Szybkość wzrostu organizacyj jest bajeczna. Jeśli np. weźmiemy organizację polityczną, to będziemy mieli dla roku np. 1906 — 384 tysiące członków, dla roku zaś 1911 — 836 tysięcy. Zawodowa organizacja od r. 1906 do r. 1910 rozwinęła się z 1,689.000 do 2 miljonów; w ostatnim roku przybyło nowych członków około 300 tysięcy. W ciągu jednego roku!

Ważnym objawem jest fakt, że organizacja polityczna rośnie szybciej, niż organizacja zawodowa, jakkolwiek oczywiście ta ostatnia zostaje bez porównania liczniejszą. W r. 1906 politycznie zorganizowani tworzyli 23 proc. zawodowo zorganizowanych. Od tego roku poczynając, ten procent z każdym rokiem wzrasta — 28, 32, 34, 36 itd.

Jak wiadomo, w ostatnich latach niemiecka partja zajęła się ze zdwojoną energją pracą wśród kobiet. Odpowiednie rezultaty osiągnięto szybko. Liczba politycznie zorganizowanych kobiet wzrosła z 29 tysięcy w roku 1908 do 107 tysięcy w r. 1911. Pokazuje się przytem, że liczba zorganizowanych kobiet rośnie szybciej, niż ogólna liczba partyjnie zorganizowanych: w r. 1908 liczba zorganizowanych kobiet tworzyła 6 proc. organizacyj; od tego zaś roku poczynając, kolejno — 9 8, 11.5, 12.8.

Udział zorganizowanych kobiet w związkach zawodowych rośnie również bardzo szybko. W r. 1892 na ogólną liczbę zawodowo zorganizowanych 237 tysięcy kobiet przypadało 4.355, w r: zaś 1910 na ogólną liczbę zawodowo zorganizowanych 2 miljony — kobiet 161 542. Innemi słowy procentowy udział kobiet w organizacji zawodowej wzrósł z 1.8 proc. do 8 proc. Oczywiście stan organizacji wśród mężczyzn pozostaje jednak lepszym, niż u kobiet. Albowiem, tworząc 8 proc. ogółu zorganizowanych zawodowo, kobiety- robotnice w państwie dają 20 proc. całej klasy robotniczej. Czyli że zawodowo kobiety są $2^1/_2$-krotnie słabiej zorganizowane, niż mężczyźni.

Jak wiadomo, opok socjalistycznych („wolnych“) związków zawodowych istnieją w Niemczech także zawodowe organizacje liberalne (hirsch-dunckerowskie) i chrześcijańskie. Otóż rozwój przedstawia się w ten sposób, że np. w r. 1900 same „wolne“ związki miały 680 tysięcy członków, wszystkie zaś razem kierunki zawodowe — 931 tysięcy członków. W r. 1910 same „wolne“ 2 miljony, wszystkie razem 2.4 miljona. Porównawczo widzimy z tego, że „wolne“ związki“ wzrastają szybciej nietylko w cyfrach absolutnych, lecz także w ogólnej liczbie zorganizowanych zawodowo procentowo „wolne“ związki zajmują coraz to poważniejsze miejsce. A więc w r. 1900 na 100 zorganizowanych (we wszystkich trzech kierunkach) przypadało na wolne związki 73 członków, na hirsch dunkerowskie 10, na chrześcijańskie 17. W r. 1910 na „wolne“ związki przypadało już 83, na hirsch-dunkerowskie tylko 5, na hrześcijańskie 12.

Jeśli wraz z tow. Augustem Majem (broszura „Partei und Gewerkschaft in vergleichender Statistik“) zanalizujemy statystycznie wpływy (dodatnie i ujemne), jakie wywierają różne okoliczności na stopień rozwoju organizacji zawodowej w poszczególnych zawodach, to przyjdziemy do następujących wniosków. Ważną okolicznością jest stopień koncentracji przedsiębiorstw, gdyż robotnicy, skoncentrowani w większych masach, łatwiej poddają się organizacji; przeciwdziała temu jednak to zjawisko, że w przedsiębiorstwach skoncentrowanych praca nie zawsze wymaga wysokiej kwalifikacji (przemysł włóknisty, górniczy), co oczywiście zwiększa konkurencję między robotnikami i utrudnia organizację. Ważną także jest okolicznością, czy dane przedsiębiorstwa są na wsi, czy w mieście; wśród miejskich robotników praca organizacyjna idzie żwawiej.

Przeciętna liczba robotników, przypadających w Niemczech na jedno przedsiębiorstwo równa się 7. Z zawodów, mających wyższą przeciętną (niż 7), mają najwyższe liczby zorganizowanych zawodowo (we wszystkich trzech związkach) metalowcy — 524 000 (przeciętna około 7), budowlani — 398 000 (przeciętna 12), górnicy — 206 000 (przeciętna 1.77), włókniści — 155 000 (przeciętna 16), graficzni — 100 000 (przeciętna 11). Jak widzimy, te zawody, które są bardziej skoncentrowane, dają najwyższą absolutną liczbę zorganizowanych. Względnie również stoją na wysokim poziomie organizacyjnym; np. na 100 robotników danego zawodu u graficznych zorganizowano 61, u metalowców 31, u włóknistych 27, u budowlanych 25, u górników 23.

Zawody z mniejszą przeciętną liczbą robotników na jedno przedsiębiorstwo, niż 7, dają naogół mniejsze liczby absolutne zorganizowanych i względnie również gorzej są zorganizowane. Z nich jeszcze najlepiej stoją drzewni —

188 000 (33 proc. zorganizowanych), krawcy 108 000 (15% zorganizowanych).

W podobny sposób, jak o wpływie koncentracji przemysłu na organizację zawodową możemy przekonać się o wpływie okoliczności, czy dany zawód pracuje w mieście, czy też na wsi.

Ciekawym czynnikiem jest wpływ religji, zwłaszcza na organizację polityczną. Katoliccy robotnicy łatwiej poddają się wpływom i organizacjom klerykalnym. Powoli jednak wpływy klerykalno-katolickie słabną, zwłaszcza w okręgach przemysłowych. Jeśli weźmiemy np. 7 wyborczych okręgów westfalsko-nadreńskich i porównamy wybory z r. 1898, a 1912, to otrzymamy przyrost głosów socjalistycznych — 165 tysięcy, centrowych zaś tylko 68 000. Czyli że przyrost socjalistyczny w porównaniu z r. 1898 wynosi 203 proc., centrowy zaś 43%. Dla całego państwa przyrost socjalistyczny równa się 101 proc., centrowy 50%. Te cyfry wymownie świadczą o zaniku wpływów centrowych wśród robotników.

Jeśli przyjrzymy się niemieckiej organizacji partyjnej, to przekonamy się, że pod względem organizacyjnym najlepiej stoją Hamburg, Szlezwik, prowincja Brandenburska z Berlinem, Saksonia. Z 1000 robotników partyjnie zorganizowanych jest w Hamburgu 239, w Szlezwiku 206, w prowincji Brandenburskiej 113, w Saksonji również 113. I właśnie są to kraje z ogromnym procentem protestantów: 92 proc., 97 proc., 89, 94. W krajach zaś, gdzie procent ludności protestanckiej jest mniejszy, procent zorganizowanych jest również znacznie mniejszy. Jeśli weźmiemy kraje, w których procent ludności protestanckiej wynosi mniej, niż 50, to jeszcze stosunkowo najlepiej przedstawia się Bawarja (z prawej strony Renu), gdzie liczba zorganizowanych na tysiąc robotników wynosi 81; dalej idą Baden — 50, Śląsk 46, Westfalja 40, prowincja Reńska 35. Prusy zachodnie 25, Alzacja i Lotaryngja 15, Poznańskie 8.

Brak miejsca nie pozwala nam przytoczyć innych ciekawych danych ze statystyki rozwoju ruchu robotniczego w Niemczech.

Rozmaitości

Dziesięć przykazań na lato. Pisma francuskie ogłaszają następujący dekalog:

1. Nie wystawiaj się na palące promienie słoneczne, nakryj głowę lekkim kapeluszem i nakryj, o ile to jest możliwe, kark.
2. Noś tylko lekkie, wygodne, białe ubranie.
3. Jedz umiarkowanie i daj pierwszeństwo pożywieniu z mleka i owoców.
4. Jedz gotowane albo świeże, ale tylko dojrzałe owoce.
5. Unikaj konserw i wogóle potraw, które łatwo mogą się zepsuć wskutek gorąca.
6. Pij, gdy masz pragnienie, wodę oraz wywar z herbaty. Uważaj jednak na to, aby woda była filtrowana albo sterylizowana wskutek gorąca lub wskutek chemicznych składników, jak jod lub permanganaty.
7. Zaspokajaj swe pragnienie świeżymi, ale nie zbyt zimnymi trunkami. Przedewszystkiem strzedz się wrzucania kawałków lodu do trunków.
8. Ćwicz się cieleśnie, ale tylko w umiarkowany sposób. Nie siedź za wiele. Po jedzeniu spoczywaj, ale nie za długo.
9. Bierz odświeżające kąpiele i tusze.
10. Spij przy otwartem oknie i nie przykrywaj się zbytnio.

Inny dekalog obwieścił prof. Daverniére:

1. Rano umyj się bardzo troskliwie.
2. Noś przestronne, wygodne, lekkie, białe ubranie.
3. Spaceruj w cieniu, ale bardzo powoli.
4. Nie jedz potraw, które mają zapach dziczyzny i nie jedz zbyt często surowych potraw.
5. Nie pij wody niefiltrowanej nawet wtedy gdy masz wielkie pragnienie.
6. Nie pij zbyt wiele, abyś się zbytnio nie pocił.
7. We dnie zamykaj hermetycznie swe okna.
8. W nocy je zupełnie otwórz.
9. Spij tylko pod lekkiem przykryciem.
10. Te przykazania przeczytaj sobie dokładnie pięćset razy i wedle nich postępuj.

* * *

Kropla wina za 12 tysięcy marek. Jest w Niemczech wino, posiadające wartość wprost bajeczną. Znajduje się w piwnicach ratuszowych miasta Bremy. Pochodzi z roku 1624 i nosi nazwę „Rosenwein." Jest to wino reńskie, zawarte w 12 beczkach. W roku, gdy je przelano, beczka miała wartość 60 talarów — na owe czasy — bardzo wysoką. Każda beczka zawiera 200 litrów, jeżeli wyliczy się procenty i procenty od tychże, dziś owe dwanaście beczek przedstawiają wartość 27 tys. miljonów marek, zatem butelka litrowa ceni się 120 miljonów marek, a kropla tego wina 12 tys. mk.

W dniu 28 sierpnia 1824 roku w 75 tą rocznicę swoich urodzin poeta niem. Goete otrzymał od miasta Bremy dwanaście butelek tego wina, które w owym czasie przedstawiało ogólną wartość 150 mil. mk.

Ów przedziwny trunek wydobywają z piwnic tylko w razach nadzwyczajnych i — darmo.

* * *

Akcja cennikowa królów pruskich. W roku 1820 lista cywilna króla pruskiego wynosiła 2 i pół miljona talarów. Podwyższono ją w r. 1859, a następnie już w r. 1868 o miljon talarów. Równocześnie liczne zamki królewskie przeniesiono na własność państwa z obowiązkiem ich utrzymania. W roku 1889 zwiększono listę cywilną o 3 i pół miljona marek. Wreszcie 17 kwietnia 1910 r. podwyższono ją o 2 miljony marek. Razem więc wynosi obecnie jego lista cywilna 17 719 929 mk.

* * *

Statystyka językowa Austrji. Niedawno temu zjawiła się staraniem austryjackiej c.-k. „Komisji statystycznej" praca („Oesterreichische Statistik" Neue Folge, tom I zeszyt 7), która na podstawie ostatniego spisu ludności przedstawia stosunki językowe w Austrji. Dokładna mapa unaocznia stosunki językowe wszystkich miast z własnym statutem i powiatów sądowych nietylko wedle spisu z r. 1910, lecz także z r. 1900 i z r. 1890. Z obfitego materjału przytaczamy następujące szczegóły: Z 27,963,872 okywateli austryjackich zdeklarowało 9,950 266 osób język towarzyski niemiecki, 6,435 983 czeski 4 9 6 7 9 8 4 polski, 3,518,854 ruski, 1,252,940 serbski i chorwacki, 783,334 włoski i latyński, 275,115 rumuński i 10,974 węgierski.

W porównaniu z przyrostem ogólnym ludności, posiadającej obywatelstwo austryjackie (9,09 proc.) w ciągu dziesięciolecia 1901 — 1910 wykazuje większy przyrost język rumuński o 19,12, polski o 16,64, węgierski o 15,32 i serbskochorwacki o 10,11 na 100.

Ciekawe są liczby obu języków krajowych w Galicji. Przyrost naturalny ludności Galicji wynosi 9,56 na 100, przyrost polaków wynosi 17,14, przyrost rusinów tylko 4,35 na 100. Ludność polska wzrosła w Galicji o 683,798, ruska tylko o 133,643 osoby.

Jeszcze silniejszy jest przyrost polaków na Bukowinie, mianowicie 34,83 proc. w porównaniu z 2,45 proc. u rusinów.

* * *

Skąd pochodzi wyraz kandydat? Wyraz ten sięga starorzymskiego zwyczaju, który ubiegającym się o mandaty publiczne nakazywał pokazywać się ludowi w białych togach (candida). Kandydaci nie nosili tuniki, by, jak mówi Plutarch, „ochronić się od podejrzenia, że ukrywają w niej jakieś pieniądze celem kupowania głosów".

W sprawie przekupstwa wyborczego miało prawo rzymskie oryginalny przepis: jeżeli kandydat przyrzekł wyborcom jakie kwoty, a ich nie wypłacił, to nie ulegał karze; jeżeli jednak pieniądze dał, to w razie przeprowadzonego dowodu winy skazywanym bywał do płacenia tak długo, jak żył, renty w kwocie 100 000 sestercy (8000 mk.). Na

ten temat robi Cicero następującą uwagę: „Zdawna już niektórzy kandydaci zastosowują się do przepisów naszego prawa i obiecując zawsze, niczego nigdy nie dotrzymują". Całkiem jak u nas.

* * *

Jedno białe, drugie czarne. Wielkie zainteresowanie budzi w monachijskich sferach lekarskich osobliwe zdarzenie w tamtejszej klinice na oddziale położniczym. Pewna młoda kobieta urodziła tam bliźnięta: dwie dziewczynki, z których jedna jest czarna, a druga biała, to znaczy, że bliźniacze siostry należą do różnych ras. Nic więc dziwnego, że zaciekawieni lekarze wypytywali matkę dziwnych bliźniąt o szczegóły z jej życia i oto okazało się, że ojcem dzieci jest pewien murzyn. Według twierdzenia lekarzy osobliwa para bliźniąt przedstawia wielce interesujące zagadnienie naukowe. W kołach lekarskich rozpoczęła się więc na ten temat szeroka dyskusja.

* * *

Arcyksiążę zaskarżony o alimentacje. Głośną była przed laty sprawa arcyksięcia Leopolda, który, porzuciwszy tytuły i godności dworskie i przybrawszy nazwisko Wölflinga, poślubił kelnerkę Wilhelminę Adamowiczównę. Niedługo trwała sielanka młodej pary i po kilku latach pożycia niedobrane małżeństwo postanowiło rozwieść się. — Proces rozwodowy, który odbył się w Genewie, nie zakończył jednak całej sprawy; epilogiem jest skarga sądowa o alimentacje, jaką wniosła pani Wölflingowa do sądu w Wiedniu przeciwko swemu byłemu małżonkowi. Przez adwokata swego dra Fischera zażądała alimentów w wysokości początkowo 600 kor., później 1000 kor. miesięcznie, co od roku 1907 wyniosłoby sumę 31 000 koron.

Arcyksięcia Leopolda zastępuje dr Frischauer, a w tegoż zastępstwie dr Weiss. Adwokat zaskarżonego twierdzi, iż żądaniu powódki nie może stać się zadość, a to dlatego, iż klient jego, były arcyksiężę Leobold nie posiada żadnego zgoła majątku w Austrji. Ponieważ dr. Fischer obstawał przy skardze, sąd ustalił stan majątkowy arcyksięcia i oto okazało się, że są cztery artykuły majątkowe: 1) stare, znoszone pantofle arcyksięcia, które według twierdzenia strony skarżącej mogłyby być sprzedana handelesowi za 80 hal.. według zaś arcyksięcia — są zupełnie bez wartości; 2) cztery łyżki z chińskiego srebra, co do których zachodzi wątpliwość, czy należą istotnie do arcyksięcia, gdyż inne już osoby pretendują do nich; 3) apanaże dworskie w wysokośći 36 000 kor. rocznie, których jednak arc. Leopold nie pobiera w Wiedniu, gdyż, jako wygnaniec, nie może przebywać w Austrji; 4) spadek po swym bracie arc. Janie Orth, co do którego sprzeciwia się również zastępca arc. Leopolda, twierdząc, iż niewiadomo, czy spadek ten przypadnie jego klientowi, a przytem skarga wniesiona była, zanim ustalonym został fakt zgonu Jana Ortha. Po rozpatrzeniu tych okoliczności sąd cywilny oświadczył, iż wyrok zoztanie wydany stronom na piśmie.

* * *

Jak mężowie karzą swe żony. Czy mężowie mogą ukarać swe wdowy? Z pewnością — w testamencie. Wesołe przykłady w tym względzie przytacza pismo francuskie „Les Marges". Jeden z testamentów brzmiał: „Droga małżonko! W każdą niedzielę dręczyłaś mnie niemożliwie swojemi żądaniami. Dlatego zostawiam ci tygodniową rentę 25 franków. Wypłata jednak odbywać się będzie w każdy poniedziałek. Wiem bowiem, jak jesteś rozrzutna, dlatego też nie będziesz miała ani centa w niedzielę i będziesz musiała przebyć to, co ja musiałem".

Inny testament miał taką treść: Kochana żono! W naszem trzydziestoletniem pożyciu małżeńskiem nie było dnia, abyś mnie nie dręczyła, opowiadając długie historje, głupie anegdoty i niesmaczne żarty. Pozostawiam ci rocznej renty 7500 K. Załączam jednak warunek, że musisz mieszkać razem z matką, z kobietą z takim ostrym językiem, jak ty, którą ty tak nienawidzisz, jak ja. Matka i córka muszą prócz tego chodzić na mój grób co miesiąc razem z moim adwokatem i za każdym razem głośno żałować, żeście mi zatruły życie.

Najcięższe jednak warunki podał pewien amerykański testament. Amerykanin ów zostawił młodej, pięknej wdowie jeden i pół miljona dolarów z tem jednak zastrzeżeniem, że za każdym razem zapłaci 1000 dolarów kary, gdy wyjdzie niezawoalowana, będzie tańczyła lub uśmiechała się do mężczyzny. „Z pewnością — tak kończy się testament — w przeciągu roku umrzesz!"

* * *

800 dzieci Sunjatsena. Fakt, charakteryzujący stosunki chińskie, zdarzył się w Nankinie. Konsystujący tam żołnierze w okresie głodu, panującego w r. z. w pobliżu tego miasta, odkupywali od ubogich rodziców dzieci, płacąc od 2—3 dolarów, aby je od śmierci uchronić. Niedawno odkomenderowano ich gdzieindziej. Zamierzali wziąć dzieci ze sobą, czego pragnęły i one, przywiązawszy się do swoich dobrych opiekunów. Lecz tu wynikła komplikacja. Generał Hwangssin zabronił żołnierzom doprowadzić ten zamiar do skutku. Mimo zakazu, dzieci znalazły się na okręcie, lecz uwiadomiony o tem generał za pomocą policji wstrzymał odjazd. Żołnierze stawili opór; kilkunastu przypłaciło go życiem. Aresztowany został kapitan, jako główny burzyciel porządku. Wreszcie po kilkugodzinnej walce okręt odpłynął z żołnierzami — lecz bez dzieci. Zostały literalnie na bruku. Co miano z niemi począć? Hwangssin zadecydował, że zostaną adoptowane przez republikę i nosić będą zbiorową nazwę „Dzieci dra Sunjatsena". Każde otrzyma podwójne imię Sun i Wen, a jako trzecie; Tsien-tseking, od tytułu klasycznej księgi. Mają być zbudowane specjalne warsztaty, w których dzieci kierować się będą na rzemieślników.

* * *

Sensacyjne morderstwo. Ogromną sensację wywołało w Nowym Jorku zamordowanie właściciela domu gry Hermana Rosenthala.

Kilka tygodni temu wniósł Rosenthal doniesienie do sądu, które zawierało ciężkie oskarżenia przeciwko policji nowojorskiej. Rosenthal twierdził mianowicie, że urzędnicy policyjny są bardzo często cichymi wspólnikami domów gry i że pobierają z nich dochody. Jako jeden z najbardziej skompromitowanych pod tym względem urzędników, wymienionym był porucznik policyjny Becker.

W ubiegły wtorek Rosenthal wezwanym został przed prokuratora, aby przedstawić odpowiednie dowody. W wilję tego dnia około północy udał się Rosenthal do hotelu Metropole celem spotkania się ze swymi świadkami. Około godziny drugiej zjawił się przez hotelem samochód, w którym siedziało kilku mężczyzn. Jeden z nich udał się do sali jedalnej i wywołał Rosenthala na ulicę, gdzie już czekali zbrodniarze. Kilka strzałów padło jednocześnie, a gdy mordercy przekonali się, że Rosenthal już nie żyje, wsiedli do samochodu i znikli w kierunku piątej ulicy. W pobliżu miejsca zbrodni, jak później stwierdzono, znajdował się detektyw i kilku policjantów, ale żaden z nich nie uczynił niczego, aby przeszkodzić ucieczce moderców. Przechodzący przypadkiem ulicą urzędnik bankowy zauważył jednak numer samochodu, co umożliwiło nazajutrz jego odszukanie. Aresztowano właścicieli samochodu niejakichś Liddy i Shapirę, którzy przyznali się, że zmuszeni groźbami użyczyli swego samochodu mordercom.

Stwierdzono, iż zamordowanie Rosenthala było zgóry przygotowanym a z projektami temi wcale nie ukrywano się nawet, gdyż już pół godziny przed dokonaniem morderstwa redakcje dzienników zapytowano telefonicznie, czy Rosenthal został już zastrzelony.

Prokurator Widman złożył w środę publiczne oświadczenie, w którem między innemi mówi: Oskarżam policję nowojorską, że winna jest zamordowania Rosenthala, że kazała go zamordować, aby zastraszyć tych wszystkich, którzy przeciwko niej świadczyć mieli.

Porucznik policyjny Becker, przeciw któremu podejrzenia głównie się zwracają, został usunięty z zajmowanego stanowiska i oddany do dyspozycji prokuratorji.

Dzienniki nowojorskie domagają się daleko idących zarządzeń i surowego śledztwa i bezwzględnego ukarania

winnych i wmieszanych, celem położenia tamy wszechwładnemu panowaniu osławionej „Tammany".

Lord major Nowego Jorku Gaynor nakazał dochodzenie, mające na celu wyświetlenie stosunków, panujących w policji.

Dotychczas wyszło na jaw kilka ciekawych szczegółów, np., że w dniu morderstwa oskarżony przez Rosenthala porucznik policyjny Becker jadł z nim wspólnie obiad w sali hotelu Metropole.

Urzędnik policyjny Tille, który również się znajdował tego wieczora w hotelu Metropole, usuniętym został ze stanowiska i pociągniętym będzie do odpowiedzialności.

Dzienniki amerykańskie stwierdzają, iż dzisiejsze stosunki w Nowym Jorku są nie do zniesienia, gdyż dzięki tajnym układom między policją a zbrodniarzami pięciomiljonowa ludność miasta zdaną jest na łaskę i niełaskę policji i nikt też nie jest pewnym swego życia.

Panuje powszechne przekonanie, że morderców Rosenthala ukryła policja a pogłoska ta staje się tem prawdobodobniejsza, że porucznik Becker zniknął z Nowego Jorku, a wszelkie starania odnalezienia go, pozostały dotychczas bez skutku. Zniknął również niejaki Rosy, który według zeznań aresztowanego palacza Shapiry, miał wynając samochód, którym posługiwali się inni mordercy.

Słynny detektyw otrzymał od majętnych obywateli nowojorskich wezwanie, czyby się nie podjął odnalezienia morderców Rosenthala.

Ostatnie telegramy donoszą, że policja nareszcie przyznała, iż Becker jest zawikłany w sprawę zamordowania Rosenthala. Sprawców do tego czasu nie aresztowano, lecz nazwiska ich znane są policji.

* * *

Rozszarpany przez niedźwiedzia. Koło wioski Auan na Kaukazie pracowało kilku górali na roli. Z pobliskiego lasu wybiegł głodny niedźwiedź i rzucił się na pasącą się krowę. Jeden z włościan, wziąwszy strzelbę, podbiegł do niedźwiedzia i wystrzelił. Niedźwiedź raniony z rykiem rzucił się na włościania i rozszarpał go, gdyż reszta włościan z przestrachu nie okazała pomocy sąsiadowi swemu.

Dymokrackie medykacje.

Aha! Witom! Piyknie sie wito pana posła Korfantygó, bo już se wróciół z uzdrowiska na cysarskiem. Płucka se przeluftowoł, można głowiczka tyż nieco, jyno nie wiym jeszczy, jak tam te gieszefta s ónymi lasami galicyjskimi stoją. Ale musza mu tyż dać do wiadomości dwie niepiykne sprawy. Bo to jegó, tyż zosłużonygó, kamrota w Opolu nie ziyni nikaj do zorządu bankowygó, jyno mu jeszczy dali papiery na października; można tyż terazki bydzie co s tegó nowygó pisma? A zaś w Bytóniu uchwolili nie wystowiać stałygó cyrkusu, to tyż już pon Wojtek nie bydzie mógł szpekulować tam na linoskoka politycznygó; no, ale mu już inksi pono obstarają sie o inkszo sztela na fest.

A terazki zaś bydzie jeszczy paskudziół pisma bytóńskie swoimi pomyjami i zaś bydzie użyroł na socjaldymokratów. Tako mu wypominom, iże to już nie jegó monopol, bo terazki ziyna na sie ta praca narodowo dymokracjo w Poznaniu, chtóro ón nazwoł „lakierkowi dymokraci poznańscy". Nie mieli te panóczki nic lepszygó na porządku dziynnym swojygó posiedzenio partyjnygó, to se uchwolili „walka ze socjalną dymokracją". Ale to je tak prawie po polsku, po narodowymu pono: niy mieć broni, ale bić; zebrać kupa chopów s hasłami a gołymi pięściami, niy mieć obrozka o sprawach ale godać a bić; a kaj je tyn isny nieprzyjaciel a je broń na niegó, tam sie targować a układać ś nim. Ale po tymu sie tyż ta partjo mianuje narodowo dymokracjo, bo pracuje, coby tyż te wady narodowe przeniyść na lud. Ale tyn lud pozostanie ludem, na swoich nie pójdzie, kiej bydzie uświadomiony; tako tych pora panoczków wiynkszy sie nie boimy, bo walka momy wdycki a wszędy.

Ano, nojgorsze, kiej w te psie dni robi sie rostmajte programy a zasady. Farorz Kapica tyż ś nimi nie mo szczęścio. Ogosiół światu zasada, iże prawo je wdycki moralne a etyczne, to je uczciwe, i wszycko je dobre, kiej pokrzywdzóny nie protestuje. Tako wszyjskie prawa wyjątkowe są dobre, kulturkampf bół fajn, prawa przeciw jezuitom tyż, bo wszyjskie miały i mają swoje paragrafy; a choć wszyjscy protestowali i protestują, to jednako to nie styknie, bo óni inksze paragrafy zachowują. A kiej ubogi je pokrzywdzóny a nie mo na reksanwalta, to nie może protestować a tyn inkszy mo prawie? To je piykno anarchjo, ale pono nie Chrystusowo nauka. To je tyż to iże te kamiynne toblice z dziesięciorgiem przykazań boskich downo sie rozbiły, to paragrafy pisane na papiyrze, choćby pruskie, wdycki pono lepszy ciągną. No, nie momy pono terazki prawa do protestu, to sie jyno podziwomy, chtó zaprotestuje nieskorzy, coby ta etyka nieco albo mocno śmiynić.

Bardzo tyż etycznie bóło pono, — musza sie zapytać farorza Kapicy, czy tak je — iże ludziska w Jaworzu a okolicy mają wiynkszy ośm miljonów szkody. Bo tyn bankiyr, co ich tak ukrzywdził, to sie zastrzelół, więc terazy nie ma przeciw kómu wniyść protestu o swoja krzywda. Tak pono i to bydzie w porządku? No, trza jyno terazy, coby tyn eks-posoł zostoł sztacanwaltem albo lepszy rajchsanwaltem, toby albo wszyjscy mieli procesy o beleco, albo by wszyjscy przyszli fraj o nojwiynkszе zbrodnie.

Ale Prusy mają za telo takich tęgich głowiczek, co to wszycko wyónaczą, co chcą. Po tymu tyż je wszycko prawo pruskie a cołko nauka a wychowanie. A kiej terazki idzie wszędy o czystość rasy, to zakozali tyż dzieckom, chtóre mają to nieszczęście, iże są w rokach szkólnych, iść za granica, coby tam nie nabrały ducha przeciwnygó Prusom. Bo to padają se pono, iże do patrjotyzmu pruskiygó potrzebny je pruski dryll, a bez tegó można światlejszy człek nie pokocho Prus jyno miołby se za gańba być prusokiem. Nieskorzy tyn zakaz bydzie przeniesiony tyż na tych, co jeszczy chodzą do pruskich szkół średnich a wyższych, a na tych, co „mogliby tam jeszczy chodzić, kiejby panowały uporządkowane stosunki", kiej roz już pedzieli przy śpiywie a gimnastyce, a zaś na ta piykno fortbyldungsszule, no a zaś tym, co są w rokach wojańskich, już nie wolno opuszczać faterlandu, hnet jeszczy na rezerwa a landwera, tako i ibehaupt nicht nie bydzie móg wyjechać s kraju, jyno ci, co robią polityka światowo. Coby więc farorz Kapica nie pedzioł, iże to je etyczne, to jo tu niniejszym protestuja przeciw tymu.

Ale nie myślcie se, iże ojcowski rząd pruski jyno w tych rokach wypomnianych dbo o wasze wychowanie. A nie spamiętocie sie na giermanizatorskie szpilszule, kandy wodzą dziecka, co jeszczy chodzić nie potrafią? Ale to jeszczy nic. Niemowlęta w zogłówkach tyż już mają terazki doznawać dobrodziejstw pruskiygó byldunku. Bo oto rejencjo poznańsko poprosiła piyknie swoich rechtorów, ferordnunkiem — to sie wiy, coby szkólnikom, a nojpiyrwy starszym dziołchom, ajnpaukowały te piykne kołysanki niymieckie, co od niekierych można dostać morskiyj choroby; a to ku tymu, coby te dziołchy śpiywały doma tym malyństwom, piyrwy u ojców a zaś u siebie nad kolebką. To je piyknie, nu nie? To jyno wos prosza nie zaboczyć, coby tym szkudom piyrwy podać inkszo nauka.

Po polsku uczyć — o tym już w szkole zaboczyli, terazki dzieckom i godać nie wolno, jak im dziób uiós. Na Mazurach drewno mianowoł kieryś rechtor „Polokiem" i dawoł dzieckom, coby sie szpyclowały nawzajem skisz polskiyj mowy, a zaś na kożdo sobota dostowały trzciną „gieltak". Zaś inkszy rechtór tyż tak robiół, jyno, iże miasto drewna dowoł dzieckom klepka, pono ta piąto, co mu wyleciała.

Gustlik Beskuryjo.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott w Katowicach.

Nr. 31. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 3 sierpnia 1912.

Zemsta.

Zemsta, jest to uczucie niewymownie słodkie. Masz pan wiedzieć, że mam w charakterze wiele rysów, że tak powiem, korsykańskich! Posłuchaj pan jednak, dlaczego panu o tem wszystkiem mówię!

Widzi pan tego młodzieńca, co kroczy przed nami w towarzystwi tych dwu pań? Otóż, proszę pana, ten chłystek ośmielił się swego czasu zakpić ze mnie. Obiecałem mu wtedy, że się zemszczę i dziś, proszę pana, przyszła ta sposobność. Pan się pyta, jak ja to zrobię. W całkiem prosty sposób. Zresztą, jakżeby inaczej można tu, w „Jezuickim“, gdzie tyle ludzi się kręci. Niemniej jednak, jak pan to zaraz zobaczysz, zemsta moja będzie bezwzględna.

Pan widzi, jaki on jest rozbawiony, przechyla się do jednej, to do drugiej towarzyszki, coś im mówi, śmieje się głośno, gestykuluje. Zaraz to się wszystko skończy. Niech pan tu teraz zostanie i idzie zanimi powoli z tyłu, ja na chwilę pana pożegnam, natychmiast jednak wrócę, a wdedy, powiadam panu, będziemy nasze oczy paść i delektować się zemstą.

Zostawiłem swego towarzysza, sam zaś wysunąłem się naprzód. W pewnem miejscu, w wązkiej alei, w tłoku, podszedłem do mego ciężkiego wroga i szepnąłem mu nieznacznie parę słów do ucha. Potem wróciłem.

— Co mu pan powiedział — spytał mnie mój towarzysz.

— Co — powiedziałem, że ma spodnie z tyłu podarte i widać mu bieliznę.

— Ależ to nieprawda!

— Nie o to też idzie, mój panie. Tu chodzi o zemstę, która, jak panu powiedziałem, jest uczuciem słodkiem. A trzeba panu wiedzieć, że będzie to zemsta, jeśli mi się tak wyrazić wolno, psychologiczna. Działam na osobnika suggestująco. Nie liczy on się wówczas z jakąkolwiek możliwością, nie ufa własnym spostrzeżeniom, tylko wierzy mi ślepo i to go właśnie gubi. Zresztą patrz pan, czy nie mam racji.

Umilkliśmy i całą uwagę zwróciliśmy na towarzystwo przed nami. Mój wróg, jak to zauważyłem, został trafiony i to trafiony dobrze. Ubrany był młodzieniec w jasne marynarkowe ubranie, dołem cokolwiek obcisłe. Wobec tego, to co mu powiedziałem, zrobiło na nim piorunujące wrażenie.

Uważa pan, mówiłem do mego towarzysza, poczciwina marynarkę ma długą, więc gdyby mu się nawet zdarzył taki casus, to i takby nie było widać. Ale on tego nie wziął pod uwagę, on wogóle teraz o niczem nie myśli, względnie myśli o tem, w jakiby się sposób w ziemię zapaść, zniknąć, ulotnić się. Wyobraź pan sobie, dwie kobiety przy nim, po ogrodzie kręci się pełno ludzi, co kto na niego spojrzy, to jemu się zdaje, że to właśnie z powodu tej fatalnej dziury. Niech pan się tylko zechce wstawić sam w jego położenie.

Istotnie z młodzieńcem przed nami działy się rzeczy dziwne. Naprzód ruchem, jakgdyby niedbałym, założył ręce w tył. Ponieważ to mu ruchy cokolwiek skrępowało, przeto chód jego z powodu tego stał się okropny. Wobec tego wpadał od czasu do czasu na idącą koło niego pannę i poszturkiwał ją bokiem. Wreszcie zwróciło to jej uwagę, odsunęła się więc trochę, przyczem spojrzała na niego przeciągle.. Ponieważ właśnie zbliżyliśmy się do niego, przeto mogliśmy widzieć wszystkie kolory, które kolejno przez jego pucułowatą gębę przemknęły. Naprzód był czerwony, jak burak, prawie fioletowy, potem zaczął się odbarwiać w kierunku wstecznym, więc bielał, zżółkniał, a wkońcu zzieleniał. Taka seledynowa gęba, zaczęła zwracać powoli uwagę przechodniów. Ten i ów spojrzał na niego, a on to sobie oczywiście zupełnie mylnie tłómaczył. Ręce ciągle trzymał honorowo w tył założone, przyczem dla uro zmaicenia, jakgdyby z umiarkowania swobody, przebierał rytmicznie palcami. Tymczasem zaczął coraz bardziej tracić równowagę i chwiać się prawie. Panie idące z nim coraz więcej odsuwały się od niego i trącały się łokciami zdumione. Rozmowa przed chwilą tak ożywiona, oczywiście się urwała.

Wiesz pan teraz, mówiłem do mego towarzysza, co to znaczy zemsta umiejętnie na podstawie znajomości duszy ludzkiej wykoncypowana. Powiedz pan sam, czy może wyrządziłem mu jaką krzywdę, czy powiedziałem złe słowo? Uchowaj Boże... Ale patrz pan, zbliża się, jak mi się zdaje, koniec zabawy!

Mój ciężki wróg stanął. Gęba jego miała barwę ołowiu, cokolwiek cynobrem podgruntowanego. Zdją kapelusz, poruszał zbielałemi wargami i cofał się w tył, jedną rękę ciągle trzymając w miejscu, gdzie korpus rozgałęzia się w dwie odnogi. Potem uczynił nagły zwrot i pędem na przełaj pobiegł do pawiloniku, którego na skraju ogrodu pilnuje Agenor hr Gołuchowski.

Poszliśmy za nim. Gdy go opuszczał miał już normalną cerę, przechodząc koło mnie, spojrzał tak straszliwym wzrokiem, że uczułem po kościach parę stopni Celsiusza poniżej zera. Gdyby wzrokiem można człowieka zabić, nie byłbym był mógł, zdaje się, całej tej historji opisać.

Polityka społeczna w Anglji.

Gdy naród angielski dwa razy oddał ster rządów w ręce liberalnego ministerjum Asquitha, demokracja świata całego oczekiwała ważnych i głębokich reform społecznych w kraju pierwszej rewolucji politycznej i w kraju pierwszych organizacyj robotniczych.

Niedługo kazano nam czekać. Po zarządzonej reformie słynnego wyroku Osborne, minister Lloyd George wystąpił w parlamencie z szeregiem praw, między innemi z doniosłem prawem o ubezpieczeniach robotniczych.

Pomijamy tu rozpatrywanie parlamentarnego billu, znoszącego veto lordów. Przystępujemy odrazu do sprawy ubezpieczeń robotniczych, która, wobec debatów niedawno

odroczonej Dumy czarnosecinnej, nabiera dla robotnika polskiego pierwszorzędnego znaczenia.

Przedewszystkiem projekt Lloyd'a George'a obejmuje kategorje ubezpieczeń, zgoła robotnikowi „Wszechrosji" niedostępne. Angielski rząd ubezpiecza robotników od bezrobocia i na wypadek choroby. Przeszło 15,000 000 ludzi ma być przez państwo zabezpieczonych. Słuszność nakazuje przyznać, iż w Niemczech ubezpieczenia państwowe na wypadek choroby dawniej zaprowadzono. Lecz po raz pierwszy wogóle rząd burżuazyjny, rząd klasowy, zgłasza dobrowolnie projekt ubezpieczenia robotników na wypadek bezrobocia. Co prawda, nie wszyscy robotnicy angielscy skorzystają na początek z ubezpieczeń państwowych od bezrobocia. Olbrzymia armja bezrobotnych mogłaby wyczerpać fundusze rządowe. To też jeno 2,500 000 robotników na początek korzysta z ubezpieczeń od bezrobocia.

Według projektu rządowego każdy robotnik płaci tygodniowo $2^1/_2$ pensa (10 kop. do kasy państwowej. Takąż sumę tygodniowo płaci od każdego robotnika, zatrudnionego w przedsiębiorstwie budowlanym i w fabrykach maszyn — te bowiem jeno gałęzie przemysłu na początek obejmuje projekt ubezpieczeniowy od bezrobocia — właściciel przedsiębiorstwa-fabryki. Wkładki owe, jak robotników tak i fabrykantów, kontrolowane są przez naklejanie w książeczkach robotniczych specjalnych marek. Państwo bierze na siebie $^1/_4$ wszystkich wydatków, związanych z ubezpieczeniem. Jeno robotnicy, pozbawieni pracy wskutek kryzysów ekonomicznych, korzystać mogą z ubezpieczenia tego. Wysokość zapomogi, wydawnej tygodniowo każdemu bezrobotnemu, wynosi $7^1/_2$ szylinga (3.75 rb.). W razie strejku lub lokautu robotnicy korzystać z zapomóg tych nie mogą. Zapomoga wydawana być winna brzez 15 tygodni z rzędu, o ile robotnik pracy nie zachodzi. Na ubezpieczenia robotników wspomnianych dwóch gałęzi przemysłu projek rządowy przewiduje, pomimo wkładek robotniczych i fabrykanckich, wydatek skarbu państwowego w wysokości 750 000 funtów szterlingów, czyli 7,500 000 rubli!

Ubezpieczenie państwowe na wypadek choroby obejmuje robotników i robotnice wszystkich gałęzi przemysłu, o płacy zarobkowej nie przewyższającej 160 funtów szterlingów (1.600 rubli) rocznie. Na ubezpieczenie od choroby każdy robotnik, według projektu rządowego, wnosić będzie tygodniowo 4 pensy (16 kop.), każda robotnica — 3 pensy. Przedsiębiorca płaci tygodniowo od osoby, w przedsiębiorstwie zatrudnionej, 3 pensy. Państwo wypłaca od każdej robotniczej jednostki 2 pensy tygodniowo.

W razie choroby, robotnik dostaje 10 szylingów (5 rb.) tygodniowo, robotnica — $7^1/_2$ szylinga tygodniowo. Lekarz i apteka idzie na koszt państwa. Jeśli choroba ciągnie dłużej niż 3 miesiące, wówczas chory zalicza się do kategorji inwalidów pracy i dostaje 5 szylingów tygodniowo aż do czasu zupełnego przyścia do zdrowia lub do 65-go roku życia.

Zkąd wziąć na to wszystko pieniędzy? Oto pytanie. I liberalny rząd angielski daje taką odpowiedź: musimy zmniejszać a nie powiększać zbrojenia. Budżet 1910 — 11 roku dał nadwyżki 26,070 000 rubli. Lloyd George już wydaje z tej nadwyżki 15,000 000 rubli na budowę sanatorjów robotniczych. Budżet marynarki angielskiej w roku bieżącym zaznacza, iż nie sposób iść dalej w zbrojeniach. Czas najwyższy powiedzieć to jasno i otwarcie. Ogólny budżet państwowy na rok 1911 — 12 już teraz przewiduje nadwyżkę, sięgającą 3,370 000 rubli. A więc lwia suma tej nadwyżki pójdzie na ubezpieczenie społeczne ludu pracującego w Anglji.

Myliłby się jednak ten, ktoby sądził, iż projekt rządowy Lloyd'a George'a jest bez zarzutu. Z Punktu widzenia interesów klasy robotniczej jest to bezsprzecznie olbrzymi krok naprzód. Ale to nie wszystko. Prasa Labour Party (Partji Pracy) śmiało wykazuje kolosalne braki rządowego projektu ubezpieczeń. Podnosi ona zupełnie słusznie, iż niepotrzebnie uczyniona została krzywdząca różnica między robotnikiem i robotnicą; podnosi dalej, iż wiek inwalidów pracy, określony do 65 lat, jest niesłychaną krzywdą, bo emerytura na starość wypłacana bywa w Anglji dopiero w 70 ym życia.

Co biedny, sterany pracą, 65 io letni starzec uczyni ze sobą przez te lat 5?

Projekt rządowy pomija zupełnie ubezpieczenie ropotników na wypadek śmierci. Ubezpieczenie tego rodzaju pozostawia rząd i nadal w rękach prywatnych towarzystw. Wdowy i sieroty zabitych na polu pracy robotników będą nadal łupem ajentów ubezpieczeniowych. Tu, jak słusznie „Le Courrier Européen" *) zaznacza, doszukiwać się należy zakulisowych starań dyrektorów przeróżnych prywatnych kompanij i towarzystw ubezpieczeniowych na życie, rozporządzających olbrzymią potęgą finansową.

Jednak obrońcy ludu roboczego w Izbie Gmin, towarzysze z Labour Party, potrafą zapewne usunąć te krzyczące braki projektu rządowego.

I kraj, który pierwszy w historji na śmierć zasądził króla własnego, da przykład bijącej w oczy sprawiedliwości społecznej, odbierając prawnie maleńką cząstkę bezprawnie zabieranej ludowi roboczemu nadwartości. Edw.

---

[1]) Le Courrier Européen z 25/V 1911. Artykuł p. t. „Le projet de M. Lloyd george sur les assurances contre la maladie et le chômage" str. 297.

Rozmaitości

Siedminastoletni zbrodniarz. O zamordowaniu rzeźnika i oberżysty Jana Czekały z Kuźnicy skakawej w powiecie kępińskim „Ostr. Kreisblat" podaje następujące szczegóły: Kiedy Józef Długowski oberzyście Czekale w sobotę doniósł, że w Dobrymgościu można kupić świnie i zamówił go na niedzielę po południu, w niedzielę rano udał się sam do odosobnionej zagrody brata, ukrytej w lesie, aby przygotować narzędzia zbrodni, dwa toporki. Następnie udał się do boro w pobliżu Kuźnicy i ukrył tam siekierę, aby napaść Czekałe, w razie by inną drogą udał się do Dobrygościa. Po tych przygotowaniach pojechał zbrodniarz na kole tuż przed Kuźnicę, aby obserwować swą ofiarę. Gdy około południa Czekała na swym kołowcu opuścił Kuźnicę i najbliższą drogą około owej zagrody udał się do Dobrygościa, zbrodniarz w jak najszybszem tempie udał się do zagrody, oczekując ofiary. Gdy więc Czekała przejeżdżał mimo, zawołał go, rzekomo dla pokazania mu świń Michała Długowskiego. Czekała, nie przeczuwając zasadzki, wszedł do mieszkania, a gdy stąd wychodził do chlewu, Długowski uderzył go toporkiem w tylną część głowy, tak że ciężko ranny osunął się na ziemię. Czekała wołał głośno o pomoc, lecz zbrodniarz zadał mu jeszcze dwa dalsze ciosy, które spowodowały śmierć. Obrawszy ofiarę z zegarka, portmonetki i guzików mankietowych, zbrodniarz zawlókł ją do ogrodu i zagrzebał. Znaleźli ją tam małżonkowie Długowscy, wróciwszy wieczorem do domu. Po zatarciu śladów zbrodni, ukrył kołowiec Czekały w lesie, a sam, aby od siebie odwrócić podejrzenie, jak najszybciej udał się na kole do mieszkania w Dobrymgoście Zrabowane rzeczy ukrył w lesie. Podczas śledztwa podał miejsce, tak że można je było odnaleść. — Chemik sądowy Jeserich z Berlina zawezwany został przez ostrowską prokuratorję, aby na mocy śladów krwi stwierdzić, czy morderstwo popełniła jedna osoba, czy też więcej. Okazało się po dokładnem zbadaniu, że Józef Długowski nie miał innego wspólnika i że zeznanie jego zgadzają się z istotnym stanem rzeczy. Ponieważ jeszcze nie ma ośmnastu lat, zbrodnię sądzić będzie nie sąd przysięgłych, lecz izba karna w Ostrowie.

* * *

Tłusty rekrut. Do stawki wojskowej w Prabutach w Prusach zachodnich, stanął młody człowiek, tylko 1 55 metr wysoki, a ważący 263 funty. Komisja wojskowa uznała go za niezdatnego do służby wojskowej na zawsze.

* * *

Siedem współczesnych cudów świata. Miesięcznik, wychodzący w Chicago, rozpisał ankietę do wybitniejszych

uczonych Europy i Ameryki z zapytaniem, jakie odkrycia i wynalazki dokonane w ostatnim stuleciu przeciwstawićby mogli słynnym w starożytności „siedmiu cudom świata". Odpowiedzi nadeszło przeszło 800. Najwięcej głosów otrzymały: 1)telegraf bez drutu; 2) telefon; 3) awiatyka współczesna; 4) radium; 5) środki antyseptyczne i antytoxyny; 6) analiza spektralna; 7) promienie Röntgena.

* * *

Pierwszy obywatel powietrza. Tak chyba trzeba nazwać małego synka nowojorskiego bankiera Fultona, który urodził się — w aeroplanie. Fulton zapragnął wraz ze swoją młodą żoną użyć wrażeń jazdy napowietrznej; awiator Bothner wziął ich ze sobą, jako pasażerów na aeroplan i podczas tej przejażdżki małżonka Fultona wydała na świat chłopczyka. Ten powinien z pewnością zostać znakomitym lotnikiem, albowiem jest „przynależny" tylko do powietrza.

* * *

Nowe pismo chińskie. Ponieważ w Chinach wszystko ma być nowe, więc w zapale reformatorskim chwycono się i alfabetu. Słusznie. Dotychczasowy alfabet chiński zawierał 80,000 znaków, tak, iż czytanie i pisanie było dostępnem tylko dla uczonych. Chcąc je uprzystępnić szerokim masom, i ułatwić wykształcenie elementarne, postanowiono utworzyć pismo nowe. W tym celu zwrócono się do... Europy. Sekretarz ambasady chińskiej w Rzymie Czao-Li-Czin prowadził długie narady z uczonym orientalistą profesorem języka japońskiego i chińskiego w Instytucie filozoficznym w Neapolu, p. Rivetta de Solonghelo i przy jego pomocy, opracował nowy chiński alfabet. Składa się on z 40 liter — 21 samogłosek i 19 spółgłosek. Z samogłosek: 4 zostało wziętych z alfabetu greckiego, 4 z rosyjskiego, 5 z łacińskiego, jedna jedyna — z chińskiego, 9 pozostałych samogłosek — to połączenie lub przedłużenie kilku razem. Z 19 spółgłosek — 14 jest łacińskich, 3 rosyjskich, 2 greckie. Temi 40 literami można wyrazić piśmiennie wszystkie słowa chińskiej mowy. Nowy alfabet liczy już wielu zwolenników, zwłaszcza w Chinach południowych.

* * *

Ile gorąca może znieść człowiek? W Paryżu zrobiono doświadczenie, które jak na obecne czasy „kanikularne" czyli „ogórkowe", nielada stanowi sensację. Otóż po czterogodzinnym paleniu w piecu, zbudowanym cylindrycznie, wszedł doń 43-letni hiszpan, ubrany w wełniane pantalony, gruby wełniany płaszcz i duży słomkowy kapelusz. Hiszpan, siedząc na stołku, pozostał, w piecu czternaście godzin (?!) i śpiewał, gdy obok niego piekło się kurczę. Gdy wyszedł z pieca, puls uderzał mu 134 na minutę, 62 uderzeń więcej, niż przy wchodzeniu do pieca. Piec ogrzano na nowo i „człowiek asbestowy" wszedł doń po raz drugi, zjadł kurczę i wypił na zdrowie widzów butelkę dobrze omszałego węgrzyna. Tym razem pozostał w piecu przy 110 stopniach R., a puls uderzał 176 na minutę. Wnet powtórzył eksperyment po raz trzeci i ostatni. Wsunięto go do pieca z deską, na której leżały świece i zamknięto drzwiczki. Po pięciu minutach otworzono je, świece znaleziono stopione, „człowieka ogniowego" zaś całkiem zdrowego i wesołego, tylko puls uderzał 200 razy. Rzucił się do zimnej wody, a po trzech minutach nie było i śladu prób poprzednich. Jeżeli z jednej strony owemu doświadczeniu nie można przypisać szerszego znaczenia, to z drugiej strony przekonuje nas ono, że — jeżeli mus — to i normalny człowiek znieść może znacznie wyższą temperaturę, aniżeli się ogólnie przypuszcza, bez szkody dla swego zdrowia, o ile znów nie pozostaje w niej zbyt długo.

* * *

Przeciwko cholerze. Doktor Roux przedstawił francuskiej akademji nauk rezultat doświadczeń Dr. Nicolle'a który w celu uodpornienia organizmu ludzkiego przeciwko cholerze, dokonał szeregu wstrzykiwań do naczyń krwionośnych czynnych zarazków cholery. Osoby, które poddały się tym próbom, odczuły pewną niedyspozycję połączoną z gorączką; po wstrzyknięc u powtórnem wystąpiły te same objawy w nieco mniejszym stopniu, poczem trzy z pośród tych osób, zgodziły się na ostateczną próbę: połknięcie pewnej ilości żywych bakcylów cholery, co nie wywołało najmniejszych zaburzeń w ich organizmie. Dr. Roux sądzi, iż Nicolle jest na dobrej drodze do odkrycia skutecznego środka przeciw cholerze, lecz próby wykonane nie dają jeszcze absolutnej pewności; stwierdzenie skuteczności wstrzykiwań wymaga całego szeregu doświadczeń.

* * *

Bogactwo Stanów Zjednoczonych. „Ros. Ameryk. Wiestnik", wychodzący w Petersburgu, podaje cyfry ze statystyki rozwoju Stanów Zjednoczonych. Bogactwo Stanów Zjednoczonych w r. 1880 wyniosło 43 600 000 000 dolarów, w r. 1904 wzrosło do 107 100 000 000 dolarów, obecnie dosięga cyfry stu pięćdziesięciu miljardów dolarów. Na jednego mieszkańca wypada 1500 dolarów. W 28 500 bankach znajduje się złożony 16 500 000 000 dolarów (zwiększenie 100 proc. od 1900 r.), kasy oszczędności przechowują wkładek na 4 200 000 000.

Żaden inny kraj nie może się pochwalić tak wielką sumą oszczędności. Zapasy złota dochodzą do 1 750 000 000 dolarów, czyli więcej aniżeli w Anglji. Co do ludności w r. 1900 liczono 76 000 000 dusz, 1910 jusz 64 000 000 t. j. przyrost w ciągu lat dziesięciu wyraził się w cyfrze 18 miljonów. Produkcja fabryczna w r. 1904 ocenianą była na 15 000 000 000 dolarów, już w roku 1909 równała się 20 000 000 000 dolarów, co wynosi 40 proc. przyrostu w ciągu 5 lat. Produkcję rolniczą Stanów Zjednoczonych w r. 1910 oceniono na 9 926 000 000 dolarów.

* * *

W. Morgan Shuster, były generalny dyrektor skarbu w Persji, który tak ważną rolę odegrał w polityce perskiej w r. u. ogłasza dzieło pod tytułem: „Zduszenie Persji", z którego „Century Magaziny" pomieszcza obecnie rozdział, dotyczący roli, jaką odegrała kobieta perska w polityce. Poczas ostatnich pięciu lat — pisze W. Mongan Shuster — kopiety perskie stały się nagle najpostępowszemi, ażeby nie powiedzieć najradykalniejszemi w świecie. Zdumiewający to fakt, a jednak prawdziwy. Bez potężnego moralnego wpływu kobiety perskiej, krótkotrwały, ale świetnie kierowany ruch rewolucyjny w Persji, stałby się zaledwie szybko przemijającym protestem. Kobiety to, wychyliwszy się ze swego klasztornego życia, przy patrjotycznej pomocy kapłanów islamskich dobomogły ruchowi narodowemu do uzyskania konstytucji i wtargnięcia wpływów zachodnich. W ciągu lat pięciu, które nastąpiły po płodnej w powodzenie, lecz bezkrwawej walce Persów w r. 1906 przeciw nieznośnemu uciskowi i okrutności ich szacha, w zasłoniętych oczach kobiecego świata perskiego zapłonął gorączkowy i dumny blask miłości ojczyzny. W ich pragnieniu wolności poświęciły wiele najświętszych obyczajów, związanych od wieków z ich płcią".

Dalej opowiada Shuster, jak w ciągu nocy zasłonięte kobiety bliskiego Wschodu zbudziły się nagle ze swej długowiekowej nieletności, podjęły rolę w polityce, zostały nauczycielkami, dziennikarkami, założycielkami klubów kobiecych, mówczyniami ludowemi. Szczególne znaczenie mają liczne związki tajne kobiet perskich, doskonale zorganizowane i kierowane przes komitet centralny. „Do dnia dzisiejszego — pisze Shuster — nieznane mi są ani nazwiska, ani twarze kierowniczek tego szeroko rozgałęzionego ruchu, ale w setkach różnorodnych wypadków zauważyłem, że w dążeniach moich nader skutecznie popierany byłem przez patrjotyzm tysięcy kobiet". I między innemi opowiada autor o szeregu takich wypadków. Pewnego dnia oznajmiono mu, że pragnie z nim mówić jeden z urzędników perskiego departamentu skarbu; wszedł nieznany mu zupełnie młody człowiek i ostrzegł, aby nie bywał w domu jednego z perskich „możnych", ten bowiem jest jego zaciętym wrogiem. Na zapytanie skąd wie o tem, objaśnił, że matka jego jest zwolenniczką sprawy Shustra i dała mu to zlecenie. Okoliczność ta była omawiana w tajnym związku, do którego matka należała. Przy wszelkich protestach właściwą ich siłą kierowniczą były kobiety. Sprawdziło się tu stare perskie przysłowie, że sytuacja staje się poważną, gdy kobieta

bierze udział w buncie. Przekonawający dowód o odwadze i wierności obowiązku kobiety perskiej miał Shuster przy innej sposobności. Po śmierci brata eksszacha, księcia Szuaes-Saltaneh, bank rosyjski w Teheranie zgłosił pretensję miljona franków, które, jakoby miał księciu pozyczyć. Trudno było wystąpić przeciw żądaniu temu bez dostatecznych dowodów. Ale oto zgłosiła się do Shustera pośrednio jedna z żon księcia, posiadająca podpisany przez niego testament z wykazem wszystkich jego posiadłości na jej rzecz zapisanych. Przez patrjotyzm i poczucie obowiązku przedstawiła ów dokument, na mocy którego można było dowieść, że żądanie banku było nieuzasadnione. Gdy rząd rosyjski postawił 29 listopada 1911 roku swoje ultymatum. Zgromadzenie narodowe odrzuciło przyjęcie trudnych warunków. Wkrótce jednak okazało się, że zgromadzenie nie wytrwa. Wówczas kobiety teherańskie postanowiły uciec się do rozpaczliwego kroku. Trzysta kobiet z najwyższych sfer, wyszedłszy ze swych dookoła zamurowanych podwórzy, w czarnych szatach, z zasłoniętemi twarzami, wyruszyło ku budynkowi parlamentu. W fałdach sukien i rękawów miały ukryte rewolwery. Dotarły przed oblicze prezesa, odrzuciły w obliżu wszystkich ministrów zasłony, podniosły do góry rewolwery i zagroziły, że pozabijają mężów własnych i synów, a potem siebie, jeżeli będą się wahali w swoich postanowieniach.

* * *

Prezenty dla „Pałacu Pokoju". „Pałac Pokoju" w Hadze będzie jednym z najbiękniej udekorowanych gmachów w Europie. Wszystkie państwa, nie przestając składać ofiar bóstwu wojny, spieszą jednocześnie z darami dla anioła pokoju. Dla upiększenia pałacu Francja ofiarowała ceny obraz do sali obrad i gobelin do „sali małej".

Anglja złożyła w darze witraże do okien w sali obrad. Holandja — sześć witraży do okien klatki schodowej oraz cztery cenne obrazy pendzla Ferdynanda Bola, ucznia i następcy Rembrandta. Belgja — portal z bronzu, ozdoby z żelaza kutego. Włochy — marmury dla wielkiej sali „des pas-perdus". Szwajcarja — artystyczny zegar wieżowy. Niemcy — monumentalny portal wejścia do parku. Rosja — bardzo cenną wazę. Danja — fontannę z porcelany duńskiej przeznaczoną na podwórze wewnętrzne. Szwecja i Norwegja granit. Stany zjednoczone — wspaniałą statuę, która zostanie ustawiona w dole schodów głównych. Argientyna — kopję statuy „Chrystus Andów", wzniesionej w Kordyljerach na wysokości 4200 metrów na pamiątkę polubownego załatwienia sporu z Chili. Brazylja — cenne buazerje. Austrja — kandelabry bronzowe. Węgry — i kobierce. Chiny — cztery cenne wielkie wazy emaljowane. Japonja — olbrzymi cenny kobierzec. Turcja — również kobierzec niebywałych dotychczas rozmiarów, który pokryje całą posadzkę wielkiej sali obrad.

Dowcipnisie twierdzą, że na tym wielkim kobiercu tureckim będzie, zapewne, rozważana często również wielka kwestja turecko-bałkańska.

* * *

Student mordercą. Z Frydka donoszą: przed kilku dniami znaleziono przy moście nad Ostrawicą we Frydku zwłoki 13-letniej Marji Uherkówny. Znaki na zwłokach dziewczynki wskazywały, że padła ona ofiarą mordu z lubieżności. Policji udało się aresztować sprawcę tego bestjalskiego czynu. Jest nim, jak podają gazety, 25-letni student z Kołomyi, Edmund Glaser, którego policja wyśledziła i odstawiła do sądu.

Dymokrackie medykacje.

Podobało sie kierymuś na cysarskiem; bo tam dobre robiół gieszefty na ratowaniu ziymi polskiyj, to se i kabza naprawiół, a terazki i zdrowie se nieco naprawiół kuracyją w uzdrowisku, to mu sie tyż już nic a nic nie podobo haw na Śląsku.

Po tymu terazy tyn „poważny obywatel" zrobiół wojna wszyjskim „denuncjantom a bandytom a buksom", jyno zaboczół zacząć od siebie nojpiyrwy. Bo w „powadze" swyj nie spamiętoł sie na to, iże tako godka jego bez wyświodczyń a powodów je albo ciężko krzywda albo psińco, choć ją umieszczo w pobożnych pismach bytońskich. Takich gryfnych chopów, chtórzy mu za reszpechtem zadki powypinali na jegó zosługi a pedzieli jymu a inkszym o nim jak noleży, terazki szlechtuje od nojgorszych, coby podkopać dó nich zaufanie kamrotów, bo miyni, iże mu dzisiok jeszczy wszyjscy tak wierzą, jako piyrwy, kiej mu wszyjscy jyno kadzili a snosili piyniądze. Zawodem jegó bóło: brać te piyniądze a hulać, kiej nie dali po dobroci, to ocyganić a brać, denuncjować przeciwników, nie na sztacanwalta, fuj!, ale w gazytach, coby ich pozbawić chleba a sławy, — a terazki włazi ta lagramencina na kazalnica i prawi nauki o bandyckiyj etyce. Prawie mo, iże nie użyroł publicznie na bezbronne kobiyty a dziewczyny, kiej pono inksi; ale tyż „poważny obywatel" tak nie robi, jyno weźmie se som potajymnie dziołcha na buda albo do chlywika a zaś do matce nieco w pazury, coby pedziała policajom, iże jyj cera musi iść pod kontrola, bo wdycki takie szpetne prowadzi życie.

Ale inkszym „kierownikom opinji publicznyj", tyż już nieco kierownice popukały.

Na tyn przykłod „Gazyta Ludowo" mo terazki hrube ogłoszynie, iże „walczy bezwzględnie z socjalistami i centrowcami, którzy są najniebezpieczniejszymi wrogami polskości!" Chtó je tym wrogiem polskości, pytom sie, socjaliści czy cyntrowcy, czy można jedni a drudzy? Kiej cyntrum, to mo „Ludowo" prawie, ale o socjalistach to chyba nie. Bo nasi towarzysze niymieccy wdycki bronili a bronią poloków w parlamyncie a w sejmie; no, a my, dymokraci polscy, pono nie bydziem gorsi od nich. A polskości samyj isto wiynkszy służymy, jak polskie partje burżujskie. Bo my budzimy ducha, a burżuje wdycki go usypiają; my chcymy walki dla zwycięstwa, a burżuje polscy nawołują do spokoju, bo potym „jakoś to będzie" pono; my idziemy bez krzyku za hasłami naszych wieszczów polskich, a burżuje tylko je wygłaszają, obchodzą szumnie ich rocznice, a wszycko o swoim czasie, bo interes — wszędy interesem.

No, a jak to bóło w Zebrzydowicach? Kiej testamyntnie tak bóło, jak „Ludowo" pisze, iże na wiecu Młodzieży p. Dziuba „rozwodził się nad systematyczną pracą młodzieży wezwaniem do walki z ciemnotą i naśladowaniem naszych bohaterów narodowych..." to po jakiymu „Ludowo" a jej czytelnicy miynią sie być dobrymi polokami, kiej występują przeciw naśladowaniu naszych bohaterów narodowych? Można wiynkszy katolicko je ta „Ludowo" jak inksze, bo jyj nie styknie już Ojciec św., to se jeszczy wykalkulowała, iże musi tyż być Ujciec św.; no, taki smyk, co herbnie coś po takim świętym ujku dalszym, może sie śmioć.

„Katowicerka" bo już wdycki dzierży sie barometru a termometru. Boroczce nie może pomieścić sie w wiernopoddańczyj pałecie, jak można wydać odezwa przeciwko klimbimom na przyjęcie kierygóś przyjociela domu panującygó. Tako odezwa opowożyli sie wydać wyższe szkólniki galicyjsaie, to im tyż „Katowicerka" kiwo palicem w bucie, iże w Prusach karzą synków, kiej są nieskromne. Ale tu zaś cygani. Bo w Prusach wolno wyższym synkom wszycko: wolno kamiynie kłaść pod pociągi, wolno bić wyborców, wolno zagojniki niszczyć, kiej są w „jungdajczlandzie", wolno szkudom po całych dniach smykać sie w pochodach po ulicach z bębnami, piszczołkami a trąbami, a w nocy tyż po wsiach budzić miyńszkańców. To wypaduje tak: Katowicerka chce wdycki pono hałasów, bo pruskich synków chwoli za nie, a polskich na cysarskiem gani za to, że nie chcą hałasować. Ale to już je taki tyn patryjotyzm pruski.

Ale tyż czas bółby, coby te psie dnie sie skóńczyły, bo człek s tym wszyckim ślozby na psa.

Gustlik Beskuryjo.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott w Katowicach.

Nr. 32. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 10 sierpnia 1912.

NA CMENTARZU.

— Zmarł!...
— Taki młody... lat 19!...
— Jakie to straszne!... nie żył jeszcze!...

. . . . . .

Kroczą smutni... odwiedzić.
— Tu!

Dom obwarowany gęstą masą błota. Kuchenka, pokoik!... nie, nora, ściany wilgocią zapłakane, duszna pleśń w powietrzu, to warsztat ojca robotnika chałupnika i zarazem kuchnia, sypialnia, jadalnia, bawialnia, pralnia itp. dziewięciorga dusz, a teraz jego krypta. Małe okienka, drżące na zawiasach, wyglądają na gnojówkę przed stajnią dorożkarskich koni. Stąd to czerpie pleśnią stęchłe wnętrze eter, tlen i azot dla nich dziewięciorga.

Hygieniści!!! Chodźcie, wymierzcie, ile metrów kubicznych powietrza służyło za pokarm chorym jego piersiom?! Ile pleśni, bakcylów tuberkuły i malarji rzeźbiło jego płuco, ile ich wchłonął na swe uzdrowienie?!

Tu żył, chorzał, leczył się i skonał...

I tu po pracy znalazł jeszcze czas i kat, by zgłębić książkę, brzęknąć w drżącostruną mandolinę lub pozwolić skrzypkom śpiewać, czy znów kredką utrwalić myśli swoje, lub ubarwniać akwarelą.

I tu, w tej norze, na tem bagnie, wyrósł on, taki czysty, rzeźki, śpiewny, kwitł, łudząc ojca, matkę, że weźmie na swe młode barki ciężar ich starości.

Legł!...

Bakcyl śmiercionośną kosą ściął ten kwiat życia, które nie żyło jeszcze — życia, które swemi iskrzącemi oczyma młodego orła goniło widziała piękna, istniejącego... nie dla niego.

Zakopane! Abazje! Merany! Czy wy wiecie, że on oddałby tę gnojówkę w podwórzu za was!... oddałby swój kąt za werandę południową, a barłóg swój za leżak na werandzie?!

Na krótko!... na krótko!... na tygodnie tylko odetchnąć...

Byleby tylko miał zdrowie... będzie miał pieniądze!.. wynagrodzi!...

Nie! nie! stokroć nie!

Byleby miał pieniądze, byłby miał i zdrowie! Otwarłyby się gościnne wasze podwoje!

Tak się plączą aforyzmy naokoło Zakopanego, Abazji i Meranu!

A on młody, leży sztywny, jak świadectwo hańby ubóstwa. Młodość jego usiłuje zasłonić martwotę, ale rzeczywistość przedziera zasłonę... Leży nieruchomy...

Skrzą się łzy u młodych braci, starzy oczy wypłakali...
— Najstarszy... pomoc nasza... martwy!...
— Jeszcze nie żył, a już przeżył!...

. . . . . .

— Żegnaj nam! — huknęli druhowie, a jęk szlochania wtórzył z tłumu.

Ruszył tłum smętny, przygnębiony, ni jednej w nim pełnej, niestroskanej twarzy, same wynędzniałe... to przyjaciele i sąsiedzi... bracia po krwi, zawodzie i... chorobie... Jutro oni za nim zdążą...

Zostawmy łzę i dla nich!...

Tabo.

Z ruchu spółdzielczego.

Trzy formy ruchu robotniczego: organizacja polityczna, zawodowa i spółdzielcza tworzą razem tę trójcę, która jest klasyczną dla społecznego rozwoju proletarjatu. Każda z tych trzech form jest zazwyczaj autonomiczną, lecz powinna stać blisko powstałych dwóch i tworzyć z niemi faktycznie jedną całość. Rozwój kapitalizmu, organizacyj przedsiębiorców i zaostrzenie się walki klasowej w samej rzeczy coraz bardziej spajają te trzy formy.

Weźmy np. Niemcy. Przed kilku laty słyszeliśmy tam o poważnych dyferencjach pomiędzy związkami zawodowymi a partją. Związkowcy jak gdyby nie doceniali organizacji politycznej i sceptycznie patrzyli na wiele kroków partji — na energiczną propagandę święta majowego, na przyjęcie przez partyjny kongres strejku generalnego do arsenału partji i na wiele innych rzeczy. Obecnie o tych dyferncjach nie słyszeliśmy już oddawna.

Tenże sam znamienny proces zaczyna się teraz odbywać w stowarzyszeniach spółdzielczych. Jak wiadomo, przed kilku laty robotnicze organizacje spółdzielcze oddzieliły się w Niemczech od ogólnej, wspólnej z burżuazją organizacji spółdzielczej, zakładając własny „centralny związek niemieckich stowarzyszeń spożywczych“. Związek ten, jak zobaczymy poniżej, rozwija się nader szybko, a kolosalne, zaiste imponujące zakłady w Lipsku, Hamburgu, Dreznie są chlubą niemieckich robotników.

W kierownictwie jednak organizacji związku spółdzielczego są ludzie, którzy sądzą, że wszelkie markowanie ideowego pokrewieństwa z socjalną demokracją byłoby szkodliwem dla rozwoju konsumów. Konsumy poprostu mają być gospodarczą organizacją wszystkich konsumentów i niczem więcej. Propaganda socjalistyczna w organizacjach spółdzielczych ma tylko zrażać i odstręczać członków.

Zapominali przytem dzielni zresztą i sprężyści kierownicy niemieckiego ruchu spółdzielczego, że de facto w związku robotniczych konsumów zorganizowani są ci sami robotnicy, którzy są członkami wolnych związków zawodowych lub partyjnej organizacji politycznej.

Lecz ten okres ultraautonomizmu mija. Od roku mniej więcej w pismach spółdzielczych zaniechano antypartyjnych wycieczek. I obecnie mamy przed sobą tenże sam proces, o którym była mowa przy związkach zawodowych: zbliżenie się (przy zastrzeżeniu zupełnej autonomji) do partji. Zdaniem tow. Göhrego, projekt stworzenia olbrzymiego akcyjnego stowarzyszenia dla ubezpieczenia opartego na konsumach i związkach zawodowych zbliży te organizację.

Jest to imponujące, olbrzymie przedsięwzięcie, o którem „Vorwärts“ powiada, że po przeprowadzeniu stanie się „potężnem dziełem socjalno politycznem dla miljonów robotników“.

Otóż przy urzeczywistnieniu tego projektu organizacja spółdzielcza będzie musiała koniecznie działać w ścisłem porozumieniu się z generalną komisją związków zawodowych i partją.

To niezawodnie oznacza przełom w dotychczasowej ewolucji niemieckich konsumów robotniczych i spowoduje zbliżenie się partji do takowych.

A teraz rzućmy jeszcze okiem zaprawdę na nadzwyczajny wzrost niemieckich konsumów robotniczych, wzrost, który może godnie stanąć obok wzrostu związków zawodowych i socjalnej demokracji.

W r. 1903 przy wystąpieniu z ogólnej organizacji spółdzielczej i założeniu organizacji konsumów robotniczych, liczyła ta ostatnia organizacja 575 tysięcy członków. Obecnie zaś „centralny związek niemieckich konsumów" (robotniczych) liczy 1,324 722 członków, 1,3 miljona członków!

To samo z obrotem ogólnym, który wzrósł ze 176 i pół miljonów marek na 506 miljonów marek!

Jak wiadomo, niemieckie konsumy robotnicze dawno już przeszły do własnej produkcji we własnych zakładach przemysłowych. We własnych zakładach 1903 wyprodukowano towarów na 14 i pół miljona marek, w roku zaś 1911 — na 80 i pół miljona marek.

Rzecz oczywista, te suche cyfry nie dadzą jeszcze należytego wyobrażenia o wspaniałym rozkwicie niemieckich konsumów robotniczych, energicznie popieranych przez socjalną demokrację. To ostatnie stanowisko wobec konsumów zajęła w roku 1910 na zjeździe partyjnym w Magdeburgu, uchwalając rezolucję, podkreślającą ogromne znaczenie konsumów dla walki klasowej, zaznaczającą, że „konsumy załatwiały swe sprawy samodzielnie i niezależnie, stwierdzającą jednak, ze im bardziej członkowie konsumów utożsamiają się z członkami partji i związków zawodowych oraz im bardziej są przeniknięci duchem tych ostatnich, tem lepiej mogą spełniać swe doniosłe dzieło socjalne". Rezolucja wskazuje między innemi, że burżuazja niegdyś bardzo rozczulała się nad organizacją spółdzielczą i polecała ją proletarjatowi, lecz „wraz z wzrostem jej gospodarczego znaczynia i obostrzeniem się walki klasowej wzrasta wrogi stosunek w kołach burżuazyjnych", i burżuazyjne rządy przez szykany wszelkiego rodzaju starają się zatrzymać zwycięski pochód robotniczej spółdzielczości.

Iluzje tych, którzy w spółdzielczości widzą alfę i omegę ruchu robotniczego, pryskają. Natomiast wzrasta jej znaczenie w ogólnej walce klasowej. I trzy zasadnicze (obok organizacji oświatowej) formy ruchu robotniczego harmonijnie maszerują od zwycięstwa ku zwycięstwu, zachowując zresztą swą autonomię — oddzielnie idą, lecz razem biją!

Objaśnienie programu Międzynarodowej Socjalnej Demokracji.

Socjalista przyznaje, iż praca jest nieuniknioną dla dostarczenia człowiekowi środków do życia, ale oburza się na pracę przymusową, za długą, w niezdrowem otoczeniu, upokarzających warunkach i za niedostateczną zapłatą; — a także socjalista uważa za klęskę społeczną to, iż mnóstwo ludzi nie może znaleźć pracy, podczas gdy inni są przepracowani do ostatecznych granic.

Nie każdy z ludzi obeznanym jest ze statystyką, aby dokładnie wiedział — ile kosztują: wojny, kryminały, sądy i policja, ale każdy, zwyczajny człowiek patrzy i widzi, iż przy dzisiejszym kapitalistycznym ustroju dzieją się następujące rzeczy:

Ludzie najpożyteczniejsi, ludzie pracy — żywią się źle i niedostatecznie — źle są odziani i mieszkają ciasno i niezdrowo.

Pracując w niezdrowych lokalach i za długo, za niedostateczne wynagrodzenie i w upokarzajacych warunkach poddaństwa względem swoich pracodawców lub ich przedstawicieli.

Nigdy nie są pewni, kiedy choroba, wypadek, kryzys lub kaprys właściciela pozbawi ich sposobu do życia i pogrąży w nędzę, z nieodzownem włóczeniem się z miasta do miasta, z kraju do kraju za chlebem.

Znaczny procent małoletnich musi pracować, niszcząc swoje siły, aby pomódz rodzicom.

Mężczyźni, kobiety i dzieci często znajdują się w takim położeniu, iż muszą kraść, żebrać, a oprócz tego młode kobiety dość często zmuszone są handlować swojem ciałem, a wszystko aby żyć i dać żyć innym.

Masy są poniewierane, okradane i wysysane w najrozmaitszy sposób i obdzieranie ze wszelkich szlachetniejszych porywów, w walce za zdobyciem kawałka chleba.

Wszyscy ludzie, którzy nie są ślepi i głusi wiedzą, że to wszystko dzieje się wszędzie i codzień, ale nie wszyscy zdają sobie z tego sprawę i rozumią, iż te wszystkie cierpienia większości ludzi mają swe źródło: w przywłaszczeniu sobie źródeł bogactw przez niewielu i w przekazywaniu tego dziedzictwem, w dochodzie bez pracy, w procencie od kapitału; w konkurencji, która najporządniejszego człowieka zmusza do krzywdzenia bliźniego, aby samemu nie być zdeptanym pod nogami innych — i w całem niezwykle kosztownym systemie, aby te rzeczy w takim stanie utrzymać i przelać na następne pokolenie.

Ludzie nie krzywdzą jeden drugiego, dlatego, że są źli, ale zmuszeni są tak postępować dla korzyści, aby samemu nie spaść na dół. Kapitalista gniecie robotnika, nie dla przyjemności, ale po to, aby siebie i swoją rodzinę zbogacić.

Socjalizm wszystkie to niezdrowe okoliczności chce usunąć, aby uniemożliwić używanie jednym przez krzywdzenie drugich.

Socjalizm zamierza każdego postawić na własne nogi i na równym, pewnym gruncie.

Socjalizm przedewszystkiem musi zdemokratyzować społeczeństwo tak, aby ludzie naprawdę sami się rządzili. a jednocześnie zamierza ziemię i wszelkie źródła produkowania przelać w ręce i na korzyść ogółu (to jest państwa, gminy, miasta); następnie konkurencję zastąpic kooperatywą — zniszczyć procent od kapitału, czyli zysk bez pracy — i tem samem zapewnić każdemu całą wartość jego pracy, rozumie się, po potrąceniu na utrzymanie rządu i jego obowiązków — upraszczając tym sposobem i zmniejszając koszty administracji; chce znieść liczne, a nieprodukcyjne posady i zajęcia — usunąć, a przynajmniej znacznie zmniejszyć militaryzm, przez obdarzenie niepodległością wszystkich narodów i zaprowadzenia wolnego handlu pomiędzy nimi — nareszcie zrównać prawnie kobietę z mężczyzną — i zapewnić każdemu jego osobistą niezależność poza pewnymi obowiązkami.

Nie są to marzenia optymistów, ale rzeczy możliwe i oparte na rachunku.

Socjaliści wiedzą, czego chcą — jakiemi drogami mają ku temu dążyć — i nie przestaną wszelkiemi sposobami walczyć za urzeczywistnieniem swoich ideałów.

Zanim będzie można dokonać zupełnego przewrotu, do czego socjalizm dąży i zawsze ma na względzie, tymczasem stara się polebszyć warunki bytu klasie pracującej, jeszcze w ramach obecnego kapitalistycznego ustroju, wszędzie gdzie to jest możliwym, przez zdobycie następujących reform:

Ośmiogodzinnego dnia pracy i usunięcia dzieci z fabryk, co umożliwi należycie zajęcia każdemu, a jednocześnie ułatwi podniesienia poziomu zapłaty.

Zaprowadzenie państwowych (bez potrącania) ubezpieczeń od wypadków, choroby, niezdolności do pracy i pensji na starość — i ustanowienie miminum zarobko.

Rzetelnej inspekcji miejsc pracy, pod względem bezpieczeństwa i zdrowotności.

Obdarzenie pełnemi prawami kobiety.

Zaprowadzenie inicjatywy, referendum i odwołalności urzędników.

Stopniowe uspołecznienie takich przemysłów, które już do tego dojrzały, jako to: kopalń, lasów, kolei, kompanji okrętowych, telegrafów, gazowni, motorów parowych i elektrycznych i t. p.

Nareszcie popieranie niepodległości, a przynajmniej autonomji wszystkich dążących do tego narodów i zaprowadzenia międzynarodowych sądów polubowych w stosąkach międzynarodowych.

Aby tego dokonać i zbliżyć się do społecznej rewolucji, socjaliści prawie już na całym świecie zgodzili się używać obu metod: ekonomicznej — przez związki zawodowe, a następuie przemysłowe i strejki — i politycznej — przez dążenie do opanowania prawodawstwa, a przynajmniej do uzyskania wpływu na nie, proporcjonalnie do liczby proletarjatu.

Rozmaitości

Pańszczyźniane czasy! Namiestnik Bobrzyński, obejmując rządy, przyrzekał solennie zreformowanie administracji i wprowadzenie europejskich stosunków do galicyjskiej chińszczyzny starościeńskiej. Ale nic się nie zmieniło i po dawnemu rządzi w starostwach samowola i poniewierka każdym, kto nie jest uprzywilejowanym szlachcicem. Dowodem tego niesłychany wprost fakt, jaki się zdarzył we środę ubiegłą. Fornal dworski Tomasz Żurek w Czyżynach zwoził zboże, przyczem spadł mu snopek z wozu. Zobaczył to dzierżawca Czyżyn niejaki Morawiecki, więc też ojców swoich obyczajem zwyzywał człeka najostatniejszymi wyrazami, wśród których to obelg „podłe ścierwo" było najwonniejszym komplimentem, wyszturkał go porządnie i... pojechał do starostwa na skargę! Tutaj adjunkt Zaleski, którego sprawkami mieliśmy już kilkakrotnie nieprzyjemność się zajmować, wręczył Morawieckiemu wezwanie dla Żurka na następny dzień. Żurek stawił się w starostwie, gdzie go Zeleski pouczył, przemawiając do starszego człowieka przez „ty", że panu wolno bić tylko, żeby oka albo zębów nie wybił, nie pozwolił się chłopu tłómaczyć, lecz skazał go na 3 dni aresztu, a nie pouczając o tem, iż Żurkowi przysługuje prawo rekursu, natychmiast odprowadzić go kazał pod telegraf, gdzie biedny człowiek przesiedział 3 dni! Litościwy obszarnik, nasyciwszy zemstę, wyrzucił Żurka ze służby, zabierając w zamian za wydaną naprzód ordynarję kilka zagonów ziemniaków, które sobie Żurek posadził na pańskiem!

Powyższy fakt jest brutalnem nadużyciem władzy i bezkarnie nie ujdzie Zaleskiemu. Jakiem prawem może tego rodzaju wyroki ferować zwyczajny manipulacyjny urzędnik? Dlaczego chłopa nie pouczono o przysługujących mu środkach prawnych, lecz odrazu zapakowano do kryminału? Jeżeli zachodziło przekroczenie, to sprawę należało oddać sądowi, który nigdyby nie skazał człowieka tak dotkliwie, jak to zrobił starościeński „prawnik" z IV normalnej Zaleski. Stosowanie patentu z r. 1854 z przed konstytucyjnej ery, oddaje bez apelacji w ręce mściwego urzędnika, pozostającego na usługach obszarnika, wolność robotnika. W sprawie tej interweniował w starostwie poseł Klemensiewicz, którego żądania w zupełności uwzględnił p. wiceprezydent namiestnictwa Fedorowicz.

Trzeba się widocznie wziąć na nowo do nauki dobrych obyczajów urzędników starościeńskich i wyplenić resztki pańszczyźnianych pojęć, plątających się po głowach niektórych paniczów, wylegujących się w starostwach!

* * *

Kwiatek obecnego systemu szkolnego. Westfalski organ narodowych liberałów w Herne, „Herner Zeitung" podaje list jakiegoś polaka, pisany w języku niemieckim do sądowego komornika, i dołącza kilka uwag szyderczych. W następującem podajemy ów list. Adres brzmi:

An
Herren Gerichtsvollziehr
der in der Strasse wo
Foerderstrasse nr. 118 Wohnt. der die Dienstleitung hat in
Hörne Westfalen.

W liście pisze:

Szmarzewo, den 20. 1. 1912.

Volmuder sach ich bite Hrn Gerieks Folizier diese sache von Kazmier Langner biet sie belegt das lohn nie ses Jozef Klimczak, ich hat geeug mit Amt Geriech von amt Gericht chat vole Nase.

An Volmuder
in Samarzewo bei Sokelstein.
Kr. Wressen P. Posen.

Treść listu trudno zrozumieć.

Niemiecki organ liberalny zamiast szydzić z powyższego listu, powinien się domagać zmiany systemu szkolnego, który wyklucza dziś ze szkół używanie do tłomaczenia języka polskiego. W czasach, gdy w szkołach pruskich jeszcze posługiwano się językiem polskim, takich kwiatków kultury pruskiej nie znaliśmy.

Jak się ustrzec od łysiny? Pisma humorystyczne mogą niebawem utracić najobfitszy temat — konceptów: po tysiącu innych „niezawodnych", znalazł się nowy środek, „najniezawodniejszy" na łysinę, w dodatku — łatwy do zastosowania dla tych, którzy nie oglądają się na to, co o nich pomyślą inni. Wyłuszcza go w świeżo wydanej w Lipsku broszurze dr. med. Max Mayer z Bernstadtu, w Saksonji, dlaczego łysina spotyka się częściej u mężczyzn, niż u kobiet. Dochodzi do dwu wniosków: pierwszym, że mężczyźni myją lub zlewają głowę zimną wodą; drugim, że noszą kapelusze twarde, nie przepuszczające powietrza i że te kapelusze przylegają szczelnie do włosów — nie tak, jak u kobiet, które zabezpieczają się podkładkami, sztucznymi warkoczami, lokami itp. Że taka, a nie inna jest przyczyna łysin, autor dostrzega to w fakcie, że czaszki obnażają się w tych właśnie miejscach, które osłania kapelusz. Niejeden może sobie dać ostrzydz włosy, nie zdejmując wcale kapelusza, tak ściśle zaznaczona jest granica. A rada na to jaka? Używać jak najmniej kapeluszy filcowych, cylindrów i, o ile na to pozwala — deszcz lub słońce — chodzić z kapeluszem w ręku. Dodajmy, że przed wynalezieniem owej metody dr. Mevera, stosował ją sławny ilustrator polski Andriolli i — potwierdził ją — niesłychanie bujną czupryną.

* * *

Koszta odkrycia Ameryki. Wiedeńska „Zeit" donosi: W Palos w Hiszpanji, odkryto niedawno stare dokumenty, zawierające szczegóły o organizacji wyprawy Kolumba celem odkrycia „nowego świata". W notatkach podane są również koszta przygotowania ekspedycji. Budowa flotyli Kolumba kosztowała ogółem 15 tys. koron; Kolumb i jego oficerzy wydali na osobiste potrzeby 2 tys. koron; załoga otrzymywała na głowę 6 koron miesięcznie. Z uwagi, że cała podróż trwała pół roku, wszystkie koszta wyprawy dosięgły zaledwie sumy 23 tys. koron. W porównaniu z obecnemi kosztami przejazdu okazują się one niższe od należytości, płaconej za dwa luksusowe gabinety w wielkich parowcach za przejazd do Stanów Zjednoczonych i z powrotem.

* * *

Walka żebraków. W Otwocku pod Warszawą istniała zorganizowana banda żebraków z hersztem na czele, do której należeli: żebracy-kalecy, śpiewacy podwórzowi, muzykanci i t. d. przeważnie żydzi. „Organizatorzy" nie uprawiali osobiście żebraniny, lecz czuwali nad ogólnym „porządkiem", odbierali co wieczór pieniądze „zarobione" przez „pracujących" żebraków, kontrolując ich też z daleka, czy sumiennie pełnią obowiązki. Od niedawna powstała druga organizacja podobna, w Falenicy, wskutek czego dochodziło często do bójek między konkurentami. Wreszcie obie strony zdały się na sąd polubowny, który odbył się w Warszawie i którego wyrokiem obie organizacje zmuszone zostały do połączenia się i utworzenia „centrum" w Falenicy.

* * *

Walka z muchami. W Nowym Jorku wypowiedziano wojnę muchom. Zabrano się do wytępienia tych owadów z całą zaciętością, a zarazem według z góry ułożonego planu. Przedewszystkiem wyznaczono jeden tydzień, przedtem zaś wszystkie pisma pomieściły artykuły, wyjaśniając poglądowo szkodliwość much roznoszących bakterję, oraz środki do ich wytępienia. Dzieci, które w wyznaczonym tygodniu najwięcej much wytępiły, otrzymały bilety do teatrów w nagrodę.

Oprócz pism wszystkie kinematografy dawały darmo przedstawienia, wyjaśniające szkodliwość much. Nawet prezydent Taft wypowiedział się za walką z muchami.

* * *

Walka dzikich kóz z orłem. Z Zurychu donoczą: Pewien przewodnik w Alpach szwajcarskich obserwował z bliska walkę dwóch dzikich kóz z orłem. W odległości 30 metrów od niego stała para kóz z młodemi pomiędzy skałami. Nad niemi szybował potężny orzeł, zataczając wkoło nich coraz węższe kręgi. Kozy uciekając, zbiegały na dół ze skały blisko przewodnika alpejskiego. Nagle orzeł spuścił się na nie. Kozy stanęły gotowe do walki.

Orzeł uderzał na nie dziobem i skrzydłami. One usiadłszy na tylnych nogach, uderzały orła rogami. Młode kózki tuliły się przytem do starych, becząc głośno. Walka długo trwała bez rozstrzygającego wyniku. Nareszcie duży kozieł zadał orłowi rogami ranę w piersi i potem go dobił.

* * *

Banki w starożytnym Babylonie. Dotychczas utrzymywano, że instytucja banków wynalezioną została przez Włochów w VII. stuleciu.

Świeżo profesor berliński Hilprecht, w trakcie poszukiwań archeologicznych w Azji, natrafił w świątyni Baala w Nippur, na archiwa dwuch instytucji bankowych, istniejących w starożytnym Babylonie pod firmą: Egibi i Syn i Muraszu i Syn.

Oczywiście archiwa te nie są podobne do nowoczesnych urządzeń biurowych. Zapiski robiono na glinianych tabliczkach, któremi posługiwano się także do wystawiania czeków. Podpisy dawano zapomocą pieczęci lub odcisku paznokcia wielkiego palca.

Widać z tego, że sposóp identyfikowania zapomocą odcisku palców nie jest nowym.

Wymienione firmy zajmowały się także wymianą pieniędzy; dawały pożyczki na 20 proc., więc domyślić się można, że robiły doskonałe interesy.

Dymokrackie medykacje.

Kieryś poważny obywatel napisoł w poczcie rydachcyji pism bytońskich do pana Juljusza Fryczego w Oberśląskim Kurierze, coby mu dali pić; no, to mu tyż i dali, uoj, ale mu tyż dali. Nie wiym, jak można na tako czysto karta, jako se wystawiół, napluć tymu zasłużonymu na niedziela taki szpajzecetel, co sie miyni jadłospis: oszustwo, sfałszowanie weksla, sprzeniewierzynie, zaćmiynie bilansu a niewierność, a jeszczy jo, Gustlik Beskuryjo, opowożółech sie wypomnieć mu w medykacjach jedna nieszczęśliwo miłość, nie wiym już isto, czy w chlywiku, czy na chlywiku, czy przy nim, albo za nim. Terazki tyn poważny, zasłużony oberwatel milczy, bo jeszczy nie wie pono, jakie sprostowanie posłać, a kómu piyrwy. Bo do sprostowań ón wdycki gibki, a wszyjskie telo wert, co inksze urzędowe; a Bismark pedzioł, iże sprostowania urzędowe są ku tymu, coby zamazać to isne, co sie dzieje.

Terazki by kuźden miyniół, iże trza doczkać, aże sztacwalt skończy s tym panoczkiem swoja szychta, a zaś dopiyro go pożałować albo potępić. Ale gdzieś w banku ludowym wybrali gose pono do Rady Nadzorczyj, bo padają se pono tak: z bankami wyznoł sie za telo, bo zrobił już sztyry plajty, a s książkami handlowymi tyż, bo je musioł som ekstra robić, albo poprawiać po fachowcach. To mu trza uznać, a dyjety tyż dować miasto tych z parlamyntu, bo posłowanie jego obmierzło sie i jymu i inkszym. No, w „Dojcze Kanclaj" chcieli mieć porządnygo chłopa, to se wziyni literata Rolfa, a nie wiedzieli, iże dostali cuchthojzlera Lencera, a już za to im r'zą, choć kuźden może sie pomyślić; ale w ónym banku ludowym widno padają se, iże to wszystko jedno, Rolf albo Lencer, ale nie wolno nikomu wątpić o światłości a zosługach banku. Po tymu jednako bydzie tyż pono i zaufanie do zdolności kupieckich tych panoczków, chtórzy tak piyknie czczą rostoliczne zosługi. Można tyż tam dwom bóło go trza jako trzeciego do szkata?

Kiejby to jeszczy bóły psie dnie, tobych sie tak nie dziwiół, ale sie przeca już nieco ochłodziło. Z ónych dni jeszczech se spamiyntoł na włosno chwała raciborskiego ancajgra. Ta szmata opowiadała światu o japońcach, jaki to gryfny naród, no i pado o nich, iże to są prusoki Wschodu, „di prajsen des ostens". Narody, nie popukejcie, ale tak ancajger pedzioł. Co tam w japońcach je pruskiego? Nic, ale tyż nic; wszycko na nity. Japońcy, to najpostympowszy naród, a prusoki, to nojwiynksze zacofany i zapleśniały; japońcy do kuźdego prawią uśmiychem, a prusoki patrzą z podełba, albo z góry, a szczekają kiej psy na kuźdygo; japońcy kochają ojczyzna sercem a duszą, prusoki swój futerland za ostmarkenculagi a rostmaite klimbimy; Japonją rządzi poczucie obywatelskie, Prusami pikelhauba a ferordnunki. I terozki tako lagramencina hakatystyczno śmiy nazywać japońców prusokami Wschodu! Musza jyno napisać do japońskiego ministra zewnętrznego, coby tego, co to pisoł, zaskarżół na międzynarodowym kongresie w Hadze o oszczerstwo.

Iże w Prusach patrjotyzm je jyno pędem owczym, „heerdentrieb", to przyznają tyż pisma cyntrowe, chtóre tyż przeca są patrjotyczne. Ale to bóło tak: w Łagiewnikach „jungdajczland" a inksze turnery niymieckie zrobiły se maniebry w odpust, a to sie gazycie katolickiej podobać nie mógło; skisz tego pomstuje, iże te synki nie mogły iść też do kościoła a innowierczy zarząd wyrobio w nich jyno taki se owczy pęd, ale nie patrjotyzm. To my już downo wiedzieli, o to sie tyż wadzić nie byda, ale jyno sie pytom, czy farorzyki cyntrowe tyż nie pracują nad tym, coby w owieczkach swych ubić wszyjską świadomość a wyrobić tyż taki som heerdentrib, nie do Rzymuu, ale ku Berlinowi. A nojwiynksze pono som arcypastyrz we Wrocławiu? A chtó założył „jungdajczland" w Mikołowie? Pono som farorz w Mikołowie społem s pastorem ewangielickim? A inksze farorzyki jak to robią? W Roździyniu a indziyj... Tako to skargi cyntrowe wyglądają jyno na gon za czytelnikami strzód ciemnych poloczków.

Pedziołbych im jeszczy wiynksze, ale pono wszędy je terazki hundeszpera, toby sie niekierzy wściekli. Chciołech tyż mieć wywiady, co to na nie padają interwiewy s rostolicznymi politykami, ale musza dopiero szporować na te rajzy, bo fundusz prasowy nie styknie jeszczy; to jyno skłodejcie mocno na tyn fundusz, a hnet bydzie większy nowin. A na takie szmaty, co jyno dają moc papióru, a mało oświaty, nie leccie, bo takiej makulatury na chleb dostaniecie wszędy po piętoku funt, to bydzie łacniyj i tak. Patrzcie, kaj zdrowo strawa dlo ducha, a tako mocie w „Gazycie Robytniczyj", a chtó chce medykować nad polityką, niech sie rychtuje wedle moich medykacji.

Gustlik Beskuryjo.

Kącik humorystyczny.

I to coś warte.

Pan, widząc kobietę rąbiącą drzewo, zapytał ją, czy jest wdową?

— Nie, mam pocziwego męża, który cały dzień siedzi za piecem i płacze, że tak ciężko muszę pracować.

Dziwny gość.

— Proszę pana, jakiś gość czeka w salonie.

— To podaj mu krzesło, niech poczeka.

— Kiedy, proszę pana, on chce zabrać wszystkie meble.

U adwokata.

Adwokat: Proszę siadać.

Klient: Dziękuję, siedziałem już... trzy miesiące.

W szkole.

Nauczyciel: Słuchaj Karolku; daję ci 3 gołębie, a potem znów 2 gołębie. Ile mieć będziesz gołębi razem?

Karolek: Ośm!

Nauczyciel: Ależ uważaj cymbale. 3 a 2, to równa się...

Karolek: A niech sobie pan profesor zdrów płuca wygada, a ja przecie będę miał 8 gołębi, bo 3 już przedtem skradłem Witrykasowi!

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott w Katowicach.

Nr. 33. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 17 sierpnia 1912.

Humor turecki.

Jednym z najciekawszych działów i motywów poezji tureckiej jest jej humor, zdawna snujący się w dziedzinie twórczości prawowiernych wyznawców Proroka, zawsze barwny i żywy, wpływający z dowcipu i pogody, jaką wyróżnia się wśród innych narodów Wschodu naród turecki. Zagadki, przysłowia, sentencje, a zwłaszcza anegdoty, w których nad wyraz lubuje sie turek, tryskają prawdziwą, swobodnie i lekko dobywaną wesołością, czasami, coprawda wykraczającą poza linję demarkacyjną przyzwoitości, lecz, dodajmy z punktu widzenia europejskiego, ponieważ komunały i tradycje tak zwanej przyzwoitości towarzyskiej zgoła inaczej urobiły się na Wschodzie.

— Co kraj, to obyczaj! mówi stare nasze przysłowie. I jeżeli gdzie, to na Wschodzie może być stosowane w całej pełni i rozciągłości, jako aksjomat, nie wymagający żadnego dowodzenia.

Jednak, uwzględniając rodzime przysłowie, pominiemy te przejawy, gdzie humor i dowcip turecki przekracza dozwolone granice, zatrzymując się na takich, które są niemniej ciekawe i charakterystyczne, lub utrzymane w tonie możliwości. Kopalnia bogata, wszystko z niej wydobyć można.

Sięgnijmy do dowcipów tureckich ostatniej doby, na której odbiła się fala odrodzenia i europeizacji, która tak potężnem, jak widzieliśmy, wałem, przeleciała przez cały Wschód:

W raju Mahometa.

Stojąc przed furtą raju,
Tak mówił pewien bej:
— Ałłahu, wpuścić chciej,
Bom żył podług zwyczaju,
Nie piłem kropli wina,
Nie wiem co wieprzowina....
— Za mało! — Ałłah rzekł, —
Niegodnyś raju człek!
Bywałem w Mekce i Medynie,
Meczetym-m zwiedzał i świątynie....
— Za mało!
— Koran dobrze znam,
Wszak to za cnotę liczysz nam!
Mało!
— O panie, uświęć skon,
Jam miał za życia siedem żon!
— Dość! — Ałłah rzekł: — już się nie zwierzaj,
I raj otworzył mu na ścieżaj.

Motyw powyższy najbardziej przeniknął do nowoczesnego dowcipu tureckiego warstw zeuropeizowanych, które zerwały z tradycją barbarzyńskiej i pełnej niewolnictwa przeszłości. Oto jeszcze jedna ilustracja na ten sam temat:

Eunuch i Padyszach.

Eunuch woła w przestrachu:
— Daruj, padyszachu!
Z żon twoich pięćdziesięciu,
Gdym liczył, brak dziewięciu...
A na to władca słudze swemu!
— Otworzyć szerzej wrota haremu!

Albo dowcip starej daty, w którym odpowiednio do nowych zastosowań europejskiej kultury, dawne „bon mot“ goniec bej zostało zmienione na ekspres-bej. Jest to bardzo popularna i charakterystyczna próbka humoru tureckiego, napotkana we wszelkich zbiorach dowcipów i anegdot miejscowych:

Ekspres-bej.

Ożenił się Achmet-effendy,
Ałłah specjalne miał dlań względy'
Bo po miesiącach ledwie dwuch
Syn mu się już urodził zuch.
— Jak go nazwiemy? — pyta żona
Oszołomiona, zawstydzona...
— Niech ma na imię Ekspres-bej! —
Tak na to rzecze władca jej:
Wszak odbył on w miesięcy dwa
Podróż, co dziewięć zwykle trwa...

Sięgnijmy z kolei do starej humorystyki tureckiej, której dowcip oryginalny i swoisty różni się od nowoczesnego, urobionego pod wpływem motywów zachodnich. Tu wytryskuje on zawsze z rodzimego, tureckiego źródła i rozsnuwany na kanwie warunków miejscowych, najbardziej i najjaskrawiej charakteryzuje zbiorowość turecką, uwydatniając naiwną pogodę i wesołość starej Turcji:

Chodża*) i kruk.

Chodża pewien z żoną młodą
Prał bieliznę raz nad wodą...
Wtym przyleciał złodziej-kruk,
Mydło kradnąc im z pod nóg.
Widząc to, niewiasta w złości,
Chce mu kijem zmiażdżyć kości.
Na to chodża: — Nie bądź gniewna,
Potrzebował go, rzecz pewna,
Bo czarniejszy, niż bielizna...
. . . . . .
I któż racji tej nie przyzna?

Chodża wogóle jest najulubieńszą postacią starych anegdot i dowcipów tureckich. Najczęściej w nich występuje i zawsze naiwnie i dobrodusznie, ze spokojnym komizmem rozstrzyga różne ewenementy życiowe.

Po za chodżą ulubionym również bohaterem dowcipu tureckiego jest mułła. Anegdoty, usnute na tle sprytu i przemyślności mułły, należą do najzabawniejszych:

Historja Śmierci Sagana.

Pewien mułła Mahmed Ołł
Od sąsiada sagan wziął,
I, zwracając, tak mu rzecze:
— Osaganił się, człowiecze,
Sagan twój dzisiaj nad rankiem,

*) Chodża — taki z prawowiernych, który już odbył pielgrzymkę do grobu Proroka.

Zwracam ci go więc z zagankiem!...
Na niezwykły patrząc płód,
Sąsiad, choć wytrzeszczył oczy,
Lecz go wziął rad i ochoczy:
— Mułła głupi jest, jak but!
Po tygodniu, Mahmed Ołł
Ten sam sagan znowu wziął,
Sąsiad zaś wciąż czekał dani:
— Sagan mi się osagani
Lecz gdy mijał czas zbyt długi,
Po Mahmeda posłał sługi.
— Zmarł twój sagan, com go wziął!
Prawi smutno Mahmed Ołł.
— Czyś oszalał? nie pleć baj,
To, coś zabrał, proszę, daj!
Na to mułła Mahmed Ołł,
Co miedziany sagan wziął:
— Skoro mi wierzyłeś wprzód,
Uwierz teraz w śmierć, jak w wpłód!

Oto typowa anegdota turecka, która do długiego i serdecznego śmiechu pobudza turka, ilekroć ją słyszy lub czyta. Nic to, że zna ją już dawniej bo... „dobrego nigdy za dużo", tak przynajmniej twierdzi przysłowie tureckie.

Remigjusz Kwiatkowski.

Współczesna prasa polska.

Według dotychczasowych obliczeń redaktora wydawanego w Berlinie „Wykazu prasy polskiej", p. S. T. Jarkowskiego, ogólna liczba ukazujących się w roku bieżącym na całym świecie dzienników i gazet oraz czasopism polskich wynosi przeszło 1050, z których 950 stanowią pisma samoistne a pozostałe sto pisma dodatkowe.

Dzienników i gazet, tj. pism codziennych ukazujących się po kilka razy w tygodniu oraz gazet tygodniowych jest ogółem 175. Resztę pism stanowią czasopisma: tygodniki, dwutygodnik i półmiesięczniki, misięczniki, kwartalniki itd.

Z dzienników i gazet ukazuje się w Królestwie, na Litwie i w Cesarstwie 41, w Galicji i w zaborze austryjackiem oraz w Austrji 51, w zaborze pruskim i w cesarstwie niemieckiem 43, a w Ameryce 37.

W Królestwie: Warszawa posiada 10 pism codziennych, z których cztery ukazują się 2 razy dziennie, jedno 6 razy w tygodniu, a reszta raz na dzień. Łódź: 4 codzienne, Lublin 3 codzienne, Kalisz i Częstochowa oraz Sosnowiec po dwa codzinnie (6 razy w tygodniu), Włocławek 1 codzienne i jedno, ukazujące się 3 razy w tygodniu, a Kielce jedno codzienne i 2 ukazujące się po dwa razy w tygodniu. W Łowiczu i Siedlcach oraz w Suwałkach ukazują się gazety tygodniowe (po 1 raz), w Piotrkowie zaś takie same 4, a w Płocku i w Radomiu pisma, wychodzące po 2 razy w tygodniu. W Wilnie wychodzą dwa pisma po 6 razy w tygodniu i jedno codzienne, w Kijowie 2 codzienne i w Petersburgu jedno 6 razy w tygodniu.

W obu stolicach Galicji wychodzi ogółem 17 dzienników; z tych 7 w Krakowie, a 10 we Lwowie. Z dzienników krakowskich dwa wychodzą po dwa razy dziennie, i dwa 6 razy w tygodniu. Ponadto ukazują się w Krakowie dwie gazety poniedziałkowe (raz na tydzień). We Lwowie są cztery pisma, ukazujące się raz na dzień. Inne miasta w zaborze austryjackim posiadają przeważnie po jednej lub dwie gazety tygodniowe i jedynie w Cieszynie i w Tarnowie ukazują się pisma codziene (po jednem). W Wiedniu, oprócz jednego biuletynu prasowego, wydawanego w języku polskim p. tyt.: „Korespondencja Wiedeńska" raz lub dwa razy na tydzień (w miarę potrzeby), ukazuje się takiż sam polski, wydawany w języku niemieckim biuletyn pod tyt.: „Polnisze Korrespondenz", a nadto wychodzi codziennie pismo ogólne słowiańskie w języku niemieckim pod tyt.: „Slavisches Tageblat".

W zaborze pruskim dzienniki wychodzą po 6 razy w tygodniu: w Poznaniu 7, w Katowicach 2 oraz po jednem: w Bydgoszczy, Bytomiu, Czersku (na Kaszubach), Gliwicach, Grudziądzu, Inowrocławiu, Kościanie, Król. Hucie i w Zabrzu, oraz w Toruniu. Ponadto jeden dziennik wychodzi w Berlinie, jeden w Bochum i jeden w Herne. W innych miastach na obczyźnie oraz w Wielkopolsce wychodzą przeważnie gazety po 3 razy w tygodniu, a mianowicie: po dwie w Grudziądzu, i Opolu, 3 w Katowicach, oraz po jednej: w Poznaniu. Bydgoszczy, Gdańsku, Olsztynie, Pelplinie, Raciborzu, Staragardzie, Toruniu, w Bochum i w Lipsku.

W Ameryce pism codziennych lub ukazujących się po 6 razy w tygodniu jest tylko 9, a mianowicie: w Chicago 4, w Milwauke oraz w Buffalo po 2 i w Detroit 1, dwa pisma ukazują się po dwa razy w tygodniu, a mianowicie w Milwauke. Reszta gazet polskich w Ameryce ukazuje się raz na tydzień.

Czasopism polskich jest ogółem przeszło 775, nie licząc około stu czasopism dodatkowych, a mianowicie: tygodników 255 samoistnych i około 70 dodatkowych, pism, ukazujących się 3 razy miesięcznie 11, dwutygodników i półmiesięczników 185 samoistnych i około 25 dodatkowych, miesięczników i pism, wydawanych 10 razy rocznie około 250 samoistnych i przeszło 15 dodatkowych, dwumiesięczników 9, kwartalników 32, półroczników oraz pism, wydawanych 3 razy na rok, oraz rocznków około 25.

W ciągu roku 1912 powstało około 50 nowych pism, a mianowicie: 3 codzienne, 2 ukazujące się po 6 razy w tygodniu, 2 po 3 razy w tygodniu, około 15 tygodników, 4 dwutygodników lub pism, ukazujących się po 3 razy w miesięcu, blizko 20 miesięczników, 4 kwartalniki, oraz 2 roczniki. W porównaniu z rokiem ubiegłym, dla prasy polskiej jubileuszowym ćwierćtysiącoletniego jej istnienia, w roku bieżącym przybyło prasie polskiej o 25 pism więcej, ogólna bowiem liczba pism polskich, założonych w ciągu roku 1911 wynosiła około 75, nie licząc tych, które po ukazaniu się paru tylko numerów przestawały wychodzić.

Wogóle w prasie polskiej jest mało pism „długowiecznych", gdyż w Warszawie jedna tylko „Gazeta Warszawska", wskrzeszona na nowo do życia po półrocznem zawieszeniu na półtorawiekową blisko przeszłość spoglądać może, a we Lwowie tylko jedna „Gazeta Lwowska" mogła w roku ubiegłym stulecie swoje upamiętnić wspaniałą księgą jubileuszową, a „Kurjer Warszawski" dopiero za lat parę będzie mógł to samo uczynić. Pozatem zaledwie parę pism liczy więcej niż po 75 i po 50 lat swego istnienia. Większość zaś pism, to młodsza już generacja prasy polskiej w wieku od lat 16 do 40. Niemniej jest pism jeszcze młodszych.

Zabezpieczenie przed katastrofami kolejowymi.

W malutkiej wioseczce Watchet, niedaleko Bristolu w Anglji, odbywają się teraz eksperymenty, które gromadzą tłumy ludzi i to nietylko chłopów z poblizkich wiosek i robotników z poblizkich fabryk, ale krocie techników, inżynierów i mechaników z całej Anglji. W ostatnich zaś dniach przejechały tędy do Bristolu cały zastępy inżynierów kolejowych z Niemiec i Francji, żeby się przypatrzeć tym eksperymentom.

Od Bristolu szła linja kolejowa do jednej z kopalni węgla. Aliści w tej kopalni przestano od jakiegoś czasu pracować, bo wskutek niedbałego prowadzenia robót woda zalała kopalnię. Właściciele jej nie mieli dość pieniędzy, żeby postawić znowu kopalnię na wysokości zadania i rozpoczęli zabiegi o to, aby dla eksploatowania tej kopalni utworzyć towarzystwo akcyjne. Wskutek tego istnieje kolej żelazna, długości kilkunasto kilometrów, zupełnie nieużywana. Owóż kolej tę wynajął na swoje eksperymenty pewien inżynier australijski, nazwiskiem Angus. Rząd australijski dał mu na prowadzenie tych eksperymentów 30 tysięcy funtów szterlingów (750 000 kor.) i dostarczył mu

ludzi sumiennych i uczciwych, którzy pomagają w robieniu tych eksperymentów. A eksperymenty są takie: Z jednego i z drugiego końca kolei wyjeżdżają na dany sygnał dwie lokomotywy. Mechanizm ich jest tak uregulowany, że jakkolwiek niema żywej duszy na lokomotywie, to jednak pędzą one po torze z coraz większą oczywiście chyżością. Ponieważ obie lokomotywy są „nastawione", czy „nakręcone" jednostajnie, przeto pędząc z tą samą chyżością, powinny się spotkać w pośrodku linji kolejowej, zderzyć się z sobą i rozbić się w drzazgi. Tymczasem na jakie 300 metrów przed sobą każda z lokomotyw poczuwszy, że ma naprzeciw siebie inną lokomotywę, zwalnia biegu i wreszcie na jakie 50 metrów przed sobą obie lokomotywy stają. Ba! nie koniec na tym. Urządzone są one w ten sposób, że jeżeliby maszynista zagapił się, upił się, zasnął — to one go ostrzegają o tym, że przed pociągiem, na tym samym torze, znajduje się inny pociąg. Gdy tylko wjadą na taką odległość, że już może być niebezpieczeństwo, zaczynają jak szalone dzwonić w dzwonki, umieszczone nad głową maszynisty. Jeżeli jednak się przekonają, że mają maszynistę tak upartego, że nic sobie nie robi z tego dzwonienia, wtedy powiadają mu: pomimo, żeś warjat, uratujemy ciebie i siebie. Zaczynają zwalniać biegu i stają.

Z początku lokomotywy jeździły same, ale później zaczęto do nich przyczepiać tendry, to jest wagony, przeznaczone na węgiel, i do tych wagonów wsiadają teraz urzędnicy rządu australijskiego i angielskiego, oczywiście sami kolejarze. I jakkolwiek już setki razy lokomotywy te pędząc na siebie, zatrzymały się i stanęły na czas, to jednak ci, którzy dostąpili zaszczytu jechania w tych tendrach, powiadają, że doznaje się nadzwyczaj silnego wrażenia, bo rodzi się mimowoli myśl: a jeżeli tym razem aparat nie dopisze i lokomotywy się zderzą?

Niemniej ciekawem jest jeszcze i to, że takie lokomotywy, które się naprzeciw siebie zatrzymały, można znowu w ruch wprawić dopiero po użyciu pewnego klucza, inaczej one wcale nie ruszą się z miejsca, chociażby nie wiedzieć, jak maszynista puszczał parę na tłoki.

Eksperymenty odbywają się codziennie w południe, a inżynier Angus, wynalazca, codzień bada swój wynalazek i robi w nim rozmaite poprawki. Utrzymuje on, że doprowadzi rzecz do tego, iż absolutnie wykluczone będą zderzenia się pociągów. Wszystkie jednak koleje grubo będą musiały zapłacić wynalazcy za prawo używania jego wynalazku.

P. Angus tajemnicę wynalazku strzeże tak pilnie, że nikt nie wie, na czem on polega.

Rozmaitości

Iwan Groźny o aeroplanie. Komitet zbierania składek na rosyjską flotę napowietrzną wydał w Petersburgu broszurę p. t. „Żegluga napowietrzna", w której przytacza na wstępie zaczerpnięte z kronik wiadomości o próbach lotnictwa w Rosji za dawnych czasów. W Moskwie za Iwana Groźnego, czyli w drugiej połowie XVI wieku zdarzyło się co następuje: „Włościanin Nikita, niewolnik bojaryna Łoputowa, wynalazł przyrząd, na którym latał w słobodzie Aleksandrowskiej wobec cara i ciżby widzów. Wzloty się powiodły, ale car taki wyrok wydał: „Człowiek nie ptak, skrzydeł nie ma. Jeżeli zaś przypina sobie skrzydła drewniane, wykracza przeciw naturze. Nie Boże to prawa, lecz złego ducha. Za pokumanie się ze złym duchem — ściąć wynalazcy głowę, a ciało jego rzucić wieprzom na pożarcie. Skrzydła zaś jego, jako przy pomocy djabła zrobione, spalić po nabożeństwie".

* * *

Choroba raka. Nadzwyczajne zainteresowanie budzą w kołach lekarskich a wiele nadziei wśród chorych nadzwyczaj pomyślne wyniki leczenia raka przez dr. Adolfa Zellera we Weilheim Teck we Wyrtembergji. Dr. Zeller metodą przez siebie wynalezioną, bezoperacyjną, ściśle jeszcze dotąd trzymaną w tajemnicy, wyleczył w stosunkowo krótkim czasie z 57 chorych 44 zupełnie, 10 znajduje się na uleczeniu, 3 umarło. Pomiędzy uleczonymi znajdnją się nawet i tacy, którzy dwa i trzykrotnie byli już operowani a inni beznadziejnie chorzy. Nawiedzeni chorobą raka znajdą może u owego lekarza pomoc i ratunek.

* * *

Wypuszczeni „szpiegowie angielscy". Londyn, 12 sierpnia. Podług twierdzeń pięciu anglikow, których pod zarzutem szpiegostwa pod Kilonją uwięziono, lecz wskutek wykazania niewinności wypuszczono, nie traktowano icn w więzieniu śledczem zbyt dobrze. Około sześciu godzin po uwięzieniu pozostawali bez jedzenia. Dr. Roberts, jeden z nich, skarży się na nieczystość celi. Również uważają za wielką niegrzeczność, że im po wypuszczeniu z więzienia nie wyrażono ubolewania z powodu całej sprawy.

* * *

Wieliczka. W sobotę, dnia 17 sierpnia, będzie kopalnia soli we Wieliczce dla zwiedzających rzęsiście oświetloną. Zjazd do kopalni rozpocznie się szybem Arcyksięcia Rudolfa o godzinie 1.30 po południu. Wstęp do kopalni kosztuje 5 koron od osoby — z użyciem windy parowej 6 koron. Biletów wstępu będzie można nabyć tylko w dniu zwiedzenia przy kasie przed szybem zjazdowym.

Pociągi odchodzą z Krakowa do Wieliczki o godzinie 12.42 (pociąg nadzwyczajny), 1.30 po południu, zaś z Wieliczki do Krakowa o godzinie 5.32, 6.49 (pociąg nadzwyczajny) 8.45 i 10.05 wieczorem.

Czysty dochód przeznacza się na cele dobroczynne miejscowe.

* * *

Pożary skutkiem upałów. Nowgorod, 12 sierpnia. Wskutek upałów wybuchnęły w dwóch powiatach pożary leśne, które przybrały groźne rozmiary. Z Petersburga wysłano wojsko na ugaszenie pożarów, ponieważ kilka wiosek jest zagrożonych.

* * *

Trzęsienie ziemi. Konstantynopol. Powstające trzęsienie ziemi było silniejsze i okrutniejsze były jego następstwa, aniżeli o tem pierwsze wiadomości donosiły. Najwięcej ucierpiały miejscowości nad europejskiem wybrzeżem Bosforu, zwłaszcza Heraciissa i Gallipoli (forteca nad cieśniną Dardanelską). Dotychczas stwierdzono śmierć 1200 ludzi, zabitych pod gruzami domów lub jako ofiary strasznej paniki. Okręty przywożą do stolicy licznych rannych. Ludność dotychczas w wielu miejscowościach koczuje pod gołem niebem w obawie nowej katastrofy.

Szkody spowodowane w Konstantynopolu przez trzęsienie ziemi, nie są znaczne, za to po obu stronach Dardanel, zwłaszcza w mieście portowem Gallipolis nad wybrzeżem morza Marmara, przybrały rozmiary katastrofalne. W Dardanelach odczuto 30 trzęsień ziemi, które słabły coraz bardziej. W pewnem mieście nad Dardanelami wytrysło nagle źródło gorące. Wiele kamienic zawaliło się. Ulice miasta zawalone zostały spadającem rumowiskiem. Wrząca woda, wydobywająca się z otwartych szczelin, zniszczyła przystań dla okrętów. Szkody pod Troją i Pergamowem są również bardzo znaczne. Miasto Radosto podobno do połowy zostało zniszczone. Kapitan pewnego okrętu handlowego twierdzi, że wybrzeże pali się na wielkiej przestrzeni. Wogóle nieomal wszystkie miasta nad morzem Marmara z powodu trzęsienia ziemi zostały mniej lub więcej uszkodzone, zwłaszcza miasta Silivri, Myriophito, Ganos, Chora, Heraclissa, Milia i Krassia. Pomiędzy innemi donoszą, że miejscowość Myriophito została zgnieciona dwiema górami, pomiędzy któremi się znajdowała; góry te pochyliły się tak bardzo, że osunęły się i zasypały miasto. W wielu miastach z niewiadomej przyczyny, najprawdopodobniej jednak wskutek ognia, wydobywającego się z rozwartych szczelin ziemi, srożyły się pożary. W różnych stronach nad wybrzeżem woda morska była tak gorącą, że gotowała się wśród głośnego bulgotu i okręty w miejsca te dojeżdżać nie mogły.

Według telegramu konsula greckiego w Tszanah-Kalezi w obwodzie dardanelskim skutkiem trzęsienia ziemi zburzony został konsulat i siedm wsi. W Konstantynopolu pozamykano składy kupieckie. Największe szkody są w wilajecie adrjanopolskim, gdzie zginęło około 80 osób, a około 200 zostało ciężko zranionych. W Adryanopolu samym spaliło się kilkanaście domów i meczetów.

* * *

Smutna przepowiednia. Znany lekarz angielski, Vinslow, w jednym z artykułów swoich przepowiada ludzkości, na podstawie rzekomo danych statystycznych, bardzo niewesołą przyszłość. Dochodzi mianowicie, na podstawie wzmagania się stopniowego chorób umysłowych, do wniosku, że liczba chorych takich musi dość rychło przewyższyć liczbę normalnych umysłowo.

Przed laty 50 — dowodzi — w Londynie jeden chory umysłowo przypadał na 575 mieszkańców, dziś zaś jeden chory taki przypada już tylko na 236 mieszkańców. Stosunek jest tego rodzaju, że już za lat trzysta, t. j. w roku 2212 liczba zdrowych i chorych umysłowo będzie jednakowa. Bezpośrednio potem nastąpi zwiększenie się liczby chorych umysłowo, którzy stopniowo zawładną światem.

Przepowiednia znakomitego lekarza wywołała z wielu stron bardzo poważne zarzuty. Przeciwnicy twierdzeń jego dowodzą przedewszystkiem całkiem słusznie, że z wzrostu liczby chorób umysłowych w ostatnich zwłaszcza czasach nie można wyciągać żadnych wniosków na przyszłość. Ludzkość zdaje sobie dziś bardzo dokładnie sprawę z konieczności radykalnego uzdrowotnienia i weszła już niewątpliwie na drogę uzdrowotnienia tego. Nowe pokolenie zdrowsze już jest od ojców swoich i proces ten rozwijać się będzie, oczywiście, dalej.

Są jednak inne jeszcze bardzo poważne zarzuty. Wnioski lekarza angielskiego oparte są na statystyce miejskiej, a w miastach, jak wiadomo, istnieją przeważnie zakłady dla obłąkanych, w których umieszczeni są chorzy z dalekich nieraz nawet okolic. W tych warunkach procent chorych umysłowo w miastach musi się zwiększyć, choćby nawet liczba ich w kraju całym się zmniejszyła.

Felietoniści natomiast dziennikarscy po swojemu zbijają zarzuty lekarza angielskiego. W przepowiedni tej — piszą — nie ma nic strasznego, po prostu ludzie z biegiem czasu pozamieniają role swoje i normalni uważani będą za warjatów, a warjaci uchodzić będą za normalnych.

* * *

Pierwszy pomnik Heinego w Prusach. Wczoraj odsłonięto w Halli pomnik Henryka Heinego; jest on dziełem rzeźbiarza Schönemanna z Hali. Pomnik ten jest pierwszym, jaki poecie w Prusach postawiono. Ponieważ władze nie byłyby zezwoliły na postawienie pomnika tego poety na publicznem miejscu, musiano się zadowolić ogródkiem miejsca zabaw, noszącym miano „Trothaer Schlösschen".

* * *

Kradzież w muzeum. Z muzeum w Bourg (w departamencie Ain) znikł cenny obraz nieznanego mistrza holenderskiego; przypuszczają, że został skradziony. Muzeum małej tej miejscowości mieści w sobie bardzo drogocenne skarby malarstwa, między innymi głowę Mona Liza przez Leonarda da Vinci i „Pasterkę" Milleta.

Dymokrackie medykacje.

Smutno fajerszychta mieli na grubie Lotringen. Wiynkszy, jak cołko kompanjo chopa ostała sie w polu w walce o chleb. Jeszczy boroki nie ochłódli, a już niekiere gizdy przejęte prawiły światu, iże sami se byli winni. A po jakiygo pierona kandygo ból tam som pon betrybsleiter na dole? Po tymu, coby pilnować porządku, czy po tymu, coby jeno pomstować, iże mało fedrują? A sami panoczkowie od zarządu kopalni pedzieli Wilhelmowi, iże bółoby możno wszycko dobrze, kiejby strzylali inkszymi nabojami, a nie dynamitem. Ale nieskorzy to wszyjskie panoczki a cołko szmaciarnia kapitalistyczna strzylają bez prochu, iże wdycki robotnik som winien swojymu nieszczęściu. Polamentują, bo inksze narody przeca tyż współczują, to tak wypodo; ale kiej górnik upomino sie o wiynksze bezpieczeństwo a lepszy zarobek, to go kożą strzylać kiej psa. Tako to już obłuda na tym świecie.

No, i na tych lamentach sie skończy, bo na lepsze prawa górnicze niy ma czasu; parlamynt musi obradować nad wydatkami na mordowanie inkszych narodów, sejm nad prawami wyjątkowymi, no, i tak czas jakoś ślyzie. A kiej cosik dadzą, to tak kiejby dowali lewą ręką, a prawą zarozki bili. Hnet obie konstytucje berlińskie bydą jyno miały same sztrafparagrafy, a reform prawych doczkają sie chyba kolonje afrykańskie, ale tyż jyno, kiejby je wziyna Anglja, albo Francjo, inakszy tyż nic nie bydzie im s tegó.

Kąsek starygó Kamerunu już odstąpiły Niemcy Francji, a dostały kąsek nowygó; ale coby nie ból za mały, to mo wiynksze bogactwa wewnętrzne: biljony moskitów a szarańczy, a rostmaitych zaraźliwych chorób tyż kupa, to sie tak wyrówno. Hakata robi, jakoby sie cieszyła, bo pado, iże takie są przeca wszyjskie kolonje niymieckie w Afryce. Ano, winszuja takiyj reklamy; terazy Michałek bydzie tyż wiedzioł możno, kaj sie tam smyko sława niymiecko, a na co idą te miljardy rostolicźne. Lib futerland magst ruhik zajn, choć cie te moskity nowo kameruńskie bydą żarły gorszy jak błechy.

Tak se hakata śpiywo faterlandowi do snu ruhik, ale sama nie mo spokoja, a Berlin mo ostuda za pięciu, bo dostoł col pieroński.

Najserdeczniejszy kamrot Niymiec, Turcyjo, trzepie skóra ich serdeczuymu sprzymierzeńcowi Włochom, a zaś te ónyj. Tako sie wadzą, a końca nie widno. Zaś w ónyj Bałtyckiej Gawani robióło sie na nowo kamractwo pruskorosyjskie, a widomym tego znakiem mo być terazki hnet pora fortów przy wieży Bismarka pod Mysłowicami, coby choć w Niwce a Modrzejowie widzieli, iże haw je zaprzyjaźniono ziymia prusko. A zaś ónymu pryncowi pruskiymu, który chcioł pono księżniczka rusko, pedzieli, iże mo sie pocieszyć, bo nie zostanie samotno, jyno weźnie se przyjociela ruskiygo. Za to miała flota rusko przyjechać nawiedzić niymiecko, ale pono skisz tych nowych dyszczów ta wycieczka odłożyli. Jyno, iże minister francuski Poincare zrobiół już tak, iże ta wycieczka mo być ku pomocy Francyji, kiej bydzie wojna, a Anglja dała na to swoje błogosławieństwo. Zaś cysaroki pedzieli se tak: trójprzymierze a trzy floty, to są dwa; flota kosztuje moc pieniędzy, to lepszy potargować się s Anglją. No, i mieli filipa i tak zrobili, a Berlinowi zrobióło sie gorko pod pikelhaubą.

Pono tyż se wykalkulowali za przyleżytością, iże zaś im trza wiynkszy wojoków, to se tyż wejzdrzeli w statystyka, wiela tegó bydzie za dwadzieścia roków. Ale uznali, iże bydzie miynyj, a nie wiynkszy, bo już dziecka nie chcą przychodzić na ten świat, a nojmiynyj pod opieka a pikelhauba prusko; takie mądroki już terazki te szkudy. Więc robi sie to, co wdycki w Prusach nojpiyrwy, kiej sie chałupa wali na paleta: bada sie przyczyny. Bo to je ta sławno gruntowność prusko. Ale kiejby choć tyż po zbadaniu przyczyn wywalić je s korzeniami; ale tak nie idzie, bo trza je pierwy opisać i pozakłodać pora tysięcy towarzystw, te muszą s policajem przepiowadzić kupa procesów o to, czy są polityczne, czy nie, zaś przyjdą inksi i padają inakszy, no i tak sie nie możno doczkać, aże ta jedyno a wszyjskim wiadomo przyczyna, bieda, roz koniec weźnie.

Niekierzy wedle włosnygo zrozumiynio chcieli powiększyć liczba urodzyń, to se próbowali inkszych sposobów, coby dziecka na świat przychodziły. To sie wiy, iże zosłużony je w tych próbach Oylenburg a jego kamracio. Te razy chcioł jeszczy rasa wojacko ciągnąć w tyn sposób kieryś dowódca jugendweru we Wrocławiu, ale mu te próby pono udaremniła policaj. To bóło od niyj niepatrjotycznie, tak jo padom.

Gustlik Beskuryjo.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott w Katowicach.

Nr. 34. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 24 sierpnia 1912.

JERZY RUSELER.

Potęga purpury.

Pewien król postanowił razu jednego pójść między swój lud. Zrzucił ze siebie purpurowy płaszcz i ubrał się w siwą, nienową już bluzę.

I poszedł.

Miał trzy dziwne bardzo wypadki. Oto najpierw przejeżdżał obok niego wspaniały powóz. Był zupełnie próżny, tylko na koźle siedział woźnica i służący.

— Z drogi! — krzyknął służący do króla.

— Dlaczego mam zejść z drogi? — rzekł rozgniewany król. — Jest ona przecież dość szeroką, a za wami nie siedzi nikt, przed kim miałbym mieć respekt.

— Masz mieć respekt, ty żebraku! — krzyknął woźnica. — To jest powóz króla! I jeżeli się nie usuniesz...

Zamierzył się batem i król musiał zejść z drogi przed swym własnym powozem.

Człowiek w siwej bluzie szedł dalej. Po jakimś czasie przechodził koło jednego okna, w którem wystawiony był biust króla, dzieło sławnego rzeźbiarza. Stało przed niem dużo ludzi, którzy rozmawiali o — nosie królewskim.

— Nie, artysta stanowczo nie podołał swemu zadaniu — mówił jeden z przypatrujących się. — Stanowczo nie podołał. Taki np. nos króla nie jest wcale prostym, tylko z natury już trochę na prawo skrzywionym.

— Nie, na lewo — zawołał drugi — ale w każdym razie jest krzywy.

Człowiek w siwej bluzie nie mógł dłużej wytrzymać.

— Wy się obaj mylicie! — zawołał głośno. — Nos króla jest taki sam, jak mój!

Gdy ludzie te słowa usłyszeli, poczęli się bardzo oburzać. A jeden człowiek, który zawsze miał w sobie uczucie, że każdej chwili powinien być gotowym umrzeć za króla i ojczyznę, zawołał:

— Jak śmiesz coś podobnego mówić? Nasz król ma nos wzniosły, ty zaś masz nos pospolity!

— Tak jest! — krzyczeli drudzy, mający jeszcze gorętszy temperament.

— Obraził majestat! Brać go!

Chcieli się rzucić na niego, lecz drudzy ujęli się za nim, wskutek czego patrjoci sami poczęli się wodzić za łby. Skorzystał z tego człowiek w siwej bluzie i wysunąwszy się z bijącego się tłumu, umknął spiesznie.

Człowiek, który zrzucił ze siebie pupurę, szedł dalej. Za miastem zobaczył mały domek, stojący samotnie. Przy tym domku znajdował się ogródek, w którym mąż bił swoją żonę. Na to król nie mógł patrzeć spokojnie. Przyskoczywszy więc, wyrwał brutalowi kij z ręki i zapytał go surowo:

— Dlaczego bijesz swoją żonę?

— To cię nic a nic nieobchodzi! — krzyknął mąż. — To jest moja żona, a to jest mój ogród. Wynoś się!

— Pokażę ci zaraz, czy mnie to co obchodzi, czy nie! — zawołał z gniewem król.

I wziąwszy kij w rękę, począł nim okładać złoczyńcę. Żona zaś, widząc męża w tak nieprzyjemnem położeniu, poczęła krzyczeć i wołać o pomoc. Przechodził właśnie stróż bezpieczeństwa, który słysząc kobiece krzyki, przystanął i gburowato zapytał:

— W imieniu króla! Co się tu dzieje?

— Niech djabeł weźmie twego króla! — zawołał człowiek w siwej bluzie, doprowadzony do ostateczności. — Ja robię tu sprawiedliwość, a ty będziesz mi jeszcze przeszkadzał?

— On wmieszał się w nasze sprawy małżeńskie — rzekła żona. — Aresztujcie go natychmiast!

— To nic mnie nie obchodzi — odpowiedział stróż bezpieczeństwa — ale on obraził święte imię naszego króla. Muszę go zamknąć.

Usłyszawszy to król, zamknął się i nie chciał wyjść. Ale że tamten miał miecz, a on nie miał nic, musiał pójść ze stróżem bezpieczeństwa, który go zaprowadził do więzienia. Tam przyprowadził go przed zarządcę, któremu opowiedział wszystko. Król widząc, że sprawa bierze obrót dla niego niepomyślny, wyjął z kieszeni pierścień z wspaniałym kamieniem i pokazując go zarządcy, zapytał:

— Czy znasz go?

Zarządza odpowiedział:

— O pierścieniu słyszałem. To, co się na nim świeci, jest gwiazdą nocy, pierścień zaś należy do króla.

— Tak jest — rzekł z godnością człowiek w siwej bluzie. — Ja jestem właśnie królem!

— Ty miałbyś być królem? — zawołał zarządza. — Ja znam dobrze świętą twarz naszego króla. Jesteś prostym złodziejem, niczem więcej! Dawaj tu pierścień!

Odebrano mu pierścień i założywszy na ręce kajdanki, rzucono go do ciemnego lochu. Zarządca więzienia zaś pospieszył czemprędzej z pierścieniem do pałacu królewskiego, spodziewając się sutej nagrody. Przybywszy tam, opowiedział o wszystkiem komendantowi gwardji przybocznej. Ten począł szukać króla, ale go nie znalazł. Znalazł tylko porzuconą przez niego purpurę. Nie wiedząc, co ma o tem myśleć, wziął płaszcz królewski na ramiona i udał się z zarządcą do więzienia. Tam zdjęto więźniowi kajdanki i przyprowadzono go przed oblicze komendanta gwardji.

— Czy jest to król? — zapytał zarządca komendanta.

A ten odpowiedział:

— Nie, tak nie wygląda żaden król.

Tego już było więźniowi za dużo. Zdjął swoją siwą bluzę, odrzucił ją na bok, a potem wyrwawszy komendantowi purpurę, ubrał się w nią.

Jak piorunem rażeni rzucili się wszyscy na ziemię i zawołali:

— Łaski, łaski!

Mieli uczucie, jak gdyby im kto nóż wbił w serce.

— Wstańcie! — rozkazał król. — Daruję wam życie, ale o tem, coście dzisiaj widzieli i słyszeli, niechaj się nikt nie dowie!

Następnie wrócił do swego pałacu. Nauczył się dużo owego dnia; ale siwej bluzy nigdy już odtąd nie ubrał.

Organizacja służących w Danji.

W ciężkiej walce, jaką klasa robotnicza toczy z kapitałem, najlepsze usługi oddaje organizacja zawodowa, która stara się wywalczyć najwyższy zarobek, przy możliwie najkrótszym dniu roboczym.

Największemu wyzyskowi ulega służba domowa, ponieważ ma najsłabszą organizację.

Pierwsze początki organizacyjne służby domowej spotykamy w krajach północnych; w Norwegji, Szwecji, Finlandji i Danji. Chociaż organizacja służby domowej stawia dopiero pierwsze kroki, już widoczny jest jej wpływ. Zmienia się stosunek „pani do służącej" i powoli przyjmuje formy umowy, jak u innych kategorji robotników. W ostatnich tygodniach wypracowano umowę służbową dla Kopenhagi i innych miast duńskich, która jest znacznym krokiem do poprawy losu służących.

Umowa żąda ścisłego oznaczenia płacy, dostatecznego pożywienia, porządnego pokoju dla służącej i co najważniejsze zastrzega $1^1/_2$ godzinną przerwę w ciągu dnia. Wolną co drugą niedzielę albo święto popołudniu od drugiej godziny, albo dwa wolne wieczory w tygodniu, od 7 mej godziny, jak i urlop ośmiodniowy, jeżeli służąca była dłużej u jednej „pani".

Dzień roboczy jest ściśle oznaczony i każda nadprogramowa godzina osobna opłacona. Praca zaczyna się o 6 tej wzgędnie o 7 mej rano i kończy o 6 tej albo 7 mej wieczorem.

Duńskie „panie" godzą się na podobną umowę i poszukują służące należące do organizacji, wiedzą bowiem, że najlepsze siły skupiają się właśnie w organizacjach. Organizacje natomiast dokładają starań, żeby służące przez nie polecone odpowiadały swemu zadaniu. Zorganizowano więc 6 miesięczne szkoły fachowe dla służących, gdzie uczą się gotować, prasować, sprzątać a nawet szyć i podawać do stołu. Oprócz tego uczą się hygieny' pielęgnowania chorych i dzieci. Cóż dziwnego, że panie poszukują tak ukwalifikowanych służących, które są prawdziwą pomocą i wyręką pani domu.

Nie wolno zapominać, że kraje północne kroczą pod każdym względem na czele postępu. Nasze panie załamują ręce i narzekają na „niedobre służące", jeżeli nie chcą spać w przedpokojach, pracować po 16 godzin na dobę i zjadać resztki z talerzy, przy marnem wynagrodzeniu.

Nieda się zaprzeczyć, że u nas spotyka się żadko uzdolnioną młodą służącą, ale to nie ich wina. Nie ma dla nich szkół i każda dopiero na służbie się uczy. Przez klerykalizm ogłupione, nie rozumieją korzysci płynących z organizacji, ale spotykamy je u św. Zyty podczas procesji, noszące fenetrony, pełne pobożności ale i klerykalnej obłudy. Cierpią w pokorze, dla zbawienia duszy, a tymczasem marnieją za młodu, padając ofiarą suchot i innych chorób. Ustawodawstwo oddające służbę domową pod opiekę policji, względnie władzy politycznej, obchodzi się po macoszemu z tą kategorją pracowników.

Usilnej pracy towarzyszek niemieckich udało się założyć w Wiedniu organizację służących „Jedność", która skupia już kilkaset dziewcząt. Wydaje się dla nich nawet osobną gazetkę, która omawia specjalnie sprawy obchodzące służbę domową.

U nas tysiące dziewcząt cierpi wyzysk i złe obchodzenie się, głod, ciężką pracę a nie widzimy żadnej akcji ochronnej.

Klerykali nie zapomnieli i o służbie domowej; specjalnie Juzuci otaczają dziewczęta bardzo czułą opieką. Że z tych organizacji służące nie mogą mieć żadnej korzyści jest jasne, bo zadaniem organizacji nie może być modlitwa ale walka, a w klerykalnych organizacjach na pierwszym planie stoi modlitwa, propagowania postów ale o stawianiu żądań nikt nie słyszał.

Dwie międzynarodówki.

Pierwszą, doskonałą organizacją międzynarodową była organizacja kościelna. Właśnie dzięki temu objęła cały świat i przez wieki światem rządziła. Najwyższa jej władza usadowiła się na stolcu Piotrowym i pod rozkazami Rzymu chwiały się trony, toczono długoletnie wojny, dziesiątki tysięcy ludzi traciło życie. W żelaznych kleszczach Rzymu przez wieki jęczały całe narody, płonęły stosy. Życie ludzkie nie przedstawiało żadnej wartości, kto odważył się samodzielnie myśleć, narażał się na niechybną śmierć. Czarna międzynarodówka miała tysiące sług na zawołanie, bo wszyscy zakonnicy, zakonnice, księża świeccy i przedstawiciele władzy stali na jej usługach. Ducha ludzkiego zakuto w kajdany, ujarzmiono wszelką wolność. Poddeństwo, niewola, oto owoc władzy czarnej międzynarodówki.

Morze ofiarnej krwi przelanej przez najlepszych synów w walce z czarną międzynarodówką wyswobodziła ludzkość. W prawdzie nie zdołano czarnej potęgi, ciężącej nad ludami jak zmora zupełnie złamać, jednak czasy niepodzielnej jej władzy zniknęły bezpowrotnie i nigdy już nie wrócą.

Czarna międzynarodówka nie daje jednak za wygrane. Wszelkiemi sposobami, stara się władzę swoją utrwalić i marzy ciągle „złoty sen" o dawnej potędze. Podają jej pomocną rękę wszystkie władze, bo leży we wspólnym interesie ludy ujarzmić. Jedni za pomocą bagnetów, drudzy za pomocą różnych mocy niebieskich i piekielnych dobierają się do dusz ludzkich, sieją w nich jad nienawiści i niezgody, by w mętnej wodzie wyłowić dla siebie władzę i panowanie. Dzwonią na alarm, że niebespieczeństwo grozi bogu i wierze a rzeczywiście rozchodzi im się o własne posiadanie, o życie bez troski, o wyzyskiwanie ujarzmionych pracowników. Czasem śpiewają na nutę narodową, wołając, że religja i narodowość to siostry rodzone. Każdy środek dobry, który prowodzi do utrwalenia panowania czarnej międzynarodówki. Z takim przemożnym wrogiem walka nie łatwa, i w pojedynkę walki takiej prowadzić nie można. Toteż wszyscy uciśnieni, wyzyskiwani podali sobie ręce i stanęła na przeciwko czarnej potęgi druga siła; Walcząca o wolność klasa pracująca. W potokach krwi skąpana, czerwona międzynarodówka podjęła walkę o wyswobodzenie ludów z niewoli klerykalnej i kapitalistycznej.

We wszystkich krajach, toczy się równocześnie bój z podporami bagnetów i kropidła i zwycięska walka jednych narodów, jest po części i naszym zwycięstwem.

Czerwona międzynarodówka niesie ludom wolność sumienia i myśli, wolność pracy. Pod czerwonym sztandarem dojrzewa owoc miłości bliźniego, uszanowania człowieczeństwa, tak ohydnie przez czarną międzynarodówkę podeptanego.

W szeregach czerwonej międzynarodówko nie będzie wyzysku jednych dla nielicznej garstki nie pracujących a używających szkodników. Praca nie będzie przekleństwem ale błogosławieństwem. Matki nie będą ze zgrozą patrzyły na głodem przymierające dzieci, na synów, których czeka więzienie, na córki, które paść muszą ofiarą rozpusty. Komu serce żywiej bije na widok tego bezmiaru krzywd, które ludzkość pod panowaniem czarnej potęgi znosić jeszcze musi, ten stanie w szeregach czerwonej międzynarodowej walczącej armji ludu pracującego.

Już trzeszczą wiązania w gmachu gwałtu i bezprawia, bo gniew ludu wybucha co chwilę i przypuszcza szturm do czarnej międzynarodówki, która łączy pod swojem berłem wszystkie krzywdy zadane ludzkości od wieków.

Rozmaitości

Jak bogacze zdobywają sobie sławę. Sławny na całe Niemcy twórca balonu ze sterem, Zeppelin, nie jest wynalazcą tej miary, za jakiego okrzyczano go narazie, na postrach Francuzom, w jego ojczyźnie. Nietylko, że okręty powietrzne Zeppelina ulegają wciąż najrożniejszym katastro-

fom, ale główna zasada jego wynalazku nie jest jego pomysłu.

Wykrył to proces, jaki niedawno miał miejsce w Niemczech, pomiędzy „Towarzystwem Zeppelina", a wdową po niejakim inżynierze Schwarzu. Ow Schwarz był nieznanym, skromnym człowiekiem, który mnóstwo cennej, cichej pracy włożył w sprawę kierowania balonami, ale nie posiadał środków ani energji, aby swój wynalazek uczynić głośnym i dającym zyski. Opatentował go tylko. Schwarz umarł w młodym wieku i niktby nie wiedział o jego zasługach około awjatyki, gdyby nie wdowa po nim która pewnego dnia zrobiła odkrycie, że Zeppelin użył do swego balonu sterowego zasadniczych pomysłów i rysunków zmarłego inżyniera.

Pani Schwarzowa, powołując się na patenty, jakie jej mąż otrzymał na swoje wynalazki, wytoczyła proces towarzystwu Zeppelina i wygrała w kilku instancjach. Towarzystwo Zeppelina musiało zapłacić skarżącej poważną sumę odszkodowania, a cały świat dowiedział się, że Zeppelin poprostu „zaanektował" pomysły i rysunki inżyniera Schwarza.

Zmarły wynalazca ofiarowywał swoje pomysły praskiemu ministerstwu wojny, które nie przyjęło jego usług, później zaś zwracał się do rosyjskiego ministerjum wojny, które przychylnie powitało jego wynalazek. Schwarz rozpoczął nawet prace odnośne w Rosji, lecz wskutek różnych nieprzewidzianych przeszkód, jakie napotkał, musiał powrócić do Niemiec. Rysunki Schwarza pozostały w rosyjskim ministerstwie wojny.

* * *

Czy można swoim ciałem rozporządzać po śmierci? Wedle zasad prawniczych rozporządzają naturalni spadkobiercy ciałem zmarłego i grobem. Sąd rzeszy niedawno rozstrzygnął sprawę, czy wdowa musi się zastosować, jeżeli zmarły mąż testamentarnie przekaże opiekę nad swym ciałem i grobem swej kochance. Rzecz miała się następująco:

Przed kilku laty umarł w Hamburgu kupiec C., który od 30 lat żył oddzielnie od rodziny z niezamężną R., która wedle opinji wdowy C. żyła lekko i dłuższy czas była zapisaną jako prostytutka. W testamencie przekazał C. żonie i dwom córkom część obowiązkową swego majątku, kochance natomiast przeszło miljon marek. Poza tym rozporządził w innym testamencie, że kochanka ma się postarać o spalenie zwłok i wyszukanie grobu. Zmarłego pochowano na pewnym cmentarzu w Hamburgu na miejscu przeznaczonym dla 7 grobów, które R. zakupiła na swe nazwisko. W ostatnich latach stawiła R. wniosek do zarządu cmentarnego, aby wydano zwłoki celem ich spalenia i przełożenia. Temu oparła się wdowa C. i jej córki, twierdząc, że tylko one a nie R. mają prawo do zwłok zmarłego, uzasadniając swój opór tym, że żądanie R. wykracza przeciw dobrym obyczajom, ponieważ żyła w niemoralnym stosunku ze zmarłym i nawet podczas tego stosunku obcowała z innymi mężczyznami, nazywając się niesłusznie żoną C. Poza tym zamierza R. naturalnym spadkobiercom zamknąć przystęp do grobu, czego już skutecznie próbowała.

R. zażądała na drodze sądowej przyznania testamentarnie przekazanych praw. Sąd ziemiański w Hamburgu skargi nie przyjął, tymczasem sąd nadziemiański rozstrzygnął na jej korzyść. Wyrok uzasadnia sąd następująco:

Ogólnie trzeba przyjąć za zasadę, że wdowa zmarłego ma prawo pogrzebać go. Zwłok nie można zaliczać do spadku po zmarłym. Jednakowż ma skarżąca testamentarnie prawo do trupa. Przyznać trzeba, że każdy człowiek tak w życiu jak i po śmierci ma prawo do swego ciała i wobec tego jego życzenia muszą być uwzględnione przed życzeniami krewnych. Co do poszczególnych wypadków trzeba tylko zbadać, czy nie wykraczają przeciw dobrym obyczajom. W Zachodzącym wypadku sąd nic zdrożnego nie widzi. C. od 30 lat nie żył z rodziną, lecz przeważnie ze skarżącą pod jednym dachem, a ona wedle testamentu była mu wierną i dobrą towarzyszką. Dlatego nie uwzględnia się, że żyła ona w dzikim małżeństwie ze zmarłym. Rzecz miałaby się inaczej, gdyby zmarły testament, tylko dlatego sformował w ten sposób, aby rodzinę oczernić Sąd Rzeszy wyrok potwierdził.

Paryzkie kuchynie dla matek karmiących. Gmina paryzka postarała się o utworzenie kuchni dla matek-robotnic, które same niemowlęta swe karmią. W kuchniach tych, codziennie trzy razy w pewnych odstępach czasu otwartych, matki te dostają zadarmo dobre i treściwe pożywienie. Kobiet przychodzących na obiad nie trudzi się żadnemi zbytecznemi pytaniami potrzebują tylko podać swoje nazwisko. Dopytywanie się o stosunki domowe, narodowość i wyznanie są surowo wzbronione. Jedyny warunek jest ten, że młoda matka wykazać się musi możnością osobistego karmienia dziecka. Na śniadanie daje się tęgą zupę, na obiad: zupę, mięso, jarzynę, chleb i niestety także piwo; wieczorem znów zupa, jarzyna, chleb i piwo.

* * *

Fanatyzm religijny. W położonem we francuskiej kolonji afrykańskiej miasteczku Lamoriciere — noszącem swe miano na pamiątkę sławnego jenerała żuawów — został pewien arab przez swoich współwyznawców zastrzelony, gdy zapalał papierosa. Już dawno go podejrzywano, że przepisy ramazanu przestępował. Mordercy chcieli również dom jego wraz z familją spalić, lecz ta się uratowała ucieczką. Podczas miesiąca ramazanu wszyscy wyznawcy Islamu ponad lat 15 wstrzymują się od wschodu słońca aż do zachodu od jedzenia, picia i palenia. W każdy wieczór, gdy ciemności zalegną, wystrzał armatni daje znak, że „wierni" mogą się posilić.

* * *

Straszna śmierć samobójcy. W ubiegłą sobotę umarł w Tenczynku straszliwą śmiercią samobójczą 27-letni górnik tamtejszy Jan Serda. Opodal domku, gdzie mieszkał, wykopał dół, założył w nim patron dynamitowy i zapalił lont, czekając aż nastąpi wybuch. Patron eksplodował i poszarpał formalnie na kawałki ciało nieszczęśliwego samobójcy.

Przyczyna tej straszliwej śmierci była podobno ta okoliczność, iż gospodyni Okrutnikowa, u której mieszkał, przeszkadzała mu w ożenieniu się i oczerniała go przed dziewczętami, o których rękę Serda się ubiegał.

* * *

Twórca Volapüku. Ks. Jan Marcin Schleyer, umar jak wiadomo, przed kilku dniami w Konstancji nad jeziorem bodeńskim. Język międzynarodowy, wynaleziony przez niego, zyskał zaraz popularność. Zwolenników jego obliczano na miljon, był wykładany w wielu szkołach handlowych, kilkadziesiąt pism perjodycznych wychodziło w nim dla propagandy, setki stowarzyszeń rozszerzały go po całym świecie. Volapük miał jednak gramatykę skomplikowaną, słownictwo ubogie, wspierał się na języku angielskim, przeinaczonym dziesiątkami przystawek i przekształceń. Przy tym były w nim dziwactwa, np. literę r usunięto wogóle, przez wzgląd na starców, dzieci i... chińczyków. Słowa składane dochodziły chwilami niezwykłej długości. Np. „sekretarz dyrekcji fabryki luster" znaczyło: klonalitakipatabludacitalopasekretan. Wkrótce zaczęły się między volapükistami spory o dalszy rozwój języka, podobne, jak dziś między esperantystami — i sztuczny język zanikł prawie zupełnie po krótkiej świetności.

* * *

Statystyka katastrof. W rzędzie katastrof kopalnianych, jakie zdarzyły się w ostatnim dziesiątku lat, największą była w Courrieres we Francji w roku 1906, której ofiarą padło 1230 osób. W roku następnym wskutek eksplozji w kopalni w Doremin w Ameryce zginęło 500 górników, w Fairmont Coal Company 400. W roku 1909 katastrofa w Marianna w Ameryce pochłonęła życie 300 ofiar, w roku 1911 w Knoxville — 200. W Niemczech notują wielkie katastrofy kopalniane: w r. 1969 w Plauer, której ofiarą padło 274 ludzi, w r. 1907 w Reden, w obwodzie Saaru, gdzie zginęło 128 górników i w roku następnym w Radbod z 341 ofiarami.

W Europie, po za katastrofą w Courieres, najczęściej widownią nieszczęść kopalniaah była w ostatnich dziesiątkach lat Anglia. Najstraszliwsze z nich pochłonęły: w r. 1861 w Jorkshire 316 w r. 1877 w High Blantyre w Szkocji

— 250, w rok później w Otto Pitt w Anglji 257, w r. 1890 w Blaneerh — 176, w r. 1894 w Albion Pontyprid 286 ofiar. W Belgji zginęło w r. 1892 w kopalni Anderlus koło Mons 205 robotników. W Austrji katastrofy w Karwienie pochłonęły w r. 1885 życie 132 ofiar, w 1894 roku 238, w rok później — 58. W Japonji w katastrofie w Nagasaki w r. 1906 zginęło 250 górników.

W rewirze kopalnianym Bochum zaszły dwukrotnie wielkie katastrofy. W r. 1895 w szybie ks. Pruskiego, w której zginęło 43 ludzi, i w r. 1898 w szybie Karolinenglück, gdzie 119 robotników znalazło śmierć. Według urzędowych wykazów zginęło w Niemczech od 1905 — 1910 r. 9545 górników: w r. 1905 — 1235; w r. 1906 — 1211; w roku 1907 — 1743; w roku 1908 — 2051; w roku 1909 — 1748; w roku 1910 — 1571.

* * *

Kościół zburzony przez piorun. Podczas przechodzącej burzy uderzył grom w wiosce Ballersbach przy Dyseldorf w kościół tamtejszy, zerwał wieżę i zniszczył wnętrze kościelne. Kościół, zbudowany w 14 wieku, równa się ruinie i będzie musiał zupełnie być odbudowany.

* * *

Ciekawy powód niezatwierdzenia burmistrza. Rada miasta Oberehnheim w Alzacji i Lotaryngji wybrała na stanowisko burmistrza jednego z zastępców miejskich Rumplera, minister spraw wewnętrznych jednak wyboru nie zatwierdził. Wybory musiały się odbyć ponownie, lecz radni znowu Rumplera wybrali burmistrzem. Rząd alzacko-lotaryński powtórnie odmówił zatwierdzenia jego wyboru, ponieważ syn Rumplera jako oficer służy w armji francuskiej.

* * *

Zamach na biskupa. Gdy biskup Pfluger w Wiedniu przechodził w towarzystwie [służącego, ubrany w ornat, z pałacu swego do kościoła św. Szczepana, by odprawić nabożeństwo z okazji urodzin cesarza Franciszka Józefa, napadło go przed kościołem pewne indywiduum i zadało mu nożem ranę. Sprawcę napadu aresztowano natychmiast. Jest nim 37-letni Herman Prinz. Zeznał on, że zamierzał pierwotnie wykonać napad na księcia arcybiskupa Nagla. Rana ks. biskupa, zadana w prawe ramię, jest cztery centymetry głęboką; jest ona ciężką i bolesną, lecz nie niebezpieczną.

Sprawca zamachu jest znanym opryszkiem, który przepędził życie częścią w więzieniu, częścią w zakładzie obłąkanych. Od 7 lat poddawano go kuracji w zakładach. Dopiero 13 sierpnia wypuszczonego go z zakładu. W Wiedniu żył w przytułku dla bezdomnych, nie mogąc znaleść pracy.

Dymokrackie medykacje.

Bóła se tako gryfno szarpaczka między „poważnym obywatelem“ w bytońskich gazytach katolikowo-polokowych, co nie je za jedno s katolicko-polskimi, a cyntrowym „Kurierem“. Tak sie ta wadzili a onymu obywatelowi dopolali, iże śmiłowoł sie nad nim som pon Wojtek Korfanty, no, i coby pono nie miynili, iże to ón mo tako ostuda ze sztacwaltem, to posłoł sprostowanie „Kurjerowi“, iże ta bezimiynno denuncjacjo przeciw niymu bóła na psa, bo sztacwalt śledztwo umorzół, a tyj uroczystyj rozprawy ze świadkami a ławą oskarżonych już mieć nie bydzie. A iże jo, Gustlik Beskuryjo, tyż mu tam nieco te grzechy przetrząsnółech, a jezdech chop sprawiedliwy, to mu i bez sprostowanio to poświadczom, coby go nie skrzywić a nie skrzywdzić. Ale jyno sie tyż pytom pana Korfantygo piyknie, co sie zrobióło z onymi dwiema denuncjacjami podpisanymi?

Bo to bóło tak. Pon Korfanty pisoł, iże go dwóch denuncjowało, a pono inksi tyż jeszczy, a miana podoł tyż. Terazy prostuje w „Oberślejzjijszer Kurijer“, iże ta bezimiynno denuncjacjo na nic, ale o tych inkszych imiynnych nie piszczy nic. Tako s tegó sprostowanio nijak nie można być mądrym, a ludziska jyno pokrzywią se jeszczy rozum. Bo jo jyno wiym, iże s jego denuncjacji imiynnyj zrobióło sie psińco, chtóro podoł na jednygó świadka, ale tak to pono wszycko idzie porządkiem. Terazy sie tyż jeszczy pytom piyknie pana Korfantygo, skisz czego nie oskarżół ónygo bezimiynnego denuncjanta o oszczyrstwo? Nieprzyjociela bije sie pono jegó włosnom bronią, a pon Korfanty nołożół sie już do broni rostmajtyj, Możno som dostoł rymy, kiej mu sie nié udała taka sprawa z inkszym?

Pisołech im, cobych tyż tak chcioł robić interwiewy, to je wywiady u wielgich i małych osób, kiej robią korespondencio od wielgich pismów, ale muszą zbiyrać jeszczy za telo skłodek na takie rajzy a na fundusz prasowy, bo inakszy, to nic z tegó. Musza terazy doczkać, aże rydachcyjo od „Robotniczyj“ bydzie mógła organizować takie wyprawy, a tymczasem za włosne pieniądze poszełech na Zawodzie. Pytoł mnie tam kieryś z Hamburga o sztatpark, alech mu pedzioł, iże to przeca wieś, a gmina Bogucice. Tagech sie śnim smowił o całkim Górnym Śląsku, o swądach z Rawy, a z hut a z grub, o tych marnych żarobkach a inkszych wiecach. Tak mi tyż padoł: wiedzą, kiejby u nos w Hamburgu kiery policaj bół taki, kiej u Nich, coby tak na człowieka krzyczoł a czasem biół, kiej psa, toby mu hnet dali laufpas. Alech mu tyż pedzioł, ku czymu haw je policaj: do obserwowanio towarzystw politycznych a niepolitycznych, do robienio im ostudy, a do niczego wiynkszy. Nie chcioł wierzyć, jagech mu padoł, iże w Ochojcu rozbójnik Grzyworz miynszkoł przez pół roku u przyjocieli, a policaj furt nic nie wiedziała, jyno szniupała, co robią polskie śpiywoki w Piotrowicach. To sie r'zoł a dziwiół, iże haw jeszczy za telo kultury, kiej jyno taki przykłod momy z góry.

Pedzioł tyż, iże tu możno bydzie lepszy, kiej bydzie królesko-prusko policjo. Alech mu tyż prawiół o tym, co robią kroleskie szandary. No, pado, terazki wiym, skiż czegó wszycko wdycki pomstuje „Dumme pollaken“, a to tymu, bo widno, iże te poloki nie znają swoich praw i dadzą se spodobać. Tagech mu wspomnioł, iże na sądach policaj wdycki mo prawie, niekiery weźnie na swój dinstajd nojwiynksze rzeczy, kiej mu to potrzebne, no i po jakiymu sie prawować.

„Ano“, pado, „zróbcie takie prawa, coby wos chróniły, a nie tych, co wos uciskają“.

„Aha“, padom, „już wiym, co óni miynią; momy wybiyrać wdycki takich jyno posłów, co takie prawa bydą robili?“

„Ano, prawie odgadli“, pado mi. „Ale wybory do parlamentu jyno co pięć roków; to trza tyż boczyć i na inkszе wybory. Ale, — wdycki jyno idźcie kupą, — organizujcie się, a psińco wom zrobią.“

I mo prawie.

Gustlik Beskuryjo.

Kącik humorystyczny.

Nie pomaga. Upiłeś się znowu? Taczasz się? A przecież zapisałeś się do bractwa wstrzemięźliwości! —

Zapisałem. Płacę co pierwszego regularnie składki — nic nie pomaga. — Co ja mam zrobić?

*

Różność zdań. Gość (do jednego w domu warjatów i obłąkanych): „Cóż to was zaprowadziło do domu warjatów?“ —

„Rożność zdań.“

„Jak to rożność zdań?“

„A tak, ja twierdziłem, iż świat zwarjował, tymczasem świat utrzymował, iż ja zwarjowałem. Na mnie przegłosowano i zamknięto.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott w Katowicach.

Nr. 35. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 31 sierpnia 1912.

Dzieci ofiarami ustroju kapitalistycznego.

Używanie i równocześnie wyziskiwanie pracy dzieci, jest jednym z charakterystycznych objawów ustroju kapitalistycznego. Wprawdzie i w ustroju przedkapitalistycznym spotykamy pracę dzieci, jednak nie w takiej masie jak obecnie. Fabryczno-maszynowy sposób produkcji, dzielenie pracy na części umożliwiło żądnemu zysków kapitalizmowi wyzyskanie pracy dzieci. Chociaż burżuazja ma usta pełne frazesów o kulturze i miłości bliźniego, jest faktem historycznym, że nie wzdrygnie się tysiące dzieci robotniczych poświęcić, dla zapewnienia sobie sumy najwyższych dochodów. Obecnie kiedy opowiada się o „wieku dziecka“ tysiące dzieci zmusza się do ciężkiej pracy zarobkowej.

Gdyby klasy rządzące miały zupełną wolność działania, gdyby na straży interesów robotniczych nie stało ubodzone uświadomienie, to bez skrupułów zaprzęgłyby wszystkie dzieci proletarjackie do pracy, dla przysporzenia sobie zysków.

Klasa robotnicza położyła dopiero tamę wyzyskowi pracy dzieci, rozumiejąc że dzieciom należy dać możność rozwoju fizycznego i umysłowego, jeżeli chcemy z nich mieć bojowników o wolność.

Proletarjat stara się wymusić na rządach możliwie najdalej idące ustawodawstwo ochronne dla dzieci i młodzieży i znaleźć sposoby, żeby te ustawy były wykonane.

Berlińska organizacja polityczna i zawodowa powołała do życia komisję ochronną dla dzieci, której celem jest zapobiedz wyzyskowi pracy dzieci, wyszukiwać dzieci, nad którymi rodzice, czy opiekunowie się znęcają, albo żyją w zupełnem zaniedbaniu. Obowiązki, które spełniać powinno państwo, gdyby nie stało na usługach kapitału.

Komisja stwierdziła, że w Berlinie i jego przedmieściach 3527 dzieci pracuje przed pójściem do szkoły, czyli, że dzieci te wstawają koło godziny piątej rano. Komisja już spotkała pięcioletnie dzieci, które pracowały zarobkowo.

Większą połowę stanowili chłopcy, co się tłomaczy faktem, że chłopcy nie nadają się do pracy koło gospodarstwa jak dziewczęta, wysyła się je więc do pracy zarobkowej. Stwierdzono, że dzieci pracowały zarobkowo między 24 a 48 godzin tygodniowo.

Szczególnie dużo dzieci zajętych jest przy roznoszeniu gazet. Jest rzeczą zwyczajną, że dzieci przed pójściem do szkoły przejdą koło 80 piąter, odnosząc gazetę prenumeratorom i zmęczone przychodzą do szkoły, nie korzystają wcale z nauki, bo organizm wyczerpany pragnie wypoczynku a nie nauki.

Również przy roznoszeniu mleka praca dzieci odgrywa wielką rolę. Dzieci często trzy godziny przed nauką roznoszą mleko, po kilka blaszanek w każdej ręce. —

Co skłania rodziców do wysyłania dzieci do pracy zarobkowej nie trudno odgadnąć. Nędzne położenie rodziny robotniczej, mały zarobek ojca rodziny, choroba jednego z rodziców, albo liczne potomstwo, które musiałoby z głodu umierać, gdyby nie praca starszych dzieci.

Komisja stwierdziła, że ogromna większość dzieci robotniczych jest bardzo źle odżywiana i moralnie zupełnie zaniedbana. Ojciec i matka zaprzęgnięci do pracy zarobkowej nie mają czasu wychowywać dzieci, często matka przez cały dzień nie wraca z fabryki do domu, dzieciom nie ma komu ugotować jedzenia, gdyby nawet były zapasy. Chleb i kawa, to pożywienie całodzienne dzieci, a dopiero późnym wieczorem, matka gotuje obiad. Ani państwo, ani kraj ani gminy, nie poczuwają się do obowiązku, żeby zastąpić dzieciom matkę, którą kapitalizm oderwał od rodziny i wprzęgnął w jarzmo pracy dla innych. W Berlinie na 33 tysięcy nowo zapisanych dzieci szkolnych u 31 procent stwierdzono cierpienie fizyczne albo umysłowe spowodowane złemi mieszkaniami, niedostatecznem odżywianiem, brakiem opieki. W jednej miejscowości koło Berlina na 1555 badanych dzieci tylko jedno było zupełnie zdrowe.

Już przed 20 laty naliczono w Niemczech 70 tysięcy umysłowo słabo rozwiniętych dzieci; a duży procent niedorozwoju był następstwem różnych chorób, którym specjalnie dzieci robotnicze padają ofiarą.

Państwo kapitalistyczne wyzyskując pracę rodziców i dzieci, nie stara się zupełnie o wychowanie tych dzieci. Ulica jest wychowawczynią i dopiero jeżeli dziecko zostawione samo sobie popełni czyn karygodny, zgłasza się państwo i zaczyna się opieka nad małym zbrodniarzem.

W roku 1909 znajdowało się w Niemczech prawie 45 tysięcy dzieci w domach poprawnych, a przeszło 54 tysięcy dzieci w więzieniach, czyli razem 100 tysięci dzieci popełniło czyny kolidujące z kodeksym karnym. Czy można winić dzieci, że poszły drogą występku? Gdyby zbadano środowisko, z którego dzieci te wyszły, przekonalibyśmy się, że pewnie ogromna większość tych dzieci należało do rodzin robotniczych, których rodzice oddani byli pracy zarobkowej.

Klasa robotnicza stawia co raz natarczywiej żądania, które w interesie dzieci, państwo, kraje i gminy spełnić będą musiały.

Skoro matki nie mogą zająć się dziećmy, bo kapitalizm nie chce zrezygnować z taniej siły kobiecej, muszą inne czynniki wkroczyć i zastąpić dzieciom opiekę macierzyńską już od pierwszych dni życia. Żłobki dla niemowląt, ochronki dla małych dzieci, internaty dla starszych dzieci, to żądanie klasy pracującej. —

Im większe będzie uświadomienie klasy robotniczej, tem natarczywiej będzie się domagała spełnienia tych postulatów tak w interesie dzieci, jak i całej walczącej klasy pracującej.

Z liryki staro-chińskiej.

Z chińskiego przełożył Eugeniusz Meller.

1. Wu-Ti (156–87 przed nar. Chrystusa).

Rozczarowanie.

We śnie lubę mą zoczyłem,
radość moją któż odgadnie?

Lecz, gdy jeno się zbudziłem,
ból uczułem w sercu na dnie,
bo mej lubej już nie było...

Smutnym przeto. Sen ten zdradnie
marzeń moich był mogiłą — —
Boleść moją któż odgadnie,
gdy miast odżyć szczęścia chwilą,
nagle ze snu się zbudziłem!...

2. Z Księgi Pieśni. Szi king (IV w. przed Chr.).

Na pożegnanie.

Gdy na wędrówce krople deszczu
twoje szaty by zrosiły,
to znaczyło: że wśród żalu
łzy oblicze me zrosiły!...

3. Li-Tai Po (698— 726).

Jedno słowo...

On:

Słowo jedno rzeknij tylko,
jedno tylko rzeknij słowo
i odżyję dziś na nowo —
chcę żyć choćby szczęścia chwilką...
Czy mnie kochasz? powiedz szczerze,
mnie samego dam w ofierze
i me usta, które błędną,
gdy nie czują krwi twych lic — —
Słowo rzeknij tylko jedno,
dłużej tak nie może być!...

Ona:

Słowa tego ci nie powiem,
tego ci nie powiem słowa:
do wszystkiego jam gotowa,
gdy się z czynów twoich dowiem,
że mię kochasz całkiem szczerze —
Serce moje dam w ofierze
i ten miodek moich warg — —
Lecz nie pwiem słowa tego,
póki potok płynie skarg!...

Trzęsienie ziemi.

(Opis naocznego świadka.)

Pera, 12. sierpnia.

Trzęsienie ziemi, które nawiedziło stolicę otomanów, co prawda, nie sprawiło wielkiego spustoszenia w obrębie jej, lecz tylko w okolicach.

Dnia tego, przed wschodem słońca, o god. 3. min 24, mieszkańcy stolicy zostali rozbudzeni silnym trzęsieniem, które powtórzyło się w odstępie pół sekundy. Wypadkowo nocując w mieście, miałem więc sposobność być świadkiem paniki, spowodowanej siłą wyższą. W kilka minut po katastrofie Grande rue de Péra, jedyna i główna arterja komunikacyjna w Konstantynopolu, zaludniła się jej mieszkańcami, zaledwie na pół ubranymi. Kobiety z włosami rozpuszczonymi, w nocnych kostjumach w pantoflach, z dziećmi na rękach, błędnymi oczyma wodziły na około wzywając ratunku.... Przed kościołami tu i owdzie zebrały się gromadki pobożnych, z zapalonymi świecami w ręku, śpiewając pieśni religijne i błagając Panagiję (Najświętszą) o odwrócenie klęski. W trakcie tego przez ulice miasta przesuwały się wolno patrole kawaleryjskie i mitraljezy na samochodach, z powodu przywróconego w stolicy stanu oblężenia. Dziwny i strażny kontrast... Muszę tu nadmienić, że w czasie trzęsienia ziemi, które trwało 15 sekund, zaczął padać piasek, jakby dyszcz, niesiony huraganem w dali szalejącym. Termometr wskazywał 32 stop. C. — niebywała temperatura o tej porze dnia, a barometr pokazywał w wigilję wieczorem 572,5, t. j. o 20,3 więcej niż zwykle o tej porze roku w naszej strefie. Woda w Bosforze, według opowiadań rybaków, poprostu gotowała się.

Wkrótce też poczęło świtać, zaczął powiewać wiatr północno-wschodni, powietrze nieco się odświeżyło i wystraszeni mieszkańcy zaczęli powoli przychodzić do siebie i powracać do domów. I znowu zapanowała grobowa cisza...

Miałem sposobność, w towarzystwie sąsiada, objechać wierzchem kilka dzielnic, gęściej zaludnionych — kursowanie dorożek od północy do god. 6. rano, z powodu stanu oblężenia, jest surowo wzbronione — i naocznie stwierdziłem, że katastrofa w samym mieście nie spowodowała poważnych szkód lub też ofiar w ludziach.

Tylko tu i owdzie zarysowały się mury różnych budynków i meczetów, zawaliło się kilka starych ruder na przedmieściu Kassim-Pasza, a w Ortakieny nad Bosforem, za pałacem Dolma-Bagtsze, minaret strzelisty, jak również jedna że ścian meczetu, zbudowanego nad samym brzegiem morskim przez sułtana Abdul-Aziza, zarysowały się bardzo i grożą zawaleniem się.

Za to w okolicach Konstantynopola, na Wyspach Książęcych (morze Marmora) i na pobrzeżu europejskim aż do Dardanelów, trzęsienie ziemi spowodowało wielką klęskę.

Z miasteczka Czanak-Kale (Dardanele, strona azjatycka) pozostały tylko ruiny. Piękne budynki konsulów austrjackiego i greckiego, znajdujące się nad samym brzegiem morskim, zostały do szczętu zburzone i pod gruzami ich znalazły śmierć rodziny wzmiankowanych konsulów.

W Gallipoli (starożytnym Hellesponcie), Rodosto, Myriophito, Hora, miastach leżących nad morzem, Marmora setki ludzi znalazły śmierć pod gruzami walących się domów. Ci zaś, co pozostali przy życiu, odnieśli mniejsze lub większe kalectwa. Straszny widok przedstawiało wylądowanie tych ostatnich z przystani w Galacie, gdzie setki lektyk i ambulansów wojskowych oczekiwało ich brzybycia. Z połamanymi rękami, nogami, ze zgniecionymi klatkami piersiowymi, ze strasznemi ranami na głowie, jęcząc, odstawieni zostali do różnych tutejszych szpitali.

Również i po stronie azjatyckiej miasteczko Czorlu ucierpiało strasznie wskutek pożaru, spowodowanego oberwaniem się lampy naftowej, wiszącej u sufitu. Ogień przedostał się do sąsiednich budynków (drewnianych) i w ciągu niespełna godziny całe miasteczko stało w płomieniach. Ocalało tylko kilka domków, leżących w pobliżu rzeki, w której woda wezbrała wskutek trzęsienia ziemi i zalała całą przyległą nizinę.

Setki ludzi, straciwszy całe swe mienie, obozuje w namiotach wojskowych, przysłanych im przez intendanturę z Konstantynopola.

Słowem, same nieszczęścia...

Mamy wojnę, rewolucję, trzęsienie ziemi, braknie tylko cholery, a będzie komplet bizantyjskich plag...

Dr. Ismail-bej.

Kobiece pióra.

Różnica.

Pomiędzy duszą moją a spojrzeniem Twojem,
Leży świat niezbadany, różny w swej tęsknocie,
Co się mieni zaklętym, niewłasnym nastrojem,
Nieporozumień smutnych dający nam krocie.

Bo między mymi usty a warg Twoich smugą
Leży przestrzeń słoneczna. Inne chcemy życie,
W rzeczywistość tchnąć trudno jasna, inną strugą,
Ty marzysz o brylantach, ja zaś o błękicie.

Więc między mymi dniami a Twym bujnym życiem
Jest różnica ogromna, niemal nieprzebyta,
Jak między mistrza dziełem a lichym odbyciem,
W którym myśl twórcza, farbą brzydką źle pokryta.

Przeto się dni te nasze nigdy nie zespolą.
Jak dwa ptaki popłyniem, każdy swoją drogą,
Nie złączeni przypadkiem, ani skuci wolą.
Ty w czar brylantów strojna, ja w mą myśl ubogą.

Kilka myśli.

Motyle gatunku Culiana pieridoides pachną jeszcze po śmierci przez czas dłuższy heliotropem i wanilją. Ks. Kalinka zwykł był mawiać, że u nas „dopiero trup pachnie", czyli, że u nas dopiero po śmierci zaczynają cenić i szanować człowieka.

* * *

Ostrożna i przezorna czapla spożywa w ciągu roku około 250 funtów mięsa rybiego i zrządza znaczne szkody w zarybku. Mimo to daje ona zaledwie dwa do trzech gramów piór. Ile to ludzi u nas czaplę przypomina.

* * *

Stary dyrektor cyrku Schumann zwykł był domagać się od swych jeźdźców konnych, aby poprzednio wyuczyli się tańca baletowego. My zdystansowaliśmy pana dyrektora. Nie ucząc się, wydaje się nam, że jesteśmy do wszystkiego zdolni i że wszystko umiemy.

Są też po temu rezultaty.

* * *

U Beduinów wynosi kara za zabicie mężczyzny 40 wielbłądów do dźwigania ciężarów i jednego wielbłąda, przeznaczonego do jazdy. Za kobietę kara staje się podwójną, za dziecko poczwórną.

U nas wartość kobiety i dziecka nie doszła jeszcze do takiego odpowiedniego stosunku.

* * *

W klasztorze św. Katarzyny na górze Sinai jedzą zakonnicy raz tylko dziennie a raz po raz poszczą przez dzień cały. Nie jednemu z nas przepis klasztorny wyszedłby więcej na zdrowie, niż wyjazd do wód drogich.

* * *

W Egipcie znano już w 4 wieku przed Chrystusem cztery rodzaje piwa. Piwosze gotowi teraz szczycić się najstarszą parantelą.

* * *

Na bocznym frontonie filjalnego gmachu ratuszowego przy Nowej ulicy w Poznaniu umieszczono zegar na wzór zegarów średniowiecznych. Pod pojedyńczemi godzinami widnieje napis naturalnie niemiecki: „Eile mit Weile." W wiekach dawniejszych używano łaciny. Choćby dla zachowania stylu należało położyć napis: „Festina lente."

* * *

Na najwyższym punkcie muru okalającego chińskie miasto Canton wznosi się jeszcze pięciopiętrowa pagoda. Na najwyższym punkcie wad naszych wznosi się jeszcze pięciopiętrowy brak woli. X. X.

Rozmaitości

Co zarabiają artyści. Z nowego Jorku donoszą, że dyrekcja tamtejszej słynnej odery „Metropolitan" zakończyła angażowania artystów na zbliżający się sezon i ułożyła budżet. Dyrektor Gatti Casazza i pierwszy kapelmistrz Toscanini pobierają około 120 000 marek rocznej gaży. Z pośród śpiewaków najwyższe honorarjum osiągnął Caruso, któremu przyznano pewne „minimum" występów, płatnych po 10 000 mk. za wieczór. Gażą dorównuje mu Marcella Sembrich; śpiewaczka Hampel i rywalka jej Tetrazzini otrzymują po 8000 mk. za występ. Geraldina Ferrar i Johanna Gadzka po 4000 mk. Dalsze gaże pierwszorzędnych śpiewaczek wahają się między 4000 a 3000 mk. od występu. Na tej wysokości utrzymane są również honorarja tenorów Jadlowkiera, Burriana, Slezaka, Jörna i Dalmoresa. Barytoni Amato, Scoti i Renaud pobierają po 3000 mk. za występ. Dochody opery Metropolitan dosięgają niejednokrotnie niezwykle wysokich sum; nie należy do rzadkości, że za jeden wieczór kasa wykazuje wpływ blisko 50 000 mk. Mimo to ostateczne zamknięcie rachunków przynosi akcjonarjuszom olbrzymie nadwyżki.

* * *

Nowe poołączenie między Ameryką a Europą. Stary projekt, marzący o połączeniu kolejowem między Ameryką a Europą za pomocą tunelu podmorskiego pod cieśniną Behringa, wyłonił się z powodu zatonięcia „Titanica". W Ameryce utworzyło się już w tym celu towarzystwo akcyjne. Tunel miałby długość 65 kilometrów. Budowa ma być rozpoczęta naraz w kilku miejscach. Pominąwszy techniczne trudności projektu, musianoby linie kolejowe tak w Europie, jak w Ameryce pobudować przez kraje o charakterze pustyni, pozbawione roślinności i niezamieszkane. W zamian za koszta budowy żąda towarzystwo oddania mu ziemi, położonej po obydwóch stronach linji kolejowej.

* * *

Bitwa w jaskini gry. Do krwawej bitwy pomiędzy policją i graczami przyszło wczoraj w Chawes w Portugalji północnej w pobliżu granicy hiszpańskiej. Policja, dowiedziawszy się o istnieniu tej sali gier hazardowych, wkroczyła w znacznej sile celem aresztowania graczów. W pierwszej chwili powstała panika i policjanci skorzystali z niej, konfiskując rozłożone na stolikach sumy w wysokości 110 tys. marek. Wkrótce jednak gracze, po większej części zbrodniarze i przemytnicy, oprzytomnieli z przerażenia i rzucili się na policję. Wywiązała się zapalczywa walka na rewolwery, w ciągu której ośm osób zostało zabitych a czternaście zranionych. Aresztowano 42 uczestników gry.

* * *

Nowy generał „armji zbawienia". Zmarły w tych dniach generał „armji zbawienia", Booth, spisał przed 22 laty swój testament, mianujący syna jego Bramwella następcą na stanowisko naczelnika „armji zbawienia".

Onegdaj w obecności adwokatów i wielu oficerów armji zbawienia odczytano nominację Bramweilla przyjęto z wielkim zapałem.

* * *

Jak budowano w Rosji okręty wojenne? Ks. Mieszczerskij w Graźdaninie opowiada fakt następujący:

Poznałem pewnego oficera marynarki, który prowadził budowę statku wojennego. Zdarza się, mówił on, że kosztorys jest opracowany, budżet ściśle określony, przystępujemy więc do pracy. Zjawia się jeden z admirałów i ogląda wzór pancerza. „Dlaczego takiej grubości?„ — „Tak zatwierdzono", odpowiadam. — „Więc cóż, że zatwierdzono? tego pancerza na część górną wystarczy, na resztę można wziąć mosiądz". — „Nie mogę, pancerz nie wytrzyma, taka oszczędność doprowadzi do zguby". „Jaka tam zguba, odpowiada admirał, żadnej wojny nie będzie, a flota potrzebna na pokaz". „Mimo to nic zmienić nie mogę". Ee, już widzę, jesteś pan budowniczy rycerz, nie daleko pan zajdzie". I admirał uśmiechając się, odszedł. Działo się to przed Cuszymą.

Po sześciu miesiącach dowiaduję się, że oficer ów musiał ze stanowiska budowniczego ustąpić. Nie „nadawał" się na budowniczego floty rosyjskiej.

* * *

Zamknięcie związku. 20 b. m. naczelnik miasta Petersburga zawiesił działalność największego w Rosji robotniczego związku zawodowego metalowców.

Związek ten w d. 1 lipca r. b. liczył 2800 członków, posiadał znaczną bibljotekę i stosunkowo poważne fundu-

sze. Zamknięcie związku poprzedzone zostało następującemi okolicznościami:

W połowie sierpnia do lokalu związku zgłosił się w towarzystwie policji urzędnik do szczególnych zleceń przy naczelniku miasta Petersburga i zażądał przedstawienia mu całej biurowości związku, chce bowiem dokonać rewizji.

Członkowie zarządu poprosili urzędnika, by przedstawił dowody, że ma prawo dokoniwać rewizji.

Urzędnik przedstawił tylko swój bilet służbowy.

Wtedy członkowie zarządu oświadczyli mu, że ani ustawa związku, ani przepisy tymczasowe z d. 17 marca 1906 r. nie dają władzom administracyjnym prawa dokonywania rewizji biurowości i funduszów związków zawodowych.

Obowiązkiem zarządu w stosunku do administracji jest tylko przedstawienie sprawozdania.

Wobec tego zarząd odmówił owemu urzędnikowi okazania dokumentów.

Na żądanie przybyłego urzędnika sporządzono protokół.

W tydzień potem Związek został zawieszony.

Jak donosi „Riecz" zarząd związku postanowił zaskarżyć postanowienie naczelnika miasta do senatu.

* * *

Śladami kapitana z Koepenick. Przed kilku laty przebrany w mundur kapitana szewc berliński Voigt wpadł do magistratu miasteczka Koepenick i pod pozorem przeprowadzenia rewizji obrabował doszczętnie kasę miejską. Obecnie podobny figiel zdarzył się w Budapeszcie.

Drugi szwadron stacjonowanego w Budapeszcie 6 pułku huzarów obrony krajowej odbywa obecnie manewry. Wedle przepisów, podczas manewrów takich conajmniej jeden oficer powinien zostać w koszarach; wbrew tym przepisom nie pozostał żaden oficer, a komendę nad rezerwistami, powołanymi do ćwiczeń, objęło czterech wachmistrzów. O nieobecności oficerów dowiedział się jakiś „hochstapler", który w tych dniach w mundurze eleganckiego porucznika zjawił się w „wachcymrze" koszar.

— Gdzie oficer inspekcyjny? — zapytał dyżurnego żołnierza rezerwowego.

Rezerwista wyprostował się jak struna i odpowiedział:

— Melduję posłusznie, oficerowie są na manewrach, a pozostali tylko wachmistrze.

— Zawołać wachmistrza! — zakomenderował „pan porucznik".

— Melduję posłusznie — odpowiedział rezerwista — chwilowo niema także wachmistrzów.

— No, dobrze, to ja sam przeprowadzę inspekcję pokojów.

Smiałym krokiem przeszedł przez wszystkie pokoje, wypytywał się o stosunki służbowe i wyraził się z uznaniem o szczegółach, spostrzeżonych podczas przeprowadzania inspekji. W końcu zażądał, by mu podano konia, gdyż chce, aż do powrotu wachmistrzów konno objechać miasto. Wybrał sam najładniejszego konia, wsiadł nań z wyszukaną elegancją i najspokojniej w świecie opuścił kasarnię.

U bramy znów, mimo najwyraźniejszego przepisu, żądającego, by opuszczający koszary wylegitymował się przed wartą, „pana porucznika" nikt nie zatrzymał, lecz owszem salutował przepisowo, poczem „pan porucznik" galopem ruszył w dalszą drogę.

Po kilku godzinach zjawił się jeden wachmistrz, któremu rezerwista natychmiast zaraportował o odbytej inspekcji. Wachmistrz natychmiast zorjentował się i wylawszy na „rezerwist-efermę" cały słownik wojskowych pieszczot, rozesłał po mieście patrole za „panem porucznikiem", za którym naturalnie do dziś dnia wszelki ślad zaginął.

* * *

Szkolnictwo w Japonji w przeciągu czasu, odkąd wprowadzono w tym kraju konstytucję, doszło do rozwoju wprost niebywałego, zapewniając narodowi japońskiemu poczesne miejsce w rzędzie ludów cywilizowanych.

W roku 1872 cesarz nadał szkole japońskiej autonomię. W akcie, zapowiadającym doniosłą tę reformę, znajdował się między innymi zwrot następujący: „Rozpowszechnić należy oświatę tak, żeby w żadnej wsi nie było ciemnej rodziny i żeby w żadnej rodzinie nie było ciemnego członka". W 12 lat po nadaniu autonomji szkole japońskiej cesarz Mutsuhito miał sposobność dokonać przeglądu swojej 85 tysięcznej armji nauczycieli ludowych. W 20 lat później liczba nauczycieli tych wzrosła o 60 procent, podczas gdy ludność zwiększyła się tylko o 25 proc.

W ciągu tegoż okresu 20 letniego, od r. 1884 do 1904, armja uczniów zwiększyła się prawie w dwójnasób, a mianowicie z 3 064 642 wzrosła do 5 916 800. Mutsuhito, wstępując na tron, zastał naród swój nieumiejącym ani czytać ani pisać; schodząc do grobu, wiedział, że dzisiaj równie trudno znaleźć w kraju analfabatę, jak trudno było przed 40 laty znaleźć umiejącego czytać i pisać.

Najlepszy wskaźnik kultury — procent młodzieży szkolnej w kraju, stawia Japonję na równi z najbardziej kulturalnymi narodami świata. W ciągu pięciolecia, od roku 1884 do 1888, liczba uczniów szkół początkowych wynosiła przeciętnie 7·86 procent, w latach zaś 1904 do 1908 już 12·24 procent ogółu ludności. W Stanach Zjednoczonych procent ten wynosi 19·4, w Anglji 17·14, w Niemczech 17, we Francji 14·2 i w Rosji 3·85 procent.

Dymokrackie medykacje.

Nie wiym, jak tam opoloki bydą zakontenci s tyj nowyj kandydatury polskiyj na posła do sejmu pruskiygo, chtóro dali kamrotowi Korfantygó, panu doktorowi Hylli. Tyn Komitet Polski Wyborczy je bardzo miłosierny, bo pedzioł se pono tak: Wyciepują boroka wszędy, to niech sie używi z dyjet poselskich; takiygo Stapińskiygo galicyjskiygo, chtóry dorobio sie rostmaicie na poselstwie, jeszczy nom trza do Berlina, coby to Koło sejmowe miało swoich rychtycznych wybrańców, a zaś rozlazło sie do reszty. Tak sie robi na Sląsku kandydatury „przez lud dla ludu" pono, ale jo padom „bez ludu a nie dlo ludu".

Katowice zaś mają swoja ostuda. Przyszoł tyfus. „Katowicerka" szczyci sie wdycki, iże „Katowic foran" na Górnym Sląsku, i mo prawie, kiej chodzi o choroby a hurapatrjotyzm a swądy. Wykalkulowała tyż, iże Katowice to je najbogatsze miasto na cołki obwód przemysłowy. Ale te najbogatsze miyńszkańcy niy mogą se kupić pora cyntnorów wopna, coby choć nieco oczyścić rostmajte doły cuchnące. Na tyjater hakatystyczny s jegó wygwizdaną przez świetlejsze narody „polnisze wirtszaft", to mieli, ale na rostmajte ulepszynia to trza czekać, a płacić klasa wysoko. A iże klaranlaga cuchnie, to potwierdzili urzędowo, iże to nic nie wadzi.

Doczkaliśmy tyż, aże zastrzelili tu policaja Lorata. Borok nie doł bardzo pozoru, to sie wiy, ale „Katowicerka" zarazki daje inkszym do zrozumiynio, iże trza mu bóło strzylać a rąbać możno zeblem, kiej bół w niebezpieczyństwie. No, takij godki krwiożerczyj niekierym i nie trza, ale inksi, co prawie dobre chopy, dadzą se pono i bez niyj rada z buksami.

Pisołech już o policajach w Hamburgu, iże muszą być chopy fajniejsze jak tu. Ale bo tyż w Hamburgu burmistrzem je zocjaldemokrata. Jyno w Prusach nie chcą mieć takich czerwonych bejamtrów, a święto Bawarjo wydała już dawno ukaz publiczny, iże na takich nie trza dować pozwolyństwa. Możno i lepszy, bo s takich bejamtrów hnet a hnet porobią sie renegaty, kiej we Francyj. Ale kiej naszych bydzie wiynkszy, to sie i to wszycko zmiyni.

To jyno, chopy, do roboty! A nie zaboczcie agitować za naszym „Dziynnikiem Robotniczym", chtóry my se uchwolili na naszym sjeździe w Zabrzu. Miyniyj gorzoły, miyniyj piwa, miyniyj presówki, a wiynkszy organizować sie, coby zarobki bóły wiynksze, to se tak polekku bydzie, jak noleży.

Gustlik Beskuryjo.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott w Katowicach.

Nr. 36. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej".

Katowice, sobota, dnia 7 września 1912.

FRANCISZEK PIĘTAK.

Przeprawa.

(Wspomnienia z wojskowego żywota).

Pewnego pięknego dnia był kapitan Latek w złym humorze, wskutek czego wszystko mu się nie podobało. Przy „Doppelreihen — rechts um" nie było jednego uderzenia w obcasy; do szturmu szli żołnierze jak stare baby; przy „defilirunku" wyglądała kompanja tak, że, „das ist wirklich zum Schlag treffen", jednem słowem kompanja była jak „dziad". Raz po razu rozlegała się wściekłością dysząca komenda: „Nochamal, saperment, nochamal!". Mimo wszystko kompania ani raz nie „obstała". Wreszcie — gdzieś koło południa — wyglądała jak stado kołowaciznę dotkniętych owiec, co u przypatrujących się cywilów wzbudzało ogromną wesołość. Powaga armji była zachwiana. I to się działo z ósmą kompanją! Z tą kompanią, która w całym pułku uchodziła za wzór sprawności i wykształcenia wojskowego. Każdy więc przyzna, że tu już anioł sam straciłby cierpliwość a cóż dopiero kapitan Latek, u którego wszystko musiało iść „jak w zegarku". Więc też siedział teraz na koniu czerwony jak kogut, dygocący z tłumionej gwałtem wściekłości, z piorunami w stalowoszarych oczach. Wyzionąwszy wszystkie przekleństwa, jakich tyle ma język niemiecki i tak sympatyczny język czeski, zdawał się być bezradnym.

Wkońcu zakląwszy raz jeszcze, zawołał:

— Ja sam was potopię, przeklęte Mazury! Abtreten! Entwikelte Linie — Vergatterung! Maschieren — Lauf schritt! Direktion Wisłowka — Kompanie — marsch!

Zabrzękły „szajdy", zachrzęściły głucho „patrontasche" — kompania ruszyła pędem w kierunku podanej „dyrekcji". Lecz przybiegłszy nad brzeg wezbranej Wisłoki, kompania wbrew najprostszym zasadom dyscypliny wojskowej, stanęła.

— Himmelkreuz! Was ist das? — zaryczał, pieniąc się, Latek. Czy było komenderowane „halt?" Also wy nie chcecie? Kompanje — marsch.

Nikt się nie ruszał. Nawet oficerowie nie „zachęcali" tym razem żołnierzy, lecz zdziwionym wzrokiem spoglądali na sinego z gniewu kapitana. Z jednej strony nie przypuszczali nawet, aby kapitan naprawdę chciał żołnierzy potopić, z drugiej strony była wydana komenda: „Marsch!" Komenda zaś jest rozkazem. A przecież — jak wpajali zawsze w zakłute głowy Mazurów — „befehl ist befehl". Nie wiedzieli więc, co począć. Stali tedy bezradni i w milczeniu patrzyli w mętne fale „dyrekcji".

Tymczasem jednak i Latek począł się opamiętywać. Spostrzegł, że popełnił głupstwo. Aby wyczołać się z honorem, popełnił drugie głupstwo.

Przywiązana do drzewa liną, stała opodal przy brzegu tratwa, stara już i spruchniała, nie wiadomo do czego właściwie służąca. W lecie rozbierali się na niej amatorzy kąpieli lub mali chłopcy łapali z niej na wędkę ryby. Na nią to zwrócił się teraz wzrok kapitana.

„Wir nehmen an", począł mówić powoli, „że nieprzyjaciel przeprawił się przez most, który za sobą spalił". My mamy rozkaz ścigania go. Ponieważ mostu niema, „Pioniere sind auch keine", więc musimy przeprawić się na ten tam... W wojnie wszystko się przytrafi. Feldweble! Przyciągnąć tu „den Dings!" Palcem wskazał tratwę.

Odwiązano linę i z trudem niemałym przyciągnięto przed kapitana.

— So! Erster Schwarm — einsteigen — wsiadać!

„Erster Schwarm" zawahał się. Wsiadać? Dobrze, ale gdzie wiosło lub przynajmniej kij jaki?

Po długich poszukiwaniach przerywanych klątwami kapitana, znaleziono wreszcie jakiś drąg, złamano go na dwie połowy i obdarzono niemi dwóch najtęższych żołnierzy. „Szwarm" wsiadł.

Zaledwie jednak odbito od brzegu, przegniło dno tratwy załamało się i całe grono przygodnych żeglarzy wpadło w nurty wezbranej „dyrekcji". Rozległy się okrzyki przerażenia, którym zawtórowały podobne okrzyki z brzegu.

Obciążeni ciężkim rynsztunkiem i karabinami, z trudem tylko usiłowali nie pójść na dno. Dopiero jeden przytomniejszy, zdjął karabin z ramienia i spuścił go w wodę, a za nim zrobili to inni. A w tej samej chwili zabrzmiał chrypliwy głos kapitana:

— Donnerwetter! Nie puszczać „gewerów", trzymać „gwery"! Każdy „gwer" sześćdziesiąt koron...

Lecz próżnemi były jego słowa.

— Meine Gewehre, meine Gewehre, lamentował, załamując ręce.

Pozbawieni karabinów, mając ręce wolne, nadludzkim, niemal wysiłkiem dostali się do brzegu. Byli bladzi jak trupy.

Przyskoczył kapitan, wściekły jak djabeł.

„Morgen zum Rapport, Hunds, Kerle! Zum Rapport! Meine Gewehre, meine Gewehre..."

Trzy światy.

(Obrazek z Londynu).

Jest późna wieczorna pora. Ulicami śródmieścia: Pica dilly, Oxford street, Charing mkną samochody. Postrojeni wytwornie ludzie, o twarzach bladych, przedwszesnym użyciem zużytych, jadą, pędzą, lecą zabić wszechwładną tu nudę życia, ów spleen angielski. Dziesiątki teatrów, jarzących światłami różnoparwnych szyldów, otwiera gościnnie swe podwoje.

Więc człowiek-małpa, wytresowany zdumiewająco produkuje się ku uciesze gawiedzi próżniaczej; więc najstarsza i najsłynniejsza aktorka paryska umiera na scenie po raz tysiączny ku wzruszeniu przesyconych wrażeniami bogaczy; więc dwie siostry, kobiety-ryby, w przejrzystej skrzyni, pod wodą przebywają, by pobudzić otłuszczone serca widzów do szybszego tętna; więc tancerze i tancerki z Rosji, a Czech najkunsztowniejsze „pas" wykonują; więc najwyuzdańsze ruchy paryskich gwiazd kabaretowych, najcyniczniejsze spojrzenia, najdrażliwsze gesty i ruchy.

Jsk strzały o puklerz odbijają się wrażenia o znudzoną, przesyconą duszę filistra angielskiego.

Nieznacznie, powoli, krok w krok, idzie za nim wszechwładna pani, okropna, zwiewna jak obłok, a ciężka jak mgła tutejsza — Nuda. Nuda jest siostrą próżniactwa, nieodłączną towarzyszką pasożytnictwa.

* * *

Tam daleko, za Tamizą na wschodzie jest inny świat, świat pracy. Mało znany jest świat ten, oh, mało! Nad olbrzymią połacią miasta-olbrzyma powiewa straszliwy sztandar. Zaszargana, bezbarwna, plamami łez, dziurami nożów i kul rewolwerowych, zdobna płachta. Na niej, złotem czerwonem wyryte jedno słowo: wyzysk.

W noc ciemną, oświetla je łuna hut szklanych. Na drzewce niebotycznych masztów w dokach, śmignie je pęd i warkot kół rozpędowych niezliczonych warsztatów i fabryk.

Ulicami, do rynsztoków podobnymi, przewala się tłum, obdarty, brudny, niechlujny tłum — lumpenproletarjatu.

Nowocześni niewolnicy. Wielki Carlyle'u, ty żeś to pisał przed laty do swoich współbraci: „Nie myśl o śmierci, nawet nie myśl o śmierci głodowej, czyni człowieka nieszczęśliwym. Wielu ludzi umarło, wszyscy ludzie muszą umrzeć.

Nieszczęśliwym czyni człowieka życie pełne nędzy, jeśli nie wiemy, po co, dlaczego, skazani jesteśmy na taką nędzę. Ciężko pracować, a jednak niczego nie zapracowywać, trudzić się, urabiać sobie ręce, aby pozostać samotnym na starość, otoczonym zimną obojętnością. Żyć w trudzie, nie wiedząc dlaczego, doznawać bojaźni przed głodem, ciężko pracować, a jednak nic nie mieć i niczego nie osiągnąć — oto jest istota nędzy — lumpenproletarjat. Rzadko ci ludzie mają pracę, rzadko myślą o swych dzieciach, często żyją tylko z jałmużny lub zbrodni. Jak wampir krwiożerczy wpił się w nich szynkarz i sklepikarz.

Ślepi, ułomni, tuberkuliczni, syfilitycy, starcy, nieletnie dzieci, dziewczęta i chłopcy, wszystko to razem, jak w sieci straszliwej skłębione, przewala się, gnębi, kaleczy na dnie Oceanu życia.

* * *

Jak ołtarz, gorejący słupami latarń elektrycznych, wznosi się nad tym światem, nad tem dnem pracy, tamta dzielnica bogaczy.

Szatańska msza odprawia się co noc, co noc...

* * *

Gdy świt różowy zabarwi niebiosa, wstają robotnicy. Na ich barkach spoczywają tamci, z nocy. Ich silne ramiona poruszają złożony, nowoczesny mechanizm handlu i przemysłu.

Oni się nigdy nie nudzą, oni czasem tylko przymusowo, niedobrowolnie, próżnują. A jednak, iluż z nich stacza się na dno... Lecz pozostali życiem swem nowe królestwo budują. Na szczytach wieżyc miastastolicy czerwony sztandar powieje.

Srebrem odkupienia jaśnieć na nim wieczyste słowo będzie: sprawiedliwość.

Marjan Dąbrowski.

Lekarz w roli Sherloka Holmesa.

Lekarz francuski dr de Neuville ogłasza w paryskiej „Revue" studjum kryminalno psychologiczne, w którem wyraża przekonanie, że w dzisiejszych czasach wykształcony kryminalistycznie lekarz sądowy nadaje się najbardziej do wykrywania przestępców. Dla poparcia zaś twierdzenia powyższego przytacza cały szereg przykładów z praktyki lekarzy sądowych, a między innymi następujący, bardzo ciekawy:

W r. 1909 zamordowano w Hawrze właścicielkę gospody. Towarzyszący komisji śledczej na miejscu zbrodni lekarz sądowy poddał wszelkie znalezione ślady skrupulatnemu badaniu, posługując się przy tej czynności silnem szkłem powiększającem. Dokonawszy tego, zwrócił się do obecnych przedstawicieli policji z zapytaniem:

— Jak się nazywa ostatni okręt, który zawinął do portu?

Odpowiedziano mu, że jest nim „Donna Marja" z Sycylji. Wówczas lekarz oświadczył bez chwili namysłu:

— Tę oto kobietę zamordował mańkut, o małym, rudawym wąsie, prawdopodobnie Sycylijczyk. Człowiek ten mierzy 5 stóp 6 cali. Do Hawru musiał przybyć na żaglowcu „Donna Marja". Znał właścicielkę gospody i zapewne poprzednio już u niej mieszkał. Do mieszkania dostał się, wyłamawszy drzwi, a gdy gospodyni obudziła się w chwili rabunku, zamordował ją ze strachu, aby go nie wydała, poczem uciekł, będąc pewien, że nie pozostawił po sobie żadnych śladów. Zapewne ma jeszcze w kieszeni ogarek świecy, której tu użył.

Na mocy tego oświadczenia wysłano natychmiast do portu agenta policji śledczej z poleceniem, aby aresztował każdą osobę, odpowiadającą rysopisowi przytoczonemu.

Gdy agent zajęty był poszukiwaniem zbrodniarza, lekarz, zapytany, jakim sposobem doszedł do tak dokładnego określenia rysopisu przestępcy, wyjaśnił tajemnicę temi słowy:

— Zbrodniarz zranił się przy otwieraniu drzwi. Kierunek krwawych śladów na drzwiach zrodził we mnie przypuszczenie, że włamywacz jest mańkutem. Obok kropli krwi widnieją na podłodze przy drzwiach także krople zastygłej, kapiącej świecy. I tu znalazłem potwierdzenie przypuszczenia, że zbrodniarz trzymał w ręce prawej świece, a w lewej narzędzie zbrodni, prawdopodobnie kastet. Zamordowawszy nim kobietę, przeszukał szafę w nadziei znalezienia tam pieniędzy, przyczem sięgał bardzo wysoko, i tu zraniona ręka pozostawiła ślady. Poznałem odrazu, że szafę, otwierał ręką lewą. A więc jest stanowczo mańkutem. Zbadanie zastygłych kropli z kapiącej świecy, dało mi dowód, że świeca ta podobna jest do wyrabianych w Sycylji. Doszedłem do tego wniosku na podstawie studjów w instytucie Bertillona w Paryżu, gdzie zebrane są między innemi także okazy świec, wyrabianych w fabrykach całego świata. Badanie mikroskopijne śladów świecy doprowadziło mnie też do odkrycia w nich dwu włosków rudawych, które musiały pochodzić z wąsów, włosy bowiem na wierzchu głowy mają kształt inny. Z tego wszystkiego wnoszę, że zbrodniarz jest człowiekiem wysokim, o wąsie rudawym i mańkutem.

Zaledwie lekarz skończył, gdy do pokoju wkroczył policjant, prowadząc wysokiego mężczyznę o rudawym wąsie. Aresztowany nazywał się Foforazzo i należał do załogi żaglowca „Santa Marja". Lekarz podał mu arkusz papieru. Aresztowany ujął go lewą ręką, a więc był mańkutem. Co więcej, miał owinięty szmatą zraniony palec u tej ręki. Przy rewizji wreszcie ubrania znaleziono rzeczywiście w jednej kieszeni aresztowanego ogarek świecy.

Wobec takich dowodów Foforazzo przyznał się wkońcu do winy.

ZBIGNIEW WOSZCZYŃSKI.

Ślepiec.

Nieodżałowanej pamięci tow. „Cypryana" — zamiast kwiatów na mogiłę.

Autor.

Nie widział nigdy światła.

Jaskinie ócz jego, wiecznie posępnym mrokiem okryte, próżno w świat szeroki spoglądały rozwartemi źrenicami. Próżno zwracały się ku słońcu. —

Niekiedy łzy, ciche łzy boleści spływały mu po twarzy.

Co to jest świat? Gdzie słońce, o którem mówią, że stubarwnemi świeci blaski? Gdzie piękno kształtu i barwy?

Piękno?... Piękno takie, jak jego pieśń, którą śpiewa flet zaklęty, gdy w słoneczne dni siada z nim na brzegu łkającego strumyka.

Strumień, taki zda się bez troski i wesoły, beznadziejną rozpaczą jęków woła doń, rozbijając swą pierś o ostre głazy:

— Oto bez ratunku spadam z głazu na głaz i nie wstrzymać mi się, nie wstrzymać!

— Nikt nie słucha mego wołania, nikt nie spieszy na ratunek!

— Szept jęku, szept rozpacznego wołania za chichot wesoły biorą..

— Mój ból — radością im się zdaje...

Chwytał wtedy grajek za flet — jedyną spuściznę po ojcu, którego oczy jego nigdy nie widziały — i począł grać:

— Biedny ty jesteś, strumyku, z piersią wiecznie ranami okrytą.

Nikt bólu twego ukoić nie może, nikt serca swego żarem wód twych nie rozgrzeje.

Biedny ty jesteś, strumyku!

Czuje cię moja dłoń i próżno wartki twój prąd chce powstrzymać.

Poprzez palce mi uciekasz i wyrywając się, mrozisz je swym chłodem.

Dziwnie ziemny jesteś, o mój ty biedny strumyku!

Dotykam ustami twoich wód, czuję aksamit twego ciała przez chwilę jedną... Uciekasz mi, uciekasz!

Jakaż moc przeklęta pcha cię w ramiona kamiennej przepaści i z głazu na głaz spycha?

Strumienia jęk zadrgał boleśnie:

— O, ty jej nie znasz. ślepcze nieszczęśliwy!... Nigdy jej nie widziałeś... Ty nie zrozumiesz mnie, bo nie wiesz, co znaczy blask jej przewspaniały, który mnie oczarował. Purpurą ziemia cała płynie, gdy ona pierś swą wychyli z pod mgieł nizinnych.

Uśmiecha się do mnie...

Szalony wtedy jestem, szalony!

Rzucam się w przepaście skał i biegnę za nią. Ale stopa jej hyża!

Przedemną mknie złotowłosa, promiennych snopów garść rzucając zdradnie w moje tonie. Na fale moje padają ciepłem i rozkosznie nęcą:

— Otośmy tu, zwiastuny Jasnej Pani twej!

— Otośmy tu, Promiennej Jutrzenki słudzy!

— Czy wiesz, czy wiesz... że ona pragnie cię?... Za nami bież... za nami śpiesz się, śpiesz...

— Już... już ją masz, za szaty chwytaj kraj — —

Tu cichy jęk strumienia kończył szept:

— Uciekła mi...

— O, grajże mi o niej, grajku — graj!

Grajek brał wtedy flet zaczarowany i pieszczotliwie dotykał ustami. I z fletu płynęła pieśń o cudownie pięknej i niepochwytnej królewnie. — — O zwodnicy, dla której strumień ginął w ciemnych i zimnych przepaściach. — — — O słonecznej, Jasnej Pani...

I tak zasłuchani w pieśń, długie ze sobą spędzali godziny Strumyk i Ślepiec.

Niekiedy jednak smutek napełniał serce Ślepca... Taki dziwny, niepojęty, a wszystko przenikający smutek. Kładł wtedy swój flet u nóg i grać przestawał.

— Czemu nie grasz? — pytał się strumień z wyrzutem.

Ale grajek, skupiony w sobie, siedział milczący.

— Czemu przestałeś mi śpiewać o niej? — pytał dalej z bolesną natarczywością.

Grajek nachylił się, wyciągnął dłoń i lekko dotykając nią powierzchni wód, spytał cicho:

— Powiedz mi... czy całowałeś kiedy jej usta?

— Nigdy! — odrzekł strumyk.

— Czy może wtedy, gdy zrzuca z siebie szatę mgieł, ciało jej dotykało twych wód kryształu?

— Nie... o tem nawet nie marzyłem.

— A może skroń swą rozpaloną chłodziła na twem łonie?

— Nigdy! Nigdy — grajku!

Ślepiec zadumał się.

Wreszcie jeszcze bardziej się pochylił i głosem niepewnym zapytał:

— A czy ty ją kiedy widziałeś, strumyku?...

Strumień zaszumiał dziwnie.

— Czyż nie wiesz, że widok jej zasłaniaja mi wiecznie te szczyty skał? W przepaście przecież biegnę, w doliny!... Roztrącam skały własną piersią i póty będę walczył z niemi, aż je skruszę, aż... Za tymi wierzchołkami ujrzę ją napewno. Byleby tylko prędzej, byle prędzej...

— Więc co ty kochasz, jeśli jej nie widziałeś? — pytał ślepiec zdziwiony.

— Kocham jej odblask, którym różowi szczyty tych skał, gdy z rannego snu się budzi. Kocham powłóczystą szatę mgieł, w które strojna do snu się kładzie.

— Ale ja się pytam, za co kochankę swoją wielbisz aż do szaleństwa i giniesz dla niej? — przerwał ślepiec.

Strumień pobłażliwie się uśmiechnął.

— Kocham marzenie o niej. Tęskne i nigdy nieziszczalne. — — —

Po chwili zaś dodał, prosząc:

Napróżno jednak ślepiec szukał swego fletu. Oczarowany szmerem strumyka, zsunął się cicha na jego fale i popłynął z nim razem szukać przecudnej królewny.

— Gdzie jesteś?! — wołał ślepiec strwożony.

Odpowiedziały mu zdala cudne dźwięki:

— Już ją widzę... Cudna jej postać płynie, odbita w falach wód... Chodź za mną, grajku, chodź za mną!...

Slepiec wszedł do wody i wyciągając ręce, wołał rozpaczliwie dalej:

— Flecie mój, wróć się!

— Tu... blisko jestem... Chodź za mną!...

Slepiec szedł. — — —

Zimno wody mroziło mu członki i odbierało siły. Już lodowate fale objęły jego pierś i siłą niepowstrzymaną pchały naprzód.

A głos fletu nęcił:

— Za mną chodź!

Slepiec szedł. — — —

Na chwilę tylko zawahał się. Z bliska dochodził grzmot spadających wód... Usłyszał, jak jęklo ccć i w jęku tym, napół umarłym, poznał głos roztrzaskanego fletu.

Opuścił bezwładnie ręce i pochyliwszy głowę na łono rwącej fali, szepnął:

— Na skały nieś mnie, fało!

Rozmaitości

Kochają się 5000 lat. Sąd w Saint Louis rozpoznawał sprawę o rozwód treści następującej: Państwo Ottowie wierzą w wędrówkę dusz i są święcie przekonani, że ich szczęście, które się teraz rozprysło, jak bańka mydlana, rozpoczęło się jeszcze w Egipcie przed 5000 lat. Pan Ott jest artystą, żona jego była przez długi czas jego modelką. Ożenił się z nią w roko 1910, powróciwszy z Egiptu, gdzie bawił w celach artystycznych.

Oświadczył on, że tak w Egipcie, jak i w Ameryce miał nadzwyczajne, dziwne sny. Kiedy swą obecną żonę ujrzał pierwszy raz, odrazu uświadomił sobie, że to jest właśnie owa księżniczka Amneris, z którą się poznał przed 5000 lat w Egipcie. Pamięta dokładnie, jak go Faraon przyłapał razem z nią nad brzegiem Nilu, tylko potem wspomnienia mu się plączą, wie, że wędrował po jakichś pustyniach. Zona jego również wierzy w to, że ta miłość ich ma już 5000 lat, twierdzi tylko, że mąż jej wówczas był o wiele lepszym, nie był zazdrosnym i nie bił jej, jak teraz. Pragnieniem jej jedynem test teraz zerwać tę starą miłość.

Sąd uczynił zadość temu pragnieniu.

* * *

Wódz bandytów Bellietieri na wolności. W tych dniach wypuszczono na wolność w Medyolanie Józefa Bellietieriego, który w więzieniu przesiedział lat 47. Bellietieri, słynny swego czasu wódz bandytów w Kalabrji, został za popełnienie 65 zbrodni skazany na śmierć. Jako

okoliczność łagodzącą przyznał trybunał fakt, że Bellietieri świadczył różne „dobrodziejstwa" ubogiej ludności, która go ubóstwiała. Skutkiem tego ułaskawiono go na dożywotnie więzienie. Obecnie został uwolniony. Gdy Bellietieri otrzymał wiadomość o uwolnieniu, prosił na klęczkach, ażeby go pozostawiono w więzieniu, które stało się dla niego domem. Oczywiście nic to nie pomogło i Bellietieri opuścił więzienie.

* * *

200 kapeluszy rocznie. Aktorka teatru Michel w Paryżu, panna Rajmunda Ariel, jest nietylko jedną z najpiękniejszych, ale i najstrojniejszych paryżanek. Niedawno została pozwana przez swoją modystkę za nieuiszczony rachunek.

W toku sprawy okazało się, że p. Rajmunda zużywała po 150—200 kapeluszy rocznie, płacąc zaledwie za 40—50.

— Cóż pani robi ze znoszonymi kapeluszami? — pytał ją zdumiony sędzia.

— Doprawdy, nie wiem — odrzekła — zdaje mi się, że je... gubię.

Dymokrackie medykacje.

Drożyzna! — To je tako choroba, co dopolo wszyjskim.

Dopolo robotnikom, bo wiynkszyby zjedli jak zarobią, kiej mają rodzina, a siły do roboty trza mieć. Dopolo tyż drożyzna kapitalistom, bo muszą dać pozór, coby te głodne tłumy robotnicze nie zastrejkowały skisz marnych zarobków, a mogliby popsuć se tedy kiery gieszeft.

Nojpiyrszo huta królesko w Niymczech już downo nie topi zielaza, a terazki zamknóła fabryka maszyn. Takie kiepskie czasy terazki, ale rząd wdycki jeszcze pado, iże są dobre, a bydą lepsze.

Tako se półrządowo „Norddojcze Allgemajne Cajtunk" opowożo sie jeszczy pisać, iże drożyzna musiała przyńść, bo zorobki wszędy są lepsze. Ano tak; króleskie myto podwyższyli, niekierym urzędnikom tyż, kiej bóła pono drożyzna dlo nich, ale dlo robotnika drożyzny niy ma, to mu sie tyż dyngu poobrywało.

Tak na ta drożyzna wymedykowała se „Norddojczerka" środek, co pomoże isto: doczkać, aże bydzie lepszy, bo żniwa są dobre. No, ale przez tyn czas żniwa dyszcz śloł, gadziny a gidoków niy ma czym paść, kiej samym na mąka nie styknie, tako s tegó środka „Norddojczerki" tyż pono nic nie bydzie.

Magistrat poznański spamiyntoł sie, iże w Polsce a w Rusiej miyso łacniejsze, to radzili w radzie miejskiyj, coby można sprowadzić to miyso. No, doczkomy, co powie rząd na otwarcie granicy. Tako choć przyznali, iże je drożyzna; w Katowicach nasze ojce miejskie ani tegó nie chcieli uznać.

Indziej rostmajte kobiyty ziyny sie do walki z drożyzną, ale już na pięści a szyrmy, a kosze. Handlyrze byli przez to pokorniejsi, ale to na długo nie styknie, kiej toworu nie bydzie. Zjednoczynie Zawodowe Polskie, bo pono bydzie zbiyrało podpisy na petycje do sejmu pruskiygo, coby radzioł a uchwolół śniyść drożyzna.

No, jo jyno padom telo na to: bydzie jyno wiynkszy takich mądroków, kiej kieryś pachołek na cysarskiem, co broł wszycko na kredka, a nic nie płaciół; a kiej mu kupcy a kamracio padali, coby płaciół choć po trosze, pedzioł im: „tam byda wom płaciół po trosze, od razu dom wom psińco i tyż bydzie dobrze". Bo to biyda wszyckim pono zagwoździ sumiynie. No, ale rząd przeca nie boi sie buksów a chacharów, na to mo policaj a czyrwone zomki. Taki to dobry ojciec tyn rząd dlo głodnych dziecek. Inkszych korają za to, iże dziecka głodzi a bije, ale som rząd to je se inksze owada.

To sie wiy już downo, iże prawa są dlo inkszych, a sztrafparagrafy rostoliczne nojwiynkszy, ale nie na rząd, ani nie na sztacwaltów, ani nie na policajów. Nietykalność poselsko je zagwarantowano konstytucją, ale policajom wolno brać posłów za kragliki, rządowi wolno brać inkszym ziymia a piyniądze a dować inkszym, sztacwaltowi wolno za telo rostmajtych wieców, wolno tyż obłożyć haryształem papiyry posła, kiej zrobili tow. Fiszerowi w Budziszynie. Toć mu oddali te papiery a sztacwalt pedzioł, iże nie wiedzioł, coby Fiszer bół posłem; to musi być tęgi sztacwalt, chtóry nie móg sie wywiedzieć, kogó se zión na oko.

No, ale pokozało sie tyż na sądzie w Raciborzu, chtóbroni nojwiynkszy ładu a porządku w państwie prawa a bojaźni bożyj. Bół nim jedyn hauptman z Rybnika, chtóry jeszczy stamtąd nie uciyk, a zaś bół jedyn rycerz, chtóry jyno słyszoł można o tym, co je słowo rycerskie, a tak, to szklół, kiej mu sie widziało; a dopomogoł im „wychowawca" dziecek polskich, inspektor szkolny. No, ale sędzia Knittel, cyntrowiec co polokom a dymokratom nie przaje, bół za telo porządny chłop, iże tym panoczkom sie nie doł; pedzioł im jak noleży, co óni są, a sąd go uwolnił, bo uznoł, co jo downo padoł, iże hakatystyczne sposoby walki wdycki są gupie, podłe, a cygańskie.

Gustlik Beskuryjo.

Kącik humorystyczny.

Przyszły teść chce się dowiedzieć o dochodach przyszłego zięcia i w tym celu pyta jego pracodawcy, właściciela sklepu galanteryjnego:

— Czy może mi szanowny pan powiedzieć, wiele bierze u niego pan Iksiński?

— Mój panie — odpowiada pryncypał — ja wiem ile mu daję, ale nie mogę wiedzieć, wiele on bierze, bo gdybym wiedział, tobym go dawno wyrzucił.

*

Do rozgniewanego o coś srodze obywatela przychodzi kucharz po dyspozycję obiadu na jutro. Kucharz jest trochę głuchy.

— Co jaśnie pan rozkaże jutro na obiad.

— Miljon djabłów tłuczonych i wiedźmę na dodatek! mruczy rozgniewany obywatel.

— Słucham. A na drugie.

*

Podoficer: Czego winien jest żołnierz swemu przełożonemu?

Żołnierz: Chyba nic, panie podoficer; bo od przełożonego trudno co pożyczyć.

*

Nowa Rebekka. Pewna panna, córka znakomitego obywatela, wyszła razu pewnego z dzbanuszkiem przed dom do pobliskiej studni i natoczyła sobie wody. Na ten niezwykły widok przystanęło dwóch młodych paniczów, a jeden z nich, wsadzając szkiełka na nos, zagadnął ją:

„I cóż piękna Rebekko?"

Bez namysłu odwróciło się dziewczę a trzymając ku paniczom dzbanek odrzekła: „Czy może mam wielbłądy napoić?"

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott w Katowicach.

Nr. 37. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 14 września 1912.

BORYS ZAJCEW.

WILKI.

Obrazek stepowy.

Tak było już od ośmiu dni. Codziennie ich otaczano i strzelano. Były jak wysuszone. Przez wyłysiałe boki przeglądały żebra; ich oczy były mętne i tak nakształt widziadeł snuły się po zimnym, białym stepie; skoro ich tylko wypłoszono z legowisk, poczynały błądzić wokoło bez planu, krążąc zawsze w tej samej okolicy. Strzelcy jednak strzelali ostrożnie, ale pewnie. W dzień leżały w krzakach, liżąc swe rany i ziewając z głodu; nocą błądziły gromadami „gęsiego“ po nieskończonych pustych polach. Ponad białym śniegiem zwisało ciemne, złośliwe niebo; szły zawsze na to niebo, ono jednak umykało przed nimi, pozostając zawsze jednako dalekiem i ponurem.

Pusto i smutno było na polach.

Od czasu do czasu wilki stawały; a wtedy zbijały się w kupę i wyły. A wycie to zmęczone, chore wlokło się z trudem przez pola, milknąć już w odległości jednej wiorsty, nie mając siły wzbić się wysoko w przestworza powietrzne, aby z nieba poskarżyć się na zimno, rany i głód.

Biały śnieg przysłuchiwał się im cicho i obojętnie; czasami małe chłopskie koniki strachały się, a wtedy chłopi klęli i spędzali je.

Młoda żona inżyniera, przechadzająca się po stacji kolejowej, tuż koło kopalń węgla słyszała to wycie i sądziła, że ono jej zwiastuje śmierć. Zagryzła wargi, spiesznie wróciła do domu, położyła się do łóżka i ukrywszy głowę w poduszkach, bełkotała, szczękając zębami: „Przeklęte, przeklęte...“

Wieczorem wiał nieprzyjemny, zimny wiatr. — Śnieg powlókł się twardą, suchą skorupą lodową, łatwo załamując się pod łapami; lekkie, zimne chmury śnieżne unosiły się nakształt dymu nad tą skorupą i śnieg kładł się szyderczo po pyskach i biodrach. A jednak śnieg nie padał i ciemno również nie było; księżyc wyszedł poza chmurami.

Wilki szły jak zawsze gęsiego; na przodzie szedł posiwiały, złośliwy starzec; w jednej jego łapie tkwiły ziarnka śrutu, wskutek czego kulał. Reszta wilków, niemniej złośliwych i sponiewieranych, starała się z trudem wkładać łapy w ślady przewodnika, gdyż załamująca się skorupa lodowa męczyła je i raniła im łapy.

Przechodziły wolno koło ciemnych krzaków; na tych dalekich, bladych polach, na których wichry hulały sobie swobodnie, zdawał się każdy krzak być tak olbrzymim, strasznym, tajemniczym, że nikt z nich nie mógł być pewny, czy nie poruszy się natychmiast z miejsca i nie ruszy na nich. Z lękiem cofały się w tył, a każdy wilk miał tylko jednę myśl: „Prędzej stąd, inni mogą zginąć, bylebym tylko ja ocalał“...

Nagle zobaczył przed sobą słup z wielką zmarzniętą szmatą, rozpaczliwie łopocącą na wietrze; wszystkie wilki rozbiegły się dziko, potrącając kulawego starca. Małe kawałki skorupy lodowej, wyskakujące z pod ich łap, chrzęściły głośno po zmarzniętym śniegu.

Kiedy się później znowu zebrały, usiadł jeden smukły, chłudy wilk z kończystym pyskiem i lękliwie strzelającemi oczyma w śniegu i jąkając się i zgrzytając zębami, począł mówić:

— Nie idę dalej... nie idę dalej... wszystko jest tak białe... Biały śnieg... To jest śmierć... śmierć...

Pochylił się nad śniegiem i słuchał.

— Słuchajcie... on gada!

Żwawsze, silniejsze wilki, które również trzęsły się od strachu, popatrzyły na niego z pogardą i poszły dalej. On jednak został dalej w śniegu i skomlał:

— Wszystko takie białe... Wszystko takie białe wokoło nas!

Inne wilki przyszły do nieskończenie długiego łańcucha wzgórzy, gdzie wiatr gwizdał jeszcze przeraźliwiej w uszach. Wilki wstrząsnęły się i stanęły.

Tymczasem księżyc wszedł i jak mętna, żółta plama poruszał się ku chmurom; jego światło padało na śnieg i na pola i było coś naprawdę upiornego w tem płynnem, mleczno-bladem świetle.

Poniżej leżała wieś, w której tu i ówdzie błyszczały światełka. Wilki wietrzyły konie, świnie, krowy i złościły się jeszcze bardziej.

— Czy nie pójdziemy tam? Idźmy tam! — mówiły młode. — Teraz jest to już wszystko jedno... idźmy!

Szczękały zębami i pożądliwie poruszały nozdrzami.

Ale kulawy starzec nie chciał na to pozwolić.

I zeszły po stokach na dół i poszły dalej pod wiatr.

Dwa ostatnie wilki oglądały się jeszcze długo na wieś i zgrzytały zębami.

— Przeklęte! — wyły — Hu-u-u. przeklęte!

Powoli szły wilki naprzód. Nieruchomy śnieg patrzył na nie swemi pladami oczami, z góry padało słabe, małe światło, a cały step zdawał się wiedzieć, że tu nikt niczego nie osiągnie, że wszystka bieganina jest daremną, że tu musi się tylko stać spokojnie, nieruchomo i słuchać.

Wilki przyznawały teraz w duchu słuszność pozostałemu kolodze, że naprawdę nienawidzi ich ta biała pustynia; nienawidzi ich dlatego, że żyją, biegają, błądzą i zakłócają jej sen; czuły, że ta śnieżna pustynia grozi im, otacza je, zamyka, grzebie. Ogarniało ich zwątpienie.

— Dokąd nas prowadzisz? — pytał starca. — Czy znasz drogę? Czy doprowadzisz nas do jakiegoś celu?

Starzec milczał.

Gdy jednak najmłodszy i najgłupszy wilk stawał się szczególnie natarczywym, obrócił się, popatrzył na niego z nienawiścią i z wściekłością ugryzł go w grzbiet.

Wilczątko zaskomlało i przerażone uskoczyło na bok, łamiąc przytem skorupę lodową i zapadając się po brzuch w zimny, suchy śnieg. Takich okrutnych, niepotrzebnych zajść było później coraz więcej.

Dwa ostatnie wilki pozostały w tyle; myślały sobie, że najlepiej zrobią, gdy się położą w śniegu i zamrą; poczęły wyć, wierząc, że jest to rzężenie śmiertelne. Gdy jednak cała gromada tak się już od nich oddaliła, że wydawała się już tylko czarną, umykającą linją, która od czasu do czasu zanurzała się w mleczno-białym śniegu, wtedy ogarnęła ich trwoga; tak było strasznie pozostać samemu tu, pod tem ciemnem niebem, samemu w tym świszczącym

wichrze. I zerwały się oba i za kwadrans dogoniły swych głodnych, rozwścieklonych kolegów.

Było jeszcze półtorej godziny do wszodu słońca. Wilki kołem otoczyły starca-przewodnika. Dokąd się zwrócił, widział wszędzie kończyste pyski i okrągłe, żarzące się oczy, i uczuł, że cięży na nim coś strasznego, coś, co przy pierwszem jego zadrżeniu musi go zdusić, zmiażdżyć.

— Gdzie jesteśmy? — zapytał za jego plecami cichy, wściekłością tłumiony głos.

— A więc? Czy dojdziemy już raz do jakiegoś celu?

— Koledzy! — rzekł stary wilk. — Wokoło nas leżą stepy; są one dalekie i niełatwe do przebycia. Czy naprawdę sądzicie, że was prowadzę na zgubę? Prawda, teraz sam nie wiem, dokąd mamy iść. Lecz któż to wie zresztą?

Drżał i oglądał się bojaźliwie na wszystkie strony. Trwogę tego czcigodnego starca zauważyły wszystkie wilki.

— Ty nie wiesz, ty nie wiesz! — zakrzyknął znowu ten sam dziki, obłąkany głos. — Ty musisz to wiedzieć!

Starzec nie zdążył już otworzyć pyska, gdy w tej samej chwili uczuł na swojem gardle coś palącego, a równocześnie błysnęła przed nim para żółtych, nienawiści pełnych oczu. Zrozumiał, że jest zgubiony. Jak na komendę wpiło się w niego wiele ostrych zębów, które go żarły, wyrywały wnętrzności, darły jego sierć; wszystkie zbiły się w jeden kłąb, tarzający się po ziemi i wyjący strasznie. Czasem błysnęły z niego dzikie ślepia, zęby i krwawe pyski. Nienawiść i wściekłość ogarnęły te chude, poranione ciała. A burza szalała dalej i wicher wył, gwiżdżąc szyderczo i formując wielkie, miękkie kupy śniegu.

Ciemno było.

W dziesięciu minutach pyło już po wszystkiem.

Strzępy zostały się w śniegu, splamionym krwią. Ale wkrótce wicher zawiał je śniegiem. Tylko jeszcze z pod śniegu wyglądała głowa z zaciśniętymi zębami i przecięty jezykiem, martwe, mętne oczy zamarzły i zlodowaciały.

Zmęczone wilki pociągnęły dalej. Czasami stawały na chwilę, rozglądały się na wszystkie strony i znowu szły dalej, nie wiedząc same dokąd. Ponad resztkami starego przewodnika unosiło się coś strasznego, coś ich gnało nieustannie z tego miejsca w straszną, zimna ciemność; ciemność otaczała ich, a wiatr zawiewał ich ślady.

Dwa młode wilki położyły się w śniegu, na pięćdziesiąt kroków od siebie; leżały nieruchomo jak dwa kloce i nie lizały już swoich krwawych pysków. Watr wiał im w oczy, lecz one nie próbowały nawet podnieść swoich łbów. Wkrótce położyły się i inne. A potem zaczęły wyć, teraz jednak wył każdy dla siebie.

Była to straszna, ostatnia ich pieśń, którą wicher, pędzący teraz przed sobą całe góry śniegu, porywał i niósł na wszystkie strony.

W ciemności nie można już było nic więcej widzieć, zdawało się, że to step sam wyje.

Fabryka.

Codzień mi świt na okna się zsącza leniwie,
Szarawe, dymne płachty na szybach rozkłada,
Powoli mi do wnętrza wpełza smuga blada
Dziennego światła... Codzień na zszarzałem szkliwie...

Widzę, jak dym się kłębi, przewala, opada...
Znów się wzbije, rozemgli w łagodnym odpływie.
Rytmicznie szyby brzęczą, jak sierpy przy żniwie...
Łoskot maszyn. Huk młotów. Coś szemrze i gada...

Codzień słucham tej gędźby piekielnej. I nie wiem,
Co jest w zgiełku fabrycznym: jakaś cicha skarga
Się przewinie, to znowu wybuchnie zarzewiem
Buntu... bryźnie od maszyn nowych zgrzytów falą...

Tak ludzki duch się wiecznie szamoce i targa,
Aż bole go powoli na kryształ przepalą...

(„Kur. warsz.“). Józef Karpiński.

W jakim wypadku nie wolno oszczędzać?

Bardzo często zarządy stowarzyszeń spożywczych oszczędzają na prenumeracie organu związkowego. Niejeden zarząd stowarzyszenia spożywczego myśli sobie, że im mniej pobierać będzie gazet, tem większa stąd korzyść dla spółki; prenumerowanie pisma dla członków spółki uważa całkowicie za zbyteczne. Zdarza się nawet często, że funkcjonarjusze stowarzyszenia nie czytają swego organu. Podobna lekkomyślność wobec swego organu mści się srogo na rozwoju stowarzyszenia. Kierownicy spółki zasklepiają się zwykle wstarych wadach i nie myślą tychże porzucić. Wszelka nowa myśl jest dla nich niedostępna. W nowozałożonych stowarzyszeniach gospodarzy bardzo często jeden człowiek, często nieuzbrojony w dostateczne wiadomości, a reszta członków zarządu nie rozumie swych obowiązków. Członkowie Rady nadzorczej myślą, że wybrano ich dla parady, nie mając najmniejszego pojęcia, jak wielka jest odpowiedzialność Rady nadzorczej. Podobna gospodarka przyczyniła się już niejednokrotnie do upadku spółki. Rozwój spółki nie może być uzależniony od dobrej albo złej woli jednego funkcjonarjusza, lecz od wspólnej i celowej pracy wszystkich funkcjonarjuszy stowarzyszenia. Dlatego się też spółka nazywa spółką a nie zwykłym kramikiem jakiegoś dorobkiewicza.

Gdy spółką kieruje jeden człowiek, kierujący się nawet dobrem sprawy, gospodarka nigdy nie może być wzorową i beznaganną. W spółce jest ogrom pracy różnorodnej, której jednostka nie jest w stanie podołać. Z czasem spółka zacznie niedomagać. A cóż dopiero, jeśli dana jednostka ma zamiast dobra sprawy swoje własne na oku? Każdy doświadczony funkcjonarjusz stowarzyszenia spożywczego zdaje sobie sprawę, co w takim razie spółkę czeka. Byliśmy świadkami wyników podobnej gospodarki. W niektórych spółkach w Galicji i na Śląsku prowadzono podobną gospodarkę, a spółki albo już zakończyły swój żywot, albo stoją nad przepaścią, w którą niechybnie wpadną. Należy się spodziewać, że funkcjonarjusze w innych spółkach, którzy dotąd swych obowiązków nie wypełniali sumiennie, zabiorą się gorliwie do pracy.

Każdy funkcjonarjusz stowarzyszenia spożywczego musi koniecznie czytać organ spółek spożywczych, żeby się dowiedzieć, jakie obowiązki ma do spełniania.

Stowarzyszenia należące do Centralnego związku austrjackich stowarzyszeń spożywczych przyjęły na siebie obowiązek prenumerowania organu związkowego conajmniej dla wszystkich funkcjonarjuszy spółki. Statut Centralnego Związku wymaga tego od ciał kierowniczych stowarzyszeń spożywczych. § 29 lit. c statutu opiewa:

„Każde stowarzyszenie należące do związku jest zobowiązane: przedpłacić organ związku dla wszystkich funkcjonarjuszy i popierać tak owy przez nadsłanie sprawozdań.“

Statut żąda w tym wypadku nie tylko, żeby spółki prenumerowały dla każdego funkcjonarjusza pismo związkowe (funkcjonarjuszem spółki jest każdy członek zarządu i rady nadzorczej), lecz żeby kierownicy spółek zasilali pismo wiadomościami o ruchu spożywczym na miejscu. Niektóre zarządy spółek nie prenumerują pisma dla funkcjonarjuszy spółek, a niemal wszystkie zarządy polskich spółek spożywczych zachowują wszelkie ważniejsze wypadki, które się wydarzają na miejscu, a które dotyczą ruchu spożywczego, w wielkiej tajemnicy przed redakcją swego organu.

W interesie rozwoju ruchu spożywczego na ziemiach polskich leży, żeby nietylko funkcjonarjusze, ale również i członkowie stowarzyszeń spożywczych czytali organ stowarzyszeń spożywczych. Idzie bowiem o szerzenie świadomości wśród robotników polskich o znaczyniu ruchu spożywczego. Tylko przez prasę można będzie zainteresować robotników organizacją. Jeśli członkowie zrozumieją doniosłość organizacji spożywczej w ruchu robotniczym, natenczas będą wedle możności pracy zarządu ułatwiali; nieświadomi członkowie utrudniają tylko pracę ciał kierowni-

czych spółki. Zarządy spółek, które to rozumieją, prenumerują dla członków gazety i troszczą się o to, żeby takowe zostało członkom punktualnie dostarczone.

Republika dzieci.

W jednej z wiosek w angielskiem hrabstwie Dorset założono przed paru tygodniami na wzór amerykański republikę dzieci.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej takie „republiki" istnieją już oddawna i oddają wielkie usługi sprawie wychowania na dzielnych obywateli dzieci opuszczonych i pozbawionych należytej opieki domowej. Angielska republika dzieci została założona pod protektoratem króla i będzie nosiła miano „Jerzy młodszy".

Na początek przyjęto do niej 80 dzieci obu płci, z liczpy najbiedniejszych, a przedewszystkiem takich, które miały już zatargi z prawem.

Pędząc życie na wolności, jako „obywatele republiki", chłopcy, dziewczęta przekonywują się praktycznie, że państwo może istnieć tylko wtedy, gdy wszyscy obywatele spełniają swe obowiązki.

Zasadniczem prawem republiki dzieci jest przepis: „bez pracy — niema jedzenia". Po za tem dzieci same muszą się przekonać, że tylko rozumny rząd i poczucie swych praw i obowiązków wśród członków społeczeństwa stwarza warunki rozwoju.

Dzieci wybierają z pośród siebie prezydenta i członków zarządu. Doświadczenia porobione w Ameryce świadczą, że organizacja republiki dzieci ma duże znaczenie wychowawcze.

Rozmaitości

Fasja podatkowa sławnego operatora. Pewien znakomity operator wiedeński, profesor uniwersytetu, podał w fasji swe dochody roczne w kwocie 40 000 K. Nagle otrzymuje z urzędu podatkowego wezwanie. Oczywiście stawia się i między nim a urzędnikiem podatkowym ma miejce następujący djalog:

Urzędnik: Czy pacjenci, których w r. 1911 pan profesor operował, wszyscy umarli?

Operator: Zastrzegam sie przeciw tego rodzaju insynuacjom!

Urzędnik: A więc są i tacy operowani, którzy pozostali przy życiu?

Operator: A cóż pan sobie myśli? Zaledwie 10 procent operowanych przezemnie pacjentów umarło. Zresztą, co to pana obchodzi?

Urzędnik: Pan profesor podał 40 000 K jako swój roczny dochód. Administracja podatków dowiedziała się jednak z aktów spadkowych osób, które zmarły w r. 1911, a były pańskimi pacjentami, iż od nich samych miał pan profesor dochodu więcej, niż 40 000 K...

W rezultacie administracja podatków oszacowała dochody profesora na okrągłą sumkę ćwierć miljona koron i wymierzyła mu grzywnę 150 000 za fałszywą fasję.

W Związku z tem, jak słychać, administracja podatków ma zamiar podwyższyć podatki wszystkim znakomitościom lekarskim.

* * *

Złoty człowiek. Do Waszyngtonu przyjechał za interesami niejaki William Peters bogaty kupiec drzewny z Kanady, który śmiało o sobie powiedzieć może, że jest złotym człowiekiem. Peters przed kilku laty chcąc wyratować tonącego przyjaciela, wskoczył do rzeki, połamał sobie jednak przytem prawie wszystkie kości. Przewieziony do szpitala przedstawiał jedną masę bezkształtną i lekarz stracił prawie nadzieję uratowania mu życia. Ale żeby nie mieć nic sobie do wyrzucenia lekarze zabrali się do „operacji" Petersa i wywiązali się z zadania doskonale. Oto wszystkie kości połamane usunięto i zastąpiono je doskonale dopasowanemi kośćmi ze szczerego złota, nawet do wiązania użyto nici złotych, czaszkę zaś silnie nadwerężoną i pękniętą zasłonięto blachą złotą. Po pewnym czasie wszystko jakoś się pozrastało i utrwaliło do tego stopnia, że Peters chodzi zupełnie swobodnie i ciszy się pożądanem zdrowiem.

* * *

Krwawi kochankowie. Olbrzymie wrażenie wywarło zeznanie, które złożyła żona właściciela młyna pod Nowym Jorkiem niejakiego Baileya. Opowiedziała ona mianowicie, że podstępem sprowaoziła swego męża do piwnicy, gdzie dyrektor młyna Walson, uderzeniem siekiery zabił go na miejscu. Motywem do tej zbrodni był stosunek miłosny łączący ją z Walronem.

Ten ostatni był obecny przy tem zeznaniu i do niego Baileyowa zwróciła się ze słowami:

— Chodź, najdroższy umrzemy razem! — poczem z płaczem padła u jego nóg.

Watson podniósł zgnębioną kochankę, serdecznie ją ucałował i potwierdził całkowicie zeznanie Baileyowej, dodając niemniej sensacyjny szczegół, że przed 3 miesiącami zamordował swoją własną żonę, licząc, że tym sposobem zbliży się do kochanki, z którą rozłąka wydawała mu się niemożliwą.

Skoro wreszcie i Bailey usunięty został z drogi, zbrodniczym kochankom, zdawało się, że już nic nie stoi na przeszkodzie do połączenia się węzłem dozgonnym.

Omylili się jednak. Stanęły między nimi dwa trupy. Watson zeznanie swoje zakończył oświadczeniem, że w chwili, kiedy podnosił siekierę na Baileyego, pomyślał sobie, że to jest ostatnia godzina jego spokoju, i dodał, że wprost nie może sobie wytłomaczyć, dlaczego po zgładzeniu żony nie czuł żadnych wyrzutów sumienia.

Dopiero po zabiciu Bailyego, oboje przekonali się, że życie dla nich stało się męką i dlatego postanowili oddać się dobrowolnie w ręce sprawiedliwości.

* * *

Pedagog rosyjski. W „Kurjerze litewskim" znajdujemy następującą notatkę:

„W tych dniach w jednym z wileńskich zakładów naukowych żeńskich miała miejsce następująca scena: Podczas egzaminów wstępnych, nauczyciel zadaje pannie, ubiegającej się o wstęp do klasy V, pytanie:

— Co można widzieć przez okno na podwórzu kamienicy?

Podobne pytania uważane są w sferach pedagogicznych tutejszych za doskonały probierz rozwoju umysłowego ucznia... Powiadają również, że jest to niemniej doskonały sposób „zerżnięcia" ucznia, który nie dał się pobić na egzaminie z właściwego przedmiotu.

Panna, domyślając się w tem pytaniu ukrytej zasadzki wytęża wszystkie siły umysłowe, aby się nie dać złapać.

Zaczyna wyliczać:

— Można widzieć psa.

— Nie — odpowiada pedagog.

— Konia.

— Nie.

— Beczkę.

— Nie.

Zaniepokojona panna wymienia po kolei wszystko, co tylko najbujniejsza fantazja może sobie przedstawić możebnego do znalezienia na dziedzińcu ze świata zwierzęcego, roślinnego i mineralnego.

Pedagog stale trzęsie głową i z politowaniem przygaduje: Mało jesteś pani rozwinięta, nie potrafisz nadążyć z kursem...

Panna wyczerpana, z rozpaczą przyznaje się, że więcej już nie wie, co można widzieć na dziedzińcu.

Na to pedagog z druzgocącem wejrzeniem odpowiada:

— Można widzieć „griaznuju triapku (brudną szmatkę). Saditeś".

Coś podobnego znajdujemy w anegdotach o rabinie, który egzaminuje podrabinków.

— Dlaczego wrona leci do lasu? — zapytuje rabin.

Dwudziestu podrabinków pochyla czoła i przez pół godziny w milczeniu wysila swoje rozumy. W końcu najmędrszy ośmiela się przemówić.

— Niech rabin nam powie, bo my nie wiemy, dlaczego wrona leci do laasu?

— Dlatego — odpowiada rabin — że las nie leci do wrony.

Historja z wroną lecącą do lasu, jest bajeczką, a historja z „giaznoj triapkoj“ jest faktem, który miał miejsce w tych dniach na wstępnych egzaminach w jednym z wileńskich zakładów żeńskich.

* * *

Polityka w armji niemieckiej. Ilekroć na porządek dzienny parlamentu niemieckiego wejdzie sprawa szykanowania żołnierzy lub weteranów, sympatyzujących ze stronnictwami lewicowemi, tylekroć rząd niemiecki wypiera się tego z niezwykłą zaciętością. Zaledwie minęło kilka dni od wyroku sądu raciborskiego, który wykazał jak na dłoni niesłychaną niesprawiedliwość w traktowaniu przez wojskowość nietylko polaków, lecz i sprawiedliwszych niemców, mających odwagę głosowania na polaka, a znowu pisma liberalne notują rozporządzenie władzy wojskowej w Saksonji, wymierzone przeciw sympatykom socjalnej demokracji, znajdującym się w t. zw. związkach wojackich. Rozporządzenie to nakazuje wydalenie ze związku każdego, komu można udowodnić, iż głosował na socjalistę, każdy zaś podejrzany o sympatyzowanie ze stronnictwami lewicowemi ma złożyć deklarację, w której musi zapewnić władzę o swoich przekonaniach patrjotycznych.

* * *

Trzy żony. Salomon B. z Warszawy, Komiwojażer, pojechał do Żytomierza, gdzie poznał się z Szajndlą K., zaręczył się z nią i ożenił, otrzymując w dniu ślubu 3000 posagu. Po ślubie otrzymał depeszę z Warszawy, że czeka go tam bardzo korzystny interes. Wyjechał więc z posagiem i żonie nadsyłał czułe listy z Warszawy. — Raz jednak otrzymała od niego list, w którym pisze takie same czułości kobiecie zamieszkałej w Odesie. Okazało się, że komiwojażer przez pomyłkę włożył list do „odeskiej“ żony w kopertę przeznaczoną dla „żytomierskiej“ i odwrotnie. Gdy obie żony przyjechały do Warszawy, stwierdziły, że mąż ich ma tu trzecią żonę, od której wyłudził 2000 rb. posagu. B. uciekł przed następstwami.

Dymokrackie medykacje.

Kiej tyn monarcha z Berlina mioł pojechać se na szpacer do Szwajcarji, to policaj tam przykozała wszyjskim, coby do okien nie dopuszczali nikogo obcygo, no a szpalyrów policyjnych, pono pruskich a wojackich byłoć tam pono kupa; a terazki hakata raduje się, iże tłumy republikanów a ku tymu jeszczy dymokratów witali cysarza niemieckiygo piyknie a syrdecznie. No, to jo chciołbych wiedzieć, chtó gó tam tak piyknie witoł, kiej go policaj nikomu nie chciała pokozać. Wojoki szwajcarskie, to jyno milicjo, ale maniebrowali a strzylali pono „ausgiecajchnet“. Tako sie jyno pytom, czy terazki państwo niymieckie tyż zaprowadzi milicjo, a śniesie tych drogich wojoków fachowych? bo to pono, co tam można, toby i w Nymczech można, by niymcy to przeca pono jeszczy wiynkszy byldowany a mądry noród, jak szwajcary, chtórzy mają jeszczy w sobie gupio krew francusko a włosko, a niy mają króla, ani telo sztrafparagrafów, ani praw wyjątkowych, ani flukcojgów, ani inkszych dobrodziejstw kultury pruskiyj. A takiygó Wilhelma Tella, co to zastrzelół takiygó se wójta cysarskiego, tyrana Gesslera, to czczą kiej bohatera narodowego a pomniki mu stowiają a jegó fotografjo do cna na markach pocztowych malują. Tako sie jyno dziwia, iże do Prus wolno jeszczy takie marki przysyłać. Bo tu przeca takich Gesslerów za telo, to mógłby kiery niewierny poddany pruski spamiyntać sie na Wilhelma Tella i pedzieć se, iże takiygo urzędnika-tyrana możnoby tyż śmiyść, to tako marka szwajcarsko je aufrajcunk gegen di sztacgiewalt, co sie mówi podburzanie przeciwko władzy państwowyj, a to je sztacgieferlich. Można tyż o tym mówili w Bernie a w Zurychu?

Tako skisz tyj milicji podziwomy sie jeszcze; jo bo padom, iże bydą jyno nowe kanony a inksze gwery, tornistry, uniformy a trodle a inksze świecidełka wojańskie, chtóre bóły w Szwajcarji „ausgiecajchnet“, a chtórych u wojoków niymieckich jeszczy niy ma, albo są inksze; po tymu nowe wydatki, nowo klasa, i noród cołki niymiecki, a my boroki ś nim, a osobliwie robotnicy, bydziem mieli telo pociechy s tegó nowygó kamractwa.

Niymcy tyż chwolą sie, iże mają nojlepsze prawa ubezpieczyniowe a podobne. Tako kiej Angljo uchwoliła prawa o zabezpieczyniu na bezrobocie a o płacy nojmiyńszyj, możnoby miynić, iże Niymcy uchwolą jeszczy lepsze prawa, coby zatrzymać piyrwsze miyńsce; a kiejby nie szło, to choć takie same prawa. A kiej na kopalni „Lotringen“ legło wiynkszy stu chłopa w wąglu, to można bóło isto spodziywać sie reformy prawa górniczygó, bo przeca wszyjscy mocno utowali boroków, a som Wilhelm II popsuł se hupsztyki u Kruppa a pojechoł pytać sie zorząd kopalni, skiż czegó gazy wybuchły. Terazki więc kuźden spodziywoł sie choć poprawy zorobków a prawa górniczygo. Ale kaj tam. Rząd musi terazki starać sie o prawa ku ochronie „chętnych do pracy“, to je łamistrejków, bo tak mu kożą kapitaliści. Tobym puk od zgorszynio, ale iże to nic nie pomoże, to trza sie jyno wiynkszy organizować a welować na takich posłów, coby takich „reform“, chtóre są na bzdury ubogim, nie uchwolali. Za rok wybory do sejmu; choć widoki dlo nos małe, ale trza cosik gotować, coby mieć tam większy swoich, jak siydmiu.

W Opolskiem już terazki bydą wybory do sejmu. Co tam nasi towarzysze zrobią, tegó nie wiym, ale posła jeszczy nie wybierą. Narodowcy polskie już mają swoja kandydatura, ale już ech pisoł, iże to je taki panoczek, chtórygo wszędy wyciepują, to tyż pono i z kandydatury wyleci, bo nie lża na takiygo głos dować. Cyntrowcy już sie pochmotrali z miszmaszem niymieckim, a kompromis s polokami zerwali. A coby narodowcy polscy isto wiedzieli, iże kompromis zrobiół sie „mijs“, to im jeszczy cyntrum robi ostuda. Taki se farorzyk Wick w Krzanowicach nawet krygrów z bydlęcą a kocią muzyką a katarynką obsztelował na wiec polski, a nojwiynkszy dokazowoł, kiej śpiywali pieśń kościelno: „Serdeczna Matko“. Kiejby to dymokraty choć pół tak dokazowali, toby na nich pono pomstowoł od bezbożników a bluźniyrców. Ale zocjaldymokraty mają przeca swoja religjo isto Chrystusowo, ale sie to niekierym faryzeuszom, chciołech pedzieć farorzykom nie widzi, bo my im padomy tak: chtó je świnią, to niech se idzie do chlywika, a nie do kościoła udować sługa Bożygo!

Rybnik mo jeszczy furt swoja ostuda s ónym zdziadziałym kompromisem cyntrowo polskim. On pruski hauptmann Kamler, chtórymu sąd poświodczół, iże może zostać se w Rybniku, ale pono kajindziyj, a nie na becyrkskomando, posłoł sędziymu Knittlowi wyzwanie na pistolety; ale Knittel jako katolik a sędzia a człek, co jeszczy mo rozum, nie chcioł sie dać zastrzelić od takiygo złośliwca w uniformie. Terazki hakata sie cieszy, iże „polenfrojnd“ Knittel dostanie papiyry wojskowe, a jyj kruchy filar bydzie mioł prawie. Ale jo padom, iże inkszych, co tak skrytykowaliby wyrok sądowy a jeszczy usiłowaliby nowo zbrodnia popełnić, sztacwald downo bółby chyciół za unfal.

Ale oficyrom wszycko wolno, a bejamtrom tyż. W Pszczyńskiem kajś amtowy posyło amtsdinera w uniformie do miyńszkańców po skłodki dlo niymieckiygó walferajnu, a chtó nic nie do, dostanie piska. Na to opłoco gmina swoich urzędników, coby dziadowali dlo hakaty. I to pono podczas szychty urzędowej. No, ale jo ech mioł wdycki prawie, kiej ech padoł, iże niekierzy urzędnicy gminni nie mają nic lepszygó do roboty, jyno szniupać, chtó je wierny poddany, a chtó nie.

Gustlik Beskuryjo.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott w Katowicach.

Nr. 38. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 21 września 1912.

Z za kulis klasztoru.

Redakcja „Prawa Ludu“ w Krakowie otrzymała następujący list, który podajemy w dosłownem jego brzmieniu bez żadnej zmiany:

Wielce Prawdomówna Redakcjo!

Otóż proszę przyjąć moją prośbę i napisać w swojem prawdomównem piśmie moją bolesną sprawę.

Byłam u Sióstr Felicjanek w Krakowie ośm lat jako zakonnica chóru pierwszego. Całe te lata spędziłam następująco:

Próbę zakonną, biały nowicjat, przepędziłam na uczeniu się doskonałości zakonnej t. j. co złe, a co dobre zowie się w naszej wierze. Byłam ogólnie chwaloną za postęp wielki i heroiczną cnotę zakonną. Jednak skorom uczyniła śluby czyli profesję zakonną, zaangażowano mnie do ciężkiej pracy t. j. do szorowania, pielęgnowania suchotnic, kwest zagranicznych i t. p. Po paru tygodniach profesji przy szorowaniu suchotniczych cel zakonnych dostałam wybuchu krwi od pyłu z wapna i piasku, powstającego szorowaniem go na suchej podłodze. Odtąd już zdrowia nie odzyskałam do dziś. Prawda, że wezwano lekarza od wybuchu, ale mnie grożono za plecami jego na nosie, abym mu na zapytanie mnie, z czego powstał wybuch nie mówiła, że przy szorowaniu. Ja nie znając się jeszcze na wykrętach świętokradczyń Felicjanek, mówiłam z posłuszeństwa dla mistrzyni, że nie wiem z czego. Lekarz odesłał mnie do Zakopanego dla zdrowia, mówiąc, żem młoda, bodaj się wyleczę, że to tylko dla zdrowej krwi, jaką mój organizm posiada, zerwane płuca mogę jeszcze uratować, jeżeli ze trzy lata nie będę nic pracować, tylko się leczyć. Jednak choć w Zakopanem na kuracji byłam 3 miesiące, tom nie wyzdrowiała, bo kuracja była taka: Matka Ignacja Karalewicz, przełożona w Zakopanem u chorych, pospraszała najgrubsze mateczki wieczystych ślubów z filjalnych domów Galicji do Zakopanego i tym piekła kurczątka, bifsztyki gotowała buljony, zaprawiając je żółtkami i t. p. Wszystkim kobietom mającym poziomki, jagody, truskawki, maliny na sprzedaż, zastępowała drogę i kupowała koszami, a mateczki zjadały wszystko na podwieczorek lub w nocy po długich dysputach, jakie co noc prowadziły o członkach zgromadzenia tego, co która robi i taksę kładły jakby na trzodę, na dusze ludzkie.

Bieliznę, którą dano mi z sobą dla choroby, matka Ignacja zabrała z kosza i poobłóczyła łóżka starszym mateczkom dygnitarkom, a mnie dano stary koc wytarty, od początku Zgromadzenia istniejący, pod którym niejedna dziesiątka suchotnic umarła w klasztorze, a który aż twardy był od wymiotów takowych osób za nakrycie, a z grubej trawy zakopiańskiej poduszkę, która przebijała powłóczkę i zakłuła mnie w oko w nocy. A stare łóżko, zapluskwione miljonową rodziną takową, dano w kącie za mieszkanie, gdzie wiało w chałupie gazdy Gąsienicy starego tak, że zawiało mi ucho i do dziś przez to na jedno ucho nie słyszę, bo mi pękł bębenek.

Na cały dzień dostawałam garnuszek mleka, zbieranego do kawy dla mateczek, surowego i zimnego, a na obiad i kolację pierogi wielkości starego pantofla z prostego ciasta ulepione, w których znajdowało się mięso wygotowane na rosołki dla grubych, tucznych Felicjanek, ponieważ one wieczysto-ślubne musiały odżywiać się lepiej jak chora i ponieważ one zaliczają się do sprawiedliwych. A sprawiedliwym przecie należy się zjadać co najlepsze, grzesznikom co najgorsze, jak uczyły nas te chwalebne matki w swojej teologji. To też przy naprzemian jedzeniu tych pierogów ze sznyclami z takiego samego mięsa, tylko na pół z kartoflami, smarzonych na łoju od bifsztyków dla W. Matek i popijając surowe, zimne mleko, kuracja nie postępowała na lepsze, tylko zamieniła się na katar płuc i kiszek. Potem całe noce szwarwach jak w piekle z czartami nad głową sprawił, że zupełnie „skapsoniałam“.

Zła Ignacja popychała mnie na to i za ramiona szarpała ze złości. Po takiem szarpaniu znów krwią plułam i t. d. Tymczasem mateczki przybywały na ciele aż się trapiły i brały pigułki codziennie, aby schudły. Objeżdżały góry, leżały na werandzie na poduszkach i spijały kefir, wina po cukierkach, pomadkach i tortach lub delikatesach Hawełki, których im dostarczał ks. prałat Krz... od kościoła P. Marji przez matkę Juniperę, która go za to chodziła kąpać!

Kiedym wróciła do Krakowa, byłam zarośniętą brudem. Można sobie wyobrazić kobietę, 3 miesiące się nie myjącą i mającą za koszulę tiunikę bronzowego koloru, flanelową na ciele samem, ścierki kawałka nie mającą dla swej potrzeby, nietylko ręcznika lub chusteczki do nosa. Wszy pod pachą gniazdami się w niej roiły jak również w habicie.

A jednak to wszystko trzeba było znosić, bo mateczki wyrzuciłyby chorą na ulicę, jakby się skarżyła. To bowiem nazywa się zuchwalstwem.

Nadto uczyły nas, że potępione są te, któreby odważyły się krytykować postępowanie z młodszemi zakonnicami. To też strzegłam się jak mogłam, myśli o biadaniu nad tem obchodzeniem się ze mną. Myślałam tylko, kiedy mnie śmierć wyzwoli i spodziewałam się wielkiej nagrody za to znoszenie barbarzyńskiego postępowania z chorą.

(Dokończenie nastąpi.)

N. A. TEFFL.

Z nastrojów rodzinnych.

(Przekład z rosyjskiego).

W pokoju stołowym, przy wesoło trzaskającym kominku zebrała się cała rodzina.

Ojciec leniwie obracając językiem, rozwodzi sie nad swemi przykrościami.

— ... A on mi powiada: „jeżeli pan teraz chce jechać na urlop, to, powiada, co pan będzie robił w marcu? Co, powiada, będzie pan wtedy robił, jeżeli pan teraz po-

jedzie na urlop?“ Powiada mi, że znaczy się... tego... powiada...

— Dałam zadatek na paltot — odpowiada mu żona, kładąc pasjans — powinniby dziś przysłać. Nie zdążę wpaść do sklepu, jeżeli mam jutro zrana spieszyć na dworzec. Powinni to zrozumieć. Lada osioł zrozumiałby. Jeżeli pasjans wyjdzie, to paltot zaraz przyniosą...

— Gdybym więc teraz nie jechał, to w marcu... — ciągnie dalej ojciec.

— Jeden czarny kapelusz na całą zimę! — przerywa córka, krzątając się przy samowarze. — Też cóś! Wiem, rodzice zaraz powiedzą, że jest jeszcze zeszłoroczny. Nigdy nie byliście sprawiedliwi względem mnie.

— Dziesiątka, piątka, walet... Masz tobie, po cóż ta piątka! Gdyby nie piątka — walet na dziesiątkę, i pasjans wyszedłby. To być nie może, aby, wiedząc, iż jutro wyjeżdżam, nie przysłali paltota...

— A Zina powiada mi wczoraj z przekąsem: „cóż twój kapelusz z zielonem piórem? Chciałaś, powiada, kupić z zielonem, nieprawdaż?“ Cóż jej odpowiem, milczę. ze wstydu oczy mrużę. A Zina ma z dziesięć kapeluszy...

— Jeżeli pan, powiada, teraz tego... ten urlop, to, co powiada...

— Jeden kapelusz dla schadzek, drugi dla samotnych marzeń, trzeci dla słuchania oświadczeń, czwarty kąpielowy — czerwony; piąty z zielonem piórem — dla zwiedzania wystaw...

— Łżą karty! To niemożliwe. Jeszcze raz. O, od razu wyszły dwie siódemki. Tak... Teraz dziesiątka na dziewiątkę. Asa — dam tu. Ten pasjans mówi prawdę... ósemka na siódemkę. Mówiłam, że byłoby to niemożliwem. Dostali zadatek, więc... Dwójkę tędy...

— A Ziny matka opowiada, że będąc młodą, znała ciotkę jednej aktorki. Ciotka ta miewała po dwadzieścia kapeluszy na każdy sezon. Tego naturalnie nie żądam, ale więcej uwagi poświęcić swej córce mogliby rodzice, zwłaszcza...

— Dobrze, myślę sobie, ale jeżeli teraz nie wezmę urlopu, to w marcu...

— Wiem, zaraz wytkniecie mi ten zeszłoroczny kapelusz. Przyjmijcie jedno: Kapelusz ten był z kukułczem piórem. Wiem, wiem, was to wcale nie rozczula, ale ja tak nie mogę, nie zniosę...

— Masz los! Znów walet zagwoździł...

— Dość już nameczyłam się w zeszłym roku. Omal życia sobie nie odebrałam ze wstydu. Wybrałam się pewnego razu na spacer do Letniego ogrodu. Chodzę sobie spokojnie, nikomu życia nie zatruwam, aż tu spotykam dwie jakieś wyelegantowane małpy; minąwszy mnie mówią głośno, umyślnie, abym słyszała: „ot, idjotka z kukułczem piórem!“ Nerwy moje do tego stopnia...

— Czyż wiem, co się stać może w marcu? I wogóle nikt nie wie, co się w marcu stanie. Powiadam więc, urlop...

— Dla rodziców to obojętne! Pożałujecie mnie wtedy, gdy już będzie zapóźno. Br! To kukułcze pióro. Do śmierci go nie zapomnę. Pomyśleć tylko — kukułka!...

— Pozwól-no, pozwól! Oto, gdyby teraz król!... Kiedy bo przeszkadzacie, wciąż brzęcząc mi nad uchem. Uważać muszę. Gdzież podziała się ta trójka? Dobrze, jeżeli w talji, ale jeśli ją przegapiłam!?... Coby to było, gdybym dziś tego paltota nie dostała?... Ach, jest i trójka. Was to nic nie obchodzi, że bez paltota będę marzła... Tak, teraz piątka na czwórkę...

— Powiada mi więc: „jedź pan!“ Właśnie tak powiada. Nie głuchym. A co do urlopu...

— Zawsze mówiłam, że wszystkie dzieci mają rodziców. Nie było jeszcze takiego człowieka na świecie, któryby nie miał rodziców! Oprócz mnie nieszczęśliwej. Mo żeby ojciec spróbował tak poparadować przez dwa lata w tej kukułce?... Prawda, że nie...

— Pójdź, zobacz... walet tu... ktoś wszedł do kuchni... Dwie dwójki naraz...

Córka oddala się do kuchni. Po chwili woła:

— Mamo! Paltot ci przynieśli!

— Walet tu... nie przeszkadzaj, nie wrzeszcz... dama tu... Powinien wyjść... Aa... Muszę się przecie dowiedzieć coś pewnego o paltocie... trójka... zaczekaj tam w kuchni... Znów trójka! Masz tobie! Znów nie wyszło. Położę jeszcze raz!...

Wieczorem.

I.

Lubię marzyć o cichym wieczorze,
Kiedy słońce do snu się ułoży,
Kiedy zorza wieczorna rozgorze
Wśród dalekich niebieskich przestworzy.

Żab krzykliwych chór zgodnie rechoce,
Gdzieś z łańcucha spuszczony pies szczeka;
Czasem bocian sennie zakloce
Na swe gniazdo wróciwszy z daleka.

Cicho szepcą wysmukłe jesiony,
Cicho szepce wód polskich królowa.
Kocham owe tajemnicze tony,
Bo znam szept ich, rozumiem ich słowa.

Gdzieś z drugiego wód ciemnych wybrzeża
Płynie ku mnie śpiew miękki, namiętny:
Ach! to skarga bliednego żołnierza,
To sołdatów moskiewskich śpiew smętny.

Ciężki smutek do duszy się wciska,
Mimowoli łza zwilża mi oko;
Czarne myśli, gdzieś skryte głęboko
Wypełzają z swego legowiska.

II.

Kędy spojrzę — rozległe ugory,
Rola pusta, dzika, nieuprawna,
Podłem zielskiem zarosła od dawna:
Zielskiem cichej, milczącej pokory.

Kędy spojrzę — wokoło noc głucha,
Łzami, głodem i nędzą ciężarna,
Wkoło cisza okropna, cmentarna
Życie grobu i władza łańcucha.

Po ugorach, w pośród tej martwoty
Błądzą widma w powrozy spętane;
I te straszne, wybladłe istoty,
Uwierzycie? Są ludźmi nazwane.

Wciąż posępni, obojętni, niemi,
Wiodą życie przeklęte, bo trupie,
Chyba tylko wargami blademi
Szepną skargi lub modlitwy głupie.

A za nimi, jak obrzydłe gady,
W któąkolwiek obrócą się stronę,
Chodzą duchów piekielnych gromady —
Duchy czarne, krwią ciepłą splamione.

Jak hyeny po grobach się włóczą,
Jak te sępy, co żyją padliną,
Sami tańczą, weselą się, tuczą,
Blade widma, jak robaki giną.

Usta moje krwi łakną, krwi pragną,
By ugasić mej zemsty pragnienie,
Bo krwią tylko użyźnię to bagno
I w rodzajna je rolę zamienię.

III.

Pragnę objąć silnemi ramiony
Owe widma — ów korowód blady
I wyśpiewać z mej duszy stęsknionej
Spiew mój dziki, moją pieśń zagłady.

Pieśń zduszoną niedolą i nędzą,
Lecz potężną i pełną nadziei;
Pieśń osnutą z łez utkaną przędzą,
Hartowaną wśród burz i zawiei.

Smiercionośne ma w sobie pioruny!
Z nią się budzę, z nią do snu się kładę;
Na jej dźwięki owe widma blade
Muszą, muszą brzęknąć w inne struny.

IV.

Idą siewcy, już idą oracze,
Wkrótce zorzą, zasieją ugory
I nie długo, bracia, a zobaczę,
Że na wieki zniknie chwast pokory.

Życiem zawrzą ponure cmentarze,
Zginą z głodu hyeny i sępy,
W błoto runą zburzone ołtarze
I moc święta rozleci się w strzępy.

Franciszek Piętak.

Rozmaitości

Smierć muchom. Nauka wykazała, że muchy są strasznymi wrogami zdrowia ludzkiego, że one to roznoszą miljony zarazków chorobowych. Ameryka, przodująca w postępie wydała muchom wojnę i zabrała się do tępienia ich całkiem systematycznie. Powstał w całych Stanach rodzaj sportu, publiczność zabrała się do niszczenia much z pewną metodą. Twórcą tego sportu jest pewien obywatel chicagowski, który ogłosił w gazetach, że sto dolarów zapłaci w gotówce temu chłopcu, który w ciągu tygodnia wykaże się największą ilością wytępionych much. Wskutek tego ogłoszenia wyszło całe Chicago na polowanie. Obywatelowi, który ogłosił nagrodę dostarczono tyle much, że o liczeniu ich mowy być nie mogło. Wobec tego ogłosił drugi raz, że nagrodę może rozdzielić między dziesięciu chłopców. Od tego dnia wojna z muchami zaczęła obejmować coraz szersze kręgi a obecnie przybrała poważniejszą formę. Mianowicie, aby o płodności much uświadomić najszersze masy, ogłosił nowojorski Herald konkurs następujący: Uczniowie i uczenice, którzy dokładnie obliczą, ile potomków może mieć do 18 sierpnia mucha, zrodzona 10 kwietnia — otrzymają nagrody po 25 dolarów. Dla obliczenia podano, na podstawie badań amerykańskiego uczonego, że mucha składa na raz 120 jajek i że ze zrodzonych much połowa jest samic. Do konkursu przystąpiło pięćdziesięciu chłopców; z tych dziewięciu dostało za dobre rozwiązanie nagrodę. Otóż stwierdzono, że jedna mucha w ciągu podanego czasu wyda na świat 341 tryljonów 616 biljonów 813 miljonów i 559 321 dzieci, wnuków i prawnuków!

* * *

Bitwa wróbli. Korespondent „Temps'a" donosi o zadziwiającym fakcie. Cała ludność miasteczka Jokosuki pod Jokohamą widziała w d. 13 sierpnia r. b. niezmiernie krwawą bitwę wojsk wróblich — coś zupełnie nowego!

Bitwa odbyła się w dolinie, zwanej Taisko, a ilość walczących była nieprzebrana. Setki wróbli padło, tysiące rannych walczyło zawzięcie do ostatniego tchnienia.

O g. 6-ej wieczorem niebo pociemniało od chmury ptaków, które zlatywały z północy wirującymi kłębami w dolinę, której drzewa obsiadły już od tygodnia tysiące wróbli, widocznie zajmując dolinę w posiadanie.

Chmura przybyszów rozpoczęła zażartą walkę z wróblami na drzewach. Atakowi towarzyszyły ogłuszające piski, ćwierkania i bicia skrzydłami. Niezwykły hałas sprowadził na miejsce całą ludność okoliczną japońską i europejską. Bitwa ciągnęła się do późnej nocy i ustała dopiero następnego dnia nad ranem, poczem wszczęła się na nowo i trwała z przerwami cały dzień.

Napastnicy jak się zdaje zwyciężyli. Ziemię zasłały trupy ptasie, ale bitwy i wówczas nie uważano jeszcze za skończoną.

Japończycy zwracają uwagę na szczególny zbieg okoliczności.

Dolina, w której odbyła się „fantastyczna" bitwa, nazywa się „Taisko". Jest to nazwa nowej ery, która nastała po śmierci mikada Mutsuhito, wraz z wstąpieniem na tron Joszihitoa. Poprzednia era nazywała się Meidżi.

* * *

Robotnicy polscy na zachodzie Niemiec. Wychodźtwo robotników polskich na zachód Niemiec przedstawia się w roku bieżącym jak następuje: Na początku r. b. zatrudniały wszystkie kopalnie węgli w obwodach rejencyjnych monasterskim, arnsberskim i dyseldorfskim razem 366 715 osób. Z tych pochodziło z Poznańskiego 53 945, z Prus królewskich i wschodnich 71 090, z Górnego Śląska 9861, a z różnych państw zagranicznych 30 610. Niema języka kulturalnego, którym nie mówionoby w nadreńsko-westfalskim obwodzie przemysłowym. Z dzielnic polskich pochodziło ogółem 135 000 osób.

* * *

Szczep białych eskimosów. Z Londynu donoszą, iż drogą na Seattle i Nowy Jork doszła tam wiadomość o odkryciach podróżników Hialmara Stephansona i dr. Andersona, którzy przebywali cztery lata w krajach arktycznych. Pierwszą zimę spędzili na Alasce, drugą na przylądku Parry. Obaj badacze przywieźli ze sobą liczne i wartościowe zbiory zoologiczne, oraz azjatyckie wyroby garncarskie, które znaleźli u eskimosów. W zatoce Koronejskiej znaleźli podróżnicy szczep białych eskimosów, około 2000 ludzi, o niebieskich oczach i rudawych włosach, którzy z Eskimosami mongolskimi nie mają nic wspólnego, prócz mowy. Lecz i w tej mowie znalazł Anderson ślady słów skandynawskich. Anderson przypuszcza zatem, iż Eskimosi ci pochodzą od owych Norwegów, którzy zrobili wyprawę, celem zdobycia Grenlandji, zaniechali jednak tego zamiaru i osiedlili się w Nowej Fundlandji. Podczas dżumy zostali zupełnie odcięci od Europy.

* * *

Miljonowa defraudacja zarządcy dóbr. Do prokuratorji w Temeszvarze wpłynęła przed kilku dniami skarga baronowej Aleksandry Nopcsa, która oskarża zarządcę swoich dóbr. Rondonellego, o sprzeniewierzenie kilku miljonów koron. Baronowa Nopcsa i jej brat, hr. Zselinszky, odziedziczyli po śmierci ojca cały majątek, z którego znaczna część w dobrach ziemskich wraz z browarem przypadła w udziale baronowej. Zarząd całego odziedziczonego majątku powierzyła ona wspomnianemu Rondonellemu, którego darzyła zupełnem zaufaniem. Baronowa zas i obaj jej synowie nie mieszali się wcale do gospodarki Rondonellego, który miał całkowitą swobodę.

Śledztwo, wdrożone wskutek skargi baronowej, wykazało, że Rondonelli spekulował na własną rękę, robił znakomite interesy z handlarzami drzewa i w ciągu krótkiego czasu zarobił kilka miljonów koron, kosztem baronowej.

* * *

Zaburzenia podczas gry w piłkę nożną. Ze stolicy irlandzkiej, Belfastu, donoszą, że podczas gry w piłkę nożną przyszło tam w tych dniach do poważnych zaburzeń. Zwolennicy partji przeciwnej rozwinęli sztandar Unji, czyli urzędową flagę angielską. Z przyczyny tej powstała niebawem zacięta bójka, w której uczestniczyło tysiące osób. Rzucano kamieniami i cegłami, strzelano nawet z rewolwerów. Policja była bezsilną. Dopiero po skonsygnowaniu silniejszego oddziału policji i żandarmerji udało się rozpędzić roznamiętnione partje. Ciężko rannych, razem 58 osób, na

wozach pogotowia ratunkowego odwieziono do szpitala. Wieczorem w mieście panował zwykły spokój. Policja nie aresztowała nikogo.

* * *

Teatr niemiecki ("Deutsches Theater") w Berlinie był w piątek widownią niebywałego skandalu, na pierwszem przedstawieniu 4aktowej sztuki Karola Sternheina p. t. „Don Juan". Pomimo, iż rolę tytułową grał artysta tej miary, co Moissi, publiczność, nie mogąc wprost zrozumieć chaotycznej treści, wyprowadzona z cierpliwości, zaczęła się śmiać tak głośno, że artyści musieli umilknąć, poczem roz'egło się gwizdanie na kluczach. Przez 20 minut trwał piekielny hałas, oklaski przyjaciół autora nie zdołały zagłuszyć świstu. Wreszcie spuszczono żelazną kurtynę i sztuki nie dokończono. Podobno Moissi wpadł w atak nerwowy, skutkiem tego upadł i zranił się dotkliwie.

* * *

„Tragiczne" informacje. „Lokal-Anzeiger" i „Zeit" wiedeńska doniosły w telegramach o tajemniczym wypadku, który rzekomo zaszedł w pociągu osobowym między Krakowem a Lwowem. Mianowicie w pociągu tym miano znaleść w przedziale II klasy trupa jakiejś kobiety z raną postrzałową. Przy trupie nie znaleziono żadnych przedmiotów wartościowych. Gdy zatrzymano pociąg, z wagonu wyskoczył jakiś mężczyzna i znikł w poblizkim lesie. Prawdopodobnie był to morderca. Jakkolwiek zarządzono natychmiast pościg za zbiegłym, nie zatrzymano go. Identyczności zamordowanej nie stwierdzono.

W rzeczywistości historja tragicznego mordu w pociągu przedstawia się w ten sposób, że jakiś pastuch rzucił kamykiem w okno pociągu i wybił szybę, a odłamek szkła skaleczył jedną z pasażerek tak, iż lekarz stwierdził tylko zdarcie naskórka.

* * *

Defraudacje a banki berlińskie. Gdy posłaniec bankowy Bruning zbiegł, sprzeniewierzywszy 260 tysięcy marek, wykazało się, że przedtem zniszczył wszystkie swe fotografie, tak, że bank poszkodowany wyznaczył na dostarczenie fotografji znaczną sumę. Teraz więc wprowadzony został w wszystkich bankach nowy przepis, że wszyscy urzędnicy do swych papierów osobistych dołączyć muszą dobrą podobiznę, która zostaje w archiwum bankowem.

* * *

Zderzenie się aeroplanów. Chicago. Podczas wzlotów aeroplanowych zderzył się na wysokości 50 metrów latawiec lotnika francuskiego Mestache z aparatem awiatyka Gilla z Baltimore. Oba aparaty zdruzgotane spadły na ziemię. Amerykanin umarł krótko po wypadku, a lotnik francuski tak ciężkie odniósł obrażenia, że niema nadziei utrzymania go przy życiu.

— Szalupa zatonęła podczas burzy na jeziorze Michigan; znajdowało się w niej 24 marynarzy. 6 z nich utonęło, a o 5 niema wiadomości.

* * *

Pochwycenie morderców Rosenthala. Nowy Jork. Kryminalna policja pochwyciła morderców posiedziciela jaskini gry Rosenthala, byłych szpiclów nowojorskiej policji „Leftie Louis" i „Gyp the blood". W rzeczywistości nazywają się oni Louis Rosenberg i Harry Horowitz. Zdradziła ich piękność ich żon, które podpadały na biednem przedmieściu żydowskiem.

Dymokrackie medykacje.

W księstwie Zaksen-Rudolsztat mają sejm czerwony, a to sie nie podobo ónymu panoczkowi z bożyj łaski a rządowi. Więc chcą przeciwko włosnym prawom założyć berufung do rządu państwa niymieckiygó, bo padają, iże wedle paragrafu sześćsiydmdziesiątygó konstytucji Rzesza mo prawo kontroli nad wszyjskimi państwami związkowymi. Jak to je jednako piyknie. Jyno, kiej chodziło o kolonizacjo a wywłoszczenie a inksze prawa wyjątkowe w Prusach, to prezes ministrów pruskich pedzioł tym, co na tyn paragraf wskazowali, iże jako kanclyrz nie może miyszać sie do spraw wewnętrznych pruskich, bo Rzesza niy mo tegó prawa. To sie tyż jyno podziwomy, co to bydzie, czy je konstytucjo niymiecko, czy ji niy ma, albo jeszczy lepszy, jak ta konstytucjo noleży rozumieć, czy na dobro obywatelów, czy jyno na dobro rządu. Ale to już możno wiedzieć terazki, iże takie poniewieranie woli ludu wdycki sie nie udo, ani to, coby konstytucjo niymiecko jyno bóła uznano, kiej je wygodno rządowi, a nijak, kiej mo być dlo ludu. Bo tym samym prawem, co kasowołby parlamynt prawa uchwolone przez sejm czerwony w Zaksen Rudolsztat, mogby tyż zaś kasować „prawa" uchwolone w czornomodryj budzie pruskiyj, a na to ci isni nie pozwolą; ale lud tyż wdycki nie bydzie sie dał za nos wodzić.

Drożyzna a dyszcze, a ku tymu maniebry a rostoliczne odwiedziny s kosztami rostmaitymi, to są tyż takie rzeczy, chtóre płacącym cła a klasa otworzą oczy, iże rządy a ich głowy ukoronowane patrzą jyno swoji uciechy a dobroci dlo tych panoczków, co wyzyskują ubogich, a nie stoją o to, za co te mrówki robocze mają żyć. Zarobki są takie, iże nie stykną na ludzkie miyńszkanie dlo licznyj rodziny, a na ludzki kust wcale nie. Ale rostmajte kongresy hygjeniczne a miyńszkaniowe a inksze, miasto wskozać na takie krzywdy, miasto upominać sie energicznie o zmiany tych stosunków, posyłają telegramy uniżone do tych, co nie znają biydy, odbiyrają tyż za to podziękowania a błogosławiyństwa, a obiecki takie pod niecki, ale nie czuć takiygo słowa dobrygo, coby i w takich wiecach wołało: tako chca, tako rozkazuja.

W Rusieji bo tam tyż se stroją juble, a to skisz Borodina. Bółoby to piyknie, kiejby przez te sto roków bół tam kieryś postęp; ale tegó mało widno. Ale i tam nieco przejzdrzoł noród, a flota czarnomorsko spamiyntała wszyjskich, iże nie same cary a gienerały zwyciężają, jyno muszą ku tymu mieć wojoków; a coby te wojoki byli do zwycięstw dobrzy, to muszą być zakontenci z tegó, co mają bronić, a iże to są dziecka z ludu, to i tymu trza lepszych praw, coby uznoł, iże Ojczyzna mu matka, a nie macochą. Ale sie tyż dziwić nie możno, iże rząd moskiewski nie chcioł terazki wojny s Turcją, a inkszych kamrotów na Bałkanie odmówił od niyj, bo wiedzioł, iże ta jego armjo, co przed stu rokami bóła jeszczy dobro, terazki już pono zdziadziała, a co w niyj nowe, to nic nie je wert; jedne idee wolnościowe, co sie muszą kryć i kajińdziej, to są nojlepsze jeszczy nowości, ale tyż te nieskorzy muszą być na wierchu. No, ale tymczasem na przyjęcie cara w Polsce robią rostmajte aresztowania. To je tyż taki chrześćjański a kulturalny sposób przyjmowania panów z bożyj łaski.

A zaś świat sie dziwi, iże wszędzie rewolucje. A szmaty hakatystyczne w Prusach biadają, iże terazki roz wiynkszy kuźden se som wymierzo sprawiedliwość. A jako to miałoby być inakszy, kiej skisz kiepskich zarobków niy ma na reksanwaltów, coby sie prawować, a rozsądki niekiere inakszy wypadają, jak człowiek se miyni? A kiej wyszoł na tyn przykłod taki sprawiedliwy rozsądek, iże Knittel przyszoł fraj, to mu sztacwalt roz założół rewizjo a jymu dali inksze miyńsce; jeszczy go tyn Kammler z Rybnika fodrowoł na pistole, bo to nie je pono wymierzanie se samymu sprawiedliwości.

A te isne panoczki jak robią? Kiej Lob na Wołnowcu zrobiół park dlo robotników, to gó tyż wyloli, a terazki inkszych jegó urzędników tyż, a podziwomy sie jeszczy, co zrobią s robotnikami. A kiej to kapitalistyczne towarzystwo Hohenlohe uznało, iże niesprawiedliwie bółoby płacić cołko klasa, to se tyż odpisali telo, iże s 36 miljonów terazki śjechali na 24 miljony wartości majątku swygo; to pono je prawie a sprawiedliwie tyż? Ale wszyjscy ich sławią za tako mądrość kupiecko, no i pono tyż za to, iże pozwolili łaskawie swojyj downyj kapeli nazywać sie Kapele der Hohenlohewerke, choć już mo służyć i inkszym werkom a grubom górnośląskim, a uniformy tyż ji ostawili. No, to niech im ta kapela gro a basuje, a tym wszyjskim porządkom kapitalistycznym tyż; ale my tam podług tyj muzyki tańcować nie bydziem.

Gustlik Beskuryjo.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott w Katowicach.

Nr. 39. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej".

Katowice, sobota, dnia 28 września 1912.

FRANCISZEK PIĘTAK.

WALKA.

Zamilkło życie gwarne,
Wygasły już ogniska
I cisza wielka weszła
W fabryczne mury czarne.

* * *

Stanęły maszyn koła,
Ogniska już nie płoną,
Kominy niebotyczne
Już dymem swym nie zioną.

* * *

Stoją przed sobą dwa światy,
Jeden wybladły, obdarty,
Drugi wesoły, bogaty,
Jeden i drugi zażarty.

* * *

Stoją przed sobą dwa światy,
Odwieczne śmiertelne wrogi,
Jeden opasły, brzuchaty,
A drugi głodny, ubogi.

* * *

Jednemu troska o życie
W noc każdą sen z oczu płoszy,
Drugi bez troski, swobodnie
Wciąż żyje w lubej rozkoszy.

Znowu Aziew.

Aziew, jako problem psychologiczny, nie przestaje zajmować umysłów publicystów rosyjskich, zwłaszcza partyjnych towarzyszy i osobistych przyjaciół głośnego prowokatora.

W dzienniku „Odiesskija Nowosti" znajdujemy opis jednej z pierwszych prób zdemaskowania Aziewa. Było to jeszcze w roku 1906. Do jednego z wybitniejszych odeskich socjalistów-rewolucjonistów przyszedł pewnego dnia jakiś przyzwoicie ubrany jegomość i przedstawił się jako pomocnik naczelnika odeskiej ochrany. — Przyszedł — powiada — uprzedzić, iż w centralnym komitecie partji jest prowokator. Nazwiska nie zna, lecz widział go osobiście. Typ żydowski, gruby, inżynier z zawodu. Starał się przekonać gospodarza, iż ten bać się go nie potrzebuje, albowiem ochrana zna wszystkie jego grzechy — te ostatnie natychmiast wymienił.

Chodzi więc — powiada — mu tylko o to, że ów członek centralnego komitetu wprost z posiedzenia c. k. idzie do oddzielnego gabinetu i tam z Raczkowskim, oberszpiclem, spędzają całe godziny. Gość zażądał, aby ktoś z wybitniejszych s. r. pojechał z nim do Finlandji, gdzie właśnie przebywa centralny komitet i tam on przedstawi wszystkie zdrady owego prowokatora. Daje 10 dniowy termin i prosi, aby wystawiono umówiony znak w oknie, by odtazu mógł się dowiedzieć, że ma zajść i że jazda do Finlandji jest przygotowaną.

Upłynęło jednak dni dziesięć, lecz odeski s. r. nic zrobić nie mógł. W centralnym komitecie na sprawę zapatrywano się sceptycznie:

— Wszystko to są sztuczki Raczkowskiego!

Ochrannik zachodził jeszcze parę razy. Później przeniesiono go do Sebastopola. A jeszcze później dowiedziano się, że zbiegł gdzieś z Sebastopola wraz z kasą ochrany...

Wrażenie robił niesympatyczne, niedobre. Mówił krótko, bez żadnych sentymentów, skruchy, lub czegoś podobnego. Widocznie wprost chciał dokuczyć komuś ze swej starszyzny.

Cały epizod minął bez następstw...

W „Kijowskiej Myśli" znowu Eugenjusz Kołosow, którego bliższe stosunki łączyły z Aziewem, próbuje dać charakterystykę duszy słynnego prowokatora. Konstatuje wprost niezrozumiałe dla nikogo rozdwojenie osobowości. Z jednej strony — cham, chciwy gracz, z drugiej — tow. „Iwan Nikołajewicz", czarujący takich ludzi, jak Gerszuni, jak Sazonow. I podczas gdy wodzowie partji wierzyli mu bezwarunkowo, szeregowców odpychała sama jego powierzchowność.

Latem roku 1908 — opowiada Kołosow — Aziew kierował przygotowaniami zamachu na cara i osobiście też chciał zobaczyć wyznaczonych wykonawców i ku przerażeniu tych ostatnich wywarł na nich tak odpychające wrażenie, że później mówili:

— Kogoście nam przysłali? To jakaś prowokatorska fizjognomia. Co to jest za człowiek?

O stosunku Gerszuniego (jak wiadomo, organizatora bojówki s. r.) do Aziewa Kołosow opowiada tak. W jesieni roku 1907 otrzymała partja w Petersburgu t. zw. „list saratowski", ostrzegający przed Aziewem. List został przedewszystkiem pokazany Gerszuniemu. Gerszuni nie był człowiekiem miękkim, lecz płakał, czytając ten list. Płakał, nie łzami rozczarowania do Aziewa, lecz łzami gorzkiej krzywdy i goryczy był wzruszony, że takiego człowieka oskarżają, Bóg wie o co. Jego, który tyle razy głowę swoją ryzykował...

Później Gerszuni zachorował. Samotny, w otoczeniu tylko kilku ludzi najbliższych, umierał w Zurychu. Nie wiedział, że umiera i żył nadzieją powrotu do Rosji. A w Rosji odbywał się właśnie straszliwy dramat „siedmiu powieszonych". Ilu to ludzi drgnęło na myśl, że ich wydają. W tym samym czasie powiedziano, że słuchy o Iwanie wciąż rosną.

— Jak to? Wciąż jeszcze o tem mówią? Dobrze. Gdy wstanę, pójdziemy obaj z Iwanem przeciw X. i obaj legniemy w tej bitwie. Niech wówczas gadają!

Tak mówił Gerszuni w przeddzień śmierci. Umarł, wyznając swą wiarę w Aziewa.

Kołosow opowiada jeszcze o takim ciekawym epizodzie. W roku 1906 jesienią, wkrótce po wybuchu — na Wyspie Aptekarskiej, urządzonym przez maksymalistów (przeciw Stołypinowi) Aziew kierował wielkim zamachem na Stołypina. Zabity premier mieszkał wówczas w pałacu Zimowym i jeździł Newą do Peterhofu, do cara. Specjalną łodzią jeździł Newą aż do parostatku, który go czekał przy ujściu. Droga ta była znana rewolucjonistom, których oddziałek był dość liczny.

Jednak zamach ten był właściwie fikcyjnym. Była to gra Aziewa z ogniem, chytra machinacja, która miała udowodnić niemożliwość walki terorystycznej w Rosji.

W październiku 1906 roku Aziew przyjeżdża do Finlandji i powiada na posiedzeniu, iż, jego zdaniem, walka staremi sposobami staje się bezpłodną. Składa tedy funkcję naczelnika bojówki. Reputacja Aziewa była tak wielką, że większość jego współpracowników również usunęła się. Pozostała niewielka grupa, całkowicie później przez Aziewa wydana policji...

Tymczasem Aziew zachorował. Ukazało się u niego na szyi początkowo niewielkie opuchnięcie, które wkrótce przekształciło się w jakiś niebezpieczny wrzód. Współczucie ogólne było wielkie.

Operacja, uskuteczniona przez znakomitego chirurga, nie pomogła. Aziew był bliskim śmierci. Poprosił, aby zaproszono do niego znanego lekarza partyjnego. Ten ostrożnie zaczął uprzedzać Aziewa, że sytuacja jest poważna. Chory zrozumiał, uśmiechał się i ochrypłym szeptem z wielką trudnością, nachyliwszy się do ucha lekarza, cicho wymówił:

— Czy nie wszystko jedno, gdzie umierać — na szubienicy, czy na łóżku...

I Kołosów nie chce wierzyć, by Aziew i wówczas tylko grał komedję...

Opowiada Kołosow także o wspólnym z Aziewem pobycie w Szwajcarji w r. 1907. Nasza samotność została nagle naruszoną wieścią o straceniu dwóch terorystów, już niemłodych, wydanych przez Aziewa. Jednego z nich — Sulatyckiego — Aziew jeszcze w r. 1906 próbował oskarżyć o prowokację, lecz bez skutku. Teraz, usłyszawszy wiadomość o straceniu, Aziew zachował się zupełnie spokojnie,

Zaprosił przyjacielskim listem żonę jednego ze straconych do siebie, do Szwajcarji, do swego pensjonatu. Pocieszał, rozweselał. Umiał żartować literalnie jak dziecko. Starał się usłużyć przy stole. Słowem, zachowywał się tak, jak tylko może i powinien zachowywać się oddany sprawie dobry towarzysz, który wie, co znaczy strata najbliższych, niczem nie dająca się wynagrodzić...

I z głęboką zadumą stoi E. Kołosow przed tym psychologicznym problemem największego z prowokatorów początku XX wieku...

ŻMUDA.

Ni to dworek szlachecki,
ni to chłopska lepianka...
Kilka sprzętów niezbędnych,
trochę książek kochanych;
Żmuda za mną w krok chodzi,
tak od ranka do ranka,
Bezsennością usiada
na powiekach stroskanych.
Smutek za mną w krok chodzi
i śmiech dzieci — pustaków.
Żonie ręka drży skąpstwem,
kiedy dzieciom chleb kraje...
Ciężko sercu... zazdroszczę
szczęsnej doli tych ptaków,
Co gdy zima przyciśnie,
mają złote wyraje...
A jam przyrósł do gleby,
do tych węgłów schylonych.
Ni to dworek szlachecki,
ni to chłopska lepianka...
Smierci zda się mrok noszę
na źrenicach zmęczonych,
I ucieka mi życie
tak od ranka do ranka.
Miałem całą błoń kwiatów,
grał mi dzwonek słowiczy,
Miałem gaj głowin płowych,
czystych spojrzeń toń jasną,
Dzisiaj jedną znam żmudę,
w duszy osad goryczy.
Tak mi duszno i ciężko
i jak w trumnie tak ciasno!
Ni to dworek szlachecki,
ni to chłopska lepianka...
Kilka sprzętów niezbędnych,
trochę książek kochanych;
Żmuda za mną w krok chodzi,
tak od ranka do ranka,
Bezsennością usiada
na powiekach stroskanych.

Co powinno stanowić prywatną własność?

Jedyną własnością człowieka powinien być rezultat jego pracy. — Tymczasem ta prawdziwa własność jest obecnie nieszanowaną, gwałconą i rozkradaną, a ponieważ z pracą ludzką coraz bardziej konkurują maszyny, więc w dodatku ten, co pracuje, jest coraz mniej szanowanym i schodzi do rzędu części maszyny.

Niema na to innej rady, tylko człowiek musi przestać być wyłącznie robotnikiem, a stać się współwłaścicielem.

Sam postęp techniczny prowadzi ludzkość do socjalizmu.

Prywatna własność nie ma widoków długiego utrzymania się, ponieważ w przeciwnym razie ludzkość pogrążyłaby się w stan zdziczenia i barbarzyństwa.

Prywatna, ukradziona i odziedziczona własność nietylko krzywdzi tych, którzy na nią pracowali, ale jeszcze sama jest bardzo nierównomiernie i niesprawiedliwie rozdzielona, a utrzymanie tytułów do własności stanowczo zadużo kosztuje; — aby się mogła utrzymać wymaga nadzwyczaj kosztownego aparatu rządzenia.

Kapitał, aby się mógł utrzymać w prywatnych rękach, zmuszonym jest utrzymywać policję, sądy, kryminały, poczęści i armję.

To wszystko tak wiele kosztuje, że przyjść musi nareszcie czas, gdy prywatna własność nie będzie przedstawiała interesu i runąć musi.

Nieodłączne od prywatnej własności: konkurencja i spekulacja ze swemi składami, przewożeniem towarów z miejsca na miejsce i ogłoszeniami także już za wiele kosztuje i stają się ciężarem nie do zniesienia.

Na koniec prywatna własność niszczy rasę ludzką (jednych ze zbytku, a drugich z niedostatku).

Prywatna własność nie jest wytworem naturalnym i długotrwałym. Wszystkie zwierzęta korzystają ze wspólnej ziemi, lasów, wód — i tylko ich praca i zapobiegliwość jest miarą ich powodzenia.

Człowiek niegdyś także był panem przestrzeni i wszystkiego, czego był wstanie dosięgnąć, — a prywatna własność powstała w drodze gwałtu, — jest utrzymywaną siłą i jest możliwą tylko skutkiem niedołęstwa okradanych i utrzymywanych w ciemnocie mas.

Gdy pokrzywdzeni nauczą się myśleć, a przestaną wierzyć w obietnice, wtedy prywatna własność źródeł pracy i ziemi zniknąć musi.

Owoce własnej pracy są jedyną słuszną własnością i taką socjalizm każdemu zabezpieczy.

Juljan Wieniawski.

W poniedziałek 23 b. m. rano zakończył w Warszawie życie wybitnie zasłużony pisarz i obywatel Juljan Wieniawski, znany w literaturze pod pseudonimem „Jordana".

Urodzony w r. 1834 jako syn znanego lekarza, kształcił się początkowo w Lublinie, a następnie w Instytucie marymonckim, poczem osiadł na roli. Z powodu udziału w wypadkach roku 1863 musiał emigrować i przebywając w Paryżu i Lipsku, tam uczęszczał na wykłady ekonomiczne w uniwersytecie i akademji handlowej.

W roku 1865 powrócił do kraju, a w r. 1872 stanął na czele, jako dyrektor, pierwszego w kraju Towarzystwa wzajemnego kredytu. Na tem stanowisku położył znaczne zasługi, jako doskonały finansista i pracownik, umiejący łączyć interesy współdzielczej instytucji kredytowej z pożytkiem społecznym. Instytucja ta, dzięki jego zabiegom, była wzorem świetnie zorganizowanego Towarzystwa wzajemnego kredytu. Po kilkodziesięcioletniej w niej pracy na stanowisku naczelnem, opuścił ją dopiero niedawno, gdy sędziwy wiek zniewolił go do wypoczynku.

Ale chlubnej swojej służby publicznej nie ograniczył tą działalnością. Pracował na różnych polach użyteczności społecznej i wszędzie pozostawiał ślady swego niepospolitego, krysztalicznego charakteru, oraz gorącej miłości ojczyzny.

Temi tendencjami odznaczała się też jego twórczość literacka. Obdarzony talentem pisarskim i szczerym, rodzimym humorem, dawał w utworach swoich ujście wskazaniom obywatelskim.

Rozpoczął pracę literacką pod pseudonimem „Jordana". Zakapturzony tem nazwiskiem przez długi czas intrygował niem krytykę, która nie znała właściwego autora. Pod tym pseudonimem ogłaszał przez czas jakiś w „Tygodniku ilustrowanym" kroniki pod napisem: „Listy Jordana do pana Jana" i wydał oddzielnie, iskrzący się dowcipem zbiór humoresek p. t. „Wędrówki delegata". Szczególną jednak uwagę zwrócił swymi utworami komedjowymi, pełnymi humoru i jak na czas swój interesującymi pod względem scenicznym. Do takich przedewszystkiem należał „Słomiany człowiek", który dał sposobność Żółkowskiemu do stworzenia klasycznego typu naszych „strohmanów" finansowych. Obok wielu obrazków scenicznych („Koneserzy", „Blaga" i t. d.), napisał doskonałą krotochwilę „Myszy bez kota", która święciła na warszawskiej małej scenie prawdziwy sukces. Zbiór nowel p. t. „Z dworu i boru", humoreski „Przygody panów Marka i Agapita na wystawie warszawskiej", były znów swego czasu poczytną w szerokich kołach literaturą.

Niedawno ogłosił swoje „Pamiętniki", pełne niezwykle ciekawych wspomnień z ważnej epoki r. 1863 i ożywione gorącym duchem obywatelskim.

Juljan Wieniawski należał do najpiękniejszych postaci dawnego pokolenia, które konserwatyzm społeczny umiało łączyć z humanitaryzmem i prawdziwą miłością ojczyzny.

Juljan Wieniawski zmarł w 79 roku życia od wielu już lat trawiony dolegliwością wieku spóźnionego. Przed trzema laty zupełnie zaniewidział i wtedy zmuszony był odsunąć się od zajęć. Ale ta bogato obdarzona natura i wówczas jeszcze, w tak trudnych warunkach szukała pola dla swej niewyczerpanej energji. Uporządkował wtedy swe pamiętniki i wydał je p. t. „Kartki z mego pamiętnika: O tej pracy napisał Jan Lorentowicz, co następuje:

„Jordan stracił wzrok, ale spojrzał myślą wstecz i zastanowił się, czy zadanie życia spełnione jest całkowicie. Napisał swe „Pamiętniki". I oto staje przed nam plutarchowo czysta postać, pełna pogody, mądrosci, dobroci, pobłażania i głębokiego poczucia obowiązku spełnionego. Z każdej, każdej karty przemawia do nas człowiek z jakiejś innej, zda się, epoki, człowiek o duszy prostej i bezwzględnie szlachetnej, człowiek przejęty myślą, aby służyć bez zastrzeżeń ojczyźnie i czynić dobro wszędzie i zawsze".

Zapisujemy tu te słowa, bo one najtrafniej charakteryzują zgasłego pisarza.

Juljan Wieniawski pochodził z rodziny wybitnie utalentowanej. Braćmi jego byli: zmarły Henryk, skrzypek wszechświatowej sławy, i Józef, znakomity pianista.

Rozmaitości

Testament generała Nogi wykazuje, że spisany został w chwili, kiedy jeszcze śmierć jego żony nie była postanowioną. Nogi w testamencie oświadcza, że pójdzie za swoim cesarzem, który umarł i już jego usług nie potrzebuje. Już często myślał o śmierci, jednakże wybrał obecną chwilę jako najstosowniejszą. Cały swój majątek zapisuje żonie, swym przyjaciołom i zakładom publicznym. Zwłoki swoje zapisuje klinice uniwersyteckiej, tylko prosi, by włosy, zęby i paznokcie pogrzebano.

* * *

Skok śmiertelny z kolumny zwycięstwa w Berlinie. Wstrząsająca scena rozegrała się w niedzielę przed południem na placu przed parlamentem. Około godziny 11 zeskoczył, — jak już donosiliśmy wczoraj — 20-letni tapicer Eryk Bittner ze spadochronem, który sobie sam skonstruował, z galerji tak zw. „Siegessäule" chcąc go wypróbować; spadochron jednak wypowiedział posłuszeństwó i Bittner spadł na dach kolumnady pod kolumną, roztrzaskując sobie czaszkę. Skok swój ze spadochronem robił Bittner podobno dla pewnego kinematograficznego towarzystwa berlińskiego, które wysłało w tym celu swoich fotografów. Mimo oburzenia publiczności zrobili oni nawet zdjęcia tego grozą przejmującego dramatu.

Śmiertelny ten wypadek przypomina próbę Francuza Reichla, którą tenże z wieży Eiffel ze spadochronem przed kilku miesiącami robił i która również śmiercią wynalazcy się skończyła.

Bittner przed niedawnym czasem spadochron skonstruował i próby, które z nim za pomocą dwucentnarowej lalki urządzał, udawały mu się, tak, że je w końcu w prezydjum policji demonstrował. Od kilku tygodni nosił się z myślą, by zlot ze spadochronem urządzić z kolumny zwycięstwa. Doniósł więc o swym zamiarze policji i otrzymał żądane pozwolenie. Oprócz tego musiał się zwrócić do komisji ministerjalnej dla budowli, której pieczy pomniki państwowe są poruszone. Komisja jednak odmówiła pozwolenia i wysłała podobno w nieszczęsny dzień urzędnika do dozorcy kolumny, by nikomu nie pozwolił urządzać zlotu. Bittner zdołał jednak swój aparat mimo czujności dozórcy przedostać, a za pomocą pozwolenia policyjnego przekonał dozórcę na najwyższej galerji, że policja nie ma nic przeciw zlotowi.

* * *

Mundury dla dziennikarzy w Rosji. W ministerjum dworu petersburskiego mowa jest o zaprowadzeniu specjalnego uniformu dla korespondentów i fotografów, udających się na uroczystości, odbywające się w obecności cara.

Niedługo może nakaże się już nawet dzieciom rodzić się w mundurach.

* * *

Katastrofa na rzece — około 100 ludzi utonęło. Onegdaj wieczorem na Dźwinie północnej pod Archangielskiem parowiec holowniczy „Progres" zderzył się z parowcem osobowym „Obnowka". Ten ostatni zatonął. Część załogi i pasażerów zdołano uratować, ale część znalazła się w nurtach rzeki.

Według dalszych informacji parowiec „Obnowka" płynął do Majmaksu, gdzie znajdują się tartaki, mając na pokładzie około 150 pasażerów i robotników:

Parowiec „Progres" własność kupca Szmidta, płynął naprzeciwko i werżnął się dziobem w kadłub „Obnowki".

Wielu pasażerów wyskoczyło do wody i dostało się na brzeg, ale reszta zginęła w nurtach.

Uratowanych jest około 35.

Między tymi, którzy utonęli, znajduje się podobno dyrektor tartaków Wilson Stampo.

* * *

Bandyci samochodowi w Galicji. O napadzie bandytów na dwór pana Skrzyńskiego w Żurawnie nadchodzą jeszcze następujące szczegóły: W nocy z 17 na 18 b. m. między godziną 12 a 1 w nocy zajechał od strony Bukaczowiec do Żurawna, jadąc tak zw. szeroką ulicą, która dla wszystkich przejezdnych, nawet zwykłymi wozami, z powodu niesłychanych wyboi, dziur i kolosalnego błota jest niebezpieczna — automobil przed dwór pana Antoniego Skrzyńskiego. Siedzący w nim bandyci, prawdopodobnie w porozumieniu z miejscowymi opryszkami, podążyli do kancelarji zarządu, wyłamali drzwi do biura, następnie drzwi żelazne do kasy, wywrócili ogniotrwałą kasę i już mieli się zabierać do wiercenia, gdy zostali spłoszeni przez buchaltera, mieszkającego na piętrze; ten słysząc podejrzane szmery i trzaskanie pod swojem łóżkiem, gdzie właśnie w parterze kasa się znajduje, wstał, zapalił świecę i wyszedł na pomost, prowadzący do parteru, a widząc, że spłoszył złodziei, wrócił do mieszkania i począł na postrach strzelać przez okno. Strzały nastraszyły bandytów, którzy uciekli. Szofer, słysząc strzały, uciekł sam z automobilem i przez rogatkę, oddaloną o 6 klm. od Żurawna w kierunku Żydaczowa przejechał bez pasażerów. Za bandytami urządzono pościg.

* * *

Picie eteru w Irlandji. Eter stanowi w Irlandji napój, który wspólnie z whiski i brandy zatruwa tamtejszą ludność. W hrabstwie London derry istnieją szynki, gdzie się pije wyłącznie eter. Szynki te są tak liczne, że niektóre wsie są jakby pogrążone w niemiłej atmosferze zapachu eteru. Aby dać dokładny obraz przerażającej konsumcji eteru, wystarczy przytoczyć kilka cyfr. Jeden handlarz z Dublina wysyła corocznie do Belfast 200 000 hektolitrów eteru metylowego, a jeden drogerzysta z Londynu wysyła sam 22 000 hektolitrów. Kieliszek mieszczący 10 lub 15 gramów eteru, kosztuje w Irlandji około 10 fenygow. — Irlandczycy wymrą, jeżeli nie zaprzestaną pijaństwa.

Dymokrackie medykacje.

Pokoja nie chce nijako być w Ojropie, choć już za telo kosztuje.

Italjo pedziała se, iże wojna a drożyzna to tyż nijako w kupie nie chcą sie dzierżyć, to chciała s Turcją robić pokój, ale tak, coby skisz onyj równowagi ojropejskiyj otrzymać wszycko, co wziyna, ale Turcjo na taki gieszeft ki chnóła, to sie terazki bydą wadzić dalsze. A kamracio a sprzymierzyńcy dziwają sie jyno, coby na tym zarobić.

Skisz tegó trójprzymierze tyż mo osiuda. Bo flota italjańsko wyibuje sie w tyj wojnie, ale sie tyż obskubie. A z tegó ibunku tyż nic nie bydzie, bo cysarsko flota a óna nie bydą miały za telo miyńsca na morzu Śródziymnym, bo tam bydzie flota francusko a nieco angielskiyj. A Niymcy bydą musiały mieć swoja flota na Bałtyckim Morzu przeciw ruskiyj, a na Północnym przeciw angielskiyj; tak kiej bydzie wojna, to colkie trójprzymiyrze zankną i bydźe „Dajczlanc cukunft ligt auf dem wasser". Mogą se zaś swoje krygsszyfy śmiynić na luftszyfy, coby pojechać do swojich kolonii.

Tam zdałoby im się być już terazki. Bo pono ón stary Simon Kopper już zaś dopolo kolonistom w Zjidwestafryce, to można hnet bydzie nowe szerzynie kultury ojropejskiyj z gwerów, coby herery a kafry uznały, iże niymczyzna to wolność. Skisz tegó tyż zaś bydzie trza podwyższynio wydatków na kolonje a flota, zaś nowych ceł a klas, to na śniesiynie drożyzny a biydy i czasu nie styknie. A zaś sie wszyjscy dziwią, iże tyn ubogi rząd nic nie robi.

Wdykci Niymcom przeciwno Francjo tyż mo swojygó chroboka w Maroku. Tam óne panoczki z bożyj łaski śminiają sie gorszy, jak u nos szlepry na grubie; ale iże noród wiy, co óne jegó władze nie słuchają boskiyj jyno francuskiej woli, to tyż patrzą, coby zrobić inkszy porządek. Widno, iże te dzikie miyńszkańcy nie są takie ciymne, kiej niekiere w oświecónyj Ojropie.

A gienerał d'Amade, chtóry tyż uczół w Maroku obyczajów ojropejskich, terazki na maniebrach zrobiół ze swoimi jegrami mocno ataka na bajonety przeciw niymieckim słupom granicznym. Możnoby sie mu r'zyć, kiejby nie to, iże to bóła uciecha dlo alzasów „zaanektowanych" przez Niymcy. Ale kiej rostmajte szmaty hakatystyczne r'zą tymu, to jyno można ich zapytać, po jakiymu taki atak na widne słupy mo być głupi, kiej wszyjskie ataki pruskie na niewidne niebezpieczyństwa rewolucyjne a polskie a duńskie a alzacko-lotaryńskie a inksze są pono bardzo mądre i wedle serca, rozumu a woli hakaty? On gieneroł francuski a jegó jegry choć widzieli óne słupy, ale hakata wszyjsko jyno przy piwie wymedykowała rostoliczne niebezpieczyństwa i terazki miljony a miljardy wydaje, coby je usuwać. A kaj je wiynkszo szkoda? A óne zbrojenia przed niebezpieczyństwem wojny, chtórygó nie bółoby, kiejby nie wszyjskie takie obawy? Ale pono prawie mają przysłowia, skisz tegó i to je prowda: na złodzicju czapka gore; można im to w pałecie?

Chciołbych tyż wiedzieć, przed kim tak chrónią cara na jegó rajzie do Polski; pono to skisz tegó, iże to taki dobry batjuszka, to je faterek dlo swoich kochanych a kochających poddanych. Ale tu sie zaś pokozało, ku czymu je policaj w państwach o takich piyknych porządkach: ku sznyflowaniu, to je ku tymu coby szniupać za rewolucją a nie za złodziejami a inkszymi zbrodniarzami. Po tymu tyż powsodzali wszyjskich porządnych ludzi do więzienia, a o złodziejach zaboczyli. A ci z wdzięczności włomali sie tyż zarozki do cugu carskiygó a wynieśli rostoliczne strzybło, pono coby tyż cosik po dobrym ojczulku sherbować. Tako sie noleży nadgroda za gupota ónych gorliwych stróżów bezpieczyństwa.

Ale w Prusach tyż nie wielo lepszy. U wojoków szniupają za wszyjskiymi gazytami socjalistycznymi a polskimi a inkszymi niby rewolucyjnymi, ale cołko kompanjo może mieć 1700 patron wiynkszy jak im trza, może dostać tyż kajzerprajs za dobre strzylanie, jyno sie nie musi dać chycić. No, a iże chycili w Poczdamie cołko 6 – to kompanjo w 1 Garde-Rgt., to tyż skisz porządku musi być gierycht dlo wszyjskioh. To bydzie piękne.

A zaś Im tyż nieco napisza o Budapeszcie a o naszym Borcharcie a Leinercie, co ich sztacwalt chcioł se otrzymać. Dzisiok bo musza jeszczy wyónaczyć, jaki to termin mo w piątek jedyn bardzo zasłużony polityk z Bytónio, bo to pono nie chodzi o polityka ani o „ibertrejtung".

Gustlik Beskuryjo.

Kącik humorystyczny.

Cudowne dziecko.

— Jak to, kumeczko, wasz dzieciak chodzi?

— Nie, chodzić jeszcze nie chodzi, ale nogi to już ma.

—

Mądry.

Lekarz wojskowy. badając chorego żołnierza, pyta:

— Gdzie czujesz się najbardziej chorym?

— W regimencie — odpowiada żołnierz.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott w Katowicach.

Nr. 40. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 5 października 1912.

Proletarjusz.

Z okna mego mieszkania widywałem go, jak kilka razy na dzień wychodził na ulicę, w szewskim fartuchu, w pantoflach na nogach, z rękawami koszuli zawiniętymi po łokcie. Chude, brudne ręce wkładał do kieszeni od spodni i rozglądał się po ulicy, a choć ciepło było, wstrząsał się co chwila jakby od zimna. A potem suchą twarz podnosił ku słońcu, patrzył chwilę, mrugając oczyma i kiwając głową i znów znikał w bramie domu.

Ot, biedny szewczyna — myślałem sobie — siedzi to ustawicznie na swym szewskim trójnogu, tak i chce wyprostować swój grzbiet, aby się „nie zasiedzieć“.

Jednego razu, w śliczny, gorący dzień lipcowy, wracałem z miasta do domu. Spotkałem go na moście zwierzynieckim, jak oparty o poręcz, ze zwojem skór pod pachą, spoglądał na Wisłę, rozbrzmiewającą śmiechami i krzykami kąpiących się chłopaków.

— Dzień dobry panu! — zaczepiłem go.

Obrócił się szybko. Smutne, wypłowiałe oczy lśniły się łzami, które otarł prędko.

— Śliczny dzień!

— Śliczny, panie, śliczny. Bóg łaskaw — daje pogodę.

Poszliśmy razem.

— Śliczny dzień, śliczny — mówił, wzdychając, a właściwie jęcząc. — Ale to nie dla nas, panie, nie dla nas. Charuje się, charuje cały dzień, od rana do nocy, człek nawet tem boskiem słoneczkiem nie może się nacieszyć — a z tej charówki nic, nic... Niech pan kiedy do mnie zajrzy...

— Ja się już dawno wybieram do pana — odrzekłem.

— Niech pan zajrzy... pogadamy... Takbym nieraz chciał pogadać, a nie mam z kim... Pan wie, że szewc może robić i gadać.

— Przyrzekłem napewno.

Lecz obietnicy nie dotrzymałem zaraz. Mijał dzień za dniem, różne własne biedy zaprzątały mi głowę, aż wreszcie wyjechałem z Krakowa. Wróciłem pod jesień, w dzień smutny, słotny, błotny, rozpaczliwy — i natychmiast wybrałem się w wędrówkę za mieszkaniem. W tej wędrówce znalazłem się na dawnej mej ulicy, w pobliżu dawnego mieszkania — i przypomniałem sobie obietnicę, daną szewcowi. Postanowiłem go odwiedzić; tem chętniej, że byłem przemoczony i nogi po długiem i daremnem łażeniu bolały mnie bardzo. Rad więc byłem odpocząć i choć czas jakiś nie czuć na sobie tej przeklętej słoty.

Pokazano mi czarną czeluść, w którą miałem się zapuścić, aby dostać się do mojego szewca. A zarazem ostrzeżono, abym schodził ostrożnie, gdyż schodów jest dużo, a wszystkie przegniłe.

Zapuściłem się w tę piekielną przepaść. Mokra poręcz ruszała się, schody chwiały się, skrzypiąc przeraźliwie. Schodziłem powoli, zdawało mi się, że schodów tych jest chyba tysiąc; a im głębiej schodziłem, tem okropniejszą stawała się woń zgnilizny i wilgoci. Miałem wrażenie, że zstępuję do jakiegoś bezdennego grobu, w którym prócz gnijących trupów nie zobaczę nic więcej.

Zeszedłem nareszcie. Zaświeciłem zapałkę i począłem powoli posuwać się dalej. Nagle nastąpiłem na coś miękkiego. Pochyliłem się. Wstrząsnął mną dreszcz obrzydzenia. Przedemną leżał olbrzymi, wstrętny, nieżywy już szczur.

Gdzież, u djabła, ja się znalazłem? Czy ja naprawdę idę do mieszkania ludzkiej istoty, aby ją odwiedzić? A może mnie okłamano, może ja zeszedłem do jakiejś piwnicy? Co ten oto tu robi? Kopnąłem szczura ze wstrętem i splunąłem. Podniosłem zapałkę w górę. Nie, tam na końcu tego cuchnącego korytarza naprawdę są jakieś drzwi. Szybkim już krokiem podszedłem pod nie i zapukałem. Odpowiedział mi głos cichy, któremu zawtórował gwałtowny, świszczący kaszel.

Wszedłem — i stanąłem zdumiony. Piwniczka — bo nie mogę powiedzieć piwnica — sześć kroków długa, cztery kroki szeroka. Jedno okienko mikroskopijne, a tak wysoko umieszczone, że musiałem dobrze głowę w tył przechylić, aby je ujrzeć. Po ścianach spływały potoki wilgoci, podłoga nawet była nią przesiąknięta, jak gdyby ją przed chwilą ktoś wodą polał. Na łóżku leżał kościotrup mojego szewca. Wyciągnął ku mnie swoją trupią rękę, uśmiechając się smutnie.

— Nie dotrzymałeś pan słowa... tak wyglądałem...

Począłem się usprawiedliwiać.

— A ja dogorywam, panie... nic już ze mnie, oho...

Zakaszlał się.

— Jak pan może tu mieszkać — w tym grobie? — zapytałem z prawdziwem współczuciem.

— Już ośm miesięcy... całe ośm miesięcy... Oj, prawda, że grób... To ja z tego się rozchorowałem. Żona moja dostała reumatyzmu... biedaczka musi cały dzień stać przy balji... ale cóż... Dwoje dzieci mi umarło, bo i jakże... smród, wilgoć, zawsze noc... Albo i to, jak wygląda, a także z tego...

Rzeczywiście. Koło pieca na wilgotnej podłodze siedziało dzieciątko biedziutkie, gryząc kawałek skórki chleba i obojętnie patrząc na mnie.

— Ile pan płaci za to?

— Płaciłem dotąd 14 koron, teraz gospodyni podniosła na szesnaście...

Fr. Piętak.

O inteligencję z ludu.

Najważniejszem zadaniem doby obecnej jest praca oświatowo społeczna, praca ludowa. Odczuli potrzebę tej pracy i ci, którzy zbudzili lud z jego martwoty i ci, którzy zbudzenia tego potrzebowali. Pisma i różne wydawnictwa ludowe w tysiącach egzemplarzy rozchodzą się dziś pod strzechy włościańskie, a setki rad i wskazówek praktycznych z dziedziny rolnictwa, przemysłu, handlu i t. d. zaprzątają głowy i umysły czytelników.

Nie wszystkie jednak te wskazówki i projekty dadzą

się urzeczywistnić, jak bowiem do każdej roboty potrzeba odpowiedniego majstra, tak i do pracy społecznej potrzeba ludzi zdolnych, powołanych ludzi, którzy nietylko poradzić, ale i zrobić coś potrafią.

Praca społeczna, zapoczątkowana przez inteligencję miejską, zyskała szybkie poparcie ze strony ludu i warstwy robotniczej, i oni do dziś znaczny ciężar tej pracy dźwigają na swych barkach. Niektórzy zdolniejsi i chętniejsi z tej warstwy, na poły jeszcze oświeconej i uspołecznionej, wyrobili się już o tyle, że przy pomocy pism i książek sami na własną rękę pracują. W ten sposób powstają dziś i trzymają się jako-tako różne stowarzyszenia i kółka.

Mimo to jednak tych przewodników społecznych czynnych jest dziś mało i na każdym kroku brak ich się odczuwa. To też cały ciężar tej pracy spada na jednostki, które jednak zapracowują się i zużywają prędko wskutek wyczerpania. Co gorsza, że działacze ci, mając po uszy pracy, że tak powiem cudzej, nie mają czasu na uporządkowanie swych własnych interesów, wskutek czego często cierpią materjalnie i moralnie. A przysłowie mówi, że lepszy przykład niźli rada; działacze nasi jednak, pomimo najszczerszych chęci, nie mogą się zawsze do tego zastosować, co źle wpływa na otoczenie. Trudno też jest jednemu człowiekowi światłemu i nawet urobionemu życiowo, poradzić sobie z ciemnotą i zacofaniem otoczenia, dlatego też potrzebny nam jest cały szereg pomocników-pracowników ludowych, którzyby zrozumiawszy cel i przejęci ideą pracy ludowej, pchali społeczeństwo naprzód.

Trudno jednak dziś o takich prawdziwie oddanych ludowi pracowników. Ludzie z wyższem wykształceniem starają się zostać doktorami, inżynierami i t. d., a gdy który zostanie takim — osiada zwykle w mieście, gdzie ma warunki więcej dla siebie odpowiednie. Z tych ludzi niewielu pracuje dla ludu. Zresztą inny choćby i chciał coś robić, to jednak z braku uświadomienia w tym kierunku nie wie, co i od czego zacząć, tego bowiem na uniwersytetach nie uczą, a literatury ludowej też nigdzie nie wykładają.

To też pracownicy, pisarze i działacze ludowi muszą się werbować z ludzi dobrej woli, z ludzi, których celem jest praca dla przyszłości.

Nie każdy jednak może być tym pracownikiem ludowym; praca ludowa to nie rzemiosło, którego może się każdy nauczyć, o ile ma chęci i chce jakoś żyć.

Działacz społeczno ludowy to nie majster, który na obstalunek robi w swej wiosce np. stowarzyszenie spożywcze, jak kowal siekierę.

Pracownik ludowy to nie mieszczuch jakiś, który wieś zna dla tego, że czytał o niej w książce, lub był parę miesięcy na letnisku gdzieś we wsi podmiejskiej. Na pracownika ludowego najlepiej nadaje się rdzenny wieśniak, który zna lud, bo z niego wyszedł, który zna potrzeby wioski i całej okolicy, z której pochodzi.

Na działaczy potrzeba więc nam wykształconych włościan, potrzeba nam tej inteligencji z ludu, która, świeża i zdrowa, mogłaby się zrozumieć i zżyć z inteligencją miejską i razem z nią, jako więcej już doświadczoną, pracować dla wspólnego dobra. A dla kraju wszyscy wspólnie powinniśmy pracować bez różnicy zapatrywań i stanów; każdy człowiek: ksiądz, rzemieślnik, uczony, badacz i rolnik, szlachcic i chłop — wszyscy na swym zagonie stanowimy jedną rodzinę, i nie wolno nam węzłów tych targać. Niema chyba człowieka, któryby był zupełnie bezużytecznym, każdy może coś dobrego zrobić, byle chęci były.

Nie odrazu Kraków zbudowano, tak też i nie odrazu sprawa wyrobienia tych działaczy da się urzeczywistnić, ale zaczynajmy od małego i róbmy, co z brzega. Przedewszystkiem więc nie dajmy się marnować zdolnej i chętnej do nauki młodzieży. Wyławiajmy po wioskach tych, którzy mają za co, a jednak nie korzystają z nauki, gdyż nie rozumieją jej potrzeby. Korzyści te trzeba wytłumaczyć rodzicom, a dzieci koniecznie oddać do dobrej i odpowiedniej dla nich szkoły. Tacy wykształceni chłopcy, po powrocie do domu, dużo dobrego mogliby zrobić, zająwszy się swymi ciemnymi braćmi.

Trzeba tylko, ażeby ci wiejscy chłopcy nie przerabiali się w mieście na „panków“, którzy po powrocie do wsi z góry traktują swych kolegów mniej wykształconych i po wiejsku ubranych. Niech taki wykształcony wieśniak będzie zawsze tylko wieśniakiem oddanym sprawie ludowej; niech też daje dobry przykład, ażeby sąsiedzi widzieli, że nauka nie psuje ludzi, lecz ich kształci i uszlachetnia. Ludzie, widząc wzorowe postępowanie tej młodzieży, nie czekaliby, aż ich ktoś namówi do szkoły, lecz samiby się chętnie do niej garnęli. Wyrosłaby więc w ten sposób inteligencja z ludu, a przymieszanie takiej krwi chłopskiej do krwi obecnej inteligencji bardzoby nam wszystkim na dobre wyszło. Pokrewieństwo duchowe łączyłoby nas silnym węzłem, gdyż ta przymieszka krwi byłaby dla nas sojuszem bratnim, dzięki któremu bylibyśmy więcej mocni i wytrwali.

A tego nam obecnie brak. Ad. Chętnik.

Mrożone mięso.

Istnieją ogromne obszary w Ameryce południowej i środkowej Australji, które są może o 16 razy większe niż Niemcy a mają 10 razy mniej ludności niż państwo niemieckie. Na tych obszarach Brazylji, Argentinji, La Platy itd. znajdują się nieprzebyte stepy, porosłe bujną, soczystą trawą, na której wypasają się miljony wołów i owiec. Posiadają więc te szczęśliwe kraje o wiele więcej mięsa niż je mogą spożyć.

Do niedawna jeszcze pozostawiano po prostu gnijące mięso wołów zabijanych głównie dla skóry i owiec zabijanych dla wełny na pastwę sępom i kondorom, które dzięki swej nadzwyczajnej żarłoczności potrafią spożyć wszystkie ścierwa. — Dopiero około 1830 pewien inżynier niemiecki podał brazylijskiemu rządowi myśl konserwowania mięsa i wywożenia go do innych krajów. Myśl ta została skwapliwie przyjęta i zamieniona w czyn. Powstały fabryki konserw mięsnych. Najlepsze sztuki wołów i owiec gotowane w zamkniętych, ściśle zalutowanych puszkach, bywają wysyłane na cały świat, lecz te konserwy nie cieszą się wielkiem powodzeniem. Taksamo transport żywego bydła nie przyniósł wielkich zysków i nie przybrał większych rozmiarów. O wiele szczęśliwszym był pomysł sławnego Liebiga, który z najlepszego mięsa pierwszy zaczął wydobywać ekstrak t. j. czysty sok mięsny, stężały na zbitą masę. Znane powszechnie słoiki ekstraktu owego, dziś rozpowszechnione są po całym świecie i niezbędne w każdej prawie kuchni.

Wszelkie jednak, coćby najwyborniejsze ekstrakty nie zastąpią mięsa, którego koniecznie potrzebuje człowiek ciężko pracujący. Jeżeli zaś Brazylja, Argentynja i La Plata mają mięsa o wiele za wiele. Niemcy zaś znacznie mniej niż potrzeba, przeto z całą energją zaczęto badać nową kwestję: czy za pomocą zamrożenia nie możnaby utrzymać mięsa w stanie beznagannej świeżości i zdrowotności i sprzedawać go w Niemczech?

Odpowiedzi najznakomitszych powag w zakresie chemji i medycyny wypadły nader pomyślnie. Nietylko świeże, ale zupełnie wolne od chorobotwórczych zarazków otrzymamy mięso z Ameryki.

Woły bowiem i owce żyjąc w tych krajach swobodnie, przebywając dzień i noc na świeżem powietrzu, nie ulegają tym licznym i ciężkim chorobom, co nasze bydło, zmuszone przez większą część roku do przebywania w dusznych stajniach. — Zabijane sztuki bywają zresztą najdokładniej kontrolowane przez weterynarzy. Chodzi tylko o to, aby mogły być ponownie rewidowane po przewiezieniu do Europy. Ponieważ do badania lekarskiego koniecznie potrzebne są najważniejsze organy organizmu zwierzęcego, a więc płuca, serce, żołądek i nerki, przeto muszą się te części znajdować w przesyłanych zamrożonych zwierzętach i to w stanie naturalnym t. j. nie wykrojone i znów włożone.

To ostatnie wymaganie hygieny sprawia nowy kłopot handlarzom, gdyż daleko łatwiej pakować i przewozić poćwiartowane sztuki niż w całości.

Wielkie centrale w Hamburgu i Berlinie będą przechowywały sztuki przewiezione w zamrożonym stanie, dopóki takowe nie zostaną zakupione.

Rozmaitości

Siły wojenne państw bałkańskich. Bułgarja liczy na stopie wojennej 6 dywizyj piechoty po dwie brygady, brygada po dwie „linijske“ i po jednym pułku tyralierów; jedną dywizję jazdy po 18 szwadronów; 9 baterji polnych, 9 wałowych i 5 fortecznych; kompanje saperów i sanitarną przy każdej brygadzie. Nadto poza armją regularną 6 pieszych brygad t. zw. „priczuwna wojska“, po 2 pułki z 6 bataljonów złożone i 13 baterji polnych. Ilość wojska 174 000.

Czarnogóra wystawia w razie wojny 8 brygad piechoty i 9 bateryj polnych, tudzież dwa szwadrony jazdy — razem 50 000 zbrojnych. W razie obrony kraju przed najazdem — każdy Czarnogórzec jest znakomitym żołnierzem.

Serbja ma na stopie wojennej w pierwszych wiciach 5 dywizyj piechoty po 2 brygady, po 2 pułki, po 4 bataljony; pułk konnicy z 3 szwadronów, brygadę artylerji z 9 brygad. Drugie wici powołują pod broń dalszych 5 dywizyj piechoty do 12 bataljonów, 2 szwadrony jazdy i 3 baterje. Na trzecie wici powstaje dalszych 5 dywizyj piechoty i jedna konnicy. Żołnierzy razem 158 000, koni 6 500, dział 420.

Rumunia wystawia w razie wojny 4 armje po 2 dywizje piechoty, po jednej brygadzie piechoty, po jednej artylerji i jednej „Karalaszów“ (huzarja lekko zbrojna). Każda armja obejmuje 39 000 karabinów, 1 170 szabel i 108 dział. Nadto poza armią regularną 143 bataljonów piechoty, 10 kompanij straży granicznej, 71—78 szwadronów jazdy i 81 baterji.

Grecja rozporządza na stopie wojennej 55 bataljonami piechoty, 18 szwadronami jazdy, 29 baterjami polnemi i 16 „kompanjami technicznemi“ — razem 82 000 regularnego żołnierza i 174 dział. Poza tem „gwardva narodowa“ 76 800 pierwszego powołania i 58 000 drugiego powołania — ale to już „wojsko“ bardzo wątpliwe.

* * *

Osobliwe przygody referatu. Na kongresie klerykałów w Krakowie nastąpiło zabawne zdarzenie. Miał z kolei referować hr. Stanisław Henryk Badeni, który jednakowoż dał wprzód swój referat p. t. Katolicyzm a polski duch opywatelski“ sprawozdawcy „Czasu“ do opisania. Ten jednak zabrał rękopism referatu ze sobą do redakcji „Czasu“, aby go dać do druku. Hr. Badeni nie mógł więc referować. Urządzono tedy przerwę kwadransową, w czasie której posłano po ów referat do redakcji „Czasu“. Gdy go stamtąd z powrotem przyniesiono, odczytał go hrabia Badeni.

W czasie tego czytania wybiła godzina 12 i ozwał się dzwon na „Anioł pański“. Hr. Badani przerwał czytanie, odmówił wraz ze zgromadzonymi „Anioł pański“, poczem dokończył czytania.

* * *

Największe miasto na świecie. W ciągu ostatnich dwóch lat dokonano we wszystkich państwach kulturalnych spisu ludności. Wyniki tego spisu zostały już ogłoszone, a zawierają one ciekawe szczegóły, zwłaszcza w sprawie wzrostu miast.

Miast, mających więcej niż pół miljona mieszkańców, jest w Europie trzydzieści. Na czele stoi oczywiście Londyn, który według spisu z roku 1911 ma 7 252 963 mieszkańców. Drugiem największem miastem w Europie jest Paryż, którego ludność wynosi 2 888 000 (spis z roku 1911) bez przedmieść; te jednak nie są zbyt gęsto zaludnione. Następuje Berlin, który dziś jest trzeciem z kolei największem miastem w Europie; sam Berlin ma dziś wprawdzie tylko 2 084 000 mieszkańców, ale przedmieścia tego, które wejdą niezadługo w skład Wielkiego Berlina, są ogromnie gęsto zaludnione. Wielki Berlin, wraz z przedmieściami, ma już w roku bieżącym 3 852 000 mieszkańców, jest więc znacznie większy od Paryża. Czwartem z rzędu miastem jest Wiedeń, mający 2 065 000 mieszkańców: poczem idzie Petersburg z 1 908 000 i Moskwa z 1 617 000 mieszkańców. Siódme miejsce zajmuje Hamburg, liczący sam 957 000, a z przedmieściami 1 132 000 mieszkańców. Trochę mniejszy jest Konstantynopol, mający 943 000 mieszkańców, a wraz z przedmieściami, azjatyckiemi 1 106 000. Dziewiątem z rzędu miastem jest Peszt, mający 880 000 mieszkańców. Na dziesiątem miejscu stoi Warszawa, której ludność przenosi 850 000 mieszkańców.

Poniżej 800 000 mieszkańców mają miasta: Glasgow, Liverpool, Neapol i Manchester; poniżej 700 000: Bruksela, Monachjum, Lipsk; Medyolan i Madryt mają po 600 000; poniżej 600 000 mają: Kopenhaga, Barcelona, Amsterdam, Drezno, Marsylja, Rzym (540 000), Birmingham, Wrocław, Kolonja, Lyon i Praga (540 000).

W Ameryce jest tylko 10 miast, których liczba ludności przenosi pół miljona. Są to mianowicie: Nowy Jork, mający 4 767 000, Chicago 2 185 000, Filadelfja 1 549 000, Buenos Aires 1 400 000, Rio de Janeiro 900 000, St. Louis 687 000, Boston 671 000, Cleveland, Baltimore i Pittsburg, mające poniżej 600 000 mieszkańców.

W Azji największem miastem jest Tokjo, mające 2 186 000 ludności. Następnie idą Osaka w Japonji i Kalkuta w Indjach, w których liczba ludności wynosi po 1 239 000. Po miljonie mieszkańców mają miasta chińskie Hsiangtau i Hsingan oraz Bombaj w Indjach. Kanton ma 900 000, Hankou przeszło 800 000, Tientsin 800 000. Pekin, którego liczbę ludności przedtem mocno przesadzono, ma tylko 693 000 mieszkańców, Szanghaj i Bangkok mają po 650 000, Fuczu i Czungkin po 600 000, Madras 520 000, a indyjski Haiderabad pół miljona ludności.

W Australji są tylko dwa miasta z ludnością, której liczba przenosi pół miljana, mianowicie Sydney (600 000) i Melbourne (560 000). W Afryce zaś jest tylko jedno takie miasto, Kair, mające 680 000 mieszkańców.

* * *

Ludożercy w Brazylji. Major wojsk brazylijskich, Alfred Olimpio Filho, odbył dziewięciomiesięczną podróż naukową w niezaludnionych przez białych północno-zachodnich obszarach lesistych Brazilji. W olbrzymich lasach, w których nigdy nie postała jeszcze noga białego, na wybrzeżach rzeki Liberuado Filho, spotkał liczne plemię tubylców ludożerców. Kobiety tego plemienia o cerze jasno-bronzowej, odznaczają się bardzo regularnymi rysami, a między niemi są nawet bardzo ładne. Mężczyźni wysokiego wzrostu, silnie i kształtnie zbudowani, posiadaja wązkie usta i wysokie, ładnie sklepione czoło. Naogół charakter tego ludu jest dosyć łagodny. Traktowani dobrze zawierają chętnie stosunki przyjacielskie, ale rozdrażnieni złem obchodzeniem się stają się, jak zapewnia major, „prawdziwymi djabłami“. Major ze swą silną i dobrze uzbrojoną eskortą spędził jakiś czas wśród tych ludożerców i nawiązał z nimi stosunki przyjacielskie i nawet zaprzyjaźnił się szczerze z jednym z wodzów osady dzikich, w której zamieszkał sam jeden w celu lepszego poznania obyczajów jej mieszkańców. Ponieważ dzicy chodzą zupełnie nago, więc i major musiał zastosować się do tej mody i pozwolić swe ciało wymalować na kolor jasno-czerwony, co ułatwiło mu znakomicie zaprzyjaźnienie się z dzikimi.

* * *

Krwawe walki strajkowe w Ameryce. W mieście Lawrenc w stanie Massachusetts wybuchł nowy strajk robotników przędzalń. W niedzielę przyszło z powodu tego do poważnych rozruchow, przyczem kilku robotników i strajkujących zostało poranionych. Na dzisiaj ogłoszono strajk gieneralny jako demonstrację przeciwko ośmiomiesięcznej kaźni przywódców robotników. Józefa Ettora i Artura Giovanittiego. Uwięziono ich po zarzutem podżegania i podburzania podczas ostatniego strajku w przęd-

zalniach; robotnicy twierdzą, że oskarżenie to nastąpiło na mocy bezpodstawnej domonstrancji. Rozgoryczenie wśród rzeszy robotników na takie traktowanie ich przywódców jest o tyle usprawiedliwione, iż dowiedziono trzem największym posiedzicielom przędzalń, że zapomocą przekupstwa podłożyli dynamit i bomby w domach strajkujących, by robotników w ten sposób skompromitować. Mimo tego ciężkiego oskarżenia pozostawiono fabrykantów za nizką kaucją na wolności.

* * *

Dzielne kobieta. Około północy zapukał ktoś w drzwi stojącego samotnie przy torze kolejowym domku strażnika kolejowego Kueppikusa pod Arnsbergiem w Westfalji. Żona otwarła drzwi w myśli, że mąż wraca do domu; tymczasem w progu ukazał się jakiś młokos i zakrzyknął: „Pieniądze lub życie!" Kobieta zaś nie dała mu ani pieniędzy, ani życia, lecz sprała go dobrej miary haczykiem. Rezolutna kobieta wyrzuciła zbrodniarza i drzwi zaryglowała. Policja śledzi pilnie za zbrodniarzem.

* * *

Nowy sposób uwalniania się od wojska. Na oryginalny sposób uwolnienia od wojska wpadł Franciszek Szukalski, gospodarz z osady Pajęczno w pow. radomskim. Ma on dwóch synów, z których starszy, Franciszek, w roku 1907 miał stawać do wojska; ulga mu nie przysługiwała, gdyż stary Szukalski nie miał jeszcze 50 lat, młodszy zaś brat popisowego Franciszka miał już więcej niż lat 17. W ten sposób popisowy Franciszek nie mógł korzystać z ulgi jako opiekun.

Znalazł się jednak sposób na to, aby z ojca Szukalskiego zrobić starca, z młodszego zaś brata chłopca, nie posiadającego jeszcze 17 lat.

Organista Domagalski z Pajęczna, po obfitej libacji, której koszta poniósł stary Szukalski, wydał metryki fałszywe: staremu Szukalskiemu dodał 5 lat, młodszemu synowi ujął rok, i w ten sposób syn starszy, jako opiekun uwolniony został od wojska.

Wyszło to jednak na jaw i zarówno stary Szukalski, jak organista Domagalski skazani zostali na rok rot aresztanckich.

Wczoraj II departament karny warszawskiej izby sądowej wyrok powyższy zatwierdził.

Dymokrackie medykacje.

Roz jeszczy potwierdzili urzędowo na posiedzyniu katoskiyj rady miejskiyj, iże tyfus nie szoł luftem, jakoby wszyjscy tegó nie wiedzieli. Jo bo se miynia, iże tyż można muchy fedrowały ta choroba z kleranlagi a przenosiły na miyńszkańców, ale wszyjscy jyno dziwią sie, iże jyno ci przy ónyj studni cuchnącyj byli niemocni a inksi nie; a tegó nie wyjośniół nicht urzędowo, skisz czegó jyno tako bóło a nic inakszy. Po próżnicy popłacili ludziska myta od wody a kanałów, sądy uznały, iże to nie bóło po sprawiedliwymu, ale nic za to nie mieli, jyno tyfus. To je tyż tako polityka komunalno.

Zaś inkszo je polityka kościelno. To sie wiy, iże po kościołach górnośląskich okrom łaciny jyno mowa niymiecko je urzędowo, a nie mowa ludu. Skisz tegó mało wszędy wszyjskie ogłoszenia kościelno-urzędowe pisze sie po niymiecku a po polsku jyno tam, kaj je zakaz: nie pluć! albo jeszczy wiynkszy, kaj są puszki na ochfiary. Jyno w Mikulczycach to na dzwónku ochfiarnym ból jedyny napis polski: „Bóg zapłać", bo farorz wiedzieli, iże jyno polskie piyniądze, ciężko zapracowane przez robotników, pójdą do tegó mieszka. Ale bóło tyż pora takich fajnych owieczek, co nie dają nic, ale na chwała Bożo gorszą sie mową polską; to pedziały te owce swojymu pastyrzowi, iże furt nic nie bydą dować, kiej im na dzwónku nie bydzie dziękowoł po niemiecku: „Got dank". Przerobili tedy kościelny mieszek na dwujęzyczny, no i polski Bóg płaciół, a niymiecki Gott jyno „dankowoł". Ale taki podział wdzięczności zaś nie bół po sprawiedliwości, a polscy parachjanie wiedzieli, iże tam niy ma czegó „dankować", a tyj urzędowyj mowy mają za telo wszędy, to sie terazkl óni słusznie gorszyli. No i terazki oba te podziękowania śnikły, a chtó chce cosik dać, może se powóniać świyży kwiotek, chtóry farorzyk kozali wyszyć na ónym mieszku niepolitycznym. Ale jo downo prawiół: kiej farorzyki chcą piyniędzy, to mogą tyż po polsku, a hnet a hnet chcą być „ponad partjami" a sprawiedliwi.

Sprawiedliwość cyntrowo a prusko a krzyżacko to je se jedna. A prawa pruskie dlo nich ułożół taki trójklasowy sejm, chtóry nie wstydziół sie ułożyć na swoich posłów hausknechcparagrafu sztyrysześćdziesiąt. A terazki sąd berliński uznoł, iże tyn hausknechcparagraf mo większą moc, jak cołko konstytucjo prusko. No i skisz tegó Borchardt dostoł sto marków a Leinert 50 marków za opór przeciwko władzy. Kiejby już nie można wniyść apelację przeciw tymu rozsądkowi, toby można miynić, iże posłowie są wdycki nietykalni, jyno kiej policaj chce, to ich może chycić; a prawa a regulaminy można se uchwolać w sejmie, jakie sie chce, bo konstytucjo je jyno w aktach, bo musi być w państwie ojropejskim, ale nie skisz tegó, coby ji słuchać.

W sejmie ugierskim bo zrobili lepszy. Tam cołko opozycjo ustawiła sie kiej żywy mur, to Tisza s cołką kompanją policajów mieli ciężki col, coby ich wyfedrować ze zalu a zrobić posłuch dlo „większości woli ludu". Niekiery policaj ale pokozoł, iże zno lepszy wola ludu, jak jegó lajtnant, skisz tegó wrazili tych opornych policajów do zómku, coby ogłupieli można. Ale popłynyły piyniądze a krew w Budapeszcie ku tymu, coby pokozać, iże są jeszczy inksi sędzie na świecie. Na tako wtóro rewolucjo hnet policaj a siandary a wojoki nie stykną. Trzeba na to reform, bo o taki porządek gizdoski, kiej terazki, nicht mądry nie bydzie stoł.

Gorsze je w Turcji. Boroczka furt mo wojna z Italją w Trypolisie, pokoja nie widno, a w chaupie spiski a powstania. Terazki Italjo, coby wyhandlować se pokój, poszczuła swojygo przyjociela w Czarnogórze, a tyn Serbja a Bułgarjo, no i można hnet nowo wojna fertyk. Inksze państwa nie chcą, a nojmiyniyj Rusyjo, bo ji Ucharcz a inksi złodzieje poprzedali konie a pokradli inksze wiecy, a kiepskie liwerowali, ale kiej Macedonjo nie dostanie autonomje od Turcyje, to tyn kosztowny zbrojny pokój światowy pono sie skończy. No, podziwomy sie, co zrobią s autonomją Macedonji, to można jeszczy bydzie wszycko dobrze.

Jo tam wojny nie chciołbych terazki, bo musza se piyrwy naszporować na jeszczy wiynkszo drożyzna. A nasz nowy „Dziynnik Robotniczy" tyż nie miołby za telo czytelników, boby wszyjskich wziyni ku obronie faterlandu; bółoby czegó! ale co robić, kiej inakszy nie lża. Ale wiym, iże faterland nie mógłby se śpiywać „magst ruhik zajn", kiejby wszyjscy tak mu przoli kiej jo. Bo jo nie moga tak wrzeszczeć „hura!" kiej inksi, skisz tegó, bo niy mom za co, a powtóre, iże mie zarozki chyrtoń boli.

Gustlik Beskuryjo.

Kącik humorystyczny.

Odważny.

— Panie! czy pan odważny?

— Niech pan o tem nie wątpi!

— Tak?... a to doskonale! Idź pan z łaski swojej do mej żony, weś pan od niej klucz od bramy i powiedz pan jej, że ja dziś wrócę później do domu.

— O! niema głupich!

* * *

Także literat.

— Z czego ty się utrzymujesz?

— Ja zarabiam pisaniem.

— Czy pisujesz do gazet, czy może jakieś książki?

— E! nie, tylko pisuję dwa razy miesiącu do mojej ciotki po pieniądze.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott w Katowicach.

Nr. 41. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 12 października 1912.

Rekrut.

Matka płacze i wzdycha, żałosna,
Ojciec chodzi posępny, jak struty —
Biorą synów co roku, co wiosna
W rekruty!
Swieci słonko i ziemia radosna;
A lud cały żałością jak struty...

Pędzą, gnają zdaleka od domu
Chłopców naszych, kwiat naszej młodzieży.
Nie sfolgują — gdy trzeba żołnierzy —
Nikomu!
Ziemia, choćby odłogiem, niech leży,
Pracowników zabrali nam z domu.

Trzeba wojska dla carów, sułtanów,
Dla kaiserów i różnych mocarzy —
Gnają młodzież, jak stado baranów —
Nędzarzy,
Aby dali swe życie dla panów,
Dla bogaczy, dla królów, cesarzy.

Postrach serca im do dna wysuszy,
Będą strzelać, gdy każą do braci.
Służba nawet sumienie zagłuszy,
Zatraci...
Nic żołnierza nie wstrzyma, nie wzruszy,
Strejk potłumi — strzelając do braci!

. . . . . .

Bo do ciebie należy, Młodości,
Zmienić świata obrzydłą ustawę;
Nowe szlaki otworzyć ludzkości
Nie krwawe!
Lecz pod znakiem braterskiej równości
Nową światu obwieścić ustawę.

Dzwoni ludzkich przeznaczeń godzina
Na tajemnym wszechświata zegarze,
Młodzi! niechaj was piętno Kaina
Nie zmaże!
Wspólnym celem jak jedna rodzina
Połączcie się, hej, bracia nędzarze!

Mariel.

Praca organizacyjna.

Organizacja zawodowa ma za zadanie zapewnić robotnikowi wyższą płacę i więcej swobody, ma zdobyć dlań ochronę pracy ubezpieczenie na starość, niezdolność do pracy, ma dać mu wreszcie zapomogi w nieszczęśliwych wypadkach i tp. Jednem słowem ma podnieść stanowisko społeczne robotnika i uprzystępnić mu korzystanie z całej nowoczesnej kultury.

Przez organizację zawodową ma robotnik uzyskać prawo do współdecydowania o warunkach pracy i płacy, z niemego bezwolnego narzędzia ma się stać równouprawionym członkiem społeczeństwa.

Organizacja zawodowa ma podnieść najliczniejszą klasę społeczeństwa, ma ją uświadomić o jej ludzkiej godności otworzyć dla niej wrota do skarpca kultury, który dotąd nawet w najbardziej cywilizowanych, krajach, dostępny był tylko dla nielicznej warstwy wybrańców. Ten pochód mas do wiedzy, to rozpraszanie mroków ciemnoty — to zaiste największy postęp na polu kultury.

Kulturę bowiem tworzy nie jednostka, lecz ogół, praca wszystkich członków społeczeństwa. Wszyscy razem pracują, wszyscy w swoim zakresie przyczyniają się do jej zbudowania, — jedni rzucają idee i plany, inni dają materjał do ich urzeczywistnienia, inni wreszcie dostarczają potrzebnych narzędzi, inni przy tych narzędziach pracują. A korzyść z tak wytworzonej kultury w dzisiejszem społeczeństwie przypada jedynie tym, którzy najmniej do jej wytworzenia się przyczynili, którzy dostarczyli jedynie materjału surowego i narzędzi pracy. Oni są właścicielami wytworzonego produktu dla nich jest wszystko, podczas gdy ci, którzy pracą duchową lub fizyczną tę kulturę naprawdę stworzyli, mają zaledwie tyle, by módz żyć, nędznie się odżywić i nędznie mieszkać.

Jak długo nie było nowoczesnych organizacji zawodowych, robotnik był pozbawionym praw helotą.

W brudnych źle urządzonych, niehygienicznych fabrykach, w których robotnicy, ich żony, a nawet nieletnie dzieci pracowały bez żadnych organiczeń po 12 a nawet więcej godzin na dobę, panowała istnie więzienna dyscyplina. W nędznych wilgotnych mieszkaniach klasa robotnicza źle płatna, ciemna ogłupiana klerykalizmem, pozbawiona wszelkiej moralności, wszelkich wyższych dążności, upadała niżej i niżej.

Ustawodawstwo wobec tych faktów milczało — nie chciano wkroczyć. by położyć tamę temu deptaniu i wyzyskiwaniu ogromnej części społeczeństwa. Dopiero, gdy opór robotników znalazł wyraz w organizacji, sprawa zmieniła się na lepsze.

Organizacja zawodowa, a następnie zawierane przez nią umowy zbiorowe zapewniły robotnikom wogóle wpływ na ustanowienie warunków pracy, a poszczególnemu robotnikowi pewną miarę równouprawienia i swobody.

Ale, co ważniejsze, sam robotnik się zmienił: zaczął inaczej myśleć, inaczej czuć stał się naprawdę człowiekiem, w ręce swe ujął najszczytniejsze ideały ludzkości.

I jakżeż inaczej wygląda dziś w miastach i osadach fabrycznych klasa robotnicza, aniżeli przed 30 lub 40 laty? Młodzież robotnicza kształci się, czyta dobre i odpowiednie książki i pisma, poznaje swe ekonomiczne i społeczne położenie w dzisiejszym ustroju, staje się naprawdę inteligentną częścią społeczeństwa.

Organizacja zawodowa pod tym względem oddała ogólnoludzkiej kulturze nieocenione usługi. Ona to przez odpowiednie kształcenie mas robotniczych, przez dostarczania im bibljotek, pism zawodowych i politycznych, przez

uświadamianie ich, wywarła decydujący wpływ na nie, pchnęła je w kierunku pracy kulturalnej. A przy tem nie można zapominać o niesłychanie kształcącym wpływie, jaki organizacje wywarły na klasę robotniczą, przez zdobywanie udziału w administracji zakładów ubezpieczeniowych w sądach rozjemczych, w zarządach gminnych a wreszcie w ciałach ustawodawczych. Już dziś na tych stanowiskach mamy całą masę robotników, którzy umieli zdobyć sobie potrzebną wiedze, a przez to wpływ, nietylko na swych stanowiskach, lecz również na ogół klasy robotniczej. Zarządzanie ogromnemi organizacjami zawodowemi, prowadzenie ksiąg, wydawanie pism, prowadzenie walk strejkowych i td., to również szkoła w której klasa robotnicza kształci się coraz bardziej.

Organizacja zawodowa w ostatnich dziesiątkach lat dokonała wprost pracy nieocenionej, z ciemnych niewolników zmieniła robotników na świadomych bojowników najszczytniejszych ideałów wszechludzkich. Lecz jakkolwiek dokonana praca jest ogromną i doniosłą w skutkach, to przecież nie możemy powiedzieć, byśmy stanęli już u kresu tej pracy.

Wszędzie, we wszystkich krajach i państwach ogromne masy robotnicze stoją jeszcze poza organizacją i tak jak dawniej żyją w ciemnocie, upodleniu i ucisku. Ogromna większość robotników nie przejrzała jeszcze, nie stanęła we wspólnym szeregu, w pochodzie do zdobycia kultury i tych ciemnych obudzić, pchnąć do nowego życia, natchnąć ideałami, jest naszem najpierwszem zadaniem.

Praca trudna i wielka! Lecz gdy popatrzymy na ogrom pracy, dokonanej w ostatnich latach dwudziestu, to i do tej pracy zabierzemy się z pełną nadzieją, że trud nasz nie pójdzie na marne.

Dwadzieścia lat temu byliśmy słabi i nieliczni i nikt z nas nie spodziewał się, że w tak krótkim czasie staniemy się taką potęgą. W Niemczech było zaledwie 200 tysięcy zorganizowanych, dziś blisko 2 i pół miljona, w Austrji 40 tysięcy, dziś przeszło 400 000 na Węgrzech 2000, dziś przeszło 100 000 tak samo w Szwecji, Norwegji, Danji, we Francji Włoszech itd.

Idea organizacji z nieprzepartą siłą idzie naprzód, zyskując coraz nowych bojowników, trzeba nam tylko pracy, a i te zdala nas stojące rzesze pozyskamy dla swych ideałów, zdobędziemy je dla ogólno-ludzkiej kultury.

Sprawa chełmska.

Tarnogród i Biłgoraj.

Sprawa włączenia osady Tarnogród w gubernji lubelskiej do przyszłej gubernji chełmskiej została — jak donoszą z Petersburga — już zreferewana i odesłana do ministerjum spraw wewnętrznych.

Chemskie bractwo prawosławne wystąpiło z projektem, aby Tarnogród przemianować na miasto powiatowe, zamiast Biłgoraja. Bractwo zaznacza, że w r. 1905 prawie cała ludność prawosławna Biłgoraja przeszła na wyznanie katolickie i obecnie jest to gniazdo katolicyzmu i polonizmu; tymczasem ludność prawosławna Tarnogrodu, wynosząca około 3000 ludzi, i okoliczne osady pozostały przy prawosławiu, które zapuściło tam mocne korzenie i przeniesienie władz powiatowych do Tarnogrodu będzie sprzyjało dalszemu rozwojowi prawosławia.

Charakterystycznym jest, iż ten Tarnogród, rzekomo tak gorliwie prawosławny, został, jak wiadomo, przez Dumę opuszczony w spisie miejscowości, mających być wyrwanemi z terytorjum Królestwa.

Bractwo prosi też, aby dla materjalnego podniesienia Tarnogrodu wybudowano szosę od komory celnej, odległej od osady o 4 wiorsty i szosę do Biłgoraja, długości 18 wiorst.

* * *

Przybomnieć się tu godzi, że w Tarnogrodzie 26 listopada 1715 zawiązana została konfederacja przeciwko Sasom.

August II, ciągle spiskujący przeciwko całości i wolności Rzpltej, po klęsce Karola XII pod Połtawą, zalał całą Polskę wojskami saskiemi, pragnąc niemi poprzeć zamiary swoje oddania Litwy wschodniej Piotrowi W., a Żmudzi i Prus królewskich Fryderykowi, resztę zamyślając zabrać dla siebie, jako król dziedziczny.

Zamiar ten nie doszedł do skutku, wojska jednak saskie dopuszczały się bezkarnie straszliwych gwałtów i nadużyć. Uciemiężona szlachta, przywiedziona do rozpaczy, zaczęła myśleć o ocaleniu i rwała się do broni. W województwach pozawiązywały się konfederacje, poczem postanowiono ogłosić konfederację generalną i w tym celu wyznaczono zjazd do Tarnogrodu w Biłgorajskiem.

Tutaj marszałkiem generalnym okrzyknięto Ledóchowskiego, podkomorzego krzemienieckiego, który rozwinął energiczną akcją i wezwał Litwę do wspólnego działania. Zaczęła się niezwłocznie wojna z Sasami.

Konfederacja tarnogrodzka trwała do t. zw. Sejmu Niemego, który się odbył 31 stycznia i 1 lutego 1717 r.

ŚWIECĄ GWIAZDY...

Świecą gwiazdy, świecą,
Na wysokiem niebie...
Jeno nie myśl, chłopie,
Że to i dla ciebie!...
Ta jasna z tysiąca,
Co wschodzi od boru,
Jako skrawek słońca —
To pana ze dworu.
A niżej ta druga
Ze złota szczerego,
Co nad stawem mruga, —
Proboszcza naszego.
A trzecia, co w pobok
Rzuca snop ognisty,
Jako srebrną kądziel, —
Gwiazda organisty.
Wszystkie przed oczyma
Palą się, jak zorze...
Tylko twojej niema,
Chłopie ty nieboże!
Powiadają ludzie,
Że z dawnej dawności,
Pan Bóg wszystkie gwiazdy
Zapalił w równości.
Ni chłopa, ni pana
Nie było na niebie...
Każdy człek swą własną
Gwiazdę miał dla siebie.
Ale jak się zaczął
Kurczyć lud ubogi,
Poszły gwiazdy z nieba
Na rozstajne drogi...
A te pańskie świecą,
Jako talar biały...
A te chłopskie w rolę,
Jak łzy pospadały!

Marja Konopnicka.

Rozdrobnienie Rosji.

W jednym z ostatnich swych „Listów z Zachodu“, zamieszczanych w „Nowoje Wremia“, p. Kazimierz Waliszewski polemizował z wyrażonymi przez p. Mieńszykowa w tej że gazecie poglądami, że „Rosja powinna się wyrzec takich chorobliwych narośli jak Polska i Armenja“. P. Waliszewski wystąpił natomiast w obronie niepodzielności Ro-

sji, przyczem pragnie, żeby Rosja pod względem swego ustroju wzorowała się na Szwajcarji.

W odpowiedzi na to p. Mieńczykow usiłuje dowieść, że takie „rozdrobnienie„ Rosji nie byłoby wcale korzystne dla Rosjan i przyniosłoby korzyści jedynie „inorodcom". Publicysta rosyjski nie podziela też zdania p. Waliszewskiego o konieczności wojny rosyjsko-niemieckiej i konieczności „obrony drogi do Salonik".

„Wojna w dzisiejszych warunkach (bez floty), — powiada p. Mieńszykow, — miałaby tylko jeden rezultat: zrujnowanie jeżeli nie wszystkich trzech państw, trzymających Polskę w niewoli — to przynajmniej jednego z nich — lepiej nie mówmy — którego. Taka wojna rzeczywiście mogłaby rozdrobnić Rosję na tysiące małych republik (mówiąc ściśle — na 1,170, według skali szwajcarskiej). Jeżeli tak, to, jak mi się zdaje — ideał p. Waliszewskiego nie będzie chyba więcej od mojego odpowiadał „niepodzielności Rosji". Ja myślę, że im prędzej uwolnimy się od nowotworów, nazywających się kresami kulturalnymi, tem bezsporniejszą będzie nasza jednolitość narodowa (a wraz z nią i nasza siła). W rocznicę tej strasznej wojny, kiedy nie mogliśmy obronić drogi z Paryża do Moskwy, — nie bardzo nam wypada bronić drogi z Wiednia do Salonik"...

P. Mieńszykow w dalszym ciągu swegu artykułu energicznie zwalcza poglądy p. Waliszewskiego i twierdzi kategorycznie, że Rosja w żadnym razie nie powinna prowadzić walki z Niemcami.

Prezydent Taft o kooperacji.

W początku roku bieżącego prezydent Stanów Zjednoczonych, Taft, wystosował do Kongresu orędzie w sprawie zebranych przez Urząd centralny materjałów o kooperacji i kosztach utrzymania w różnych krajach europejskich. Materjały te są wynikiem ankiet, przeprowadzonych z polecenia Tafta przez konsulów Stanów Zjednoczonych, i mają służyć do obmyślenia sposobów walki z wzrastającą niepomiernie drożyzną życia.

W orędziu swojem prezydent zaznacza, iż, aczkolwiek istniejące od pół wieku stowarzyszenia współdzielcze nie były dotychczas w stanie usunąć zasadniczej przyczyny dróżyzny produktów spożywczych, ani też powstrzymać zwyżki ich cen, to jednak wpływ kooperacji na polepszenie bytu osób biorących w niej udział jest bardzo pouczający.

Pojawienie się tego orędzia w czasie obecnym ma niezwykle doniosłe znaczenie. W osobie prezydenta rząd Związkowy po raz pierwszy oficjalnie uznaje istnienie ruchu współdzielczego, przyznając mu znaczenie ekonomiczne, tudzież zgodność z istotnemi zasadami demokracji, które dążą do równości dochodów i warunków bytu. Uznanie obecnie tych zasad przez prezydenta, oraz przez obie izby Kongresu jest tem bardziej pocieszające, że stosowane dotychczas zasady przeciwne prowadziły do jaknajgorszych wyników.

Km.

Rozmaitości

Gdzie najwięcej ludzie czytają książek? W prost zda się namiętnością czytania książek opanowani są ludzie w Australji. Niema miasteczka, wsi najdrobniejszej, żeby nie było w niej czytelni. A stołeczne miasta utrzymują na koszt rządu bezpłatne bibljoteki publiczne, którym parlamenty miejscowe uchwalają zasiłki na uzupełnienie zakupu książek. Ogromnie rozpowszechniony jest typ bibljotek wędrujących, rozsyłających książki po prowincji. W najbardziej zapadłe kąty wysyła się komplety 300 tomowe książek najpoczytniejszych, które corocznie wymienia się na nowe. Ludność miejsca korzysta z czytelni przy szkołach. Jest między innemi w Melbourne księgarnia Kolla, podziwu godna. Przewijają się w niej codzień tysiące ludzi. Wszyscy przebierają dowolnie w książkach i czytają na miejscu, co im się podoba. Księgarnia ma obroty tak wielkie, jak żadna inna księgarnia Europy i Ameryki. W Australji więc najwięcej czytają książek.

Byłoby bardzo pożądanem, aby i nasz lud tyle co w Australji książek czytał, gdyż z książek czerpie się oświatę, której nam tak bardzo brak.

* * *

Porwanie hrabianki z domu obłąkanych. Z Paryża donosza: Młoda hrabianka Cohorn pragnęła poślubić swojego szofera i zamieszkała już z nim w pewnym hotelu w Brukseli. Rodzina jej, chcąc temu związkowi przeszkodzić, obstawiła ją detektywami prywatnymi i policją belgijską, która ostatecznie dnia 28 lipca r. b. gwałtem porwała hrabiankę z hotelu i odstawiła ją do prywatnego zakładu dla obłąkanych w Brukseli. Narzeczony jednak znalazł środki i drogi, które pozwoliły mu porozumieć się z hrabianką i dnia 30 z. m. uprowadził ją z zakładu. Hrabianka uciekła wieczorem w koszuli nocnej i pantofelkach. Prawdopodobnie wsiadła do samochodo i w nocy jeszcze przebyła granicę. Wszelkie poszukiwanie jej w Brukseli i okolicy pozostały bez skutku.

* * *

Zmartwychwstały oficer. W urzędowym spisie oficerów, którzy polegli w Trypolisie podczas ostatniej walki o oazę Zanzar, włoskie władze wojskowe podały też porucznika Copellego. W tych dniach jednak rodzice porucznika otrzymali od zabitego rzekomo syna list, w którym Copelli zawiadamia ich, że lekko raniony podczas bitwy, dostał się w ręce Turków i znajduje się w ich obozie. Wiadomość ta wywołała w całych Włoszech wrażenie nadzwyczajne, świadczy bowiem to o niedokładności raportów urzędowych.

* * *

Co to jest rosyjski hakatysta. Chodzący własnemi drogami konserwatywny dziennikarz rosyjski, książe Meszczerski, redaktor i wydawca „Graždanina", tak charakteryzuje współczesnych nacjonalistów czyli hakatystów rosyjskich:

„ Przypuśćmy, że nie mam żadnych przekonań politycznych i jestem sobie zwyczajnym łajdakiem (prochwost), lecz jednocześnie pragnę otrzymać 4 tysiące rubli rocznie jako członek Dumy. Czy pan sądzisz, że to jest trudne? Wcale nie. Ja wprost składam oświadczenie, że jestem nacjonalistą.

Do kadetów nie pójde, gdyż ta partja nieuprawiona, w dodatku partją wymaga od kadeta pracy umysłowej, a u mnie z tem jest źle. Do prawicy też się nie przyłączę, gdyż nacjonaliści są pod protekcją isprawnika i gubernatora, prawicowcy zaś — nie. A skoro jestem nacjonalistą — posiadam wszystkie szanze, żeby mnie wybrano na posła, gdyż ani gubernator, ani isprawnik nie zapytają mnie, czy nie jestem łajdakiem lub durniem.

* * *

Sąd burżuazyjny o centralnych związkach zawodowych. Na łamach monachijskiego czasopisma „März" powiada literat Oton Corbach o centralnych związkach zawodowych co następuje: „Potrzeba znać tylko najgłówniejsze wyniki dzisiejszych badań socjologicznych, aby się dowiedzieć, jak to właśnie centralne związki zawodowe i socjalizm do tego się przyczyniły, że robotnik nie dla poszczególnego kapitalisty ani też dla maszyny, odbierającej mu pracę, ale jedynie dla dzisiejszego kapitalistycznego systemu gospodarczego nieprzyjaźnie jest usposobniony. Robotnicy, wiedząc, że oni będą następcami kapitalizmu, w sabotaż bawić się nie będą, sprzeciwia się to bowiem ich pojęciu, że wszystkie te wspaniałe twory produkcji kapitalistycznej, nadające się do dłuższego użytku, posiędą kiedyś oni lub ich dzieci. Im więcej proletarjat garnął się do szeregów związków zawodowych, im więcej przejmował się ideami socjalizmu, tem mniej uczuwał chęci do niszczenia maszyn i urządzeń fabrycznych, przy których pracować musi dla

kapitału. Sabotaż, uprawiany do dziś we Francji, możliwy jest tylko u robotników, nie przesiąkniętych ideami socjalizmu. Zupełnie to samo powiada o Francji Sombart, twierdząc, że istnieniu sabotażu jedynie winny jest brak ścisłej i silnej francuzkiej organizacji zawodowej. Członek silnego związku zawodowego sabotaż francuzki uważa za głupstwo, bo rozumie dokładnie, że robotnik, używając broni sabotażu, niszczy sam fundament, na którym kiedyś stanąć ma wspaniały gmach lepszej i sprawiedliwszej gospodarki społecznej."

* * *

Król włamywaczy i królewna dolarów. O niezwykłem włamaniu rabunkowem, dokonanem „w wyższym stylu", donoszą z Nowego Jorku. Oto 7 lipca zbiegł z nowojorskiego więzienia znany przestępca-włamywacz Jerzy Witson. Po opuszczeniu celi więziennej udał on się „na kurację" do Atlantic City, miejscowości leczniczo-kąpielowej w Pensylwanji, gdzie zamieszkał w eleganckim hotelu, podając się za syna pewnego znanego miljonera.

Traf zrządził, iż ów „król włamywaczy" amerykańskich w nowej swej roli zapoznał się tu z piękną miss Lilly Price, która odziedziczyła niedawno miljonowy spadek i z jej przyjaciółką. Przed kilku dniami spędził on wieczór w ich lokalu. Przy kawie rozmowa weszła na tory dokonanych ostatnio włamań i oszustw. W trakcie rozmowy miss Lilly oświadczyła, iż najdziwniejszą przygodą, o jakiej tylko pomyśleć można, jest właśnie mieć zajście z włamywaczem.

Niedługo czekała na taką przyjemność. Oto następnej już nocy stanął przed jej łóżeczkiem jakiś zamaskowany mężczyzna i z rewolwerem w ręku zażądał od niej wydania wszystkich posiadanych przy sobie djamentów i pieniędzy. Miss Lilly, nie protestując przeciw żądaniu, w oczach bandyty opuściła łóżeczko i dała mu wszystko, czego od niej żądał. Bandyta był człowiekiem uprzejmym i nie zrobił jej nic złego. Piękna miss zachowała też, według poleceń nocnego gościa, tajemnicę o zajściu do samego rana.

Gdy rano służba hotelowa dowiedziała się o tem, co zaszło, dano natychmiast znać policji. Zjawiła się ona wkrótce w sali restauracyjnej hotelu i poznawszy w osobie jednego z gości znanego włamywacza, natychmiast odstawiła go do więzienia. Był to właśnie ów fałszowany syn miljonera, u którego przy rewizji znaleziono wszystkie klejnoty pięknej miss Lilly.

Z całego zajścia najbardziej ta ostatnia była zadowolona, gdyż i klejnoty powróciły do jej rączek nietknięte i... miała „przyjemne zajście" z bandytą.

* * *

Tragiedja małżeńska policjanta. Z Nicei donoszą do dzienników paryskich: Ajent policyjny nazwiskiem Jacquart zabił swoją żonę i jej kochanka, Celestyna Guillot, szeregowca drugiej baterji artylerji górskiej. Jacquart był z pochodzenia paryżaninem, miał 27 lat dopiero, z żoną swą jednak żył już od pewnego czasu w separacji. Ona mieszkała oddzielnie w małej wili w tak zwanej starej Nicei, gdzie ją odwiedzał kochanek. Jacquart wieczorem wybrał się tam i czatował niedaleko ogrodzenia willi, ukryty w zaroślach.

Gdy około godziny 9 Guillet opuszczał już mieszkanie kochanki, Jacquart wypadł z ukrycia i celnym strzałem z rewolweru położył na miejscu trupem amanta, a następnie żonę, która wyszła odprowadzić kochanka do furtki. Następnie Jacquart sam się oddał w ręce policji.

Dymokrackie medykacje.

Starki i starzyki padali, iże kometa wdycki zapowiado nieszczęście. Kiejby mieli prawie, to już niy wiym, co nom jeszczy trefi, bo już terozki gwioździorze, co ich zowią astronomy, przepowiadają, iże przyndzie hnet nowy kometa, co sie pisze dwanoście set a. A po a przyńdzie b, to i hnet zdzierżyć nie bydzie można od tyj ostudy. Boniy bóło komety, a już momy wszyckiygó za telo.

Na Bałkanie bo sie radują na szarpaczka s Turcyją. Grecjo downiyj miała wdycki plajta, a terazki razm pado, iże mo kapitoł na wojna. Bułgarjo tyż miała mało plajta, ale banki ruskie, chtóre dlo włosnygo kraju nie miały piyniędzy, już ji dospomogły. Tako jeszczy przed zacząłkiem tyj wojny już dwa zwycięstwa są fertyk. Terazki podziwomy sie, co zrobi Oropa z reformami w Macedonji, to możno jeszczy poczkomy do wiosny s tym wzajymnym strzylaniem.

Ale przy tyj wojnie nicht nie zaboczół o drożyźnie, jyno ojcowskie rządy; a kiej ich kieryś spamiynto, to nie robią tyż nic. Bóły rostmaite konferencje, ale te wszyjskie mądre głowiczki, chtóre tam medykowały nad dobrem obywateli, nie urajcowały nic, bo im ani rozumu, ani dobryj woli, ani siły nie stykło. Tako to mocno owada, ta drożyzna. A kiej zocjaldemokraty wyrtemberskie wypominały, iże trza śniyść drożyzna, to im minister wewnętrzny pedzioł, iże granic odemknąć nie lza, bo co je zanknięte, to mo być zawarte, jako napisano jesta. No, dobrze, ale kiejby kiery chyciół za brechsztanga, toby jednako otwarł; jyno iże ministry nie chcą.

Zima idzie, bydzie sie chciało wiynkszy jeść a mieć ciepło, wągle bydzie drogsze, ale poprawy zorobków nie widno, kaj mogą, jeszczy ich urwią. Kiejby my mieli dymokrackie porządki, toby jednako bóło lepszy. To sie widzi tyż w Berlinie, kaj w radzie miejskiyj jest moc dymokratów; to tyż w kasie miejskiyj je wiynkszy jak siydm i pół miljona marek nadwyżki, a klasa przeca jyno wiynkszy jak 100 procent. A haw a indziyj, kaj gospodarują rostmajte panoczki a gieszefciorze, klasa je wiynkszy jak dwa sta albo trzy sta procent, a miasta mają długów wiynkszy, jak cołki regiment gieneralsztabsmajorów. Tako stąd nauka, iże do rady miejskiej trza welować na naszych, coby powiększali majątek miasta a nie wydowali piyniędzy na rostmajte juble hurapatrjotyczne.

Ta dobro gospodarka psują jyno rechtory a lepsze wojoki a inksze patrjoty, co skisz mody a culagów a orderów zakłodają jungdojczlandy a inksze ferajny ku obronie faterlandu. A te szkudy z jungdojczlandu są takie byldowane, a takiygo mają „rycerskiego" ducha, iże krykami biją bezbronnych, a jednymu w Szenebergu aże oko wybili, no i zaś „po rycersku" uciekli. Ale joch downo padoł, iże w ónym jungdojczlandzie bydą mieli szkoła, kaj możno sztudyrować na buksów, chtórym dadzą jeszczy broń do ręki. I te buksy śpiywają: „Ich bin ajn prajse..." — no i mają prawie.

Skisz tegó i porządne burżuje nie przają jungdojczlandowi, a niekierzy cyntrowcy na Zachodzie tyż nie; jyno tu na Śląsku cołki miszmasz dzierży sie kupą ku popiyraniu niymczyzny. Wróciół tyż do nich downy sejmowy posoł polski farorz Kapica; za to Wrocłow zrobiół gó terazki ercprijstrem, to je dziykanem na cołki obwód kościelny mikołowski. No, terazki kozy mikołowskie mogą beczeć z radości a kiej książe-biskup wrocławski bydzie mioł prawo, coby wydować ordery, to tyż bydzie wiedzioł, kómu je dać.

Inkszy order, na chtóry tyż mówią befel, to je rozkoz, dostali rezerwiści s okrętów wojańskich; muszą zaś jechać do linji, bo pono bydzie tam mobil. To pono jednako bydą jyno takie maniebry skisz tyj wojny bałkańskiyj. Bo tam Angljo a Francjo bydą chciały na morzu śródziemnem „pilnować" swoich „interesów", to Niymcy tyż chcą dać pozór, coby inksi jyno mieli brać a óni nic. Ale za telo tyż inkszych wziyni, co muszą iść za rekruta. Tym jyno moga pedzieć, co koleksy w Poznaniu padają jedyn drugiymu: „Sie nie bój! rachuj na mnie!" bo ech wdycki za telo rad dowoł, co mają robić gryfni towarzysze.

A koleksów ze Zobrzo prosza, coby mi dali wiedzynie, jako je tam ta nowo policaj królewsko.

Gustlik Beskuryjo.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott w Katowicach.

Nr. 42. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 19 października 1912.

W katordze carskiej.

Znowu płyną głuche wieści o strasznych zbrodniach katów carskich. Znowu telegraf i poczta roznoszą po świecie przejmujące zgrozą wiadomości o carskich torturach i mordach, o masowych samobójstwach więźniów politycznych...

Już donosiliśmy o wypadkach w więzieniu kutomarskiem. Teraz w dzienniku „Rosskoje Słowo“ znajdujemy następujące szczegóły:

Dnia 14 sierpnia st. st. do więzienia kotumarskiego przyjechał inspektor głównego zarządu więziennego, rzeczywisty radca stanu S. P. Sementowskij.

Obchodząc cele, inspektor zaczął mówić politycznym „ty“ i, nie otrzymując odpowiedzi na swe zapytania, rozgniewał się; kazał tedy wszystkich politycznych zrównać w „prawach“ z kriminalnymi.

W celach pojedynczych więźniowie Moszkin i Michajłów odpowiedzieli inspektorowi:

— Na „ty“ nie odpowiadamy!

Polityczny zaś Bryljon powiadział:

— Niech pan wpierw nauczy się grzeczności, a dopiero potem zapytuje!

Sementowskij kazał ukarać Bryljona i przenieść go do kategorji noszących kajdany. Bryljon na to rozporządzenie w ostrej formie odpowiedział inspektorowi.

Po tym wypadku Sementowskij jednak unikał zwrotów na „ty“, gdy zwracał się do katorżników politycznych.

Po odjeździe Sementowskiego (15-go sierpnia) wszystko szło zwykłym trybem. 17 go zaś wieczorem katorżników wyprowadzono „na powierkę“ pod wzmocnioną strażą. Naczelnik katorgi Gołowkin, zaszedłszy do pierwszego korpusu, gdzie siedzą polityczni, oświadczył, że od 17-go zaczynając, wprowadza dla politycznych takie same wymagania, jak dla kriminalnych; za niewykonanie zaś tych wymagań, groził surową karą, do chłosty włącznie.

Następnie naczelnik poszedł do cel pojedynczych. Otworzono celę, gdzie siedział Bryljon i wydano rozkaz:

— Bryljonie, wychodź!

B. odpowiedział, że się nie ruszy z miejsa. — Wówczas do celi weszli dozorcy i straż. Bryljona wzięto za nogi i wyciągnięto na podwórze. W sąsiednich celach więźniowie zaczęli walić o drzwi i podnieśli straszny hałas.

Bryljona pociągnięto ku kuchni, gdzie niegdyś była stara łaźnia i gdzie się znajduje skład różnych rzeczy. Do tego składu wciągnięto Bryljona, chociaż stawiał opór. tu zaczęto go katować...

Tejże nocy więźniowie polityczni Moszkin i Michajłów zażyli trucizny. Ta jednak była zepsutą. Wywołała to straszliwe męczarnie. Wezwano pomoc lekarską. Moszkin wyzdrowiał, Michajłów zwarjował...

W celach zaś wspólnych zażyli trucizny: Ryszkow, Lejbason, Masłow, Czerengów, Odinców i Kozłow. Trucizna spowodowała straszne męki, lecz nie śmierć. Wówczas trzech — Ryszków, Lejbason Mosłow — otworzyło sobie żyły i umarło. Rozpoczął się strejk głodowy. Na drugi dzień naczelnik się zjawił ze strażą robić rewizję. Odebrano wszystko, co tylko było można. Więzień Puchalski zażył trucizny. Odniesiono go do szpitala. Po drodze zmarł...

Wszystkich czterech rano, przed świtem, odwieziono na cmentarz, do wspólnej mogiły.

Głodówka trwa dalej...

RUDOLF PRESBER.

Wojna przyszłości.

Jadalnia w najmodniejszym z modnych hotelów. Ściany ozdobione herbami egzotycznego mocarstwa. Mnóstwo kwiatów. Ministrowie, konsulowie i lokaje.

Wchodzi panujący, rozmawiając z ministrem wojny, marszałkiem dworu i chłopcem od windy.

Panujący (do chłopca): Tak? Więc ten łotr, jubiler żąda za parę nędznych brylancików aż trzy tysiące talarów? A rachunku mego, który mu wystawiłem za to, że reklamuje jego firmę, nie przyjął?

Chłopiec: Nie, powiada...

Panujący: Nie dbam o to, co on powiada. Czy wciąż jeszcze znajduje się na windzie?

Chłopiec: Tak jest, najjaśniejszy panie.

Panujący: Zawieź go więc na najwyższe piętro i zrzuć na łeb, na szyję w dół... A my, panowie, chodźmy. Co nas czeka?

Minister wojny: Wojna, najaśniejszy panie!

Panujący (kwaśno): Ach, nie do pana mówię... Zwracam się do marszałka dworu.

Marszałek dworu (słodko): Najpierw ostrygi ostendzkie.

Panujący (mlaskając językiem): Wybornie! Wyśmienicie! A dać tam starej dry-madery... Ależ nie, dajcie duży puhar. Pełno, pełno nalać! Prosit!

Wszyscy ministrowie i konsulowie (wstają i kłaniają się: Prosit, najjaśniejszy panie.

Panujący: Madera niezła, tylko te puchary, jak naparstki. (Połyka ostrygę). Więc mówisz, generale, że będziemy mieli wojnę?

Minister wojny: Nieodwołalnie, najjaśniejszy panie. To, czegośmy się najbardziej obawiali, już się stało: Niderlandy wypowiedziały nam wojnę.

Panujący (odważnie): Czegośmy się obawiali?! Czyś zwarjował, generale? My i obawiać się! I to jakieś tam Niderlandy!... Hm, cobyśmy teraz obstalowali?

Minister wojny: Jak najwięcej armat szybkostrzelnych, najjaśniejszy panie.

Panujący: Ach, nie o tem mówię. Pytam marszałka dworu.

Marszałek dworu: Już wnoszą patrycyuszowską zupę augsburgską.

Panujący: Wybornie. Ach, pamiętam: jakiś patrycyusz augsburski w nagrodę za tę zupę otrzymał gród warowny od Karola V, czy XVII, nie wiem z pewnością.

Wiem, że się to działo w Hiszpanji... A co będziemy pili?

Marszałek dworu: Steinberger 1999.

Panujący: — 1999? — dobrze. To w tym roku ścięto pretendenta do tronu, mego rywala? Dobry rok, i dobre winko. Prosit!

Ministrowie: Prosit! najjaśniejszy panie!

Panujący: Kluski w zupie przypomniały mi, że należałoby wzmocnić fortyfikacje nad Orinoko.

Minister wojny: Pieniądze, wyasygnowane na ten cel, znikły.

Panujący (porywczo): Jakto znikły!? Wdrożyć surowe śledz... ach, przepraszam, przypomniałem sobie: w tym czasie, kiedy uchwalono kredyt na te fortyfikacje, wypadły imieniny mojej małej faworyty... Generale wszak prawda, że bosko wyglądała w perłach, jakiemi ją obdarzyłem?

Minister wojny: Będziemy zmuszeni...

Panujący: Telegrafować, aby natychmiast aresztowano tego Bankiera Aronsona, powiedzmy, za zdradę stanu... A co potem?

Minister wojny: Potem pomyślimy o dreadnoughtach.

Panujący: Ależ nie o tem myślę! Zwracam się do marszałka dworu.

Marszałek dworu: Pstrągi w czerwonym winie, najjaśniejszy panie.

Panujący: W czerwonem winie? Wyśmienicie! Generale, pożycz mi na chwilę swej wykałaczki. Dziękuję. Tak, więc armię posuniemy ku granicy. Rozkazać redaktorowi pisma urzędowego, aby mnie porównał do Napoleona, to wpłynie dobrze na ducha armji.

Minister wojny: Czy wydać tym razem ostre naboje?

Panujący: Rozumje się, ostre. Gdy mnie niema w pobliżu, zawsze strzelać ostro. Cóż tam dalej? Aha, czomber z dzika z młodą rzepką. Ach, á propos, rzepa przypomniała mi: należy ściąć głowę redaktorowi liberalnej gazety.

Minister: Czy znów coś przeskrobał?

Panujący: Nie, ale otrzymał znaczny spadek. Musimy skonfiskować jego dobra i zapłacić wyższym oficerom pensję za zaprzeszły miesiąc. Komu nie starczy pieniędzy, tego obdarzyć orderem. Przy tej sposobności, ściągnie się jakaś kwota za taksy. Co teraz pijemy?

Marszałek dworu: St. Julien, grand cru.

Panujący: Dobrze, dać mi największy, jaki się znajdzie, puhar. Najlepiej półlitrówkę, z piwa. Tak. I moim ministrom też. Aha, konsulowie obcych mocarstw otrzymają ordery; za to muszą wystąpić z prezentami w dniu moich urodzin, który naznaczam tym razem na jutro. Prosit!

Konsulowie: Prosit, prosit, najaśniejszy panie!

Marszałek dworu: Pasztet strasburgski.

Panujący: A, Strasburg? Wiem, to włoska forteca. Dobrze, żem sobie przypomniał: musimy przebudować fortecę w Pumpr.

Minister wojny: Najjaśniejszy panie, czy zapomniałeś, że tam urządziłeś rezydencję dla baletnicy hiszpańskiej. Ze względu na widok na morze...

Panujący: Tak, tak. I wogóle słyszeć nie chcę o fortecach: darmo się tylko pieniądze wyrzuca. Od czegóż żołnierze? Wydam wrogom walną bitwę w otwartem polu. Każcie tam zredagować manifest, że mam zamiar wygrać w otwartem polu nową bitwę Salomońską.

Minister wojny: Chyba Salamińską, a nie Salomońską. Pozwolę sobie jednak, najjaśniejszy panie, zwrócić uwagę, iż bitwa Salamińska rozegrała się na morzu, a nie w otwartem polu.

Panujący: Ministrze, jesteś nieukiem. Jest tak, jak mówię... A, Heidsek? Dobra marka. Zanieście mi jeszcze parę butelek do sypialni. Na noc. Co? Ach, prosit!

Konsulowie: Prosit, najjaśniejszy panie!

Panujący: Tak, tak, wydam walną bitwę. Zaraz naszkicuję jej plan. A to co? Indyk fuszerowany? Ślicznie! A więc słuchajcie: tu, gdzie widzimy tę plamę od sosu, tu wyobraźmy sobie armię niderlandzką. Zapisz sobie sytuację, generale. Tu zaś, gdzie wypluńałem tę kostkę, znajdują się moje skoncentrowane siły. Dalej, gdzie ta rozgnieciona truskawka — gęsty las. Wypuszczam jazdę... A to co?

Marszałek dworu: Karczochy, nadziewane truflami.

Panujący: Wyśmienite! O, ta wojna da się we znaki moim poddanym! Ministrze, zanotuj: nowe podatki na zboże, ryż i kukurydzę... Karczochy pyszne! Najstosowniejszym teraz będzie tokaj... Teraz należy opracować system opodatkowanie wodociągów i studzien. Co za głupi nałóg to żłopania wody. Prosit!... Co?... Czemu nikt nie odpowiada? Hej, jest tam kto? Gdzie ministrowie i konsulowie?

Marszałek dworu: Leżą pod stołem najjaśniejszy panie.

Panujący: Opoje! Bydlaki! Generale, telegrafuj, aby mnie nazwano współczesnym Aleksandrem Macedońskim! Lody owocowe? Dobrze, podać Sherry! A potem mocca i Grand Marnier! Marszałku, wywlec honsulów! A najpierw przetrząsnąć im kieszenie. Kosztowności dla mnie!

Marszałek: Słucham, najjaśniejszy panie!

Panujący: Generale, telegrafuj mój plan wojenny do sztabu. Ogłosić stan wojenny! To najlepsza forma rządu. Na szubienicę z każdym, ktoby ośmielił się krytykować moje rozkazy.

Minister wojny: Nawet, jeżeli nim będzie głównodowodzący?

Panujący: No, w takim razie!... A propos, generale, każ mi przygotować lożę na „Cnotliwą Zuzannę". Dziękuję panu. Obiad dyplomatyczny, brzemienny w skutki, skończony!...

ST. PŁONKA.

Woźnica.

Na obszernem podwórzu właściciela wozów ciemna leży noc. Zimny wiatr drze i prze się o zabudowania, bo to jedna z nocy lutego. A z wiatrem siecze na pół śnieżny deszcz. Gdy się na chwilę uspokoi, latarnia przy murze z ulicy rozbłyska jaśniejszem światłem. I wtedy wyłania się z ciemności dom właściciela, otoczony gołemi ramionami wysokich topól. Opodal domu, na oślizgłym bruku, jak na niezliczonych skorupach ślimaczych, stoją mocno zbudowane wozy. Brumoki te, na grubych, zbłoconych kołach, mają dyszle naprzód wyciągnięte, z żelaznym na końcu kłem, każdy w inną trochę stronę. Pod ścianą wysokiej kamienicy graniczącej z podwórzem, leży wdłuż do muru przyparta stajnia. Wrota aż trzy są w niej zamknięte, a pomiędzy każdemi połyskują szybki zamkniętych okień. W jednem pali sie żółte światełko.

Gdy silniejszy podmuch wiatru z świstem i sykiem znowu wpadnie z poza rogu kamienicy, latarnia ślepnie, na całem podwórzu robi się ciemniej i ostra ciepie mokrzyzna.

Wrota szarpią się i pukają, po wozach trzeszczy i skrzypi. Czasami wiecheć słomy wyrywa się z okna na strychu, i pędzi przez mur na ulicę. W rynnie tłucze się deszcz o bezdźwięczną blachę i z szmerem ścieka w rynsztok. Gdzieś pod szopą połyka go gulik kanału.

A na niebie ciemne kłęby chmur pędzą zda się, coraz niżej. Jedna dogania drugą, jedna drugą pochłania. To znów silniejszym wiatrem szarpnięte ciągną dalej.

I z niemi przechodzi noc. Czasem słychać jeszcze skądś płakanie dziecka. Czasem gdzieś w oddali zawarczą koła dorożki i płynie urwany, ochrypły śpiew. To znowu z bardzo daleka przeszyje ciszę nocy wyjący gwizd lokomotywy.

Na mieście zegary wybiły godzinę trzecią. Równocześnie w stajni rozległ się trajkot dzwonka. Po chwili furman, mający dyżur, podniósł się z swego łóżka, przymocowanego pod oknem przy murze. Oparł się na łokciu, drapiąc zawzięcie głowę, i grubym palcem jął orać mocno w oczach, bo mu się kleiły jeszcze. Poczem spojrzał naprzeciw na swoją parę koni. Przy mdłem świetle latarni, kościste zady uwydatniały się jeszcze bardziej. Fur-

man zaczął przyrównywnać swą parę do innych. W sześciu przedziałach każda odzieloną była płotem, a każdy koń drągiem wyszącym u stropu. Nie było wielkiej różnicy co do tęgości koni. Wszystkie zady wystawały jak zwichnięte. Jednak widziało się furmanowi, że jego para jest najlichsza. Już dla tego samego, że nie dobrana. Gniady był wysoki i długi, przytem dziki, bo młody, a siwa średniego gatunku, stara i nędzna. Gniady skubał siano z za drabki, a siwa stała z łbem spuszczonym w bok, na przednich gierach jakby złamana. Wszystkie inne szkapy miały karki uniesione, albo w żbobie i żarły.

Twoje najgorsze — pomyślał furman. — Rataja, dziad stary, niech się utyro z babusią. Popatrzał na nią i westchnął: żeby to raz zdechła. Podrapał się po czuprynie i po skrzyni zlazł z łóżka na dół. Otworzywszy skrzynię, nabrał opołką obroku; naraz się namyślił. Wysypał obrok, zdjął ze ściany latarnię i zaczął szukać czegoś w starym kożuchu, leżącym na łóżku. Znalazł — wydobył wytrych i poszedł bosakiem na strych. Tu stanął przed ścianą z surowych desek i wsunął wytrych do zamku. Źle szło mu jakoś jedną ręką, więc postawił latarnię na podłogę, przyparł drzwi kolanem i oboma rękami zaczął ważyć, szukać, podnosić, kręcić. To wsuwał wytrych głębiej, to do siebie, aż zachwycił. Ostróżnie zaczął teraz kręcić w lewo. W zamku trzasło. Przestraszył się. Drzwi były otwarte. Chwilę stał jeszcze i nasłuchiwał. Ale deszcz tylko sypał się po dachu i wrota pukały o mur wiatrem targane. Wszedł więc do śpichlerza i nabrał pełną opołkę owsa. Poczem zabrał się znowu do zamknięcia. Trwało to dłużej prawie, niż przedtem, ale zamknął. Zeszedł z powrotem do stajni i nasypał siwej do żłoba. Umięszany z wodą owies, siwa jakoś zaczęła żreć. Popatrzał na nią chwilę, a potem dopiero szedł od skrzyni do skrzyni i sypał innym. Obszedłszy wszystkie, wdrapał się znowu na łóżko. Na budziku dochodziła czwarta. Wnet oczy poczęły mu się ściągać. Ostra jak salmiak parność z łajna i ścieków, z mdłą słodkością gnijącej słomy szybko nużyła. Furmanowi poczęły się plątać w głowie dawne czasy. Jakto przed dziesięciu laty dostał siwą z rąk samego pana. Od powozu przeszła w jego ręce. — Ratajczak wam daje, umiecie się z bydłem obchodzić. — Obrok wtedy jeszcze był na pół z owsem. Roboty dość. Dopiero po ślubie starszej córki wszystko się zmieniło. A już kiedy trzecia wyszła za mąż, nastało psie gospodarstwo. Sieczką samą chcieli paść. Z latami coraz gorzej się robiło. Coraz gorzej — Furman przetarł oczy. Żarła siwa. Nie da się Rataja jeszcze tym razem młodym gzubom. Niedoczekanie wasze! Choć z półtorym koniem wyjadę. Pokażę tm, co dziad może! Jakby przekonany o swojej sile i jakby wzmocniony ze spokojem zagrzebał głowę w posłaniu. Pomimo, ze słyszał, jak szczur gryzł skrzynie u dołu, zasnął.

O piątej rano powstał ruch w stajni. Furmani zeszli się. Jedni sypali jeszcze koniom obroku, drudzy, wziąwszy na łopatę smarowidła, wyszli na podwórze smarować osie. Ratajczak siedział przy swojej skrzyni, na której grzała się kawa na spirytusowej maszynie i zajadał chleb. Jadł niby spokojnie. Od czasu do czasu spoglądał z podełba na swego młodego sąsiada, który zakładał do biczyska nowy rzemień.

Kiedy zbliżyła się szósta godzina, zaczęli kiełznać. Niektórzy raptownie zabierali się do tego. Brali węborki, deski do siedzenia, baty i jakby nieznacznie chwytali konie za uzdy i po chwili już wyjeżdżali. Ratajczak mruczał ze złością: Nie mogą się doczkać chamy! Niebawem wziął także swoje siedzenie i oprócz tej jeszcze jedną deskę i zaprzągł.

Nie długo, a wyjechali wszyscy. Niejeden żegnał się w bramie, inny kapelusz naciskał na uszy, bo z ulicy wiało zawsze.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Rozmaitości

Obiad do góry nogami. Wśród różnych dziwactw, w jakich lubują się amerykańscy miljarderzy, wyprawiają różne ekscentryczne zabawy, wyróżnił się ostatnio obiad wydany przez panią Bernheimer, żonę jednego z bogaczów nowojorskich. Biesiadnikom, zaproszonym na ucztę w liczbie 28 osób podano wszystko w odwrotnym porządku. Obiad zaczął się od czarnej kawy, po niej pojawiły się biszkopty i sery, a całe wykwintne „menu“ zakończone zostało zupą i ostryg. Goście siedzieli na stole, jedni na krzesłach, a jedynem ustępstwem dla ich wygody było upiłowanie nóg stołu w ten sposób, że nawet osoby małego wzrostu mogły stopami sięgnąć do posadzki, u krzeseł nie podwyższono nóg.

Jedni mrzą zgłodu a drudzy stawają z rozpusty i zbytku na głowach.

Taki to porządek tego świata.

* * *

Mała bohaterka. Siedmioletnia dziewczynka ocaliła dwóch robotników od okropnej śmierci, a co szczególniejsze, wykazała przytem taką przytomność, umysłu i roztropność, jakiemi nie wielu ludzi dorosłych pochwalićby się mogło.

Działo się to niedawno w koloniach francuskich w Afryce. Robotnicy kopali śluzę przy kanale, obsługującym młyn we wsi Ain-Zefra. Nagle ziemia się oberwała i zasypała dwóch ropotników, Hiszpana i krajowca, w taki sposób, że głowy ich znajdowały się na poziomie wody, która, zapełniając rów, zaczęła je zalewać. Nieszczęśliwym groziła śmierć okropna, gdyż całe korpusy przywalone mieli ziemią, a krzyków nie mogli usłyszeć inni robotnicy, znajdujący się dość daleko.

Przypadkowo przechodził tamtędy zarządzający szpitalem p. Fournier z siedmioletnią córeczką Rozettą. Spostrzegłszy wypadek, p. Fournier, nie mogąc się zdobyć na inny środek ratunku, zostawił córeczkę na miejscu, a sam pobiegł po pomoc. Tymczasem dziewczynka w lot zrozumiała położenie i poczęła rączkami, jaknajszybciej i ile sił jej starczyło, rozkopywać wał ziemny, aby dać ujście wodzie. Po chwili woda, która już zalewała głowy nieszczęśliwych, poczęła odpływać, a wreszcie nadbiegła pomoc i robotnicy zostali ocaleni. Gdyby nie przytomność dziewczynki, wszelki ratunek byłby już daremny.

Siedmioletnia bohaterka otrzymać ma medal za ratowanie ginących.

* * *

Ślub z przeszkodami. W Słowie Polskiem znajdujemy następujący zabawny opis mniej zapawnego zdarzenia: Działo się to we Lwowie w kościele OO. Bernardynów. Do kościoła przybyli pragnący związać się dozgonnym węzłem „pan młody“ i „panna młoda“ w towarzystwie ojców, drużbów itd. jak to zwykle bywa. Wtem pobladł pan młody. Przed tem, co ujrzał, mogło zadrżeć trwożnie najmężniejsze męskie serce.

Oto stanęły przed nim ucieleśnione nawet zgoła cielesne widma pięknej przeszłości — 3 (słowami trzy) były „narzeczone“ oblubieńca, a jedna z nich puściła w ruch języczek obrotny i równie obrotną parasolkę. Stało się zamieszanie wielkie.

Była „narzeczona“ obiła pana młodego, pannę młodą, następnie w zapale nawet, sukursujące ją pozostałe dwie byłe „narzeczone“, poczem, stanąwszy obok oblubieńca, oświadczyła kategorycznie: „A teraz ja biorę z tobą ślub!“

Ponieważ jednak formuła „biorę sobie ciebie“ musi być przez obie strony wypowiedziana z wolnej a nieprzymuszonej woli, ponieważ dalej równem prawem i dwie inne byłe narzeezone, nie mówiąc już o oblubienicy mogły powiedzieć: „a teraz ja“... a wielożeństwo jest wykluczone nawet w tak skomplikowanyęh wypadkach, poradzono to-

warzystwu, aby zabrało się do domu i przybyło do kościoła dopiero po pokojowem załatwieniu sprawy i ostatecznym wyborze.

Dymokrackie medykacje.

Pieruchy, ale sie tyż kurzy ze wszyjskich stron, kiejby samuśkie hołdy szlaki nafolowali po całkim świecie. Ale te hołdy nie chłódną, bo są niekierzy, chtóry jeszczy wągle na nie ciskają. No, to może być roz ciepło na zima.

Wojny, rewolucje, drożyzna a wszelakie niezadowolynie fedrują sie na wierch, a zapleśniały stary prządek — pono boski, bo tak padają jego podpory — mo na to jyno proch a dynamit, coby sie jeszczy większy kurzyło a polóło, a całkie bibljoteki sztrafparagrafów tyż. Staro Ojropa doszła do nojwyższego szczytu małpowanio starych polityków, ale nie tych nojlepszych, jyno prawie tych nojgorszych, no i terazki nie może ani rusz dalsze; a całki Nowy Swiat tyż strzód swoich wszyjskich gieszeftów nie mo czasu na poprawa. Tako tyż wszyjskie narody żyją w ucisku, a kiej im tyn już za telo dopolo, to im rządy a inksi padają, iże inksze narody trza winować o to; robi sie taki sztuczny patrjotyzm, no i kużden patrzy, coby na inkszych sie zemścić, płaci klasa na wszyjskie noczynie mordercze, sprawiedliwość dlo uciskanych idzie do lasa, jyno zemsta panuje, a przy niej kużden patrzy, coby mog cosik zarobić. To je dzisiejszo chrześcijańsko miłość bliźniygo; ale chtó prawi inakszy, tyn je pono bezbożnikiem, rewolucjonistą, a pono i faterlanclozer gezelle.

Jużech padoł. iże pono Italjo chciała mieć lepszy pokój z Turcją, to poszczuła na nią Czornogóra; Rusyjo tyż raczy, coby inksi za nią pracowali, to tyż na Bałkanie zakłodo strzały dynamitowe, coby możno wdycki jyno zapolić. Inksi padają tak o Francji a Anglji, chtóre niby chciały cysaroków odciągnąć od pomocy dlo Niymiec. No, chto winien, to winien, ale zrobiła sie wojna na Bałkanie i już. Tako se mało Czarnogóra chyciła sie z Turcją za łeb, no i już sie mają. Na serbów już turki nie czkali, jyno im sami wleźli do chaupy i tak jyno doczkać, kiej Bułgarjo a Grecjo tyż pójdą porząd, a bydzie se wojna, jak sie patrzy.

Terazki, bo ta wojna jeszczy nie cołko, skisz tegó, iże Bułgarjo a Grecjo jeszczy targują sie o reformy w Macedonji a inkszych prowincjach tureckich. Mają prawie, iże reform tam trza, ale iże kontrola tych reform oddają Ojropie, na to możno sie jyno śmioć. Ta starka, Ojropa, a reformy! Sama ich niemo dlo swoich ludów, ale mo być wachtyrzem reform dlo inkszych ludów! Tako jo bych jyno głosowoł za tym, coby już te norody bałkańskie same se dały pozór na te reformy, a kiej już mo być wojna, to niech je przeprowadzą z bronią w gorści, ale tyj starki niemocnyj niech nie proszą o opieka, bo do im jyno swoje snoszone kiecki, postrzelone przez moty, pokidane krwią bezbronnych, no, i bydzie jeszczy miała swoje prawa historyczne a inksze nieznane do tego, coby se jeszczy dać te stare klamory dobrze zapłacić klasą albo szmatami ziymi.

Prusy widzą, iże inksi szykują sie, coby wywłoszczać Bałkan, to im zowiszczą, bo same Prusy tam nic pono nie grajfną. Tako spamiyntali sie na swoja ustawa o wywłoszczyniu, no i terazki już wywłoszczają 1700 hektarów ziymi polskiyj. Pisma narodowe polskie piszą, iże terazki ugodowcy tyż sie otmiyuią, kiej bydą widzieli, iże ugoda im na psa. Ale jo padom, iże ugodowcy wdycki ślepi, a kiej posłusznymu psu chce sie nabić kryką, to sie jeszczy położy na zawołanie, skomli tako psia krew, ale jeszczy poliże łapa, co gó biła. Tako i s ugodowcami. A inksi co pedzą? Zapłacą kary za rostmajte artykuły, Polska bydzie bojkotować przez jedyn miesiąc prusoków, a na drugi zamówi trzy razy telo towaru, no, i bydzie protest, żal „zapisze sie głęboko w duszy polskiyj", coby gó po wiyrchu nie bóło widno, i telo. Miasto, coby iść społem s partją socjaldymokracką, chtóro bróni uciśnionych, to polskie burżuje furt bydą popierały „ład i porządek" wszędy. No, ale chtó inakszy nie chce, tymu i nie krzywda.

Werkferajny kręcijańskie uznały, iże drożyzna je isto, to sie tyż po rostmajtych miyńscach, a w Katowicach tyż, nagodali, iże zorobki są marne a panoczki powinni je podwyższyć. Na tako uchwała pono jyno panoczki czkali, bo inakszy, toby możno i nic nie bóło. Ale i tak jakosik nic nie widno poprawy. Ale bo tyż, kiej werkferajny jeszczy napiszą do kapitalistów, coby poprawili zorobków, to bydą mieli taką odpowiydź: „Moi mili! Tyn cysorz a król, co mu wdycki kożecie żyć na swoich zebraniach, borok mo za telo inkszyj roboty, s polowaniami a flotą a paradami a wywłoszczyniem a z nową ustawą parcelacyjną, iże hnet zaboczół o swoim słowie, iże bydzie reforma wyborczo; a wy chcecie, coby jeszczy mioł wiynkszy roboty? Nie szterujcie go, coby jeszczy doł takie prawa dobre dlo robotników. A my bez tych praw wom poprawić nie mogymy, bo to bółoby przeciw prawu. Wdycki padocie, iże jesteście chrześcijany, to tyż miłujcie nos kiej siebie samych a nie chciyjcie wiynkszy piyniędzy. A jeszczy we strejk w Nadrenji pracowaliście, coby pomnażać majątek norodowy niymiecki. Tako i terazki pracujcie, bo kiej nasz majątek bydzie wiynkszy, to kochany faterland pruski bydzie mioł kelo czeskich klasy, a my wom sie tyż obstaromy o piykne błogosławiyństwo z Rzymu. Amen."

Gustlik Beskuryjo.

Kącik humorystyczny.

Przy wywoływaniu duchów.

Wdowa (do wywołanego ducha swego zmarłego męża):

— Julciu, czy ty jesteś?

— Tak jest, ja jestem tu.

— Czy jesteś tam szczęśliwy?

— Bardzo nawet!

— Czy szczęśliwszy, aniżeli wówczas, gdy byłeś przy mnie jeszcze?

— O wiele, o wiele szczęśliwszy!

— A gdzie jesteś?

— W piekle!

* * *

Pytanie bez końca.

X.: Jak się mówi „Ich weiss nicht" po polsku? Wiesz?

Y.: Wiem.

X.: No, powiedz.

Y.: Ja nie wiem.

X.: Jakto nie wiesz. Mówiłeś, że wiesz.

Y.: Owszem, wiem.

X.: No, więc jak?

Y.: Ja nie wiem.

i t. d. i t. d.

* * *

Tylko duch...

„Karlik" wracał często do domu w stanie podochoconym z piwiarni i wszelkie kazania rozgniewanej żony nie skutkowały. Postanowiła więc chwycić się radykalnego środka, aby go poprawić. Gdy mąż znowu wrócił o późnej godzinie, wyszła z pod łóżka owinięta w prześcieradło (płachtę) i stanęła przed nim.

— Kto-o-o je-s-teś? — wyjąkał wystraszony „Karlik".

— Jestem duchem... Ty pijaku... — zaczął duch głosem grobowym.

— Chwała Bogu! — odetchnął ku jej zdumieniu niepoprawny mąż. — Już myślałem, że to moja stara.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott w Katowicach.

Nr. 43. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 26 października 1912.

Nędza w Japonji.

Tyle się mówi i pisze o postępie Japonji, który osiągnął ten kraj, ta „Anglja wschodu“ w ostatnich czasach. Zapomina się przytem często, na jakich podstawach ekonomicznych spoczywa ten postęp, jaka nędza jest fundamentem tego postępu. Ciekawe cyfry w tej sprawie przytacza F. Kummer w „Neue Zeit“.

Od czasu tego politycznego i ekonomicznego przewrotu, który byłych panów feudalnych przemienił w kapitalistów i wyższych urzędników, zaś pańszczyźnianych chłopów w głodnych niewolników fabrycznych, szalenie wzrósł ucisk podatkowy. W ostatnim okresie czasów feudalnych płacił lud rocznie 22 mil. koku ryżu (1 koku = 1·7 hektolitra), obecnie roczny ciężar podatkowy wynosi 641 mil. marek. Innemi słowy podatki na głowę i rok wzrosły z 7·3 marki na 12·4 m. Oczywiście, że ciężar podatków większy jest obecnie także z tego względu, że podatki ma się płacić gotówką.

Największego jednak postępu dokonała Japonja w zakresie długów państwowych. Już przy końcu wojny rosyjsko japońskiej dług Japonji wynosił 3 700 mil. marek, czyli 73 m. na głowę. Przed końcem roku 1611 wzrósł ten dług o dalsze 1 600 mil., czyli doszedł do 5300 mil. (79 marek na mieszkańca). Procenty i wogóle wydatki nieprodukcyjne pochłaniają ogromną część budżetu. Z wydatków np. r. 1911 z 1096 mil. marek na spłacenie długów i t. p. przypadło 339, na militaryzm 336 miljonów.

Chwilami wydawało się, że Japonja stoi przed bankructwem. Rozumieli to dobrze różni kierownicy rządu japońskiego i zapowiadali — Katsura, Saionji — politykę oszczędności. Zmniejszono wydatki na budowę kolei, na wystawę. Dług jednak rośnie, a moloch militaryzmu — chociażby ze względu na politykę w Chinach — domaga się dalszych ofiar...

Do trudności finansowych przyłącza się także ten wielki kłopot, handel Japonji wykazuje bilans smutny. Przeciętnie (w ostatnich latach) import przewyższał eksport o 105·6 mil. marek. Niema nadziei na razie na zmianę tych stosunków, zwłaszcza, że wielki rynek dla Japonji, Chiny, wciąż nie są spokojne.

Oczywiście, Japonja mogłaby ratować się przez opodatkowanie klas wyższych. Wątpliwa jednak rzecz, by kasta rządząca zechciała wkroczyć na tę drogę. Dalsze zaś opodatkowanie ludu grozi poprostu rewoltą. Możnaby może robić jakie oszczędności na niższych urzędnikach, znosząc różne synekury itd. Lecz rząd boi się siać niezadowolenie w tych sferach.

Tymczasem rośnie inteligencki proletarjat. Reorganizacja państwa, rozwój przemysłu spowodowały rozwój wyższych uczelni. Te ostatnie dostarczają dziś więcej kandydatów, niż trzeba. W roku 1908 liczba urzędników wynosiła 900 tysięcy. Rocznie umiera lub idzie na emeryturę 45 tysięcy. Z wyższych szkół wychodzi rocznie 62 tysiące.

A więc 17 tysięcy osób nie znajduje sobie miejsca, proletaryzuje się. Ma to duże znaczenie ze względu na ruch robotniczy, który potrzebuje kierowników i ideologów.

Przemysł japoński w ostatnich czasach znacznie się rozwinął — jednak znowu nie w takim stopniu, jak powszechnie się utrzymuje. Liczba fabryk wzrosła od r. 1899 do 1909 z 6699 na 15 246, czyli o 230 %; liczba robotników fabrycznych z 423 000 na 692 000. Zwraca uwagę kolosalna liczba pracujących kobiet i dzieci. Kobiet w roku 1909 było 451 000 z 692 000 ogółu fabrycznego proletarjatu. Kobiety stanowią 65·2 % proletarjatu; w przemyśle włóknistym nawet 85 %. Z ogólnej liczby dzieci pracujących poniżej lat 14 — 77% stanowiły dziewczynki. W fabrykach zapałek, szklanych hutach, tkalniach, przędzialniach pracuje mnóstwo dzieci poniżej lat 10. Przyczyną tego, jak zobaczymy zaraz, w głównej mierze jest niska płaca robotnicza. Powtarzamy jeszcze — nie należy przesadzać w ocenie rozwoju japońskiego przemysłu. Główna masa siły motorowej przypada li tylko na kilkanaście fabryk.

Należy uwzględnić, że przy powyższych obliczeniach nie wzięliśmy pod uwagę górnictwa, oraz przedsiębiorstw państwowych. Oprócz powyżej podanych 692 000 mamy w Japonji 235 tysięcy górników i 129 tysięcy robotników przedsiębiorstw państwowych.

Co do zarobków robotniczych, to nawet tam, gdzie te zarobki poszły w górę, robotniczy zawdzięczają to bynajmniej nie swemu działaniu solidarnemu. Naogół jednak płaca realna spadła. Należy zważyć, że zdanie, jakoby w Japonji nie było drożyzny jest bajką.

Płaca robocza jest minimalną. Np. drukarze otrzymują 0,98 marki, tkacze 0,88 m., krawcy 1,5 m. itd. Kobiety otrzymują znacznie mniej np. w przemyśle tkackim 0,52 marek.

Praca wynosi zazwyczaj godzin 12, lecz nieraz więcej 14, 15. Górnicy pracują krócieł i otrzymują trochę więcej do 1 — 3 marki dziennie.

Życie robotnika japońskiego jest nad wyraz marne. Żywi się ryżem, kleikiem jęczmiennym; czasami dodaje trochę ryby lub jarzyny.

W razie choroby robotnik nie ma pomocy żadnej. Kasy chorych istnieją tylko w niektórych wielkich przedsiębiorstwach, zwłaszcza państwowych. W razie bezrobocia — pomocy żadnej, ustaw socjalnych de facto nie ma żadnych.

Oczywiście dla żonatego płaca nie wystarcza. Żona i dzieci muszą pracować. Tem się tłomaczy taki olbrzymi procent pracujących kobiet. Istotnie, robotnik (najbardziej ukwalifikowany), który zarabia 1 ½ marki dziennie, nie jest w stanie oczywiście utrzymać rodziny. Miesięczny budżet rodziny (w której pracują mąż i żona) robotniczej wynosi w Japonji (gdzie niedziel niema i w miesiącu bywa tylko 2 dni bez pracy) 60 marek. Mieszkania nędzne, małe z cienkich desek zbudowane.

Tak żyje proletarjat japoński. Niezawodnie — wbrew wszystkim prześladowaniom — ruch socjalistyczny w Japonji ma wszelkie widoki szybkiego rozwoju.

ST. PŁONKA.

Woźnica.

(Dokończenie).

Minęli miasto na pół oświetlone i wyjechali na gościniec wiodący do wsi. Po drodze wymijał jeden drugiego i tak się uszykowało, że Ratajczak został na końcu. Minęli lasek stojący na wzgórku, cmentarz pozamiastowy, cegielnię, aż po godzinie przyjechali do większej wsi. Psy już cheł naprzód szczekały najrozmaitszemi głosami. Minęli zabudowania i skręcili na drogę wiodącą na chuby wsiowe.

Tam położony był kawał gruntu, własność posiadacza wozów, pełen dołów, koło których leżało mnóstwo kamieni. Woźnicy poczęli jechać ostrożnie, najrozmaitszemi skrętami, aż dotarli do rozległego dołu wybranego w wielkim półkolu. Zjeżdżało się do niego wolno płaszczyzną, która spadała pod ścianę dołu na półtora chłopa wysoką. Z dołu tego wywożono żwir, którym w lecie wysypywano w mieście aleje plantacji.

Każdy z woźniców starał się jak najlepiej zajechać, gdyż po nocnym deszczu ziemia odtajała cokolwiek, przezco trudniej było dla koni wyciągnąć!

Ratajczak, jadąc na ostatku, zajechał nie najlepiej. Wiedział o tem i zawczasu podłożył deskę, pod przednie koło, by módz ruszyć z miejsca. Także spiął mocno łańcuchem wóz na środku, drąg o niego zakręcił, że pudło stało się węższe w środku niż u końców.

— Pękną te skrzypce — zakpił któryś z furmanów.

Jakoś pierwsi już nałożyli. Uklepali na wozie żwir, łopatę zatknęli. Stanęło ich do odjazdu gotowych trzech równocześnie. Wiedział bowiem każdy, że jak jeden za drugim pojedzie, konie ciągnąć będą łatwiej i nie popuszczą.

Rozległ się cięty, ostry świst batów, zagłuszony wyciem: wio! Z każdą chwilą stawał się silniejszy, prędszy, zapamiętalszy. Koła zatrzeszczały, zaklekotały w piastach. Wóz się zachybotał, i wlókł się leniwie. Zady końskie tężniały, rozsadzały się, trzęsły i niby pnie z odnogami jakby się chciały z kadłuba końskiego wyrwać.

Z naprzód wyciągniętą głową szarpał woźnica rękami, ryczał przytem tak zawzięcie, że do człowieka prawie nie był podobny.

Przecież trzy pierwsze wozy wyjechały i stanęły na wierzchu. Z daleka widniały ich rude grzebiety, jak wieka trumień. Dwa następne wyszarpały się w ten sam sposób. Został się sam Ratajczak. Ciekawość brała będących na wierzchu, jak się też wydobędzie. Oparli się o wozy i czekali.

Zobaczymy — zaczął pierwszy — co Rataja pocznie. Dziod psiakrew! pysk mo wielki, innym kraść umie obrok z skrzyni. Niech teroz rwie. Drudzy przywtórzyli i każdy jeszcze w swój sposób wymyślał.

Ale jakoś nie mogli się doczekać!

Może mu pomódz — rzucił któryś.

— Dołożyć owszem, ale nie nakłaść — odezwał się znowu pierwszy. I zaraz krzyknął:

Jak tam Ratajczok! dołożyć wam, czy sami wyjedziecie?

Ratajczak nic nie odpowiedział.

— No, jak? mówcie! pójdzie z tą babusią? Ratajczak miał chęć zakląć, ale się hamował. Dość obojętnie rzekł: Pójdzie, pójdzie, patrzcie tylko siebie. To nie — odruknął na to drugi furman.

Rozległo się ostre: wio! i wozy potoczyły się chwiejno ku drodze do wsi. Gdy odjechali, Ratajczak, który już nakładł był, uchwycił lejce. Ale jeszcze rzucił je na ziemię i obszedł wóz wkoło bacząc, czy co nie przeszkadza pod kołami. Wtedy dopiero wcisnął czapkę na głowę, uchwycił lejce i bat, spojrzał na łby końskie i trzasnął: Wio!!

Konie szarpnęły, dyszel wykrzywił się w bok, wóz poruszył się i stanął. Siwa, szarpnięta przez gniadego, została w tyle, prawie przy spódnicy. Ratajczak poczekał chwilę, a potem postąpił trochę w bok, splunął w garść i ryknął: Wio!! psia! wio!... Ciął, trzepał batem, następował. Siwa zostawała w tyle. Więc całą mocą zaczął bić wpierw po zadzie, zaś po łbie, a gdy to nie pomogło, po uszach i ślepiach. Przytem klął i błagał, a wreszcie obrócił bat na drugi koniec. Gruby koniec pukał po kościach i żebrach. Niepomogło. — Siwa łeb ostrząsała, chciała go skryć gdzieś, a dostawszy nowy raz, rzucała go w górę. Ratajczak przestał. Rzucił bat i lejce na ziemię i zaczął odkopywać pod kołami. Po tem jeszcze raz próbował. Zrzucił z siebie katanę, bo gorąco mu się zrobiło i próbował na każdy sposób. — Choćbym zabił psiakrew, nie wyciągnę, — mówił do siebie na pustym polu.

Skąd taka koza, takie drewno, taki rumoch — wóz! Bodaj pioruny! — zaklął.

Wlazł na wóz i zaczął zrzucać. Lecz po chwili namyślał się znowu. Może pomoże, gdy zacznę tłuc gniadego. Zeszedł z woza, przerzucił lejce na drugą stronę i tam próbował. Gniady rwał się jak wściekły. Wóz poruszył się trochę. Może by wyjechał, gdyby siwa pomogła. Ale ta zaparła się i stała jak drewniana. Ratajczak wszedł więc z powrotem na wóz i zwalił z niego połowę. Z połową wyjechał i zrzucił ją na wierzchu. Potem wrócił po drugą. Z tą też wyjechał i dołożył tę, co wywiózł przedtem. Musiał więc oprócz tego co nakład pierwotnie, dwa razy jeszcze złożyć i dwa razy nakłaść po pół woza. Z tej przyczyny przyjechał godzinię później do miasta jak inni. To była już zmuda nie mała. Bo żwir musieli nietylko złożyć na placu, ale go wyrzucić z woza na kupę, możliwie jak najwyżej. Na tem zeszedł cały czas przedpołudniowy. Ratajczak spóźnił się więc o godzinę i przyjechał na podwórze wtedy, kiedy buchbalter wydawał jazdy na popołudniu. Chłopi w stajni przywitali go z śmiechem a buchhalter doniósł właścicielowi o powtórnem spóźnieniu. Skutek był ten, że w sobotę dostał Ratajczak papiery, jednak z propozycją, że ma po zimie iść między robotników do kopalni, bo za woźnicę już jest niezdatny. On słysząc to, chciał iść do stajni i młodym porozbijać kłonicą łby. Myślał bowiem, że oni to wyrobili. Ale że ci niby żałowali go, więc zaczął się odgrażać buchhalterowi. Ten mu lekko a dobitnie powiedział, że go zaskarży, i że na każdy przypadek ma przy sobie rewolwer. To zatem oświadczył mu, że w przeciągu godziny nie ma po nim i śladu zostać. Furman zgrzytnął zębami i zaczął pakować manatki. Stary kożuch, pantofle, łopatę, maszynkę spirytusową, wszystko kładł w duży worek. Kiedy wszystko popakował, słyszał, jak podwórzowy w remizie rozśmiał się z czegoś. Furmanowi wydawało się w tej chwili, że to śmiech z dziada z torbą. I naraz czuł się w stajni tak obcym, jakby siwa więcej miała prawa od niego.

Spojrzał na nią.

Kto ją teraz weźmie? Kto ją dotłucze? Może ten Frącek młody? Ten zakalec, przychlebiacz! Albo zgoła nowego wezmą. Miech wypadł mu z ręki i w tej chwili jakby spłoszył szczura, co przemknął się, koło skrzyni nad ścianą. Woźnica otworzył skrzynię. Złość ścichła w nim. Ostrożnie obejrzał się w koło. W małym przedziale skrzyni był piernik dla koni, była i trucizna na szczury. Tego włożył siwy do żłobu i z wodą zmieszał. Na zachętę włożył kawał piernika w pysk, potem zabrał się i poszedł. Gdy siwa zdechła, podwórzowy doniósł o tem właścicielowi, dodając, że Ratajczak z pewnością jej coś zadał. Właściciel przyjął wiadomość z spokojem, gdyż siwa była dobrze zabezpieczona.

Upaństwowienie kopalń w Anglji.

Doroczny kongres Federacji górników Wielkiej Brytanji, odbyty w pierwszych dniach października b. r., uchwalił przeprowadzić w całym kraju systematyczną agitację celem upaństwowienia górnictwa i handlu węglem.

Projekt odnośnej ustawy, uchwalony na zjeździe górników a przekazany partji pracy do przedłożynia go w parlamencie, zawiera następujące postanowienia.

Artykuł pierwszy powiada, że należy zamianować ministra górniczego; prawa i obowiązki tego ministra szczegółowo określa projekt wspomnianej ustawy.

Artykuł drugi postanawia o przejściu wszystkich kopalń do rąk ministra górniczego, jako zastępcy państwa i oznacza w jakim czasie kopalnie razem z wszystkimi zakładami i potrzebnymi środkami i urządzeniami, jakoteż wszystkie przygotowane już i nieprzygotowane jeszcze do wydobywania węgla pokłady muszą przejść na własność narodu.

Dalszy (trzeci) artykuł postanawia, że minister górniczy ma zakupić kopalnie w kraju ale nie powinien on płacić żadnego odszkodowania za prawo wydobywania węgli i z tytułu zmiany posiadania gruntów.

Celem oszacowania wartości kopalń, należy — według artykułu 4 — zamianować komisję z 10 osób, do której ma wejść po trzech zastępców ze związku właścicieli kopalń i Federacji górniczej i dwóch z kongresu zawodowego. Po przyjęciu ustawy ma komisja oszacować wartość kopalń.

Cenę kupna wyznaczy się na podstawie przeciętnej produkcji rocznej z ostatnich pięciu lat, jednakże przy produkcji wynoszącej 100 000 ton lub mniej nie można więcej zapłacić jak 15 koron za tonę węgla, a przy produkcji większej jak 100 000 ton nie więcej jak 12 Koron za tonę. Właściciele przedsiębiorstw górniczych mają otrzymać 3% akcje górnicze, które dopiero po upływie 20 lat a potem stopniowo tracą swą wartość.

Artykuł 15 przyznaje robotnikom, zatrudnionym w państwowych kopalniach, nieograniczone prawo należenia i współdziałania w zawodowych i wolnych organizacjach politycznych.

Ministerjum górnictwa ma przejąć na własność ogółu nietylko produkcję węgla ale także sprzedaż węgla.

Osobom prywatnym nie wolno ani magazynować ani też sprzedawać węgla; przekroczenie ustawy podlega karze pieniężnej aż do 480 Koron za każdą tonę węgla.

Przyjęcie zakładów górniczych i skarbów węgla musi być ukończone w pierwszym dniu piątego roku po wejściu w życiu ustawy.

BALAADA

(mniej niż romantyczna).

Raz w noc późną, po kolacji,
Dwóch wracało z restauracji,
Oba druhy,
Dzielne zuchy.

A że byli wzrostem mali,
Więc się trochę obawiali,
Bo noc ciemna,
Nieprzyjemna.

Gdy w tym jeden ot zobaczy,
Że pod murem coś majaczy:
Rzecz ciekawa:
Sen, czy jawa?

Mówi pierwszy do drugiego:
Czy ty widzisz coś strasznego?
To bandyci
Są ukryci.

Więc stanęli z wielkiej trwogi,
Iść nie mogą, drżą im nogi,
Pusto wszędzie,
Co to będzie?

Chcą uciekać, lecz się boją,
To krok ujdą, to znów stoją,
Potem zlani,
Wyczerpani.

I noc całą tak z oddali,
Wciąż policji wyglądali,
Która znagła,
Gdzieś przepadła.

Aż nareszcie, gdy nad ranem,
Każdy czuł się życia panem:
W głos parsknęli,
Bo ujrzeli,

Że pod murem, strach widoczny!
Spał policjant i stróż nocny,
Oba druhy,
Dzielni zuchy.

Rozmaitości

Aresztowanie domniemanego sprawcy napadu w pociągu. W Gütersloh w Westfalji aresztowano 21 letniego czeladnika piekarskiego Nettelstroha, podejrzanego mocno o dokonanie głośnego napadu w pociągu kolejowym pod Nauen d. 18 sierpnia br. Kryminalna policja berlińska, która poszukiwała go już od dłuższego czasu, kazała przysłać sobie fotografię jego i przedłożyła ją owym trzem napadniętym paniom. Poznały one z fotografji sprawcę, mianowicie jedna z nich, panna Karstädt, utrzymuje, że się co do osoby jego nie myli. Na mocy tego przystąpiono do aresztowania i w sobotę przytransportowano N. do Berlina. Dziś ma być skonfrontowany z owemi paniami i innymi naocznymi świadkami. Dotychczas zaprzecza N. stanowczo, jakoby misł jaki związek z napadem w pociągu. — Stan zranionych pań polepszy się w ostatnim czasie tak, że mogły już opuścić lazaret. — Jak wiadomo, na schwytanie sprawcy wyznaczono 2000 mk. nagrody.

* * *

Wypadek automobilowy. Gdy onegdaj popołudniu żona brazylijskiego konsula Secco z Porto Allegre przejeżdżała w automobilu przy bramie Brandenburskiej, zderzył się samochód jej z wozem ciężarowym i został znacznie uszkodzony. Szczątki potłuczonych okien poraniły panią Secco tak mocno na twarzy, że w Charite nałożono jej bandaże. Zranienia są bardzo bolesne, lecz nie ubezpieczone.

* * *

Słynny Pawło Kratt, który najpierw był pospolitym bandytą w Rosji i ścigany był za jeden napad na dwór, a następnie był we Lwowie przewódcą ukraińskich akademików i na ich cele dokonał napadu na uniwersytet, przyczem, gdy jego podkomendni niszczyli toporkami sale i korytarze, on nożem zbójeckim krajał portrety polskich rektorów — został, jak donoszą z Ameryki, po partyjnym sądzie socjalistów ukraińskich w Winnipegu, wypędzony z partji za okradzenie kasy partyjnej. — Wypędzono także kilku jego najbliższych przyjaciół.

* * *

Dziecko spadkobiercą 30 miljonów marek. Zaiste pozazdroszczenia godnem jest położenie dzieci, które we wyborze rodziców swoich miały szczęście. Odnosi się to zwłaszcza do narodzonego niedawno syna amerykańskiego miljardera Jakoba Astora, który, jak wiadomo, zginął podczas katastrofy „Titaniku". Dziecko to bowiem, które narodziło się za trzy miesiące po śmierci swego ojca, jest na mocy pozostawionego przez swego ojca testamentu spadkobiercą 30 miljonów marek! Matka jego, z domu Force, córka zamożnego kupca, wyszła za mąż za Jakoba Astora we wrześniu zeszłego roka. W przeciągu dziewięciu miesięcy stała się zatem była panna Force narzeczoną, bogatą spadkobierczynią, wdową i matką.

* * *

Proces o zakład wychowawczy w Mielżynie. Jak wiadomo, miasto Berlin znaczną liczbę młodzieży, skazanej na wychowanie przymusowe, umieściło na mocy osobnej umowy w zakładzie mielżyńskim. Z powodu poniewierań, jakich zoznali ci wychowańcy w roku 1910, miasto Berlin odstąpiło od zawartego z zakładem kontraktu. Zakład wniósł z tego powodu skargę, podając objekt 150 tysięcy marek, ale sąd ziemiański berliński odrzucił ją. Apelację odrzucił też i kamergerycht. Zakład wprawdzie wniósł jeszcze rewizję do sądu rzeszy, ale ją cofnął. Wyrok stał się więc prawomocnym.

Dymokrackie medykacje.

We wyborach do sejmu pruskiygo, chtóre musieli urządzić w Opolu skisz wystąpiynio Kapicy z Koła polskiego a jego ercprijsterstwa, co dostoł je w nadgroda za to, zwyciężył myszmasz narodowo-niymiecki. Kandydacio polscy przepadli; ale tyż nad jednym ś nich niy ma co ubolywać, jyno nad tym biednym norodom, chtóry takich stawio kandydatów. Bo to przeca tak pono mo być, iże ich lud se som wybiyro.

Terazki sejm pruski już fedruje. Nad interpelacją polską skisz wywłoszczynio prześndzie pono do porządku dziynnegó. Uzasadniać mo ta interpelacjo posoł Korfanty; ale jo bych miyniół, iże bółoby lepszy, coby taki ją postawiół, chtóry isto nie je za wywłoszczeniem rodaków, bo tak to „kruk krukowi oka nie wykole".

Nasz kardynoł książę-biskup Kopp mioł szumny jubel tuplowany; pół stówki lot je kapłanem, a ćwierć stówki biskupem wrocławskim. Wszyćko mu pono przaje: Rzym, Berlin, Wiedeń, Wrocłow, Sląsk a piochy brandenburskie, jyno nie wszyjscy dyjecezjanie, a niekiere księżoszki tyż nie. Bo jo tyż downo padoł, iże nie wszystko złoto, co sie świyci; my to od kamrotów a sami tu na Górnym Sląsku wiymy tyż nojlepszy.

Drożyzna je jeszczy za mało, to terazki jeszczy gibko podrożało wągle, a same kopalnie fiskalne nojpiyrwsze tego chciały. Terazki jyno dziwiać się, kiej i górnikom poprawią zarobku, bo to przeca bółoby po sprawiedliwymu. Ale o tym jeszczy ani fiskus ani panoczki nie spamiętali nic; bo óni berchmanom jyno wdycki ostowiają uciecha, iże tyn ich col je drogszy, a tyn ciymny ludek niezorganizowany je tyż tymu zakontent.

Ale widno, iże drożyzna rewolucjonizuje nieco narody, ale tyż i panujących, bo ich tytuły jyno staniały. Niedowno książę bułgarski uznoł, iże książę, to je telo co nic, to sie mianowoł królem albo carem. Tako tyż hnet uznoł i książę Nikita czornogórski, to sie przezwoł królem. Terazki król włoski tyż uznoł, ie król je telo, co kuźden inkszy śmiertelnik, to chce sie mianować cesarzem. Ale co ón tyż powiy, kiej uzno, iże cesorz to tyż taki tytuł, co fajfki presówki nie je wert?

Jyno musim sie jeszczy podziwać, co to bydzie z tyj wojny bałkańskiyj. Tam pono te małe narody biją turka, ale co im na to powie staro Ojropa, tegó óna sama nie wiy. Wszyjskie wielgie mocarstwa chcą niby zachować całość Turcji, ale po jakiygo pierona cysaroki a ugry chcą wleźć do Sandżaku skisz utrzymanio pokoja, tegó jo nie rozumia.

To sie wiy, iże tego nie można tak brać na woga złota, co pedzą ministry pruskie, bo wdycki wyńdzie inakszy. Bethmann-Holweg tyż padoł, iże wywłoszczać nie bydą ani w tym roku, ani w przyszłym, a jednako wyszoł rozkoz, coby wywłoszczać sztery wsie polskie. A terazki okrom rostmajtych bankrutów a chacharów a buksów pochytanych ze wszyjskich stron świata jeszczy chce rząd pono osiedlać wysłużonych wojoków skisz szerzynio kultury krzyżackiyj na ziymiach polskich. Ale jo bych padoł tak: niech rząd ojcowski raczy porobić takie se rasowe kolońje kiej ów panoczek na Zaksach, chtóry chce pożynić dziesiąciu albo stu nojlepszych chopów s cołkiygó narodu, kuźdygo z dziesiąciu kobiytami, ale jyno na trzy roki. Bo wolno miłość je w Prusach zakozano, ale rasowo przymuszano to nie. Więc niech se rząd ustanowi komisjo (z wielgim mytem, to sie wiy), coby miała rostmajtych nadbyldowanych nadprofesorów, kielo gienerałów a unteroficjerów a lajtnantów, kielo junkrów ze wsi, kielo lantrotów a szandarów, a regirungsrotów a inkszych ratów, rechtorów a dochtorów a sztacwaltów a inkszych. No i ci ułożyliby rostmajte paragrafy; a zaś robiliby pomiary na ziymi a na ludziach, no i zrobiliby kielo kolońji rasowych s wojoków a z ónych buksów.

Tako mieliby hnet potomstwo isto krzyżackie, a s tegó bółby dobry jung-doić-land, a s tegó dobre wojoki a hurapatrjoty. Ale kiejby to wszycko bóło takie piyknie rasowe a byldowane, toby możno rządowi jednako bóło żol tak ich dać wystrzylać na wojnie. No, i możno wtedy Niymcy przestałyby się zbroić, a za nimi świat cołki tyż. Tako i ta kolonizacjo prusko na ziymiach polskich przyczyniłaby sie do pokoja powszechnygó, chtórygo pono pragnie cołko Ojropa, a nojwiększy jyj niymiecki „frydensengel", chtóry tyż za to kandyduje pono do nadgrody Nobla. Przez wywłoszczynie ta nadgroda nie bóła można pewno, ale przez tako kolonizacjo, to bydzie pewno.

Gustlik Beskuryjo.

Kącik humorystyczny.

Rozmowa z półgłuchym.

— Witom wos kumosiu.
— Kokota niesa w koszu.
— A kajzeście to byli?
— Półszosta za funt od niego chcieli.
— A jakze wom ta idzie?
— O, mozno przida po suchu, jak dyszcz nie przidzie.
— Ale mie sie zdo, ze nie przyda z wami do końca.
— No, jakbych nikaj nie zachocył, to jesce do dom przida za słońca.
— A tóz do widzenia, bo musa uciekać.
— A dyć ta lagramencina w koszu pocyno mi skokać.

* * *

Przecież to tenor!

Dwuch Polaków pracowało razem przy kopaniu kanałów na ulicy. Jeden z nich był starym przybyszem, a drugi — człowiek inteligientny — dopiero pierwszy dzień w Ameryce był u roboty. Ponieważ dozorca stale ich nie pilnował, a tylko od czasu do czasu przychodził doglądać roboty, przeto z pracą nie bardzo się śpieszono. Około południa starszy robotnik przyniósł sobie pelik piwa, napił się sam, poczęstował swojego partnera i rzecze:

— Wiesz co, ja się ździebko zdrzemnę. Gdyby szedł bas, to mnie obudź.

Poczym położył się i zasnął snem sprawiedliwego. Traf chciał jednak, że niedługo nadszedł dozorca, a zobaczywszy śpiącego robotnika, strasznie go złajał i zagroził wyrzuceniem z roboty, tak, że ten z trudem wielkim zdołał się wymówić chorobą. Gdy dozorca odszedł, starszy robotnik zaczął łajać okropnie swojego partnera, krzycząc:

— Czemużeś mnie nie obudził, grynorze, jak zobaczyłeś basa?

— To przecież jest tenor, nie bas! — odpowie, broniąc się, młody robotnik.

Okazało się bowiem, że ten jeszcze nie rozumiał wyrazu „bas" (boss), a ów „bas" miał głos tenorowy...

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott w Katowicach.

Nr. 44. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 2 listopada 1912.

Rzeźnia ludzi.*)

Maszyny skierowano na nas.

My biegniemy przeciwko maszynom. A maszyna tryumfuje nad naszem ciałem. A maszyna pije krew wiadrami z naszych żył. Za nami leżą już szeregi postrzelonych i wiją się w swoich ranach. A jednak z tyłu biegnie setkami młode, zdrowe mięso ludzkie na pożarcie maszynie...

„Sprung! Marsch! Marsch!!“

Wtem przybiega młody, śmiały porucznik H... wywija ogniście szpadą nad swoją głową... malowniczy obraz... ja biegnę za nim... słyszę jego „Hurra!“ Wtem piękny obraz niknie... szpada leci na bok... porucznik chwieje się i uderza twarzą w krótkie twarde ściernie... ja jednak przebiegam koło niego... nie słyszę nic prócz dziwnego szumu z lasu... czuję formalnie, jak ołów klaszcze po naszych szeregach, jak wszystko na lewo i prawo rzuca na ziemię... „Nieder! Schnellfeuer!“ Rzucam się na ziemię i wyciągam karabin... Dlaczego niema komendy? Nie woła żaden porucznik, żaden podoficer... dopiero na dwadzieścia kroków przedemną spostrzegam człowieka... dalej jeszcze innego... jest nas tylko trzech...

Zastrzelony leży pierwszy „zug“ na ściernisku.., co teraz? Ziemia za nami ożywia się... i łomot, stękanie i krzyk... i znowu szumi głucho las... Leżą oto i oddechają ciężko... ani słówka... przed sobą karabin... i strzał po strzale... jest to szósta i siódma kompanja... wypełniły nasze luki.

„Sprung! Marsch! Marsch!!“

Przedemną biegnie głowa, biegnie ciało w sferę kul... oczy zwrócone ku ziemi, chciwie poszukujące jakiego, choćby najmniejszego pagórka... Patrz, idzie... idzie morderczy las...

„Sprung! Marsch! Marsch!“

...Tam z poza krzaków... stamtąd wyskoczył ku nam ołowiany las... Tam za tym zielonym wałem siedzi mord i odrywa nam od ciała ręce i nogi...

Jak on nas dusi!...

Jak on nas rozszarpuje!...

„Sprung! Marsch! Marsch!“

Ciało szaleje w tym okropnym wirze: — las! las!... Jak gdyby dusza wyskoczyła z ciała, tak ciało będzi za nią do lasu... pędzą jeszcze obok siebie przestrzelone płuca, przedziurawione wątroby, nie trafi cię w głowę, pędzisz dalej,... a padniesz, wleczesz się na czworakach do lasu...

Lecz co to?...

Ucichło naraz...

Maszyny zamilkły...

Żadnego strzału więcej, żadnego ognistego łuku... ha — w krzakach coś szeleści... Gałęzie gwałtownie uderzają o siebie — patrz! Poprzez drzewa coś ucieka, wlecze i przesuwa, chcą uratować przed nami kosztowne maszyny.

Ha! Ha! Stęka ziemia i drży pod naszem ciałem... Za nami ryki „hurra“, podniesione karabiny... to biegną rezerwy do ostatniego szturmu... biegną zbitemi kupami — pionierzy, strzelcy, muszketerzy... długi pionier skacze przezemnie — widzę, jak w tym skoku błyszczą jego oczy... Auf! Za nimi!... o tu jest trawa... o, tu jest wał... dalej do rowu! a potem na czworakach do góry... gdzież oni są? gdzie?... o, tam koło tych sosen... dalej, dalej koło tych grubszych, srebrnobiałych pni, dalej koło tych zielonych buków, gdzie śmieje się słońce, tam wpada naga czerwona żądza krwi... dalej przez krzaki — a teraz, coś tak śmiesznie trzepoce się przed oczami i obwija się w pięknych krzywiznach około drzewa i krzaka... przylepia się do maszyny silnie, jak gdyby przyrosło do maszyny... ha! ha! na polanie czekają już konie. „Puszczajcie! biegnijcie, co tylko możecie! Psy, puszczajcie!„ Lecz oni nie puszczają... bo konie ich rzucają się przez drzewa... wóz chwieje się w powrozach... za chwilę rzucą na wóz rury... a potem hajda!... nie mogę więcej — drzewa tańczą mi przed oczami... potykam się o korzeń drzewa... dobijcie! Oto przybiegają nasi i tną na ślepo po łbach i kłują zgięte i obnażone grzebiety... jęki... ryki... zrywam się... młodziutki chłopczyna leży i przyciska się do swego opuszczonego działa... z przekleństwem rzuca się na niego jeden, z gołą głową, żarty wściekłością... młodzieniec wyciąga ku niemu przestrzeloną dłoń... brzuch chwieje się lecz usta milczą... Wtem wbija się już w jego piersi naflancowane żelazo... najprzód prawa ręka, potem posiekana lewa chwyta za bagnet, jak gdyby umierając chciał go wyciągnąć ze swego serca, tak silnie obejmuje klingę!... jedno uderzenie, jedno pchnięcie!... jasny strumień krwi wytryska za klingą i serce i oddech rzężą w pośród zwiędłych liści...

Wokoło na szarej ziemi leżą zabici ludzie...

Ale maszyny żyją jeszcze. I przeciw maszynom burzy się krew, rozpala się ciało.. Dalej na szańce... z wysoka podniesionemi siekierami rzucają się na maszyny i uderzają o lufy. Jak zranione zgrzytają retorty, w których śmierć gotowała swój napój... okucie pęka... chłodząca woda wpływie i lafeta roztrzaskuje się w kawałki... pogięty metal, szprychy kół i patrony pokrywają wkoło ziemię, my jednak uderzamy i deptamy wszystko co leży na ziemi, aż gorąca krew ochłonie na metalu. — — — A teraz wznieśmy grzmiące „hurra“! Zwycięstwo! Niech zabrzmią świstawki i trąbki! To jest śmierć na otwartem polu! Ta jest radość żołnierza wśród wiru bitwy: z otwartą piersią biedz na ostrze żelaza, miękki mózg rozbijąc z radością o ścianę ze stali! Tak masowo, z taką zimną krwią i z takiem zrozumieniem rzeczy, tępi się tylko owady. W tej wojnie nie jesteśmy niczem więcej jak owadami...

*) W nakładzie Alfreda Fansena w Hamburgu ukazała się: Rzeźnia ludzi. Autor roztacza przed nami straszne opisy przyszłej wojny, którą jednak rzeczywistość na wypadek wojny, prawdopodobnie jeszcze przewyższy.

Potęga morska Stanów Zjednoczonych.

Obecnie w porcie newjorskim znajduje się cała prawie flota wojenna Stanów Zjednoczonych, zgromadzona

dla odbycia przeglądu przez naczelnika państwa i sekretarza marynarki. — Pomiędzy okrętami znajduje się aż 33 pancerniki, a w ich liczbie 6 dreadnoguhtów i 2 super-drzeadnoughtów.

Flota amerykańska pod względem technicznym nie obawia się porównania z żadną inną na świecie, a co do objętości równa się niemieckiej, to znaczy jest drugą, lub trzecią z rzędu po angielskiej.

Ta jednakże ranga nie da się długo utrzymać, ponieważ kongres amerykański, dla oszczędności, pozwala tylko nadal na budowę jednego dreadnoughata rocznie podczas gdy Rosja, Francja, a nawet Japonja, nie mówiąc już o Niemczech i Anglji, budują od 2 do 3 każde takichże pancerników rocznie. Zatem w przeciągu 5 do 6 tat następnych. Stany Zjednoczone będą zdystansowane.

Prócz tego marynarka amerykańska posiada jedną wielkiej doniosłości wadę: opierając rekrutowanie marynarzy, nie na obowiązku, a na werbunku, nie ma dostatecznej obsługi okrętów, nawet w czasie pokoju, a żadne rezerwy w ludziach na wypadek wojny. Na przykład Niemcy liczą w zapasie urlopowanych marynarzy 150 000, Japonja 120 000, a inne kraje w tym stosunku, ale skąd Stany Zjednoczone czerpać będą trenowanych ludzi, dla zapełnienia braków podczas wojny — niewiadomo.

A przytem, iak już zaznaczyliśmy wyżej, oszczędność kongresu, jeżeli potrwa dłużej, zepchnie marynarkę wojenną Stanów Zjednoczonych na 4 miejsce, co stanowczo nie wystarcza do obrony obu naraz brzegów, to jest Oceanu Atlantyckiego i Spokojnego.

O zaczepnym działaniu w Europie flota amerykańska, ani nawet marzyć nie może, z powodu zupełnego braku stacji morskich i co za tem idzie jakiegokolwiek punktu oparcia. Na Oceanie Spokojnym Stany Zjednoczone posiadają stacje: na wyspach Hawai, Wake, Guam i Filipinach, — ale znów brak dostatecznej floty handlowej, utrudnia ruchy transportów dla floty wojennej.

Od niepamiętnych czasów, państwa panujące na morzu były najbogatsze.

W starożytności — Fenicja Ateny, Karthagena i Egipt. W nowszych czasach pierwszeństwo w handlu morskim dzierżyły różne państwa: Wenecja, Hiszpanja, Holandja i Francja i wszystkie one były kolejno pobite i zepchnięte na drugorzędne stanowisko przez Anglję, która obecnie więcej posiada okrętów handlowych i więcej towarów przewozi w handlu międzynarodowym, niż wszystkie razem wzięte państwa na świecie.

Od pewnego czasu, stosunki na oceanach uległy znacznej zmianie. Wyrosła nowa potęga morska — Japonja w Azji, a w Europie Niemcy. — Niemiecka marynarka wzrasta bardzo szybko już ma się do angielskiej handlowej, jak 1 do 5, — a do wojennej jak 1 do 2 i pół. A także, na ukończeniu będący Kanał Panama zmieni kierunek znacznej części handlu międzynarodowego morskiego i przybliży go do brzegów Stanów Zjednoczonych, — a co zatem idzie i sfera działalność flot wojennych przeniesie w te same okolice: Karaibskie Morze Zatoka Meksykańska nabiorą takiego samego znaczenia, jak Niemieckie i Środzmiene Morze w Europie.

Dotychczas Stany Zjednoczone gospodarowały w Centralnej Ameryce niepodzielnie, — a nawet lubią uważać się za protektora całego kontynentu Ameryki, na zasadzie tak zwanej doktryny Monroego, z której w Europie się śmieją i o tyle ja mogą brać pod uwagę, o ile Stany Zjednoczone będą w stanie poprzeć swoje pretensje potężną flotą wojenną, a którą teraz właśnie kongres wstrzymywać w rozwoju usiłuje.

Obecnie Stany Zjednoczone wysyłają wojska do San Domingo, Nicaraguła, lub Kuby, jak na stłumienie strajku do Pensilwanji, a także zamyślają połknąć niezmiernie bogaty Meksyk, ale jest więcej niż wątpliwem, czy im inne państwa na to pozwolą.

Prócz Anglji, która jeszcze przed ukończeniem Kanału Panama, a już jest w nieporozumieniu ze Stanami Zjednoczonemi, — ten ostatni kraj może zajść w kolizję z Niemcami, mającymi kilkakrotnie większy handel z Centralą i Południową Ameryką, niż Stany Zjednoczone — i z Japonją, która jest naturalnym konkurentem St. Zjednoczonych na Oceanie Spokojnym.

Jednem słowem Stany Zjednoczone, z każdym rokiem, tracą swoje przywileje i będą zmuszone, na równi z europejskiemi państwami, rujnować się na uzbrojenia, jeżeli nie życzą sobie narazić się na klęski.

ST. PŁONKA.

Wet za wet.

Na tem stanęło, że punktualnie o czwartej po południu na placu Twardosz i Malski oczekiwać będą Limana z chłopakiem, który zaniesie pościel do lombardu. Z zastawu dostanie Malski markę a Twardosz dwie, za to, że przed lombardem pościel chłopakowi odbierze i osobiście zastawi.

Innej rady nie było.

Liman miał „engagement", lecz nie miał za co wyjechać. Ale mógł pościel zastawić. Jakoż o czwartej po południu zeszli się Twardosz i Malski na placu i patrzeli w jedną stronę.

Zabieliło się coś w oddali.

Liman — wymówili prawie jednocześnie.

W istocie był to Liman, a za nim na długość jakich dwóch wozów elektrycznych tyrał się z pościelą związaną w prześcieradło jakiś chłopak.

Z daleka już witał Liman kolegów, unosząc laskę z złotą gałką z ceremonią marszałka. Czem więcej zbliżał się do kolegów, tem bardziej oddalał się od chłopaka z pościelą. No i co, chałaciarze — powitał ich. Pościel jest. Za chwilę, panie — co jest?

— Nie zapomnij coś przyrzekł — odezwał się Twardosz. Dasz mi dwie marki, za co od bramy lombardu zaniosę pościel na piętro i zastawię.

— A mnie markę oddasz, bo już od dwóch lat mam dostać ją za to frakowe ubranie — powiedział Malski:

Chodźmy moi złoci — rzekł Liman, oglądając się, bo pierzyna się zbliża. Pobiegli raźno ku lombardowi.

Chłopak już ich doganiał. Spocony był nieborak, że nie sposób, kiedy składał ową pierzynę akuratnie pod bramą. Twardosz schwycił ją w tej chwili i znikł, z czego się Liman i Malski głośno zaśmiali. Tymczasem chłopak ocierał pot i patrzał, rychło mu zapłacą. Zmiarkowawszy, że dostanie dopiero z zastawu, oparł się o drąg mosiężny przed wystawnem oknem, przez które spoglądały ciekawie panny sklepowe. Podczas tege jął Liman opowiadać Malskiemu jak i którędy pojedzie na engagement i kiedy będzie na miejscu. Przytem co chwila spluwał, bo dziwno mu się robiło w ustach; dawno nie palił, a za chwilę miały być pieniądze. Nagle zjawił się Twardosz.

— Nie przyjęli pierzyny, gdyż to wróble nie pierze — powiedział.

— Nie rób kawałów — rzekł wystraszony Liman.

— To nie żadne kawały, tylko tak jest. Pierze nic nie warte. Tu w sieni jest pierzyna — starej się z nią zniknąć. Szczupła twarz Limana zamknęła się jak wypróżniona portmonetka, a sinawe białka ócz szeroko spojrzały na chłopca, który zuchwałą przybrał minę. Nie myślał już Liman o tem, że bez pieniędzy nie wyjedzie, ale czy chłopak odniesie mu pościel do domu.

— Co teraz? — zapytał kolegów. Radzili mu, by chopak najspieszniej niósł pościel do żyda. Lecz chłopak żądał wpierw zapłaty pierwszej. Liman zaczął obiecywać mu, że skoro sprzeda żydowi, nie tylko podwójną, ale trzykrotną dostanie nagrodę.

Ale chłopak nie chciał o nowych ugodach słyszeć, tylko z coraz to większą poufałością dopominał się swego.

Twardosz i Malski chcąc to niby przyjść w pomoc koledze, zaczęli chłopaka besztać ostremi słowy, za co ten

łobuzowskim zwyczajem, głośno wyzywał i odgrażał się, że policjanta przywoła.

Liman był w rozpaczy.

Naprzeciw, za szybą uśmiechały się sklepowe panny. Jakaś biedna kobieta zatrzymała się w bramie lombardu i z zadziwieniem spoglądała to na pościel, to na bezradnych aktorów. Baba, to wróży źle — pomyślał Liman. Niech za nią przyjdzie portjer i wyrzuci pościel na ulicę!... Więc ponownie jął nalegać na chłopaka. Ale hardy łobuz nie chciał się ruszyć i tylko gniewnie spoglądał z pod kaptura.

Wreszcie zaproponował Liman kolegom, by każdy niósł kilka kroków. W pobliżu mieszka moja ciotka, zaraz za drugim narożnikiem, do niej zaniesiemy. Koledzy uśmiechnęli się.

Ja ci pościeli nie poniosę — odrzekł Malski. Niechby mnie zobaczyła moja kobieta — skandal.

Liman spojrzał na Twardosza.

W życiu moim pościeli nie nosiłem — odparł Twardosz. Do tego jeszcze w biały dzień. Zobaczy mnie kto, to powie, że wziąłem mojej gospodyni lub, że się sprowadzam do mojej narzeczony.

A ja, to mogę nieść! — zawołał Liman z oburzeniem.

Twoja jest, więc powinieneś o nią dbać — odpowiedział Twardosz.

Ale pieniądze to bralibyście? Panowie! Lecz niech mi się uda sprzedać, a przyjdzie mi jaki drań po pieniądze! Rany Boskie! Nie dam! żeby no!! bo ja wiem!! Chłopcze, markę dostaniesz, jak mi ją zaniesiesz trzy ulice dalej — rzekł do chłopaka. Markę! — rozumiesz?! Rany Boskie! bo cię!!

Chłopak nie chciał.

Liman rad nie rad wpadł do sieni, schwycił pościel i wybiegł na ulicę. Wyraźniej niż przedtem widział teraz duży, biały toboł w swej prawej ręce, w lewej laskę ze złotą gałką, dwóch śmiejących się cholerycznie kolegów, głupiego jak but łobuza, ulicę, na którą zaraz musiał wjechać wóz spedytorski i więcej niż zwykle ludzi. Toból zdał mu się ciężkim i tak dużym, no — jak pierzyna, której nikt w ręku nie nosi. W pierwszej chwili chciał rzucić toboł na ziemię, albo na wóz spedytorski i uciekać. Ale śmiech kolegów wróżył mu, że jeżeli to zrobi, więcej jeszcze śmiać się z niego będą.

(Dokończenie nastąpi.)

Rozmaitości

Ofiara przesądów. W miasteczku Kielmy, leżącem w zapadłym kącie gubernji kowieńskiej, zdala od kolei, a zamieszkałem przeważnie przez ludność żydowską, osiedlił się przed niedawnym czasem młody nauczyciel tańca i począł udzielać lekcji kawalerom i pannom.

Fakt ten wywołał ogromne zgorszenie wśród ludności, która upatrywała grzech w tańcu, a zgorszenie to spotęgowało postępowanie owego rabina, który nauczyciela tańców obłożył klątwą. Dziwny zbieg okoliczność sprawił, że w niedługim czasie potem wydarzyło się w miasteczku kilka nieszczęśliwych wypadków: jakiś murarz spadł z drugiego piętra i zabił się; chłopiec utonął; dziecko umarło na zapalenie mózgu; dwóch suchotników umarło jednego dnia. — Rabin orzekł, że to kara za grzech taneczny. Wówczas cała ludność żydowska, aby położyć kres dalszym nieszczęściom, postanowiła zmusić nauczyciela tańców do opuszczenia miasta.

Odtąd nie sprzedawano mu nic ani za grosz; siłą i szykanami nie dopuszczano do niego uczniów i uczennic; na każdym kroku czyniono mu trudności, tak, iż ostatecznie biedny nauczyciel widział się zmuszony wjechać z Kielm na zawsze.

* * *

Rekord w małżeństwie z miłości. Mistrzostwo świata w „małżeństwie z miłości" zdobył bezsprzecznie w Chicago znany aktor Lawrence Lestev, który po raz jedenasty „w miłości" stanął na kobiercu ślubnym. Wszystkie poprzednie żony — a było ich dziesięć — poślubił również z miłości a potem się z niemi rozwiódł. Żyją one do tej pory. Śluby te są ważne w Stanach, w których je zawierał. Z uwagi jednak, że w różnych Stanach Ameryki są odmienne prawa Lestev przybywszy do jakiegoś miasta, nie wie nigdy, czy go nie dosięgnie ręka sprawiedliwości za wielożeństwo. Martwi się, że zapomniał wiele szczegółów o poprzednich żonach. Np. nie może sobie przypomnieć w żaden sposób, jak było na imię jego szóstej żonie! Zdaje mu się, że pamięta imiona innych. Dla pewności, wypisał sobie z metryk ślubnych, wszystkie żony po kolei, zaopatrzywszy je numerami. Nummer 11 — to młoda panna z dobrej rodziny, którą po dwóch tygodniach gorącej miłości i usilnego starania — poślubił.

* * *

Długowieczność zwierząt w ogrodach Zoologicznych. Dr. Mitschell, jak donosi La Nature, zestawił wykaz średniej i maksymalnej długowieczności znacznej liczby ssaków i ptaków, przebywających w ogrodach zoologicznych. Z wykazu tego okazuje się, że życie zwierząt w niewoli trwa zwykle krócej, niż na wolności, pomimo troskliwej opieki, jaką zwierzęta są tu otoczone i pomimo, że nie są wystawiane na niebezpieczeństwa ze strony swych wrogów.

Dalej z zestawienia liczb wynika, że z pomiędzy ssaków najdłuższe życie jest udziałem wielkich drapieżców oraz kopytowców. Tak n. p. średnia długość życia lwów, trzymanych w niewoli, dochodzi do 30—40 lat, podobnie przedstawia się także okres życia niedźwiedzi białych; co zaś dotyczy wielkich kopytowców, to ich życie w niewoli trwa do 50 lat.

Opinja publiczna głosi zazwyczaj, że wieloryby i słonie wyróżniają się długowiecznością. W stosunku do wielorybów ogrody zoologiczne nie miały sposobności zgromadzenia materjału doświadczalnego, co zaś dotyczy słonia, to dr. Mitschel twierdzi, że okres 100 letni jest najdłuższym okresem życia słoni w niewoli, średnio zaś słon żyje w tych warunkach lat 20—30.

Pośród ptaków — spotykamy kilka rodzajów, których długowieczność podobnie, a nieraz nawet pokaźniej przedstawia się. Wykaz dr. Mitschela wymienia n. p. kruka, który żył lat 69, orła, którego życie trwało 68 lat i papugę, która przeżyła lat przeszło 100. Niektórzy przedstawiciele ptaków drapieżnych żyją niekiedy również około 100 lat; podobnie też maksymalna długość życia czapli, łabędzi i gęsi wyraża się w bardzo poważnych liczbach. Strusie zaś, co do których możnaby łatwo przypuszczać, że pod względem długowieczności zamują w rzędzie ptaków jedno z miejsc naczelnych, w ogrodach zoologicznych osiągają jako maksimum długowieczności zaledwie lat 35.

* * *

Ochrana krótkowzrocznych. Berliński okulista, dr. Ludwik Hirsch, w jednem z pism popularnych wzywa przełożonych szkół i nauczycieli, aby, o ile możności, ochraniali oczy uczniów. Dotychczas szkoła zwracała barszo małą na to uwagę. Przy wykładzie przecenionej gramatyki uczniowie muszą wzrok wytężać dla pisania zadań ku utrwaleniu w myśli tej lub owej reguły, gdy to samo da się osięgnąć ustnie, pamięciowo. Najniepotrzebniej również podczas tłomaczenia wszyscy uczniowe obowiązani są mieć książki przed oczyma; wystarczy, żeby ją miał — jeden, ten, który głośno przekłada. Należałoby już raz wziąć rozbrat z „wykuwaniem na pamięć" różnych wierszy, które pamięci bynajmniej nie ćwiczą, a tylko psują oczy. Należałoby zmniejszyć godziny czytania i dyktanda, a także zmniejszyć — zadawane lekcje. Dzięki praktykowanym obecnie metodom pedagogicznym, jak stwierdza autor, 10 proc. uczniów szkół początkowych, zaś 30 do 50 proc. szkół średnich, ma oczy słabe i wzrok krótki. Zwłaszcza dzieci krótkowidzów winne być otaczane specjalną opieką.

Dymokrackie medykacje.

Zrobiół se turek pokój z italjanami, terazki mo ostuda s cołkim Bałkanem. Bułgarjo bierze go za fez a forengla, Serbjo za kapudrok, Czornogóra za westka a Grecjo za galoty. No, dobrze jyno, iże niy mom losów tureckich, bo bych przegroł, kiej rostmajte szpekulanty na giełdach już stracili. Niekiere banki niymieckie bez wojny tyż tracą hrubo, bo ich urzędniki biorą se sami większe myto na ta drożyzna.

Rusyjo chciała sie pono obdrutować drutem kolczastym, cobo nicht nie szwarcowoł, a możno i skisz tegó, coby sie nie roślazła. Ale terazki obstowio się od granicy cysarskiyj a niymieckiyj kanonami a bajonetami, bo pado, iże pokój ojropejski tegó chce skisz ónyj wojny bałkańskiyj. Tako jeszcze podziwomy sie jyno, kiej w Katowicach zaś bydą na banofie rostoliczne wagony z kustem a ołowiem a prochem, albo w Elberfeldzie, kiej bóło skisz Maroka, a wagonów do wąglo a inkszych frachtów nie bóło za telo. To wszycko robią te syrdeczne a kamrackie stosunki, o chtórych wdycki prawią rostmajte mowy tronowe a bankietowe a bezuchy a inkse przyleżytości.

U nos bo wdycki wojna: z giermanizacją, z drożyzną, s uciskiem zorobkowym a ś ciymnotą.

Na drożyzna bo som rząd już sie tyż nieco zgorszół, ale te jegó śtrzódki to są takie, kiejby kiery chcioł sie umyć wodą bez zmoczanio. Sejm pruski podoł tyż rostmajte sposoby ku zwalczaniu drożyzny, ale to wszycko je takie, iże trza studnia kopać, kiej już gore, a praw wyjątkowych tyż tam nie chybio. Terazki jeszczy chcą wniyść ustawa parcelacyjno, coby ziymia jeszczy wiynkszy zdrożała, a bydło a obiele tyż. Tak to rajcują te byldowane głowiczki ojcowskie.

Tyj ustowy parcelacyjnej trza skisz wzmocniynio niymczyzny a drożyzny. Bo kolonizacjo już nie styknie, a na wywłoszczynie trza pieniędzy, chtórych niy ma. No, a jo bych jeszczy pedzioł wszyjskim, coby swoja bieda ofiarowali komisji kolonizacyjnyj i postraszyli ją, iże poloki chcą kupić ta biyda, to kolonizacjo ją kupi chnet. A to wzmacnianie niymczyzny, to sie wiy, iże to je jyno rugowanie poloków. Kiej sie jeszczy spamiyntom na Bilowa s jegó królikami a zającami, to jyno moga wniyść do trójklasowej budy pruskiyj o prawo, iże w interesie państwa noleży wszyjskich poloków operować promieniami Rentgiena; bo tak jeden profesor chcioł, coby wszyjskich głupich a ożartych a chorych a zbrodniarzy tako operowali tym światłem, coby niy mieli wiynkszy dzieci, chtóre robią jyno ostuda państwu. Pobożne junkry pruskie jyno by dowiodły, iże poloki to zbrodniarze przeciwko całości faterlandu, a hnet prawo przeszłoby, iże w tyn sposób nie barbarzyński, jyno nowoczesny a po tymu i kulturalny, trzaby poloków pozbawić siły rozmnażania sie. Ziymia już nom ziyni a bierą jeszczy, zdrowie a życie tyż po swoich grubach a werkach a wojnach, kust tyż, bo płacimy rostoliczne podatki a klasy, a zarobki głodowe, terazki życie rodzinne tyż podkopują, bo w szkole a indziyj uczą, iże poloki, to je ojcowie tych dziecek, to chachary a buksy a sługi jyno, tako jyno dziwać sie jeszczy, aże zakożą rodzin polskich. No, ale kiej szłoby o chorych, to my tyż wiymy, chtó musiołby iść albo jechać automobilami na takie operacje.

Cołko szuctrupa afrykańsko miałaby tyż s takim prawem na chorych swoja ostuda. Bo tam musieliby wyranżerować rostmajtych, chtó miołby nieskorzyj szerzyćmiłość chrześcijańsko a kultura prusko? A ludzie Koppera r'zeliby, kiejby nie bóło nikogó, chtóby im zakazowoł gospodarować na włosnyj ziymi. Terazki bo je tak, iże przyśli inksi i ziyni im ziymia a chaupy, a kiej hererzy padają, iże to jejich, to sie na nich robi gon, kiejby na bandytów. Bo doićland pono iber alles.

Zima bóła w niedziela siarczysto, terazki zaś piykny czas, hnet możno doczkomy babiygó lata. A już zaś zaduszki. Tako wspomnijcie sie wszyjscy piyknie na swoich a naszych zmarłych, ale tyż budźcie do życio tych, chtórzy żyją a są jakoby martwi. Bo takie ich życie w ciymnocie a zgniliźnie to na nic. Nom życiem je ruch, siła, walka, inakszy już przeńdą wszyjscy nad nami, kiej nad trupami, ale nad takimi, chtórym nicht świyczki na grobie nie postawi, nicht na nich nie spamięto.

Gustlik Beskuryjo.

Kącik humorystyczny.

Na co się przyda mapa.

Pewien farmer, który profesorowi przywiózł kartofli i jabłek, patrzał z podziwieniem na mapę, wiszącą na ścianie i nie mógł odgadnąć, coby te różne kreski znaczyć miały. Na zapytanie jego, wytłumaczył mu profesor, że to jest karta, na której są morza, wszystkie kraje i miasta, farmer wówczas rzecze:

— A San Francisco jest też?

— Jest oto tu — wskazał mu profesor.

— Ach, to niech pan profesor będzie taki dobry i zajrzy, co tam mój syn teraz robi, bo już trzy miesiące, jak wyjechał, a listu jeszcze nie pisał.

* * *

Z czego się śmieje.

— Oświadczyłem się pani, a pani się śmieje. Czy ze mnie?

— E, nie z mej starszej siostry...

— Co?

— A tak, bo mi dziś jeszcze mówiła, że na całym świecie nie znajdzie się taki idjota, któryby mnie chciał wziąść za żonę, a tymczasem pan mi się oświadczył... i ja wyjdę za pana.

* * *

Słusznie.

Ktoś kogoś nazwał królem głupców.

— Doprawdy, chciałbym nim być — rzekł ów — miałbym wówczas więcej poddanych, niż wszyscy królowie na świecie!

* * *

Rojenia o szczęściu.

— Wiesz co tatku? Już teraz cieszę się, jak szczęśliwy będę gdy urosnę?

— Dlaczego?

— Zapuszczę długą brodę, będę więc potrzebował myć tylko połowę twarzy.

* * *

Z raju małżeńskiego.

— Co tobie jest stary, żeś taki niespokojny i zamyślony przed jutrzejszą spowiedzią? Czy masz co na sumieniu?

— Wiesz kobieto... zwierzę ci się: oto ja przed dwudziestu kilku laty wziąłem z kościoła ciężki krzyż...

— Rany boskie! rozum ci odebrało, Macieju! Idźże natychmiast, ale to w tej chwili i odnieś do kościoła. Gdzie go masz?

— A ot tu!... — zawołał żałujący grzesznik, obejmując żonę obiema rękami. — Pójdźże, niech cię oddam tam, skąd cię wziąłem!

* * *

Zdrowa rada.

Podtatusiały jegomość, będąc na wizycie u znajomych, bawi się z pięcioletnią córeczką gospodarza.

— Nie uwierzy pani — mówi jegomość do gospodyni domu — jak ja lubię cudze dzieci.

— Tak? — odpowiada złośliwa pani domu — to czemu się pan nie żeni?

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott w Katowicach.

Nr. 45. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 9 listopada 1912.

ST. PŁONKA.

Wet za wet.

(Dokończenie.)

Więc krokiem najdłuższym, jakim się kiedykolwiek posługiwał, biegł co mógł — naprzód. Chociaż nie chciał patrzeć nigdzie więcej jak na ziemię, nie mógł oprzeć się by nie spojrzeć raz po raz w bok, w lewo i prawo. Koledzy biegli za nim.

Nie graj Otello — wołał Malski.

Nie pędź tak, proszę ciebie — wzywał Twardosz.

Liman na to, aż sztywniał cały.

Czasem znowu wołali za nim, że mu pomogą. Gdy wtedy Liman stawał, oni stawali także i śmiali się na cały głos. W dodatku i chłopak pędził za niemi, i raz po raz wołał o zapłatę.

Do największej passji przyprowadzony, stanął Liman wreszcie przed drzwiami ciotki: Koledzy krzyknęli mu „do widzenia;“ pędem wpadł na schody. Naturalnie spotkam kogoś na każdym piętrze — pomyślał. Jednakże prócz jakiejś dziewczynki nie spotkał nikogo i stanął przed drzwiami.

— Tej pani nie ma w domu — zauważyła dziewczynka, gdy już po trzykroć dzwonił.

Liman przygryzł wargi. Na szczęście wiedział, gdzie ciotka przechowuje klucz. Wydobył go z pod słomianki i otworzył. W izbie dopiero odetchnął. Padł na krzesło i ocierał spocone czoło. Gdy przyszedł do siebie, zmiarkował dopiero, że właściwie nie było powodu tak się zirytować. Fatalniejszem widziało się teraz jego położenie. Nie miał pieniędzy, nie mógł pojechać na engagement. Kto mu teraz pożyczy? Gdyby to jeszcze wiedział przedtem, że pościel nic nie warta. Ale miał do niej takie zaufanie!

Żeby tak ciotka chciała pościel kupić. Albo może ją wyekspedyować do żyda.

Liman postanowił czekać, aż ciotka przyjdzie. Ale jakoś długo nie zjawiła się.

Naraz ujrzał na łóżku ciotki tasiemkę czerwoną, wypadającą z pod kołdry i nowa myśl, błysnęła Limanowi. Zamienić pościel. Ciotka napewno będzie lepsza. Rozpruł scyzorykiem szewek czerwonej wsypy i wydobył biały puch pierza. Zatrzymał oddech i słuchał. Nikogo nie było. Zrzucił kołdrę, wyciągnął taśmę, i za jednym rzutem wsypa była na podłodze. Potem spiesznie wpakował swoją i taśmę nawlokł z powrotem. Ciotka teraz powinna się zjawić — pomyślał. Ale ciotka się nie zjawia i łóżko było przykryte, tylko taśma nie wypadała z pod kołdry. Limanowi zrobiło się jakoś lekko. I duma wstąpiła w niego. Kto dokaże tego, co robiłem w tej chwili! Jeszcze tego dokonam, że pójdę teraz do lombardu, choćby za mną całe miasto biegło. Niepodobna, żeby koledzy jeszcze czekali na dole. To znowu rozmyślał, czyby nie iść wprost do żyda. Że jednak nie znał w pobliżu takich żydów, więc postanowił iść do lombardu.

Był już na pierwszem piętrze, gdy zobaczył = ciotkę.

Rany Boskie! — co teraz?

Gdy jednakże ciotka spojrzała na niego swemi pospolitemi oczami, bez odrobiny podejrzenia, odzyskał zupełną przytomność umysłu. Tłomaczył ciotce, że chciał pościel po matce dać jej na przechowanie, ale się odmyślił i niesie ją do lombardu, bo potrzebne mu są pieniądze. Tak odprawiwszy ją, wybiegł na ulicę i znalazł się w lombardzie. Dostał pieniądze, dostał kwit i miło mu się zrobiło.

Zjawiły się upragnione papierosy, a po chwili miał patrzeć przez szybę kawiarni na ten biedny świat. Przypomnieli mu się koledzy. Na ich wspomnienie kupił hawańskich cygar Kurzyć im będę prosto w nos. Po chwili szedł przez plac promenadowy z całą aktorską skromnością, puchając dymem z dużego cygara. Twardosz i Malski obserwowali właśnie jakąś kobietę, gdy Liman wpadł im w oczy.

Jakby nic nie zaszło, Liman przystąpił do nich.

Od ciotki masz to cygaro? — zapytał Twardosz.

Tak od ciotki — odpowiedział Liman.

Może także zapalicie?

Przyjaciele zdumieli się. Liman zaprosił ich jeszcze do kawiarni. Tam kazał dać kawę i do kawy i papierosów. Palili milcząco, spoglądając to na siebie, to na Limana, który rozparty w krześle, palił zawzięcie.

Gdy kelner zastawił stół, Liman uprzejmie zachęcał i pierwszy schwycił filiżankę. Oni nie dali się prosić. W duchu jednakże myśleli sobie, że albo Liman sprzedał jakie dziesięć pościeli albo dostał od kogo pieniędzy i zbzikował.

Po kawie kazał dać jeszcze piwa i udał się do — tyłu.

Twardosz i Malski zostawszy sami, mieli teraz sposobność pomówić na serjo, co myślą. Malski twierdził, że ciotka kupiła tę pościel i jeszcze dała mu coś na drogę. Twardosz przypuszczał co innego. Poprzestali wreszcie zgadywać przyczyny, a zaczęli kpić z Limana, że tak długo w tyle zabawia. Po kpinach nastały nudy. Wreszcie zaczęli się niecierpliwić. Niech mu tam bedzie na zdrowie — rzekł Twardosz, ale co za wiele to za wiele. Ze złością wzięli gazety do czytania. Malski przeczytał jedną i Twardosz jedną; Liman nie wracał. Wzięli drugą gazetę, trzecią; Liman nie wracał.

— To coś znaczy — rzekł naraz Twardosz, odrzucając gazetę. On już tu nie przyjdzie.

— Sądzę, że uciekł tyłem — zapytał Malski z niepokojem.

— Tak jest. Zemścił się.

— Ależ to będzie skandal — rzekł Malski przyciszonym głosem. Nie mamy ani feniga.

— Trzeba się jeszcze przekonać — zaproponował Twardosz. Ja pójdę zobaczyć.

— Lecz daj mi słowo honoru, że wrócisz. Albo pójdziemy razem.

— Wrócę napewno.

— Bo gdybyś mnie zostawił samego, nie znałbym cię więcej.

Twardosz poszedł się przekonać i wrócił z miną, jakby z więzienia.

— Nie ma go — szepnął.

— Co teraz — zapytał wystraszony Malski.

Nastała przykra chwila.

— Uciec także — jest nasz jedyny ratunek — zauważył Twardosz.

— Żeby to w naszej kawiarni było, to kelner wyło-

żyłby — dodał Malski. Umyślnie on nas tu zaprowadził.

Obaj przyjaciele byli w rozpaczy. Wymyślali na Limana, życzyli mu najgorszych rzeczy. Twardosz odgrażał się, że go nabije. Nie wiedząc co począć, brali jedną gazetę po drugiej i niby ciekawo czytali. Gdyż kelner jakby coś miarkując, nie spuszczał ich z oka. Nigdy nie wydawał im się on tak znaczącą osobą, jak teraz. Czuli się wobec niego bardzo biedni. Tak przesiedzieli z dobrą godzinę. Oczekiwali stosownej chwili by módz wziąść kapelusz i dostać się na ulicę. Lecz zdawało się, że ta chwila wcale nie nastąpi. Aż naraz kelner obrócił się tyłem i wtedy Twardosz dał znak Malskiemu nogą pod stołem. Z biciem serca podnieśli się i drżącemi nogami poszli ku drzwiom. Już Twardosz był na ulicy, gdy kelner zbliżył się raptownie do Malskiego i zawołał: „Panowie mam wam powiedzieć, że już wszystko zapłacone".

PRACA.

Źródłem dobrobytu społeczeństw jest praca. Już w czasach bardzo dawnych każde gospodarstwo starało się o jaknajwiększą ilość ludzi zdolnych do pracy. Plemiona napadały jedne na drugie, zabierając nietylko potrzebne im przedmioty, ale przedewszystkiem ludzi zdolnych do pracy, zabierano do niewoli, czyli do pracy przymusowej.

Za pańszczyzny ten pan był bogatszy, który miał więcej poddanych. Gospodarstwo jego miało skutkiem pracy wielu ludzi wszystkiego pod dostatkiem.

W ustroju burżuazyjnym wydajnośc pracy ludzkiej pomnażają maszyny. Wynalazcy nowych ulepszonych systemów maszyn, mają tem większe uznanie, jeżeli maszyna więcej może wyprodukować towaru, czyli jeżeli praca ludzi obsługujących maszynę, może być przy jej zastosowaniu więcej wydajną.

Rozumna gospodarka w społeczeństwie wymaga oszczędzanie pracy ludzkiej, oszczędzanie sił, które mogą być w innych okolicznościach użyte z większą korzyścią dla społeczeństwa.

Dlatego nie wolno naprzykład zatrudniać w fabrykach dzieci, nie wolno zatrudniać kobiet w niektórych fabrykach, zwłaszcza w pracy nocnej. Zakłady fabryczne muszą być zbudowane według planów, które zatwierdza władza tylko wtedy, jeżeli odpowiadają wymaganiom ustawowym, mającym na celu ochronę robotników. Koła i pasy muszą być zastawione, aby w czasie ruchu maszyn nie narażali się robotnicy na niebezpieczeństwo.

Ustawy takie nie wydano w imię miłości bliźniego, ale z tej prostej przyczyny, dla której każdy gospodarz, choć nie zamiłowany w swej trzodzie, zaopatruje stajnie, aby trzoda w zimie nie wymarzła.

Jeżeli nie wolno zatrudniać niedorosłych, to dlatego, że zmarnowano by siły nie zdolne jeszcze do pracy. Szkoda, jaką poniosłoby społeczeństwo, nie opłaciłaby praca dziecka. Choroby, kalectwa, powodują straty, tak jak praca pomnaża bogactwo społeczne. Ustawy ochronne zastasowane jednak tylko do większych zakładów przemysłowych. Nie obejmują one wcale ogromną ilość robotników zatrudnionych w przemyśle rękodzielniczym i tak zwanym „domowym".

Ustawodawcy nie przewidywali zmian w rękodzielniach i pracy domowej, jakie powstały z rozwojem kapitalizmu. Dawny czeladnik, który po kilku latach pracy miał własny warsztat, należy już do historji. Przemysł domowy, gdzie dawniej pracował ojciec lub brat starszy z rodzeństwem, obecnie zatrudnia obce dzieci i zmienił się na system wyciskania potu. Szkoda, jaką wyrządza społeczeństwu przemysł domowy i rękodzielniczy przez marnowanie sił młodocianych robotników i robotnic, jest niczem nie usprawiedliwioną. Najwięcej szkodliwą i niekorzystną jest praca nocna. Robotnik, który pracuje w nocy, nie może następnego dnia być zdolnym do pracy. Praca jego staje się mniej wydajną, a także i pod względem jakości wyroby wykonywane w takich warunkach są mało warte.

Praca nocna tam tylko jest usprawiedliwioną, gdzie ze względów technicznych praca trwa całą dobę. W drobnym przemyśle praca nocna jest tylko świadectwem lichej gospodarki. Organizacje zawodowe, przeprowadzając unormowany dzień roboczy i wyższe wynagradzanie za godziny nadliczbowe, oddają społeczeństwu ogromną przysługę. Wszyscy rozumni ludzie, o ile kto interesował się sprawami społecznemi, uznają zbawienną działalność związków zawodowych w tym kierunku.

Robotnicy powinni ustawicznie dążyć do wzmacniania organizacji zawodowych, powinni dbać o regularne uiszczanie składek, o pracę oświatową wśród kolegów zawodowych, aby tymsamem popierać walkę, skierowaną przeciw niszczeniu największego skarbu społecznego, jakim jest praca.

Walcząc bezpośrednio z pracodawcami, musimy wywierać także wpływ na ustawodawstwo, w celu rozszerzania ustaw ochronnych, także i na przemysł rękodzielniczy i domowy.

Międzynarodowa statystyka Stowarzyszeń spożywczych.

Poniżej zamieszczamy zaczerpniętą z nr. 7 „Międzynarodowego biuletynu współdzielczego" statystykę stowarzyszeń spożywczych w Anglji, Niemczech, Szwajcarji i Belgji za rok 1911.

	Anglja	Niemcy	Szwajcarja	Belgja
Liczba stowarzyszeń objętych statystyką	1,407	1,134	319	201
Liczba członków	2,640,091	1,313,422	224,231	157,478
Liczba sklepów	—	3,927	1,081	391
Obrót w markach	1,496,049,380	355,563,974	87,850,658	25,936,736
Czysty zysk	233,878,400	21,979,675	7,432,809	3,400,176
Zwroty członkom	—	18,298,670	6,026,840	—
Udziały	665,075,140	25,078,884	2,912,883	1,544,056
Fundusze rezerwowe i inne	47,257,400	9,806,170	7,308,066	—
Liczba pracowników	90,347	19,073	4,056	—
z tego w sklepach	67,115	15,897	—	—
„ w zakł. wytwórcz.	23,232	3,176	—	—
Jedno stowarzyszenie posiada przeciętnie:				
Członków	1 876	1,158	703	786
Sklepów	—	3	3	1
Pracowników	64	16	12	—
Obrotu w markach	1,063 290	313,549	275,393	178,789
Czystego dochodu	166,224	19,382	23,300	16,916
Udziałów	472,690	22,115	9,131	7,686
Funduszów rezerwowych i innych	33,587	8,647	22,909	—
Na jednego członka wypada przeciętnie:				
Obrotu M.	566	277	391	228
Czystego zysku „	88	16	33	21
Zwrotów „	—	13	27	—
Udziałów „	252	19	13	9
Funduszów rezerwowych i innych „	18	7	32	—
Na 10 000 mk. obrotu wypada przeciętnie:				
Czystego zysku M.	1,563	658	846	946
Zwrotów „	—	514	686	—
Udziałów „	4,445	705	331	429
Funduszów rezerwowych i innych „	315	275	831	—
Pracowników „	0,6	0,5	0,4	—

Rozmaitości

Ciotka — generałem. W jednej z mniejszych miejscowości klimatycznych na „Jasnym brzegu", położonej w Alpach Nadmorskich, zmarły przed kilkunastu dniami równocześnie dwie obce sobie zupełnie osoby: stary, emerytowany od lat kilku generał rosyjski i pewna Angielka. Zmarłych w podobnych zupełnie trumnach złożono w kaplicy cmentarnej, a stąd na życzenie rodzin wyprawiono do właściwych krajów. W Londynie siostrzeniec Angielki otwiera trumnę dla ujrzenia rysów kochanej ciotki, która nie zmarła bez testamentu i oto zamiast niej widzi w trumnie starca w świetnym mundurze. Zdumiony telegrafuje do Petersburga. Wkrótce nadchodzi odpowiedź: „Pochowaliśmy pańską ciotkę z honorami wojskowemi, zrób z generałem, co się panu podoba!"

* * *

Oszustwa wekslowe w Krakowie. W Krakowie aresztowano właściciela prywatnej agencji pośrednictwa, Józefa Olkusznika pod zarzutem popełnienia nadużyć wekslowych do wysokości miljona koron. Podał on stan czynny swego majątku na półtora miljona, a stan bierny na miljon koron. Stwierdzono, że podana przez niego wartość jego nieruchomości, trzech domów w Krakowie i dwu majątków koło Lublany, jest znacznie niższa od stanu obdłużenia. Przy przesłuchaniu w dyrekcji policji ustalono, że szkoda, wyrządzona kupcom krakowskim przez Olkusznika, dochodzi do 400 000 koron. Co do weksli, podpisanych mu przez pewną wybitną osobistość ze Lwowa, to nadużył on jej zaufania i zeskontował ich naasumę 47 000 koron. Olkusznik był już karany więzieniem za sprzeniewierzenia w powiatowej kasie oszczędności w Wieliczce, miał też dopuścić się sprzeniewierzenia na stanowisku uzędnika prywatnego. Z majątków swych koło Lublany urządzał kosztowne wycieczki samochodem do Paryża.

* * *

Następstwa śmierci Mikada okazały się fatalnemi dla lekarza nadwornego, który go leczył podczas ostatniej choroby. Oto w Tokio krąży odezwa, opatrzona wielu tysiącami podpisów, a wzywająca lekarza do wykonania harakiri. Odezwa grozi, że jeżeli nie odbierze sobie życia, zostanie zbojkotowany i okryje się wieczną hańbą. Lekarz przerażony tem żądaniem, tłomaczy się, że względy etykiety nie pozwoliły mu dokładnie badać chorego. Mimo to agitacja za harakiri nie ustaje.

Gdyby tak każdy lekarz po śmierci pacjenta miał obowiązek brzuch sobie rozpruć — niebawem nie stałoby już lekarzy na świecie.

* * *

Straszna zbrodnia. W gazetach warszawskich czytamy: Ze Sławkowa (gub. kielecka) donoszą o strasznej zbrodni. Przebieg jej obfituje w szczegóły wprost wstrząsające bezmiarem egoizmu i okrucieństwa. Rzecz się tak miała: Na szosie pomiędzy Bolesławiem a Sławkowem znaleziono zwłoki ostygłe mieszkańca Ujkowa Nowego, Pawła Sroki, który pracował w charakterze posłańca na kopalni „Mortimer". Zwłoki nosiły ślady mnóstwa ran, zadawanych ostremi i tępemi narzędziami. Wiele oznak wskazywało, iż Sroka zabity został gdzieindziej i po morderstwie został przebrany w czystą bieliznę, poczem zwłoki jego złożono na szosie w celu zmylenia śladów. Ponieważ policja dowiedziała się, iż zabity bardzo źle żył ze swą żoną, powzięła podejrzenie, iż Srokowa brała współudział w zbrodni. Zaaresztowano ją, oraz jej syna 20 letniego Piotra. Ten zrobił zeznanie, które wprost zmroziło krew w żyłach obecnych. Zeznał mianowicie, iż zbrodni dokonali wspólnie: matka, on i brat jego młodszy 17letni Władysław, rzuciwszy się na ojca z przygotowanemi narzędziami: pałką, pogrzebaczami i łopatką od węgli. Pragnęli zemścić się na ojcu za to, że bił matkę. Gdy zdawało im się, że ojciec nie żyje, zaprzęgli konie do wozu i wywieźli go wraz z bratem 13-letnim Janem. W drodze zaczął dawać słabe oznaki życia, dobito go uderzeniami kija, poczem zrzucono zwłoki na szosę. Winnych zbrodni osadzono we więzieniu. W domu pozostało jeszcze sześcioro drobnych dzieci, z których najmłodsze liczy półtora roku. Wszystkie były świadkami okrutnej rozprawy.

* * *

*** Prezydent Taft o kooperacji.** W początku roku bieżącego prezydent Stanów Zjednoczonych, Taft, wystosował do kongresu orędzie w sprawie zebranych przez Urząd centralny materjałów o kooperacji i kosztach utrzymania w różnych krajach europejskich. Materjały te są wynikiem ankiet, przeprowadzonych z polecenia Tafta przez konsulów Stanów Zjednoczonych, i mają służyć do obmyślenia sposobów walki z wzrastającą niepomiernie drożyzną życia.

W orędziu swojem prezydent zaznacza, iż, aczkolwiek istniejące od pół wieku stowarzyszenia współdzielcze nie były dotychczas w stanie usunąć zasadniczej przyczyny drożyzny produktów spożywczych, ani też powstrzymać zwyżki ich cen, to jednak wpływ kooperacji na polepszenie bytu osób biorących w niej udział jest bardzo pouczający.

Pojawienie się tego orędzia w czasie obecnym ma niezwykle doniosłe znaczenie. W osobie prezydenta rząd Związkowy po raz pierwszy oficjalnie uznaje istnienie ruchu współdzielczego, przyznając mu znaczenie ekonomiczne, tudzież godność z istotnemi zasadami demokracji, które dążą do równości dochodów i warunków bytu. Uznanie obecnie tych zasad przez prezydenta, oraz przez obie izby Kongresu jest tem bardziej pocieszające, że stosowane dotychczas zasady przeciwne prowadziły do jak najgorszych wyników.

* * *

Ile kosztować będzie wojna bałkańska? Zdanie przypisywane Napoleonowi I., że do prowadzenia wojny potrzeba pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy! — znane jest powszechnie, w tem tylko rzecz, ile tych pieniędzy potrzeba dla prowadzenia wojny w czasach dzisiejszych?

Na pytanie to odpowiada senator francuski Gervais, następującym obliczeniem:

Jeden z niemieckich pisarzy wojskowych twierdzi, że realne koszta wojny z roku 1870, poniesione przez Niemcy, wyniosły 1 miljard 939 miljonów franków. Licząc od dnia 17 lipca 1870 roku, to jest od daty wypowiedzenia wojny, aż do dnia 18 maja 1871 roku, to jest do ratyfikacji i traktatu frankfurckiego, otrzymamy 245 dni wojny. Z obu tych liczb, to jest z ogólnej sumy kosztowności i z liczby dni, otrzymamy codzienny koszt wojny w kwocie 7 mil. 800 tys. franków. A ponieważ średnia siła liczebna armji niemieckiej w owych dniach wynosiła 1 miljon 255 tys. ludzi, więc każdy żołnierz kosztował dziennie mniej więcej 6,25 franka.

Jest to cena bardzo niska — powiada Gervais. — Do tej kwoty należą inne jeszcze wydatki, połączone bezpośrednio ze stanem wojennym, jak strata materjału itp. — wtedy wydatek na każdego żołnierza wyniesie 9 franków dziennie. Jeżeli w obecnym wypadku uwzględnimy znaczne mniejsze wymagania tak żołnierzy tureckich, jak bułgarskich, serbskich i greckich, ale równocześnie weźmiemy na uwagę znaczne podrożenie środków żywności, to koszt w kwocie 8 franków na żołnierza dziennie wcale nie będzie wygórowany.

Ogólne siły, znajdujące się w polu na Bałkanach, wynoszą około pótora miljona ludzi, a więc realne koszta wojny wynoszą dziennie 11 miljonów franków. Rozdzielają się one w sposób następujący:

Bułgarja (siła efektowna 355 tys. ludzi) 2 mil. 640 tys. franków; Serbja (275 tys. ludzi) 2 mil. 200 tys. franków; Grecja (50 tys. ludzi) 320 tys. franków; Turcja (800 tys. ludzi) 6 mil. 400 tys. franków. Miesięczny zatem koszt wojny wyniesie 360 miljonów. Jest to suma olbrzymia, zwłaszcza gdy uwzględnimy, że wszystkie te państwa znajdują się w nieszczególnem położeniu finansowem.

Jakkolwiek jednak obliczenie powyższe senatora francuskiego ma wszelkie cechy prawdopooobieństwa, to nie

należy zapominać, że gdy w grę wchodzą siły żywiołowe, rwące żołnierzy do boju bez względu na to, czy wojsko będzie tak zaopatrzone we wszystko, jak podczas wojny francusko-niemieckiej, czy też obyć się musi tylko tem, co mu wpadnie pod rękę — wówczas dokładność chłodnych obliczeń może okazać się zawodną.

* * *

* **Drożyzna kawy.** Paryskie Towarzystwo Ekonomiczne opublikowało notatkę, rzucającą światło na przyczyny drożyzny kawy. Cała nieomal jej produkcja znajduje się w rękach plantatorów brazylijskich, którzy przyszedłszy do przekonania, że ceny kawy są za niskie, zawarli ze sobą umowę, mocą której zobowiązali się nie wywozić niższych jej gatunków, a umniejszywszy w ten sposób podaż, pod nieść ceny. W spekulacji wziął również udział rząd brazylijskiego stanu San Paolo, który celem spowodowania zwyżki cen zakupił 10 mil. 878 tys. 266 worków kawy. Na opak jednak oczekiwaniu, ceny kawy zaczęły ujawniać tendencję zniżkową, bo plantatorzy warunków umowy nie dotrzymali. Wtedy przyszedł rządowi z pomocą syndykat bankierów francuskich, angielskich, niemieckich i amerykańskich, który udzielił pożyczki w kwocie 375 miljonów franków w tym celu, aby rząd San Paolo mógł uniknąć konieczności natychmiastowego sprzedania zakupionych zapasów kawy. Syndykat zawarł z rządem umowę, mocną której otrzymuje zapas 6 miljonów 843 152 worków, a rząd zobowiązuje się nałożyć na każdy worek kawy dodatkowe cło wywozowe w wysokości 5 franków. Pośrednictwo przy sprzedaży znajduje się w rękach syndykatu. Nadto zastrzeżono, że stan San Paolo ma prawo wywieść w pierwszym roku tylko 9 miljonów worków kawy, w drugim 9 i ćwierć miljonów, a w następnych po 10 miljonów. Finansowa potęga syndykatu jest zbyt wielką, aby coś mogło mu stanąć na przeszkodzie w jego spekulacji. Będzie on waloryzował w składach olbrzymie zapasy kawy i sztucznie wytwarzał jej brak na rynkach, a co zatem idzie, jej drożyznę. Kapitalizm nowoczesny stworzył specjalny aparat lichwy drożyźnianej, który funkcjonuje na kształt instytucji sztucznego nieurodzaju. W lata urodzajne konsumenci nie będą korzystali ze szczodrości natury, śruba spekulacji stworzy dla nich wtedy takie same warunki, w jakich się znajdowali przedtem w latach nieurodzajnych — „głodnych".

* * *

Dymokrackie medykacje.

Kiej Turcyjo miała pokój, to chciała wojny, a terazki, kiej ją mo, to chce pokoja. Ale bo to bóło tak: Jak ból pokój, to Turcyjo miała egzercerka a polityka prusko; inkszym narodowościom nie chciała dać reform, jyno je uciskała a na inksze państewka bałkańskie patrzała kiej Goljat na Dawida, bo padała se, iże na wszyjskie żądania ludności mo siła a bajonety, a na inksze państwa bajonety a kanony a piyniądze. A terazki sie pokozało, iże ta egzercerka prusko je na psa, a ta polityka tyż, a możno proch a kanony pruskie tyż jeszczy. Wojoki tureckie s tych ludów uciskanych terazki dezerterują kużden do swoich, serb do serbów, bułgar do bułgarów, a grek do greków, a turki same nie mają ducha, bo nie wiedzą, dlo kogó mają sie bić. No, a egzercerka prusko nie może się postawić słowiańskiyj, a te nojlepsze festungi tureckie, chtóre fundowali prusoki, ziyni słowianie nojpiyrwy. Francja r'zy tymu, ale blaty hakatystyczne padają, iże Bułgarjo tyż mo egzercerka prusko, jyno nicht o tym nie wiy. No, ale tyż pono skisz tegó nie je jeszczy w Konstantynopolu; bo serby, chtóre isto nie są drylowane po prusku, już są s wojną fertyk i terazki dopomogają jyno bułgarom a czornogórcom.

A to sie wiy, iże Turcyi są jedynym kamrotem Niymcy. Skisz tegó tyż posyłali jyj egzercjermajstrów, a fundowali festungi, a terazki jeszczy gazety francuskie padają, iże pono som gieneroł-basza Goltz posłoł ji cołki krigsplan; no, to ta gańba prusko bółaby jeszczy wiynkszo. Ale monarcha niymiecki, a jedyny kamrot Turcji, posłoł tyż depesza gratulacyjno do Aten skisz zwycięstw greckich. To je piykne kamractwo dlo Turcji. No, ale inakszy nie możno sie bóło spodziywać, kiej na wojna bursko-angielsko szły depesze gratulacyjne z Berlina do burów, a z Berlina tyż poszoł krigsplan do Londynu przeciw burom. Takie kamractwo wdycki uprowiali krzyżoki a kurfyrstry brandenburskie s Polską a s inkszymi.

Jaki pon taki krom padają. Jużech pedzioł, iże Turcjo za swoja polityka prusko dostaje tęgo w skóra. Ale czy sie Prusy nauczą s tegó sprawiedliwości? Za nauka trza pono płacić „lejrgield", to tyż pono trza bydzie doczkńć nieco. Terazki bo jeszczy trąbią na cołki świat, iże są rechcsztaat Prajsen, bo kiejby tak nie trąbili, toby nicht tegó nie widzioł. A już śmioć sie bóło możno do popuku, kiej jedna zapleśniało konserwa prusko w dyskusji nad wywłoszczeniem poloków wołała kiej sama tromba jerychońsko: prawo pruskie je nojlepsze prawo we świecie! Możno chcioł tyn panoczek przekrzyczeć jyno włosny głos sumiynio, iże to je se takie lepsze cygaństwo a faryzeuszostwo.

Gustlik Beskuryjo.

TOWARZYSZE! Agitujcie za Waszem pismem

„Gazetą Robotniczą"!

Precz z wrogiemi piśmidłami z domów robotniczych!

Ważna literatura agitacyjna.

	mk.
Ksiądz van den Brink, Ksiądz katolicki socjalnym demokratą	0,10
Poseł Daszyński, O formach rządu	0,30
— Pogadanka o socjaliźmie	0,10
Ksiądz Göhre, Katechizm wyborczy	0,15
Socjalna demokracja a wojsko	0,05
A. B. (Jędrzejowski), Walka o swobodę prasy w Anglji	0,15
Karol Kautsky, Podstawy socjalizmu	0,20
P. Kampfmeyer, Socjalna demokracja w świetle historji kultury	1,—
Ferd. Lassalle, O istocie konstytucji	0,35
B. Limanowski, Rozwój przekonań demokratycznych w narodzie polskim	0,65
Ośmiogodzinny dzień roboczy	0,10
F. P(erl), Systemy wyborcze w najważniejszych państwach konstytucyjnych	0,25
F. P(erl), Komunizm w pierwotnem chrześćjaństwie	0,15
S. Posner, Domy ludowe w Belgji	0,10
Przeciw militaryzmowi	0,20
Wojewódzki, Znaczenie związków zawodowych	0,25
E. Vandervelde, Ustrój socjalistyczny	0,60

Księgarnia „Gazety Robotniczej"

Katowice.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott w Katowicach.

Nr. 46. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 16 listopada 1912.

ST. PŁONKA.

Za miasto.

Był to czas przedgwiazdkowy. Antek rozniósł gazety i biegł ku domowi. Po drodze wszedł na rynek zastawiony budami jarmacznemi i już nie mógł się oprzeć pokusie, by się nie powałęsać trochę.

Na środku rynku bieliły się śniegiem dachy małych domków, tych domków wązkich, co jedno tylko okno mają na każdym piętrze. Tylko pierwsza narożna chałupa z czworoboku zabudowania, stała sobie tam kiejby gruba baba. Okno na dachu czepcem dachówek obsłonięte, widziało się Antkowi zupełnie tak, jak głowa starej Karczewskiej, kiedy rano w czepcu oknem patrzy i na kury woła.

Każdy chciałby tu mieszkać — pomyślał Antek.

A ratusz okratowano belkami, gdyż podobno miał być przeinaczony i chciano sobie zobaczyć zbliska orła na szczycie.

Antek zapuścił ręce w kieszenie i obiegł wkoło rynek, przy każdej budzie patrzał ciekawie. Bo też było co oglądać. Nietylko, żeby jakby na złość poustawiano sporo bud z piernikami i stroidłem na choinę, ale jeszcze widzieć było można inne ciekawe rzeczy.

To chłop lał atrament na czerwone sukno i mydłem zielonem wyprał w talerzu. To złoty łańcuszek szorował o kant belki, a łańcuch był jeszcze złatszy i kosztował pięć trojaków. To książki czarodziejskie pokazywał, bąki jakieś z wieżą i inne dziwne rzeczy. Gdzieindziej to znowu widzieć było można djabełka małego, co na odgłos dzwonka zjeżdżał w napełniony wodą cylinder i wróżył przyszłość.

Wesoło było na rynku i dziwnie świątecznie. Wszystkie składy miały wielgachne okna wystrojone i w każdym coś pokazyją, dla uciechy. Światła dużo się paliło, a od wielkich szklannych bań elektrycznych, aż łana biła na niebie. Chmury leżały nizko, były szare i zda się gęste jak wata. Głosy na rynku nie uciekały, słyszały się wyraźne, jakby wymówione w wielkim kościele.

Radowało się w Antku wszystko, chociaż nie wiedział dla czego.

A że chęć go wzięła na jabka czerwone, których strzegły grube przekupki, więc pomyślał o pojściu do domu. Jeszcze zobaczył sobie budę z końmi na biegunach, z latarnią do świetlanych obrazów; a pudła z wsiami, z zabudowaniem, z bydłem i z pasterzem, szczególnie pooglądał.

Kiedy wychodził z rynku, to się jeszcze obejrzał. W wązkiej ulicy, co się zwała Szeroką, stał jak w drzwiach, które wiodły na ten rynek światłem jarzący i wystrojony. Dzwonki elektrycznych tramwajów pobrzękiwały i tonęły w gwarze. — Że też wszystko co najlepsze tu znoszą — pomyślał Antek.

Poszedł ku domowi i w oczach niósł obraz tego rynku, który jak ogromna szopka gwiazdkowa tkwił mu w pamięci.

Niebawem w domu na Chwaliszewie pił Antek kawę. Rozgrzał się, bo zmarz cokolwiek. Matka zabrała się z flaszkami do żyda, gdyż nie było węgli a chłopak został sam.

Spojrzał przez okno na miasto. Mnóstwo świateł drzało tam w mrozie. — Zaś ponad te wszystkie sterczało jedno, niby gwiazda zawisła pomiędzy niebem a ziemią. Światło z wieży ratusza. Antek znał je jak lampę w swoim domu. Przywykł patrzeć na nie jak na obraz przed którym pacierz mówi. Światło migoce się i trzęsie. Czy też, matka zapali lampę, widzą się te dwa światła? — pomyślał. Wieża nad nim w niebo leci i znika. I z nią orzeł na szczycie. Duży on ma być jak wrota, — mówi Karczewska — jeszcze za czasów króla polskiego wsadzony.

Chłop, który go wsadzał, podobno zamieszkał w nim i żyje. Co on robi teraz w tych ciemnościach? Zajada pewnie kolację, swoje zioła czarodziejskie i przy gromnicy czyta. Żeby go tak raz zobaczyć — pomyślał Antek. Lecz to nie dane jest dzisiejszym ludziom — mówi ojciec. Tak wysoko nie przyjdą dziś ludzie.

Tak rozmyślał, aż matka wróciła z węglami. Po chwili ogień wesoło buzował w piecu. Ciepło też zaczęło się pomału rozchodzić po izbie i chęć brała do rozmowy. Matka i syn uczuli ten pożytek węgla. Dlatego też matka napominać jęła Antka, by latem nie zaniedbywać się i znosić do domu flaszki, blachy, płaty, wszystko co na łąkach z lepszego wybrać można. Bo niewiadomo — mówiła — co tam człowieka czeka z każdą godziną.

Antek nie chętnie myślał o tem zbieraniu. Znali go z tego na całym Chwaliszewie i od „nośpłata“ wyzywali. A że mu matka nie po raz pierwszy wspominała o tem, więc się odżachnął i rzekł: zawsze w płatach, zawsze jo.

— Kiedyś taki pan, to maszni, albo nie jedz Chopak zaczął duczeć! Matce zrobiło się żal. Zaczęła pocieszać! Urośniesz synu — będzie lepiej — to tylko teraz.

Antek uspokoił się i spojrzał na matkę jakby ją o coś zapytać chciał. Ale poprzestał i zaczął sobie gwizdać wesoło. Wnet szperać zaczął po izbie i nieznacznie wynosić coś do komory.

Nazajutsz dostał od ojca burę, że porznął skrzynkę, od siostry hałas, że porwał szmaty. Budował szopkę. Zobaczymy — myślał, czy ja czemś lepszem nie zarobię. Zbuduję taką szopkę, w którą każdy z radością pieniądz włoży. Więc urywkami w komorze budował. Skrzynce oderwał jeden dłuższy bok i wieko. Z oderwanych części wyrznął i zbił dwie czworograniate wieże z oknami, co jeszcze miały bramy u dołu do otwierania. Wieże te ustawił w dwóch tylnych narożnikach skrzynki. Pomiędzy niemi zbudował żłobek z zasłoną do rozciągania. Nad nim zawiesił niebo z kawału modrej szmaty i gwiazdy nalepił na nią z srebnego papieru. Do tego nieba przyczepił gwiazdę z papieru złotego. W spodzie skrzynki wyrznął ganek w półkole od jednej wieży do drugiej. W ganku miały się przesuwać figurki koło żłobka. Wieże oblepił czerwonym papierem od cykorji. Niebieską żelatyną zalepił okna. Pocią ku temu lampkę grubową schowaną na dzień zaduszny. Dno zazielenił skubaną pończochą, na klej nasianą. Na łące tej pasły się owieczki. Czerwona kurtyna — siostry świąteczny fartuch — całość zasłoniła.

Trudu sprawiało mu jeszcze wystruganie pasterzy i monarchów. — Lecz gdy ubrał pierwszy kijek z kulką w suknie i kapelusz, zdawało mu się, że człowiek nie wiele się od niego różni.

Wreszcie dzięki dniom pracy i zabiegów, dzięki zmudzeniu do szkoły i wysiłkom za trojakami, stanęła szopka

gotowa, oświetlona. Niebieskiemi oknami patrzały wieże, a w żłóbku leżał Pan Jezus i błogosławił.

Antek znał mniejwięcej kolędy, które śpiewali równiesie jego z Chwaliszewa. Ale chciał poznać lepsze i umieć je dokładnie. W tym celu udał się do Kajdka na Śródkę, którego bracia wszyscy z szopką chodzili. Ów Kajdek miał jeszcze z kąciś „knigę", w której najdziwniejsze stały kolędy. Mówili, że mu ją siostra Barbara darowała. Kiedy się z Kajdkiem spotkał i powiedział mu o co chodzi, zrobił ten poważną minę. — A „Gewerbe" mosz? — Antek nie rozumiał. — Widzisz falango, z szostką chcesz chodzić, a nie wiesz co „Gewerba". To jest fif. Jak mówię „Gewerba" to rozumiesz znaczy: Nie dać złapać się od „puca".

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z głodu.

Odmówili mu nieba
Sił i pracy i chleba,
  Więc głód chwycił go w szpony zabójcze —
A miał chłopię — ot tycie —
Ukochane nad życie,
  Co wołało nań: „Chleba mój ojcze!"

A tej prośby moc taka,
Że pierś słaba biedaka
  Uderzała silnie na kształt gromu....
W sklepie chleba jest tyle!....
Biedak wahał się chwilę —
  Ukradł chleb — i ucieka do domu.

Okrzyk zgrozy się szerzy:
„Gwałtu! Złodziej!" — Tłum bieży
  I wnet chwyta sprawcę wielkiej zbrodni.
Powtarzając wśród krzyku:
„Jakże śmiałeś nędzniku?
  — „Ludzie, z chłopcem byliśmy tak głodni!"

Do więziennej go celi
Za tę zbrodnię zamknęli,
  Aby słusznie odcierpiał za winę,
Tam też wkrótce ze świata
Straszna wieść go dolata,
  Że mu chłopię umarło jedyne,

Rozpacz.... stryczek na haku....
Śmierć — i już po biedaku!....

Artur Gliszczyński.

Chroniczna nadprodukcja.

Obok kryzysów perjodycznych, obok przemijającej nadprodukcji ze zwykłem w takich razach niszczeniem wartości i trwonieniem sił, rozwija się coraz silniej nieustająca nadprodukcja, to jest chroniczne trwonienie sił.

Przewrót w technice odbywa się bez przerwy, obejmując cora to szerszy zakres, gdyż wielka produkcja kapitalistyczna z roku na rok zdobywa coraz to nowe gałęzie przemysłu, coraz to nowe kraje; wytwórczość więc pracy wzrasta nieustannie.

Jednocześnie bez przerwy gromadzi się wolny kapitał. Im bardziej wzrasta wyzyskiwanie robotnika, oraz liczba wyzyskiwanych, robotników, tem więcej gromadzi się nadwartość, czyli klasa kapitalistów więcej może odkładać gotówki.

Produkcja kapitalistyczna nie może zatrzymać się w pewnych rozmiarach; jej stałe rozszerzanie się jest dla niej kwestją życia, zastój to dla niej śmierć. Podczas gdy dawniej rzemiosła i chłopstwo danego kraju z roku na rok, produkowały to samo, a produkcja wzrastała tylko wraz z ludnością, kapitalistyczny system prokukcji z góry już warunkuje nieustanny wzrost tejże produkcji, w której wszelki zastój powoduje bolesne niedomagania społeczne.

Rozszerzenie rynków zbytu w ciągu ostatnich pięciu dziesięcioleci skończyło się objęciem całego globu ziemskiego w jedną handlową całość, a wszędzie znajduje się więcej sprzedających, niż kupujących.

Przenikanie towarów wielkiego prremysłu zabija drobny miejscowy przemysł wszędzie i zamienia rzemieślników i drobnych rolników w proletarjuszy.

Powoduje to w każdym z rynków zbytu przemysłu kapitalistycznego dwie ważne zmiany: zmniejsza się siła nabywcza ludności i w ten sposób przeciwdziała rozszerzeniu się odbytu na wewnątrz rynku, i co jest jeszcze ważniejsze — stwarzając proletarjat, przygotowywuje tam grunt do wprowadzenia kapitalistycznego systemu produkowania.

Tak więc przemysł europejski i Stanów Zjednoczonych w poszukiwaniu za rynkami zbytu sam sobie grób wykopuje.

Począwszy od pewnego punktu rozwoju każde dalsze rozszerzenie rynku oznacza dlań powstania nowego konkurenta.

Wielki przemysł Stanów Zjednoczonych, datujący się zaledwie od lat 40, dąży nietylko do rozciągnięcia swego panowania nad całą Ameryką, lecz również do opanowania rynku powszechnego. Również młody choć jeszcze słaby przemysł rosyjski zaczyna swoimi towarami zalewać większą połowę Azji. Anglicy wiele gałęzi swojego przemysłu przenieśli do Indji; Japonja stała się krajem przemysłowym i zaczyna produkować na wywóz.

Słowem, zaczyna się już chwila, że zagraniczny i kolonjalny zbyt okazuje się fikcją.

Są to pewne oznaki zbliżającego się bankructwa całego obecnego przemysłowo handlowego systemu.

Skutkiem tego wzrasta ilość środków produkcji niedostatecznie, lub wcale nie wyzyskanych, ilość bogactw, ginących niepotrzebnie, ilość sił roboczych z konieczności próżnujących. Do tych należy zaliczyć także ogromnie liczne pasorzyty na ciele społeczeństwa, które nie mogąc uczciwie pracować, szukają środków do podtrzymania egzystencji w najrozmaitszych zupełnie zbytecznych a często szkodliwych dla ogółu czynnościach. Dalej wytwarza się cała masa lumpenproletarjatu. Wreszcie zwiększa się liczba urzędników, policji, sędziów i wojska.

Społeczeństwo kapitalistyczene zaczyna już upadać pod ciężarem własnego nadmiaru; jest ono coraz mniej zdolne do wytrzymania pełnego rozwoju stworzonych przez nie sił produkcyjnych; coraz więcej tych sił pozostawia odłogiem, coraz więcej produktów idzie na zmarnowanie.

System kapitalistyczny jest koniecznością dziejową; spełnił on swoje posłannictwo, ale się już przeżył i zaczyna być powodem strasznych cierpień większości ludzi.

Produkcja wspólna wymaga też wspólnej własności środków produkcji.

Jak szlachta feudalna niegdyś, tak dziś klasa kapitalistów stała się już przeszkodą do dalszego rozwoju produkcji. Własność prywatna środków produkcji oddawna już przestała zapewniać każdemu producentowi stałe utrzymanie wolność.

Ze środka, pobudzającego społeczeństwo do szybkiego rozwoju sił wytwórczych, stała się środkiem, zmuszającym społeczeństwo do coraz większego marnowania sił wytwórczych. Z dźwigni rozwoju staje się przyczyną zabagnienia i bankructwa społecznego.

Państwa muszą pomyśleć o wewnętrznym jedynie racjonalnym rynku zbytu, co bez podwyższenia skali zarobkowania w masach uskutecznić się nie da.

Teraz już niema kwestji, czy mamy zachowywać czy nie własność prywatną środków produkcji. Jej upadek się zbliża. Chodzi tylko o to: czy upadek własności prywatnej środków produkcji ma pociągnąć za sobą społeczeństwo do upadku (jak to się przytrafiło z państwem rzymskiem),

czy też społeczeństwo ma się pozbyć tego zgubnego brzemienia, ażeby wolne i pokrzepione na siłach mogło dalej kroczyś po drodze, którą mu wskazują prawa rozwoju.

Pod szybem.

Walek: No Janie, tobie jakoś służy, poczynasz rubnąć. Zapewnie ci służą te pańskie kartofle i kapusta, no a wieprzowina też, którą teraz dostajemy!

Jan: Ty zaś Walku pleciesz, jak stara Kasia pod lipą przy blasku księżyca. Od takiej ciężkiej roboty, od kartofli a kapusty a kawałeczka brzucha wieprzowego, to można sie ale wypaść.

Walek, zapalując fajkę: Hm, musisz Janie nie zapominać, że to pokarm pański, który nam panowie na odpłatę sprzedali, a od takiego pokarmu powinniśmy wszyscy zrubnąć tak, że pod nami na filarze drabiny się łamać będą.

Jan: Ale musisz Walku o tem nie zapomnieć, że do tej grubości nie przyjdziemy, bo o to postara się już poseł centrowy Goebel z Mysłowic!

Walek: A to po jakiemu, do djabła?

Jan: No, członkowie z „Reichstreuen Knappenferajnu“ z Zabrza pośli posła Goebla prosić, żeby się za nami górnośląskiemi górnikami w sejmie pruskim ujął i żądał dla nas podwyższenia zarobków.

Walek: No i jakóż, czy już to ten pan uczynił?

Jan: To się rozumie, żądał więcej wagonów na węgiel i powiedział, że jest brak wagonów na węgle i my przez to zarobić nie możemy.

Walek: A niech go gęś zadnią nogą palnie. Ale co sie dziwić, to stara taktyka centrowców. Kiedy jeszcze wodzili rej na Górnym Sląsku, to nam radzili zbierać podpisy i wysyłać petycje do sejmu pruskiego, a kiedy mieli nad naszemi żądaniami obradować, to zawsze petycje wędrowały do kosza.

Jan: Gewerkferajn chrześćjański, który tak haniebnie przy ostatnim strejku naszych kamratów w Westfalji zdradził, odbywał 13 października b. r. w Katowicach swoją konferencję pod komendą swego gienerała p. Imbusha, na którą zaproszono także posła p. Goebla, ażeby mu może coś do spełnienia przedłożyć.

Walek: A co tam spełnić przyobiecał?

Jan: Nic. bo wcale tam nie przybył.

Walek: Hm, może się wstydził zasiadać pomiędzy strejkbrecherami?

Jan: Ej, nie mów już Walku o centrowcach i gewerkferajnie chrześćjańskim, bo to nie dla nas górnośląskich górników ta gałgańska organizacja.

Walek: A co mówisz Janie na tę sprawę, co robi Zjednoczenie?

Jan: Na, żądania te nie byłyby dla nas złe, tylko taką myślą, jak myśli Zjednoczenie, osięgnąć tego będzie trudno. Ja jest tego zdania, że Zjeonoczenie stoi na tej samej drodze, co dawniejsza „Wzajemna Pomoc“. Petycja za petycją, aże kobyła zdechła!

Walek: Wiesz Janie, będzie to może lepiej jak nasza „Gazeta Robotnicza“ będzie przekształconą na „Dziennik Robotniczy“. Prędzej będzie można tych różnych geszefciarzy politycznych przygwoździć.

Jan: Ale wiesz ty Walku co, my z tych pańskich kartofli, kapusty i wieprzowiny zagalopowali do polityki i gdyby nas tak zabrski lantrat słyszał, to zaraz pośle kilka król. policjantów nasz wiec rozwiązać.

Walek: Masz rację Janie, bo te podszybie nie odpowiada przepisom policyjnym, niema nigdzie wyjścia, tylko trzeba czekać, aże nas wyhangują.

Jan: Zle by pan lantrat nie zrobił, żeby nasze schadzki pod tym szybem kazał rozegnać, bo byśmy się prędzej na wierzch wydostali, gdyż jakby nasz kamrat „anszläger“ nie chciał ludzi hangować, toby go wpakowali do kozy i nauczyli by go moresu, że niema czekać aże się więcej ludzi pod szybem zjawi, tylko każdego zaraz wyfedrować.

Walek: No, będziemy wyjeżdżać i sami sobie nasze zebranie zakończmy a jutro go znowu zagaimy. Janie, wybierz w kuźni dobre kilofy i dłutka, żebyśmy jutro prędzej odparzyli i znowu sobie pogaworzyli. Szczęść Boże Janie!

Do widzenia Szczęść Boże Walku!

Z liryki tureckiej.

Z oryginału tureckiego przełożył Eugeniusz Meller.

Wino i kobieta.

...Białe szkło — jak sierp miesiące
złote winko jest słoneczne,
blask księżyca i blask słońca
łącząc się w przymierze wieczne.
Winka jasno-złocistego
daj do szklanki z beczek wiela!
W świecie niemasz tak czystego,
jak w puharze przyjaciela...

...I słodyczą nie wzgardź trunku,
choć jej serce wre trucizną —
więc za rozkosz pocałunku
płacisz nieraz bólu blizną.
Ale lepiej mi z nią razem
stać w piekielnych mąk obrocie,
niż żyć w raju z jej obrazem
operlonym z łez w tęsknocie...

...Zawsze idź za duszy głosem,
chociaż nieraz głucho jęknie —
twoje serce pogódź z losem,
nim na wielki biedne pęknie.
Dajże winka złocistego
do szklanicy z beczek wiela!
Niemasz w świecie tak czystego,
jak w puharze przyjaciela...

Rozmaitości

Piękną gospodarkę wykryto w magistracie w charlottenburskim.

Na ślad jej wpadł główny książkowy zupełnie przypadkowo, gdy w czasie urlopu kasjera Bartelsa przedstawiono w kasie sfałszowany czek na 37 000 marek.

Gdy tylko kilka drobniejszych oszustw wyszło na jaw, zawieszono w urzędzie wszystkich trzech głównych kasjerów, Bartelsa, Sachtlebena i Zöbera. Na wiadomość o wykryciu oszustw, kasjer Zoeber popełnił zamach samobójczy, lecz uratowano go w porę i przewieziono do szpitala.

Rewizja kasy, prowadzona pod kierunkiem nadburmistrza, trwała do rana we środę. Urzędnicy używali papierów wartościowych do swych prywatnych operacji finansowych.

* * *

Dwaj uparci. O skandalicznem zajściu w kościele donoszą z Walcza w Prusach Królewskich. Na bramie kościoła katolickiego przymocowano kartkę z następującym napisem:

„Obwieszczenie! Ponieważ kościół został przez komornika sądowego przy pomocy policji gwałtem otworzony, nie będzie się narazie odbywało żadne nabożeństwo, także w dni powszednie nie. Również nie będzie dzwonionem. Wałcz, 21. października 1912. Zarząd kościoła, Ks. Prandke.“

Powód do tego zarządzenia dał zegar na wieży kościoła, który jest zarazem oficjalnym zegarem miejskim. Od kilku miesięcy zegar nie bije i dotąd nic nie uczyniono

w celu usunięcia przeszkody. Spór o to pomiędzy zarządem kościoła a magistratem zaostrzył się nawet do tego stopnia, że sprawa za porozumieniem obu stron oddano przed sąd. Od kilku dni zegar zsastrajkował całkowicie, czyli że ani nie bije ani nie wskazuje godzin. Wobec tego zażądał burmistrz, aby przynajmniej zegar naciągnięto. Temu żądaniu oparł się proboszcz, dowodząc, że dopóki przyrząd do bicia nie będzie naprawionym dopóty zegar nie potrzebuje też chodzić. Wobec tego burmistrz kazał zegar naciągnąć przez specjalnego posłańca, któremu atoli wzbroniono wstępu do kościoła. Na to rozporządził burmistrz urzędowe wkroczenie do kościoła przez komornika sądowego pod osłoną policji i zegar naciągnięto wbrew woli proboszcza niejako gwałtem. Krótko potem pojawiło się na bramie kościoła powyższe obwieszczenie. Proboszcz w południe tego dnia zaraz wyjechał, by wnieść zażalenie na burmistrza. Skandaliczne zajście wywołało w mieście ogromne poruszenie nietylko wśród ludności katolickiej ale także wśród ewangielików. To ogromne poruszenie się wnet zmieni. Skoro uparty burmistrz i ksiądz ochłonie z gorączki, wtenczas się znowu pogodzą.

* * *

Romantyczna osóbka. Zaginiona od kilku dni 13letnia córka pewnego pensjonowanego wyższego oficera w Berlinie znalazła się obecnie — w Hamburgu. Pewien urzędnik kryminalny obserwował ją na ulicy Steindamm, gdzie zapatrzona była w jodno z okien wystawnych i zabrał ją tymczasem do aresztu. Młodziutka awanturnica wyznała na policji, że już od kilku dni błąkała się po ulicach Hamburga. Wyznaczona przez rodziców dziewczynki nagroda w sumie 300 marek przypadnie oczywiście w udziale owemu urzędnikowi policji.

* * *

Szczyt naiwności. Na urzędzie stanu cywilnego w Pile pojawiła się pewna kobieta, chcąc zgłosić — zdechnięcie swego wieprzaka. Urzędnik tylko z mozołem zdołał ją przekonać, że na urzędzie stanu cywilnego zgłasza się tylko zgon ludzi, a nie zwierząt i kazał jej udać się na policję, która jest kompetentną władzą w takich przypadkach.

Dymokrackie medykacje.

Przody bóła a jeszczy je wojna z drożyzną, zaś bóła wojna o óno łacniejsze mięso, a terazki trzeba zrobić wojna o lepsze zarobki, coby tyż można kupić ónygó mięsa a zmarzłych kartofli tyż nieco. Do Katowic magistrat sprowadziół dziesięć wołów, ale dziewięć ś nich odsprzedoł dalsze, tak, iże jyno sztyry sta funtów miysa pono sprzedowali. Wiynkszy wołów nie sprowadzili, bo se pono pedzieli, iże w Katowicach je za telo wołów a lnkszyj żywizny a gizdów a gawiedzi. To sie tyż wiy.

Ale hnet Katowice bydą wiynkszy byldowane a wiyukszym miastem, bo dostaną pono nowy kinematograf, prawie przy gazowni. Kiejby tam mioł być wiec polski albo niymiecki dymokracki, albo jyno taki rewolucyjny dom z biną, toby policaj hnet pedziała, iże to można być fajergeferlich a zarozki odmówiłaby pozwolyństwa. Ale tak to pono prawie nie ma tegó niebezpieczyństwa pożaru, kiej gazownia mo z jednej strony bana a s inkszyj kintop. A można tyż miasto se pado tak: niech sie tam i spoli ta gazownia, to z fajerkasy bydzie nowo kajińdzi, bo tam na starym miyńscu wdycki jyno swąd. Kiej tak, to dobrze, a kiejby tak nieco jeszczy spłaeić długów miejzkich, bółoby jeszczy lepszy. Ono „koche mit gas“ psu na buda sie nie zdo, kiej niy ma co gotować, a klasa trza płacić.

Boroki rechtory a nauczyciele bydą mieli smutne Gody, bo skisz szparowanio, to je skisz oszczędności, pono dostaną miyńsze dzieciątko. Jo tym panoczkom bardzo nie przaja, bo niekierzy ś nich za telo krzywdzą nós a nasze dziecka. Ale jyno chciołbych spamiyntać, jak to łońskiego roku w parlamencie rząd a prawica wrzeszczały, a łzy krokodyle roniły, iże poczciorzom bydzie krzywda a niesprawiedliwość, kiej im wezną ostmarkenculagi, na chtóre już czkali. Ale bo tam szło o to, iże polityka antypolsko mioł parlamynt piznąć w łeb, a haw to rząd som jyno robi ze awoimi pachołkami, co jymu sie widzi. Kiejby im tak jeszczy ostmarkenculagi pobroł na swoja kasa wojenno, to bółoby jeszczy wiynkszy sprawiedliwe, a widziołby, co straciółby patrjotów.

Za to berchmanom, to je górnikom wielkie szczęście przaje: som cysorz niymiecki wyznaczół nadgroda za papier chemiczny, chtóryby wskazowoł grożący wybuch na grubie. Jyno, że takiygó papieru nicht nie wyónaczy, a kiejby móg, to o ćmoku w kopalni gó nie widno. Tako to wielkie szczęście s temi wskazówkami wybuchowymi pozostunie pono tyż jyno na papiyrze. Bo papiyr wdycki je cierpliwy a nojwiynkszy w Prusach. Tu na papiyrze zostają tyż wszyjskie prawa, bo policaj mo inksze pod pikelhauby, na papiyrze tyż wszyjskie przepisy policyji górniczyj a inksze, bo bejamtry mają swoje w chyrtowniach a w kilofkach, na papiyrze rostmajte telegramy ubolewające nad nieszczęściami, no, i na papiyrze z mowami tronowymi pozostaja tyż rostoliczne przyrzeczenia lepszych reform, no a inksze słowa ministrów a samych królów lotają se w lufcie, niekiedy można cepelinami.

Ale cołko Ojropa tak robi: Turcji obiecała całość, ale obiecki pod niecki, bo tyż nie lża tym państwom bałkańskim brać ich downych krajów; zaś tym państwom obiecała wolno ręka, a terazki ta sama Italjo, co pchała Czornogórę do wojny, terazki społem z cysarokami a niymcami pado serbom, iże nie śmią brać portów albańskich. A po jakiygo pierona kandygó to cołkie trójprzymierze cołki świat poruszało, coby bół pokój, a terazki wszyjskich burzy, coby bóła wojna wszechświatowo, o to pono trza szniupać w Berlinie, bo kajby indziyj? Przeca terazki tam wszycko prze do wywłoszczynio wszyjskich, polaków a sąsiadów, a profesorowi Hassemu chce sie i Warszawy! No, a nie można tyż przeca dać słowianom zapanować na Bałkanie, bo hakatyści popukaliby od zgorszynio. I zaś smok giermański pokazuje kły. Ale kiej mu tyż tak tam naplują w tyn pysk wdycki głodny...

To sie wiy, iże blaty hakatystyczne zaś świecą wielkie zwycięstwo partji rządowych a rządu skisz ónyj interpelacji polskiyj w sejmie pruskim o wywłoszczynie. A ś nimi i „Katowicerka“. Ta lagramencina w tych samych numerach swoich lituje zwjyrzęta i łzy krokodyle przelywo nad ludźmi bez serca, chtórzy katują biedne konie a gowiydź. I pisze, że człowiek dlo zwierząt nie mo być pachołkiem kata bez czucio. To je bardzo piyknie a jo padom to samo, bo tak noleży, iże te ubogie zwierzęta trza tyż szanować. Ale kiej rechtory pruskie tyż biją dziecka polskie do krwie, kiej policaje strzylają do bezbronnych a katują więźniów, panoczki rostmajte a bejamtry robotników a robotnice, kiej matki s niemowlętami chorują po więzieniach za obrazę zdrajców robotniczych, kiej cołki system pruski katuje dusze ludów podbitych, to „Katowicerka“ nijak nie pomstuje od pachołków kata, jyno jeszczy szczuje wiynkszy katujących a szlechtuje katowanych a uciśnionych.

To je testamyntnie ta obłuda hakatystyczno; tako te blaty zatruwają swoich czytelników, a zaś biadają, iże je telo buksów na Śląsku a indziej. Tako ech wdycki padoł, iże nijak nie wolno uczciwym ludziom ambonować tych szmat, bo nie szerzą oświaty, jyno faryzeuszostwo a buksostwo. Wszyscy wiycie, iże dlo robotników je nojlepszo nasza „Gazyta Robotnicza“, a od Nowygó Roku bydzie „Dziynnik Robotniczy“, a wdycki nojlepszy Wom przaje Wasz

Gustlik Beskuryjo.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott w Katowicach.

Nr. 47. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 23 listopada 1912.

ST. PŁONKA.

Za miasto.

Antka ogarnęło zwątpienie: A niby zaco mo nos „puc“ łapać? Kajdek włożył ręce w spodnie i rozkroczył nogi. — Jakiś ty głupi! A zaco on mo gwiazdkę? Ale jak zemną się pucisz, to może nos „puc“ gwizdać! Chcesz? — Antek przytaknął: Właśnie do ciebie idę, żebyś mnie kolędy nauczył. — Fiuu... zagwizdnął Kajdek. Jo ci dam kolędy, ty je odgryzmolisz, a jo mogę potem spiewać: „Gonili się Anieli po niebie.“ Jo ci coś powiem. Chcesz to się zgódź, a nie, to nie. Najpierw zobaczę sobie twoją czopkę, a potem dum ci połowę moich „kundów“ jeżeli mi pozwolisz na spółkę z twoją skrzynką wyśpiewywać. Bowiem moja, rozumisz, leżała cały rok w sklepie i matka chowała w nią pyry. Musiołbym ją od nowa wylepić. Więc co mówisz? godzisz się? — Antek kiwnął głową.

Teroz — prawił Kajdek — poszukomy knigę i pójdziemy do ciebie zrobić próbę. Jak trzy razy prześpiewamy, to się nauczysz. Mom jeszcze kilka kasprów od mojej szopki to wezmę ze sobą. A pampra z pokrywami, mosz? — Ano widzisz. A organista z workiem? Widzisz? tyż nie. A to grunt, bo gdzie mieli by pieniądze wrzucać. W garść to nie honorowo. Kajdek wydobył z komory grubą książkę, która dla ochrony owinięta była w dużą chustkę wełnianą. Antkowi zaswieciły się oczy. Kajdek włożył ją ostrożnie w zanadrze i już mieli wyjść, gdy mu się jeszcze coś przypomniało. — Gdy jutro ruszymy, to nie w kapeluszu, rozumiesz? Tylko w bobach, co ci głęboko na uszy i ślepie wpadnie, żeby nos falangi z „lani“ nie poznali i przed bakalorzem napetzowali. Antka zdziwiło to ogromnie. — A co kumu do tego, co my robimy? — Godej z chamami zarezonował Kajdek. Ale co tam o tem myśleć. Mosz bobę, albo ni mosz? — Nie mom. Ano widzisz! Wydobył z łóżka dużą krymerkową czapkę i wsadził Antkowy na głowę, na kapelusz. Czapka pomimo kapelusza wpadła tak głęboko, że jeno koniec usza było Antkowi widać. Tako rychtyk — zauważył Kajdek. Schowej ją pod katanę, boby zaroz po Śródce mówili: Wybierają się ze szopką.

Antek przyprowadził do domu Kajdka i pokazał mu w komorce szopke. Kajdek rozwarł gębę. Patrzał z niedowierzaniem to raz na Antka, to znowu na szopkę. — Mosz fif! mosz fif! — mówił przeciągle. Nie myślałem, że w takiej mazepie jak ty, tyle oleju. Zato zgodzę się już koziołki i pampry nosić. — Antek tryumfował. Podszepnął matce, by zrobiła kawy.

Matka mimowoli uśmiechnęła się.

— Oj wy boble! przyprowadzi sobie takiego gwizdka i już go gość jak starego. Zrobiła jednak kawy i wszyscy się troje napili. Kajdek tak przyjęty, obtarł gębę rękawem, wydobył książkę z zanadrza i do matki Antek tak się odezwał, zatytułowawszy ją Pani! — Antek wykształcił fajnistą szopkę, a ja go zato nauczę najlepszych kolęd.

Więc zapalili świeczki, Antek uklęknął za szopkę, poszykował, zadzwonił i próba się rozpoczęła. Kajdek zakrzyknoł: „Chola wy chłopy z pola do szopy.“ I z bocznej wierzy wysunęli się pasterze, tańcząc w koszlawy rytm, tak jak Kajdek gardłował. Matka przestała się śmiać. Zapomniała, że figurki, to ręce jej syna. A Kajdek wycinał:

Hoj dyna, hoj dyna, hoj dyna!
Niech żyje Pan Jezus, dziecina!

Pasterze znikły a powolnie wysunęło się trzech monarchów. Kajdek ciągnął głosem jak harmoniką:

Gwiazda drogę wskazuje,
Króla się ukazuje,
Umknijcie się panicza,
Niech swe skarby wylicza.
Królowie jadą, z darami,
Z darami —

Kajdek podskoczył, zaczął drygać sobą i tupać nogami:

A my pastuszkowie, nie tylko królowie
Na przodzie, na przodzie!
A na tej kapeli, niech się rozweseli
Na mrozie, na mrozie:
Więc pojdziemy każdy do swej trzody,
A byśmy nie zaznali szkody,
Z Sołacza, z Sołacza. (przedmieście)
Królowie cofali się powrotem.
Kaspar był z kraju Arabji.
Majcher był z królestwa Persji,
Z darami, z darami.

Kajdek spojrzał zerem, czy od żłobka wszystko umknęło, pociągnął wozem, złapał oddech i zaczął rąbać następującą mową:

Jam jest król Heród,
Król i Monarcha! —

Antek nie mógł Heroda odrazu znaleść, więc Kajdek kopnął go nieznanie, raz jeszcze ten wiersz powtórzył i potem:

Szanowane państwo będźcie wszyscy zdrowi
Byłem ja u grobu Adama —
Szanowne państwo jest to prawda sama.
A gdy żem spał, anioł mi powiedział
Że się Chrystus rodzi.
Jest to tak krytyczna nowina,
Wołajcież mi syna.

(Syn zjawił się zaraz.)
Kajdek udawał cienki głos.

Składam się na rozkaz surowy.

Znów Kajdek — Heród.

Idź precz odemnie!
Zawołajcie mi żyda rabina!

Teraz Kajdek — żyd.

Kic, Kic miłościwy panie,
Składam się zaraz na twe rozkazanie.

Znów Kajdek — Heród.

A ty żydzie rabinie
Nie słyszałeś nic o moim tromo?

I Kajdek — żyd. —

A dalibóg! ja się sam tego chronię.

Żyd ledwie uciekł a już Anioł usunął się drugą bramą. Kajdek przypomniał sobie księcka od tumu i zaczął go naśladować.

Jam jest Anioł z nieba zesłany,
Abyś wierzył w Jezusa,
Nawracał pogany
I szedł wiarą Chrystusa.
Mówiłem ci, mówiłem marnotrawny synie!
Że twe bogactwo marnie zginie,

Kajdek groził straszliwie.

Zepsuje ci się berło i korona,
A cię natrafi śmierć utrapiona;

Antek wysunął Śmierć z kosą, którą zachwycił łeb Heroda i wciągnął do wieży. Teraz zaczął Kajdek śpiewać kolędy najrozmajtsze. „Gonili się Anieli po niebie". — „Przyszedł do Jezusa szewczyk ubogi" — „Pan Jezus się rodzi, pijmy w jego zdrowie" — a na zakończeniu o panu gospodarzu i pani gospodyni.

Matka patrzała na to wszystko z wielkiem zastanowieniem. Wreszcie odezwała się: Niech wam Bóg poszczęści. Antek podniósł się z kolan, które scierpły mu jak przy pacierzu podczas nabożeństwa. Na prośby Kajdka prześpiewali raz jeszcze. Potem pożegnali się i Kajdek przyrzekł przyjść nazajutrz, jak się tylko ściemni. Była to wilja. —

Niejeden dostanie sutą gwiazdkę — perświadował Kajdek — to nie była o markę. Poszli więc, Kajdek znał od zeszłego roku chętnych swoich „kundów", więc chciał zaprowadzić Antka do znajomego mistrza szewskiego. Ten pewny jak złoto — mówił w drodze. Szedł więc przodem a za nim Antek milcząco z szopką, na plecach. Czapki mieli głęboko wciśnięte. Nie omylił się Kajdek.

Chętnie im otworzono. Gromada dzieci powitała ich z radością. Poczciwy majster siedział jeszcze przy warsztacie i klepał. Na widok ich przestał jednakże. Antkowi zrobiło się gorąco. Pomimo to nie zdjął czapki, chociaż i Pana Boga pochwalił. Kajdek zaledwie postawił koziołki, ryknął na całe gardło: A wczora z wieczora! Podczas tego Antek uszykował szopkę i zapalił świeczki. Potem zadzwonił, zasłona odsunęła się, dzieci wydały okrzyk radości. Wśród śmiechu i kwiku prześpiewali program. Najmłodsza córa otrzymawszy od majstra pieniądze, wrzuciła je w worek organisty. Poskładali, pochwalili Pana Boga i wyszli.

Na ulicy spojrzeli na siebie. Kajdek tryumfował: Są trzy bejmy! Jeszcze dziewięć takich, a momy talara.

Kiedy już za dwie marki obeszli, zaprowadził Kajdek przed jedną dość okazałą kamienicę. To — prawił — mieszko jeden pun bogaty, co książki pisze. Tyn ci nom marę zwali. Będziesz widzioł. Wszedłszy na pierwsze piętro, stanęli przed drzwiami na których widział napis: Kaminski. To tu wyszeptał Kajdek. Trzeba zadzwonić. Antkowi coś w piersiach zapukało — Lepiej nie zdzwonić, bo to tak z „pańska". — Głupiś, odryknął Kajdek — i nacisną na guzik. W wnętrzu zaskrzypiały drzwi, przyleciały hałaśliwe kroki i drzwi się otwarły.

Kajdek wsadził: A wczora z wieczora — „Verfluchte Bettelei!" ucięło mu śpiewanie. Antek chciał uciekać, ale go schwyciła ręka a drugą Kajdka. Człowiek, którego przed czapkami nie widzieli, zapytał ich o nazwisko. — „Rajbny" — podszepnął Kajdek. Antek milczał. Kajdek, zapytany, składał bez zachłyśnięcia: Antek Cegła. To dodało Antkowi otuchy. Maciej Szrama wykształcił.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wywłaszczenie.

Byli tylko wszyscy małymi kmiotkami. Domki mieli małe, gliną i słomą pokryte a po jednej stronie owych domków była przybudowana tak zwana obora dla krów, jałówek i cieląt. Krowy były także używane do polnej pracy, gdyż koni nie miał żaden z nich.

Na uboczu stała stodółka a przy niej mały patyczek dla świń.

Słomy, którą te wszystkie zabudowania były pokryte, nie było poznać, gdyż była mchem porośniętą; tu i owdzie zielsko wyrastało. W środku tak zwanego podwórka był dół wykopany da gnoju, wszystko to było płotem ogrodzone.

Płot zazwyczaj był w ten sposób zrobiony: kołki w ziemię wbite, trzy tyczki w poprzek przybite a potem gałąskami oplatany. Na mostku przed wrotami był zwykle kamień, który służył za ławeczkę a w pobliżu znajdujące się pola i łąki były żyzne i urodzajne; tak więc był każdy ze swego zadowolniony.

Aż tu naraz przyszedł posłaniec od jaśnie wielmożnego pana posiedziciela dóbr do Jakóba, ówczesnego sołtysa i mówi mu, że ma się stawić do jaśnie pana. Sołtys, ubrawszy się świątecznie, dalej do pałacu pańskiego. O zbliżającym się służba już naprzód jaśnie pana zawiadomiła. Sołtys, niżeli wszedł do pałacu, zdjął czapkę i czeka — nie wiedząc wcale, poco przyszedł. Był więc zaciekawiony, aż nagle jaśnie pan wchodzi.

— Jakóbie przyszedłeś? — mówi dziedzic.

— A tak, jaśnie wielmożny panie! — całując go w rękę.

— Słuchaj Jakóbie, co ja sobie życzę — mówi dalej dziedzic. — Te pola, co wy chłopi posiadacie, ja dla siebie wezmę a wam dam te ku boru, więc powiedz wszystkim chłopom o tem; zatrzasł drzwi i poszedł.

Jakób na wypowiedziane słowa przez dziedzica aż osłupiał — zadziwiony i zakłopotany idzie do domu z zwieszoną ku ziemi głową. Na mostku przed wejściem do podwórza stała jego żona, czekając na niego i z ciekawością zapytuje, co tam jaśnie pan od niego żądał?

Jakób machnął tylko ręką i rozgniewany szedł do izdebki. Żona zaś zaniepokojona niezwykłą miną swego męża, pobiegła za nim, usiadłszy koło pieca na ławie, przypatruje się posępnej twarzy Jakóba tak, jak gdyby chciała zmartwienie męża z twarzy jego wyczytać.

Jakób nareszcie odetchnął ciężko i opowiada żonie, co jaśnie pan jemu powiedział i czego żąda. Skończywszy opowiadanie, dodaje:

— Idź teraz po Tomka, niech przyjdzie tu do izby!

Starszy Idzi służył we wojsku, będąc zarazem u księcia Radziwiłła za burszę.

Tomek wchodzi do izby z matką, rzecze ojciec do niego: Idź do wszystkich gospodarzy i powiedz im, że dzisiaj na wieczór mają wszyscy przyjść do mnie na gromadę!

Wieczór się zbliża, słońce zachodzi a kmiotkowie po ciężkiej całodziennej pracy dążą jeden po drugim do sołtysa, ciekawi, co też tam będzie nowego. Tym razem zeszli się wszyscy, nie zabrakło nikogo. Izdebka sołtysa była zapełniona, jedni siedzieli, a drudzy stali, gdyż nie było na czem usiąść. Sołtys usiadł przy stoliku a żona jego przy kominku, oświetlając izdebkę łuczywkami, gdyż wówczas innego oświetlenia nie było.

Teraz powstaje Jakób z ławeczki, na której siedział i zaczyna ze łzami w oczach opowiadać, że jaśnie wielmożny posłał po niego i powiedział mu, że chce ich pola odebrać i dać im te koło boru, nieurodzajne i mokre. Ja — powiada sołtys — na to nigdy nie przystaję. Po wypowiedzeniu sołtysa, zrobiło się wszystkim tak, jakby im kamień na serce spadł. Posmutnieni i zniecierpliwieni raz siadali, to znów wstawali, ocierając sobie łzawe oczy rękawem lub rogiem od kamizelki, gdyż mówić nie mógł żaden.

Nareszcie Jakób mówił znów dalej: Kochani komotrowie i sąsiedzi! Na zabranie nam pól nie możemy się zgodzić, chociażby poszło do ostateczności! Wszyscy więc godzili się na jego radę i przyrzekli mu, że nie i nie pozwolą i nie podpiszą się.

Na drugi dzień cała wieś była oburzoną na takie pańskie wymaganie. Kobiety chodziły jedna do drugiej, naradzając się, co robić: nie damy sobie wziąć i nie chcemy tam tego. — I tak szło przez kilka dni, że nawet o pracy nikt nie myślał.

Jaśnie pan nie mógł w dobroci swego osięgnąć, więc sprowadził wojsko z Poznania i tych, co się upierali, kazał pod komendą wojska popakować ich manatki na wielkie wozy z drabinami i zawieźć ich na graniczny rów i tam im pozrzucali całe rupiecie do rowu. Tych, co się dobrowolnie na odebranie ziemi zgodzili, było tylko kilku.

Była to nędza w tym rowie: bez dachu, miski, garnuszki potrzaskane (gdyż wtenczas żelaznych jeszcze nie było, tylko gliniane), pościel podarta, powalana. Całe rodziny popadły w biedę i głód. Płacz dzieci i rozpacz starszych był nie do opisania. W rowie tym przebywały całe rodziny przez kilka dni a na ich gospodarstwach osadził pan dziedzic innych, co się na jego żądania zgodzili. Po niejakimś czasie zlitowali się nad wyrzuconymi rodzinami sąsiedni panowie i pobrali ich do dworów na deputat a Jakóba wziął sam jaśnie pan do dworu za karbowego, czyli pierwszego włódarza, gdzie służył wiernie swemu jaśnie panu aż do śmierci. Był to mój pra-dziaduś a ów jaśnie pan, to Józef Morawski w Oporowie pod Poniecem.

Potem później powstał w dobrach dziedzica ogień w czterech miejscach naraz a lud wołał: ludzka krzywda się pali a z nią i nasze papiery. J. Ratajczak.

Co kosztuje pokój w Europie?

Przy uzasadnianiu konieczności najnowszych nadzwyczajnych kredytów powiedział minister wojny między innemi tak: „Przygotujmy się do wojny tak, abyśmy nie musieli jej prowadzić“ i zażądał 125 miljonów koron więcej, które mają być rozdzielone na trzy lata. Inne państwa mówią: „Kto chce pokoju, niechaj się zbroi do wojny“, a to jest to samo, co powiedział minister wojny.

Zaprawdę, droga to recepta, za którą płacić muszą ludy. Wydatki na wojsko wynoszą podług tego w roku 1912 okrągło:

W Rosji 1430 miljonów koron, w Niemczech 1102 miljonów koron, we Francji 878 miljonów, w Anglji 665 miljonów, w Austro-Węgrzech 635 miljonów, we Włoszech 399 miljonów, w Turcji 299 miljonów, w Hiszpanji 176 miljonów, w Portugalji 42 miljony, w Szwecji 76 miljonów, w Rumunji 71 miljonów, w Niederlandnch 54 miljony, w Belgji 51 miljnów, w Szwajcarji 43 miljony, w Norwegji 40 miljonów, w Serbji 48 miljonów, w Bułgarji 39 miljonów, w Grecji 20 miljonów, w Danji 17 miljonów, w Czarnogórze 2 miljony koron.

Jak jednak bezsensowne są te gadania, że kto chce pokoju, ten musi się zbroić do wojny, dowodzi nam właśnie ta Europa, która w tym jednym roku wydaje „na pokój“ $6^1/_2$ miljarda koron. O „pokoju“ tak długo myślano, to znaczy, tak długo z powodu niego „zbrojono się do wojny“, aż ta stoi przed nami w całem swem niebezpieczeństwie. Cztery państwa bałkańskie — Bułgarja, Serbja, Grecja i Czarnogóra — walczą przeciw Turcji. Żadne mocarstwo w Europie nie zdołało przeszkodzić, aby król — Czarnogóry, aby głowa królestwa o 200 000 mieszkańców pierwszy Turcji wypowiedziała wojnę, za czem poszła Bułgarja, Serbja i Grecja tak, iż Turcja musi się bronić na cztery strony. Przytem pokój Europy wisiał na jednym włosku i nikt nie wie, jakie jeszcze następstwa może mieć wojna bałkańska. Ale dalej będzie się energicznie zbroiło „dla pokoju“ i Austro-Węgry nie ostatnie sypią na ten cel pieniądze ze swego worka.

Rozmaitości

Egzekucje w Rosji. Nieistniejąca w ogólnym kodeksie karnym kara śmierci, za sprawą stanów wyjątkowych i kodeksu wojennego, stała się w państwie rosyjskiem rzeczą zwykłą i pomimo „uspokojenia“, znajduje coraz częstsze zastosowanie.

Przekonywa o tem statystyka, prowadzona przez tygodnik „Prawo“ na podstawie doniesień dziennikarskich o wyrokach i egzykucjach.

Mianowicie od dnia 14 go września 1910 roku do tegoż dnia 1911 roku, wojskowe sądy okręgowe wydały **225** wyroków śmierci.

Od dnia zaś 14-go września 1911 roku do tegoż dnia 1911 roku, owe sądy wydały 280 wyroków śmierci.

Jeszcze bardziej wzrosła liczba wykonanych wyroków śmierci.

Od dnia 14 go września 1910 roku do tegoż dnia 1911 roku, stracono 47 skazańców.

Od dnia zaś 14 go września 1911 roku do tegoż dnia 1912 roku, stracono aż 105 skazańców.

Liczba skazywanych i traconych w rzeczywistości jest niezawodnie jeszcze większa, gdyż nie wszędzie wychodzą dzienniki, któreby o wyrokach i egzekucjach donosiły.

* * *

Biskup przeciwko spółkom spożywczym w Królestwie. Biskup dyecezji kieleckiej, ks. Łosiński ogłasza w „Polaku-katoliku“ artykuł, w którym się zwraca przeciwko obecnemu stanowi rzeczy w związku stowarzyszeń spożywczych i hurtowni warszawskiej i zaznacza stanowisko Kościoła katolickiego, że Papież ma prawo dawać wskazówki organizacjom społecznym, a więc i każdy biskub zobowiązany jest kierować wszelkiemi objawami życia wiernych. W zakończeniu domaga się biskup, by pismo związkowe „Społem“ przeszło w inne ręce, jednocześnie poleca duchowym swej dyecesji, aby nie należeli do zarządów stowarzyszeń spożywczych, dopóki skład zarządów się nie zmieni.

* * *

Skandaliczne sceny w klasztorze rosyjskim. Z Petersburga donoszą rzecz następującą:

W klasztorze Sura pod Archangielskim doszło przy wprowadzeniu nowej przełożonej do skandalu publicznego. Mniszki nie chciały uznać nowej przełożonej, której przeszłość ma pozostawiać wiele do życzenia. W odpowiedzi na opór ich zjawiła się przełożona w kościele klasztornym podczas nabożeństwa w towarzystwie biskupa i dwóch policjantów. Ostatni zaczęli bić i łżyć mniszki w najbrutalniejszy sposób, pozdzierali im z głowy kapturki i welony. Niektóre z zakonnic zemdlały ze zgrozy, inne uległy atakom histerycznym. Wskutek zajścia tego przeważna część mniszek uciekła z klasztoru. Synod zarządził śledztwo, obecni przy skandalu chłopi zaś podali do gubernatora skargę o pobicie zakonnic.

* * *

Fotografowanie na odległość. — Michał Schmierer, młody inżynier, syn konsula holenderskiego w Galecie, z rodziny pochodzącej z Polski, zbudował i opatentował w Berlinie aparat, którym można przesyłać podobizny osób i rzeczy za pomocą elektrycznego prądu z jednego miejsca na drugie. Wynalazek ten ma szczególną wartość dla pism illustrowanych, które będą mogły prędzej wszelkie zdarzenia ważne przedstawić swoim czytelnikom, niezbędnie zaś potrzebny będzie dla policji przy poszukiwaniu złoczyńców. Już przed niedawnym czasem donosiły gazety o podobnym wynalazku Körna, którego skorzystał wydawca berliński Scherl, zakładając stacje pomiędzy berlinem a Monachium. Wynalazek ten niedomagał pod względem technicznym, przedewszystkiem trzeba było odfotografować osobę, której podobiznę chciało się przesłać, otrzymany zaś obraz podzielony był na wąskie paseczki. Przy metodzie p. Schmierera, aparat odsyłający obraz nie potrzebuje fotografji, wystarczy mu osoba sama a podobizna jej mająca wygląd autotypji, ukazuje się w tej chwili przy stacji odbiorczej.

Dymokrackie medykacje.

Jeszczy nie dwa tydnie, jak poszła depesza z Berlina do Grecji, kaj je siostra króla pruskiygo, a ta depesza raduje sie, iże greki zwyciężyli turka, a woło: hura, hura, hura! Ale terazki zaś poszła z Berlina depesza, ale do sułtana tureckiygó, a w tyj depeszy radzi mu tyn isny, coby sie turki wziyni w kupa, to bydą mieli łaska Ojropy, kiej bydzie pokój. Tako wszyjscy dziwali sie, po jakiymu można tu świycić a tam gasić, tymu radować sie s jegó zwycięstwa, a ónymu jegó nieprzyjacielowi winszować, coby tyż zwyciężół. Ale jo, Gustlik Beskuryjo, nie dziwuja sie, bo przeca Hohencolerny wdycki mają dewiza, to je hasło: „Suum cuique", to je „kuždymu to, co noleży", a kiej dwa karlusy sie pierą, to trza kuždymu ś nich pedzieć: „sie nie bój, rachuj na mnie".

S Turcyją pono przed Adwentem już bydzie koniec, bo albo bydzie już pokój ś nią, albo ją wezną óne małe państwa bałkańskie, albo ją weźnie cholera. Boroki te ludziska, chtórym ta wojna a niemoc wziyny życie a zdrowie, ale tyż pono cołki świat mo terazki nauka, co to je wojna. A nojwiynkszo nauka pono bydą mieć te wielkie państwa, chtóre mają ludnoćć niezadowoloną, a jeszczy ją uciskają a miasto reform, zaprowodzają niymieckie kanony a niymiecko egzecerka. Bo tu widzą wszyjscy, iże same pruskie „gryfekloppen" nie stykną, ani kanony tyż nie, jyno te wojoki muszą tyż wiedzieć, za co sie mają bić s inkszymi, chtórzy im nic nie zrobili, jyno miyniyj krzywdy, jak włosny rząd. I widno tyż, że tyn wojok musi mieć siła; kiej zrobią mobil, to óno żarcie w marszu a z kulami nieprzyjacielskimi i tak na psa, a biwaki a armaty to i zdrowygó chycą, a wiynkszy niymocnygó. A po jakiymu taki rezerwista mo mieć siły a zdrowie, kiej mo głodowe zorobki? Kiej siły stargane głodem a nadszychtami, to mu ich tyn kust na wojnie przywróci, — kiejby jyno bół jeszczy kąsek chleba w niekiere dnie, a czas tyż, coby go można zjeść, Ale za przyleżytnością fatherland pruski rzy francuzom a inkszym, iże ich broń nie styknie na wojna; ale podziwołbych sie, chtórym wojokom dalsze styknie zdrowio a sił, czy niymieckim, czy inkszym.

Nojlepszy bóło, kiej rostoliczne szmaty hakatystyczne wdycki przedziej szlechtowały wojska a ludy bałkańskie, kiejby to bóły same bandy chacharskie, a wojoki tureckie to bóły reguler a wszycko fajn byldowane a uzbrojone po prusku. A ónym ich „wycom" końca nie było widno, jeszczy se spamiyntom na óna fotografijo, jak wielki turek pierze óne małe szkudy, kiej ojciec swoje dziecka. A terazkł som kanclyrz Bethman-Holweg pono chce w parlamyncie pedzieć wielko mowa, iże nie można tak rzyć ónym małym państewkom, bo to wszystko poszło „na wiwrót". Tako sama już „Katowicerka" pado, iże kanclyrz mo prawie, bo chto szlechtuje te małe narody, tyn cisko w szybki niymieckie, skisz tegó, iże lepszy niymcom mieć w tych ludach kamrotów jak nieprzyjocieł. S tegó widno, iże „Katowicerka", chtóro sama wdycki pomstuje na słowian a kaj niymcy nie mają nic do stracynio, koże prawić wdycki „ajn kerniges echt dajczes wort", terazki gibko zatyko wszyjskie jadaczki niymieckie a swojs tyż, bo tam terazki niymcy nie mogiiby robić gieszeftów na Bałkanach. Takie milczenie to mo być dlo Niymiec tyż zawojowanie Bałkanów. No, to kanclyrz a cołko hakata pono tyż sie rozumu nauczyli. Ale kiejby tyż tak poniechali szlechtowanio inkszych norodów w Prusiech a Niymczech, a dymokratów tyż, coby se nie psuć gieszeftu? A przeca po sprawiedliwymu tu mo być równouprawnienie?

Piykny tyż je „Ratiborer Ancajger', bo pado, iże w norodowyj pieśni niymieckiyj „Wacht am Rajn" je „furon teutonicus", to je wścieklizna niymiecko. „Ancajger" pado, iże to mo być „dajcze begajsterung", ale wedle książek a nie wedle wiedzy rydachtorów od „Ancajgra" mo być „dajcze razeraj". No, i prawie mo tyn ancajger, iże ta pieśń pokazuje niymiecko wściekłość na Francyjo, Ale po jakiymu tyż nie pisze, iżeby wszyjscy niymcy poszli se wachować tyn swój piykny Rajn? Po jakiymu óni wszyjscy wolą raczyj siedzieć między tymi pono przejętymi polokami, chtórych jeszczy wywłoszczają, bo niy ma już pono placu do tych wszyjskich przybłędów? No, ale nie wszyjskie poloki jadą do Ameryki, kiejby chcioł rząd z hakatą, jyno rostmajci jadą nad tyn Rajn, ale nie skisz tegó, coby gó „wachować", jyno, coby tam pracować. No, i można tyż nieskorzy bydzie śpiewano inkszo „Wacht am Rajn" ale po polsku a po myśli naszyj marsyljanki. Tak to już je, iże niymcom dobrze je śpiywać o Rajnie a wściykać sie nim, ale lepszy siedzieć „in der polakaj", „in Oberpodoljen". Ano, bo tyż nad Rajnem mają jyno kwaśne wino, kiej gotowany ocet a wiynkszy nic, a haw mają wszycko, a jeszczy dobry a łacny jęczmień na dobre piwo, no, a niekierzy jeszczy mają ostmarkenculagi. Tako sie tyż jyno wdycki nawołują „cum rajn", ale nijako żoden sie stąd nie ruszy. Ano, z Panem Bogiem, a hnet!

Ale bo te głowiczki hakatystyczne nie belejakie. Kiej zaś terazki Turcjo ocyganiła cołki świat, iże bułgarów pocisła aże do Czorlu, zarozki „Katowicerka" napisała o bułgarskich warunkach pokoju piykny artykuł „Das recht auf ausplinderung" to je, prawo do ograbiynio". W tym artykule pado ta szmata, iże Bułgarjo mo prawo do ziymi zdobytej, ale nie mo prawa do kosztów wojennych, chtóre wykalkulowała se na poł miljarda. Tak pisze prusko gazyta a powołuje sie na prawo międzynarodowe. No, kiej Niymcy wziyni Francji Alzacjo i Lotaryngjo, to ji okrom tego wziyni pięć miljardów franków, a inwalidów mieli miyniyj a tym jeszczy tyż mało dali. Prusy jeszczy dziś na sedana a wszędy a wdycki wypominają to Francji, no, a hurapatrjoty nojwiynkszy. Ale terazki, kiej idzie o państwo słowiańskie, to szmata hakatystyczno spamiyntała sie na sprawiedliwość, iże nie można, „iżeby ku gwołtom na bezwładnem państwie przyłączyło sie jeszcze wymuszanie"! No, a co tyn wielki Fryc robół s Polską? A co jeszczy dzisiok prusokł ś nią dokazują? Bierą ziymia a podatki a krew jeszczy! A s Francyją, a s Hanobrem, a cysarokiem, a z Danją, a z kolonjami? No, wiycie, można być buksem, to rozumia, bo policaj ani sztacanwalty ani reksanwalty nie mieliby s czegó żyć; ale coby taki ercbuks robiół sie inkszymu sędzią, to jyno w Prusach krzyżackich można; jyno w Rusieji tyż jeszczy, ale tam inksi mają na to brauningi a bomby.

Gustlik Beskuryjo.

Kącik humorystyczny.

Ostróżność nie zawadzi.

U rogatki, przy wjeździe do miasta, kłócą się dwaj żydzi woźnice:

— Jankiel, ty jesteś osioł!

— Josel, ty jesteś barbn!

— Pst! — wtrąca trzeci — przestańcie się przezywać. Dozorca rogatek weźmie to na serjo i pobierze od was kopytkowe.

* * *

Cierpliwości.

— Lekarz zapisał mi zimne kąpiele. Biorę je od miesiąca i do tej pory skutków nie czuję.

— Nie bądź tak niecierpliwy; znałem damę, która po zimnej kuracji.... dopiero w pół roku umarła.

* * *

Jedyny ratunek.

— Cóż ty na to powiesz? Adwokat kazał mi zię ożenić.

— Adwokat? Chyba lekarz.

— Nie, adwokat. Bo to uważasz, że tam coś było między nią a mną — to głupstwo, ale ja przypadkowo zabrałem jej kilkaset rubli i teraz tylko małżeństwo może mnie uratować od kozy.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott w Katowicach.

Nr. 48. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 30 listopada 1912.

ST. PŁONKA.

Za miasto.

(Dokończenie.)

Podali jeszcze fałszywe mieszkanie. Myśleli, że się na tem skończy, lecz nieznajomy zapytał ich jeszcze o nazwisko nauczyciela. Skłamali i to. Nato się drzwi zatrzasnęły. Kajdek i Antek schodzili smutno ze schodów. A to kałęd! — zawarknął Kajdek. Chodźma do dóm — radził Antek. Akurat! widzisz go! do dóm. — Na złość nie pojdziemy. Że nam mara poszła koło nosa, potuśtumy się gdzieindziej. Jo wiem jeszcze jeden kat. — Tą razą mieli szczęście. Weszli bowiem do pewnego dorożkarza, który pijany siedział na ziemi a wkoło niego gromada dzieci. Dorożkarz przyjął ich wrzeszczącym rykiem. Nie przestał ryczeć i podczas śpiewania kolęd. Pod koniec wziął Antkowi szopkę, postawił sobie na kolana i cabaniałą ręką zaczął w niej babrować. Antek trząsł się niecierpliwie. — Ej! bo to tylko tak przyklejone — zakrzyknął nagle. W krzyknięciu tym wypadła szopka z rąk dorożkarza. „Jezus! Marjo! święty Józef na ziemi“ — zaryknął dorożkarz z kwikliwym śmiechem. „Tu mocie na buty dla niego“. I wyjąwszy markę, rzucił ją do skrzynki. Pozbierali wszystko i wyszli. Na ulicy Kajdek wyzywoł: To antychryst! U niego święty czy nie święty, to jeden djaboł! Ale marę doł, — Napluł na nią, w ręce nachuchał i spojrzał na Antka. — To niby trzy złote na każdego! Co Antek? Kajś tam wlozł! — Antek jakby nie słyszał. — No godej że, jak do ciebie mówię! — zaryknął Kajdek. Honorowyś, że mosz bejmy w kabzie, czy co? Antek jakby w rozmowie przerwany, zapytał: A jutro Kajdek, pojdziemy? — Czy pójdziemy? Tak głupio mi się jeszcze nikt nie pytoł. Staro jaka, że pojdziemi. I posprzeczali się.

Antek przyszedłszy do domu, oddał matce trzy złote. Ta, pierwszy raz w życiu nie wiedziała, co do dziecka swego powiedzieć. Patrzał Antek w jej oczy rychło się w nich zbudzi radość dla niego. Ale popierw pojawiła się litość. — Biedaku! pewnie wykarkłeś. Jak wam poszło? O — dobrze! rzekł Antek. Jutro znów pojdę. — Ale to święta. To nic! odmachnął Antek. I szopkę ustawił do komory i tak jakby się drzewa narąbał, wsiadł do stołu.

Matka postawiła gorącą kawę, ze szafy wydobyła strucel darowany. Pierwszy raz dając nóż Antkowi rzekła: Kraj ile chcesz. Antek uchwycił nóż i już miał krajać, gdy nagle zastanowił się. — Matka nie umiem, kraj ty. — Ty ukraj, bo mom brudne ręce — uniewinniała się matka. To wszystko jedno, jak matka nie ukraje, nie będę jódł. Matka nakrajała. Lecz on jadł nie prędzej, aż się wszyscy zeszli i usiedli do stołu.

Było po trzech królach.

Kajdek i Antek wracali z spuszczoną głową ze szkoły. — A to ci num wzolił. Mnie pietnaście. A tobie? Antek załkał: Nie wiem.

Nie rób sobie z tego nic. Żebym tylko wiedział, co za cholera nos napełcowoł. Kielce by mu wyleciały. Ale tymu kałdunowi nie podaruję. Namówię braćków, będziesz widzioł jak mu gignął pod żebro. Wiesz? jutro do lani nie pojdziemy. Bo niby co? Dumy się bić? A za co? Tak zaco? – powtożył Antek.

Przyszedłszy do domu nic nie mówił, ale nie pohazywał wyrazu twarzy. Tłumił w sobie łkanie i schronił się do komory. Za co on mnie bił? pytał się wszystek umysł jego. Za co?

Jak mógł ten człowiek obcy ten tak elegancko ubrany, niewiadomo przez kogo uprawniony, zminą, białą ręką chwycić go, jak nikt jeszcze dotąd i tak bić? Jego ból zabił by pewnie jego matkę. Ociec by go za to udusił jak psa. jak ten „Nikt“ mógł go tak zbić? Zaco? — Zaco?! — prawie zakrzyknął Antek. Z przestrachu tamował oddech, żeby matka nie usłysza. I zdało mu się, że ta komora, to gruba zasłona, która ochroni go przed światłem, co zdradza policji, przed wiatrem, którym oddychają, źli ludzie.

Ja już na dół nie pójdę! Ja do tej szkoły nie pójdę!

Antek chorował. —

Rozpaczona matka uklękła przed łóżkiem i zaczęła się modlić! Chłopak majaczył: Trąbia na ratuszu. — Do góry — matka! Orzeł jak wrota. — Prawda Karczewsko? — Tam, złoto — dokument króla — Matka mów pacierze — bo spadnę. — O gołębie! Gonili się Anieli po niebie — złote pióra — złote pióra — Matka bo lecę. —

Matka — matka! — krzyczał coraz bardziej. Co Antek? To jo — to moja ręka — Antek! słyszysz? Jezus! Marjo! Antek szlochał silnie. Matka ocierała mu łzy i sama płakała. Osuszył łzy dopiero miłosierny sen.

Przeszedł czas.

Antek znowu latał po ulicy, chodził do szkoły. Ale inne mu się teraz ulice wydawały, niż przedtym. Te które wiodły do szkoły, znienawidził. Spotykał tam bowiem dużo panów w binoklach, podobnych z daleka do nauczycieli. Do szkoły chodził ze wstrętem. Gdyż jakby w korytarzach o wybladłych ścianach latały echa zastygłych krzyków. Z poza zamkniętych drzwi cisnęły się zduszone śpiewy, pomieszane z krzykiem wyzwisk z ostrem cięciem trzciny uderzającą w płacz.

Kiedy z tej szkoły wracał do domu, przypomniał sobie dawne ulubowanie ulic. Kiedy to jeszcze myślał, że ojciec i matka i to miasto — wszystko o niego dba.

Lecz teraz idąc ulicą, coś go goniło i strzegło. W domu, nauczył się od ojca zamykać drzwi szczelnie. A gdy patrzał w jego twarz, zdawało mu się że go goniło przez życie dużo policjantów. Widywał dawniej chętnie kominiarza na wysokim dachu. Ale teraz gdy spostrzegł, że jest tam regularnie o miesiąc — — zginął w antkowych oczach wzrok tego zawrotu. Każdy musi... ktoś, kogo nikt nie widzi, zmusza. — Ktoś wszystkich goni.

Najlepiej — myślał — uciec gdzieś w inny świat. Do ludzi takich jak ojciec i matka. Albo ukryć się gdzieś, gdzie żadna złość ludzka człowieka nie dosięgnie. — Dlaczego chłop zaklęty w orle wolał tam zostać, niż tu na świecie? Bo mu tam dobrze. Budują także do niego rusztowanie, ale nie dojdą. Wie o tem ojciec, wie o tem matka, każdy. Jeden on w mieście niedosięgnięty. Jeden on złością ludzką nietknięty. Umrze ojciec, umrze matka,

umrze on Antek, a on będzie jak jest od czasów króla polskiego. Pewnego dnia rzekła matka po zamyśleniu. Na lato pociągnemy do Główny. Antek słuchał jej, jak obcej kobiety. Zaczął pokrzepiać się otuchą: Jeszcze wytrzymiemy. Tylko do czasu. A potem ja będę szukał po mieście lepszego życia.

Tam w Głównie — jak my tam matka będziemy żyć? Tam ani dzwonią z kościołów, ani trąbią z ratusza. I widoku z okna takiego mieć nie będziemy.

Cha! co robić westchnęła matka. I mnie markotno ciągnąć. Tu ześ się urodził i ta dziewucha.

Zaczekać! matka — zaczekać! pokrzepiał Antek. Będzie lepiej. Przyszło lato.

W domu się poprawiło. Ojciec miał robotę. Antek często teraz stał przy oknie i patrzał ku rynkowi na ratusz.

Czy dojdą?

W mieście po knajpach chłopi różnie mówili. Zakładali się że orzeł większy jak wrota, inni pewną ilość metrów znaczyli.

Już wieżę skrępowano rusztowaniem aż do architrawu spoczywającego na ośmiu kolumnach. Było to ostatnie piętro, do którego się można było dostać. Antek widział, jak ludzie tam na rusztowaniu machali siekierami z taką śmiałością, jakby to działo się na budzie jarmacznej. Niepokwij się coraz bardziej. Czyżby i tam dojść mieli? Toć teraz tylko sam szczyt. Czego się będą trzymać? Jak się szub złamie? — Orzeł żelazny — duży jak wrota — poruni. — Lecz belkowe kraty pięły się a pięły. Antek przymrużył oczy. Jezu! — czy mu się zdaje? — szczyt się chwieje! Ci ludzie pomimo tego machają. Siekiery błyszczą w czerwonym blasku zachodzącego słońca. — Oślepli chyba!

Nagle ustali.

Antek odetchnął. Wierzył, że coś jest w mieście, czego ręka ludzka nie dosięgnie. I oczekiwał nocy spokojnie.

Lecz w nocy miał dziwny sen. Śniło mu się, iż do okna wfruwało pazłocie mieniące się, które, gdy chciał uchwycić, z rąk się wymykało. Wyfruwało ono z słońca, co na szczycie ratusza tkwiło, jako złota orła korona. Wreszcie uchwycił jedną taśmę Antek. Była sobie najzwyklejsza taśma złota, jaką żłóbek stroił. I chwycił ją mocno i czuł, jak ciągnie go wyżej i wyżej. Leciał ponad dachy domów, ponad rynek. Na dole ludzie stawali się coraz mniejszemi. Strach go wziął. Scisną taśmę, aż się ręce okrwawiły. A taśma cięgnęła wyżej i wyżej. Bał się, bo nuż się taśma zerwie. Ale i tego bał się okrutnie, że ujrzy teraz orła z blizka, tego olbrzyma. — I chłop odwieczny zagada. Antek czuł, że pędzą wciąż. Odwrócił głowę ku dołowi. Widział ludzi kręcących się małych jak muchy. Naraz uczuł, że nos jego przytulił się do czegoś zimnego. Zabrakło mu oddechu. Ujrzał wielkie oko orła, próżną dziurę i spojrzał w nią. Krzyknął, czując, że leci w przepaść. — Pot zimny wystąpił mu na czoło, gdy się obudził.

W następny dzień znikł orzeł z nieba poznańskiego. Ostra tylko pika sterczała tam i bodła letnie chmurki, które jakby się zebrały go pożegnać. Antkowi zdawało się, że gwiazda spadła, która od urodzenia jego patrzała w okno.

Ojciec przyniósł wieści, iż orzeł jest wielkości zwyczajnego chłopa, że w sercu jego znaleziony kilka papierów, które odczytano, różaniec i pare monetów. Antkowi zdawało się, gdy to słyszał, że otworzono trumnę jakiegoś starego zmarłego. —

Nim zima zawitała do Poznania, powlókł się Antek za wozem z rupieciami — za miasto.

KONIEC.

CZESŁAW WROCKI.

WOJNA

Że już był stary, zęby i kudły postradał,
biegał mniej chyżo, wrogów nie napadał,
ale w kniei dziedzicznej przy boku swej suki
siedział, chowając liczne syny, wnuki:
lekceważyli wilka starego sąsiedzi,
zgraja co najpodlejszej, parszywej gawiedzi,
zdziczałe psy, leśne koty, lisy-tchórze,
żywiące się padliną, w brudnej, ciemnej dziurze
kryjącą swoją nędzą cuchnącą i wszawą
i zajęte wciąż walką o byle gnat krwawą.
Te, łakomie na wilczą spoglądając knieję,
nowe marzyły boru odwiecznego dzieje.
„Wykurzyć wilka z boru i zająć ostępy,
pełne sarn i zajęcy!“ — szczekał kundys krępy.
Lis mu nieźle wtórował, przyczem w łeb się drapał,
czując w ciele świąd większy, niż do walki zapał.
Chytry zaś Miś, sąsiadł dóbr wilczych, ostudzał
bojaźń jednych, a w drugich chęć boju podjudzał.
„Niech się biją, niech wzajem krwawią sobie zady!
Tak czy owak, czy tłuszcza da wilkowi rady,
czy wilk zgraję przepędzi: osłabłych — niestety! —
krwi upustem — zjem sobie na wety,
zjadłszy przedtem combr wilczy — lecz sam! — na pieczyste...
Takie snuł Miś marzenia i zamiary czyste..

Pod szybem.

Jan: No, Walku powiedz co nowego z kroniki.

Walek: Wiesz Janie co nowego! W niedzielę 10go listopada b. r. odbywali górnośląscy posiedziciele hut w Gliwicach swoje gieneralne zebranie, na które się różni przedstawiciele rządowi zjechali, jakoteż profesorowie techniki, wiedzy i przemysłu.

Jan: No, to zaś kręcili zapewnie nowy bat na hutników górnośląskich!

Walek: O tem gazety się nie wyrażą, ale przewodniczący radca komercyalny inżynier dr. Niedt żalił się na socjalisty, dawniejszego posła Huego, że on żądał dla hutników prawnie zaprowadzonych pauzów przy pracy i ośmiogodzinnej szychty. Przyszły taki zjazd mają ci panowie odbyć we Wrocławiu.

Jan: Już to wszystko Walku, co chciałeś mi powiedzieć?

Walek: Oj, nie wszystko! Otóż w Rybniku porobili kozłów za ogrodników. W nocy 10go listopada b. r. przydybała policja czterech strażników ze „Schlüsselgeselschaftu“, którzy włamali się do jednej destyli.

Jan: Zapewnie to byli abstynenci, którzy chcieli gorzałkę pana Mikieski naraz zniszczyć i przepuścić przez swoje gardło.

Walek: Janie, musisz rozumieć, że tam było bardzo wiele włamywań, a żaden nie mógł złodziei przydybać.

Jan: Żeby ci strażnicy byli jak się należy płaceni, toby nie przykradali. Co człowiek ma robić jak wyżyć nie może.

Walek: Jeszcze mam jedną wiadomość, która się nas górników tyczy. Oto w Raciborzu stawali przed sędzią nadsztygar Balerin i sztygar Waszke, że z ich przyczyny mieli stracić życie na kopalni hulczyńskiej nadgórnik Szefczyk i kruszacy Adamczyk i Badura.

Jan: A czy wpakowano ich za to do kozy?

Walek: Ale gdzież tam! Chociaż przysięgły mocno na nich świadczył, to byli znowu inni świadkowie, którzy potwierdzili, że nieszczęściu był zabity nadgórnik winien. No i na tem basta.

Jan: Jak zawsze! Panowie przez natężanie na górników wprowadzą ich do nieszczęścia a potem nie chcą o tem nic wiedzieć.

Walek: Czy to nie lepiej na zabitego winę zwalić, który się już bronić nie może! Przecie tak zawsze bywa.

Jan: Mnie interesuje więcej obecny ruch zjednoczeniowców. Piszą znów w „Górnoślązaku", że my się we wiośnie z ruchu wycofali i że nie życzemy sobie ośmiogodzinnej pracy i podwyższenia zarobków.

Walek: Wiesz przecie Janie, że gdzie jest trzech Wojtków, tam często jeden w poprzek filozofuje. Dać im spokój, niech sobie piszą co chcą. Jam tylko jest ciekawy, co oni z tego ruchu wygalocą.

Jan: Za jakie sześć tygodni dostaną odpowiedź od nadurzędu górniczego i potem znowu poślą swoje sprawy do ministra i znowu będą na odpowiedź czekać sześć lub więcej tygodni i przejdą poleku do drugiego podzimu. Górnicy naturnlnie będą musieli odczekać.

Jan: Lud górnośląski jeszcze nie może tego spokopić i musimy jeszcze na jakiś czas odczekać.

Walek: Kapitaliści już ten ospały ludek obudzą, jak go jeszcze bardziej poczną uciskać i wyzyskiwać.

Jan: Czytałeś Walku tę nową encyklikę papieża co do związków katolickich i chrześćjańskich?

Walek: Tak jest, czytałem. Gewerkverein chrześćjańskich sztrejkbrecherów jest w tej encyklice porządnie poszturchany i w Rzymie są tego zdania co we Wrocławiu książe-biskup p. Kopp. Berlińczycy mają tylko istnieć.

Jan: Gewerkverein chrześćjański i polskie Zjednoczenie się też zaklinają, że są katolickiemi organizacjami, tylko że jako takich nie uznają dostojnicy kościoła katolickiego, choeiaż panowie od „Zjednoczenia" zawsze śpiewali pobożne piosenki przy swoich zebraniach. O „Zjednoczeniu" jeszcze wcale w Rzymie nie wiedzą, jest to taka stracona organizacja.

Walek: Hm, tej myśli byłem zawsze.

TEODOR KASZYŃSKI.

Obrazki wojenne.

Jak Iwan Iwanowicz Postupaj, rezerwista, wybrał się na wojnę i jak zginął?

W rodzimej mieścinie Iwana Iwanowicza Postupaja, mieszczącej się w gubernji kijowskiej, zarządzono mobilizację Posłuszny świętej cerkwi, batiuszce i „ukazowi" czemprędzej zjawił się na miejscu zboru, gdzie zastał już całą świtę wojskową i kilkuset towarzyszów przyszłej wyprawy.

Kazano ich ubrać w uniformy i zaopatrzyć w broń.

Po kilkugodzinnych trudach okazało się niemożliwość urzeczywistnienia tego nakazu. Dla znacznej bowiem części rezerwistów zabrakło ubrań, a także i broni. Tylko mała garstka pyszniła się podartymi uniformami i to zdekompletowanymi.

Pułkownik zawrzał strasznym gniewem.

— Gdzie wasz ubiór, sukinsyny? Jak na wojnę idziecie?

— Nie dostalim, wasze błagorodie!

Pułkownik groźnie spojrzał na majora, major na kapitana i tak „wedle czynu" spoglądali kolejno na siebie, aż sierżant zaraportował głośno:

— Ktoś je skradł!

— To samo powtórzył porucznik kapitanowi, kapitan majorowi, ten wkońcu pułkownikowi, który już więcej nie pytał o uniform.

— A wasza broń?

— Nie dostalim batiuszka!

— Spaliła się podczas pożaru! — zaraportowano pułkownikowi.

— A buty gdzie?

— Nie dostalim!

— Z winy dostawców! — rzekł kapitan.

— Pieniądze macie?

— Mamy! — wrzasnęło kilkaset głosów.

— Paszoł won, sukinsyny! — błogosławił pułkownik batiuszka rezerwistów.

— — —

Pieniądze rezerwistów schowano do kasy pułkowej, która im miała w razie potrzeby częściowo je wydzielać. Tej samej jednak nocy nieznani sprawcy okradli ją. Do szeregu katastrof przyczyniła się i ta, że zapasy żywności w niewiadomy sposób przemieniły się w trociny...

Iwan Iwanowicz Pustupaj był bez uniformu, bez butów, broni, pieniędzy i jadła... Na dobitek musiał przebyć kilkanaście mil pieszo, gdyż jakaś złośliwa ręka ukradła niedawno wybudowane połączenie kolei żelaznej z miastem gubernjalnem — ukradła wraz z szynami kolejowymi, wozami, stacjami i całym personałem służbowym.

Wreszcie zginął Iwan Iwanowicz Postupaj i jego koledzy pułkowi. Zginął on i oni zanim dostali się na plac boju. Ukradziono ich bowiem w czasie podróży...

„Boże, caria chrani", gdyby się na wojnę wybrał jako rezerwista!

Rozmaitości

Przewiezienie Abdul-Hamida do Konstantynopola. Korespondent specjalny dziennika paryskiego „Matin" pisze:

Gdy oficer turecki stanął przed złożonym z tronu sułtanem i prosił go o pozwolenie na przewiezienie go do Konstantynopola, ten odpowiedział odmownie w sposób szorstki i zawołał:

— Stąd możecie mnie zabrać tylko siłą!

Ponieważ nie chciano używać siły, przeto zwrócono się do Niemiec. Statek stacyjny niemiecki „Loreley" posłano do Saloniki. Kapitan tego statku otrzymał zlecenie przewiezienia sułtana. Dwóch książąt rodziny cesarskiej, zięciowie byłego sułtana, znajdowali się na pokładzie. Udali się do więźnia i starali się wszelkiemi siłami namówić go, ażeby wsiadł na okręt. Te namowy jednak nie wywołały na Abdul Hamida żadnego wrażenia. Wówczas zlecono kapitanowi statku „Loreley" ażeby w uniformie galowym stawił się przed sułtanem. Na widok kapitana Abdul-Hamida natychmiast ustąpił.

— Wierzę i mam zaufanie zupełne — rzekł — do uczciwości i przyjaźni cesarza niemieckiego. Za panem, panie kapitanie, pójdę aż na koniec świata.

W godzinę później znajdował się na pokładzie. Twierdzono zawsze w ostatnich latach, że Abdul-Hamid zdziecinniał i nic nie wie o wypadkach dziejowych. Pokazało się, że jest zupełnie przytomnym i o wszystkim jest doskonale poinformowanym. Poprzednio nigdy nie słyszano, ażeby wymówił więcej, niż dwadzieścia słów francuskich. Udawał on zawsze, że niemal nie rozumie tego języka. Na pokładzie mówił po francusku tak doskonale i tak czysto, oraz tak płynnie, jakby to był jego język ojczysty.

— Dwie wojny w jednym roku — rzekł — to za dużo.

Informował się o zdrowiu rodziny cesarskiej niemieckiej i o każdym z jej członków, pytał się o znajomych i westchnął na znak żalu, gdy się dowiedział o śmierci ambasdora barona Marschalla von Biebersteina.

— Był to mój przyjaciel — rzekł.

Dopytował się też, czy pisarz angielski sir Conan Doyle pisze jeszcze w dalszym ciąge swoje romanse na tle czynów Sherloka Holmesa. Była to jedyna literatura, którą czytywał ostatniemi laty. W Beglerbey nie chciał zamieszkać w przeznaczonym dla siebie pałacu, lecz stanął kwaterą w małym, na boku leżącym pawilonie ogrodowym, znowu zamilkł i znowu stał się obojętnym na wszystko, co się wokoło niego działo. Obecnie interesuje się swojemi kurami i pielęgnuje kury oraz klacz oślą, której mlekiem się żywi. Dowiedziawszy się, że jeden z czuwających nad nim oficerów, do którego czuł pewną sympatję, musiał odjechać, ponieważ jego żona zachorowała, rzekł:

— Tak, tak, ten biedny człowiek nie może robić, czego chce, przytem ma tylko jedną żonę. Co to byłoby, gdyby miał ich dwanaście tak, jak ja.

* * *

Proces przeciwko Franciszkowi Józefowi. W r. 1664 cesarz Leopold za jakieś usługi podarował baronowi Bernjakowiczowi 21 wsi w Bośnji i Hercegowinie o ile te kraje przyłączone będą do monarchji austryjackiej.

Hcjny cesarz i obdarowany in spe baron przenieśli się do wieczności. Bośnja i Hercegowina nie przeszły pod berło austryjackie. Ale pozostali potomkowie barona Bernjakovicza na Węgrzech, z pietyzmem z pokolenia w pokolenie przekazywali obietnicę cesarską, no, i wreszcie się doczekali.

W r. 1908 Austro-Węgry przeprowadziły aneksję Bośnji i Hercegowiny, więc według ich mniemania, teraz powinny się im dostać owe 21 wsi.

Cesarz Franciszek Józef nie okazał się zbyt pohopnym do spełnienia obietnicy swego przodka, więc Bernjakovicze wytoczyli mu proces, który zapowiada się niezwykle sensacyjnie.

* * *

Emigracja do Stanów Zjednoczonych. Ze sprawozdania amerykańskiego Urzędu emigracyjnego wynika, że liczba emigrantów, którzy w roku 1911/1912 (t. j. od lipca 1911 do końca czerwca 1912 roku) przybyli do Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej wynosiła ogółem 838 178 (w roku poprzednim 878 587). Wśród przybyszów tych było 85 163 Polaków (w roku poprzednim 71 446), 21 965 Rusinów, 13 078 Litwinów, 80 595 Żydów, 65 343 Niemców, 25 281 Słowaków, 24 366 Chorwatów i Słoweńców, 22 558 Rosjan. Najliczniejszą grupę stanowili, jak zwykle, Włosi, których było 162 273. Z Austrji było w tym czasie 85 854 emigrantów, z Węgier 93 028, z państwa rosyjskiego 162 395, razem zaś Europa dostarczyła. Stanom Zjednoczonym 718 895 emigrantów. Najwięcej emigrantów, bo aż 260 278 udało się do stanu Nowy Jork, 114 922 do Pennsylwanji, 76 565 do Illinois, 70 811 do Massachusets, 29 633 do Michigan, najmniej zaś, bo tylko 16 na wyspy Filipińskie.

Takich emigrantów, którym odmówiono pozwolenia na lądowanie, było w okresie sprawozdawczym 16 057 (w tej liczbie 846 Polaków, 391 Rusinów, 142 Litwonów, 1064 Żydów, 1396 Greków i aż 2304 Włochów). W roku poprzednim (1910/1911 nie dopuszczono do lądowania 23 349 emigrantów (w tej liczbie 1333 Polaków), rok więc ostatni był pod tym względem pomyślniejszym. Główną przyczynę odmowy pozwolenia na lądowanie stanowił brak wymaganej gotówki (w 8152 wypadkach), brak dostatecznego zdrowia do pracy zarobkowej (2288), choroby zaraźliwe (1733) i przyjazd za kontraktem („contract labores" — 1333).

Dymokrackie medykacje.

Górnośląski „arbejter-zengerbund" zaś mioł swój zjazd. Kiej mu panoczki przają, to można wiedzieć, iże tam pieśni robotniczych nie bydzie, jyno takie, chtóre mogą śpiywać same przychlebki a liziłapy, a inksze śpiywki to jyno niymieckie patrjotyczne. Tako se na takich śjazdach nacyganią wszyjscy o tym wielkim miyłowaniu panoczków ku robotnikom, a robotników ku panoczkom, a wszyjskich społem ku pruskiymu faterlandowi a królowi a Rzeszy Niymieckiyj, pedzą: hoch, hura, hura! — no i sprawa robotniczo zrobióła pono taki se mocny krok naprzód. A jako sie „byldują" robotniki w miłości bliźniygó w takich niymieckich „zengerbundach", a w „ansztandzie" to je w przyzwoitości tyż, to bóło widno, kiej „szlejzjiszer zengerbund" chcioł na śjeździe wszyjskich śpiywoków niymieckich w Nyrnbergu śpiywać „was hajmiszesś, no i wybroł se „Choral von Luthen"; to miało być cosik rodzimygo, ze Sląska! Tyn choroł, co gó wojoki brandenburskc-pruskie śpiywały, kiej cysarokom zabiyrały Sląsk, chtóry bół przedziej polski, zaś czeski, a zaś cysarski! No, ale tyż cysaroki w Norymbergu pedzięli zengrom śląskim hierajn, tako i nie śpiywali tam wcale swyj pieśni von Luthen. Ale to sie już wiy, iże tyn patrjotyzm hura-pruski fuszeruje wszyjstek bildunek to je cołko oświata. Jednako hnet a hnet nakazują urzędnikom, coby wiedzieli wszycko, ale wdycki bierą za inkszy koniec. Polsko nauka skasowali, po polsku godać dzieckom zakazują a urzędnikom tyż; ale dopiyro policaje na swojyj szkole w Królewskiyj Hucie mają sie uczyć na stare roki po polsku, można skisz tegó, coby swoim harasztantom lepszy pieronować. A Katowice mją uczyć swoich policajów mowy nie polskiyj ale ruskiyj! No, podziwomy terazki, czy przed bandytami z Rusieji bydą jeszczy uciykali pod bilard, czy tyż swoje nowe brauningi tyż nauczą po rusku.

A rostmajte władze sądowe nakozały swoim asesorom, coby poszli na sztyftów do rostmajtych sklepów, kaj mają nauczyć sie znać towary a książki handlowe. Tako se miynia, iże nieskorzy nie bydzie już fałszywych konkursów i sprzeniewierzeń, na chtóre dzisiok Niymcy chorują śmiertelnie; można tyż ci, chtórzy mają nieco grosza uszporowanego, nie bydą go tak tracić w bankach prywatnych, jak dzisiok. Jyno, iże terazki wydały Prusy takie prawo, iże te prywatne szparkasy mają dować część swoich piyniędzy na kasy państwowe, kaj podczas wojny sie stracą. Bydą miyńsze uroki po tymu dlo ludzi ubogich, jyno bogatym, chtórzy szpekulują na giełdach a w ziymi a w przedsiębiorstwach, bydą łacniejsze zorobki. Tako nie bydą kradli właściciele a urzędnicy bankowi ubogim, jyno państwo bydzie im brało. Ale już tako je wszędy a wdycki, iże ubogiymu jeszczy to ździebełko bierom, co mo, a tym bogatym, chtórzy mają za telo, walą jeszczy większy na kupa.

Lepszy bółoby tyż pono, kiejby te asesory poszły na praktykantów do grub a werków, tak se na filary a do ciskanio o ćmoku, a do wielkich pieców a cyngowni. Możnoby tam hnet znojdli rostmajte paragrafy ónych policji górniczych a inkszych, coby im robota ułatwiły. A kiejby byli sędziami a sztacanwaltami, toby strejkujących a ich rodzin nie skazowali za bele „fuj", chtóre te boroki pedzą łamistrejkowi, a w śledzyniu nieszczęść nie wdycki bółyby winne te nieżywe ochfiary, jyno tyż hnet a hnet zorządy. Tako kiejbych ból posłem, tobych wniós o takie prawo skisz ónych asesorów, ale iżech nie je jeszczy ani kandydatem, tako jyno moga pytać towarzyszów w rydchcji „Robotniczyj" a inkszych bratnich, a tych isnych w parlamencie tyż a w syjmie, aby żądali takiygó prawa. Bo kiej asesory sądowe mogą być kupcami, to je uczniami kupieckimi, tako mogą być i robotnikami, to je praktykantami, coby nieskorzy lepszy znać swoje obowiązki a życie a praca a zarobki oskarżonych.

Piykny dzisiok czas, ale biyda, aże trzeszczy, a to wszystko skisz tyj wojny. Turcyjo jeszczy się trzymo, a nieprzyjaclele jyj już nie mogą pono dalsze; ale pokoja nie widno. Ojropa padała wdycki, iże chcę pokoja, a terazki pado serbom, iże ich nie dopuści do morza adrjatyckiego, to je, iże chce wojny. A chtó tymu winien? — Jo padom, iże dyplomacjo ojropejsko. A zaś przyszły wszechniymcy i pedzieli, iże te południowe ludy słowiańskie miałyby za telo ziymi a wszyjskiygó, a rostmajte towary mogłyby sprowodzać morzem s inkszych landów, a nie s Prus koleją; tako jyno podburzyli kamrotów tyż zjodziejów uhrów, coby dali pozór na swoich chorwatów a pomstowali na ich braci serbow; tako terazki wszycko sie wadzi a mobilizuje. Rusyjo nojwiększy, bo pado, iże chce dać pomoc braciom słowianóm; ale s tyj pomocy nie bydzie nic, bo sama raczyj chciałaby Konstantynopol, no, a w Azji Chiny a w Ojropie rewolucyjo pokazują ji tyż zamby. A w Budapeszcie to zaś policaj rąbie szablami tych, co dymonstrują przeciw wojnie, bo rząd przeca chce wojny.

Kiej bydziecie abonowali „Dziynnik Robotniczy", to bydziecie wiedzieli isto, co tam czuć o wojnie; a tako wojna światowa, to przeca nie beleco.

Gustlik Beskuryjo.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott w Katowicach.

Nr. 50. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 14 grudnia 1912.

W upiornem więzieniu.

Przekroczyli bramy katorgi.

I

Oto już trzeci dzień idziemy etapem.

Partja aresztantów liczna. Są w niej i dożywotni skazańcy, katorzanie z kajdanami na rękach i nogach, i zesłani na Sybir z wyroku sądowego. Składała się ona z 40 osób, po większej części zasądzonych na 5, 6 lat katorgi. Skazanych na bezterminą katorgę było tylko sześciu. Procent zesłanych z wyroku sądu był niewielki, natomiast administracyjni tworzyli prawie $^1/_3$ całej partji: robotnicy, nauczyciele, studenci, studentki. Reszta — to drobni złodzieje. kieszonkowcy, włóczęgi.

Orłowskie więzienie, do którego nas wieziono, niezmiernie mnie zaciekawiało. Dochodziły do nas o nim wieści okropne i nieprawdopodobne, lecz zawsze zgodne ze sobą. Mówiono, że biją — biją za wszystko. Za to, że ktoś chory — i za to, że dobrze wygląda, za to, że żyd i zato że rosjanin. Biją za krzyżyk na piersiach — i za brak krzyżyka. Słowem, zewsząd słyszeliśmy jedno: biją biją — na śmierć zaibjają.

Nie wierzyłem — zdawało mi się, że opowiadania te są przesadzone, nieprawdopodobne, lub że poprostu temu więzieniu przypisywane są wszelkie, gdziekolwiek usłyszane okropności. Często się bowiem zdarza, że jakiemuś osławionemu więzieniu ludzie przypisują wszystkie fakty straszne, wszystkie wypadki, które miały miejsce gdzieindziej.

Im bardziej jednak zbliżałem się do miejsca przeznaczenia, tem uporczywsze, realniejsze dochodziły nas wiadomości. Głucha troska wkradała się do duszy. Zaczynałem wierzyć potwornym pogłoskom.

— A może to i prawda — myślałem w takim razie ulegnę temu samemu losowi, co inni. Straszny, głuchy żal... żal za przeszłością — przyszłość nieznana i potworna.

— Cokolwiek się stanie — bicia nie zniosę — lepsza śmierć. Hańby takiej znieść nie można, nie wolno.

Jeszcze tylko jeden dzień drogi dzielił nas od Orła. Przygnębiający nastrój wzrastał ciągle, pogłoski jednak o więzieniu ucichły, zaprzestano o tem mówić, podobnie jak się przestaje mówić wobec umarłych.

Co do mnie, nie wątpiłem już o prawdzie tych pogłosek. Uwierzyłem im w zupełności i przysięgłym sobie raczej umrzeć, niż przejść przez podobną zniewagę.

Inni towarzysze byli również przygnębieni i posępni. Rozmowy ustały, każdy rozmyślał nad tym, jak zostanie przyjęty, jak powinien postąpić. Teraz rozumiem, jak strasznym błędem z naszej strony było to, żeśmy się ze sobą nie porozumieli, żeśmy nie przygotowali żadnego planu działania. Wszelki protest byłby wówczas lepiej zorganizowany, demonstracja przyjęłaby poważniejsze rozmiary. Należało to uczynić, ale nikomu myśl tak prosta do głowy wówczas nie przyszła.

Bezcelowość takiej obrony, nie ulegająca żadnej wątpliwości, niweczyła wszelki impuls w tym kierunku. Myśleliśmy o tem, by jaknajprędzej umrzeć i nie pozwolić pastwić się nad sobą. Czasem też zjawiła się nieśmiała nadzjeja, że wszystko szczęśliwie przeminie, że uda się uniknąć śmierci.

Oto ostatni etap. Jeszcze kilka godzin, a potem śmierć... Zmienił się konwój.

* * *

— Dalej, dzieci! — zwrócił się ku nam podoficer — trzymajcie się! Przy wejściu zachowujcie się po żołniersku. Pamiętajcie o krzyżykach na piersiach. To nie więzienie, a poprostu — grób. Mówię to — bo mi was żal.

Niektórzy spiesznie sięgnęli po krzyżyki, jakby w nadziei, że talizman ten uchroni ich od chłosty. Inni machnęli ręką. Wszystko jedno, — i tak obiją — krzyż nie zbawi.

Ranek był wyjątkowo piękny. Płonące, jesienne słońce żegnało ziemię pieszczotą ostatnich ciepłych promieni. Na więdniejących, wysokich trawach, mieniły się tu i tam rozsnute, lśniące nici. Przeźroczyste powietrze zdało się być nasycone pieszczotą, ciszą, ukojeniem. Lecz wówczas nie zwracałem na to uwagi.

Dusza pełna była smutku i trwożnych przeczuć.

Co się stanie? Czyż to już koniec wszystkiego? Skończyć tak głupio, tak marnie, bezmyślnie... Nie! to nad siły. Czyć dlatego przecierpiałym 3 lata w więzieniu, żeby teraz na zawsze pożegnać się z życiem.

W takiej bolesnej rozterce zbliżałem się krok za krokiem ku tej strasznej, nieuniknionej „przyszłości“. Rysowała się ona już przed nami szarą masą kwadratowych murów szczelnie odciętych od zewnętrznego świata. Tu było jedno życie, a tam drugie, odrębne — raczej śmierć, niż życie. Co będzie?

Bez żadnego rozkazu, podchodząc do ciężkich żelaznych wrót, skazańcy obnażyli głowy. Ja również zupełnie odruchowo zdjąłem szarą aresztancką czapkę, widomy znak mego upodlenia i dopiero ujrzawszy ją w ręku, zauważyłem, że wszyscy zdjęli czapki. Zaczerwieniłem się z gniewu i czemprędzej włożyłem ją z powrotem na głowę.

— Zdjąć czapki — krzyknął w tej chwili dozorca konwoju.

Nadeszło kilku dozorców i pomocnik naczelnika więzienia przyjął partję.

„S—ło, S—ło“ — przebiegł cichy szmer wzdłusz szeregów — „bydlę — zabije!“ — zaszemrały usta pożółkłe jak zwiędłe liście.

Milcząc ponuro, weszliśmy parami na wysoki, ciemny korytarz. Tylko dźwięk kajdan, jak dzwon pogrzebowy, echem odezwał się w sercu.

— Co będzie? Co będzie?

Z głuchym trzaskiem zamknęła się brama za ostatnią parą.

— Formuj się, formuj się. psie za psem! — rozległa się komenda. Jesteście w Orle. Zobaczycie, popamiętacie wy Orzeł.

Aresztanci stali wśród śmiertelnego milczenia, wyciągnięci w długi, szary sznur. Twarze ich szare, kamienne. Nie patrzyli jedni na drugich, jakby się wstydzili spojrzeć sobie w oczy. W gardle suchość i gorycz — język skamieniały.

Pomocnik S—ło obrzucił ten rząd szarych cieni złym,

wilczym wzrokiem. Przejrzał listę więźniów i zakomenderował:

— Przyjąć! Do łaźni!

Wiadome nam wszystkim było znaczenie tych słów: „Przyjąć" — znaczy: obić. „Do łaźni": skatować.

A więc koniec. Zerwało się coś w piersiach. Martwota, chłód, jak w pustej wilgotnej izbie. Lepka gorycz w gardle znikła.

Głucha tępota — głowa jak pusty, rozbity czerep, który za chwilę stanie się igraszką bezmyślnej a okrutnej dłoni.

Weszliśmy do obszernej, czystej łaźni, nie zapowiadającej nic złego. Za nami weszło 40 dozorców, starszy i pomocnik, h. S - ló.

— Rozbierać się! prędko!

Z trudem zdjęliśmy bieliznę; ręce drżały i plątały się w łańcuchach kajdan. Na środku postawiono stół; przy nim usiadł pomocnik i starszy dozorca K. Na stole rozłożono listę i dokumenty.

Przez chwilę pomocnik szperał w papierach. Wziął jakiś dokument, przejrzał, odrzucił, znów wrócił do niego. Łagodnym, podstępnem głosem zawołał:

— Pietrow! Tutaj? Proszę się zbliżyć.

Straszliwa wściekłość przepełniła moją duszę. Cała ta komedja z rozbieraniem doprowadziła mnie do szału. Poprzednia apatja i bezsilność zniknęły bez śladu. Rozpacz i wściekłość dobijanego zwierzęcia obudziły się z gwałtowną siłą. Hamując, się resztą świadomości podszedłem do stołu pewnemi krokami, patrząc zuchwale w oczy pomocnika.

— Oho! — mruknął, biorąc brauning do ręki.

Zaraz jednak odłożył go. Łagodny wyraz jego twarzy znikł. Zmierzył mnie groźnemi oczyma.

— Ty — Semen Piotrow? Za co osądzony?

— Ze 102 paragrafu za należenie do partji S. R.

— Nie umiesz odpowiadać, psi synu, ja ci tu dam partję! Zapomnij łajdaku, żeś był studentem...

— Pan nie masz prawa krzyczeć i drwić z nas. My...

— Wziąć tego łotra!

Poczułem nagle coś gorącego na plecach, ramioniach i głowie. Upadłem na zimną, kamienną podłogę. Gryzłem, drapałem, rwałem zębami wszystko, co tylko mogłem dosięgnąć. Nie czułem bólu — ciało tylko jak w ogniu. Usta pełne włosów i krwi. Na jedno oko nic już widziałem. Pamiętam ostatnie uderzenie — kopnięcie w twarz podkutym butem. W oczach zapaliły się zielone i żółte kręgi. Straciłem przytomność.

Znajdowałem się jeszcze w stanie głębokiego omdlenia, gdy mnie przenieśli do szpitala. Pierwszym uczuciem po obudzeniu się była radość: „Żyję — Boże — jak to dobrze!" Chciałem się poruszyć — jęknąłem z bólu i omdlałem ponownie.

Ekonomista.

Ludzie się bawić muszą i mogą,
Jeżeli życie ma nie być katem;
Lecz w miarę środków — nigdy zadrogo,
Gdy wydasz na to — to oszczędz na tem...
Tak zawsze mawiał mi mój znajomy,
Snać człek rozumny i wykształcony,
Bo umiał zrobić dwa duże domy
Z bardzo skromnego posagu żony.
Sam się też bawił w myśl tej zasady;
W dzień za nic w świecie — a tylko nocą,
Wychodził z domu, zacierał ślady,
Nikt nic nie wiedział — no bo i po co?
Po drodze zwykle zaszedł do baru,
Wódeczka... w occie tak ze dwa grzyby,
Szklaneczka piwka... Po chwilach paru,
Wychodził ztamtąd urznięty niby...
Woła dorożkę i jechać każe
Do knajpy, kędy codzień wieczorem,
Złażą się znani mu kawalarze
I olśniewają wszystkich humorem.
Dorożkarz czeka na jegomości
Niezapłacony, ale z ochotą,
To pan porządny, gdyż dla pewności,
Laskę mu z gałką powierza złotą.
Rozkołysany miłą gawędką,
Co chwila śmiechu wybucha gamą,
Gdy jego kolej... żegna się prędko...
Brak czasu.., drynda czeka przed bramą...
Do illuzjonu znów jechać każe,
Gdzie się damulki mieszają z dziatwą,
Tam w poczekalni, w tłumie i gwarze,
O znajomostkę nadzwyczaj łatwo.
Wychodzą razem, dryndziarz wciąż czeka,
Podnosi budę świadom sekretu
Droga już ztamtąd niezbyt daleka,
Ze znajomostką do gabinetu.
Dryndziarz przed knajpą poczeka jeszcze,
Ma przecież laskę... a w gabiniecie,
Szampan się pieni, jedwab szeleszcze...
Czasem przyjemnie bywa na świecie...
Płaci rachunek... Ona tymczasem
Wychodzi pierwsza dla niepoznaki,
On w kwadrans później, z wielkim hahasem,
Jako że niby urżnięty taki.
Laskę odbiera już od dryndziarza,
Grozi mu kijem, więzieniem, chłostą,
Trunek go jednak jakoś rozmarza,
Więc każe jechać do domu prosto.
Dryndziarz o adres z szacunkiem pyta?
Gdzieś mu odległą ulicę wskaże,
A rozkazując jechać z kopyta
Suty napiwek przyrzeka w darze.
Sam zaś nibyto przymyka oczy...
Gdy mijają pustych uliczek rogi,
Z dryndy cichaczem zręcznie wyskoczy
W boczną uliczkę i żywo w nogi...
Dryndziarz zajeżdża... w dryndę spoziera...
I robi minę wielce zabawną,
Gdy się przekona, że pasażera
Ze złotą gałką niema już dawno
— — — — — — — — — — — — — —
Okpiony dryndziarz klnie jak ohyda,
Płacząc u pustej dryndy krawędzi...
— — — — — — — — — — — — — —
Bo mój znajomy na knajpę wyda,
Ale na dryndzie chętnie oszczędzi...

T. Modrzejewski.

Wdowy na Bałkanie.

Wojna bałkańsko turecka pochłonęła dziesiątki tysięcy mężczyzn, którzy osierocyli wdowy i dzieci. Czarne chustki na głowach kobiet, to znak żałoby, to znak wdowieństwa. Zarojają się kraje bałkańskie tym symbolem smutku, łez i osamotnienia nieszczęśliwych kobiet.

Surmy zwycięskie zagłuszają jęk wdów i płacz dzieci. Wdowy u Bułgarów i Serbów jak zresztą u wszystkich południowych Słowian, mają specjalne prawa i obowiązki. Nie są to prawa pisane, ale zwyczajowe, które mają równą moc obowiązującą. 40 dni trwa nadzyczajna żałoba po mężu, cały rok jednak obowiązaną jest nosić czarną chustkę na głowie. W tym czasie nie wolno jej przychodzić do sąsiedów prząść, gdzie zwykle kobiety i dziewczęta śpiewają wesołe pieśni, nie wolno jej chodzić na jarmarki z innemi kobietami, ani tańczyć.

Wdowa ma natomiast przywilej, który jest prawem zwyczajowem, zostać po śmierci męża w jego domu. U Bułgarów może bezdzietna wdowa wrócić do rodziców, ale taka kobieta spotyka się z ogólną pogardą. Przeważnie nie chcą wrócić do swojej rodziny, szczególnie jeżeli rodnie żyją. Przysłowie ludowe mówi, że „bi da siostrze, która zkazaną jest na kości, rzucone jej przez brata", jeżeli wróci do domu, gdzie brat już gospodaruje. Jeżeli wdowa opuści dom zmarłego męża, nie ma prawa do żadnego po nim spadku, wolno jej tylko zabrać swoją wy-

prawę. Jeżeli wdowa wychodzi drugi raz za mąż, musi zostawić podarunki, które jej podarował pierwszy mąż.

Tylko bardzo żadko udaje się wdowie wyjść po raz drugi za mąż. Przeszkadzają temu krewni, a szczególnie rodzice zmarłego, ponieważ uważają to wyjście synowej, jako najcięższą obrazę dla zmarłego. Wdowa zkazaną jest resztę życia poświęcić dzieciom. Pieśni ludowe opiewają tęsknoty miłosne młodych wdów, ale ostrzegają także przed smutnym losem, jaki czeka je przy boku drugiego męża. Nie wierną jest taka kobieta nie tylko wobec pamięci zmarłego, ale także wobec dzieci, których jej pod żadnym pozorem do domu drugiego męża zabrać nie wolno. „Taka suka, niechaj ją Bóg skaże" mówi pieśń ludowa o takich kobietach, które opuściły dzieci. Dziecko wdowy, która drugi raz wyszła za mąż, uważone jest za sierotę bez ojca i matki. Dzieci należą do domu ojca, bo przysłowie mówi: „Chociaż krowa staje się własnością obcego, ciele należy do mnie".

Należy zaznaczyć, że południowi Słowianie stoją na niskim stopniu kultury w ogóle, więc z natury rzeczy uzewnętrznia się to także w traktowaniu kobiet, które są własnością męża nie tylko za życia, ale nawet po jego śmierci.

Rozmaitości

Ludność polska w Austrji. Według obliczeń centralnej komisji statystycznej w Wiedniu, dokonanych na podstawie spisu ludności w roku 1910, polaków obywateli austrjackich, było 4,967,984, a łącznie z polakami z pod innych zaborów — pięć miljonów.

A mianowicie:

w Galicji	4,673 500
na Śląsku	235 224
na Bukowinie	36 210
na Morawach	14 924
w Austrji Dolnej	5 601
w Czechach	1 541

Ponieważ w Wiedniu naliczono tylko 4,726 polaków, przypuszczają więc świadomi rzeczy, iż liczba powyższa świadczy o bezwzględnem zapisywaniu w Wiedniu wszystkich polskich robotników i służby jako niemców.

Na Śląsku liczba polskiej ludności zmniejszyła się procentowo o 2 proc. na rzecz czechów, którzy z 22 proc. wyszli na 24·3 proc. ludności kraju.

W innych krajach zamieszkali polacy mają po kilkaset i po kilkadziesiąt mieszkańców.

Ogółem polacy w Austrji stanowią 18,01 proc. całej ludności.

* * *

Dziwny napis na grobowcu. Na cmentarzu w Debroczynie na Węgrzech, pewien grobowiec familijny wykazuje następujące napisy: Jan Moryc, przez syna swego zamordowany w 62 roku życia. Izabella Morycowa, żona wyżej wymienionego, przez córkę swą otruta w 47 roku życia. — Elżbieta Morycówna, która powiesiła się w 20 roku życia, otruwszy poprzednio matkę. Józef Moryc jun., morderca ojca swego, zmarły w więzieniu w wieku 27 lat. Na końcu, jak na urągowisko, znajduje się napis: Niechaj spoczywają w spokoju!

* * *

Koniec niezwykłych przygód ex-miljonera. Niedawno pisma zamieściły wiadomość, że były miljoner Edwin Deyer zastrzelił się w Jonsville w Stanach Zjednoczonych. Dzieje tego człowieka są zupełnie niezwykłe, nawet w naszych niebanalnych czasach.

Opuściwszy dom niezamożnych rodziców, znalazł się młody Edwin w Meksyku, gdzie zaczął pracować u jubilera. Podczas jednej z wycieczek zamiejskich natrafił przypadkowo na pokłady opałów. Szybko nabył bardzo tanio teren, uzyskał od kapitalistów pożyczkę i założył kopalnię. W kilka lat potem miał już fundusze na budowę meksykańskiej kolei centralnej. Przedsiębiorstwo to postawiło go w szeregu książąt finansowych Ameryki. Osiadł w Chicago i tu stale powiększał jeszcze bardziej olbrzymi majątek. Rozporządzając miljonami, Deyer postanowił zagarnąć cały handel zbożem w Chicago. Szalona spekulacja doprowadziła go do ruiny i Deyer zniknął z widnokręgu. Długo o nim nie słyszano. Naraz rozeszła się wieść, że Edwin Deyer stanął na czele ruchu rewolucyjnego w Wenezueli. Ruch stłumiono i Deyer zmuszony był uciec. Znalazł się w Peru. Nawiązał stosunki z przedsiębiorcami, utworzył towarzystwo akcyjne kolei peruwiańskiej i pojechał do Londynu, gdzie sprzedał za miljon dolarów akcyj i wrócił do Stanów Zjednoczonych. Niepohamowana żądza spekulacji sprawiła, że zrujnował kilku bankierów, ale i sam stał się ofiarą hazardu. Stracił wszystko. Miał wtedy lat 35, a było to w roku 1895. Deyer z kilku zaledwie tysiącami dolarów, nie mogąc nic począć na większą skalę, osiadł dla wytchnienia we Florydzie, na letnisku. Jedną z pysznych willi posiadała tam stara księżna Castellucia. Miała lat 75 i majątek miljonowy. Zbliżył się do niej Deyer i potrafił w sędziwej niewieście tak silnie rozbudzić afekt do siebie, że go poślubiła.

Tym razem, zostawszy znów miljonerem, zaprzestał spekulacji. Cały utonął w zabawach. Pięć lat wiódł życie hulaszcze, tyle też lat był mężem bogatej żony, która umarła, przeżywszy lat 80. Na otarcie łez młodszemu o połowę lat dozgonnemu towarzyszowi zostawiła w samej tylko gotówce okrągły miljon. Deyer raz jeszcze wdał się w spekulacje kolejowe, ale szczęśliwie i znów stał się panem kilkunastu miljonów. Awanturnicza natura nie dała mu spokoju. Stanął do konkurencji z trustem węglowym i w przedsięwzięciu tem utopił cały majątek. Los przecież czuwał nad nim. Oto Deyer przekonał się, że jest spadkobiercą po żonie dwóch pięknych wysp u wybrzeży stanu Maine. Rządzić przecież wyspami ani myślał, lecz sprzedał je za 115 000dolarów, a za osiągniętą gotówkę założył towarzystwo kopalni srebra w Meksyku z kapitałem półtora miljona dolarów.

Ale teraz już szczęście odwróciło się odeń zupełnie. Po roku nastąpił krach towarzystwa. Stan upadłości wykazał przeszło 300 000 pasywów, a zaledwie... 150 dolarów aktywów. Zanim to urzędownie stwierdzono, Deyer wywołał kłótnię z dyrektorem kopalni i strasznie go pokiereszował nożem. Oczywiście zarówno jedno, jak i drugie zmusiło Deyera do ucieczki ze Stanów Zjednoczonych. Gdzie się błąkał — niewiadomo. Jeszcze w lutym b. r. poszukiwano go napróżno listami gończymi. Naraz przed miesiącem zjawił się w Jonseville. — Stanął w hotelu „Pacific", zaprosił kilku przyjaciół i urządził bankiet. Pod koniec uczty wstał i z kieliszkiem w ręku wygłosił do współbiesiadników przemowę następującą:

— Nadszedł koniec śmiechu dla człowieka o głośnem nazwisku... Jutro pomoże mu najwierniejszy przyjaciel do najgłośniejszego czynu...

Biesiadnicy byli najpewniejsi, że Dreyer znów zdobył miljony. Nazajutrz zapłacił rachunek, który wyniósł 490 dolarów, wyszedł z hotelu i spotkał jakiegoś żebraka.

— Masz — rzekł, dając mu pięćdziesięciodolarówkę — jest to reszta moich miljonów.

Poczem szybko wydobył z kieszeni rewolwer, stanął pod drzwiami pobliskiegóo domu, wpakował sobie kulę w głowę i padł bez życia.

* * *

Aeroplanem przez ocean. Znany lotnik angielski Graham White zaczął przygotowania do podróży napowietrznej z Anglii do Ameryki której spodziewa się dokonać w przeciągu 30 godzin. W tym celu White obstalował w Hendon potężny hydroplan (aeroplan, mogący wzbijać się w powietrze z powierzchni morza) o czterech motorach, o 250 koni parowych każdy. Z pomocą tego przyrządu White spodziewa się osięgnąć szybkość 100 mil angielskich.

Janek i ojciec.

Janek: Ojcze wiesz co?

Ojciec: No co takiego mi chcesz powiedzieć, Janku? Czy dostałeś bicia w szkole?

Janek: Nie Ojcze! Ale nauczyciel nam dzisiaj bardzo wiele o wojnie prawił i powiedział, że socjaliści nie chcą iść „Vaterlandowi“ na wojnę i grożą rewolucją. Powiedz mi ojcze, co to są za ludzie ci socjaliści?

Ojciec: Socjaliści to są robotnicy, którzy utworzyli wielkie związki robotnicze i starają się bronić przed wyzyskiem.

Janek: To przecież nie mają nic z tą wojną do czynienia i mogliby rządowi do wojny dopomagać.

Ojciec: Janku, ty jeszcze polityki nie rozumiesz. Jeżeliby wybuchła wojna, to wielka część robotników musiałaby pójść na wojnę i wielka liczba z nich by nazad nigdy już nie wróciła, bo dzisiaj za kilka godzin wybiją tysiące ludzi. I ja, Janku, musiałbym też iść na wojnę i ty byś z matką pozostał bez chleba, bo ty pracować jeszcze nie możesz, a matka jest chorowita i pracować nie może.

Janek: Ale przecież ojcze musielibyśmy zkąd wsparcie dostać, zanim byś był na wojnie?

Ojciec: W czasie wojny wsparcia niema, a pomniej na to, że gdybym został zastrzelony, tobyś mnie już nigdy nie zobaczył i może byś od głodu umrzeć musiał. Wojna, Janku, to nie żart!

Janek: To ci socjaliści jednak dobrze myślą, jeżeli przeciw wojnie występują. Ale tak by nam to powinien nasz nauczyciel wytłómaczyć, co za skutki wojna za sobą pociąga. Ale powiedz mi jeszcze, ojcze, co to jest cholera, o tem nam też nasz nauczyciel rozprawiał.

Ojciec: Cholera to jest straszna choroba, która obok tyfusu i innych jeszcze chorób po każdej wojnie, albo już podczas wojny wybucha i zmiata dziennie setki i tysiące ludzi. Choroba ta wywołana zostanie przez bakcyle, takie drobne, oczyma niewidzialne robaczki, które, gdy dostaną się do krwi człowieka, raptem się mnożą i zabijają w kilku godzinach najsilniejszego człowieka.

Janek: To strasznie; ta wojna i cholera!

Ojciec: Tak Janku! Straszna to rzecz przy wspomnieniu tylko, a straszniejsza jeszcze w rzeczywistości.

Janek: Nie mów nic już ojcze o tych rzeczach, ale powiedz mi, co mi na dzieciątko za podarek kupisz? Karol p. Mülera ma zawsze tyle rzeczy do bawienia chociaż Müler nie pracuje. Ty znowu dniem i nocą pracujesz w kopalni a mamy zawsze biedę.

Ojciec: Janku musisz porozumieć, że chociaż p. Müler nie pracuje sam, to pracuje na niego setki robotników, którzy kopią węgiel a który Müler drogo sprzedaje; robotników zaś licho wypłaca i przez to pozostaje mu wielki zysk. Chociaż więc nie pracuje, to jednak może swojemu Karolkowi bawidełek nakupić.

Janek To przecież nie jest sprawiedliwe, takie postępowanie p. Mülera! Jeżeli tak niesprawiewie postępuje, to robotnicy powinni mu przykazania kościelne przypomnieć, a żądać lepszych zaro-b ków. Kto niepracuje, ten niechaj też i nie je, tak stoji w pismach kościelnych.

Ojciec: No teraz widzisz Janku, że socjaliści to tej sprawiedliwości zawsze żądają, która dzisiaj na świecie miejsca niema.

Janek: Jeżeli to tak na świecie jest, to jak pojdę do kopalni, to zaraz wstąpię do tych nienawidzonych socjalistów i walczyć będę o sprawiedliwość.

Ojciec: Tak spełnisz też Janku wolę moją.

Dymokrackie medykacje.

Tyn isny panujący z bożyj łaski w Berlinie pedzioł pono, iże nie może spokopić, skisz czegó wszyjscy społem obowiają sie wojny, kiej o wojnie nicht nie myśli. No, to tam Berlin pono bydzie Nwiedzioł nojlepszy jak tam s wojną, bo je Wiedniowi sprzymierzyńcem, a Petersburgowi kamrotem. Ale tyż wszyjscy mogą pedzić na to niespokopiynie: Po jakiymu rząd niymiecki a partje burżujskie wdycki mają strach wojny, kiej nikaj wojny niy ma, a porząd uchwolają nowych wojoków a flota większo a inksze kanony a gewery a wszycko noczynie wojańskie? Przeca kużden chce na swój sposób zabezpieczyć sie od wojny? No, to nie kasujcie odezw przeciw wojnie, a niech armijo bydzie mieńszo, a te strachy razm pójdą se precz. A cysaroki a uhry to tyż se tak pono jyno skisz szpasu robią mobil a rostmajte plajty a koszta? A armjo prusko mo jyno być pono na parady? No, kiej tak to musza protestować, skisz drożyzny a podatków na takie krygsszpile.

Wojna je tyż między rządem a cyntrum terazki. Gazety cyntrowe ale już pedziały, iże przeciw wrogom zewnętrznym pójdą ze rządem społem, ale w rostolicznych wiecach wewnętrznych bydą sie wadzić ze rządem. Jyno, iże rząd se pisko na wszyjskie reformy, haupcach, co mu uchwalą wszyjskie wydatki zewnętrzne, to je na wojoków a na flota, a te inksze to mu jedno. Tako s tyj wojny rząd wdycki bydzie r'zoł, pókąd nie bydzie za telo posłów dymokratyckich, coby tyż zrewidowali ta cołko polityka zewnętrzno.

A na ta drożyzna to se jedyn student historji w Berlinie wyszpekulowoł inkszy środek, bo ón po kurytorzach wszechnicy krod mantle koleksom. Ano, bół studentem historji, to sie mocno nauczół rostmajtygó wywłoszczanio, a na schwol pruskiygó, to terazki ibowoł jyno praktycznie, coby nieskorzy jako profesor pisać uczóne rozprawy za wywłoszczeniem obywatelów a za wszyjskimi prawami wyjątkowymi na inksze narodowości a na „rewolucyonistów“. A możno tyż sztudyrowoł na urzędzika na kresach wschodnich, coby mu rząd jeszczy płaciół za jego mądrość ostmarkenculagi? Bo takich tu trza największy!

Piyknie tyż napisoł bratni „Forwerc“ o ónym landrocie Halemie, chtóry zostoł posłem w Świeciu jyno tymu, iże unieważnili bezprawnie głosy polskie na Sasa-Jaworskiygó. Cołko komisjo rugów wyborczych jednogłośnie potępiła tyn system, a pon landrot jeszczy se siedzioł w parlamencie. To mu tyż T„Forwerc“ pedzioł, iże pono sam siedzi jyno skisz ónych dyjet poselskich, a wnet i „Oberszlejzjiner Kurier“, to je gazyta tyj partji cyntrowyj, co robióła werc“ mo prawie. Jako pon landrot wzión na honor i słożół mandat. Terazki pytom gó, co zrobi s dyjetami, chtóre broł bezprawnie? I radza mu, coby je doł rodzinom tych, chtórych sądy pruskie skozały na kary za to, iże jego wybór bół bezprawny a za to, iże ich rozwydrzone jublem buksy niymieckie obili, a jeszcze chwolili sie s tym po swoich szmatach. Wiym, iże te ojcowskie władze pruskie skonfiskowały rostmajte skłodki polskie na rodziny uwięopieki nad więźniami a ich rodzinami; to sie mianuje kultura ale ta kultura prusko na „ostmakach“ je pono inkszo i musi tyż być, bo inakszy niymczyzna miałaby tu niemocne nogi. Ale pan landrot Halem je tyż pono jeszczy chrześcijaninem, to mógłby se tyż spamiyntać na ono przykazanie: „co tobie niemiło, tego drugiemu nie czyń“, a jeszczy na to: „co daje prawica, niech nie wiy lewica“. Ale w Prusach to se ónaczą tak: prawica ucwolo rostmaite fundusze gadzinowe a lewica nie śmiy wiedzieć, kaj sie te pieniądze obywatelów podziewają. No, i są państwem bojaźni Bożyj! Gustlik Beskuryjo.

Drukiem nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach. — Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott w Katowicach.

Nr. 51. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 21 grudnia 1912.

W. RAKOCZY.

Moja podróż do Ameryki.

(Z węgierskiego).

Niewątpliwie był to jeden z najszczęśliwszych dni w mojem życiu, kiedy pan redaktor zwrócił się do mnie z zapytaniem:

— Czy nie zechciałby pan przejechać się do Ameryki?

— Ależ z przyjemnością, panie redaktorze!

— A więc pojedziesz pan w charakterze naszego sprawozdawcy do Chicago na wystawę światową. Wystaraj się pan o paszport.

Począłem zastanawiać się, co zrobią z żoną i dziećmi. Moja Etelka bardzo nerwowa — zaczytywała się romansami, których bohaterowie ulegali smutnemu losowi Robinsona. O życiu amerykańskiem nie miała żadnego wyobrażenia. Coprawda, wiadomem jej było, że Amerykę odkrył niejaki Krzysztof Kolumb, co się jednak stało potem, nie wiedziała z wyjątkiem tego, że mieszkańcy Ameryki skalpują ślaooskórców. Oczywiście miałem wobec tego obowiązek przygotować ją powoli do tej strasznej wiadomości, zwróciłem się więc do jej wuja z prośbą o pomoc.

— Drogi wujaszku, chciałbym cię prosić o pomoc w pewnej drażliwej sprawie.

— O co chodzi?

— Wybieram się do Ameryki.

Cybuch zatrzeszczał w zębach staruszka.

— O, do djabła! Po co?

— Do Chicago na wystawę. Wiesz, drogi wuju, że podróż taka połączona jest z niebezpieczeństwem, a Etelka tak nerwowa. Nie podejrzewa nawet...

Wuj spojrzał na mnie przerażonymi oczami i zerwał się, jak oparzony.

— Co ci jest, wuju? Może szklankę wody?

— Nie. Daj spokój. Na jak długo jedziesz?

— Sądzę, że podróż moja przeciągnie się ze dwa miesiące.

— Hm, hm... — mruknął.

— Mam nadzieję, że nie odmówisz mi, kochany wuju, swej pomocy. Chodzi o to, aby przyzwyczaić Etelkę do myśli o tej podróży. Wiesz dobrze, jak bojaźliwą jest Etelka.

— Czyżbyś chciał ją z sobą zabrać?

— Nie, chciałbym tylko oswoić ją powoli z myślą o niebezpieczeństwie mojej podróży.

— Dobrze. Zrobię, co będę mógł.

Uściskałem poczciwego starca i pobiegłem do ministerjum spraw wewnętrznych po paszport.

W biurze paszportowem przyjęto mnie bardzo grzecznie. Jakiś jasnowłosy młodzieniec zamaczał zamaszyście pióro w kałamarzu i począł zapisywać. Imię, nazwisko, wiek, stan, zatrudnienie, rysopis — wszystko szło, jak z płatka. Wreszcie pyta mnie, dokąd mam zamiar jechać.

— Do Ameryki — odpowiadam.

Młodzieniec żachnął się, jak gdyby coś ugryzło go nagle w nogę, poczem wstał i świdrując mnie badawczym wzrokiem, rzekł dobitnie:

— W takim razie nie mogę wydać panu paszportu bez świadectwa policyjnego.

— Jakto?

— Musi pan przedłożyć świadectwo moralności.

— Ależ zanim świadectwo to uzyskam, będzie już po wystawie w Chicago!

— A może pan ma w ministerjum jakiego znajomego urzędnika, któryby za pana poręczył?

Miałem, miałem aż trzech znajomych! Jeden ekscelencja, jeden radca i jeden poprostu człowiek. Pierwszy mówił mi ty, z drugim byłem na ty, a trzeciemu mówiłem ty.

Zwracam się do ekscelencji:

— Moje uszanowanie ekscelencji!...

— Czem ci mogę być użytecznym?

— Prosiłbym ekscelencji o łaskawe poparcie.

— Hm!... Co?... Posada?

— Nie...

— Subwencja dla pisma? Hm!...

— I to nie. Chciałem tylko prosić ekscelencję o stwierdzenie tożsamości mojej osoby w biurze paszportowem.

— Dobrze, dobrze, mój kochany.

Ekscelencja bierze kapelusz i udaje się ze mną do biura paszpotowego. Na kurytarzu klepie mnie łaskawie po plecach i pyta:

— Dokąd że to się wybierasz?

— Do Ameryki.

— Ach tak!...

Ekscelencja staje, zapina mundur na wszystkie guziki, twarz jego staje się sztywną jak kamień. Cedzi przez zeby:

— Do Ameryki? To ba-a-rdzo daleko!

— Tak jest, ekscelencjo.

— A masz świadectwo moralności?

— Niestety...

— Mój drogi, nie mogę ci być pomocnym. Wystaraj się o świadectwo policyjne.

Obrócił się porywczo i znikł w drzwiach swego gabinetu.

Pokiwałem ze zdziwienia głową i ruszyłem do radcy. Doznałem jeszcze bardziej łaskawego przyjęcia. Poczęstował mnie cygarem, poprosił siadać i zapytał o cel mojej wizyty. Dowiedziawszy się, iż chodzi o stwierdzenie tożsamości mojej osoby, zgodził się natychmiast i wstał, aby udać się ze mną do biura paszportowego. Uważałem jednak za stosowne uprzedzić go, że wybieram się do Ameryki.

— Do Ameryki! — krzyknął i usiadł z powrotem. — Moje stwierdzenie nie wystarczy. Niech pan uda się do kogo innego.

Pan! Proszę ja kogo! Co za pan! Od lat dziesięciu byliśmy przecie na ty.

Zbiegłem na dół i udałem się do poprostu cztowieka. Młody ów urzędnik był moim dalekim krewnym i zawdzięczał wiele mojej protekcji.

Zaledwie usłyszał, że chcę uzyskać paszport do Ameryki, przerwał mi:

— Szanowny panie dobrodzieju! Dopiero zaczynam karjerę służbową, nie chcę wplątać się w takie sprawy. Nie mogę, niech pan dobrodziej uda się do policji.

Przyszło mi na myśl, że nieszczęsny młodzieniec zwarjował. Opuściłem dziwne to ministerjum i udałem się wprost do dyrektora policji. Dowiedziawszy się, iż zamierzam jechać do Ameryki, przywołał dwóch komisarzy i długo konferował coś szeptem z nimi, spoglądając podejrzliwie na moją twarz. Wreszcie kazano mi zgłosić się za tydzień.

Przy bramie zderzyłem się z jakimiś dwoma cywilnymi panami. którzy towarzyszyli mi aż do domu. Gdym przed wieczorem wyszedł do miasta, spotkałem ich znów przy bramie mego domu. Jak anieli-stróże podążyli wszędzie krok w krok za mną, nie opuszczając mnie na chwilę. Denerwowało mnie to następowanie na pięty niewymownie.

Nazajutrz wczesnym rankiem wpadają, jak bomba, teść i teściowa. Uściski, pocałunki, łzy wzruszenia. Teściowa ma oczy zapuchnięte od płaczu. Teść z poważną miną bierze mnie do kącika i pyta:

— Karolu, powiedz prawdę. Jak wielką jest kwota? Czy można ją jeszcze wyrównać?

— Nie rozumiem teścia.

— Przywiozłem trzy tysiące guldenów, mogę wystarać się o drugie tyle.

— Po co? Nic nie rozumiem.

Wydostał z zanadrza telegram:

„Karol jedzie do Ameryki. Na Boga ratujcie go". Podpisany wuj.

Parsnąłem śmiechem.

— Jak teść mógł nawet przypuszczać? Słowo honoru...

— Twoje słowo honoru! — powtórzył ironicznie.

— Ależ teściu drogi, nie mam nic do czynienia z kasą naszego dziennika. Nie zbliżam się nawet do niej.

Wyjrzałem przez okno. Dwaj anieli stróże sterczeli w bramie, jak dwa posągi. Zrozumiałem wszystko. A więc byli to agenci, którzy śledzili mnie jako defraudanta. Cała sprawa stawała się nader przykrą, postanowiłem więc pójść do redaktora i oświadczyć, iż do Ameryki jechać nie mogę, gdyż nadewszystko cenię swe dobre imię. Z redakcji udałem się do dyrektora policji i urzędników ministerjalnych, aby cofnąć podanie o paszport do Ameryki.

Gdy spotykam się teraz, po dziesięciu latach, z dyrektorem policji lub przyjaciółmi: ekscelencja, radcą i poprostu człowiekiem, czuję na sobie zdziwiony, pytający ich wzrok, jakby chcieli powiedzieć:

— Patrzcie, on jeszcze w Europie, jeszcze nie uciekł do Ameryki!

Handel dziećmi.

Asystentka policji Henryka Arend opublikowała ciekawe swoje doświadczynia, jakie zdobyła podczas swego urzędowania. Potrzebne środki pieniężne dostarczali jej ludzie prywatni, i tylko dzięki temu, mogła bez przeszkód oddać się badaniom handlu dziećmi. Państwo, powołane do ochrony wszystkich mieszkańców, więc i dzieci cierpi te zbrodnie z całym spokojem.

Henryka Arend dowiedziała się, że co roku dużo dzieci z prowincji polskich zaboru pruskiego wywożą handlarze do Rosji, gdzie sprzedaje się je w celach rozpusty. Na granicy rosyjsko pruskiej są fabryki kalek; tam oddają małe dzieci, gdzie wyłamuje się im ręce, nogi, wyłupuje oczy, robi z nich straszne kaleki, żeby swoim wyglądem wzbudzały jak najwięcej litości. Takie dzieci zakupują zawodowi żebracy, którzy na tych ofiarach robią doskonałe interesy. W jednej z takich fabryk odkryto 78 dzieci. Dla innych domów rozpusty w Rosji kupują handlarze już dziewczynki między siódmym a dziewiątym rokiem życia.

Dla takich celów łatwiej zdobyć dzieci z Prus jak z Rosji. Rosja posiada bardzo dobrze urządzone domy podrzutków, gdzie nieślubne matki mogą swoje dzieci umieścić. W Niemczech takich domów prawie niema, to też nieślubne matki, wydane na łup nędzy i poniewierki chętniej oddają swoje dzieci nawet w niepewne ręce. W pismach mieszczańskich czytamy często ogłoszynia, w których dobrzy ludzie oznajmiają, że chętnie wezmą dziecko za swoje i nawet rodzicom względnie matce dadzą pewną sumę pieniędzy. Pisma te często wiedzą jaki cel ma takie ogłoszenie, ale dla pieniędzy nie uzdrygają się je umieszczać. Na innem miejscu podadzą artykuł pełen podniosłych słów o zadaniach społeczeństwa wobec dzieci.

W Niemczech istnieje nawet specjalne biuro ogłoszeń. które zbiera i ogłosza tylko inserty takiej właśnie treści, Pan G. właściciel tego biura, stoi w stosunkach z najwyższymi sferami. Ogłosił on między innemi, że ma do zbycia nieślubnego syna porucznika, który ma 10 tysięcy marek, syna księdza katolickiego i służący z 5 tysiącami marek. Przeszło 200 osób zeznało, że oddało panu G. dzieci z pieniędzmi od 1200 do 2000 marek. Chociaż ten człowiek karany już był za fałszowanie dokumentów i chociaz władze doskonale wiedzą jakie jest jego zajęcie, nie przeszkadzają mu w wykonywaniu jego szkodliwego i hańbiącego zawodu. Nie tylko ten pan uprawia handel dziećmi, dużo mężczyzn i kobiet zajmuje się sprzedażą dzieci.

Władze są doskonale poinformowane o narodzinach każdego dziecka, wiedzą gdzie i w jakich warunkach przyszło na świat. Gdyby chciały spełnić swój obowiązek możnaby wszystkie dzieci ochronić od hańby i przedwczesnej śmierci. Ponieważ rozchodzi się przeważnie o dzieci nieślubne, których ojcowie zajmują często wybitne stanowiska, a którym zależy na pośpiesznym pozbyciu się owoców zakazanych stosunków, władze są głuche i ślepe na handel temi dziećmi. —

Uczeni daremnie łamią sobie głowy, dlaczego liczba dzieci cofą się. Należałoby ochronrć dzieci przed zbrodniczymi handlarzami.

Państwo kapitalistyczne nie spełni tego zadania, bo nie ma w niem miejsca na uczucia ludzkie. Wszystko staje się przedmiotym handlu, wszystko można kupić i sprzedać, dlaczego miałoby się zatrzymać u wrót izb dziecięcych. Dzieci biednych rodziców muszą już od najwcześniejszego dzieciństwa ciężko pracować, i te są jeszcze przez los wyróżnione. Tysiące dzieci rzucono na pastwę losu dostają się w ręce handlarzy, którzy sprzedają je jak zwykły towar.

W tajemnych salonach domów rozpusty, zwłaszcza po wielkich miastach spotkać można małe dziewczynki, które właścicieie chowają dla starych generałów i innych „wyższych panów", którzy na starość lubują się w małych dziewczynkach. Ohyda zgniłego naszego „porządku" społecznego nie przebacza nikomu. Ofiarami padają kobiety i dzieci dla przyjemności „panów".

Armje powietrzne.

Interesujące wywody o użytkowaniu w wojnie samolotów i balonów ze sterem znajdujemy w paryskim dzienniku „Temps". Łącząc się one z zestawieniem sił powietrznych Francji i Niemiec, a obecna sytuacji polityczna nadaje im wielką aktualność. Oto ich streszczenie:

Samoloty i balony ze sterem mają w działaniach wojennych dwie zgoła odrębne role. Balony ze sterem odgrywają główną rolę na początku wojny, jeszcze przed pierwszem starciem obu armji nieprzyjacielskich; samoloty zaczynają działać wówczas, gdy wojska nieprzyjacielskie stykają się ze sobą. Jeden i drugi moment może mieć dla bitew znaczenie decydujące pod niejednym względem.

Gdy wybuchnie wojna, balony ze sterem, umieszczone w stacjach pogranicznych, ruszają na zwiady w kraj nieprzyjacielski. Idzie o zbadanie pochodu wojsk i o telegrafowanie spostrzeżeń jak najszybciej za pomocą telegrafu bez drutu do sztabu głównego. Ponadto, przy sposobności, balony ze sterem będą pełniły misję zaczepną. Mają na pokładzie pociski wybuchające, będą niszczyły mosty, dworce, fortyfikacje i t. d. Odlecą ze swych stacyj nocą tak, aby wczesnym rankiem znaleźć się nad krajem nieprzyjacielskim. Przebędą wraz z drogą powrotną około

tysiąca do tysiąca dwustu kilometrów i przygotowawszy w ten sposób akcję strategiczną, wrócą do swych stanowisk. Rola ich będzie skończona, lecz mimo krótkiego trwania będzie nader ważna.

Gdy armje ruszą przeciw sobie, będą miały każda eskadrę lub więcej eskadr samolotów; te nie potrzebują szop specjalnych, są łatwe do kierowania. One to spełniają rolę patrolów rekonesansowych gdy idzie o szybką służbę wywiadowczą, gdyż mogą ruszyć z miejsca w każdej chwili, bez względu na stadjum bitwy.

Dwa rodzaje statków powietrznych mają więc przed sobą role odmienne do spełnienia. Samolot nie jest zdolny do pierwszej, gdyż trudno mu lecieć nocą, następnie nie może dźwigać dość materjału wybuchowego, ani przyrządów do telegrafowania bez drutu. Natomiast statki lżejsze od powietrza, znacznie trudniej manewrujące i przedstawiające większy daleko cel dla pocisków nieprzyjacielskich, nie potrafią pełnić szybkich rekonesansów, które są rzeczą samolotu.

Niemcy — konkluduje oficer, autor artykułu w „Temps" — posiadają balony ze sterem, lecące z szybkością 70 klm. na godzinę uzbrojone w karabiny maszynowe, które bronią kosza i części górnej balonu; są to narzędzia pierwszej jakości i posłużą nieprzyjacielowi do utrudnienia nam mobilizacji. Uczynią to oczywiście w nocy, gdyż tak nakazuje taktyka używania balonu ze sterem; już w dzień, podczas mgły, balon taki nie jest prawie widzialny w chmurach. Balon francuski „Acjutant Redeau" przeleciał w nocy roku zeszłego nad jedną z fortec francuskich zupełnie nie spostrzeżony, mimo iż było wiadomo, że przeleci.

Państwo niemieckie trzyma się wytrwale systemu Zeppelina. Tyle fatalnych wypadków, jakim ulegały jego balony wojskowe, nie zachwiało przekonania sztabu generalnego berlińskiego, że ten system jest jeszcze pod względem militarnym najlepszy. Obecnie flota balonowa niemiecka jest największą ze wszystkich. Po niej idzie francuska, dalej rosyjska, włoska, której postępy w ostatnim czasie są bardzo znaczne, wreszcie angielska, nakoniec austrjacko-węgierska.

Balony ze sterem byłyby niezwyciężone, nic nie mogłoby powatrzymać ich działania szkodliwego dla wroga, gdyby nie samoloty. Co się stanie z takim pancernikiem powietrznym, gdy rzuci się nań dziesięć samolotów, kierowanych ręką pewną i nieustraszoną? Gdy posypią się strzały i pociski, by wywołać eksplozję? Tego pytania nie rozstrzygnie się teoretycznie. Odpowiedzi udzieli dopiero najbliższa wojna, w której powietrzny dreaudnought zetknie się z powietrznym torpedowcem.

Rozmaitości

O przedawnienie pretensji Z końcem roku przedawnia się znowu znaczna liczba pretensji, czemu przy wczesnem staraniu można zapobiedz. — Przypominamy po krótce prawne przepisy: Termin przedawnienia nie przy wszystkich pretensjach jest równym; zwykły czas przedawnienia wynosi podług § 195 kodeksu cywilnego 30 lat. Pretensje kupieckie, tj. rzemieślników, kupców i fabrykantów, które powstały przez dostarczanie prac wszelkiego rodzaju, załatwianie obcych interesów włącznie wykładów, przedawniają się po dwóch latach, jeżeli czynność nie była wykonaną dla przedsiębiorstwa dłużnika. Także przy pretensjach, które powstały przez dostarczanie potraw i napoi w lokalach i przez zawodową sprzedaż tychże, także i przez zawodowe wydzierżawienie ruchomych przedmiotów itd., następuje przedawnienie po upływie dwóch lat. A zatem w końcu roku 1912 przedawniają się wszystkie w roku 1910 powstałe pretensje, które odnoszą się do stosunków wyżej podanego rodzaju. Po czterech latach, a więc jeżeli powstały w roku 1908, przedawniają się pretensje za czynsze (włącznie sum amortyzacyjnych), komorne, czynsze dzierżawne itd. 1) jeżeli dłużnik przyzna wierzycielowi jego pretensje (przez zwykłe ustne lub piśmienne upomnienie albo wezwanie do zapłacenia przedawnienie się przerywa), lub jeżeli podczas okresu przedawnienia odpłaci część pretensji, albo też procenta lub da jakie zapewnienin. 2) jeżeli wierzyciel wniesie skargę o zaspokojenie lub stwierdzenie swojej należeności i stawi wniosek o wyrok wykonawczy (Vollstreckungsurteil), Wniesieniu skargi równają się: a) dostawienie nakazu zapłaty (Zahlungsbefehl) w drodze upomnienia (Mahnungsverfahren); b) zameldowanie konkursów (Forderungs-Konkurse); c) uznanie za ważną pretensji w procesie, od którego wyniku jest pretensja zależną; d) wniosek o przymusowy wyrok wykonawczy (Zwangsvollstreekung) i przedsięwzięcie czynności wykouawczej (Vollstreckungshandlnng). — Sprawdzić więc należy wszelkie wierzytelności podług powyżej podanych przepisów przedawnienia i nie należy zwłóczyć ze zrobieniem potrzebnej przerwy w przedawnieniu. Jeżeli sądowe kroki są potrzebne, nie należy sprawy odkładać do końca roku. Jeżeli wniosek stawia się za późno, nie mogą potem sądy nakazu zapłaty (Zahlungsbefehl) lub upomnienia (Mahnklage) dość wcześnie tj. przed końcem roku dostawić.

* * *

Żywcem spaleni w ogniu. Okolica Koniecpola pod Częstochową znajduje się pod wrażeniem strasznego wypadku.

W pobliskiej Koniecpola wsi Błonie w domu zamożonego gospodarza Piotra Fatygi na strychu ukazały się płomienie. Spostrzeżono je dopiero, gdy krwawe języki zaczęły ogarniać całą chatę.

Cała rodzina Fatygów była w izbie zgromadzona; ujrzawszy płomienie dwie córki gospodarza wybiegły szybko na drogę, wołając ratunku, żona Fatygi pochwyciła z kołyski śpiące dziecko i chciała uczynić to samo, co córki jednakże gdy wybiegła do sieni, płomienie przepaliły belki, które zwęglone wraz z częścią strzechy spadły na uciekającą kobietę z dzieckiem. Znalazły się pod gruzami i kobieta i dziecko zostały zwęgleni.

Fatyga, miast uciekać, rzucił się do komory, gdzie miał ukryte pieniądze i weksle. Wpadł tam, zabrał skrzynkę, kiedy jednak wybiegł, aby uciec, płomienie przeciły mu drogę i niebawem żywcem został spalony.

* * *

Bohater co się zowie! Do pewnej wioszczyny we Włoszech wrócił w tych dniach do domu żołnierz, który wziął był udział we wojnie trypolitańskiej. Przyjmowano go z wielką pompą. Powywieszano chorągwie i poprowadzono powracającego bohatera z muzyką na czele przed ratusz. Tu powitał bohatera burmistrz, podnosząc w szumnej swej mowie, że wioska cała dumną być powinna z takiego współobywatela, który powrócił zdrów z wojny, choć dzień w dzień wystawiony był na ogień...

Tu przerywa mowę jakiś głos z tłumu:

— Jakto, co dzień?"

— A no tak — odpowiada bohater — byłem przecież kuchcrzem pułkowym!

* * *

Pobożne życzenie skąpca. Przed kilku tygodniami w Budapeszcie, stolicy Węgier, umarł pewien 74 letni starzec. Przywędrował on przed laty do Budapesztu z Czech i usiadł najprzód jako rzeźnik, a później przerzucił się na handel bydłem. Na tem zbił miljonowy majątek, a pomimo to żył w jaknajnędzniejszych warunkach. Kawałek serca za 6 halerzy i kromka starego nieraz chleba stanowiły jego codzienne pożywienie. Lokatorom, a był posiadaczem kilku domów, śrubował ceny za mieszkania bez miłosierdzia. Kiedy nareszcie widział, że zbliża się koniec pobytu na tym padole smutków i łez, kazał przywołać do siebie swych krewnych, pożegnał się z nimi czule, a gdy jeden z nich „w szczerości" zapytał, czyby sobie jeszcze czego nie życzył, odpowiedział skąpiec: „Życzyłbym sobie, ażeby za raz po mej śmierci nastąpił potop, abyście mego majątku, ciężko uciułanego, nie zdążyli przemarnotrawić". Z tem „pobożnem" życzeniem zakończył życie. Po śmierci jego

znaleziono 540 tysięcy marek w gotówce, 60 tysięcy w papierach prócz bardzo wielu drogocennych gruntów i domów.

* * *

Emigracja robotników do Prus. Z Warszawy donoszą: Wydział centralnego Towarzystwa rolniczego odbył posiedzenie, na którem omawiano sprawę powstrzymania emigracji robotników polskich do Prus. Postanowiono zbadać wysokość zarobków w Prusiech i wysokość zarobków akordowyck w Królestwie.

Dymokrackie medykacje.

Niy ma jak śmierdząco ugoda.

Kiej trzyklasowo kuźnio praw wyjątkowych, co sie zwie sejmem pruskim, przedstawicielstwem ludności, a je jyno kiwaczem dlo rządu a hakaty, miała uchwolić wywłoszczenie, to cołko ludność polska chciała wieców protestujących a inkszych piętnowań. Ale wnet ugodowcy rozpuścili godka, iże rząd pono cofnie ta ustawa, i nie bydzie uchwolono, to trza być cicho. No, i wszycko bóło cicho, kiejby światła pogasły w tyjatrze, no, a na bina miasto Sprawiedliwości wlazło Wywłoszczenie. Zaś bóły lamynty, iże wieców nie bóło. No, ustawa bóła, ale rząd nie wywłoszczoł, to gó tyrz nie trza bóło „draźnić“, coby o nij zaboczół. Koło polskie uchwolóło myto królewskie, poznańscy radni polscy uchwolili niymiecko wystawa a rostmajte wydatki przeciw polokom, — i przyszło wywłoszczenie sztyrech majątków. Ale polsko ugoda na cysarskiem furt głosowała za trójprzymierzem s Prusami. Terazki bóło połno wieców protestujących, polki wszędy ogłosili bojkot, — a ugodowcy rozpuścili godka, iże wywłoszczenie bydzie cofnione, to nie trza pono bojkotu; a już mało Lipienki miały ostać sie przy gdowie ze sierotami. A tu rząd co na to? Pono zaś mo już napisanych 60 majątków, chtóre bydą wywłoszczone. Terazki podziwomy sie, co ugodowcy wyonaczą. Możno sami pójdą za Taczanowskim z Choryni, coby rząd nie potrzebowoł wywłoszczać ich, a zaś pedzą: a my jednako mieli prawie, iże tyn rząd je dobry, bo nie wywłoszczo.

A je tyż dobry, bo ónym kupcom żydowskim a niymieckim, chtórzy skarżyli sie na bojkot polski, doł na dzieciątko radość a pociecha; bo minister przykozoł, coby wszyckie roboty rządowe a towary u nich brali, a bejamtry jegó, coby tyż brali jyno u nich. Ale to nic nowygó, bo przeca rząd nijak polokom zarobku nie daje, a bejamtry tyż nie; bo kiej nie słuchają to nie dostają ostmarkenculagów, ale papiyry wnet. A terazki jeszczy władze sznyflują nad Renem, po jakiemu tam telo pplskich robotników, a skisz czegó jeszczy ich nie wyciepli. Ale sie tyż pytom piyknie pana ministra a jego pachołków, po jakiymu tyż Prusy „zatrudniają“ poloków w armje, skisz czegó wszyjskich nie puszczą fraj? Niekierzy przeca nie chcą być pruskimi wojokami? To sie wiy iże w Prusach są dwie miary.

Tako tyż je prusko policjo. Kiej napadli na bank polski w Mysłowicach a jednygó zastrzelili, a nieskorzy tak samo w Katowicach, a tu jeszczy postrzelili, to trwało tydnie, aże se sprowadzili kryminalnygó z Berlina, chtóry mało som szukoł bandytów. Ale kiej terazki w sobota napadli na wóz s pieniędzami gruby niymieckiyj, a jednygó jyno asystenta poranili nieco, tak już kielo dwie pon policajrat Medler siedzi pono w Galicje, a pon amtowy z Brzezinki tyż, a cołki regiment gehajmów tyż. No, ale tyż możno nie tak skisz tych kielonaście tysiąców niymieckich, jyno skisz tygó, iże te bardyty na cysarskiem nie tak ostro strzylają, kiej w Polsce; bo przeca trza pono przed nimi pod bilard sie chronić. A możno tyż te wszyjskie panoczki chcą jyno podziwać sie ónyj mobilizacji polskiej, a przeca pon Medler kamroci sie z rosyjskim policmajstrem Mirbachem, to mu tyż może coś podzić o jegó „podwładnych“.

Ale dziwacznie kręcą tyż werkferajny kręcijańskie. Przedziyj, kiej inksze organizacje chciały strejku, to kręcijanie nie chcieli, jeszczy wołali o wojoków a o policaj a kanony, a strzelali sami tyż do strejkujących, a szpiclowali jeszczy po strajku. Za „fuj“ przez nich słyszane jeszczy dzisiok matki ź dzieckami a inksi doją koza. A terazki? Nad rzyką Zarą sami ogłosili strejk na drugigó stycznia, to je, iże na Sylwestra robią se fajerament. Ano, prost nojjar, a poprawy zarobków tyż im życza, a inkszym tyż, jyno, iże oni inkszych nie chcą brać do do swojygó strejku. Bo to je tak, iże óni chcą wdycki mieć swoje na wiyrchu, a pokozać, iże oni pono sami wszycko srobią. A iże utracili podczas strejku członków dlo inkszych organizacje, chtóre strejkowały, to terazki chcą sami strejkować, coby inksze organizacje przez to niestrejkowanie tyż utraciły członków, a óni ich zyskali. To są głowiczki. Co nasi pedzą, a inksi, to sie pokoże, ale już dzisiok błogosławiony ferband cierpistów agituje przeciw strejkowi, bo im pono drożyzna nie dopolo. Padają se pono te berlińczyki, iże zopusty krótkie, na wielki post śledzie stykną, no, a nieskorzy bydzie lato, to nie trza za telo jeść, a zaś — bydzie tyż nowe błogosławiyństwo, to sie zaś nieco pożywią a przepchną. Ano, błogosławieni ubodzy w duchu; cierp, cierp.

Jednako jo, Gustlik Beskuryjo, padom, iże prawie te największe cierpisty, to tyż największe są heretyki; bo przeca nie po to Chrystus przyszoł na ziymia, coby przynieść cierpienie, jyno po to, coby som cierpioł a ludzi przez to ze wszyjskich cierpień wybawiół. Ale ku temu trza rozumieć Jegó nauka a nie przekręcać, no a przykozania Jegó są dlo wszyjskich a nie jeno dlo niekierych, a dlo inkszych same łaski; inakszy wdycki bydą ucisk a wojna a utropienie. Pomedykujcie jyno o tym, kiej hnet wszędy brzmieć bydzie: a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!

A nie zaboczcie tyż na te święta o swoim Dziynniku nowym, chtóry nowymi siłami to samo głosi hasło. Dzielcie się po domach a przyjaciołach a kamrotach opłatkiem a dobrą nowiną. A jo Wom tyż wszyjskim życza, coby Wos dzieciątko dobrze obdarzóło, i cobyście mieli zdrowe a wesołe święta.

Gustlik Beskuryjo.

Kącik humorystyczny.

Listy których nigdy nie otrzymacie.

I.

Od żony.

Mój drogi mężu!

Posyłam ci z powrotem owe 20 marek które mi przysłałeś na nowy kapelusz. Postanowiłam nosić zeszłoroczny przez całą zimę, możesz sobie za te pieniądze wyprawić bibkę z kolegami.

Twoja kochająca żona

Kunegunda.

II.

Od gospodarza.

Szan. Panie Pinprzykowski!

Ponieważ wszystko jest obecnie bardzo drogie, postanowiłem panu zniżyć komorne z 25 mk. na 15 mk. na miesiąc. Z początkiem przyszłego miesiąca dam wytapetować i odświeżyć gruntownie lokal, który pan zajmujesz, tak, aby mu było jak najwygodniej i najuprzejmiej.

An. Pijawka.

Drukiem i nakładem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott w Katowicach.

Nr. 52. Rok VI.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 28 grudnia 1912.

JULJAN KADEN.

POCHÓD.

Przypomnij sobie, że jesteś królewiczem, następco tronu, — mówił głos.

Purpury, fjolety, szkarłaty i złotogłowie, tęczową wstęgą przesłoniły źrenice młodzieńca.

Poczuł się w mocy i w rozciągłości, w uroku i we władzy, w zaklęciu i w czynie królewskim. Zdrojem płodnego zachwytu wybuchło serce. Radość lekkimi uczyniła członki ciała, człony myśli i dzwona czynów.

Falę skrzącego zachwytu poczuł w piersi swej królestwem pomazanej. Poczuł siłę i moc głosu swego. Ręka prawa stała się lekką jak piórko, giętką jak żmija, mocną jak kamień, pewną jak celny strzał.

Mieć berło w tej ręce i teraz skruszyć je! Mieć zapier! Zawrzeć go w ściśniętej pięści, jego płomieniem, jak ostrą błyskawicą przed ludzkiemi oczyma łysnąc, cel pokazawszy!

Zaś lewą rękę mieć, niby łaskę kojącą i gdy prawa o Prawo walczy lewą — sług nie karać! Lecz słabe i ślepe jarzmić słodyczą.

Bieży królewicz.

W kościele ciemno. Zawarte są wejścia nawy głównej bocznej pod drzwiami, na koniach, w mroku śliskim i ponurem stoją halabardziści. Pułkownik w białym kapturze kłania się królewiczowi.

Ten pułkownik list jakiś pisał wiernopoddańczy. Płaszcze żołnierzy jak całuny.

A noc jest przełomowa. Za wrótnią płynie chmara ludzka.

Oni śpiewają!

Usuń się — mówi następca tronu do pułkownika.

Stary żołnierz patrzy w królewskie oczy. Cześnie od blasku ich.

Konie przestępują z miejsca na miejsce. Podkowy krzeszą skrę na starym kamieniu kościoła. Echo łomocze o wysoki łuk sklepień gwiaździstych.

Królewicz zwraca się do żołnierzy i mówi głosem słodszym od muzyki —: Rozejdźcie się już.

Kościół trzeszczy od tupotu koni. Zazdrośnie ukryte sakramenty płonią się oburzeniem. Światło przed Świętem Swiętych zemdlało.

Królewicz śpieszy tajemnem przejściem do sal pałacu.

Coś drży, coś się tu w murach odbywa, coś je nurtuje i wstrząsa.

Na lewo znów schody.

Znalazł się w pokoju swej królewskiej loży..

Odkręcił światło.

Rubaszny śmiech huknął w powietrzu.

Dostrzegł krolewicz lustro i przepych kandelabrów.

Ale nie tu przecie szedł nie tu zmierzał.

Skoczył we drzwi. Przed nim widownia teatru: Czarna olbrzymia czaszka.

Tak, tak, tu siadywał podczas uroczystych świąt narodowych.

Nie czas dziś na to.

Coś drży, coś się w murach odbywa, coś je nurtuje i przeżera.

Cofnął się z pokoju swej loży i pobiegł do pałacu.

Skąd ten niepokój, — tu wszędzie?

Ach tak, przecie dziś odbywa się przegląd ludu.

Nigdy dzień, — mroczny wieczór, ciągłe światła są w tym pałacu!

Tam, przed fasadę wstało już słońce. Ściany drżą od pędu chmur, z których wydziera się.

Trzeba śpieszyć!

Nie tędy. Toć te są pokoje dworskich dam. Zawsze te głupstwa. Wasze gładkie ramiona nie są już potrzebne nikomu. I ktoby to dziś chciał niewolić je pocałunkami.

Uplątał się w koronkowe firanki, jak w sieć.

Tam przed fasadą już idą. Najmężniejsi z mężnych, — którzy wystąpią bez broni!

To chyba wiara świeci z za chmur!

Trzeba tam stanąć na krużganku i ponad tłumem idących strzaskać, błyskawicę rapieru.

W drogę!

Coś drży, coś się w murach odbywa, coś je nurtuje, rozsadza.

Nareszcie! To już blisko. Przez ten pokój.

Na środku stoi czarny fortepian. Trumna z żywem sercem, grającem. Na rozwartej karcie drżą czarne znaki natchnienia.

Królewicz musi zamknąć wieko. Po bokach stoją świeczniki, a w świecznikach mlecznym blaskiem płomienieją lilje błękitne.

To lilje świecą.

Królewicz zrzuca je, płomieniejące do wnętrza na rozciągnięte strony. Gasnąca światłość leje się po nich opalowemi łzami.

Nie czas i droga nie po temu.

Już blisko. Jeszcze przez pracownię.

Królewicz usiadł.

Naprzeciw niego też ktoś siedzi.

Jak oni tam wciąż idą najmężniejsi z mężnych, zbrojni w bezbronność.

Starą ma twarz, ten siedzący naprzeciw. Jego oczy łżą, uśmiech szydzi, a tchnienie mrozi.

Królewicz wie...

„On“ zabroni mu dalej iść na krużganek. Z jego skośnych ust kwaśną polepą spływają słowa Przesądu.

„On“ wyśmignął z za rękawa długi rapier i przy królewskiej piersi błękitną klimpą gra.

Oczy „jego“ i królewskie na siłę promieni walczą.

Królewicz podnosi rękę, chwyta zimną klimpę i łamie ją przez pół.

Co za wstyd! Srebrna blacha otaczała patyk strugany! Taki był rapier.

Urażony królewicz z cięgą gniewu i wstydu przed czoło idzie naprzód.

Nie zważa, że „On“ bezwstydnie płacze i do nóg się łasić chce.

Następca tronu wbiegł na krużganek.

Widoku! Ach, widoku niezapomniany!

Tam, na dole maszerują tłumy. Nad nimi krwawe kwiaty sztandarów czerwonych.

Następcz wieje ku nim koronkawą chustką i woła: „Nie wierzcie kulom mego wojska. Wobec mocy waszego przekonania, wobec bezbronnej światości waszej nie kule to są, ale ziarna jałowe złego siewej.

Ręka królewicza mierzy krócicą w pierś następcy tronu. Nie waha się palec na cynglu.

Pada strzał...

Na bałkanie zwisa królewicz. W jego złote włosy wplata się rubinowa wstęga krwi. Oczy wioną blaskiem zaćmionej lilji. Ręce niby wahadła stającego zegara kolebią się jeszcze na kryzie bałkanu ku tłumom podane. Lica mai czar uśmiechu.

Nie kule to są a jałowe ziarna złego siewcy — kończą usta rozchylone w żywy kielich kąkolu.

Z opłatkiem.

Bracia, gdy dzisiaj siądzimi do stołu
Opłatkiem łamać się bratnim pospołu,
Niech nas z ospalstwa nowina ocuci,
Którą dziś ludzkość uroczyście nuci:
„Pokój na ziemi ludziom dobrej woli“ —
Pokój nam niechaj w twardej będzie doli.

My, bratobójczą niezgodą łamani,
Gnębieni zewsząd i prześladowani,
Z dóbr świata tego, z własnych praw wyzuci,
Do jarzma bytu twardego przykuci —
Czemuż zwalczani przez wrogów tak wielu
Wraz do jednego nie zdążamy celu?

Niechże miłości i pokoju święta
Nam uprzytomną, ze jednakie pęta
Dźwigamy wszyscy, lecz że wszyscy razem,
Idąc za hasełbraterstwa rozkazem
Walczyć musimy, bo też walki znoju
Nie ma zwycięstwa i nie ma pokoju.

Jako ta gwiazda, co mędrce zbłąkane
Wiodła do celu przez kraje nieznane,
Tak bratnia zgoda niech nam gwiazdą będzie,
Która nam drogę pewną wskaże wszędzie
I poprowadzi tam, gdzie nas wytchnienie
Czeka po walce i z więzów zbawienie. F. B.

Gorsi od zwierząt.

Jeden ze sprawozdawców czeskich opowiada straszne rzeczy o okrucieństwach tureckich.

„Stanęliśmy we wsi Kawakli, o 11 kilometrów od Lozengradu. Kilka nieregularnych szeregów zburzonych i spalonych domów, gruzy, popioły — to Kawakli. Ubodzy wieśniacy, którzy przeżyli pogrom rodzinnej wsi, wystawili sobie tymczasem plecione szałasy, w których trzęsą się od zimna i grozy małe dzieci i pomęczone kobiety.

— Gdzie rodzina Wasyla Dymkowa? — zapytuje w pierwszym szałasie.

Rodzina ta była mi polecona przez pewnego kupca bułgarskiego z Mustafa-Paszy.

Starzec z obwiązaną głową wkazał mi mały szałas, tulący się do opalonych murów jakiejś obszernej budowli, zniszczonej pożarem. Przy wejściu siedziała trzyletnia dziewczynka z długą, czerwoną szramą na policzku. W szałasie na kupce szmat leżała kobieta i dziewczynka.

— Czy tu rodzina Dymkowa? Gdzie wasz mąż? — zapytałem kobiety.

Usiadła, objęła kolana splecionemi rękami i zaczęła głosem, napozór suchym i obojętnym, opowieść wydarzeń ostatnich dni. Miała męża, właściciela sklepu i kawiarni, trzech synów i dwie córeczki, te, które widziałem: 3-letnią i 4-letnią Wasylkę. Dwóch synów jeszcze przed wojną aszkerowie popędzili do Adrjanopola i od tego czasu o nich nie słyszała. Męża i trzeciego syna, chłopca dwunastoletniego zamordowali baszybużucy, uciekający z pod Lozengradu. Ja, kobietę blisko 50 letnią i Wasylkę zbezczęścili. A gdy mała, trzyletnia córeczka chciała matkę bronić, jeden z żołnierzy porwał ją w górę i rzucił w kąt izby.

Zbliżyłem się do Wasylki. Leżała ciągle jeszcze w gorączce. Dałem jej chininy. Ładna jej twarzyczka pałała, oczy szeroko rozwarte patrzyły przerażone. Na tem dzieckiem pastwiło się pięć zwierzców tureckich!

Poszedłem dalej. Na każdym krokn nowy powód do zgrozy. W jednym szałasie leżała kobieta z obciętemi piersiami. Jej siostrze ciężarnej turcy rozcięli łono, wyjęli płód posiekali na kawałki. — Inną kobietę, także ciężarną, zamęczyli na śmierć. Chłopcom obcinali członki, starcom rozbijali czaszki, przetrącali ręce i nogi, niemowlęta nadziewali na bagnety:

Ach, bestje azjackie! Poznałem je jusz w Macedonji.

Jak podpisano zawieszenie broni pod Czataldżą.

Korespondent paryskiego „Journalu“, Paweł Erio, podaje opis układów o zawieszenie broni między sojuszem bałkańskim a Turcją.

Wczoraj wieczorem (3 grudnia) o godzinie 8.15 dokładnie podpisano rozem między stronami walczącemi, z wyjątkiem Grecji.

W czterdzieści minut później Reymond z paryskiej „Illustration“ i ja, byliśmy o tem poinformowani. Z wyjątkiem samych delegatów byliśmy pierwszymi ludźmi w Europie, do których doszła ta wiadomość. Było to rzeczą niemożliwą wysłać zaraz o tem depeszę; teraz zato jestem w możności opowiedzieć wam, jak przeszedł ostatni dzień akcji wojennej w generalnej kwaterze tureckiej.

Wydostawszy od generała specjalne paszporty, udaliśmy się do Hadenkoi wczoraj rano, spodziewając się, że będziemy mogli być świadkami ostatniej fazy układów, ale odpowiedniego upoważnienia nie udało się nam otrzymać.

Pełnomocnicy — powiedziano nam — spotkają się o godzinie 4.30 po południu. Posiedzenie będzie trwało dosyć długo i jeśli panowie chcecie, będziecie mogli zostać na polu pomiędzy posterunkami, albo też powrócić do kwatery generalnej, dokąd wam zaraz da się znać o wyniku.

Przyjęliśmy tę ostatnią propozycję i całe popołudnie spędziliśmy w towarzystwie oficerów ze sztabu generalnego Nazima paszy.

Miałem sposobność w ten sposób spędzić dłuższy czas na rozmowie z wyższymi oficerami, współpracownikami ministra wojny. Wszyscy prawie znają Paryż i mówią bardzo dobrze po francusku. Wszyscy byli za dalszem prowadzeniem wojny, mając wielkie zaufanie do obronnych pozycyj na linji Czataldży. Chociaż układy dobiegały końca, nie było prawie mowy o zawarciu zawieszenia broni.

— W ostatniej chwili mogą zajść trudności i układy się może rozbiją. Poczekajcie panowie kilka godzin a dowiemy się o wszystkiem — informował nas jeden z oficerów.

O godzinie 4.30 Nazim pasza, który od wczesnego rana pracował, udał się do wagonu salonowego, umieszczonego na czele pociągu. Wkrótce za nim podążyli inni pełnomocnicy tureccy. W tym to wagonie toczyły się układy.

Oficerowie tureccy podeszli do mostu Baczekeni, pomiędzy pozycjami obu stron wojujących, wysadzo-

nego dynamitem, poczekali na pełnomocników bułgarskich i zaprowadzili ich do wagonu. Pełnomocnicy bułgarscy dwa razy podczas układów zatrzymywali turków na obiad, ci tak samo im się zrewanżowali.

Układy prowadzono z wyszukaną grzecznością z obu stron.

Tak przeszło kilka godzin. Noc była zimna, niebo wyiskrzone. Grzaliśmy się przy wielkim ogniu. Zdziwiłem się, że oficerowie tureccy mniej gorączkują się spodziewaną lada chwila wiadomością, niż ja.

— Być może jutro obudzi nas huk armat — mówił jeden z nich. — Wiedzieliśmy dobrze, że jest to ostatnie posiedzenie pełnomocników i że od jego wyniku zależą dalsze losy.

Wreszcie nieco przed godziną 9 posłyszeliśmy przeciągły gwizd. To pełnomocnicy tureccy wracali do obozu, zwiastowani sygnałami pociągu.

Serce przestało w nas bić. Wkrótce pociąg zatrzymał się w niewielkiej od nas odległości.

Nazim pasza wysiadł pierwszy, spokojny, jak zwykle, i przechodząc koło nas, oddał nam ukłon, wzywając jednego z oficerów ordynansowych do siebie.

Przystąpiłem bezzwłocznie do niego.

— Skończone? — zapytałem.

— Tak jest — odpowiedział. — Zawieszenie broni. Protokóły podpisane. Odtąd ustaje walka z Czarnogórą, Serbją i Bułgarją. Z Grecją nie mogło przyjść do porozumienia.

Wkrótce dowiedziałem się dalszych szczegółów.

Obrady prowadzono z takiemi ostrożnościami, że zarządzono, aby w sąsiednich przedziałach nie znajdował się żaden z oficerów sztabowych.

Zaraz po rozpoczęciu posiedzenia, delegaci greccy opuścili wagon i wrócili do obozu bułgarskiego.

Pozostali pełnomocnicy bułgarscy i obrady toczyły się do godziny 8.30 wieczór. Wezwano oficerów sztabowych do stołu, przy którym siedzieli Danew, Sawow i Ficzew. Na stole leżał dokument, na którym podpisy jeszcze nie obeschły.

Według zwyczaju wzniesiono toast szampanem. Danew wzniósł toast na pomyślność wojsk wczoraj jeszcze nieprzyjacielskich, z którymi teraz powstanie przyjaźń na silnych podstawach.

Kryzys w Chinach.

Podczas gdy oczy czytającej i politykującej publiczności europejskiej są skierowane na półwysep Bałkański, na antagonizm austrjacko-serbski, oraz związane z nim widmo wojny europejskiej — w Chinach, tej największej z istniejących republik, odbywają się ważne i ciekawe procesy Zachodnio-europejskie państwa są zajęte sprawami europejskiemi i przygotowywaniem się do ewentualnych konfliktów; nie drzemią natomiast państwa azjatyckie — Japonja i Rosja. Korzystają z tej trudnej sytuacji, w jakiej Chiny się znajdują.

Finanse Chin są w stanie nader krytycznym. Zbliża się nowy rok, a wraz z nim wyrównywanie rachunków obywateli: w Chinach każdy obywatel z końcem roku musi rachunki uregulować. Ze względu na to i państwo musi załatwić swe zobowiązania wobec urzędników, wojska itd. Skąd wziąć pieniędzy? W Londynie były prowadzone pertraktacje w sprawie pożyczki 25-miljonowej; gwarancją ma być podatek od soli. Wydobyć jednak pieniądze w Europie teraz trudno. Niebezpieczeństwo wojny europejskiej wpłynęło w silnym stopniu na spotęgowanie ostrożności finansistów europejskich.

Mongolja, jak wiadomo, ogłosiła pod wpływem Rosji swą niepodległość, otrzymując (od tejże Rosji) natychmiastowe jej uznanie. Mongolja jest więc „wolną". Tak jak Korea była wolną, zanim dostała się w obce ręce. I rosyjska dyplomacja rozstawia już swe sieci na naiwnych Mongolów, nie znających się na sztuce dyplomatycznej. Poczta rosyjska w „niepodległej" Mongolji wiąże obydwa centra — Urgę i Ulias-utaj. Rząd rosyjski chętnie służy nowemu państwu pieniądzmi, bronią, urzędnikami. Niebezpieczeństwo dla Chin wynika stąd, że Mongolja ma tendencje do ofenzywy. „Premier" mongolski Siengjung już oddawna grozi, że zwali się ze swą armją mahometańską na republikę chińską. Chciał to uczynić zaraz po ogłoszeniu republiki, lecz wówczas zdrada jego generała — Maaulianga — przeszkodziła mu. Obecnie — pisze pekiński korespondent „Berl. Tagebl." — przychodzą wiadomości o wrzeniu w mahometańskiem Kausu i sąsiedniem Szensi, spowodowanem drożyzną itd. I jeśli Szeng-unowi uda się wzniecić pożar rewolucji w tych prowincjach, wówczas sytuacja dla pozostałych części Chin stanie się groźną.

W Mandżurji (południowej) też coś się przygotowuje. Przygotowuje naturalnie Japonja. Prawdopodobnie czeka tylko na dobrą sposobność do kroków stanowczych. Na razie ogłasza tylko listy z południowej Mandżurji, w których ludność ma błagać Japonję o definitywną aneksję kraju. I kto wie, czy mongolska polityka Rosji a mandżurska Japonji nie są w związku ze sobą? Książę Kaisura niedarmo jeździł do Petersburga. Gubernator Mugdeński, jeden pono z niewielu zdolnych urzędników chińskich, ponownie prosił o dymisję; chce przybyć do Pekinu, by złożyć prezydentowi sprawozdanie o istocie sytuacji w Mandżurji. Wiążą to właśnie z pogłoskami o aneksji południowej Mandżurji.

Rozpoczynają się tymczasem wybory w Chinach, które potrwać mają do 10 stycznia; zaś 10 lutego zbiera się pierwszy parlament chińskiej republiki i wybierze rząd. Zainteresowania bardzo szerokiego tymi wyborami wśród ludności podobno niema. Prowadzona jest już walka wyborcza. Odbywają się dysputy. Radykali Szantungu proponują odebrać prawa obywatelskie noszącym warkocze. Kupcy i rzemieślnicy protestują przeciwko cenzusowi wyborczemu, który nadaje prawo głosowania tylko posiadającym nieruchomość wartości minimum 500 dolarów i płacącym bezpośredni podatek w kwocie najmniej 2 dolarów; ten cenzus pozbawia naturalnie prawa wyborczego conajmniej 50 procent kupców i rzemieślników. Agitatorzy radykałów — Sunjatsen i Huanghsing — objeżdżają kraj i wygłaszają mowy. Stają się coraz bardziej popularnymi wśród ludności i podkopują wpływy Juanszikaja. Pewne koła zmierzają znowu posadzić Sunjatsena na krzesło prezydenckie. Tymczasem w obozie Sunjatsena powstał rozłam i powstała nowa partja „postępowa".

Sytuacja wewnętrzna jest zawikłana i trudna. Chiny przeżywają kryzys.

Rozmaitości

Cementowe meble. Gdy swego czasu Edison zamierzał wyrabiać meble cementowe, ów projekt został przyjęty z drwinami. Niebył jednak śmiesznym, jak się okazuje. Zaczęto już wyrabiać cementowe meble, a według przewidywań fachowego pisma „The Concrete Cemet Age" za lat dziesięć nie będziemy używali innych. Pierwsze cementowe krzesła sporządzone zostały przez amerykańskiego stolarza na zamówienie właściciela apteki. Służą jego klientom do czekania na tramwaj przed jego domem. Pan aptekarz jako człowiek praktyczny słusznie przypuszczał,

że zwyczajne krzesła — nie stałyby długo, więc zażądał możliwie najcięższych. Wobec ich wagi: po 200 funtów, wszelkie niebezpieczeństwo zniknięcia ich wykluczone.

Największy zbiornik wody na świecie. Rolnictwy walczy w Australji z niezwykłemi trudnościami, bo wielka część Australji z powodu braku wody nie nadaje się pod uprawę. Tylko góry nad wybrzeżem morskiem z powodu parowania morza od czasu do czasu otrzymują nieco deszczu. Rzeki po wiekszej części nie dopływają do morza, bo po drodzo wysychają, oprócz jedynie rzeki Murrsy. Aby więc dla rolnictwa stworzyć grunt podatniejszy, postanowiono w Nowopołudniowej Wali utworzyć olbrzymi zbiornik dla rzek, spływających z gór. Ma być usypana tama na 72 metry wysoka, i w utworzonym w ten sposób zbiorniku, mogącym pomieścić jeden miljard metrów kubicznych wody, zbierać się będzie woda porą zimową, którą potem na wiosnę odprowadzać będą osobnemi kanałami na 200 klem. w głąb kraju. Zbiornik to będzie największy na świecie i obszar jego większym będzie niż cały port Sydney.

Ile jest warte życie górnika? — Jak niektóre kopalnie oceniają zdrowie i życie górnika, to pokazuje nam protokół z posiedzenia wydziału robotniczego na kopalni Preussen II przy Lünen w niemczech. — Zastępcy robotników postawili wniosek na zakupienie kilku koców (derek) do nakrycia pokaleczonych robotników, aby ich ochronić przed zaziębieniem.

Inspektor kopalni oświadczył, że uwzględnienie tego wniosku jest niemożliwe. W uzasadnieniu odmównego swego stanowiska powiedział, że uwzględnienie tege wniosku naraziłoby kopalnię na wielkie koszty. Trzeba zważyć, że cały wydatek wynosiłby na to do 80 mk., gdyż za 10 do 12 mk. otrzyma się już dobrą derkę wełnianą! Kopalnia obejmuje 7 oddziałów sztygarskich więc zakupienie jednej derki dla każdego odziału nie kosztowałoby więcej, jak podalismy wyżej. Lecz na to kopalnia zdobyć się nie może. Nie może uczynić tyle dla pokaleczonych w pracy górników.

Kopalnia Preussen II jest własnością przedsiębiorstwa „Harpener Bergbau Aktien Gesellschaft". W pierwszym kwartale 1912 miało to przedsiębiorstwo 3 966 000 mk., a w drugim kwartale 1912 roku 6 262 500 marek zysku — lecz 80 mk. nie może wydać na nakrycia dla pokaleczonych górników.

Dymokrackie medykacje.

Zaś Nowy Rok, ón rok 1913, o chtórym rostmaite są przepowiednie. Tako i życza wszyjskim, coby sie to wszycko społniło; ale isto, bo nie wszycko społniło sie razem wdycki.

Tako jyno przykłodom, iże ruski dom panujący mioł stracić korona, kiej bydzie cerkiew prawosławno poświęcono na Placu Saskim we Warszawie. Już ta odprawa zrobili, a krwawy carat jeszczy żyje a ciemięży ludy rostoliczne. Ale kiejby miała ś nim być wojna, to chtó wie, czy i ta przepowiednia nie spełni się o rok nieskorzy.

Bydzie to tyż zaś rok rostmajtych jubileuszów. Polska bydzie miała 50 roków od powstania styczniowego w r. 1863. Jeszczy żyją powstańcy s tegó czasu, a szmaty hakatystyczne mianują ich „polnische rebellen"; ale swoich prusoków a inkszych niymców, chtórzy przed stu rokami powstali przeciw Napoleonowi, to nazywają „frajchajckempfer" a terazki dziadują jeszczy na to, coby im sprawić wielki jubel. Bo to rządy, chtóre zagrabióły Polska, to są pono z bożyj łaski, a Napoleon nie bół pono z bożyj łaski, jyno był tyranem. Ale takie różnice, to jyno głowiczki hakatystyczne mogą spokopić, my jyno wiymy, kaj nos co boli, a czym są dlo nos nasi wojocy o wolność narodu a ludzkości. A hakacie można sie rozum jyno przeonaczy, kiej jyj niekierzy wygarbują skóra tymi wszyjskimi dambczokami, chtóre sie mianują bismarkajchy a inksze jubelajchy. Skisz tegó im życza przy tym Nowym Roku, coby hakatysty a wszechniemcy nasadzili kupa jeszczy tych dambów, a na te wszyjskie juble zaloli se dobrze swojygo chroboka patrjotycznego a pałety tyż, a te wszyjskie denkmale dobrze ochrzcili piwem a zektem, coby sie lepszy trzymały kupy, jak te inksze wszyjskie żywe pomniki pruskiyj kultury.

Zaś przyńdą nowe ekscielęcje, nowe ordery, nowe prawa wyjątkowe, nowe podatki a nowe modele rostolicznego noczynio wojańskiego, nowe rostomajte telegramy ze współczuciem a nowe słowa na wiatr, nowe obiecki pod niecki, nowe reformy na opak, nowe regimenty, nowe cła a grencmarkenculagi a dzieciątka dlo bejamtrów, nowe wywłoszczenie, nowe wyroki sądów pruskich, nowe szykany policyjne; tako chciołbych, coby to wszycko społem wziyno kóniec w tym nowym roku, skisz tegó dowom pod głosowanie, jak tyn kóniec zrobić? Jo, bo padom, iże terazki trza mocno agitować za inkszym prawem wyborczym do sejmu pruskiygó, coby nowe wybory w tym roku wypadły inakszy, a zaś w tym sejmie a w parlamencie tyż robić silno opozycjo, tak, co i policaj nie pomoże.

A cyntrowcom życza, coby ich jeszczy większy wykorało to pusyrowanie ze rządem, to można przeńdą tyż do lewicy, kiej za inkszych czasów bywało. A te lewicowe partyje burżuazyjskie mogłyby tyż sie podziwać, czy są tyż isto na lewicy. A największy oba Koła polskie niechby se roz uznały, co je kosztuje ich lojalność. Jyno naszym dymokrackim posłom życza, coby tak jak przedziej jeszczy dalsze a jeszczy większy pracowali a walczyli a mieli większy zwycięstw. A cołkiej prawicy a jyj kamrotom a opiekunóm lepszy nic nie życza, boby sztacanwalt za podburzanie do gwołtów wsadziół towarzysza Blotta do ula.

A kiejby miały być strejki robotników, to sie wiy, iże im tyż życza zwycięstwa wielkiygó. Hnet i burszom niymieckim, chtórzy strejkują skisz zagranicznych koleksów studentów, życzółbym szczęścio, bo po jakiymu te „auslendry" mają lizać ta zatruto kultura prusko, kiej owce sól chilijsko?

Przeca mają swoje szkoły wyższe, rusoki nie mają gorszych a większy wstecznicych, a inksi mają lepsze? No, a haw nauczą sie jeszczy słepać piwo, to ubogim wszechniymcom robią konkurencjo i ten honór nojlepszych pijoków poszołby za granica, a w piwo pizłaby jeszczy większo drożyzna; tako niech tak wszyjscy robią dalsze, jaki ból zaczątek, to zaś bydzie w rostolicznych przyleżytościach skisz piwa a inkszych doićland foran a prajsen in doićland foran.

A cołkiej Ojropie a inkszym częściom świata życza lepszych czasów a coby nowo kometa ich nie śmiótła. A największy dobrygó życza wszyjskim uciemiężonym, a ciemiężcom, coby ich połamało.

A czytelnicy nowygó „Dziennika Robotniczygó" niech sie jyno radują przez cołki rok a największy skisz tegó, iże szyrzą oświata strzód ciymnych braci.

Musza Wom tyż pedzieć jeszczy „z Panem Bogiem"; bo to je tak, iże terazki nasz nowy „Dziennik" nie bydzie mioł miejsca dlo mojej godki, to mi rydachtory dali popióry. Można sie skisz tegó niekierzy bydą radowali, ale niekierzy nie. Tako tych prosza, coby mocno agitowali za „Dziynnikiem", coby tyn móg zaś wydować dodatek, albo zaś tyn piykny dodatek „Po Pracy", można wróciółbych z rajzy to bych zaś nieco s Wami pomedykowoł. Ale terazki nie można. No, a chtó tegó nie chce, to niech napisze. Jo wiym, iże piyrwszy bydzie głosowoł przeciwko mnie jedyn zosłużony kierownik biura prasowygó, ale tyj jegó uciechy nie bydzie pono długo skisz rostmajtych przyleżytości.

Tako i jeszczy roz: Nowygó Roku! a do widzenio!

Gustlik Beskuryjo.

Drukiem i nakładem J. Bimiszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Teofil Blott w Katowicach.

Львівська Бібліотека
АН УРСР